

Herb szlachecki i tłok pieczętny
rodu Kozakowskich

Zdzisław Maciejewski

***Wspomnienia
Zesłańca***

Pieszyce, 2013

W książce wykorzystano zdjęcia archiwalne i dokumenty pani Marii Sieńko,
pana Jana Kozakowskiego oraz pana Krzysztofa Kozakowskiego

Opracowanie wydania - Agnieszka Szymańska

Kopie zdjęć i dokumentów - Krzysztof Szymański

Od autora

Z pewnością nie odkryję niczego nowego gdy napiszę, że życiem naszym bardzo często rządzą przypadki, przeznaczenie, zbiegi okoliczności i jak tam jeszcze kto sobie nazwie. Nie mamy przecież wpływu na to, czy urodzimy się w rodzinie bogatej, czy biednej, pośród ludzi prawych, czy też takich, którzy za nic mają sobie wszelkie normy czy to społeczne czy religijne. Jednym Pan Bóg daje nadzwyczajne zdolności i pozwala je rozwijać dla dobra swego i całego społeczeństwa, natomiast drugim przydziela ogólną miarą czyniąc ich przeciętnymi ludźmi nie wyróżniającymi się z tłumu innych.

Powstanie tej książki również zawdzięczam przypadkowi. Nigdy nie sądziłem, że zsyłka Polaków o której miałem ogólne tylko pojęcie zainteresuje mnie na tyle, bym zapragnął zgłębić ją i opisać chociaż część mimo, że sam szczęśliwie jej ominąłem. Tak było do czasu, póki zupełnie niespodziewanie nie spotkałem na swojej drodze niezwykle miłego starszego pana Jana Kozakowskiego, który okazał się wspaniałym narratorem, potrafiącym w sposób niezwykle interesujący opowiadać o swoim dzieciństwie, rodzinie, zesłaniu do Kazachstanu i obecnym życiu. Wymieniał nazwy miejscowości, nazwiska, daty szokując wręcz, mimo przeżytych siedemdziesięciu pięciu lat nadzwyczajną pamięcią. Traf chciał, że podczas obchodów uroczystości dożynkowych Gminy Pieszycy usiedliśmy przy wspólnym stole. Zebrałem się na odwagę i spytałem, czy zgodziłby się, abym te jego opowieści spisał. Ku mojej wielkiej radości otrzymałem pozwolenie i w zimowe wieczory, popijając czerwone wino, które w rozsądnych ilościach doskonale rozjaśnia pamięć, przenieśliśmy się wspólnie na Kresy Rzeczypospolitej do szlacheckich dworów skazanych wraz z ich mieszkańcami na zagładę, jechaliśmy na zsyłkę i wracaliśmy do ukochanej Ojczyzny, wyidealizowanej przez lata pobytu w straszliwej biedzie, pomiędzy obcymi, nie znającymi naszej kultury ludźmi. Książka niniejsza nie jest powieścią – wszystko co w niej zawarte wydarzyło się naprawdę. Nie jest też suchą relacją faktów historycznych. O tych możemy dowiedzieć się z odpowiedniej lektury bądź z Internetu. Jest ona swoistym dokumentem. Relacją z tego co przeżył i zapamiętał mały Janek, wyrastający w czasie opisywanych lat jego życia na dorosłego Jana ojca i dziadka. Relacją z tego co przekazała mu mama i inni członkowie najbliższej rodziny. Tworzy obraz heroicznej acz beznadziejnej walki o utrzymanie Polskości na Kresach. Tworzy obraz dnia powszedniego ludzi ciężko pracujących w swoich gospodarstwach rolnych niezależnie od stanu społecznego i posiadanego majątku. Przedstawia okrucieństwa kolejnych okupantów - Niemców i Bolszewików oraz skrajnie ciężkiego losu zesłańców: Polaków, Rosjan, Litwinów, Niemców, Białorusinów, Ukraińców, Czeczenów, Tadżyków, Koreańczyków, Gruzinów i tak dalej i tak dalej. Trzeba by pewnie wymienić co najmniej połowę światowej populacji poszczególnych narodów, które doznały niepowetowanych krzywd dlatego tylko, że znalazły się w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim

czasie. Zachęcając do przeczytania tej lektury, pragnę zwrócić uwagę czytelnika na skromnie pozostającą z boku bohaterkę, która mnie szczególnie zafascynowała. Jest to mama naszego narratora, w którego postać wcieliłem się opisując jego przeżycia. Pani Stanisława Kozakowska z domu Lubianiec. Stanowi ona, w moim głębokim przekonaniu wzór matki, Polki i orędowniczki wiary chrześcijańskiej, będącej w najcięższych momentach życia wsparciem dla całej rodziny: rodziców, męża, dzieci i braci, dając im siły i wiarę w przetrwanie. Dla mnie oczywistym jest, że wyłącznie dzięki niej wrócili wszyscy do kraju cali i zdrowi. Mogli cieszyć się i zaczynać swoje nowe życie. Odzyskali to, co dla człowieka jest najważniejsze. Pozwólcie Państwo, że chwile te wyrażę krótkim rymem.

Powroty zesłańców

Wracają brudni, obdarci, szarzy
Ubóstwo swoje przed ludźmi kryją
Chwytają pracę, jaka się zdarzy
Dziękują Bogu, że ciągle żyją

Los ich okrutny bywał a przecie
Dzisiaj radośnie się uśmiechają
Bo najważniejsze, co na tym świecie
Mają! Ojczyznę kochaną mają!

Nie zmaćci smutek, ani myśl płocha
Uczucia, które serca rozpali
Bo ten najbardziej Polskę ukocha
Któremu kiedyś ją odebrali

Życzę Państwu przyjemnej lektury

Zdzisław Maciejewski

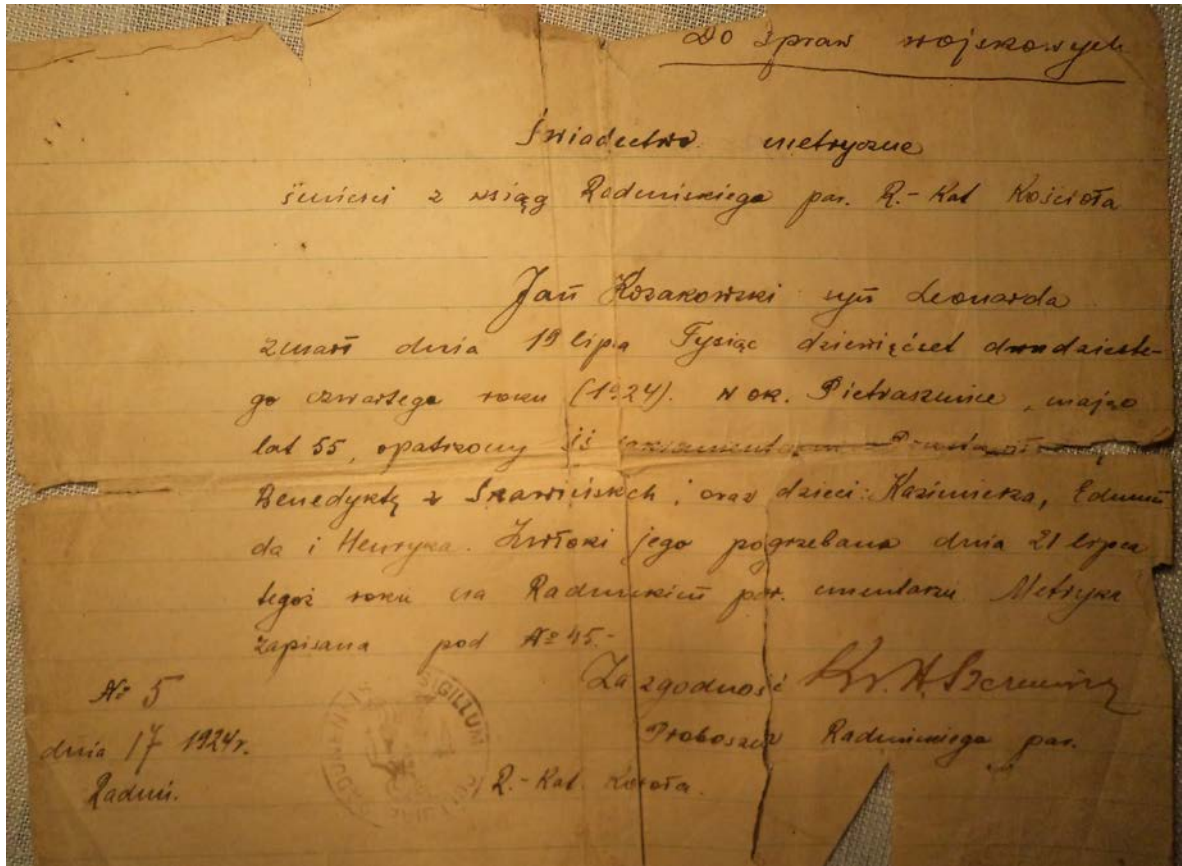
Rozdział I

Ród Kozakowskich

Kozakowscy, to stara szlachta kresowa, zamieszkująca rejony Lidy na obecnym pograniczu litewsko – białoruskim, legitymująca się herbem szlacheckim „Lubicz””. Nasza pieczęć szlachecka była przekazywana z pokolenia na pokolenie zawsze najstarszemu potomkowi płci męskiej a w przypadku jego nieobecności następnemu z kolei. I tak mój dziadek Jan Kozakowski syn Leonarda przekazał ją w lipcu 1924 roku mojemu ojcu Edmundowi, który przechował ją przez okres wojny i ucieczki z terenu Związku Radzieckiego przywożąc ze sobą na Dolny Śląsk, do Pieszyc, gdzie po latach ukrywania się pod cudzym nazwiskiem na terenie województwa olsztyńskiego, zamieszkał. Będąc już poważnie chory i spodziewając się rychłego odejścia, w 1972 roku wezwał do siebie swojego najstarszego syna Zygmunta, mieszkającego w Szczecinie i jemu przekazał tą cenną rodzinną pamiątkę. Zygmunt zmarł w 2011 roku. Obecnie pieczęć ta stanowi własność jego syna Krzysztofa. Chociaż tego typu sprawy straciły już na znaczeniu, to piszę o nich gwoli prawdy historycznej i po to, aby pokazać jak daleko sięgają nasze korzenie. Będąc swego czasu w Raduniu, gdzie na cmentarzu parafialnym znajduje się kwatery rodziny Kozakowskich, odnalazłem mogiłę księdza Piotra Kozakowskiego urodzonego w 1840 roku, który odszedł do Pana 21 października 1908 roku, proboszcza parafii wrocimowickiej guberni kieleckiej z jakże aktualnym po dzień dzisiejszy mottem: „Żyłem bo chciałeś, zmarłem bo kazalesz, zbaw bo możesz”. Ponadto są tam jeszcze mogiły śp. Jana Kozakowskiego zmarłego w 1880 roku, śp. Julianny z Lubiańców zmarłej 31 maja 1890 roku w wieku 75 lat i śp. Aleksandry z Gejsztoftów Kozakowskiej zmarłej w 1891 roku w wieku lat 48. U mnie w domu zachował się dokument sporządzony dnia 14 sierpnia 1978 r. - wypis z metryki chrztu, który miał miejsce w dniu piątego sierpnia z 1872 roku. Figuruje na nim nazwisko Aleksandra Kozakowskiego. Nasza rodzina w niczym nie odbiegała od innych rodzin szlacheckich, żyjących na krańcach Rzeczypospolitej. Zawsze niezwykle religijna i patriotyczna dawała ojczyźnie żołnierzy, duchownych i włościan, żyjących w zgodzie z przykazaniami kościelnymi i w poszanowaniu godności każdego człowieka, niezależnie od jego statusu społecznego. Bez trudu też oparła się zakusom carskich urzędników, którzy z jego „Ukazu”, masowo redukowali drobną szlachtę zaściankową do roli i pozycji włościan. Miała dostatecznie dużo majątku a co najważniejsze, pisemne potwierdzenie swoich szlacheckich praw.



Stoją od lewej: Romuald i Jan Lubiańcowe



Świadcstwo metryczne śmierci Jana Kozakowskiego



Stanisława i Edmund Kozakowscy



Служба служба 1924-1926 г.
1) Козаковски' Эд. 3) Нескович
2) Ротондо 4) Федучер

Pozwolenie na budowę

udzielone *Przezworskiemu Edmundowi* zamieszkałemu we wsi *opł. Pietraszance*
 gminy *Pieluch* powiatu *Piła*

na skutek jego prośby z dnia *13/12 1935 r.*

Na podstawie rozporządzenia Prez. R. P. o prawie budowlanym i zabudowaniu osiedli z dn. 16.11.1928 r.
 (Dz. Ust. 23/1928 r., poz. 202)

udziela się pozwolenia na wzniesienie (przebudowę) *domu mieszkalnego dla siebie i*
rodziny, abozny i kucheny
 na parceli Nr. stanowiącej

własność *Przezworskiego Edmunda* i znajdującej się we wsi
opł. Pietraszance z zachowaniem niżej podanych warunków:

1. Odległość budynku od drogi, ulicy lub placu
 publicznego (powinna wynosić co najmniej 3.5 metr. *2,90 m.*
 art. 265) *dom dla siebie*

2. Wymiary budynku:

a) długość	<i>14 m</i>	<i>9 m</i>	<i>konieczny</i>
b) szerokość	<i>8,50 m</i>	<i>6,40</i>	
c) wysokość do dachu	<i>3 m</i>	<i>3 m</i>	
d) wysokość dachu	<i>5 m</i>	<i>4 m</i>	

3. Położenie budynku względem drogi (należy
 wymienić, czy budynek ma być wzniesiony bokiem
 do drogi, czy szczytem).

4. Materiały, z którego mają być wykonane:
 a) ściany, *cegła i c. d.*
 b) dach, *drewno i trzcina, gontem, rzeźb. 14 m.*

5. Odległość budynku od granic sąsiednich (bu-
 dynki ogniotrwałe powinny być wznoszone w odległo-
 ści co najmniej 4 metrów od granic sąsiednich, zaś
 nieogniotrwałe — 6 metrów art. 277).

(Niepotrzebne skreślić).



Budowa nowego domu w Pietraszuńcach 1937 rok

**СВЯСВЕДЧАННЕ
АБ НЯРЯДЖЭННІ**
СВИДЕТЕЛЬСТВО О РОЖДЕНИИ

Гр. Козаковскі
Козаковский
прозвішча — фамилия

нарадзіўся (дзяц) 28. 1. 1937
Ян Эдуардовіч
(імя і прозвішча бацьку і імя і адчество)
родзіўся (дзяц) (прозвішча і імя бацьку і імя і адчество)

двадцять васьмага яковра
трыдцять сядьмого года
(прозвішча і імя бацьку і імя і адчество)

Месца нараджэння дзіцяці: горад, сяло Пітрасьціца
Место рождения ребенка: город, село

раён Радунскі
район

вобласць Гродзенская
область

аб чым у кнізе запісаў актаў грамадзянскага стану аб нараджэнні
о чем в книге записей актов гражданского состояния

о рождэнні
19 37 года дзевяці месяца 7 числа
года (месяца) (числа)

Утворан адпаведны запіс за
произведена соответствующая запись за

№ 2

БАЦЬКІ:
РОДИТЕЛИ:

Бацька Козаковскі
Отец Эдуард
(прозвішча — фамилия) (імя і прозвішча бацьку і імя і адчество)

нацыянальнасць Козаковская
национальность (прозвішча — фамилия)

Мамі Станіслава
Мать Костел
(імя і прозвішча бацьку і імя і адчество) (імя і імя на бацьку — имя и отчество)

нацыянальнасць Вядомішская
национальность (прозвішча — фамилия)

Месца рэгістрацыі Радунскага р-на
Место регистрации (імя і месцазнаходжанне бюро ЗАГС)

25 жніўня 1937 г.
г.

ПІШ № 187262

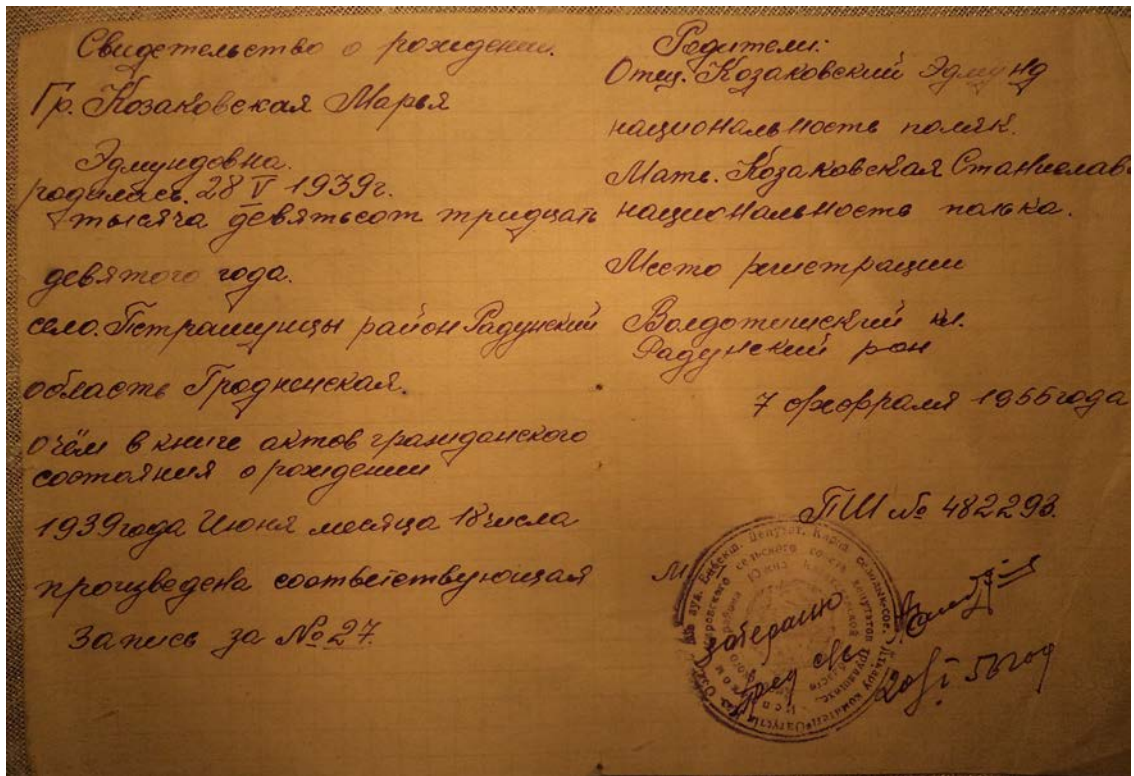
Таміш

М. П.

М. П. ЗАГС

М. П. ЗАГС

Metryka urodzenia Jana Kozakowskiego



Metryka urodzenia Marii Kozakowskiej



Pamiętka I Komunii Świętej Marii i Jana Kozakowskich

Kolonia Pietraszuńce

Urodziłem się w dniu 28 stycznia roku pańskiego 1937, w kolonii Pietraszuńce powiat Lida woj. nowogródzkie i wolny od trosk oraz obowiązków biegałem, jako malutki chłopczyk po rozległym domu, stajniach i podwórkach, kręcąc się pod nogami dorosłych, czyli mamy taty i zatrudnionych w gospodarstwie pracowników. Kiedy już nieco podrosłem, mój świat znacznie się rozszerzył na okoliczne pola, łąki i lasy, będące własnością mojego taty. Jak się później dowiedziałem, mieliśmy 75 h. ziemi ornej i ponad 100 h. pozostałych użytków rolnych bardzo malowniczo położonych nad niewielką rzeczką toczącą swoje krystalicznie czyste wody, pełne ryb i raków poprzez lesiste obszary ziemi ludzkiej. Było więc gdzie hasać. Mieszkaliśmy w przepięknym miejscu, około 500 m. od lasu, z dala od innych gospodarstw rolnych. W kolonii a właściwie w dwóch koloniach o tej samej nazwie położonych około dwóch kilometrów od siebie, gdzie znajdowały się jedynie dwa dwory oraz przynależne im budynki gospodarcze: mojego dziadka Jana, który w chwili moich narodzin od dawna już nie żył i gospodarował tam stryj Kazimierz, oraz mojego taty. Dziadek zmarł, mając zaledwie 55 lat zarażając się gdzieś gruźlicą, czy jak się to wówczas mówiło „suchotami”, na które nie było lekarstwa – nie znano jeszcze antybiotyków, które kilkadziesiąt lat później poradziły sobie z tą powszechną kiedyś i groźną chorobą. Zaraz po nim, na tą samą chorobę umarła moja babcia ze strony taty, zarażając się od swego męża i pozostali mi tylko dziadkowie ze strony mamy. Z oczywistych względów o tym wszystkim dowiedziałem się znacznie później, ale jest wiele zdarzeń, które zapamiętałem już sam, a które są treścią mojego i rodzeństwa dzieciństwa a zapewne też treścią dzieciństwa wielu innych dziewczynek i chłopców ze szlacheckich kresowych rodów .

Abym nie bał się mrozu

Zanim zacznę pisać co sam zdążyłem zapamiętać z mojego dzieciństwa, kilka słów o tym, co na temat moich pierwszych chwil na tym świecie powiedziała mi mama. Urodziłem się w Pietraszuńcach, ale nie w domu, gdzie spędziłem pierwsze lata swojego dzieciństwa, tylko w innym, mniejszym, który później zamieszkiwali nasi pracownicy. Tata najpierw zbudował ten mały, a kiedy już mieliśmy gdzie mieszkać zaczął budować drugi, bardziej przestronny i wygodny. Z tych czasów zachowała się nawet rodzinna fotografia. Mama stoi wewnątrz budującego się domu, który ma ściany nie

wyższe niż jeden metr i trzyma mnie na rękach. Wyżej stoją moi starsi bracia Zygmunt i Gustek a z boku kilku robotników zatrudnionych przy budowie. Jest tam jeszcze mała, zaledwie dwu letnia dziewczynka, czyli moja starsza siostra Teresa oraz tata. Nie miałem wówczas więcej jak kilka tygodni. Wracam jednak do swego poczęcia. Porodów nie odbierał lekarz. Zarówno w rodzinach chłopskich, jak i szlacheckich była od tego „babka” czyli odpowiednik dzisiejszej położnej a jej znajomość rzeczy wynikała jedynie z doświadczenia z tradycji i z zabobonów tak powszechnych jeszcze w pierwszej połowie ubiegłego wieku na Kresach. Po wykonaniu wszystkich niezbędnych czynności, jakie zwykle należy wykonać po porodzie babka polecała, aby ktoś z mężczyzn, którym oczywiście nie wolno było wejść do pokoju gdzie rodziła kobieta poszedł z wiadrem do studni i przyniósł wody. Koniecznie musiała być to woda prosto ze studni a więc lodowata zważywszy na to, kiedy moje przyjście na świat miało miejsce 28 stycznia 1937 roku. Kiedy już polecenie babki zostało spełnione, wzięła kubek, nabrała tej lodowatej wody i polała moje rączki, wypowiadając zaklęcie: „aby się twoje ręce nie bały mrozu”. Potem polała moje nóżki i również wypowiedziała zaklęcie: „aby się twoje nogi nie bały mrozu”. Jakie tam jeszcze gusła i czary wyczyniała to już mi mama nie chciała powiedzieć, ale jej zaklęcia okazały się skuteczne. Do dzisiaj, a idzie mi już przecież ósma dekada życia, ani moje ręce ani nogi nie boją się mrozu, zwłaszcza jak mam solidne buty i ciepłe rękawice. Nowo narodzone dziecko należało, dla jego dobra oczywiście, jak najprędzej ochrzcić. W owym czasie księża nauczali, że nie ochrzczone dziecko nie może zostać zbawione. Straszyli, że dusze takich dzieci błakają się w ciemności nie mogąc dostać się do Nieba. Stąd też „babki” dokonywały tego rytuału, co było jak najbardziej dopuszczalne, jeżeli dziecko urodziło się bardzo słabe i zachodziła obawa, że umrze. Mnie nie trzeba było chrzcic zaraz po porodzie bo wrzeszczałem, aż w całym domu było słyhać a to przecież najlepszy znak, że dziecko jest zdrowe. Niemniej jednak, zaraz po tym jak mama poczuła się na siłach, powieźli mnie w niedzielę do kościoła w Wołdociszkach. Do tej pory mam z tego sakramentu dokument w postaci metryki chrztu, który wystawił ksiądz Henryk w dniu 17 lutego 1937 roku. Luty w okolicach Lidy jest najzimniejszym miesiącem w roku. Wieziono mnie bardzo eleganckimi, ozdobnymi saniami, znacznie mniejszymi od tych zwykłych, roboczych, które zastępowały zimą wozy. Droga była bardzo nierówna a ponadto miała głębokie koleiny w zamrożonym śniegu, wyżłobione właśnie przez te ciężkie gospodarskie sanie. W pewnej chwili, nasze lekkie sanki zsunęły się do koleiny i wraz z chrestnymi wypadłem z nich. Byłem co prawda opatulony w becik i kocyk, ale i tak buzię miałem całą mokrą od śniegu. Tak więc już po raz drugi zostałem „ochrzczone” nim wreszcie zrobił to porządnie ksiądz w naszym kościele parafialnym.

Nie wolno przeklinać

Wspomniałem już, że w 1937 roku nasz nowy dom znajdował się w trakcie budowy. Oprócz nieodzownych przy tym majstrów stale przebywali na niej moi starsi bracia i siostra. Dla dzieci to była najlepsza rozrywka zwłaszcza, że powstawał budynek z drewna a więc znajdowała się tam cała masa wiórów, klocków, patyków i wszelkiego rodzaju innych odpadów, które świetnie nadają się do zabawy. Tata oczywiście też stale tam był nadzorując budowę i pomagając kiedy zachodziła taka potrzeba. Miał on wpojone mu przez rodziców surowe zasady moralne i bardzo ich przestrzegał. Nigdy nie słyszałem z jego ust jakiegokolwiek przekleństwa, a tymczasem w ustach majstrów było ono normalne. Kilkakrotnie upominał ich, aby nie przeklinali przy dzieciach, ale jakoś nie skutkowało. Pewnie już inaczej nie potrafili się porozumiewać, co jest w końcu zrozumiałe bo i dzisiaj zdarza mi się nieraz rozmawiać z kimś, kto co chwilę okrasza swoje słownictwo zupełnie niepotrzebnym przerywnikiem zaczynającym się na ka. Tata jednak był stanowczy, wypłacił im za dotychczasową robotę i odprawił. Przyszli inni i dokończyli dzieła starając się by nie usłyszał z ich ust żadnego przekleństwa. W moim wyobrażeniu, które pozostało do dzisiaj była to ogromna budowla, ale kiedy teraz patrzę na zachowane pozwolenie na budowę, to muszę zweryfikować je dosyć gruntownie. Budynek miał bowiem czternaście metrów długości, osiem i pół metra szerokości a wysokość do dachu wynosiła trzy metry. Inaczej wyglądała to z perspektywy dziecka a inaczej osoby dorosłej.

Pożar domku

Jeszcze jedna historia zasłyszana z ust mojej mamy. Kiedyś wybrała się do pracy w pole z naszą pracownicą, która od pewnego czasu mieszkała w „małym domu”. Tak go nazywaliśmy, chociaż faktycznie nie był on wcale aż taki mały. Pracowały pod lasem, a więc około pół kilometra od domu, gdzie mama zakładała zawsze nasz ogród warzywny. Z tego miejsca widać było doskonale wszystkie zabudowania. W pewnej chwili zauważyły, że z „małego domu” unosi się dym. Rzuciły gracki, którymi czyściły grządki i zaczęły biec w stronę zabudowań. Sytuacja była dramatyczna, ponieważ pracownica zostawiła tam małe dzieci. Biegły ile sił w nogach, ale szybko się zmęczyły i straciły oddech, choć i tak pospieszały ile mogły. Dobięły by znacznie prędzej, gdyby nie lamenty młodej mamy. Przez całą drogę przystawała biadoląc: „już się pewnie koszulki na tych moich dzieciach palą”. Nie gadaj, to będziemy szybciej biegły, strofowała ją mama. Tak, tak, przyznawała mamie rację, by po chwili

znowu lamentować: „już się pewno koszulki na tych moich dzieciach palą”. Po kilku takich przystankach były na miejscu. Na szczęście okazało się, że sytuacja jest opanowana. Zanim dobiegły to już inni ugasiли ogień i nie tylko dzieci ale także ich koszulki były całe. Mama poszła już sama w pole dokończyć rozpoczętą pracę, bo pracownica długo jeszcze nie mogła dojść do siebie. Teraz dziękowała bez przerwy Panu Bogu, Wszystkim Świętym i tym, którzy ugasiли ogień, za uratowanie jej dzieci i nic poza tym jej nie obchodziło. Miłość każdej matki jest jednakowa.

Sianokosy

We wczesnym dzieciństwie byłem dzieckiem wrażliwym, nieco nieśmiałym ale za to bardzo ciekawym świata i ludzi. Może dlatego pierwsze wspomnienie, jakie zachowałem w swojej pamięci kojarzy mi się z zapachem. Z cudowną wonią świeżego siana, z wolną przestrzenią, ciepłą czerwcową pogodą i mamą która w nielicznych wolnych chwilach zabierała mnie na łąkę abym po niej pobiegał. Może też dlatego, że po raz pierwszy tata pozwolił mi, po zakończonych sianokosach uczestniczyć w jego zwózce? Zawiózł mnie wozem na miejsce, gdzie w równych rzędach piętrzyły się kształtne kopki. Nie były one zbyt wielkie i nie stosowano specjalnych „kozlów”, jak tutaj na Śląsku aby siano „doszło”. Grabiono je i składano dopiero wtedy, gdy dobrze wyschło a więc nie potrzebowało dosuszania i nie traciło swego wonnego zapachu. Wielkość kopek warunkowana była sposobem jego zbierania. Pod każdą z nich wtykało się dwa drągi i transportowało do stogu, oszczędzając sobie pracy widłami. Zwykle czynność tą wykonywało dwóch robotników a więc ich gabaryty a zarazem ciężar musiały być dostosowane do tego ile mogli udźwignąć. Jakaż to była frajda, szczególnie podczas powrotu z łąki. Siedziałem na czubku ogromnej fury, która wypełniona sianem, bujała się na nierównościach drogi w jedną i drugą stronę, jakby chciała w każdej chwili zrzucić mnie na ziemię. Tak by też pewnie było, gdyby nie solidny drąg, biegnący wzdłuż wozu przez wierzchołek nałożonej na niego sterty, przyczepiony z tyłu i przodu furmanki do drabin, które zakładało się na wóz w miejsce jego boków, zwiększając w ten sposób kilka razy jego ładowność. Trzymałem się kurczowo tego drąga, aby nie spaść, a obok mnie sterczały w górę trzonki wbitych w siano wideł, którymi później zrzucano je w stodole do sąsięka. Jakoś nikomu nigdy nie przyszło do głowy, że było to raczej mało bezpieczne. Gdyby tak konie z jakichś powodów przestraszyły się i „poniosły” albo siano, pomimo zabezpieczenia drągiem spadło podczas jazdy na ziemię, wraz z przewożonymi na nim pasażerami, to takie widły mogły by kogoś

poranić, nie mówiąc już o czymś gorszym. Tak jednak jeździli wszyscy a więc w czym problem?

Taki chłop jest babą

Mój tata pracował w polu na równi z zatrudnionymi u siebie robotnikami. Nigdy się nie oszczędzał i nie stronił od ciężkiej pracy. Był człowiekiem wielkiego honoru, a honor szlachcica objawiał się nie tylko w miłości do ojczyzny i obowiązku jej obrony przed nieprzyjacielem, ale także między innymi w tym, aby umieć samemu kosić i umieć obchodzić się doskonale z siekierą, by zaopatrzyć rodzinę w opał dla przygotowywania posiłków latem – nie było przecież takich luksusów jak prąd czy gaz, oraz dla ogrzania domu zimą. Powszechnie uważano, że mężczyzna, który nie potrafi wykonywać tych dwóch czynności zasługuje na miano baby. Tata potrafił i to jak! Z dziecięcą dumą obserwowałem jak staje pierwszy w szeregu kosiarzy, czy to przy trawie, czy przy zbożu i po kilku pokosach „następuje już na piąty” ostatniemu, a przecież do koszenia wynajmował zawsze najtęższych chłopów w okolicy. Twarz lśniła mu od potu, ręce były nabrzmiące węzłami żył, ale nie widać było po nim zmęczenia a raczej wielką radość z wykonywanej pracy, ze zbiorów, na które czekał przecież przez cały rok, i które stanowiły podstawę naszej egzystencji. Uśmiechał się do mnie, kiedy kręciłem się w pobliżu, pilnie uważał, bym nie zbliżał się za blisko niebezpiecznej kosy i ciął systematycznie szybkimi ruchami od jednego przystanku do drugiego, odkładając za sobą równy, szeroki pokos trawy czy zboża. Potem przystawał, wiechciem trawy czyścił kosę z przyklejonych do niej badyli, wbijał koniec kosiska w ziemię, sięgał po osełkę, którą kosiarze trzymali w specjalnym metalowym „kubku” z wodą przyczepionym z tyłu do paska od spodni i dłuższą chwilę gładził ją z jednej i drugiej strony aż robiła się ostra jak brzytwa. Zawsze przy tym bałem się, że skaleczy rękę, ale moje obawy były płonne. Nie skaleczył się nigdy.

W tym miejscu pozwolę sobie na małą dygresję. Około czterdzieści lat później pracowałem z pieszyckich „Zegarach”. Patrzyłem przez okno, jak pan, który zajmował się utrzymaniem porządku na terenie zakładu kosi trawnik. Aż mnie korciło, żeby wyjść z budynku i spróbować samemu. W końcu nie wytrzymałem. Odpocznij sobie a ja pokoszę, powiedziałem do niego i zabrałem mu kosę. Okazało się, że nie zapomniałem nic ze swoich dawnych umiejętności, szło mi równie dobrze jak w wieku młodzieńczym, no może nie było już tyle siły. Zastał mnie przy koszeniu nasz prezes. To ty umiesz kosić? Spytał ze zdziwieniem. Umiem, umiem, u nas mówili, że jak ktoś nie umie to

jest babą. To ja nigdy w te twoje strony nie pojedę, odparł z uśmiechem i poszedł sobie.

Dumą mojego taty była maszyna. Konna kosiarka, której nikt z sąsiadów nie posiadał, nawet sąsiad Krachelski, który bagatela, miał 700 h. pola, czyli prawie dziesięć razy więcej niż tata. Maszyna maszyną, przyjemnie było patrzeć, jak zostawia za sobą równiutko ściętą trawę czy zboże, ale kosy nic nie zastąpiło, do końca mojego pobytu w Pietraszuńcach była ona podstawowym narzędziem żniwiarzy.

Polowe koncerty

Mój tata bardzo lubił muzykę. Niestety, jak już wspomniałem, nie było u nas prądu a więc radio, które mieliśmy było prawdopodobnie na baterie. Tego dokładnie nie wiem, ale zapamiętałem, że był to tak zwany „Kryształek”, bez głośnika a jedynie ze słuchawkami. I jak tu uszczęśliwić tatę, mamę i piątkę rodzeństwa, którzy jednocześnie chcą słuchać muzyki? Starsze rodzeństwo kładło te słuchawki na metalowych talerzach, by głos lepiej się rozchodził, ale nie dawało to specjalnych efektów, ledwie dochodziły nas jakieś cichutkie dźwięki. Każdy więc starał się by podczas takiego „koncertu” być jak najbliżej słuchawek. Tata lubił również śpiew. Miał bardzo ładny, mocny głos, często śpiewał i należał do chóru kościelnego. Co to ma wspólnego z pracami na polu, o których pisałem poprzednio, przechodząc bez żadnego wstępu do upodobań taty? Otóż ma i to dużo. W czasie żniw nie było sensu, aby wynajęci robotnicy przychodzili na obiad do domu. Nikt zresztą tego nie robił. Jedzenie woziło im się na pole. Oczywiście tam, gdzie się coś działo byłem i ja. Jak tu nie „żniwować”, gdy w domu mówi się o tym już od dłuższego czasu czekając na dzień, kiedy na „łżejszych” glebach, wyłuskane ziarenko żyta przełamie się w palcach. To był sygnał do rozpoczęcia zbiorów. Przyjeżdżałem więc furmanką wraz z obiadem, bądź też biegłem w pole sam, starając się zejść z oczu mamie, aby mnie nie zawróciła. Taki obiad zawsze stanowił poważne wzmocnienie dla ciężko pracujących ludzi zwłaszcza, że tata zawsze dodawał tam coś jeszcze, co podwójnie ich wzmacniało. I tu jest sedno tego połączenia muzyki z pracą na polu. Po obiedzie najedzona, a więc i zadowolona gromada musiała śpiewać. Dopóki śpiewała, trwała przerwa w pracy. Koniec śpiewów oznaczał powrót do niej. Tata uwielbiał pieśni patriotyczne, które były ogólnie znane, ale śpiewano też wesołe piosenki polskie, rosyjskie, białoruskie i jakie tam jeszcze zapamiętano. Tak więc żniwa przemieniały się czasami w istne, zaimprovizowane polowe koncerty, w których i ja brałem udział. Tak sobie kiedyś myślałem po latach, gdy z nostalgią wspominałem swoje krótkie i szczęśliwe, mimo trwającej wojny dzieciństwo: miał tata taki wielki gest,

wynajmując ludzi na dniówkę i pozwalając im przedłużać w nieskończoność przerwę obiadową, czy też płacił im od morgi? Skłaniam się do tego pierwszego. Zawsze był człowiekiem z wielką fantazją, a ponadto człowiekiem mądrym, prawym i uczciwym, o dużej wiedzy i kulturze osobistej.

Wyprawa po choinkę

Tak było wiosną i latem. Zimą zwykle spadały takie śniegi, że nie można było nieraz wyjść z domu. A więc był to okres sanny i polowań. Tata siadał na swoją kobyłę, która nie płoszyła się od huku fuzji, kiedy strzelał do zająca lub kuropatwy i wyjeżdżał na polowanie, przebijając się przez te śniegi, które dotykały końskiego brzucha. Jak miał udany dzień, to wracał z siodłem obwieszonym zdobyczą a z kuchni dobiegały później smakowite zapachy combrów i pasztetów. Kiedy dzień był mniej udany, wracał z pustymi sakwami, siadał przed kominkiem i suszył zamoczone nogi popijając herbatę dla rozgrzewki. No powiedzmy, że samą herbatę. Tak mi mówił, ale spróbować nigdy nie dał.

Kiedy już miałem kilka lat, to moi bracia: Gustaw, urodzony w 1929 roku i Zygmunt z 1927 roku byli już prawie kawalerami albo raczej wyrostkami, bo do kawalerki to jeszcze trochę im brakowało. Pewnej zimy, tuż przed Świętami Bożego Narodzenia zaprzęgli konia do sanek i ulegając w końcu moim natrętnym prośbom, zabrali mnie ze sobą do lasu, który był własnością mojego taty. Mróz był tęgi, poniżej 20 st. Celsjusza, więc mama opatulila mnie bardzo dokładnie, posadziła pomiędzy Zygmuntem a Gustawem na wielkiej wiązce słomy przykrytej kocem i dodatkowo okryła nam wszystkim nogi grubą derką. Tak zaopatrzeni i uzbrojeni w wielką siekierę pojechaliśmy, by znaleźć najpiękniejsze drzewko w lesie godne tego, by zostać naszą bożonarodzeniową choinką. Koń rażno biegł do przodu poganiany mrozem i moimi okrzykami aż z jego chrapów i boków buchały kłęby pary, a bracia rozglądali się pilnie za choinką, nie mogąc się zdecydować, którą wyciąć. Było wesoło, było pięknie i nic nie zapowiadało, że coś może się nam przydarzyć. A jednak stało się. W pewnym momencie, tuż przed nami rozległ się bardzo głośny strzał. Dla nas nie było to nic nadzwyczajnego, nieraz już słyszałem pękające od mrozu drzewa. Nasz koń nie miał jednak takiej wiedzy. Przestraszył się i gwałtownie ruszył do przodu. Uratowały nas zapewne zasy, bo biedne konisko nie mogło w nich galopować, oraz stojąca na naszej drodze, niezbyt gruba – jakieś dwadzieścia centymetrów średnicy pnia sosna. Sanie zaparły się o nią i szczęśliwie nie rozleciały na strzępy. Koń szarpnął jeszcze postronkami, ale czując wielki ciężar, stanął w miejscu drżąc cały ze strachu. Rzuciło nas gwałtownie do przodu, aż uderzyłem głową w przednią deskę sań. Na szczęście

byłem tak grubo ubrany, że nic mi się nie stało. Moi bracia mieli mniej szczęścia, bo obydwaj powypadali z sań i wylądowali w zaspach. Wyglądali jak dwa bałwany, ale skończyło się wszystko na strachu. Gustaw wycofał powoli konia, ominęliśmy drzewo i zobaczyli pięknego świerka. Ten będzie dobry na choinkę. Wracaliśmy z lasu, śmiejąc się ze swojej przygody.

Boże Narodzenie i Wielkanoc

Choinka więc już była, ale co z jej przystrojeniem? Żaden problem. Jedną z pań, która u nas pracowała, robiła z wosku pszczelego piękne świece choinkowe, które mocowało się do gałązek na specjalnych żabkach posiadających tulejkę do ich włożenia. Były łańcuchy ze słomek, z bibulek, „anielskie włosy”, czyli pocięte cienkie paski świecącego papieru, jabłka, cukierki i co tam jeszcze wpadło w ręce. Można było świętować, składać pod drzewko podarki i śpiewać kolędy. Święta zawsze były u nas obchodzone w bardzo dużym gronie. Nasza rodzina liczyła siedem osób. Oprócz nas, przy stole wigilijnym zawsze zasiadali wszyscy pracownicy, zatrudnieni w domu i w gospodarstwie wraz ze swoimi rodzinami. Mogło ich być razem ze trzydziestu. Tak zresztą bywało nie tylko w czasie wigilii. Wszystkie obiady były wspólne i nie było różnicy w wyżywieniu gospodarzy czy pracowników. Po zmówieniu modlitwy, wszyscy łamali się opłatkiem a później zasiadali do jedzenia. Zawsze czekałem na ten moment, bo po kolacji wigilijnej były otwierane prezenty dla dzieci i ogólna radość, a potem? Potem dom nasz trząsł się cały w posadach od głośnych kolęd wydobywających się z trzydziestu paru gardeł i tak było aż do godziny dziesiątej kiedy zaczynały się przygotowania do pasterki. Wszystko było fajnie, gdy na bezchmurnym niebie świecił księżyc rozświetlając swoją poświatą drogę. Gorzej, gdy było ciemno, padał śnieg lub deszcz – co też się zdarzało, wiał silny wiatr i ogólnie było tak, że psza szkoda na dwór wypędzić, ale obowiązek katolicki, obowiązkiem. Na pasterkę jechano, tyle tylko, że beze mnie. Musiałem zostawać w domu z zazdrością patrząc jak szykuje się do niej starsze rodzeństwo. Przyrzekałem sobie wówczas, że i tak nie zasnę tylko będę czekał na ich powrót, ale przyrzeczenie przyrzeczeniem, po kilku minutach było już po chłopie. Na taką podróż zabierało się ze sobą „Fanary”, - lampy naftowe a ściślej latarki, czy z rosyjskiego „reflektory”, które nie gasły od podmuchów wiatru, ponieważ miały z góry specjalny kominek, który zatrzymywał dopływ silnego strumienia powietrza. Myślę teraz, że raczej dla fantazji czy odstraszenia wilków, bo taka naftowa latarka niewiele drogi mogła oświetlić. Po przyjeździe na miejsce sadowili się w ławkach i śpiewali tak, że w kościele, w którym oczywiście też nie było prądu gasły woskowe świece od hałasu. Głosy były tak potężne, że głużyły zupełnie akompaniament pana

organisty, usiłującego wydobyć jak najpiękniejsze i najgłośniejsze dźwięki ze swojego pianina, które zastępowało mu organy. Powrót do domu to już był wesoły kulig z głośnymi okrzykami i sztucznymi ogniami, przy których konie tuliły uszy ze strachu. Po przyjeździe znowu siadano do stołu. Teraz już nie obowiązywał post, można było czymś przepić wigilijną kolację. Oczywiście dzieci nie brały w tym już udziału, musiały iść spać. Kiedy w 1944 roku przyszli do nas Rosjanie, jeden z nich bardzo się dziwił i pytał naszego Stasia – chłopaka, który pasł krowy, inaczej, zajmował się krowami: „Wy wsiegda tak”? – wy zawsze tak? Chodziło mu o to, że robotnicy i gospodarze jedzą przy wspólnym stole. Jeszcze kilka słów o nakryciu stołu i naprawdę nie wiem już, czy to zapamiętałem z naszych wigilii, czy też wryło mi się w pamięć z opowiadań mamy w czasie naszego zesłania do Kazachstanu, gdzie spędzaliśmy jakże smutne i głodne wigilie. Ale o tym później. Na stole musiała być obowiązkowo gruba warstwa siana. Pachnącego siana z pierwszego pokosu naszych łąk. Oczywiście trudno by było postawić na nim talerz z barszczem czy innymi płynnymi potrawami. Każdy musiał więc zrobić sobie odpowiedni „dołek” do którego się go wkładało i wówczas był stabilny. Stół zawsze był przykryty białym lnianym obrusem, oczywiście zrobionym na naszych krosnach. Obrus taki przygotowywało się przez długi czas, bowiem był to cały proces technologiczny. Po utkaniu, wystawiano go latem na słońce aby wybielał, a zimą na mróz by był bardziej sztywny, „wymrożony”. Zawsze było 12 i więcej potraw i oczywiście opłatek, którym my dzieci dzieliliśmy się też ze zwierzętami, bo jak wiadomo w tą jedną, jedyną noc w roku przemawiają one ludzkim głosem. Jednak rozmawiały one tylko ze starszymi dziećmi, do mnie nie chciały przemówić, choć pragnąłem tego z całego serca. Przez nasze ziemie płynęła rzeka Dzitwa. Mieliśmy na własność dosyć spory jej odcinek. Przed świętami tata, wraz z rybakiem, panem Hancewiczem zakładali na niej niewód i ciągnęli ryby, które pływały tam całymi ławicami. Po takim zaciągnięciu niewodu, przywoził zawsze do domu po dwa, trzy pudy ryb, które później pojawiały się na naszym stole wigilijnym. Było ich tak dużo, że starczało jeszcze aby obdzielić wszystkich okolicznych sąsiadów. Zajadaliśmy się tymi rybami, złowionymi w krystalicznych, nie skażonych niczym wodach Dzitwy, przy czym był zwyczaj, że ości nie odkładało się na talerzyk, ale wciskało w siano pod obrus. Tego siana po świętach nie wolno było dawać krowom tylko owcom, które doskonale radziły sobie nie tylko z samym sianem, ale również ze znajdującymi się w nim ościami. W okresie przedświątecznym zawsze było przygotowane tyle jedzenia, że przez całe święta nic się już nie gotowało. I to tyle o świętach Bożego Narodzenia. Teraz, aby ustalonemu porządkowi życia oddać zadość napiszę nieco o Wielkanocy. Jeżeli Wielkanoc, to oczywiście jajka. Turlaliśmy je, wykorzystując do tego celu wklęsłą stronę tarki do marchewki. Jeżeli trafiło się jajkiem w to, które przedtem zostało poturlane i już leżało na stole, to wygrywało się obydwoma. Sprytny gracz mógł zebrać ich nawet cały koszyk, tyle tylko, że nie miał później co z nimi robić. Nie obce nam

też było pukanie jajkiem o jajko, kto miał silniejsze, ten wygrywał. Mój brat Gustaw nie brał udziału w tych zabawach. Miał już swoje lata i związane z tym obowiązki. Przez całą noc pełnił straż honorową przy Grobie Pańskim w kościele, a kiedy rano wracał do domu, to był tak zmęczony, że żadna zabawa go nie interesowała. Jadł śniadanie i szedł spać. To tyle na temat obchodzenia w naszej rodzinie najważniejszych świąt w roku.

Pszczoly

Wracam do naszego gospodarstwa, ale to o czym będę teraz pisał znam jedynie z opowiadania mamy, bowiem byłem wówczas za mały aby cokolwiek zapamiętać. Otóż mieliśmy całkiem sporą pasiekę, która przynosiła znaczne ilości miodu. Pszczoly przed wojną w naszych okolicach miały istny raj w porównaniu z dzisiejszymi czasami, gdzie stosuje się różnego rodzaju trujące substancje do nawożenia pól i zwalczania chwastów. I w tym momencie jeszcze coś mi się przypomniało, a więc zrobię kolejną dygresję. W Niemczech, stosowano już przed wojną w rolnictwie nawozy sztuczne, których u nas nikt nie używał, bowiem nie było takiej potrzeby. Ziemie były urodzajne i bez nawozów. Przed nadejściem wojsk rosyjskich w 1944 roku, przyjechała niemiecka ciężarówka z jakimś białym proszkiem i wysypała go na skraju pola. Wszyscy chodziliśmy to oglądać bo nikt, przynajmniej z dzieci nie słyszał nigdy o nawozach sztucznych. Nie było tam nic ciekawego, zwykły proszek podobny do tego, który służył do prania. Nikt nigdy nie rozsiał tego nawozu na pola. Jego sterta zmniejszała się rozwiewana wiatrem i wyflukiwana przez deszcz, aż w końcu zarosła zielskiem i to był jej koniec. Nikt nie chciał zanieczyszczać sobie pola. Wiadomo to co mogło potem wyrosnąć, gdyby tak rozsypać ten proszek pod zasiew? Wracamy do pszczół. Lato w naszej okolicy obfitowało wielką ilością kwiatów i ziół. Miały z czego czerpać miód, a my mieliśmy z nich wielki pożytek. Tata był uczulony na jad pszczeli a więc pasieką opiekowała się mama, której nigdy nie gryzły. Nieraz tak bywało, że kilka, czy kilkanaście na raz chodziło po niej a ona bez żadnej maski, bez okurzenia, z krótkimi rękawami otwierała ule i wycinała z ramek słodkie plastry wypełnione miodem, które po kilku dnia wypełniały się na nowo. Szkopuł w tym, że tylko ona miała takie względy u tych bardzo pożytecznych owadów, nikt więcej. Przekonałem się o tym na własnej skórze i to w sposób dosyć nieprzyjemny. Pewnego razu, podczas miodobrania, jako 3 – 4 letni brzdąc, wyszedłem z domu trzymając w ręku pajdę chleba polaną miodem. Jedna sprytna pszczołka wypatrzyła to natychmiast i usiadła na tym chlebie chcąc uszczknąć nieco miodu dla siebie. Oczywiście wygoniłem ją, bo z jakiej

racji miała mi zabierać moje jedzenie. Obrażona, wróciła do ula i po chwili była już z powrotem na czele całego roju kąśliwych złościc, które obsiadły mnie kłując zawzięcie gdzie popadnie. Podniosłem taki krzyk, że mój dziadek Romuald w Pieretańcach oddalonych o 9 km. z pewnością mnie słyszał. Tym bardziej usłyszała mama, która była zajęta przy pasiece. Przybiegła co prędzej i zrobiła jedyną rzecz, którą mogła zrobić. Chwyciła mnie, całego w pszczołach i wrzuciła do koryta z wodą, które normalnie służyło do pojenia krów i koni. Ja opadłem na dno koryta, pszczoły zostały na powierzchni wody walcząc o dopłynięcie do brzegu i uratowanie swojego owadziego życia a mama powymowała mi wszystkie żądła i zaniosiła do domu. Ratunek nadszedł w ostatniej chwili. Gdyby mamy nie było w pobliżu i dłużej by mnie gryzły, to pewnie nie przeżył bym ich ataku a tak, to skończyło się na bólu i gorączce, którą miałem przez kilka tygodni. Za to teraz, po otrzymaniu tylu zastrzyków uodparniających, żadne ukąszenie pszczoły ani osy nie jest mi straszne. A mówiło się u nas, że jak konia użądła trzy pszczoły, to koń padnie. Miałem więc zdrowie lepsze niż kilka koni razem wziętych.

Kiedy już podrosłem, to nieraz jeszcze zostałem użądłony przez pszczołę, ale nigdy nie robiłem z tego problemu, trochę spuchło, pobolało i było po kłopotcie. Najczęściej po nogach, ponieważ często zarówno ja jak i moje rodzeństwo często biegaliśmy boso. Pszczoły nie wolno było zabić, nawet jak użądliła – druga rzecz, że wówczas ona sama umierała. Pozbawiając się żądła, pozbawiała się życia. No właśnie, pszczoła umierała. Nigdy nikt nie powiedział, że pszczoła zdechła. Ona umierała, ponieważ miała duszę, no może malutką duszyczkę, która podpowiadała jej gdzie ma lecieć za najlepszym w okolicy miodem aby nzbierać go jak najwięcej dla swoich gospodarzy, którzy dbają o nią i zaopatrują na zimę. Powszechnie sądzono, że zabicie jednej pszczoły równa się stracie jednego kilograma miodu w ciągu roku. Skąd takie przekonanie? Nie wiem, było ono mocno na wyrost, bo gdyby tak pomnożyć ten kilogram przez ilość robotnic w ulu, to była by ogromna ilość, ale spełniało swoją rolę, nikt nigdy pszczoły nie zabijał, podobnie jak jaskółki, które lepily sobie gniazda pod strzechami naszych budynków gospodarczych. Po locie jaskółek prognozowało się czy będzie deszcz, czy też piękna słoneczna pogoda. Na jedno latały nisko a na drugie wysoko, niemal pod chmurami, ale co do czego przypasować to już niestety nie wiem a szkoda, nie musiał bym oglądać teraz prognozy pogody. Mama wiedziała, kiedy pszczoły będą się roić, ponieważ wówczas wylatywały one z ula i krążyły nad nim zamiast lecieć po miód. Pilnowała wówczas aż wyjdzie matka, która miała z nimi odlecieć by założyć nową pszczelą rodzinę i łapała ją. Jak poznawała tą matkę, nieco tylko większą od pozostałych pszczół w ogromnym ich kłębowisku, to ona sama tylko wiedziała. Jak matka szła do „aresztu” to pszczoły się nie roiły. Jednego razu mama złapała taką matkę, włożyła ją do szklanki, przykryła kartką papieru i postawiła w kuchni na parapecie. W nocy był wiatr, zdmuchnął kartkę i więzień uciekł. Wieczorem padało i mama była przekonana, że matka wróciła z powrotem do swojego ula,

bo jak jest deszcz, to pszczoły się nie roją. W pobliżu naszej kuchni był sad i rosła stara śliwa. Rankiem poszedłem do sadu i zobaczyłem na tej śliwie wielki kokon, czy raczej kulę zrobioną z żywych pszczoł. Prędko pobiegłem po mamę dumny ze swojego odkrycia. Rozpoczął się cały ceremoniał zbierania roju. Stasiu Wróblewski przyniósł drabinę i oparł ją o gałąź w pobliżu tej kuli. Mama wzięła specjalny kosz wykorzystywany tylko do zbierania pszczoł a upleciony z prostej długiej żytniej słomy, do środka włożyła liście melisy, podstawiała kosz pod rój, lekko potrząsnęła gałęzią i pszczoły wpadły do tego kosza. Nie wszystkie, resztę delikatnie pozgarniała miotełką wykonaną z gęsich piór, przykryła kosz uplecioną również ze słomy pokrywą i ostrożnie zniosła go na ziemię. Wspomniałem już, że po mamie chodziły pszczoły i żadna jej nie ugryzła. Tak było i tym razem, zgarniała je z siebie tymi piórami, a one siadały na wieku kosza nigdzie nie odlatując. Potem było coś najciekawszego. Do pustego ula mama włożyła trochę melisy a następnie zrobiła z niej sporą kulkę i dokładnie wytarła nią jego boki i spód, aby zostawić tam jak najwięcej zapachu tego pożytecznego zioła. Kiedy ul był już przygotowany, połączyła wejście do niego z koszem specjalnym „rękawem” podobnie jak teraz łączy się wyjście z samolotu z terminalem w porcie lotniczym. Pszczoły, jakby świadome tego, przechodziły do ula i tam już zostawały. I kto teraz ośmieli się powiedzieć, że te owady nie mają duszy? Ja nie znam się na pszczelarstwie, ale słyszałem, od mojego sąsiada z działki, że matka roju wydaje z siebie dźwięki, ruszając w tym celu skrzydłami. Pszczoły słyszą jej zew i lecą za nią. Sąsiad nie chcąc dopuścić do wyroju, włącza przy ulu radio na cały regulator, aby te dźwięki zagłuszyć. Czy to pomaga? Nie wiem, ale na działce jest wówczas wesoło a o to przecież chodzi. W Warszawie mieszkał mamy brat Paweł Lubianiec, który również hodował pszczoły u siebie na działce. Stale powtarzał, że gdyby Lenin był pszczelarzem, to nigdy nie doszło by w Rosji do rewolucji. W przyrodzie nie ma bowiem bardziej zorganizowanego społeczeństwa niż rodzina pszczela, gdzie każdy pełni swoją, ściśle sprecyzowaną rolę. No może jeszcze mrówki, ale o tym już wujek nie wspominał.

Ksiądz Henryk

Pisałem już, że tradycyjnie szlachta kresowa, oprócz rolnictwa trudniła się wojaczką, oraz kapłaństwem. Mój tata służył w 77 pułku piechoty w Lidzie wraz z kolegą, który później został naszym proboszczem. Jak do tego doszło? Kolega ten – Henryk Wasilewski idąc do wojska, zostawił w domu narzeczoną. Jaka to była dziewczyna: mniej czy bardziej urodziwa, mądra czy głupia, bogata czy biedna nie wiadomo. Tata nigdy o tym nie mówił a mnie, jako dziecka takie sprawy zupełnie nie interesowały. W każdym razie żołnierz był zakochany, jak

to się dawniej mówiło „na zabój” i niecierpliwie odliczał dni, kiedy będzie mógł spłacić dług ojczyźnie w postaci służby wojskowej i wrócić do swojej lubej. Był przy tym na tyle dobroduszny i szczery, że chwalił się swoim szczęściem na lewo i prawo. Oczywiście takie postępowanie spragnionego miłości wojaka nie obyło się bez następstw. Weseli koledzy z kompanii zrobili mu kawał i wysłali list informujący o tym, że jego narzeczona wychodzi za mąż za innego, nie zastanawiając się nad konsekwencjami takiego żartu. Nie sprawdzając tej informacji, po męsku zniósł swoją porażkę. Po odbyciu służby nie wrócił do domu, lecz wstąpił do seminarium duchownego. Nie będzie tej, nie będzie żadnej. Co się stało z panią nie wiem, bo nigdy o to nie pytałem. W każdym razie, po kilku latach kolega taty został proboszczem naszej parafii w Wołdociszkach. Dodać muszę, że proboszczem bardzo lubianym przez parafian i nie tylko. Dość powiedzieć, że moja babcia tłukła się często w niedzielę bryczką z Pieretańców do nas a następnie z rodzicami jechała do Wołdociszek po to tylko, by wysłuchać mszy świętej u księdza Henryka, który jak mówiła miał przy ołtarzu „żołnierskie ruchy”. Jej małżonek, a mój dziadek nie był już taki pobożny i nieczęsto towarzyszył swojej małżonce w jej niedzielnych eskapadach. Takie niedzielne wyjazdy do kościoła, to był cały ceremoniał. Po przyjeździe do Wołdociszek, tata przywiązywał lejce do specjalnych słupków, służących wyłącznie do tego celu i na długo przed mszą szliśmy do jego kolegi z wojska na obowiązkową herbatkę. Rozmawiali o swoich sprawach a ja kręciłem się im pod nogami bardzo rad ze słodczy, które zawsze tam na mnie czekały. Po herbatce, ksiądz szedł do zakrystii przygotować się do mszy, a babcia rozplýwała się w zachwytach nad nim. Te czasy, tak przecież nieodległe dla mnie, dzieli od obecnych ogromna przepaść kulturowa. Babcia, starsza już przecież, dostojna pani, dziedziczka sporej fortuny, całowała księdza proboszcza w rękę, której on wcale nie cofał i schlebiała mu mówiąc, że: „tak jak ksiądz się modli, to jest rzadko spotykane”. Szacunek społeczeństwa dla księży był ogromny. W czasie kolędy, gdy akurat spadły wielkie śniegi, kopano w nich ręcznie długie tunele, wysypując je piaskiem, aby przypadkiem ksiądz nie zrobił sobie żadnej krzywdy. Zważywszy na to, że odległość od kościoła do kolonii, gdzie mieszkaliśmy była spora a śniegu jeszcze więcej, to do pracy tej angażowany był każdy, kto tylko mógł podnieść łopatę. Zawczasu też zamykano wszystkie psy, co jednak nie ustrzegło księdza Henryka przed bliższym z nimi kontaktem, ale to było na szczęście u sąsiada. Jedyne mama miała po tym zajęcie zszywając mu rozprutą komżę.

Duduś

Jeżeli już jestem przy psach. Mieliśmy ich 4 i wcale nie były to psy do zabawy, chociaż z wielką cierpliwością znosiły moje wybryki w postaci ciągnięcia za kudły i próby ujeżdżania. Służyły do ochrony gospodarstwa i do polowania. Z okien naszego domu widoczne były „Rojsty”, czyli trzęsawiska, na których nigdy nie stanęła stopa ludzka. Od maleńkiego mieliśmy w domu wpajane przez tatę i mamę, aby się nawet do nich nie zbliżać ani latem, ani zimą. Latem to oczywiste ale zimą, przy silnych mrozach dochodzących do 20 – 30 stopni dlaczego? Dlatego, że też się można było zapaść i już nie było ratunku. Bagno wciągało powoli ale skutecznie. Nigdy nie było wiadomo, czy nie ma na nich „oparzelin”, które nigdy nie zamarzają. Takie bagniska są dostępne jedynie dla wtajemniczonych a takimi byli pierwotni mieszkańcy tych lasów, czyli łosie i wilki. Łosi nie widziałem, natomiast wilki często gromadziły się zimą na „Rojstach” wyjąc i patrząc tęsknie w kierunku naszych obór, stajni i owczarni. Na tle białego śniegu ruszały się, lub tkwiły nieruchomo w miejscu wielkie szare ich sylwetki. I tu właśnie przydawał się Duduś. Największy i najsilniejszy z naszych psów, wilczur. Oczywiście nie miałby on szans na przeżycie w czasie bliskiego spotkania z watahą, ale skutecznie je odstraszał szczekając i „grając” na drucie rozciągniętym między oborą a spichlerzem, do którego był przywiązany. Podczas gdy biegał od jednego budynku do drugiego drut, przez który przewleczone było żelazne kółko, wydawał metaliczne dźwięki stanowiące postrach dla wilków. Pozostałe psy również musiały być uwiązane, ponieważ wilki potrafiły je wywabić do lasu a wówczas los takiego psa byłby przesądzony. Wracając do Dudusia. Przed wojną tata brał go ze sobą na polowania, gdy strzelał z fuzji do zajęcy, kuropatw czy kaczek. A co zrobił po wkroczeniu Niemców, nie mając już z czego strzelać, bo wszelką broń trzeba było im oddać? Nauczył Dudusia polowania na młode zajęce i kaczki. Zajęce wiadomo, dogonił i przyniósł, natomiast kaczki? Też było to możliwe, ale tylko w okresie, gdy już były wyrosnięte, ale jeszcze nie potrafiły fruwać. Duduś zapędzał je w szuwały, łapał i przynosił żywe nawet ich nie kalecząc. Na tych wszystkich zaletach Dudusia nie poznali się Rosjanie, kiedy ponownie wkroczyli w 1944 roku do Pietraszuńców. Można się domyśleć, że nie przywitał ich zbyt mile, co z kolei nie spodobało się pianemu oficerowi. Wyciągnął pistolet i strzelił mu w łeb. Pies tylko zaskowyczał cichutko, padł na ziemię, wyprężył się i tak zastygł. Wieczorem, kiedy żołdacy już sobie poszli, tata wziął łopatę, wykopał w sadzie dół i pochowaliśmy naszego Dudusia.

Wieczorki literackie

Teraz trochę wspomnień o naszym życiu rodzinnym. Szalenie lubiłem długie zimowe wieczory przy kominku i przy lampie naftowej, której płomyk drgał pod kloszem i strzelał, gdy na knocie nabierało się za dużo sadzy. Szczególnie było miło, kiedy przyjeżdżała do nas babcia, zakochana w literaturze i poezji, podobnie zresztą jak i moja mama, która otrzymała solidne wykształcenie, uczęszczając do szkoły w Wilnie wraz z naszym sąsiadem panem Kazimierzem Kondratem. Babcia była mądrą, wykształconą panią, prawdziwą kresową damą. Oprócz języka rosyjskiego, co było oczywiste, bowiem chodziła do rosyjskiej szkoły, jeszcze pod zaborem, doskonale знаła język niemiecki i nie miała żadnych kłopotów z porozumiewaniem się z niemieckimi oficerami, którzy pod pozorem nawiązania przyjacielskich kontaktów przyjeżdżali, by się ugościć i uprzyjemnić sobie służbę wojskową daleko od domu rodzinnego, gdzieś tam w kresowych lasach i bagnach podbitej Polski. Babcia znała całą klasykę literatury rosyjskiej i polskiej. Deklamowała z pamięci wiersze Puszkina i Mickiewicza, czytała nam prozę Dostojewskiego i Sienkiewicza. Często w takie wieczory zachodził, mieszkający nie dalej jak 2 km. od naszego domu pan Ejsmond. Był on z pochodzenia Skandynawem i nazywaliśmy go „Biały” w odróżnieniu od drugiego, który miał inny kolor włosów, nie pamiętam już czarny czy może rudy, jak ma wielu Skandynawów. On z kolei umiał pięknie opowiadać różne bajki i przypowieści. Słuchałem go z otwartą buzią, zapominając o bożym świecie. Mówił jak to Święta Rodzina uciekała do Egiptu, aby uchronić malutkiego Pana Jezuska przed królem Herodem. W pewnej chwili święty Józef zobaczył z daleka obłok kurzu na pustyni, przez którą przechodzili. To nie mogło oznaczać niczego dobrego. Trzeba było się schować ale gdzie? W pobliżu nie było żadnej grotty, ani nawet większego pagórka. Rósł tylko niewielki krzak leszczyny. Józef zaprowadził pod niego osiołka, na którym siedziała Matka Boska z dzieciątkiem na ręku a sam stanął obok nich trzymając w dłoni swój wielki sękaty kij, którym zamierzał bronić się przed żołnierzami. Pewnie nie na wiele by mu się on zdał przeciwko żołnierskim mieczom ale był gotowy na wszystko, byle tylko uchronić swoją żonę i syna. Na szczęście nie było to potrzebne, bo oto leszczyna powoli opuściła swoje gałęzie na dół i zakryła wielkimi liśćmi całą Świętą Rodzinę łącznie z osiołkiem. Tuman kurzu zbliżał się. Po chwili wyłoniło się z niego kilku żołnierzy pędzących konno, którzy przejechali obok krzaka nikogo nie zauważając. Szczęśliwie pustynia w tym miejscu była kamienista i nie było na niej żadnych śladów, ani osiołka, ani św. Józefa. Kiedy żołnierze odjechali, gałęzie leszczyny powoli podniosły się do góry odsłaniając uciekinierów, by mogli teraz bezpiecznie wyruszyć w dalszą drogę. Ponieważ leszczyna uratowała małego Jezuska, to teraz wszystkie dzieci kochają to drzewo a zwłaszcza jego smaczne chrupiące orzeszki, najlepiej w miodzie. Tych opowieści o Świętej Rodzinie było więcej. Inna historia, którą zapamiętałem,

dotyczy pająka, a zdarzenie również miało miejsce podczas ucieczki do Egiptu. Święty Józef, widząc nadjeżdżających żołnierzy króla Heroda, schronił się wraz z całą rodziną do grotty skalnej, która była w pobliżu. Niestety żołnierze ujrzeli ich i jechali prosto do tej grotty. Wtedy pająk, który był stałym jej mieszkańcem, prędko zasnuł pajęczyną wejście tak dokładnie, że przejeżdżali kilka razy obok niej i nie mogli znaleźć. W końcu zniechęceni odjechali i Święta Rodzina znowu była bezpieczna. Ponieważ pająk uratował życie Jezuskowi, to nie można ich zabijać, co nie oznacza oczywiście, że w domu mają wisieć po kątach nie omiecione pajęczyny.

Sapożnik

Z kolei mama czytała nam wieczorami „Pana Tadeusza”, którego poznałem zanim jeszcze sam potrafiłem czytać i pisać, no i nie tylko jego. Książek mieliśmy sporo. Cała duża etażerka wypełniona była oprawioną w skórę klasyką pisarzy i poetów polskich oraz światowych. Wyglądało to bardzo imponująco. Do czasu. Po wkroczeniu wojsk rosyjskich, przyszedł do naszego domu oficer z „sapożnikiem” czyli z szewcem. Znaleźli dla naszych książek inne, bardziej praktyczne zastosowanie. Sapożnik brał jedną książkę po drugiej i odrywał okładki, wyrzucając środek, jako zupełnie nieprzydatny do kąta. Zebrał w ten sposób całą stertę doskonale wyprawionej, pięknej skóry, która posłużyła do łątania podartych żołnierskich butów.

To szlachcic Ilcewicz

Dwadzieścia osiem kilometrów od Pietraszuńców było miasto Lida, nasz powiat, położony między dwoma lotniskami: cywilnym i wojskowym. Mieszkał tam ojciec mojej ciotki, Waclawy Lubianiec, który nazywał się Ilcewicz. Był on wielkim miłośnikiem swojej rodzinnej ziemi i wielkim patriotą, autorem książki „Wilno i ziemia Wileńska”, w której między innymi zamieścił kontrowersyjne wydawać by się mogło zdanie: „To nie człowiek, to szlachcic Ilcewicz”. Takie zdanie wyrwane z kontekstu jest co najmniej dziwne. Czyżby autor nie uważał się za człowieka? Wprost przeciwnie. Nie rozumiemy, bo nie znamy realiów tamtej epoki. Otóż zwrot „człowiek” dotyczył służby. Jeden szlachcic zwracał się do drugiego z zapytaniem: ilu masz ludzi? To twój człowiek? W ten sposób pan Ilcewicz dystansował się od ludzi niższego stanu.

Kiedy Rosjanie mieli wejść do Lidy, wyjechał z niej i zamieszkał z nami. Bardzo mi to odpowiadało, bo przyjechał wraz z dwoma synami w moim wieku: Eugeniuszem i Tadeuszem. Nareszcie miałem się z kim bawić. Wieczorami recytował nam z pamięci „Powrót taty” i inne wiersze. Bardzo pięknie recytował, nastrojowo. Mimo, że w końcu zaczęły się one powtarzać, to i tak każdy czekał wieczoru, by znowu go posłuchać. Był człowiekiem wszechstronnie utalentowanym, oprócz pisarstwa zajmował się także malarstwem. Namalował nam dwa piękne obrazy, które wisały później w salonie. Na jednym był dom Hancewicza, zbudowany nad rzeką Dzitwą w otoczeniu kopek siana a na drugim bociany i mgła nad naszymi łąkami.

Nieraz przychodził do nas jego znajomy, który pięknie grał na skrzypcach. Kiedyś zaproponował, że mnie nauczy grać. Z radością przyjąłem tą propozycję. Rzępoliłem niemiłosiernie grając nie tyle na skrzypcach co na nerwach słuchaczy i w końcu osiągnąłem rezultat. Nauczyłem się grać „O mój rozmarynie”. Na tym moja edukacja muzyczna zakończyła się.

Ksiądz Sztejn

Ani w Pietraszuńcach, ani też w Pieretańcach nie było prądu. Wieczorami, oczywiście wtedy gdy było zimno, siadaliśmy przy kominku, który grzał a jednocześnie swoim blaskiem oświetlał pokój. Było ciepło, miło i przyjemnie. Do czytania, mama zapalała lampę naftową z pięknym białym abażurem i kolorowym pojemnikiem na naftę oraz wysokim kominkiem, który wystawał ponad abażur. Po rozpaleniu lampa świeciła dosyć jasno, jednak po paru godzinach trzeba było wyczyścić z sadzy kominek, przyciąć knot, który zwęglął się na końcach i już tak dobrze nie ciągnął, oraz dolać nafty. Z reguły wszystkie te czynności robione były przed zapaleniem, ponieważ po jej zgaszeniu kominek był gorący i nie można było go dotykać, aby się nie poparzyć. Moim ulubionym zajęciem było czyszczenie tego kominka starą zmiętą gazetą, ale tylko do czasu aż wypadł mi przypadkowo z ręki i zbił się. Później już mi nie pozwalali. W czasie wojny i bezpośrednio po niej niczego nie można było kupić a więc i on był towarem deficytowym. Inaczej było w Raduniu, gdzie miejscowy proboszcz miał młyn oraz elektrownię wodną. Ta elektrownia zasilala nie tylko plebańię, ale także miejscowy szpital, piekarnię, wszelkie budynki publiczne i domy mieszkalne. Proboszcz nazywał się Sztejn. Był on bardzo postępowy i dużo udzielał się społecznie. Masza mama nauczyła się u niego jak hodować pszczoły i jak zajmować się sadem. Sprowadzał i szczepił u siebie nowe odmiany jabłek, między innymi złote i szare renety, które rozpowszechniał w okolicznych gospodarstwach. Rosły one również w naszym

sadzie. Nie wiem co się z tym wspaniałym człowiekiem i księdzem stało. Po wojnie Rosjanie zamknęli jego elektrownię i podłączyli wszystko do sieci ogólnokrajowej.

Domowa fabryka

U nas w domu był jeden duży pokój, gdzie stały ogromne krosna i kołowrotki. Stale tam ktoś był. Czółenko fruwało z lewej strony na prawą, przeciągając nić przez osnowę, dołem wił się wielki płat gotowej już tkaniny a obok kręciło się kółko kołowrotka napędzane rytmicznymi ruchami stopy prządki. Nad kołowrotkiem unosił się wielki kłak wełny albo lnu, który powoli zmieniał się w nici służące później do tkania. Tkaczka z prządką przekrzykiwały hałas aby mogły się słyszeć i bez przerwy coś mówiły albo w przypiływie dobrego humoru śpiewały białoruskie lub polskie ludowe piosenki. Często zachodziłem do tej „fabryki” aby posłuchać tych piosenek i patrzeć jak powstaje materiał. Panie, które tam pracowały, lubiły mnie straszyć. Kiedy tylko przychodziłem do nich, zawsze przerywały dotychczasowe pogawędki czy śpiew a rozmowa schodziła, niby to przypadkiem, na temat duchów straszących w domu, na bagnach czy w lesie. Opowiadały i opowiadały, mając niewyczerpany zasób bajek, opowieści, czy „rzeczywistych” zdarzeń z udziałem straszycieli, w których oczywiście same brały czynny udział bojąc się przy tym okropnie, i co chwilę zerkwały ciekawie w moim kierunku, czy już dostatecznie mną wstrząsnęły. Muszę przyznać, że te opowieści nie pozostawały bez wpływu na stan mojego ducha. Nieraz wzdrygałem się i chowałem głowę pod poduszkę, gdy wieczorem usłyszałem za oknem jakieś hałasy a już wyjść samemu na dwór, kiedy było ciemno zimno i wietrznie, bo wtedy najczęściej podchodziły z bagien różne widziadła i straszyciela? Dziękuję, zostawiałem to dla starszych, którzy jakoś mniej się ich bali.

Pod względem ubioru nasza kolonia była samowystarczalna. Z utkanego lnu, specjalnie sprowadzony krawiec, przez kilka miesięcy szył pościel dla naszej rodziny i pracowników oraz koszule, a z utkanego sukna ubrania. Wystrojeni w nie domownicy wyglądali jak w mundurach, ale były one i zdrowe i ciepłe, uszyte z naturalnych materiałów.

Aby było z czego produkować materiał musieliśmy oczywiście hodować owce i strzyc je. To robili nasi pracownicy, ale ja również miałem swój udział w zapewnianiu nam odzienia. Moim zadaniem było płoszenie żurawi, które zlatywały na wiosnę i nieodmiennie sadowiły się na polu lnu, łamiąc swoimi wielkimi pazurami jego cienkie łodyżki. Gdyby nie ta moja praca to nie mielibyśmy w czym chodzić, no może nie do końca, troszeczkę i inni mi pomagali.

Wyjątkowy miesiąc maj

Szczególnie wyjątkowym wiosennym miesiącem był maj. Nie tylko dlatego, że wokół domu robiło się nagle zielono, zakwitwały kwiaty, pszczoły uwijały się jak oszalałe, tworząc przy wejściu do ula, które nagle robiło się za ciasne długą kolejkę siadając przy tym jedna na drugiej, kwitła pachnąca czeremcha i kaczeńce. Właśnie czeremcha i kaczeńce wryły mi się głęboko w pamięć a to dlatego, że przed wieczorem przyozdabiano nimi codziennie nasz salon. Kiedy już był ustrojony i pięknie pachniał, zbierali się w nim wszyscy, którzy aktualnie nie mieli pilnych zajęć, aby wysłuchać nabożeństwa majowego, które odbywało się u nas w domu. Oprócz obowiązkowej podczas tego nabożeństwa Litani Loterańskiej do Najświętszej Panny Marii, śpiewaliśmy pieśni maryjne i nie tylko maryjne. Co to były za śpiewy! Kiedy zabrzmiały pierwsze zwrotki „Królowej Anielskiej” czy „Chwalcie Łąki Umajone”, to aż echo dudniło w pokoju a szyby okienne niebezpiecznie drżały, jakby chciały wyskoczyć z ram. Nie trzeba było jeździć do kościoła. Na czas nabożeństwa nasz salon zamieniał się w kapliczkę.

W maju też wypędzało się bydło oraz owce na wygon, czyli na łąki. Tym zajmował się mój serdeczny kolega, starszy o kilkanaście lat Stasiu Wróblewski, któremu często towarzyszyłem podczas wypasów. Jemu bardzo było na rękę to moje towarzystwo, bo po pierwsze: miał się do kogo odezwać i nie musiał przez cały długi dzień rozmawiać tylko z krowami, które zresztą nie były zbyt rozmowne i z reguły ograniczały się tylko do skubania i żucia trawy z rzadka odpowiadając mu cichym porykiwaniem, a po drugie miał kogo posyłać do domu, gdy czegoś potrzebował. Sam nie mógł iść po przecież nie można było zostawić stada bez opieki. Często zdarzało się, że mówił do mnie: biegnij Jasiu do kuchni i przynieś coś do zjedzenia, bo jakiś taki głodny się zrobiłem. Nie mogłem dopuścić do tego by mój starszy kolega pasł krowy taki jakiś głodny i biegłem, taszcząc z powrotem na wygon to, co mi mama czy któraś z naszych pracownic dała, albo sam ściągnąłem nikogo o zgodę nie pytając. Stasiu rozmawiał ze mną po białorusku jako, że jego mama była Białorusinką. Oczywiście wszyscy rozumieli ten język, podobnie jak polski. Mówiło się o nim: „prosty język”, bo posługiwali się nim wyłącznie pracownicy. Literatura, czyli poezja i proza, pisane były w języku polskim. Dopiero po powstaniu Republiki Białoruskiej zaczęto szukać utworów pisanych w tym języku, aby zaznaczyć swoją odrębność kulturową. Tych krów mieliśmy sporo, trudno mi powiedzieć ile, ponieważ nawet jeszcze wówczas nie potrafiłem dobrze liczyć, a oprócz krów były przecież cielaki, tak więc stadko wyglądało dosyć imponująco. Oczywiście przekładało się to na duże ilości mleka z rannego i wieczornego udoju. Mleko, oprócz tego, które zużywało się na bieżące potrzeby, specjalny wozak woził codziennie do Wołdociszek, gdzie była mała mleczarnia, która w części należała do mojego taty. Tam oczywiście było ono przerabiane na produkty mleczne i sprzedawane.

Przytulał mnie w milczeniu

Jak już wspominałem, tata posiadał też spory kawałek lasu. Około trzech kilometrów od naszego domu, w lesie, stała taty leśniczówka, gdzie mieszkał gajowy pan Więckiewicz. Miał on syna Jaśka, który nieraz przychodził przez las do nas i razem się bawiliśmy. Bardzo go lubiłem, więc zawsze oczekiwałem z utęsknieniem jego wizyt. Pewnego dnia wpadłem na świetny pomysł. Może Jasiu przychodzić do mnie, to mogę i ja iść do niego. Odważnie wszedłem pomiędzy drzewa pewny, że bez problemu trafię do leśniczówki, bywałem już tam nieraz, chociaż zawsze razem z tatą. Droga była prosta więc nie widziałem żadnego problemu. Kłopoty zaczęły się, gdy nagle trzeba było dokonać wyboru: rozwidlenie dróg w lewo czy w prawo? Każda droga wydała mi się właściwa. Potem jeszcze jedno rozwidlenie i droga biegnąca w poprzek tej, którą szedłem. Pokazały się jakieś nieznanne drzewa a na dodatek po obydwu stronach drogi ujrzałem bagna. Znajdowałem się na grobli. No, tędy to z pewnością nie dojdę do Jasia, trzeba zawrócić. Znowu przede mną kolejne wybory: w lewo czy w prawo? Nie pamiętałem już którędy szedłem. Odechciało mi się wizyt, wracam do domu! Ale którędy? Patrzyłem bezradnie przed siebie i już chciało mi się płakać. W dodatku nikomu nie mówiłem gdzie idę. Pewnie nikt tu nie będzie mnie szukał w tym lesie. Zaczęły mnie boleć nogi a serce dygotało ze strachu jak oszalałe. A jak spotkam jakiegoś wilka? Co prawda latem one nie atakują ludzi, ale zawsze można spotkać wilczycę z młodymi albo co gorsza lochę z pasiastymi prosiakami. Wtedy robi się naprawdę niebezpiecznie. Mało to razy słuchałem, jak tata rozmawiał o tym z moim wujkiem Kazimierzem z Pieretańców, czy z sąsiadami? Coś zatrzeszczało w krzakach a ja aż podskoczyłem z wrażenia. To pewnie dzik! Po chwili jednak rozległ się łopot skrzydeł i niewielki ptak pofrunął ponad drzewa znudzony widocznie widokiem przestraszonego chłopczyka. Jego widok i mnie dodał skrzydeł. Stojąc tak i biadoląc niczego nie zwojuję. Trzeba próbować wrócić, może w końcu natknę się na jakieś znajome miejsce. Tak pocieszając się szedłem powoli przed siebie a zniechęcenie walczyło we mnie z nadzieją, że jakoś się wydostanę z tego lasu. Byłem już tak zmęczony, że ledwie szedłem. To nie przebyte kilometry odbierały mi siły, byłem przyzwyczajony do biegania po całych dniach i od tego się nie męczyłem, to strach i głód, który się nagle pojawił i ścisnął mój brzuch, tak mnie wymęczyły. Podałem się i usiadłem pod drzewem. Niech się dzieje co chce. Nie wiem jak długo siedziałem. Nagle spostrzegłem, że zrobiło się jakby ciemniej. A co będzie jak zastanie mnie tutaj noc? Wtedy z bagien wychodzą różne straszidła, które atakują dorosłych a co dopiero dzieci.? Zmęczenie minęło zupełnie, zerwałem się na nogi i pognałem przed siebie. Wszystko jedno dokąd, byle przed siebie. W końcu trafiłem na długą przesiekę, środkiem której biegła droga a na niej widoczne były koleiny wozu, wydawały mi się zupełnie świeże. Może w końcu trafię na kogoś, kto pokaże mi drogę do domu. Pełen nadziei, że ratunek jest już blisko, ruszyłem przed siebie. W ostatnich

promieniach zachodzącego słońca, gdzieś daleko, na końcu drogi ujrzałem nagle konia a na nim znajomą sylwetkę jeźdźca. Zbliżył się do mnie galopem by po chwili, nie zsiadając z konia, chwycić mnie za ramiona i posadzić przed siebie na siodle. Chwilę przytulał mnie w milczeniu, po czym zdecydowanym ruchem cugli zawrócił w stronę domu. Byłem uratowany. Tata znał tutaj każdą ścieżkę. Zanim słońce na dobre zaszło, byliśmy już na miejscu. Do późnej nocy schodzili się z lasu nasi pracownicy, którzy pobiegli mnie szukać. Witał ich w kuchni suto zastawiony stół z potężną butlą stojącą na samym jego środku. Co było dalej nie wiem, bo oczy same mi się kleiły i mama, umywszy mi tylko zapłakaną buzię położyła mnie spać. Okazało się, że jednak ktoś z pracowników widział, jak szedłem w stronę lasu i wiadomo było gdzie mnie szukać, ale od tej pory już mnie tam samego nie puszczano, zresztą i ja nie miałem na to ochoty.

Majątek Pieretańce

Bywały dni, że tata z mamą wybierali się z wizytą do mojej babci w Pieretańcach. Wszyscy, to znaczy cała nasza piątka chcieli tam jechać, ale nie dla wszystkich starczało miejsca na wozie. Zawsze było z tym nieco przepychanki ale najczęściej musieli nam ustępować starsi bracia więc nie pamiętam przypadku by mnie tam zabrakło. W Pieretańcach stały, oddalone od siebie dwa wielkie domy wraz z obejściami gospodarczymi. Jeden należał do mojego dziadka Romualda Lubiańca a drugi do jego brata Jana Lubiańca. Podobnie jak w Pietraszuńcach była to kolonia a nie cała wioska. Może inaczej. Ze względu na wielkość gospodarstwa był to już raczej „majątek”, ponieważ dziadek posiadał przeszło 600 hektarów ziemi. Nie było u niego małych dzieci, natomiast u jego brata Jana, który miał trzech synów, było ich aż dziewięcioro. Oczywiście wszystkie one były wnukami Jana i wszystkie mniej więcej w moim wieku. Dopiero było się z kim bawić. A ile tam było różnych ciekawych miejsc do zwiedzania: bocianie gniazda, stawy, ogromne sady, wielkie obory, stajnie i owczarnie. Zanim wszystko to obszedłem, wszystkiemu się przyjrzałem, dotknąłem co należało dotknąć, to trzeba już było nieraz wracać z powrotem do domu, całe 9 km. na trzęsącej się furmance. Takie wyprawy nie były całkowicie bezpieczne. Wszystko przez to, że do gospodarstwa przychodzili zarówno Niemcy jak i partyzanci. Jedni o drugich doskonale wiedzieli, jak mi to mama już w Kazachstanie opowiadała, ale jakoś mijali się i w miarę tolerowali nie chcąc bez potrzeby nadstawiać swoich karków. Szczególnie, kiedy wojska niemieckie zaczęły przegrywać na froncie wschodnim agresja Niemców wyraźnie zmalała. Nigdy jednak nie było wiadomo, czy za przyjęcie

partyzantów nie będzie kłopotu z Niemcami i odwrotnie. Nie przyjęcie w domu i jednych i drugich, to jeszcze gorzej. Zabrali by sami co by chcieli i dobrze by się skończyło, gdyby na tym poprzestali.

Wizyta NKWD w Pieretańcach

Od chwili przejścia frontu w 1944 roku sytuacja w polskich dworach szlacheckich pogarszała się z miesiąca na miesiąc. Ustrój ZSRR nie przewidywał indywidualnej własności ziemi a praca robotników najemnych w gospodarstwach rolnych została zabroniona. Ponadto gospodarstwa te stanowiły naturalne oparcie dla ukrywających się ciągle jeszcze w lasach partyzantów Armii Krajowej, do których NKWD był szczególnie wrogo nastawiony, chociaż jeszcze tak niedawno wspomagali go oni w walce z Niemcami. Pewnego razu, pod koniec naszego pobytu w Pietraszuńcach, do Pieretańców zawitali partyzanci. Byli wypoczęci, przyzwoicie ubrani, uśmiechali się przyjacielsko i chętnie wdawali w rozmowę. Posiedzieli, najedli się, oporządzili i rozłożyli na wypoczynek, rozstawiając stráže i wysyłając jednego z nich aż na dach stodoły, gdzie znajdowało się bocianie gniazdo. Pracownicy zatrudnieni w gospodarstwie zwykle byli bardzo lojalni, wobec swoich pracodawców. Mieli oni, czy to u nas, czy też u dziadków o wiele lepiej niż gdzie indziej i potrafili to docenić. Okazało się jednak, że pewnie nie wszyscy. To był już trzeci rok po przejściu frontu i NKWD zdążył pozyskać spośród nich swojego informatora, który doniósł, że dziadek przyjmuje partyzantów. Rosjanie postanowili pozbyć się „wroga ludu”. Temu zapewne miała służyć ta „partyzancka” wizyta. Nie trwało długo, gdy obserwator z bocianiego gniazda zaczął głośno wołać, że zbliża się jakiś pojazd. Na drodze prowadzącej do Pietraszuńców wolno kolebał się samochód ciężarowy na pełnych światłach. W zasadzie nikt poza NKWD nie posiadał samochodów, nie było więc na co czekać. Partyzanci pozbierali się jak mogli najszybciej, ściągnęli swoje warty, obserwatora z dachu i poszli w las, który prawie przylegał do zabudowań dziadka. Na odchodnym ich dowódca wyjął z kabury pistolet i wystrzelił w stronę nadjeżdżającego pojazdu. Okazało się, że „przecucie” nie myliło partyzantów. W samochodzie znajdowali się żołnierze NKWD. Z miejsca wyciągnęli kanistry z benzyną i zaczęli oblewać nią budynki aby je podpalić za pomoc udzieloną partyzantom. Krzykiem i kolbami karabinów spędzili wszystkich mieszkańców, to znaczy dziadka z synem Janem i Kazimierzem, babcię i dwie pracownice do piwnicy pod domem, po czym podpalili wszystkie zabudowania gospodarcze oraz dom. Nikomu nie wolno było wyjść z piwnicy gdzie robiło się coraz bardziej gorąco. Nagle z zabudowań gospodarczych doszedł więźniów straszny kwik palących się żywcem koni. Wujek Jan nie mógł tego słuchać. Rzucił się ku wyjściu z

piwnicy. Zastąpił mu drogę dziadek. Nie wychodź, zabiją cię. Muszę tato, niech się dzieje co chce. Odsunął ojca na bok i wyskoczył na podwórko. Biegł wyprostowany w stronę palącej się stajni odprowadzony wzrokiem uwięzionych w piwnicy gospodarzy domu. Rosjanie strzelali do niego, ale czy to nie mogli trafić, czy też tylko straszili, w każdym razie żadna z kul go nie sięgnęła. Wpadł do stajni, zdjął marynarkę i narzucił pierwszemu koniowi na łeb. Po czym chwycił go za grzywę i poprowadził w stronę drzwi. Tam klepnął po zadzie i puścił wolno. Tak samo zrobił z ośmioma pozostałymi, chociaż zadanie nie było łatwe. Konie, w najwyższej panice stawały dęba, biły kopytami o ziemię i nie dawały się chwytać. Ostatniego wyprowadził w momencie, gdy z dachu leciały już całe kłęby palącej się słomy, a koszula na nim i spodnie zaczynały się tlić. Wyszedł na podwórko i nie chowając się, wolnym krokiem poszedł w kierunku domu. Nikt już do niego nie strzelał. Nie mógł podejść do piwnicy, bo płomienie nie pozwalały. Krzykiem, który zapewne nie dochodził poprzez trzask palącego się drewna i gestami wzywał pozostających tam rodziców, brata i pozostałych by wyszli na zewnątrz, bo spłoną żywcem. Posłuchali go i po chwili byli już poza piwnicą. Dwie pracownice dziadków rzuciły się do nie objętej pożarem części budynku i zaczęły wyrzucać na zewnątrz co tylko nawinęło się im pod rękę, aby jak najwięcej uratować. Nikt im w tym nie przeszkadzał, natomiast dziadka i wujków natychmiast otoczyli żołnierze NKWD i zaczęli się nad nimi znęcać bijąc kolbami karabinów i wielkim sękatym kijem, który zapewne przywieźli ze sobą, ponieważ przedtem nie było go w obejściu. Chcieli, aby powiedzieli im kto do nich strzelał i kim byli partyzanci, którzy uciekli przed nimi do lasu. Dziadka tak zbili, że padł na ziemię i przestał oddychać. Uznając go za zmarłego, pozostawili w miejscu gdzie padł a sami załadowali na samochód te rzeczy, które zostały wyrzucone z palącego się domu, połapali i zabrali ze sobą część wyratowanych przez wujka z pożaru koni, załadowali pobitych wujków i pojechali, jak się później okazało do Radunia, pozostawiając na podwórku sękaty kij, którym dokonano egzekucji na dziadku i na wujkach.

Mama rusza na ratunek

Babcia i jej dwie pracownice zastały same z umierającym dziadkiem, który po tygodniu oddał duszę Bogu. Oprócz wujków aresztowanych zostało wielu mężczyzn z całej okolicy podejrzanych o sprzyjanie partyzantom. Zamknęli ich w raduńskim niewielkim więzieniu. Było tam tylu więźniów, że stali ściśnięci jeden przy drugim bo nie było miejsca by usiąść albo się położyć, musieli zorganizować spanie na zmianę, aby nie padać z wyczerpania. Stali tak kilka dni w ogromnych męczarniach przerywanych jeszcze większymi, kiedy to

wybierano po kilku i okrutnie bito chcąc by przyznali się do pomocy partyzantom, czy wręcz do tego, że są partyzantami. W więzieniu panował ogromny zaduch, brakowało powietrza, po zatłoczonych celach roznosił się fetor przelewających się naczyń z odchodami, których systematycznie nie opróżniano. Kobiety w Raduniu podchodziły w jego pobliże i widziały z daleka jak jego okna parują poprzez szpary w ramach okiennych. Blisko nie mogły podejść, bo Rosjanie nie puszczali. Los wujków, szczególnie dotkliwie bitych, jako że złapano ich na jawnej pomocy partyzantom wydawał się być przesadzony. Tak by się z pewnością stało, gdyby nie nasza mama. Łuna pożaru z palących się Pieretańców widoczna była aż w Pietraszuńcach. Niedługo potem wiatr przyniósł też zapach dymu i wreszcie dotarły wieści o tym co tam się stało. Mama wsiadła na wóz i czym prędzej pojechała do Pieretańców. Zastała dopalające się zgliszcza, umierającego ojca i trzy bezradne kobiety: swoją mamę, Stefanię, która przez całe życie pracowała u dziadka a teraz dożywała swych dni będąc niejako na emeryturze i jeszcze jedną znacznie młodszą pracownicę. Od nich to dowiedziała się, że obydwu jej braci, strasznie pobitych zabrali Rosjanie do Radunia, gdzie bez pomocy zginą lub zostaną zesłani na Sybir. W obliczu takiej tragedii jedni ludzie załamują się i poddają losowi, inni walczą. Do tych drugich należała nasza mama. Przez kilka godzin, z pomocą starej drewnianej łopaty, którą znalazła w pobliżu pogorzelniska, rozgarniała ciepłe jeszcze węgle i cegły, które legły nad starym chlebowym piecem. W końcu dokopała się do niego i rozbijając kamieniem resztki cegieł, dotarła do ukrytej w nim małej, blaszanej puszkowej powyginianej teraz od żaru. Tam były schowane carskie złote ruble, których wolno było użyć w chwili, która właśnie nadeszła. Dla ratowania życia. Co prawda rubli już tam nie było, ale została niekształtna bryłka stopionego złota. Tak zaopatrzona pojechała do Radunia, dostała się do komendanta więzienia, starego Żyda i zostawiła mu to złoto błagając, by uwolnił jej braci. Żyd podjął się zadania. Złoto otwiera wiele bram, zdawało by się nie do otworzenia. Od chwili wizyty mamy, własnymi rękami osłaniał obydwu moich wujków przed biciem a po kilku dniach bracia byli już w Pieretańcach. Co najważniejsze, Rosjanie przestali się ich czepiać. Wychodzili bowiem z założenia, że jeżeli ktoś został wówczas zwolniony bez kary z więzienia, co zdarzało się niezwykle rzadko, to już z całą pewnością jest on niewinny. Po latach rozmyślań i refleksji nad losem moim i mojej rodziny jestem pewien, że do Pieretańców nie zawitali wówczas partyzanci a przebrani za nich żołnierze NKWD stosując prymitywną prowokację, aby za jednym zamachem pozbyć się właściciela majątku wraz z całym jego dobytkiem, który był „solą w oku” władzy radzieckiej i odciąć zaopatrzenie prawdziwym partyzantom. Świadczy o tym chociażby to, że prawdziwi partyzanci nigdy nie umieszczali wartownika w bocianim gnieździe a wystawiali warty na drodze dojazdowej, ponadto samochód jechał z włączonymi światłami, co można było z daleka zobaczyć, „przypadkowo” mieli ze sobą w karnistrach zapasy benzyny i najważniejszy argument: Partyzantów było znacznie więcej niż żołnierzy

mieszczących się na jednej ciężarówce, byli doskonale uzbrojeni a tu raptem w stronę żołnierzy NKWD padł tylko jeden strzał oddany przez ich dowódcę z pistoletu. To wszystko wydaje się mało przekonujące. Teraz jeszcze parę słów o moich wujkach, aby już zakończyć ten temat. Po przybyciu do Pieretańców i wykurowaniu doznanych obrażeń, wzięli się obydwaj ostro do pracy i na zgliszcach swojego domu postawili nowy, o połowę mniejszy. Wybudowali też oborę. To wspólne gospodarowanie nie trwało długo. Wujek Kazimierz skorzystał z pierwszej nadarzającej się okazji i jako repatriant wyjechał do Polski, osiedlając się w miejscowości Białe Błota koło Bydgoszczy, gdzie pozostał już aż do swojej śmierci. Wujek Jan został na miejscu uważając, że tu jest jego dom i nigdzie się nie ruszy. Odbudowanie domu i obory nie podobało się nowej władzy, która zadała sobie tyle trudu, aby przygotować „misterną” prowokację i w rezultacie spalić dom oraz wszystkie zabudowania gospodarcze, mordując przy tym ich właściciela, czyli dziadka. Miejscowi chłopci połapali część inwentarza, którego nie zabrali Rosjanie i przyprowadzili z powrotem. Gospodarstwo zaczęło nadal funkcjonować. Było to niebezpieczne dla Rosjan zjawisko, zagrażające szerzonej wszem i wobec propagandzie, która za wszelką cenę usiłowała wykazać przewagę gospodarki kolektywnej nad indywidualną.

Nocny napad w Pieretańcach

Pewnej nocy na podwórko wujka zajechała ciężarówka z trzema cywilami. Podjechała tyłem do zamkniętych drzwi obory i wysiadło z niej trzech mężczyzn. Jeden zaczął zaczepiać łańcuch za skobel, na którym wisiała solidna kłódka by wyrwać go i wyprowadzić inwentarz, natomiast dwaj pozostali łomotali wściekle do domu usiłując włamać się do środka. Szczęśliwie wraz z wujkiem był jeszcze w domu jego pracownik a zarazem chrześniak Marian Czapkowski młody, dwudziesto pięcioletni, silny mężczyzna, który w bezpośrednim starciu z napastnikami mógłby bardzo dużo pomóc. Na szczęście do tego nie doszło. Wujek Jan rozegrał wszystko psychologicznie. Wysłał Janka na strych, powiedział mu by otworzył okno ze strony podwórza i wystawił z niego kawałek kija, a sam zaczął krzyczeć, niby budząc śpiących tam ludzi. Janek! Piotrek! „Wstawajcie, strielat po maszinie” – wstawajcie, strzelać do samochodu. Łomoty do drzwi ucichły za to rozległ się głos zapalanego motoru i głośny warkot odjeżdżającego czym prędzej samochodu. Wujek był przekonany, że to kolejna prowokacja władzy. Pospolici bandyci tak szybko by nie odpuścili, natomiast partyzanci nie mieli powodów by napadać w nocy. Zależało im bowiem na utrzymywaniu stałych, dobrych stosunków z gospodarzami, bez których nie mieliby zaopatrzenia. Ilekroć

zjawiali się w gospodarstwie wujka Jana, zawsze mogli liczyć na to, że nie odejdą głodni i z pustymi rękami.

Wujek Jan priedsiedatielem

Walka z nową władzą na dłuższą metę nie miała jednak sensu. Wujek musiał wstąpić do kołchozu, który powstał na ziemiach wsi Szawry i majątku Pieretańce. Przeżył bardzo ciężkie chwile początkowego nieudolnego w nim gospodarowania. Wszystko chyliło się ku kompletnej ruinie. Aby wydoić krowy, trzeba było je podnosić z ziemi, bo o własnych siłach nie mogły wstać. To już nie był skandal. To był jawny sabotaż, skierowany przeciwko załodze kołchozu w sytuacji, gdy wokół rozciągały się żyzne pola i łąki. Priedsiedatiel, czyli przewodniczący kołchozu, przysłany do kierowania nim przez NKWD nie miał zielonego pojęcia o gospodarowaniu. Bieda i związany z tym straszliwy głód dziesiątkowały mieszkańców. Kiedy już nastąpił totalny jego upadek, przypomniano sobie, że wśród pracowników jest znawca rolnictwa, prowadzący przed wojną wielkie gospodarstwo rolne Jan Lubianiec. Wybrano go na priedsiedatiela. Po kilku latach kołchoz stał się przodującym w okręgu a wujek zyskał szacunek u władz i u kołchoźników. Pozwolono mu zatrzymać kawałek pola, miał dwie krowy, hodował świnię, kury i jak na tamte warunki wcale nieźle mu się powodziło. Prokurator, który mieszkał w Raduniu codziennie posyłał do niego po mleko dla swoich małych dzieci, bo nie chciał dawać im kołchozowego. W 1969r wraz z żoną, córką oraz mamą odwiedziliśmy wujka w jego Pieretańcach. Było to prawdziwe święto, zjechali się do niego wszyscy „funkcyjni” z okolicy, między innymi piany leśniczy na motocyklu, mający na kasku napis wzywający do zachowania trzeźwości w czasie jazdy: „chmielnoj nie sadis za rul” – nietrzeźwy nie siadaj za kierownicę. Po odjeździe gości, wujek poprowadził mnie do niskiego dachu obory, chwilą grzebał ręką w słomie strzechy, po czym zdecydowanym szarpnięciem wyciągnął z niej grubą sękatą kij. To tą pałą byliśmy bici przez żołdatów i od niego zginął twój dziadek, powiedział i schował go na miejsce. Niech tam sobie leży aż do mojej śmierci. Kiedy przebywałem w Pieretańcach miałem okazję widzieć, jak odstawiał on swoją świnię do punktu skupu. Przyjechała po nią ciężarówka i czterech chłopów męczyło się, nie mogąc sobie poradzić z jej załadunkiem. Taka była upasiona, że nie stawała wcale na tylne nogi a jedynie podpierała się przednimi by dosięgnąć do koryta. Po paru dniach przyszedł kwit dostawy i pieniądze. Ważyła trzysta kilogramów, istne monstrum. Ano, co kraj to obyczaj. U nas w tym czasie 100 kilogramowe świnię szły na ubój, tam to było jeszcze prosię, które dopiero zaczyna być tuczone. Została sprzedana w pierwszej klasie gatunku mięsa, mając zapewne słoninę grubą na co najmniej 20 cm. Po przejściu

na emeryturę wujek dostawał 14 rubli miesięcznego zaopatrzenia, ale radził sobie, do końca zajmując się swoim małym gospodarstwem rolnym. Zmarł 1 979 roku jako zatwardziały kawaler.

Zapłata za życie

Obydwaj moi wujkowie uniknęli śmierci lub co najmniej zsyłki a już na pewno dalszego bicia, dzięki dziadkowemu złotu i żydowskiemu komendantowi więzienia w Raduniu. Nie była to z jego strony bezinteresowna pomoc, ale najważniejsze, że była chociaż z pewnością też w jakiś sposób ryzykował. Ceny za życie nie ma. Nie tylko moja najbliższa rodzina korzystała z pomocy Żydów. W Raduniu mieszkał dalszy nasz krewny Stanisław Kuźmicki. Jego rodzice oraz rodzeństwo nie utrzymywali z nim kontaktów, ponieważ popełnił „mezalians”, żeniąc się z ubogą dziewczyną, co nie zostało przez nich zaakceptowane. Moi rodzice nie mieli takich oporów i młodzi mieszkali przez jakiś czas u nas w Pietraszuńcach a potem przeprowadzili się do Radunia, gdzie Stanisław kupił sobie nieduży domek. Żyli skromnie ale szczęśliwie nie przejmując się zbyt utratą rodzinnego majątku, który Stanisław poświęcił w zamian za miłość, wychowując swoje trzy córeczki. Podczas niemieckiej okupacji do ich domu zapukał młody, dwudziestoletni chłopak ranny w rękę. Okazało się, że uciekł z obławy organizowanej na Żydów. Żona Stanisława opatrzyła mu ją, nakarmili chłopaka i na razie ukryli w domu ryzykując życiem swoim i swoich dzieci, a Stanisław przystąpił do budowy kryjówki, w której młody uciekinier dotrwał aż do ponownego wejścia oddziałów radzieckich. Wówczas ujawnił się i poszedł do Rosjan. Odchodząc i dziękując za uratowanie życia obiecał, że nigdy tego nie zapomni i odwdzięczy się. Podał hasło , powiedział, aby zrobili to, co powie posłaniec, który się kiedyś u nich pojawi i tyle go widzieli. Stanisław nie bardzo liczył na jakąkolwiek wdzięczność. Uratował chłopaka, bo tak kazała mu przyzwoitość i wrodzona dobroć a nie dla jakiegokolwiek zysku. Uplłynęło dwa lata i pewnego dnia w 1946 roku zapukał do ich domu nieznany mężczyzna. Powiedział hasło i polecił w imieniu uratowanego chłopaka, by porzucili wszystko i wyjechali do Polski, korzystając z takiej możliwości w ramach odbywającej się właśnie legalnej repatriacji. Sytuacja jak z powieści albo z filmu. Zaufać nieznajomemu, czy zostać na miejscu i znosić szykany NKWD, których nie szczędzili przecież nikomu. Stanisław już raz pokazał, że stać go na podejmowanie odważnych decyzji. Zostawił dorobek dotychczasowego życia i tylko z podręcznymi bagażami wyjechał ze Związku Radzieckiego. Jak się niebawem okazało, nie jechał w nieznane. Na „Ziemiach Odzyskanych” a konkretnie w Dzierżoniowie na

Dolnym Śląsku w pobliżu wielkiego młyna, czekała na niego piękna polniemiecka willa z całkowitym wyposażeniem. Co więcej, nikogo mu do niej nie dokwaterowali, co było powszechne w owym czasie. Nic dziwnego. Urzędem Bezpieczeństwa i władzami powiatu dzierzoniowskiego kierowali Żydzi wyzwoleni z pobliskich obozów koncentracyjnych, którzy wykonali polecenie kogoś z zewnątrz. Stanisław pracował jako ogrodnik w pobliskim domu dziecka i wychowywał swoje kilkuletnie córki, myśląc ciepło o chłopaku, który tak mu się odwdzieczył za uratowanie życia. Nie wiedział jednak do końca kim ten chłopiec był i nie liczył na jakąś dalszą wdzięczność zwłaszcza, że więcej już się nie odzywał. Tymczasem znowu zjawił się u niego kolejny nieznajomy. Zostawisz to wszystko i wyjedziesz do Nowej Rudy. Zostawił i pojechał. Teraz już bez większego zastanowienia. Dlaczego do Nowej Rudy? Ponieważ za miastem przebiegała granica z Czechosłowacją a jego opiekunowi zależało na tym, aby znalazł się właśnie w tym kraju, skąd został przetransportowany do Zachodniej Strefy Okupacyjnej Niemiec a stamtąd do Kanady. Ominęły go zsyłki, powojenna bieda i różne inne nieszczęścia, które groziły Polakom pozostającym w Związku Radzieckim zwłaszcza tym, którzy pochodzili z zamożnych rodzin. W Montrealu czekała na niego czteropiętrowa kamienica również z pełnym wyposażeniem, której stał się nieoczekiwanie właścicielem i co najważniejsze praca dla niego i dla małżonki. Co się okazało? To ojciec uratowanego chłopaka, właściciel sieci sklepów jubilerskich w Montrealu zadał sobie tyle trudu i poświęcił zapewne niemało pieniędzy, aby odwdziczyć się za uratowanie syna. Stanisław odwiedził Pieszyce w 1973r. Nadal mieszka w Montrealu i powodzi mu się świetnie. Co ciekawe, jego trzy córki mają mężów trzech narodowości: Polaka, Rosjanina i Włocha. Najbardziej lubią jednak Rosjanina. Nie każdy z nich jest przecież urodzonym zbrodniarzem. To taki wątek żydowski w życiu mojej rodziny chociaż nie dotyczący mnie osobiście. Piszę o nim, ponieważ tyle w nim szlachetności. Ratowania cudzego życia z narażeniem swojego i swoich bliskich, okazania wdzięczności - nie każdego na to stać.

Musiałem przeprosić

Zarówno mama jak i tata uczyli nas szacunku dla naszych pracowników. Nie było mowy o tym, by kogokolwiek obrazić, nawet nam nie przychodziło coś takiego do głowy. Jak się jednak zaraz okaże nieraz emocje bywają silniejsze od dobrego wychowania. Właśnie przypomniła mi się następująca historia: Jeszcze u dziadka pracował w gospodarstwie wraz ze swoją żoną niejaki Cydzik. Z czasem uskładali sobie tyle pieniędzy, że odkupili od dziadka kawałek ziemi i postawili własny dom, przy czym nie zmienili swojego sposobu

życia i nie porzucili dotychczasowych zajęć, które przynosiły im stały dochód. Cydzikowa pracowała u nas przy krowach a jej mąż przeważnie w polu. Mieli oni dwóch synów: Mariana i Lońkę, którzy byli nieco starsi ode mnie, ale przyjaźniliśmy się. Mieli też konia, niewysokiego bułanka, dobrze zbudowanego z ciemno brązową pręgą biegnącą wzdłuż grzbietu od karku aż do ogona. Wypisz, wymaluj „Tarpan”, ale to wiem dopiero dzisiaj, wówczas był dla mnie po prostu koniem, a ściślej mówiąc klaczą. W nas było dużo koni, ale tylko jedna kobyła służyła do polowania. Kiedyś wysłano nas z Lońką, byśmy przyprowadzili obydwie z łąki do domu. Trzeba było je złapać, bo przecież chodziły tam luzem a wcale nam tego nie ułatwiały odbiegając, kiedy tylko zbliżyliśmy się dostatecznie blisko, trzymając za grzywę założyć uzdę, potem wędzidło i już wtedy było się panem sytuacji. Siodła oczywiście nikt ze sobą na łąkę nie zabierał, jechało się oklep, ale dla ośmioletniego chłopaka była to sama frajda, mógłbym chodzić po konia codziennie. Poszliśmy więc na łąkę, gdzie pasło się wszystko co tylko było trawożerne w całym gospodarstwie. Lońka, który był starszy ode mnie o jakieś cztery lata dosyć szybko złapał swojego bułanka, założył mu uzdę, wskoczył na grzbiet i tyle go widziałem. Mnie to zeszło znacznie dłużej. Musiałem się nieźle nabiegać zanim kobyłka znudziła się zabawą w berka i w końcu pozwoliła się zbliżyć oraz okiełznać. Zadowolony ze swego wyczynu, ja również wgramoliłem się na jej grzbiet i pogoniłem za Lońką, który już pewnie zbliżał się do domu. Droga wiodła przez las, a po jej bokach rosły gęste krzaki. Jadącemu przodem Lońce wpadł do głowy dowcipny (jego zdaniem) pomysł. Schował się za krzakami wraz ze swoim koniem, a kiedy zbliżyłem się do niego na parę kroków, nagle wyjechał na drogę. Zupełnie nie byłem przygotowany na taką niespodziankę, moja kobyłka też nie. Widząc przed sobą przeszkodę, nagle zahamowała zarywając przednimi kopytami w ziemię a ja przeleciałem przez jej łeb, fiknąłem kozła w powietrzu i walnąłem plecami o drogę. Szczęśliwie nie było w tym miejscu żadnego kamienia, ale i tak straciłem oddech. Co chciałem wciągnąć powietrze, to straszliwy ból rozsadzał mi klatkę piersiową. Dopiero po dłuższej chwili udało mi się wciągnąć nieco powietrza. Trwało dosyć długo, zanim zdołałem się całkowicie pozbierać i dotrzeć do kobyłki, która łaskawie czekała aż się podniosę. Przez cały ten czas Lońka stał z rozdziawioną gębą i coś tam bąkał, że nie chciał by tak się stało. Nawet mu nie odpowiedziałem. Pojechałem w stronę domu, ale w sercu zbierał mi się na niego coraz większy gniew. Wszystko mnie bolało, a oddychanie w dalszym, ciągu nie było łatwe. Po przyjeździe należało konie rozkiełznać i napoić. Robiliśmy to obydwaj, stojąc po obydwu stronach koryta z wodą. Kiedy Lońka coś jeszcze zaczął mówić na temat mojego upadku, nie wytrzymałem. Trzymaną w ręku uzdą, która przecież posiada żelazne kółka, nie mówiąc już o samym wędzidle, walnąłem go z całej siły w łeb. Efekt przeszedł wszelkie moje oczekiwania. Stało się coś, co wcale nie było moim zamiarem. Lońka zalał się krwią, która zaczęła spływać po jego głowie. Teraz mnie zrobiło się niesamowicie przykro. Cała złość na niego minęła w jednej

chwili i dużo bym dał, żeby tak się nie stało. To niestety nie był koniec całego zdarzenia. Miałem niesamowitego pecha, ponieważ wszystko działo się na oczach mamy, która z miejsca zajęła się Lońką. Obmyła mu głowę i obwiązała bandażem, po czym kazała mi go przeprosić. Zrobiłem to od razu i bez wahania. Najgorsze było jednak dopiero przede mną. Właśnie wyszła z obory mama Lońki trzymając w rękach dwa wiadra mleka. Wiedziała już co się stało, ale bagatelizowała sprawę, bądź tylko udawała, że bagatelizuje. Teraz przeprosisz mamę Lońki i pocałujesz ją w obie ręce, usłyszałem wyrok. Nie trzeba, zaoponowała, nic się nie stało, zagoi się. Moja mama była jednak bardzo stanowcza. Proszę pozwolić się przeprosić, nalegała. No dobrze. Podszedłem do niej zmieszany do najwyższego stopnia. Chwyciłem jej spracowane ręce o zapachu mleka oraz obory i przycisnąłem do swoich ust. Gorszej kary moja mama nie mogła wymyślić. W 1974 roku byłem w swoich rodzinnych stronach. Jechałem autobusem, a na siedzeniu przede mną siedziały dwie starsze panie głośno ze sobą rozmawiając. Nagle usłyszałem nazwisko Cydzik. Zelektryzowało to mnie. Przepraszam, czy pani jest mamą Lońki i Mariana? Tak, usłyszałem w odpowiedzi zdziwiony głos. Ja jestem Jan Kozakowski. Wstałem i już z własnej woli ucałowałem jej dłonie. Zaczęła się śmiać. To już drugi raz całujesz mnie po rękach. W gospodarstwie mojego taty nie kupowało się koni, wszystkie były swojego chowu. Mieliśmy piękną angielską klacz, która co roku dawała nam nowego źrebaka. Była matką wszystkich naszych koni. Kiedy chodziła w ciąży, moim zadaniem było ujeżdżanie jej, oczywiście bez siodła a nawet bez butów, by nie uciskać jej brzucha. Wyruszałem na niej na pobliskie łąki i stępa wlokłem się po równym terenie aby była w ruchu a jednocześnie nie przemęczała się. Nie mogła się zastać, bo to dla źrebnej kobyły nie było dobre. Nie mieliśmy swojego ogiera. Niedaleko Pietraszunic leżała wieś Tatarszczyzna, którą zamieszkiwali Tatarzy hodujący swoje konie tatarskie. Mieli oni pięknego ogiera, który był ojcem wszystkich jej źrebaków. Ich narodziny była dla nas nie lada atrakcją. Codziennie biegaliśmy do stajni by go zobaczyć i bodaj tylko dotknąć. Po kilku dniach wszystko powszedniało i trzeba było czekać na następnego źrebaka.

Moja pierwsza szkoła

Teraz nieco o mojej edukacji. Pierwszą moją nauczycielką była mama. Nauczyła mnie czytać, pisać i podstaw matematyki, tak że nigdy nie chodziłem do pierwszej klasy a od razu do drugiej. Jak do tego doszło? W 1944 roku przyszła do nas młoda, dwudziestoletnia dziewczyna Antonina Sojko. Przed wojną mieszkała gdzieś pod Smoleńskiem, rozmawiała po rosyjsku, ale posługiwała się też białoruskim i jako tako dogadywała się po polsku. Podobała

się bardzo Zygmuntowi i Gustkowi, którzy jak to się wówczas mówiło, „smalili do niech cholewki”. Jej jednak nie w głowie były amory. Przyszła bardzo wymizerowana, ubrana mimo pory letniej w kilka warstw ubrań. W głębi Rosji w tym czasie był straszny głód. U nas było jeszcze jako tako, władza radziecka dopiero się organizowała i nie zdążyła wszystkiego zabrać. Prosiła, aby przyjąć ją do pracy przy żniwach. Będzie pracowała za samo jedzenie, bodaj raz na dobę, ale żeby tylko coś zjeść. Opowiadała, że Niemcy wywieźli ją na roboty w głąb kraju. Pracowała u bauera w wielkim gospodarstwie rolnym, gdzie zatrudnionych było wielu robotników. Bauer miał bardzo dużo świń, krów i innych zwierząt, którymi się opiekowała. Z chwilą zbliżania się frontu, zapakował na furmankę całą swoją rodzinę i uciekł na zachód. Pozostali robotnicy rozbiegli się ale ona została. Nie chciała pozostawić zwierząt bez jakiegokolwiek opieki. Początkowo karmiła je jak do tej pory, ale na jej ręce spadło za dużo obowiązków. Nie dawała rady. Doszło do tego, że chodziła do kurnika, zbierała jajka do koszy i karmiła nimi świnię, aby tylko nie cierpiały z głodu. Jak przyszli Rosjanie „parazyty” - pasożyty jak o nich mówiła, wyzwolili ją od dotychczasowych obowiązków wybijając całą trzodę. Wówczas i ona opuściła gospodarstwo, zabierając ze sobą różne rzeczy, przede wszystkim odzież. Wracała w rodzinne strony, chociaż na dobrą sprawę nic ją tam już nie ciągnęło. Cała rodzina została wymordowana. Za co? Przez kogo? Tego nie powiedziała, ale można się było domyślać chociażby po tym jak nazywała rosyjskich żołnierzy. Jechała transportem wojskowym i pewnie różne rzeczy musiały się dziać w czasie tego transportu, bo w Lidzie, ubrawszy się tylko w kilka sztuk porządnych ubrań, żeby wszystkiego nie tracić i zostawiając swoje „czemodany” - rzeczy „parazitom” wyskoczyła na peron i uciekła. Antosia została u nas i pracowała razem z innymi w gospodarstwie. Trwało to sporo czasu, prawie dwa lata. Bardzo ją lubiliśmy, bo wprowadziła do naszego domu dużo radości. Szczególnie dobrze pamiętam nasze wspólne zabawy w chowanego, kiedy biegaliśmy po wszystkich nie zamieszkałych pokojach chowając się gdzie kto mógł. Zawsze miała nie kończące się pomysły. Chowala nas na ogromnym piecu w kuchni, wybierała drewno z podpiecka i tam się ukrywaliśmy przed szukającym, pod stołem, pod łózkami i gdziekolwiek tylko się dało. Kiedyś tata wpadł na świetny pomysł. Otworzył szufladę wielkiej komody i zamknął mnie w niej. Siedziałem cichutko jak trusia i nikt mnie nie mógł znaleźć. W 1946 roku w ramach repatriacji wyjechała do Polski wraz z dwiema córkami Krysią i Danusią moja stryjenka, która mieszkała w Pietraszuńcach w domu po dziadkach. Stryjka Henryka, taty brata, w 1940 roku złapano w Wilnie i wywieziono do pracy na Syberię. Czym naraził się władzy radzieckiej nie wiem, wówczas byłem jeszcze bardzo mały, a później nikt już o tym nie wspominał. Udało mu się dostać do tworzonego przez generała Andersa wojska i wraz z nim przekroczył granicę z Iranem. No może nie dosłownie, został przeniesiony przez granicę na noszach. Żołnierze Andersa stacjonowali w miejscowości Jangi Jul koło Taszkientu, oczywiście w

namiotach. Temperatury powietrza dochodziły tam do pięćdziesięciu stopni Celsjusza. Nie było lekarzy, nie było lekarstw. Szerzyły się straszne choroby i bardzo ich dużo zmarło (dzisiaj w Jangi Jul mieszkająca tam Polonia postawiła na miejscowym cmentarzu krzyż upamiętniający ich pobyt i śmierć). Stryj szczęśliwie wyzdrowiał, zapewne dlatego, że w Iranie w końcu się nim zaopiekowano. Walczył między innymi pod Monte Cassino, otrzymał bardzo prestiżowe odznaczenie wojskowe, order wojenny *Virtuti Militari* i po wojnie wrócił do Polski przez Londyn. Dostyc jednak o stryju, chociaż nie mogłem się powstrzymać, by przynajmniej w takim skrócie o nim nie napisać. Ma to bowiem jakiś związek z Antosią. Otóż po wyjeździe do Polski jego żony i córek, w ich dawnym domu rodzinnym zamieszkał były pracownik Czerniak. Długo nie nacieszył się przestronnym, wygodnym mieszkaniem, bowiem władza radziecka urządziła tam szkołę. Teraz mieszkała w niej nauczycielka będąca jednocześnie dyrektorem tej szkoły i znajdowały się klasy lekcyjne a w zasadzie tylko jedna klasa, do której uczęszczały dzieci mające od siedmiu do piętnastu lat, posiadające niewiarygodnie wielkie zaniedbania edukacyjne spowodowane działaniami wojennymi i okupacją kraju przez Rosjan, Niemców i znowu przez Rosjan. Dyrektorem tej szkoły została Antonina Archijewna czyli dawna nasza pracownica Antosia. Znała ona dobrze mój poziom wykształcenia a więc przyjęła mnie od razu do drugiej klasy. Uczyła w języku białoruskim, chociaż w tym czasie dosyc dobrze mówiła też po polsku, który poznała podczas pobytu u nas. Miałem u niej wielkie względy. Do tej szkoły mieliśmy ponad dwa kilometry. Zimą były u nas zawsze bardzo duże śniegi, ale nam to nie przeszkadzało. Podczas odwilży wierzchnia warstwa śniegu zawsze nieco stopniała, potem przychodził mróz i chodziliśmy jak po lodzie wcale się nie zapadając. W szkole zawsze czekała na nas gorąca herbatka z cukrem, czego w domu nie było. Pani dyrektor, nie zapominając o dawnej przyjaźni, była dla mnie bardzo życzliwa. Nieraz zapominałem się, i zwracałem się do niej per Antosia, co oczywiście nie było w porządku, ale nie robiła z tego żadnego problemu. Często też odwiedzała nas w Pietraszuńcach. Niestety, nigdy nie skończyłem tej drugiej klasy. Przed końcem roku musiałem przekwalifikować się z ucznia na pastucha u wujka Jana, o czym piszę w innym miejscu. Nie miało to jednak większego znaczenia w mojej edukacji.

Partyzancka defilada

W dniu 3 maja 1944 roku w pobliskim lesie odbyła się wielka uroczystość. Obchodziliśmy rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 Maja. Byłem na niej wraz z całą swoją rodziną. Tuż przy wjeździe do lasu stał polski żołnierz

ubrany w furazerką z plecakiem i zwiniętym na nim kocem oraz z karabinem, czyli w pełnym wyposażeniu. Dalej stał następny i następny. Cały las został obstawiony na wypadek, gdyby przypadkiem pojawili się Niemcy, którzy wiedzieli co prawda o zgrupowaniu, ale woleli udawać, że nie wiedzą. Zbyt wielką siłą dysponowali partyzanci. Podobno w lesie tym zgromadziło się 3 tysiące żołnierzy. Ciągnęli ze sobą moździerze, a nawet przyjechała jedna tankietka. W głębi lasu, obok długiej prostej drogi urządzono ołtarz polowy rozciągając dywan między dwiema sosnami. Na tym dywanie wisiał obraz Matki Boskiej Ostobramskiej. Obok ołtarza wybudowano konfesjonał. W pewnej chwili pojawiła się bryczka ciągniona przez dwa piękne konie i wysiadł z niej ksiądz w randzie kapitana. Usiadł w konfesjonale a przed nim natychmiast zebrał się tłum żołnierzy pragnących otrzymać Sakrament Pojednania. Następnie odbyła się msza święta i rozpoczęła defilada. Żołnierze maszerowali czwórkami, starając się zachować krok defiladowy na piaszczystej leśnej drodze. Stałem z boku i przyglądałem się im. Szli i szli, zdawało mi się, że w nieskończoność. W pewnej chwili zobaczyłem partyzanta, który bywał u nas. Poznałem go od razu. To był "Mazur", oczywiście chodzi tu o pseudonim. Kiedy przechodził obok mnie spadła mu furazerka. Nie schylił się po nią, tylko szedł dalej. Defilada to defilada. Podbiegłem szybko, chwyciłem ją i dogoniłem go. Tym razem szybkim ruchem założył ją sobie na głowę. Mazur przeżył wojnę. Niemcy nie zdołali go zabić. Zrobili to Rosjanie już po jej zakończeniu. Kilka miesięcy później przyszedł do naszego domu oddział żołnierzy AK. Mama przygotowała im jedzenie, najedli się, zabrali ze sobą na zapas i już mieli odejść, gdy komendant spojrzał na Zygmunta i Gustka. No chłopaki, jesteście już dorośli, czas byście złożyli przysięgę na wierność Armii Krajowej i Ojczyźnie. Gustek z Zygmuntem popatrzyli po sobie. Panie komendancie, wie pan przecież, że gdyby nie my, to by ani pan, ani chłopcy z oddziału u nas nie pojedli. My musimy pilnować gospodarki i pracować odezwał się bardziej rezolutny jak zawsze Gustek. Kiedy nas zabraknie, to wszystko upadnie. Mama nie pójdzie w pole czy do lasu. Gustek miał rację. Od kiedy nastąpiła nowa władza Rosjanie zabronili pracy najemnej. Wszystko spoczęło na barkach Zygmunta i Gustka, którzy dwoili się i troili aby utrzymać gospodarstwo a dodatkowo jeszcze pozyskać dla nich wyznaczoną ilość drewna w lecie, który wycinali bez umiaru. Te leśne roboty o mało nie skończyły się tragicznie dla Zygmunta a dodatkowo miały one wpływ na los całej naszej rodziny, ale o tym to już napiszę później. W każdym razie, komendant pokiwał tylko głową, westchnął ciężko i poszli swoją drogą.

Polowanie na Gustka

Lasy i bagna rozciągające się okolicach Lidy stanowiły w miarę bezpieczną kryjówkę nie tylko dla partyzantów ale również dla Żydów, na których Niemcy robili systematyczne obławy. Pewnego dnia mój brat Gustek pasł krowy na skraju lasu, kiedy pojawili się Niemcy wraz z granatowymi policjantami. Gustek zostawił krowy i zaczął uciekać w kierunku domu. Jeden z Niemców przyklęknął na jedno kolano, wycelował i strzelił do niego z karabinu. Gustek upadł i już się nie podniósł. Wszystko to widziała z domu nasza mama, która w tym momencie była przekonana, że został zabity. Jaka była jej radość, gdy po chwili pojawił się cały i zdrowy. Kiedy tylko kula zaświstała obok niego, natychmiast rzucił się na ziemię i bardzo przytomnie zaczął się czołgać w stronę pobliskiego wzgórzka, który zasłaniał Niemcom widoczność. Kiedy już znalazł się za nim, czym prędzej pobiegł do domu. Wszystko skończyło się na szczęście tylko strachem ale od tragedii było o krok. Gustek miał czarne włosy i ten bandyta wziął go za Żyda. Po jakimś czasie zjawili się u nas Niemcy, biorący udział w tym polowaniu na ludzi i zażądali aby im zrobić herbaty. A który to strzelał do mojego syna, spytała mama cała jeszcze roztrzęsiona z emocji. Nie ma go pośród nas, wstydził się przyjść, ale zostanie ukarany. Po pierwsze za to, że pomylił Polaka z Żydem a po drugie za to, że strzelał i nie trafił. Wyglądało więc na to, że gdyby trafił, to by dostał nagrodę. Oto cała wojenna moralność. Niemcy nie poprzestali na herbacie i zażądali kanapek. Jeden z oficerów karmił nimi wilczura, którego mieli ze sobą i przyprowadzili do salonu. Pies żarł te kanapki, tylko się oblizywał. Posmarowałem ukradkiem jedną z nich chrzanem i dałem mu. Chwycił łapczywie, ale szybko wypluł i już więcej nie chciał żreć. To był oczywiście pies, który miał naprowadzać na trop Żydów ukrywających się w lesie. Pamiętam, że Niemcami tymi dowodził oficer SS Lentner. Nosili oni na piersiach blachy ryngrafów. Ten ich dowódca zginął później podczas zdobywania Rodunia przez oddziały AK, już na parę dni przed nadejściem Armii Czerwonej. Zrobili to bez jednego wystrzału a Lentner został zabity ciosem bagnetu. Rosjanie nie musieli zdobywać miasta. Nasi partyzanci rozbroili stacjonujących w Roduniu Niemców i odebrali im kontyngent, który tamci zdołali jeszcze pobrać w postaci bydła okolicznym gospodarzom. Gospodarze ci przychodzili później do partyzantów, poznawali swoje krowy i zabierali je do domu jeszcze nieświadomi tego, że w niedługim czasie znowu będą musieli je oddać. Tym razem wszystkie jakie mieli – do kołchozu.

Gustek kurierem

Moja mama też była żołnierzem AK, jako sanitariuszka. Codziennie w naszym domu tkane były z lnianych nici długie, cienkie pasy materiału, które później partyzanci zabierali do lasu, gdzie służyły jako bandaże. Pewnego razu, przyszli do nas partyzanci z małą paczką, która zawierała lekarstwa potrzebne dla jednego z nich, który przebywał w szpitalu w Lidzie. Lekarstwa te pochodziły z amerykańskich zrzutów. Mama wysłała do Lidy Gustka, który miał je wręczyć pierwszej napotkanej pielęgniarkce. Po paru godzinach Gustek był już na miejscu i stał przy wejściu na korytarz czekając, aż któraś z sióstr wyjdzie z sali. W końcu doczekał się. Wskoczył do środka i szybko podbiegł do niej, wręczając paczkę. Spojrzała na niego bardzo spłoszona, ale wiedziała o co chodzi. Już nie potrzeba, powiedziała cicho a ty uciekaj stąd co prędzej. Nie wiadomo, czy partyzant po prostu umarł, czy też „zaopiekowali” się nim Niemcy. Gustaw wolał tego nie sprawdzać i co prędzej uciekł ze szpitala.

Nieudana egzekucja

Niemcy często odwiedzali co zamożniejszych gospodarzy, korzystając z ich zasobów, bo trudno tutaj mówić o gościnności. Pewnego razu, wspomniany już oficer SS Lentner przyszedł do pana Kazimierza Kondrata w jego folwarku Sołtyniszki który leżał w pobliżu Pietraszuńców. Tego samego, z którym mama chodziła do szkoły w Wilnie. Znał dobrze pana Kondrata, ponieważ nieraz go odwiedzał, kazał się karmić i poić. Tym razem nie o to chodziło. Nie owijał niczego w bawełnę. Słuchaj Kondrat, przyszedłem, żeby cię zabić. Czy to był jego pomysł, czy też otrzymał taki rozkaz nie wiadomo. Pan Kondrat nie pytał, ten nie mówił, ale z jego zachowania widać było, że nie żartuje. Gospodarz, starając się opanować rozdygotane nagle nerwy poprosił swojego kata aby ten nie robił tego w domu. Nie róbmy tego tutaj, po co dzieci (a miał ich sześcioro) mają na to patrzeć. Niemiec wspaniałomyślnie zgodził się. Wyszli obydwaj do sadu, gdzie Lentner wyciągnął pistolet i z bliskiej odległości strzelił Kondratowi w głowę. Ten przewrócił się i zalał krwią. To był pewny strzał. Lentnerowi nawet do głowy nie przyszło, że mógłby spudłować z takiej odległości. A jednak. Kula odbiła się od kości czaszki i rozrywając skórę na skroni oraz boku głowy, przeszła bokiem, nie wyrządzając większej krzywdy. Została po niej jedynie brzydka blizna. Lentner pewny, że wykonał zadanie, co prędzej opuścił gospodarstwo, aby nie narazić się na spotkanie z żoną Kondrata i jego dziećmi. Jakies tam zapewne resztki sumienia kołatały jeszcze w jego zimnym, hitlerowskim sercu, albo po prostu nie chciał słuchać ich krzyków. Kiedy pani Kondratowa, po usłyszeniu strzału przybiegła na miejsce domniemanej kaźni,

pan Kondrat zaczynał się już ruszać. To jednak nie jest koniec jego przygód. Po wkroczeniu Rosjan, jako „wróg ludu” został aresztowany i zesłany do łagru na Syberię, gdzie przez kilka lat, balansując pomiędzy życiem a śmiercią rąbał przysłowiową tajgę. W czerwcu 1952 roku taki sam los spotkał całą jego rodzinę, czyli żonę i sześcioro dzieci z tą różnicą, że wywieziono ich – razem z nami zresztą, nie na północ Związku Radzieckiego, gdzie panują zabójcze mrozy a do Kazachstanu, gdzie zamiast mrozów zabija słońce. Opatrzność jednak czuwała nad nim i całą resztą rodziny. Po śmierci Stalina miała miejsce akcja łączenia rodzin. Panu Kondratowi udało się załatwić przeniesienie z dalekiej Syberii do Kazachstanu, gdzie przebywali na zsyłce jego bliscy. Wszyscy przeżyli zesłanie i wrócili do Polski a konkretnie do Pieszyc. Po latach zmarł on śmiercią naturalną. Dwa ogromne zbrodnicze systemy nie zdołały go przemóc.

Pętelka i Matros

Po przejściu frontu, oddziały AK w dalszym ciągu pozostawały w gotowości bojowej, często walcząc z jednostkami NKWD. Walka o utrzymanie się przy życiu, nie mówiąc o przejęciu władzy była coraz trudniejsza, bowiem Rosjanie wszędzie mieli swoich donosicieli. W oddziale, który stacjonował w pobliżu naszego domu był żołnierz o wdzięcznym pseudonimie „Pętelka”. Zwróciłem na niego uwagę, ponieważ ilekroć do nas przybywał, to zawsze na koniu, nigdy nie chodził piechotą. Miał on dziewczynę w którejś z okolicznych wsi i po prostu jeździł do niej na tym koniu a potem wracał do oddziału będąc pewnym, że w razie potrzeby zdoła Rosjanom uciec. Pewnego razu pojechał do tej dziewczyny, ale długo nie zabawił i gnany jakimś przeczuciem, postanowił wrócić do oddziału. To przeczucie go nie zawiodło. Natknął się na oddział NKWD, który zdążył już okrążyć jego kolegów, ale jeszcze pozostawał w ukryciu zacieśniając jedynie pierścień okrążenia. Pętelka z daleka zobaczył co się święci. Podjechał bliżej i zaczął ich ostrzeliwać. Rosjanie się przestraszyli. Skąd raptem ten atak z tyłu? To pewnie jest zasadzka. Zwinęli okrążenie i podążyli za Pętelką, który już na nich nie czekał, tylko na swoim koniu gnał przed siebie ile miał on siły w kopytach. W taki sposób uratował swój oddział, który korzystając z wolnej drogi również oddalił się co prędzej w bezpieczne miejsce. Innym razem partyzanci wyruszyli z naszego domu do Lidy, gdzie trzeba było odbić z rąk Rosjan jakąś ważną osobę. Było z nimi dwóch braci z wielkimi czarnymi brodami. Jeden z nich miał pseudonim „Matros”. Pseudonimu drugiego brata już nie pamiętam. Pamiętam jednak, że jak wychodzili z naszego domu, to w drzwiach żegnali ich znakiem krzyża ksiądz

i moja mama, każdemu znacząc krzyż na czole. Przyda się taki podwójny krzyż, odezwał się Matros i poszli. Akcja była przeprowadzona za późno. Ta ważna osoba albo została już zabita przez Rosjan, albo wywieziona. Zabito kilku rosyjskich żołnierzy a z partyzantów zginął jeden. Kiedy wrócili z akcji do naszego domu, było ich o jednego mniej. Mama spojrzała na nich. Gdzie Matros? Zapytała cicho. Leży tam brodą do góry, odparł ponuro jego brat. Rzeczywiście, przydał mu się ten podwójny krzyż.

Zgrupowanie w Gudełkach

Zdarzenie o którym teraz opowiem miało miejsce już w 1946 roku a więc dwa lata po przejściu frontu. Pewnej nocy tata, który był w partyzantce Armii Krajowej i już nie mógł mieszkać z nami przyszedł do domu i powiedział, że dowództwo AK porozumiało się z NKWD. Mają zdać broń i udać się do swoich domów. W tym celu winni przybyć na zgrupowanie w Gudełkach i tam rozbroić się. Ponieważ było to dosyć daleko, partyzanci pobrali od okolicznych gospodarzy podwody, czyli konie, wozy, no i woźniców, tylko że z tymi ostatnimi było różnie. Rzadko kto decydował się jechać na taką imprezę. Dawali co musieli i zostawali w domach. Tak było i tym razem. Po przybyciu na miejsce żołnierze AK, wykonując rozkaz przełożonych rzucali swoją broń na stertę. Było tego bardzo dużo. Na wierzchu leżał załadowany karabin maszynowy, zdobyty kiedyś na Niemczech. Jak już partyzanci porzucili broń, nagle nad nimi ukazał się rosyjski kukuruźnik, który zaczął krążyć nad polaną. Stało się jasne, że Rosjanie nie zamierzają dotrzymać warunków porozumienia. Jeden z żołnierzy podskoczył do sterty broni, sięgnął po ten karabin i długą serią przeciągnął po tym kukuruźniku, który nagle zadymił i runął w las. Po chwili rozpętało się piekło. Na bezbronnych już ludzi runęły z lasu ukryte tam czołgi miażdżąc ich gąsienicami. Udawajmy woźniców, krzyknął do taty jeden z żołnierzy i wskoczyli na furmanki, odjeżdżając galopem z miejsca zdarzenia. Po przejechaniu kilkuset metrów zostali zatrzymani nagłym rozkazem: stoj! Budu strielat! Kto wy? - Stój. Będę strzelał! Kim jesteście? My wozaki - jesteśmy furmanami, odpowiedzieli zgodnym chórem tata i jego kolega. Uchaditie! - uciekajcie! Żołnierz polecił by co prędzej odjechali z miejsca, gdzie w pobliżu mordowano ich towarzyszy, z czego skwapliwie skorzystali. Zaczęło się teraz polowanie na tych partyzantów, którzy nie posłuchali rozkazu i nie udali się do Gudełek. Wyłapywano ich po lasach, po domach i mordowano na miejscu, albo wysyłano na Sybir. Tata już do domu nie wrócił. Pod zmienionym nazwiskiem, mając fałszywe dokumenty dostał się do Olsztyna. Na 10 lat został rozłączony z rodziną. Kolega taty, który wraz z nim wydostał się z

matni, w 1972 r. zapukał do drzwi naszego mieszkania w Pieszycach na ulicy Zamkowej. Dzień dobry, czy tutaj mieszka Zapolny? Jaki Zapolny? Tutaj mieszka Kozakowski. Tajemniczy gość wiedział jednak dokładnie kogo szuka. Po chwili ściskali się serdecznie z moim tatą, który nikomu z rodziny nie zdradził jak się nazywał po przyjeździe do Polski.

Kiedy już usiedli razem przy stole zaczęły się wspominki. Ty wiesz, kto wówczas zestrzelił ten samolot? Skąd mam wiedzieć? Tu padł pseudonim. Przecież on nie miał ręki. No właśnie.

Polowanie na kaczki

Wracamy na powojenne Kresy. Kiedy miałem już dziesięć lat, zacząłem chodzić z wujkiem Kazimierzem, bratem mamy na polowania. Miał on berdankę, czyli niewielką małokalibrową strzelbę, którą polował na kaczki i wielką trzylufową fuzję, w której dwie lufy służyły do strzelania śrutem, a jedna była przystosowana do strzelania nabojami karabinowymi, głównie do wilków. Ja nie pamiętam jednak, by wujek w tej „karabinowej” lufy kiedykolwiek strzelał, nie było naboji. Rosjanie i tak byli pod tym względem bardziej tolerancyjni od Niemców, którzy kazali zdać wszelką broń. Zarówno berdanki, jak i fuzje nie były uważane przez nich za broń a narzędzie do polowania. Wujek sam przygotowywał sobie ładunki do fuzji. Po wystrzeleniu naboju, zabierał łuskę, która była mosiężna a nie tak jak obecnie z tektury, specjalnym przyrządem wyciskał zużyta spłonkę i montował nową, odmierzał ilość prochu, wsypywał go do łuski, to samo robił ze śrutem, wszystko to zostało zatkanie papierem, mocno ubite i nabój był gotowy. Spłonki można było kupić w sklepie, natomiast śrut robił sam. Pręty ołowiane ciął na kawałki, rozgrzewał na ogniu patelnię i rzucał je na nią. Poruszał patelnię, jak gdyby smażył kotlety i nie chciał by mu się przypaliły a ze stopionych kawałków ołowiu robiły się na niej kuleczki śrutu, które po wystygnięciu już można było użyć do produkcji naboju. Jak wyglądały te moje polowania? Zawsze podobnie. Podchodziliśmy cichutko pod staw, i ja zaczynałem wabić kaczki kwacząc jak one. Po chwili wypływał na wodę dorodny kaczor, a gdy był już blisko brzegu, wujek strzelał z berdanki lub z fuzji i kaczka była nasza. Pewnego razu pozwolił mi spróbować samemu. Siedziałem w „Rojście” a w zasadzie na brzegu „Rojstu”, czyli bagna pod drzewem i przejęty mocno, kwakałem jak umiałem najlepiej. Nareszcie będę miał okazję pokazać wujkowi jaki to ze mnie myśliwy. Moje wysiłki zostały nagrodzone, nagle zauważyłem, że z oczeretów wypływa piękny kaczor i błyskając lusterkami znajdującymi się na jego bokach płynie w moją stronę. Wycelowałem w niego i nie przestając kwakać czekałem, aż podpłynie zupełnie

blisko. Po chwili kaczor, nie widząc przy brzegu pani kaczorowej odpłynął dalej szukając, skąd też mógł dochodzić go jej ponętny głos. Zdwoiłem wysiłki. Zawrócił i teraz już płynął prosto na mnie. No, już mi nie ujdiesz, cieszyłem się w duchu siedząc bez najmniejszego ruchu, by go nie spłoszyć. Kiedy dopłynął już prawie na wyciągnięcie lufy, strzeliłem. Kaczor poderwał się do lotu i odfrunął z głośnym łomotem skrzydeł a na mnie poleciało tylko kilka piórek. Okazało się, że nie tylko należy wycerować i trafić, ale jeszcze trzeba wiedzieć gdzie. Kula, którą wystrzeliłem odbiła się rykoszetem o gęste pióra i obcinając zaledwie kilka z nich wpadła do wody, nie czyniąc mu większej szkody. Z tych moich polowań do dzisiaj została mi umiejętność wabienia kaczek i do dzisiaj to wykorzystuję, jako że żyją sobie one i w potoku pieszyckim i w dzierzoniowskiej Piławce. Nikt już do nich nie strzela i mają się całkiem nieźle.

Wieś Kotwa

Inaczej było z polowaniami na wilki, w których ja oczywiście nie mogłem brać udziału bo było to bardzo niebezpieczne. Zacznę od tego, że po wojnie lasy zaroily się od nich i stały się niezwykle groźne atakując zwierzęta domowe i czyniąc bardzo wiele szkody. Skąd ich się nagle tyle nabrało? Wśród Białorusinów rozeszła się wieść, że przywędrowały one z Puszczy Białowieskiej a ściślej z rejonu wsi Kotwa, gdzie były bardzo silne oddziały AK. Niemcy nie mogli sobie z nimi poradzić, bowiem po akcji zapadali się nagle pod ziemię. Tak było dosłownie. Partyzanci mieli tam bardzo dużo, doskonale zamaskowanych podziemnych bunkrów nieraz wielopoziomowych, łączących się ze sobą, które stanowiły ich schronienie. Niemcy sobie nie poradzili, ale Rosjanie tak. Wysłali w okolice Kotwy kilkadziesiąt bombowców i cały rejon zbombardowali niszcząc wszystko co znajdowało się pod ziemią. Co to ma wspólnego z wilkami? Ano ma. Ponieważ zabitych tam partyzantów nikt nie chował, mało tego, nikt się nimi już później specjalnie nie interesował, więc zainteresowały się nimi wilki. Miały one tyle żeru, że rozpleniły się bez umiaru i rozeszły po całej Białorusi dochodząc aż do mocno zalesionych rejonów Lidy. Historyjka może i ciekawa, ale jeżeli chodzi o wilczą plagę niekoniecznie prawdziwa. Warta jednak tego by o niej wspomnieć, bo to też jest przecież część mojego dzieciństwa. W tym czasie nie żył już nasz Duduś, który kiedyś dosyć skutecznie je odganiał, ale myślę, że gdyby nawet żył, to i tak wilki już by się go nie bały. Zrobiły się bowiem bardzo zuchwałe. Pewnej nocy, drąc pazurami zmarzniętą na skałę ziemię podkopały się one pod nasz chlew i zabiły pięć świń. Kwiki duszonych świń słychać było aż w domu, ale wyjście nocą na podwórko, gdy wokół roilo się od tych leśnych bandytów równało się nieomal pewnej śmierci. Nawet gdyby w domu była broń, to i tak ryzyko było by zbyt

duże. Cztery zagryzione świnie zostały w chlewie, natomiast piątą wywlekły przez wykopany tunel na zewnątrz i pożarły. Rano, kiedy już niebezpieczeństwo minęło, poszedłem z braćmi sprawdzić co się stało. Od chlewni do lasu ciągnęły się ślady tych drapieżników poznaczone kawałkami szczeciny i świńskiej skóry. Tyle tylko po niej zostało. Nasze psy, które atak ten rozsądnie przeczekały w budach słusznie nie wytykając z nich nawet czubka nosa, a które teraz wzięliśmy ze sobą, obwąchiwały te resztki świni, warczały, ale żaden ich nie dotknął. Nieszczęścia przychodziły więc z różnych stron, jak nie NKWD, to wilki. Którzy byli gorsi? Wilki nażarły się i poszły a Rosjanie?

Polowanie na wilki

Wydaje mi się, że możliwość posiadania broni myśliwskiej podyktowana była między innymi tą dotkliwą plagą. Kto zdołał upolować wilka i dostarczył władzom jego uszy, ten dostawał przydział na naboje. Znaczyło to, że nie wykorzystuje ich do innych celów. W połowie „zimicy”, czyli od 2 lutego robione były obławy na wilki. Dlaczego właśnie wówczas? Odpowiedź jest prosta. W tym czasie wadera ma ruję a samce w stadzie szaleją na jej punkcie walcząc między sobą – chyba, że dominujący samiec ma mocno ugruntowaną pozycję w stadzie. Wówczas do walk nie dochodzi, ale nie odstępują jej o krok chodząc za przodującą parą i zapominając o polowaniu (prawo rozrodu w stadzie ma z reguły tylko dominująca samica). W tym też okresie są szczególnie niebezpieczne. Głód, 20 stopniowy lub jeszcze większy mróz, niemożność spełnienia miłosnego aktu mimo ogromnego popędu płciowego, doprowadza ich do istnego szaleństwa, oraz wyzbycia się, przynajmniej w części wrodzonej ostrożności. Myśliwi przygotowują się bardzo starannie do polowania - od tego przecież zależy ich życie. Dobiera się trzy mocne i szybkie konie oraz przygotowuje odpowiednio sanie. Konie zaprzężone są w „ohłoble” czyli po polsku hołoble z duhą - pałąkiem nad hołoblami, ponieważ takie sztywne połączenie sań z zaprzęgiem jest bezpieczniejsze. Zarówno konie jak i sanie zabezpieczone są przed atakami wilków, przynajmniej tak się myśliwym wydaje. Na specjalnym rusztowaniu niosą przed sobą i z boków zasieki z drutu kolczastego. Boki sań są specjalnie podwyższone i też mają takie zasieki. Dobiera się trzech odważnych mężczyzn, którzy nawet w największych opałach potrafią zachować zimną krew nie wpadając w panikę, bowiem niebezpieczeństw w czasie takiego polowania nie brakuje. Jeden z tych mężczyzn jedynie powozi końmi, nie przyłączając się do strzelania chyba, że w ostateczności, przy zagrożeniu życia. Dwaj pozostali mają za zadanie strzelać i zabić jak najwięcej wilków. Grupa myśliwych wybiera w lesie znany im, prosty dukt, którym konie mogą iść pełnym galopem. Tam rozpoczyna się polowanie.

Teraz pytanie: jak zaprosić wilki, tkwiące przy waderze, by zgodziły się gonić za saniami. Do tego celu przygotowuje się klatkę z prosiakiem, który marznąc na mrozie, głośnym kwiczeniem żali się na swój los. Jeżeli marznie w milczeniu, to myśliwi mają już swoje sposoby, aby zaczął się odzywać. Będące na skraju śmierci głodowej wilki, słysząc w pobliżu głos prosiaka rzucają swoje miłosne zapędy i gonią by się najeść. Kiedy las wokół sań zaroi się od ich błyszczący ślepiów, konie same rzucają się do panicznej ucieczki a wilki swoją starą, wypraktykowaną od wieków metodą biegną z boków starając się zabiec im drogę i rzucić się do gardeł. Właśnie po to, aby chronić gardła i boki mają one te osłony z drutu kolczastego. Zapomniałem o jednym. Na saniach, oprócz myśliwych i prosiaka są z reguły jeszcze dwa potężne psy, również odpowiednio przygotowane, to znaczy zaopatrzone w szerokie obroże nabite ostrymi gwoździemi, które mają za zadanie ochronę ich gardeł przed atakiem wilka. Wujek nieraz opowiadał mi o tych polowaniach. Zdarzyło mu się, że rozpedzony wilk, wykonał nieprawdopodobny skok lądując w saniach. W tej sytuacji broń przestaje być użyteczna, można się jedynie bronić bagnetem, czy innym podobnym narzędziem, ale zanim puściło by się fuzję i chwyciło bagnet, rozszalały wilk mógłby skoczyć do gardła i rozerwać je w ułamku sekundy. Najważniejsze więc w takich momentach to nie spanikować. Wujka i jego kolegów uratowały psy, które po to są brane na sanie. Będąc w przewodzie i mając zabezpieczone gardła, po krótkiej, gwałtownej walce zdołały go udusić. Po takich polowaniach nieraz zdarzało się, że na leśnej przesiece zostawały jedynie puste sanie i potargana, zakrwawiona odzież myśliwych. Potknięcie się konia, wywrócenie sań czy choćby wypadnięcie z nich, gdy podskoczą na wykrocie kończyło się w jeden sposób, nie było wówczas obrony przed watahą. Udane polowanie, to nieraz kilkanaście uszów wilczych, możliwość nabycia naboju i zmniejszenie ryzyka kolejnych wilczych napadów, nie mówiąc już o dumie myśliwych – swoistych współczesnych gladiatorów, ryzykujących życie nie tyle dla zysku co dla sławy. O głodzie panującym w stadzie podczas rui wadery świadczy to, że pierwszy zastrzelony przez wujka wilk został natychmiast błyskawicznie zjedzony przez pozostałe, które posiliwszy się w ten sposób, bez trudu dogoniły później oddalające się sanie.

Krowa mądrzejsza

Jeżeli już jestem przy temacie wilków. Pewnego dnia nie przyszła z pastwiska krowa. Było to w okresie szczególnego zagrożenia ze strony tych drapieżników, które atakowały nawet latem nie mając widocznie dostatecznie dużo pożywienia wewnątrz lasu. Szkoda była wielka, bo z dawnego stada

niewiele nam ich już pozostało, ale co było robić, trzeba przejść nad tą stratą do porządku dziennego co też uczyniliśmy. Zresztą, prędzej czy później i tak by nam ją Rosjanie zabrali. Po dwóch tygodniach siedzieliśmy wszyscy w domu mając z okna widok na oborę. W pewnej chwili moja siostra Marysia zauważyła, że do obory podchodzi jakaś krowa. Wszyscy rzucili się do okna. To była ona, szła dumnie prosto do drzwi obory, kołyszac szerokim, nabrzmiętym mlekiem wymieniem a za nią biegł w podskokach dwutygodniowy cielak. Musiała chyba mieć jakiś szósty zmysł, albo była wyjątkowo ostrożna, bo wilki jej nie wyczuły i nie zabiły wraz z cielakiem.

Pęta pomogły

To nie jedyny przypadek, gdy nasze zwierzęta same obroniły się przed wilkami. Wypędzając konie na pastwisko często pętało im się przednie nogi. Było to coś w rodzaju kajdanków ale na sztywnym złączu. Jedną i drugą nogę opasywało się opaską zamykaną na klucz a te opaski połączone były żelazną poprzeczką. Dlaczego konie były pętane? Po pierwsze dlatego, aby się za daleko nie oddaliły i łatwiej było je znaleźć a po drugie dlatego, aby nie zostały skradzione. Złodziej, który ukradł konia chciał co prędzej oddalić się z miejsca przestępstwa a nie było to możliwe, kiedy koń, zamiast normalnie iść, czy galopować, mógł jedynie posuwać się do przodu tylko krótkimi skokami. Jakoś mi się to kojarzy z samochodem, który też zamyka się na klucz by nie został skradziony, nie jest to więc wymysł branży motoryzacyjnej a hodowców koni. Ta żelazna poprzeczka pozwoliła klaczy, która pasła się na wygonie wraz ze źrebakiem ocalić nie tylko źrebaka ale i siebie. Kiedy została zaatakowana przez wilka, to skoczyła przednimi nogami tak sprytnie na jego grzbiet, że przygniotła napastnika do ziemi i nie puściła, dopóki wujek nie przyszedł jej zabrać. Z ogromnym zdziwieniem zobaczył, że pod pętami klaczy leży martwy już wilk a obok hasa, sobie cały i zdrowy źrebak.

Piana krowa

Nie zawsze jednak udawało się naszej trzodzie wyjść całkowicie bez szwanku, chociaż zakończenie bolesnej przygody innej naszej, bardzo mlecznej holenderskiej krowy okazało się szczęśliwe. A co jej się przytrafiło? Przed oborą zawsze znajdował się stóg ze słomą, którą używało się na ściólkę.

Jesienią, kiedy krowy były sprowadzane z pola, wchodziły jakby do piwnicy, dużo poniżej progu. Przez całą zimę stały na miejscu, a sterta nawozu powstała ze słomy i ich odchodów rosła, tak że wiosną stały już na górze. Dlaczego więc nie usuwano obornika pozwalając by gromadził się niby w mitycznych stajniach i oborach Augiasza? Przyczyna była prosta, związana z niskimi temperaturami, jakie zimą nam dokuczały. Obornik, leżąc na stercie „zaparza się” wydzielając od dołu ciepło. Z kolei dach obory jak i pozostałych budynków gospodarczych przykryty był grubą strzechą ze słomy i w ten sposób zwierzęta nie marzły. Co się zatem stało? Podczas wnoszenia słomy do obory wniesiono też znajdującą się w niej żmiję. W ciepłe gad prędko się uaktywnił i ugryzł krowę w wymię. Było to niezwykle bolesne. Wymię nabrzmiało opuchlizną ale i mlekiem, które z trudem jedynie można było doić bo zwierzę cierpiało dodatkowo przy każdym pociągnięciu za dójki i nie chciało spokojnie stać. Ponadto wraz z mlekiem z wymion wydobywała się krew. Wytworzył się stan zapalny i wszystko wskazywało na to, że będzie po krowie. W tym czasie nie leczono ludzi, bo nie było czym a co dopiero krowę. Mimo to mama zawołała znajomego weterynarza. Zastosował on bardzo dziwną kurację, która okazała się niezwykle skuteczna. Poleciał podać krowie dwa litry bimbru. Łatwo zaordynować, ale jak zmusić krowę by to wypila? Zygmunt podtykał jej ten bimber pod pysk i zanurzał w nim nozdrza - tylko cofała się ze wstrętem. Na drugi dzień weterynarz znowu przyjechał i doradził, by bimber posolić. O dziwo krowa wypila go całego. Pewnie tak rozpalila ją gorączka, że było jej wszystko jedno. Okazało się, że chyba nie do końca. W kolejnym dniu, kiedy Zygmunt wszedł do obory ze zwykłą porcją bimbru ze solą, to mała nie urwała łańcucha, tak rwała się do picia. Po prostu ten „szlachetny” trunek zasmakował jej i po kilku dniach wyzdrowiała. Skąd ten pomysł z bimbrem? Pewnego dnia weterynarz został wezwany do Tatarszczyzny, ponieważ któryś z tatarskich koni zachorował. Pojechał tam rowerem a nie konno. Spisał się dobrze a więc oprócz zapłaty dostał jeszcze w podzięcie litr bimbru. Wracał tym rowerem przez las męcząc się po piaszczystych drogach i w końcu zmęczył się tak, że postanowił odpocząć. Postawił rower i usiadł sobie pod drzewem. Słoneczko przygrzewało, ptaszki śpiewały, ogarnęło go rozleniwienie i usnął. Raptem poczuł piekący ból w ręce. Zerwał się na równe nogi strząsając z siebie żmiję, która co prędzej uciekła. Chłop już wybierał się na drugi świat, bo o własnych siłach pewnie by nie doszedł gdziekolwiek do ludzi prosić o pomoc, gdy nagle przypomniał sobie, że na bagażniku roweru, w jego torbie weterynaryjnej leży sobie spokojnie wielka flaszka bimbru. Wyssał małą rankę ile się tylko dało. Polał ją tym bimbrem by jako tako odkazić a resztą odkaził się od środka. Kiedy już obudził się z pianej maligny, łeb mu pękał z bólu zarówno od zaaplikowanej mu przez żmiję trucizny jak i zażytej przez siebie odtrutki, ręka była spuchnięta, ale żył. Zdołał nawet, opierając się na rowerze dotrzeć do jakichś zabudowań a stamtąd już konno zawieziono jego i rower do domu. Ten jego przypadek spowodował, że ocalała nasza krowa.

Byk „URSUS”

Było już o krowach a teraz o męskim przedstawicielu tych ze wszech miar pożytecznych zwierząt. Mieliśmy w naszym gospodarstwie ogromnego byka. Ważył pewnie z 800 kg, przynajmniej tak mi się teraz wydaje kiedy przypominam sobie jego potężną sylwetkę. Kiedy szedł z dumnie podniesionym łbem z ogromnymi, sterczącymi na boki rogami a mięśnie grały mu jak u atlety, to wydawało się, że nikt nie byłby w stanie z nim konkurować. Tak się tylko wydawało, pokonał go mały chłopak, ale po kolei. Stasiu – nasz pracownik opiekujący się krowami zabierał go wraz z nimi na pastwisko. Miało to ten dobry skutek, że krowy nie oddalały się daleko od stada starając się być stale w pobliżu swojego przewodnika. Byk nie należał do najłagodniejszych, chociaż jego imię na to by wskazywało. „Ursus”, czyli potężny, dobroduszny niewolnik z pogańskiego kraju, który nie opuścił swojej pani Livii w potrzebie i udał się wraz z nią w niewolę do Rzymian. Wspaniała książka Henryka Sienkiewicza „Quo vadis” z pewnością ogólnie znana czy to z lektury czy z filmu a więc na tym pozostanę. Dla zapewnienia sobie posłuchu wśród stada Stasiu miał zawsze na podorędziu gruby bicz, którym bądź straszył bądź też przyłożył po zadzie jak było potrzeba. „Ursus” bał się tego bicza i Stasia w mniejszym lub większym stopniu słuchał. Dlaczego w mniejszym lub większym a nie zawsze? Wyjątek od reguły miał miejsce wówczas, gdy poczuł, że jakaś krowa, nawet znajdująca się w bardzo dużej odległości na ruję. Stawał wówczas, kierował swój wielki łeb w stronę przyszłej kochanki i węszył zawzięcie, a węch miał taki, że potrafił wywęszyć szansę na to, że zostanie kolejnym tatusiem nawet na dwa trzy kilometry. Kiedy już upewnił się co do kierunku, ruszał przed siebie i nikt nie był w stanie go powstrzymać, nawet Stasiu ze swoim biczem, po prostu nie zwracał na nic uwagi. Nie było go przez parę dni a później zjawiał się w naszym stadzie jak gdyby nigdy nic i dalej pełnił rolę jego przywódcy podporządkowując się jednocześnie poleceniom Stasia. Pewnego razu zostałem ze stadem sam, a Stasiu poszedł za czymś do domu. Nie było to pierwszy raz a więc nie spodziewałem się żadnych kłopotów. W pewnej chwili zauważyłem, że nasz byk niszczy młodą sosenkę. Zapałł się swoimi wielkimi nogami o ziemię i walił w nią rogami aż gięła się prawie do ziemi. Nie miałem nic w rękach, ale podbiegłem do niego i krzyknąłem. Nie zwracał na mnie uwagi, pewnie nie znałyem przy nim więcej jak gzy, przed którymi opędzał się ogonem. Chcąc wymusić na nim posłuszeństwo, kopnąłem go w wielki zad. Przestał znęcać się nad sosenką a z jego pyska wydobyły się groźne chroboty, coś pośredniego pomiędzy rykiem krowy i kwikiem świni. Nie trzeba było znać się na bydle, żeby spostrzec od razu, że robi się niebezpiecznie. Nie czekając na dalszy rozwój wypadków wzięłem nogi za pas słysząc za sobą donośne dudnienie racic o ziemię. Szczęśliwie w pobliżu rosła spora brzoza z gałęzmi zwisającymi dostatecznie nisko, aby wdrapać się po nich i zagrać bykowi na nosie. Krążył wokół drzewa, bódł w nie aż się trzęsło, ale przewrócić nie dał rady. Na razie

byłem bezpieczny ale wyglądało na to, że poczekam na tej brzozie na Stasia, bo mój prześladowca nie chciał odejść. Cierpiała moja duma pastucha. Nie dam sobie rady z bykiem? Wiedziałem, że trzeba uderzyć w róg, bo to go bardzo boli - teraz już tak nie myślę, gdyby go bolało to by nie bódl drzewa, ale mniejsza z tym. Wyciąłem kawałek gałęzi, obciąłem boczne gałązki i zrobiłem sobie bardzo solidny kij. Wystarczyło czekać aż podejdzie mi pod rękę. W końcu doczekałem się. Walnąłem z całej siły i okazało się, że nie trafiłem. W ostatniej chwili obrócił łeb i zamiast w róg, trafiłem go w oko. Usłyszałem głębokie stęknienie bólu. Mój prześladowca odwrócił się i odszedł od drzewa. Nie poprzestałem na tym. Teraz pokażę ci z kim zacząłeś, pomyślałem czupurnie. Zeskoczyłem z drzewa i walnąłem go w zad, potem drugi raz i trzeci. Więcej już mi się nie udało, bo uciekł. Kiedy Stasiu wrócił, powiedziałem mu co zaszło pomiędzy mną a bykiem. Miałeś dużo szczęścia, że cię nie dogonił, powiedział. Mógł cię zabić. Jak kiedyś będzie bódl jakieś krzaki to lepiej nie podchodź. Na tym historia z bykiem się nie zakończyła. Przygoniliśmy stado do domu i kiedy już „Ursus” wszedł na swoje miejsce w oborze, to Zygmunt zbliżył się aby go uwiązać. Śmiało podszedł jak to zwykle robił i zaraz się cofnął. Z gardła byka wydobył się znany mi już dźwięk, „zachrobotał” nim i zaczął walić przednimi nogami o ziemię. Trzeba iść po Stasia, powiedział Zygmunt, bo go nie uwiążemy. Poczekaj, ja spróbuję. No to uważaj, żeby ci krzywdy nie zrobił. Na wszelki wypadek Zygmunt stanął obok a ja poszedłem do jego wielkiego łba. Przerzuciłem mu łańcuch przez szyję, schyliłem się i zapiąłem klamrę. Stał i nawet się nie ruszał. To były jednak ostatnie jego chwile. Ponieważ stał się niebezpieczny, to tata nie czekał aż znowu kogoś zaatakuje. Poszedł na rzeź.

Zabrali owce

Zagrożenie dla naszego inwentarza ze strony dzikich zwierząt było niczym w porównaniu do zagrożenia, jakie czekało ze strony dwunożnych drapieżników, nie cofających się przed niczym. Pewnego wieczoru przysła do Pietraszuńców grupa uzbrojonych cywilów. Kazali zaprząć konie do dwóch furmanek a następnie połapali owce, powiązali im nogi i wrzucili do środka tyle, ile tylko się zmieściło. Ten sam los spotkał Zygmunta z tą różnicą, że nie wiazali mu nóg tylko oczy. Pojedziesz z nami, odezwał się herszt tej bandy, ale uważaj. Jak tylko spróbujesz zerwać szmatę, to zginiesz. Nie chcieli, byśmy się dowiedzieli dokąd te owce wywożą. Zygmunt osłonił głowę rękami, by przypadkiem nie dostać po oczach kopytem i leżał na wozie między owcami. Jechali kilka godzin, po czym wozy stanęły i zostały rozładowane. Ktoś nawrócił furmanki, przyczepił lejce tylnego wozu do kłonicy przedniego, raz

jeszcze zapowiedział Zygmuntowi, żeby pod żadnym pozorem nie odsłaniał oczu, po czym konie dostały po bacie i ruszyły przed siebie bez woźnicy. Ten, kto jeździł konno, obojętnie wierzchem czy na wozie, nie musi patrzeć by zorientować się, kiedy ma już niedaleko do domu. Konie w tym momencie zaczynają przyspieszać. Tak było i tym razem. Zygmunt uchylił opaski na oczach i ostrożnie rozejrzał się dokoła. Jego prześladowców nie było. Wozy i konie tym razem nie były im potrzebne. Po chwili zajechał na podwórze. Nie trudno się było domyślać, kto dokonał tego napadu. Partyzantom stado baranów nie było potrzebne. Wylądowało ono z pewnością w jakimś kołchozie.

Burza nad Pietraszuńcami

W Pietraszuńcach wszystkie zabudowania gospodarcze były kryte strzechą i nie posiadały piorunochronów, które zresztą przy tego rodzaju pokryciu na niewiele by się zdały. Za to dom zaopatrzony był w piorunochron i był kryty blachą. Od kiedy pamiętam, zawsze mówiono nam aby czasie burzy uciekać do domu, ponieważ były one nieraz bardzo gwałtowne z potężnymi opadami i piorunami. Mama swoje, a ja swoje. Co mi tam pioruny! Bardzo lubiłem w czasie burzy przebywać w stodole na sianie. Przy czystym, obmytym deszczem powietrzu pachniało ono jeszcze tak raz pięknie jak w czasie pogody, przynajmniej tak mi się wydawało. Kładłem się na nim i słuchałem jak ciężkie krople deszczu biją o strzechę, spływając po niej na ziemię. Nieraz szum deszczu tak mnie ukołysał, że zasypiałem zapominając o bożym świecie. Kiedyś nad Pietraszuńcami zaczęły zbierać się granatowe niskie chmury, zrobiło się szaro i powiał silny wiatr, pierwszy zwiastun burzy. To był sygnał, by unikając wzroku mamy, aby nie zatrzymała mnie w domu, przemknąć przez podwórko i zniknąć za wrotami stodoły. Tak też zrobiłem, zostawiając je otwarte, aby mieć widok na pozostałe budynki, czyli stajnię, oborę i chlewnię. Tym razem nie zasnąłem, bo burza była wyjątkowo silna. Z nieba wylewały się całe wiadra wody a pojedyncze grzmoty przeszły wkrótce w jeden wielki ryk. Leżąc na sianie patrzyłem, jak pod dachami budynków powstają wielkie kałuże, rozplływające się na cały dziedziniec. Przy szczycie stajni schły poukładane pnie drzewa stanowiące opał na zimę. W pewnej chwili zobaczyłem błysk i nad tymi pniami pojawił się ogień, który zaraz zgasł. Nie było ognia i nie było też pni. Wszystkie zostały porozrzucane po całym podwórku. Dopiero teraz doszedł do mnie straszliwy trzask uderzającego pioruna. Tylko dlatego, że strzecha stajni zdążyła już mocno nasiąknąć wodą, nie została ona podpalona. Przekonałem się jednak, że mama miała dużo racji każąc siedzieć w domu podczas takiej pogody. Oczywiście nie było to dla mnie żadną przestrożą i kiedy znowu była burza, tkwiłem nieodmiennie na swoim posterunku w stodole.

Warzywniak

Obok naszego domu był ogród warzywny uprawiany przez mamę, gdzie hodowała kwiaty i warzywa. Między innymi zawsze były tam pomidory nie znane jeszcze okolicznym mieszkańcom. Pamiętam ogromne ich krzaki oblepione czerwonymi kulami. Ludzie przychodzili, oglądali i dziwowali się, ale sami hodować ich nie chcieli. Kto wie, co może się stać po zjedzeniu takiej czerwonej kuli, nie ma co ryzykować. Ziemia przy domu była tak żyzna, że wszystkie warzywa przybierały ponad normalne rozmiary. Marchewki nie mogłem wyciągnąć z ziemi, bo była taka duża jak burak. To było koło domu. Pod lasem był drugi warzywniak, gdzie rosły warzywa potrzebujące więcej miejsca i nie wymagające stałej opieki. Między innymi kapusta, którą jesienią przywoziło się na wozie, by wieczorami w kuchni obierać ją, szatkować na specjalnej szatkownicy i kisić w ogromnych beczkach, dodając cienko pokrojonej marchewki i kminku do smaku. Kapustę zawsze ubijało się w beczce specjalnym tłuczkiem więc ze zdziwieniem zobaczyłem kiedyś w telewizji, jak to ubija się ją bosymi nogami. No cóż, taka to w innych stronach moda.

Bimber

Bardzo ważnym środkiem płatniczym po wkroczeniu Rosjan był bimber. Nie wolno go było samemu pędzić, ale wolno było im dawać, wolno im było samym sobie brać i nikt nie pytał się skąd go masz. Jak wyglądała jego produkcja? Najpierw, przez kilkanaście dni w ogromnej beczce dojrzewał zacier. Kiedy był dostatecznie gorzki, co oznaczało, że więcej alkoholu już się nie wytworzy, należało go wypędzić, czyli przedestylować, co odbywało się nocą u nas w kuchni. Zostawała ona na ten czas zamknięta i dzieciom nie wolno było do niej wchodzić. Co innego zakazy a co innego ciekawość. Nieraz podpatrywałem jak powstaje. Duży baniak, przykryty pokrywą uszczelnioną ciastem stał na kuchennym piecu, pod którym płonął ogień i coś powoli w nim „bulgotało”. Z tego baniaka wystawała rurka, która wchodziła do małej beczułki napełnionej wodą, ale już bez pokrywy. Mama od czasu do czasu wybierała z niej ciepłą wodę i nalewała zimnej. Tą ciepłą zlewała do wielkiego cebrzyka. Z dołu beczułki też wystawała rurka, którą spływał cienki strumyk gotowego wyrobu, prosto do podstawionego wielkiego słoja. Jak słoje się napełnił to jego zawartość była rozlewana do butelek. Produkcja trwała z reguły całą noc. Rano wszystko było już posprzątane, aparatura wyniesiona do stodoły i przykryta słomą, bimber schowany, a mama korzystając z zasobów

cieplej wody stała nad balią i na tarze prała nasze rzeczy. Kiedyś zastał ją przy takim zajęciu kamandir - komendant NKWD, który rosyjskim zwyczajem wlaź do kuchni i będąc już w środku kurtuazyjnie zapytał czy można. Pytanie retoryczne. Można, można. I tak robili przecież co chcieli. Mama wystraszyła się, ponieważ kolejne pytanie: „stirka” - pranie, mama zrozumiała jako „spirtam”, co oznaczało oczywiście pędzenie bimbru. Tak była zmęczona całonocną jego produkcją i obecnym praniem bez chwili wypoczynku, że ledwo co do niej docierało a ponadto – „na złodzieju czapka gore”, była przekonana, że Rosjanin wiedział co robiła w nocy. Stała przestraszona i patrzyła na niego bez słowa. W końcu żołdak uśmiechnął się i raz jeszcze powtórzył: „stirka”. Ależ tak, oczywiście, „stirka”. Kamień spadł jej z serca uderzając ciężko o podłogę kuchni.

Manież

W naszej kolonii, oprócz pomieszczeń gospodarczych, w których przebywały zwierzęta i stodoły był jeszcze „manież”, czyli wielka szopa, lub raczej rodzaj stodoły bez sásieków, ale za to z wielkim drewnianym kieratem, który napędzany był siłą czterech koni. Urządzenie to nie było zbyt skomplikowane ale za to niezwykle funkcjonalne. Wysoko, pod sufitem znajdowało się ogromne koło zębate, do którego podłączone były cztery wały napędowe. Te z kolei napędzały, za pomocą pasów transmisyjnych, stojące na klepisku po czterech stronach kieratu: młocarnię, sieczkarnię, wialnię i młyn. W zależności od tego, jaka maszyna była aktualnie potrzebna, zakładało się bądź zdejmowało pas. To koło przymocowane było do stojącego pionowo, zamocowanego łożyskiem ślizgowym w podłodze i pod dachem ogromnego pnia drzewa od którego wystawały tuż nad klepiskiem manieża cztery drągi. Do tych drągów zaprzęgało się konie, które chodziły w kółko i napędzały kierat. Po wkroczeniu Rosjan urządzenie to stało nie wykorzystane, ponieważ z miejsca zabrali nam wszystkie konie, a jednego zabili. Okazało się, że zrobili to dla mięsa. Widziałem, jak do naszej kuchni przyszedł rosyjski żołnierz, niosąc w ręku długi pas czerwonego, końskiego ochłapu. Odgryzał go po kawałku swoimi wilczymi zębami i na surowo jadł. Na propozycję mamy, że mu ugotuje, odpowiedział, że nie nada. Poprosił jedynie o nieco soli. Musiał pochodzić gdzieś z Kaukazu albo jeszcze dalej, a może spod chińskiej granicy, bo był niskiego wzrostu, miał wystające kości policzkowe i skośne oczy. W końcu Rosjanie zaczęli dopytywać się, do czego służy kierat i stojące obok niego maszyny. Kiedy dowiedzieli się, że jest tam młyn, to natychmiast sprowadzono konie i uruchomiono go. Ten młyn był czynny przez całą dobę,

jedynie co parę godzin wyprzęgano zmęczone konie i zakładano nowe, a mama musiała im codziennie piec chleb. Komin od chleba piecowego tak się nagrzewał, że zapalała się w nim sadza i w niebo buchał kłęb płomienia oraz snop czerwonych iskier, które toczyły się po dachu w dół. Całe szczęście, że dom był kryty blachą, bo inaczej z pewnością by spłonął.

Między nadzieją a zwątpieniem

Wspominałem już, że musieliśmy pozyskiwać dla państwa odpowiednią ilość drzewa, to znaczy ścinać je, ciąć na metrowe kawałki i układać w sęgi. Kiedyś pojechałem wraz z moimi braćmi do lasu. Oni piłowali drzewo a ja pilnowałem koni. Było mroźno a dodatkowo wiał silny wiatr, wdzierający się pod ubranie. Moi bracia pracowali bardzo ciężko i mimo mrozu pocili się. Zygmunt zdjął grubą kurtkę i pracował tylko w obszernym wełnianym swetrze, który jest bardzo ciepły ale tylko wtedy, gdy ma się coś założone na wierzchu, bo sam nie zatrzymuje wiatru. Po chwili zmarzł i założył na powrót kurtkę, ale było już za późno. Spocone ciało zostało nagle oziębione jego lodowatymi podmuchami. Po powrocie do domu poczuł się źle, a na drugi dzień już nie wstał z łóżka. Dostał bardzo wysokiej gorączki i zaczął bredzić. Stało się jasne, że w domu długo nie pożyje. Mama zawiozła go do szpitala w Raduniu i większość czasu spędzała odtąd w szpitalu, żyjąc pomiędzy nadzieją a zwątpieniem. Często zostawała też w szpitalu na noc śpiąc na krzesłach, lub kładąc się obok Zygmunta na łóżku. Co się okazało? Zygmunt dostał plewryt, i zgromadziła się w płucach woda, która wypełniając stopniowo opłucną zaczęła go dusić. Konieczna była operacja. Rosyjski lekarz Bieryłow wyciął mu kawałek żebra i zrobił dziurę, przez którą woda ta wyciekała. Operacja bardzo ryzykowna i niewielu mogło ją przetrzymać. Zygmunt należał do tych nielicznych, ale w szpitalu leżał przez całą zimę. W tym czasie dużo pomagali nam sąsiedzi, przynosili do domu masło, chleb i co tam kto miał, aby mama woziła do szpitala, wszystko to jednak było za mało. Głodowali wszyscy i nie bardzo mieli czym się dzielić. Nawet u Życińskich, posiadających ogromne gospodarstwo rolne i słynną na całą Europę fabrykę serów było głodno. A przecież przed wojną, do ich gospodarstwa dochodziła prywatna linia kolejowa. Zygmunt wychudł strasznie i ślaniał się na nogach, ale kryzys minął i było już widoczne, że wróci do zdrowia. Bywałem nieraz wraz z mamą w szpitalu i pokazywał mi dziurę w boku, przez którą mógł oddychać podobnie jak przez gardło. W końcu stan jego polepszył się na tyle, że można było zabrać go do Pieretańców. Gustek i mama przywieźli go ze szpitala tak osłabionego, że sam nie mógł dojść do domu. Potrzeba było jak najwięcej treściwego jedzenia a tu nie było co jeść, wszystko co do jednej sztuki naszego inwentarza z tak

zasobnego niegdyś gospodarstwa zabrali Rosjanie. I w tym ciężkim momencie zjawiała się nieoczekiwana pomoc.

Połóżna

A było to tak. Masza mama, jak już pisałem była sanitariuszką. Umiała opatrzyć rany, ale też przyjąć poród i pomóc w przypadku ogólnie rozpoznawalnych chorób. Nasza kolonia znajdowała się blisko gościńca, nie dalej jak jeden kilometr. Pewnego razu gościńcem tym, młody małżonek wioząc swoją żonę do szpitala, ponieważ zaczynała rodzić. Kiedy byli w pobliżu naszego domu, bóle porodowe nasiliły się do tego stopnia, że porzucił pierwotny zamiar dowiezienia żony do szpitala i wiedząc, że mama może pomóc, skręcił do nas modląc się po drodze, by była w domu. Na szczęście tak się stało. Zrobił się ogromny ruch, gotowano wodę, noszono jakieś białe ręczniki czy prześcieradła a po całym domu rozlegały się głośne krzyki rodzącej mimo, że drzwi od pokoju mamy były szczelnie zamknięte. Trwało to bardzo długo, w końcu jednak mama przyszła zmęczona do kuchni i uśmiechając się powiedziała nowo kreowanemu tatusiowi, że wszystko będzie w porządku i ma syna. Zerwał się z miejsca i zaczął całować ją po rękach wdzięczny za tak skuteczną i jak się później okazało zupełnie bezinteresowną pomoc. Nareszcie przypomniało sobie, aby zrobić chociaż jakiej herbaty i poczęstować chłopca tym, co tam jeszcze w domu było, no i zaprowadzić konia do stajni, który do tej pory cierpliwie czekał na dziedzińcu, uwiązany do kłonicy wozu. Młoda mama po ciężkim porodzie szybko dochodziła do siebie, zwłaszcza, że czuwali przy niej za zmianę mama i własny mąż. Po tygodniu stanęła już na nogi a po dwóch tygodniach, trzymając na rękach opatulonego w bety, które zostały jeszcze po nas bobasa, bez problemu zdołała wejść na wóz i cała trójka żegnana przez nas wszystkich odjechała do swego domu. Nie wiadomo jakim sposobem, ale teraz rodzina ta dowiedziała się o naszych kłopotach. Kilka dni po powrocie Zygmunta ze szpitala na podwórko zajechał znajomy wóz ze znajomym woźnicą. Z tyłu za nim, na skrzyni wozu leżało kilka ogromnych tłustych indyków z powiązanymi nogami i skrzydłami. Zygmunt był uratowany a przy okazji i nam się co nieco dostało. Przekonaliśmy się wówczas, że czynione dobro niekoniecznie musi pozostać bez zapłaty. W tym przypadku wdzięczność ludzka okazała się bezcenna. Zygmunt zdrowiał teraz z dnia na dzień. Nawet dziura w boku bardzo szybko się zagoiła – nie była już potrzebna. Po jakimś czasie zrosło się też przecięte żebro. Po niemiłym, przeżyciu została jedynie blizna i narodził się w miejscu zrośnięcia się kości. Szczęśliwie Rosjanie mieli w pamięci, że dokładnie już ograbili nas z całego inwentarza i nie zaglądali do budynków gospodarczych, gdzie mieszkały indyki. Mama bowiem,

jako zapobiegliwa gospodyni nie przeznaczyła wszystkich na rosół, a najładniejsze sztuki zostawiła do chowu. Miałem z tymi indykami uciechę, bo kiedy tylko przechodziłem przez podwórko, to mnie atakowały. Wołałem do nich : serwus indyk gul, gul, gul, gul i uciekałem a one za mną.

Droga się wydłużyła

Choroba Zygmunta miała dla naszej rodziny bardzo brzemiennie w skutkach następstwa. W 1946 roku była pierwsza akcja repatriacyjna i większość naszych sąsiadów wyjechała z Białorusi. Należało postarać się o zgodę władz polskich na przyjazd do kraju oraz uzyskać zapewnienie kogoś z rodziny lub od znajomych, czy przyjaciół, że przyjmą do siebie repatriantów. Byliśmy już przygotowani by wyjechać do Polski. Wszystkie sprawy zostały załatwione, rzeczy spakowane, a na bocznicę kolejowej stał, przygotowany dla emigrantów pociąg. O wyjechaniu i pozostawieniu Zygmunta nie mogło być jednak mowy, nikt nawet tak nie pomyślał. Rodzina zawsze trzymała się razem i niezależnie od okoliczności stale się wspierała. Kiedy Zygmunt wyzdrowiał, na wszystko było już za późno. Emigracja została wstrzymana. Jak się niebawem okaże , droga do ojczyzny wydłużyła się nam o kilka tysięcy kilometrów i bardzo przesunęła w czasie. Wyjechała tylko nasza stryjenka wraz ze swoimi dwiema córkami.

Moja Pierwsza Komunia

W tym czasie wyjechał też do Polski proboszcz naszej parafii. Z pewnością było to z jego strony mądre postanowienie bo Rosjanie nie zostawili by go w spokoju, ale my zostaliśmy bez księdza i nie mogłem przystąpić do Pierwszej Komunii Świętej. Mama znalazła jednak rozwiązanie. Najpierw przygotowywała mnie do niej sama u nas w domu, a później chodziłem do Radunia, gdzie uczyła nas siostra zakonna, która ze względów konspiracyjnych nie nosiła habitu, tylko zwykłe sukienki. Aby przyjąć komunię musiałem pójść do miejscowości Pielasa, która leżała nad brzegami Niemna w odległości sześciu kilometrów od nas. Szło się przez całą drogę przez las. Nie chcąc zabrudzić sobie butów, pokonałem ją boso a buty założyłem dopiero pod kościołem. Mama zadbała nawet o to, aby tą tak ważną w życiu każdego człowieka chwilę uwiecznić na fotografii. Zrobił mi ją fotograf w Lidzie jakiś

miesiąc po uroczystości. Jestem na niej wraz z mamą, jej znajomą, oraz moją siostrą Marysią, która również przystępowała do Komunii.

Żołnierz „zdębiał”

Wielkim szokiem dla wszystkich była pierwsza „wizyta” rosyjskich żołdatów. Rozleźli się po całym domu i przetrząsali wszystkie kąty biorąc co im się tylko podobało. Jeden z nich wszedł do ciemnego niewielkiego pomieszczenia przy kuchni, gdzie była nasza spiżarnia. Było tam co prawda małe okienko, ale stale zasłonięte, aby wiszące tam wędliny lepiej się przechowywały. Żołnierz wszedł do środka, otworzył okienko i zdębiał. Czegoś takiego jeszcze w swoim życiu nie widział. Na hakach pod sufitem wisały wędzone czy solone bocзки, szynki, kiełbasy, na regałach stały zapasy mąki, kaszy, w kamiennych garnkach zapasy smalcu, w bańkach oliwy, słowem wszystko co służyło do przygotowania posiłków w ilości potrzebnej dla tak licznej rodziny i pracowników. W jego głowie nie mogło się pomieścić, że można mieć na raz tyle jedzenia, podczas, gdy on nieraz głodował. Nie wierząc własnym oczom zawołał kamandira. Ten nie zastanawiał się ani sekundy. Wyczyścili dokładnie całą spiżarnię i pojechali sobie. Od tego czasu wizyty NKWD i poborców podatkowych stały się coraz częstsze i coraz bardziej dotkliwe. Zostawało tylko to, co udało się schować a więc niektórą żywność jak na przykład miód zakopywaliśmy do ziemi. Pretekstem do ciągłych rewizji było szukanie naszego taty. Było u nas pomieszczenie, gdzie wisała zgręplowana wełna. Wchodzili tam z wielkimi „szompałami” czyli długimi na jakieś trzy metry stalowymi prętami i kłuli nimi tą wełnę raz przy razie. Człowiek, który chciałby się w niej schować nie miał prawa przeżyć takich poszukiwań, zakłuli by go na śmierć. W ten sam sposób nakłuwali raz przy razie siano w stodole badając, czy nikt się w nim nie ukrywa albo, czy pod warstwą siana nie ma jakiegoś zamaskowanego pomieszczenia służącego za schron dla ukrywającego się taty. Bez przerwy też gnębili mamę pytaniami, gdzie jest jej mąż. Mama zawsze odpowiadała w jeden sposób: nie wiecie? Przecież sami wywieźliście go do Kaługi (miasta pod Oką, gdzie przeszło 5 tysięcy żołnierzy AK siłą wcielono do radzieckiej piechoty).

Jest w Kałudze

Z czasem wizyty Rosjan stawały się coraz częstsze i coraz bardziej brutalne. Brali co tylko im się spodobało i ciągle dopytywali się o tatę wiedząc, że był on partyzantem Armii Krajowej. Mama ciągle odpowiadała, że powinni sami wiedzieć gdzie jest, bo przecież zabrali go do Kaługi - miasta nad Oką, i wcielili do Armii Rosyjskiej. Nie wiadomo, czy sprawdzili to, czy też po prostu nie dawali wiary tłumaczeniom dość, że stali się jeszcze bardziej agresywni. Jedna z ich wizyt zapadła całej mojej rodzinie nie gojącą się raną w pamięci. Nie ma słów, którymi można by wyrazić szok psychiczny, traumę, którą wówczas przeżyliśmy. Zaczęło się od tego, że pojechali do naszego sąsiada Hancewicza, który mieszkał nad rzeką i od lat pozostawał z nami w bardzo dobrych stosunkach sąsiedzkich. Biciem i groźbami starali się wydobyć informacje gdzie przebywa nasz tata. Kiedy nie udało im się nic osiągnąć zabrali go ze sobą i przyjechali do nas. Podwórce zaroilo się nagle od rosyjskich żołnierzy a kilku z nich, prowadząc sąsiada weszło do środka. Dobrze nam znany oficer NKWD, który wszedł z nimi, trzymał w ręku gruby sznur zakończony pętlą. Dobrze znał rozkład domu, bowiem nie raz już brał udział w grabieży naszego dobytku. Przeszedł przez kuchnię, z której prowadziły schody na nie wykończone jeszcze piętro i wspiał się na nie a następnie wszedł na strych. Z dołu widać było, jak na poprzecznej belce przybitej pomiędzy dwiema krokwiemi mocuje sznur z pętlą. Jego działanie nie pozostawiało złudzeń. Będzie komuś odbierał życie. Byłem przekonany, że chodzi o pana Hancewicza i serce przestało mi bić z przerażenia. To co nas czekało przerosło jednak wszelkie wyobrażenie. Ten łotr zszedł na dół, chwycił naszą mamę za rękę i zaczął ciągnąć ją na górę. Chciał by mu powiedziała, gdzie jest tata. Albo ona, albo pan Hancewicz. Nie powiedzą, to mama zginie. W mojej głowie zrobiła się pustka. Stałem jak skamieniały, nie mogąc wydobyć z siebie głosu ani ruszyć ręką czy nogą. Pierwsza zareagowała Marysia. Rzuciła się do mamy i chwyciła ją wpół. Rosły rosyjski bandyta próbował rozerwać jej drobne ręce i nie był w stanie. Małe paluszki zacisnęły się tak kurczowo, że musiał by je chyba odciąć aby puściła. Cały dom ogarnął jeden wielki krzyk. Krzyczała Marysia, krzyczała mama, krzyczał pan Hancewicz i ja. Nie pamiętam co krzyczałem, nie było to ważne, być może nie były to żadne artykułowane słowa a po prostu krzyk przerażenia. Ogarnął mną paniczny lęk o mamę, którą kochałem najbardziej na świecie oddzielony teraz od niej karabinem z nadstawionym w moją stronę bagnietem. Krzyczał też nasz oprawca ciągnąc już teraz mamę wraz z Marysią w stronę schodów. Obie stawiały mu zaciekły opór i nie posunął się nawet o krok. Zrobił się aż siny z wściekłości. Puścił mamę i kazał dwóm żołnierzom, aby zaprowadzili ją na strych. Stała się wówczas rzecz nie pojęta. Żołnierze stali bez ruchu. W domu zrobiło się nagle cicho. Starszy wiekiem żołnierz podszedł do oficera i z otwartej już kabury

wyciągnął mu jego pistolet a następnie złapał za ramię i poprowadził w stronę drzwi. Za nim wyszli inni prowadząc ze sobą pana Hancewicza. Ciszę przerwał szloch Marysi, która długo jeszcze nie mogła się uspokoić

Trofea Stasia

W lasach wokół Lidy, oprócz partyzantów AK ukrywały się też bandy niemieckich niedobitków. Kiedyś przyszli oni do naszego lasu i zatrzymali się na jego skraju, pewnie czekając nocy by przyjść do domu i zabrać coś do jedzenia. Nie wiedzieli, że w pobliżu znajdowały się wojska NKWD, które miały ze sobą tankietkę. Rozpoczęła się walka. Pociski tylko świstały nad naszym podwórkiem. Ja uciekłem do stodoły i położyłem się na sianie. Strzelanina trwała dłuższą chwilę, po czym tak nagle jak się zaczęła to i się skończyła. Nie wychodziłem z tej stodoły i po jakimś czasie zasnąłem, nie wiedząc co było potem. Wszystko jednak opowiedział mi Stasiu Wróblewski. W czasie wymiany ognia, w pewnej chwili otworzył się właz tankietki i wychylił się z niego strzelec, który miał karabin z lunetą. Chwilę celował i strzelił, trafiając dowódcę niemieckich żołnierzy prosto w głowę. Niemcy, jak zobaczyli co się stało, rzucili karabiny na ziemię i podnieśli ręce do góry. Rosjanie podeszli do nich i pognali gdzieś w las nie interesując się ani zabitym dowódcą ani porzuconymi karabinami. Zrobiło się cicho i pusto. Na to tylko czekał Stasiu. Pobiegł do lasu, zabitemu zabrał pas, z oficerską klamrą i napisem „Gott Mit Uns” - Bóg z nami, oficerską raportówkę, w której było pełno niemieckich medali i portfel ze zdjęciem w środku, na którym widoczny był mężczyzna, kobieta i dwoje dzieci. Zwykła niemiecka rodzina jak każda inna. W tej chwili już bez ojca. Stasiu zaopiekował się też porzuconymi niemieckimi karabinami, typu „Mauzer” w bardzo dobrym stanie. Szkoda było oddawać ich Rosjanom. Nikt zresztą się o nie dopytywał. Pewnie po dziś dzień leżą gdzieś ukryte, bo używać ich raczej nie było sposobności, zbyt to ryzykowne przedsięwzięcie. Zabity Niemiec leżał aż do drugiego dnia, po czym zakopano go w miejscu, gdzie padł a na niewielkiej mogile położono płaski, podłużny kamień i przestrzeloną niemiecką czapkę. Od tego dnia Stasiu nie mógł zaznać w nocy spokoju. Niemiec „przychodził” do niego i domagał się zwrotu skradzionego portfela pasa i raportówki z medalami. Nie mógł jakoś się od tej nocnej mary wyzwolić. W końcu dał mi pas i kilka tych medali. Czy mu to coś pomogło to już nie dociekałem. W każdym razie do mnie ten Niemiec nie przychodził i spało mi się jak dawniej.

Wystraszyłem żołdatów

Swoje trofea ukryłem w sienniku łóżka. Oprócz nich był tam jeszcze pistolet zrobiony mi przez Stasia. Strzelał na zapaliki. Trzeba było mieć trzy zapaliki na jeden strzał. Oczywiście, od kiedy Stasiu zrobił mi ten pistolet, w domu stale był deficyt zapalek, zużywały się w bardzo ekspresowym tempie i nikt nie wiedział gdzie się podziewają. Podczas kolejnego przeszukania jakiś nadgorliwy żołdat dokładnie przetrząsał mój siennik, no i stało się. Znalazł nie tylko pas i medale, ale też mój pistolet. Dumny ze swojego odkrycia, czym prędzej poniósł wszystkie znalezione rzeczy do salonu, gdzie za stołem siedział ich kamandir popijający czaj, którego sobie wcześniej zażyczył. Zawołali mamę. Chto eto? - co to jest? Mama zrobiła wielkie oczy. Januś, skąd to masz? Opowiedziałem dokładnie o całym zdarzeniu, które zresztą było jej znane z wyjątkiem ukrycia karabinów przez Stasia, a mama zrobiła groźną minę. To już wiem kto niszczy zapaliki! Kamandir roześmiał się. Pokaż mi teraz jak z tego strzelasz, pokazał na mój pistolet. Bardzo chętnie, tylko nie mam zapalek. Podał mi całe pudełko. Załadowałem nie trzema, ale sześcioma zapalnikami dla lepszego efektu i odpałem. Huk był taki jak z prawdziwego pistoletu albo i większy, bo w zamkniętym pomieszczeniu. Nagle w całym domu zrobił się wielki rumor i zewsząd zaczęli zbiegać się do salonu zajęci plądrowaniem żołnierze. Byli przekonani, że ktoś strzelił do ich komendanta. Ten zaś siedział zadowolony z siebie i pokpiwał z przybiegających podwładnych. Ot żołdaty - żołnierze, dziecko ich wystraszyło! Wszystko skończyło się pomyślnie ale moje skarby, łącznie z pistoletem zostały zarekwirowane z czego najbardziej zadowolona była mama, chociaż mi tego nie powiedziała. Prosiłem Stasia, żeby mi zrobił drugi pistolet, ale jakoś nie zdążył mimo, że obiecał. Wolał popijać biber z kolegami. Nie mieli kieliszków, ale radzili sobie i bez tego. Z gotowanego jajka ostrożnie wybrali ze środka białko i już puchar do picia był gotowy.

Pierwsze ostrzeżenie

Rosjanie mieli wszędzie swoich informatorów, ale Armia Krajowa także. Ludzie bali się odzywać jeden do drugiego, bo nikt nie wiedział z kim może mieć do czynienia. Jeden z naszych informatorów ostrzegł mamę, że jako „wrogowie ludu” jesteśmy na liście do wywiezienia i powinniśmy uciekać. Dokąd, po co i czy to było wówczas realne? Dzisiaj wydaje mi się że nie, a wówczas jako dziecko nie zastanawiałem się nad tym, chociaż niepokój

dorosłych i mnie się udzielał. Byliśmy spakowani a właściwie bywaliśmy spakowani, bo każda wizyta NKWD kończyła się tym, że wszystko przewracali do góry nogami i wyrzucali na podłogi, łącznie z naszymi rzeczami osobistymi. Trzeba było mieć dużo cierpliwości, którą zresztą wymuszał strach, żeby się nie odezwać, bo wówczas było jeszcze gorzej. Od chwili zakończenia wojny, z dnia na dzień stawaliśmy się nędzarzami. Państwo radzieckie nie poprzestawało na oficjalnych, bardzo wysokich podatkach. Te oczywiście trzeba było zapłacić. Co jakiś czas była u nas w domu wizyta kilku uzbrojonych cywilów domagających się dodatkowych pieniędzy. Kiedyś przywieźli papiery, obligacje Związku Radzieckiego, dla poratowania gospodarki kraju z powojennej zapaści. To tylko pożyczka, mówili. Jak kraj stanie na nogi a przy naszej uspołecznionej gospodarce nastąpi to wkrótce, będzie można odsprzedać państwu te obligacje i dostaniecie znacznie więcej pieniędzy. Wówczas jeszcze mieliśmy swój inwentarz. Trzeba było pozbyć się 10 krów, by zgromadzić pieniądze na te obligacje. Do tego dochodziły obowiązkowe dostawy płodów rolnych, czyli kontyngenty: żyta, pszenicy, żywca. Ponieważ w naszym gospodarstwie wszystko na bieżąco przetwarzano a dodatkowo Rosjanie zdążyli już wyczyścić spichlerze i pozostałe zabudowania gospodarcze bez jakichkolwiek kwitów, to trzeba było wszystko kupić i oddać. Jeden z kolegów ojca ostrzegł nas, żeby nie ukrywać gdzieś po kątach zboża czy zwierząt, ponieważ priesiedatiel - przewodniczący i tak wszystko wie. Stało się jasne, że pośród naszych dawnych pracowników ktoś pozostaje na usługach nowej władzy i donosi.

List pochwalny

Pamiętam jedną historię, która dotyczy pobierania podatków. Wydarzyła się ona poza naszym domem, ale i my, a szczególnie Gustek miał w związku z nią wiele kłopotów, można nawet śmiało napisać, że otarł się o śmierć. Pewnej nocy ktoś głośno zapukał do naszego domu. Obudziłem się, i wybiegłem z sypialni. W otwartych już drzwiach stała mama i moi starsi bracia a na zewnątrz jakiś obcy mężczyzna, który przytrzymał słaniającą się na nogach młodą kobietę. Wkrótce okazało się, że ta kobieta jest ranna i prosili, by zrobić jej opatrunek. Mama powiedziała im, żeby szli za nią i zaprowadziła ich do kuchni. Tam posadziła ją przy stole i wzięła się za obmywanie ran a następnie, po odkażeniu ich spirytusem za opatrywanie. Kobieta ta była cała zalana krwią, od głowy aż po nogi. Ten mężczyzna zresztą też, tylko że nie swoją a jej. Bardzo cierpiała i niewiele już miała w sobie życia. Ktoś do niej strzelał i dostała dwiema kulami. Jedna przeszła przez gardło a druga zraniła rękę. Mama zrobiła opatrunki i zatamowała krew, ale nic więcej nie można było

w domu zrobić. Nie można jej też było zostawić bez opieki, bo po pierwsze było by to nie po chrześcijańsku, a po drugie, to mogła przecież umrzeć u nas w domu a wtedy nam wszystkich groziło by śmiertelne niebezpieczeństwo. Gustek zaprzął konia do wozu, narzucił na niego słomy i jesienną nocą pojechał do szpitala w Raduniu. Miał dużo szczęścia, gdyby Rosjanie spotkali go po drodze, nikt by się o nic nie pytał. Po prostu by go zabili. Ranna, która przez cały czas, pomimo upływu krwi nie straciła przytomności, powiedziała Gustkowi, że jest sekretarzem Sielsowietu - Rady Wiejskiej w Pomiedzi i wspólnie postanowili aby tam zajechać. Może zastaną kogoś z NKWD a wówczas droga do szpitala stanie się znacznie bezpieczniejsza. Niestety, na miejscu była tylko „uborszczyca” - sprzątaczką, która nocowała w biurze. Po gwałtownym dobijaniu się do drzwi i zapewnieniu Gustka, że nie jest partyzantem w końcu je otworzyła. Kiedy usłyszała, kogo i w jakim stanie wiezie do szpitala, to po kilku minutach była już gotowa do drogi. Dobrze i to zwłaszcza, że musiała ona być osobą zaufaną NKWD. Inaczej nie mogła by tam pracować, by przypadkiem nie wynosić tajnych informacji, a takie w tej organizacji było przecież wszystko. W Raduniu, zostawiwszy ranną sekretarz z Gustkiem, uborszczyca wyskoczyła z wozu i przykazując mu by jak najszybciej jechał do szpitala, pobiegła do siedziby NKWD. Gustek pogonił konia i po paru minutach był już na miejscu. Ledwie zabrano kobietę z wozu i wniesiono ją do środka, a już został aresztowany. Nie miał nic do ukrycia. Po kolei, spokojnie opowiadał przesłuchującemu przebieg całego zdarzenia. Na szczęście ranna, której lekarz zdążył już zabezpieczyć rany była przytomna i potwierdziła, że uratował jej życie. Był wolny. Mało tego, NKWD dało mu list pochwalny informujący o tym, że narażał on swoje życie ratując ranną Rosjanę. Nie na wiele on mu się przydał, ale o tym będę jeszcze pisał. Na razie był szczęśliwy, że udało mu się nocą niepostrzeżenie przemknąć furmanką do Radunia, bo w przeciwnym razie żaden pochwalny list nie był by mu już potrzebny. Powrotna droga odbywała się już za dnia a więc nie było większego niebezpieczeństwa. Zresztą, miał przy sobie ten swój „glejt” w postaci listu. Kiedy przyjechał do domu, było już u nas pełno wojska, ale tylko przesłuchali mamę i odjechali. Macie szczęście, powiedział oficer NKWD, który spisywał protokół przesłuchania. Pies doprowadził nas prosto do waszego domu, gdyby okazało się, że kobieta nie żyje, to was wszystkich czekał by podobny los.

Ja żyję

Skąd wzięła się ta ranna Rosjanka? Należała ona do grupy uzbrojonych cywilów, którzy chodzili po domach zbierając podatki, czyli do poborców finansowych. Przyszli do naszego sąsiada Gejsztofta, najpierw

ograbili go z pieniędzy, a później zażądali aby ich przenocował. Nie było to nic niezwykłego. Poborcy mieszkali i żywili się w terenie, oczywiście wszystko na koszt podatników a swoim przełożonym odnosili jedynie pełne torby pieniędzy. Gospodarz, nie mając tyle łóżek, albo po prostu nie chcąc dawać im pościeli, naniósł do pokoju siana, jak to zwykle żądali, po sam parapet i poszedł spać. Jedynie będąca między nimi młoda kobieta znalazła miejsce na łóżku. Miał pecha. Takimi poborcami zwykle interesowali się bardzo partyzanci. Pieniądze były im pilnie potrzebne na zaopatrzenie a nieraz też z tych pieniędzy wspomagali szczególnie potrzebujące rodziny, których władza pozbawiła środków do życia. W środku nocy, do drzwi Gejsztofta zapukał sołtys Jeśmont. Otwieraj, prowadzę do ciebie żołnierzy na noc. Nie było rady, sołtysowi trzeba otworzyć, chociaż nie był zbytnio zadowolony. Czemu właśnie do mnie? Już tutaj śpią Ruscy co zbierają podatki. Gdzie śpią? Za sołtysem stali partyzanci ubrani w rosyjskie mundury. Gospodarz wskazał rękę. Wskoczyli do pokoju, gdzie spali poborcy i seriami z automatów wykonali na nich wyrok, po czym zabrali walizki z pieniędzmi i poszli sobie nie martwiąc się o gospodarza. W domu został Gejsztoft z rodziną i jego brat. Co tu robić? Dawaj ciała do studni i sprzątam wszystko odezwał się brat. Ten pomysł wydał im się najlepszy. Nie przyznawać się Rosjanom do niczego, bo przyjdą i wymordują z kolei ich. W tym powojennym czasie strach był czymś powszednim, ale w takiej sytuacji obydwaj byli wręcz spanikowani. Stanęli w obliczu śmierci. Już brali pierwszego z brzegu by wykonać swój plan, gdy nagle usłyszeli cichy kobiecy głos: ja żyję. Kobietę uratowało to, że w czasie, gdy w domu byli jeszcze partyzanci udawała martwą. Inaczej z pewnością by ją dobili. Oni nie potrzebowali zbędnych świadków. To zmieniało postać rzeczy, Gejsztoftowie nie byli mordercami. Co zatem robić? Jest ranna, to trzeba jej pomóc ale sami nie potrafią. Do szpitala nie powiozą, bo nie ma czym, a nawet gdyby było, to taka jazda równała się podstawieniu głowy pod topór - zanim się coś wyjaśni to zabiją. Pozostała im, mieszkająca dwa kilometry od nich Kozakowska. Gejsztoft, drąc prześcieradło obwiązał rannej szyję i rękę, po czym jego brat przyprowadził ją do nas. Całe to zdarzenie to ciąg przypadków. Przypadkowo właśnie w domu Gejsztofta odbyła się akcja, przypadkowo kobieta do, której strzelano z bliskiej odległości uniknęła śmierci, przypadkowo w domu Gejsztofta był jego brat i tak dalej. Większość zdarzeń w życiu człowieka to przypadki.

Duchy chodzą po ziemi

Całe zdarzenie najbardziej dotknęło osobę zupełnie niewinną, czyli pana Gejsztofta, ojca trzech córek mniej więcej w moim wieku. Oczywiście

aresztowano go i po krótkim procesie skazano na karę śmierci. Za co? Tego nikt nie wie. Sądy nie miały obowiązku podawać do publicznej wiadomości uzasadnienia swoich wyroków, tym bardziej do wiadomości skazanego, któremu przy okazji zabierano wszystkie prawa obywatelskie. Władza radziecka okazała się jednak niezwykle łaskawa. Odwołanie od wyroku spowodowało to, że zamieniono karę śmierci na piętnaście lat łagru. Zwyciężyły względy praktyczne. Po co uśmiercać młodego, silnego mężczyznę, kiedy można pozyskać na piętnaście lat darmowego robotnika. Zupełnie przypadkowo dowiedziałem się, że pan Gejsztoft przeżył obóz i wrócił do rodziny. W 1971 roku byłem wraz z Gustkiem na targu w Raduniu. Był to okres, kiedy odbywały się takie wyjazdy rodzinno – biznesowe, bowiem niektóre artykuły na terenie Związku Radzieckiego, a szczególnie wszelkiego rodzaju precjoza były kilkakrotnie tańsze niż w Polsce. Naprzeciw nas szedł starszy już, wymęczony życiem mężczyzna. Wydał mi się znajomy, ale nie mogłem przypomnieć sobie skąd. Za to Gustek poznał go od razu mimo, że był bardzo zmieniony. Pobyt w łagrze wyciska piętno na całe życie a i lata też robią swoje. Dzień dobry panie Gejsztoft. Człowiek ten stanął jak wryty. Dzień dobry, odpowiedział po polsku. Patrzył bez słowa na Gustka. Widać było, że gwałtownie szuka w pamięci, starając się przypasować jego twarz do ludzi i zdarzeń sprzed lat i nie mógł znaleźć kim jest ten mężczyzna, który go pozdrowił? Ty jesteś „Jocz”. Zamurowało mnie. Jocz był partyzantem AK. Rosjanie zamordowali go a ponieważ nie wiedzieli kim był, to przez miesiąc leżał na podwórku NKWD czekając na rozpoznanie. Już miałem się odezwać, gdy spotkałem wzrok Gustka. Wyraźnie sobie tego nie życzył. Gejsztoft nadal wpatrywał się to w niego, to we mnie. Ty jesteś „Kryś”? Gustek nie odpowiedział ani na jedno, ani na drugie pytanie. Kryś był dyplomowanym oficerem, żołnierzem AK, uczestniczącym w walkach o wyswobodzenie Wilna tuż przed przybyciem oddziałów radzieckich w ramach ogólnej akcji „Burza”, kierowanej z Londynu. Bliżej znanej nam jako „Akcja Ostra Brama”, jako że atakowali od strony cmentarza na Rossie do Ostrej Bramy. Przeżył te walki i zginął w Surkontach, gdzie oddziały radzieckie okrążyły „polskich bandytów”. Mama знаła dobrze jego żonę i korespondowała z nią nie było więc mowy o pomyłce. Chwilę postaliśmy w milczeniu, po czym bez słowa poszliśmy swoją drogą. Czemu nie chciałeś powiedzieć mu kim jesteśmy? Spytałem Gustka, gdy oddaliliśmy się na taką odległość, że nie mógł nas słyszeć. On z pewnością opowie wszystkim znajomym o naszym spotkaniu. Niech sobie myślą, że duchy Jocz i Kryś chodzą po ziemi, odpowiedział

Obraz Matki Boskiej

To jeszcze nie koniec całej historii. Kilka dni po tym, jak Gustek jeździł z ranną do szpitala do naszego domu przyszła starsza kobieta. Weszła wejściem od kuchni i zobaczywszy wiszący na ścianie obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy stanęła przed nim i prawosławnym zwyczajem zęgnęła się i kłaniała przed nim wielokrotnie. Mama stała zdziwiona i patrzyła aż kobieta skończy swoją modlitwę a ta błogosławiła dom i wszystkich, którzy w nim mieszkają, dziękując za uratowanie życia swojej córki Poliny.

Ten obraz będzie nam towarzyszył w czasie zesłania. Mama kupiła go w Częstochowie, kiedy miałem się urodzić i pojawiły się komplikacje. Lekarze ostrzegali, że nie wszystko jest w porządku więc wybrała się do tego świętego miejsca polecając się opiece Matki Boskiej. Przywiozła ten obraz oraz piękną drewnianą tacę rzeźbioną w liście winogron, na której odkąd pamiętam podawano do stołu chleb. Na szczęście urodziłem się cały i zdrowy i oto jestem starszy już od tego momentu o kilkadziesiąt lat.

Zaczynamy się ukrywać

Pod koniec lat czterdziestych groźba wywózki stała się już bardzo realna. W Lidzie stał zestaw wagonów towarowych, który miał wieść zesłańców na Sybir. Ponieważ NKWD przyjeżdżało przeważnie nocą, to mama uradziła z braćmi, byśmy nie nocowali w domu, tylko każdy gdzie indziej. Ja biegałem codziennie przez las do naszej leśniczówki a w zasadzie kiedyś naszej, bo teraz to już nie wiadomo czyjej, do Więckiewiczów, którzy przyjmowali mnie bardzo serdecznie. Rano wracałem do domu ale nie wychodziłem od razu z lasu. Trzeba było sprawdzić, czy brama na podwórze była otwarta czy zamknięta. Jak była otwarta, to można było wchodzić a jak zamknięta, to znaczyło, że w domu są Rosjanie. Gdzie nocowali moi bracia i mama z siostrami nie wiem. Na wszelki wypadek nie powinniśmy tego wiedzieć. Czy to uchroniło nas wówczas od zsyłki? Nie wiadomo. Pewnie nie docenialiśmy jeszcze sprawności funkcjonowania NKWD. Jak się okaże za parę lat, jej funkcjonariusze wiedzieli o nas wiele a mieli sposoby by dowiedzieć się jeszcze więcej i jak już przyszło do wywózki, to wyłapali całą rodzinę bez najmniejszego trudu.

Pożegnanie dzieciństwa

Wreszcie mama uznała, że dłużej już przebywać w Pietraszuńcach nie możemy. Przez cały tydzień albo i więcej wywożono z domu rzeczy, które jeszcze pozostały po wizytach NKWD. Pewnego ranka mama zbudziła mnie bardzo wcześnie i dała jeść. Pojedziesz do Pieretańców, do wujka Jana. Nawet się ucieszyłem bo bardzo lubiłem tego wujka. Na dziedzińcu czekał już na mnie wóz z sianem. Co było pod tym sianem nie wiadomo a Gustek, który miał mnie tam zawieść też nie mówił. Koło Radunia witało nas, czy raczej żegnało czerwono wschodzące słońce, które po chwili oświetliło pierwszymi w tym dniu promieniami wierzę kościelną wybudowaną z wielkich polnych kamieni. Ostatni piękny widok, którym żegnałem swoje dzieciństwo i Pietraszuńce. Odtąd nie było już przy mnie mamy, musiałem bardzo szybko dorosnąć.

Mama raz, lub dwa razy w miesiącu przyjeżdżała do Pieretańców z moją najmłodszą siostrą Marysią. Gdzie mieszkała Zosia i starsi bracia oczywiście nie wiedziałem. Zajmowałem się pasieniem krów, ponieważ oficjalnie służyłem u wujka za parobka. Nazywałem się Jan Brzozowski i pochodziłem ze wsi Brzozówka, gdzie większość mieszkańców to byli Brzozowscy a ilu ich tam żyło, to sami tego nie wiedzieli. Spędziłem u wujka całe lato. Zbliżała się jesień. Mama doszła do wniosku, że nie może tak być, bym nie chodził do szkoły. Zaczęła szukać jakiegoś mieszkania, najlepiej z daleka od Pietraszuńców, gdzie by nas nikt nie znał. W końcu znalazła, ale o tym za chwilę.

Zachować gospodarstwo

Nie wiedziałem, gdzie mieszkają moi bracia, co nie oznacza, że nie wiem teraz. Otóż Gustek ukrywał się u pana Hancewicza, mieszkającego nad rzeką. Było to blisko naszego domu i mógł tam stale zaglądać, karmić psy i pilnować obejścia, szczególnie nocą, kiedy przychodzili szabrownicy. Oczywiście musiał przy tym bardzo uważać, by przypadkiem nie natknąć się na Rosjan. W pobliżu domu ukrywał się też Zygmunt mając to samo zadanie. Jeszcze wówczas mieliśmy nadzieję, że prędzej czy później wrócimy do swego domu. Kiedyś do Hancewiczów przyszedł znajomy partyzant AK z dwoma kolegami. Jak to zwykle było, jeden pozostał na zewnątrz a dwóch cieszyło gorącym posiłkiem w środku. Nagle wartownik zauważył nadchodzącego człowieka. Stój, kto idzie? Idący nie zareagował. Stój, kto idzie? I rozległ się głos repetowanej broni. Teraz już stanął jak wryty. Podejź bliżej. Posłusznie wykonał polecenie. Kto ty? Kozakowski, idę tutaj do brata. Zygmunt myślał,

że Gustek sobie z niego żartuje i nie stanął na wezwanie a mogło się to skończyć smutnie. Partyzanci często zachodzili do Hancewicza. Kiedyś jeden z nich zapytał Gustka, czy ma on jakąś broń. Nie mam, odparł zgodnie z prawdą. To nie łaż tak bez niczego i dał mu swoją pepeszę. Miał się już czym bronić a tym bardziej czym postraszyć. Naszedł kiedyś szabrownika, który również zdążył do Pietraszuńców. Niewiele myśląc posłał w jego kierunku kilka strzałów starając się oczywiście nie trafić. Miało to dobry skutek. Rozeszła się wieść, że kolonia jest pilnowana i wizyty nocnych gości skończyły się, przynajmniej na jakiś czas. Wysyłki Gustka i Zygmunta, aby zachować rodzinne gospodarstwo spełzły na niczym. Nie trwało długo, a szabrownicy zaczęli odwiedzać nasz dom w dzień, niczego się już nie bojąc. Z czasem budynek rozebrano i przewieziono do Radunia, gdzie służy do dzisiaj jako szpital. Natomiast w solidnych, łukowato sklepionych piwnicach urządził sobie mieszkanie jakiś Rosjanin i mieszkał tam sporo czasu. Kiedy na początku lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku odwiedziłem Pietraszuńce zastałem tylko resztki fundamentów porośnięte zielskiem.

U pani Wańskiej

Jesienią 1951 roku porzuciliśmy nasze dotychczasowe schronienia i przeprowadziliśmy się do domu wdowy po polskim oficerze, Florianie Wańskim, który zginął we wrześniu 1939 roku. Pani Wańska mieszkała 5 km. od Lidy w miejscowości Kołyczki. Ktoś ją mamie polecił, a ponadto okazało się, że jest to znajoma wujka Jana. Oprócz niej mieszkał tam jeszcze jej ojciec Bambil, matka i siostra oraz troje dzieci: Jurek Andrzej i Krysia. Teraz doszła jeszcze cała nasza sześciuosobowa rodzina, czyli razem było trzynaście osób, niezła gromadka, która z czasem uszczupliła się o jedną osobę, ponieważ Zygmunt ożenił się i wyprowadził do żony. Najbardziej byłem zadowolony z tego, że spotkałem kolegą w moim wieku Andrzeja. Jurek był od nas starszy o całe pięć lat i miał już swoje „doroste” sprawy. My z Andrzejem byliśmy nierozłączni, poszliśmy do tej samej szkoły i siedzieliśmy w jednej ławce. Szkoła znajdowała się w Sporkowszczyźnie a oficjalna jej nazwa to: Sporkawska Siemiletnia Szkoła - Sporkowska Siedmioletnia Szkoła. Przyjęto nas do piątej klasy i od początku zmuszano byśmy wstąpili do pionierów, czyli rosyjskiego odpowiednika naszych harcerzy, na co ani ja ani Andrzej nie chcieliśmy się zgodzić. Nauka odbywała się w języku białoruskim i równolegle w rosyjskim. Pod żadnym pozorem nie mogliśmy odzywać się po polsku, nawet podczas przerw, ale ciągle łamaliśmy z Andrzejem ten zakaz. W pierwszej ławce naszej klasy siedział chłopiec Alkow, syn dyrektorki szkoły, który był pionierem i miał stanowić wzór dla nas wszystkich. Przychodził na

lekcje w pionierskim mundurku, czyli w białej koszuli i czerwonym krawacie, a ponieważ jego mama była dyrektorką, a my Polakami, to traktował nas jak gorszych od siebie i patrzył z nieukrywaną wyższością. Wymyśliliśmy z Andrzejem jak się zemścić. Jednego dnia wziąłem kawałeczek bibuły, zwinąłem ją w mały wałeczek, zgiałem ten wałeczek na pół i już był odpowiedni pocisk. Potem wystarczyło założyć na palec wskazujący i kciuk lewej ręki kawałek cienkiej gumki, którą można było szybko i skutecznie schować, umoczyć czubek pocisku w atramencie, wyczekać na odpowiedni moment, kiedy nikt nie zauważy i wycelować w pioniera. Na jego pięknym białym mundurku rozlała się cudowna czarna plama. Krzyku było co nie miara, ale sprawca nie został odnaleziony. Na drugi dzień pionier przyszedł już w normalnym ubraniu. No cóż, wówczas jeszcze nikt nie słyszał o „Vanishu”. W klasie mieliśmy jeszcze jednego Polaka. Był to Zygmunt Kowalewski, który nie miał jednego oka. Nazywaliśmy go „Cyklopem”. Z jednej strony ze względu na kalectwo, a z drugiej, że był prawdziwym herosem jak ci antyczni, bowiem z ogromną pasją dzień i noc czytał książki. Nauczyciele walczyli z tym, bowiem swojego zajęcia nie przerywał nawet podczas lekcji, ale w końcu machnęli ręką zwłaszcza, że dawał sobie radę ze wszystkimi przedmiotami. Zygmunt był najmłodszym spośród trzech braci Kowalewskich, którzy byli już dorośli i wszyscy trzej służyli w AK. Miał też od najmłodszych lat styczność z bronią ale skończyło się to dla niego niezbyt przyjemnie. Kiedyś rozbierał granat, który wybuchł mu w rękach. Musiała to być jakaś wojenna bardzo marna produkcja, bo jedynie wybił mu oko i zmasakrował połowę twarzy ale przecież nie zabił.

Pionier Watażaja

W szkole była Żydówka „Pionier Watażaja” coś w rodzaju naszej harcerskiej drużynowej. Różnymi sposobami: namową, szantażem, przymilaniem się, namawiała wszystkich, by wstąpili do pionierów. Długo opieraliśmy się z Andrzejem i Cyklopem, ale zaczęło się to nagle mocno odbijać na naszych wynikach w nauce. Nie było rady, trzeba się zapisać. Podpisaliśmy te nieszczęsne deklaracje mocno zniesmaczeni tym co uczyniliśmy. Za to Żydówka tryumfowała. Zniosła te deklaracje do pomieszczenia, które zajmowała zwanego „Krasnyj ugałok” - Czerwony kącik, i włożyła do szuflady biurka. Niedługo czekała nas, a właściwie ją kontrola i miała się czym wykazać. Dzień przed kontrolą Cyklop powiedział, abym wyszedł w czasie lekcji niby to za potrzebą. Nie miałem pojęcia po co, ale wyszedłem jak prosił. Po chwili wyszedł za mną. Pilnuj, by nikt nagle nie nadszedł, powiedział i podbiegł do „Krasnogo ugołka”. Po chwili był już w środku. Otworzył szufladę

i wyciągnął nasze deklaracje. Na drugi dzień komisja zawołała nas przed swoje oblicze. Podpisaliście deklaracje o wstąpieniu do Pionierów? Zaprzeczyliśmy zgodnym chórem. Na pewno nie podpisywaliście? Na pewno. Żydówka okazała się w oczach komisji kłamcą. Już jej w szkole nie widzieliśmy. To co zrobiliśmy z Cyklopem było bardzo ryzykowne. W razie wpadki mogło się nawet skończyć tragicznie. Na miejsce zwolnionej drużynowej przyszedł jakiś mężczyzna. Był od niej zdecydowanie gorszy.

Popelnilem przestępstwo

Szkoła nie była jedynym źródłem nauki. W domu odbywały się następne lekcje, już w języku polskim a nauczycielką była mama, która bardzo dbała o to, byśmy nie zapomnieli tego języka słysząc wokół jedynie białoruski i rosyjski. I stało się. Podczas „diktawki” - dyktanda, odruchowo wstawiłem niechcący do wyrazu polską literę. Popelnilem nie tylko błąd, ale wręcz przestępstwo. Nauczycielka pobiegła do dyrektorki szkoły zgłosić je. Wezwano mnie i kazano przyprowadzić mamę. Syn uczy się języka polskiego a to jest surowo zakazane, grzmiała pani dyrektor do mamy następnego dnia, kiedy już zjawiała się w szkole. Ależ skąd pani dyrektor, kto by tam go uczył, my jesteśmy zwykłymi parobkami. Ja nie umiem ani czytać ani pisać. Stara wyga nie dała się zwieść, zostałem skreślony z listy uczniów i trwało parę tygodni zanim po długich staraniach mamy u władz powiatowych przyjęto mnie z powrotem.

Jestem Stasia

W Kołyczkach mieliśmy swoją krowę. Aby zdobyć trochę rubli, mama robiła masło i nosiła je na targ aby sprzedać. Pewnego razu zobaczyła ją nasza dawna pracownica. Ucieszyła się bardzo, i zaczęła z daleka wołać: pani! pani! Mama zamarła, do tej pory nie mieliśmy w Kołyczkach wizyty NKWD a tutaj taka wpadka. Na targu przecież roіło się od szpicli, z pewnością zaraz doniosą, gdzie trzeba. Cicho, jaka pani, Stasia jestem! Kobieta za nic nie mogła pojąć, dlaczego ma mówić mamie po imieniu, przecież to nie wypada, to była jej pani, jej chlebobawczyni, u której nieźle jej się kiedyś wiodło. Pani Wańska z żony oficera Wojska Polskiego przekwalifikowała się na krawcową. Ponieważ w Lidzie, posiadającej dwa lotniska, było wielu oficerów,

a ich żony szyły u niej sukienki, to radziła sobie całkiem nieźle a być może i z tego powodu również nie była niepokojona przez NKWD.

Rozdział II

Aresztowanie Gustka

Nasz Zygmunt znalazł pracę w elewatorze zbożowym, natomiast Gustek w klubie oficerskim, oddziale kulturalnym, pośród urzędników NKWD. Wyświetlał filmy. Pod latarnią miało być bowiem najciemniej. Pewnego dnia nie wrócił jednak z pracy do domu. Czekaliśmy, czekaliśmy i nie doczekaliśmy się. Mama miała jak najgorsze przeczucie, które niestety sprawdziło się. Okazało się bowiem, że spokój od strony NKWD był jedynie pozorny. Dawno już wiedzieli kim jesteśmy a nie czepiali się, bo po co płoszyć ptaszki, gdy są w zasięgu ręki. Aby odfrunęły? Po pracy przyszło do Gustka dwóch panów, kazali mu zamknąć pomieszczenie, gdzie znajdował się aparat projekcyjny i oddać klucze. Nie ukrywali, że czeka go zsyłka, co Gustek przyjął zupełnie spokojnie. Mam jechać, to pojedę ale może byśmy się tak przed wyjazdem napili piwa? Zaprosił ich do kiosku, który znajdował się w klubie. Wymawiali się, bo jakże tak, na służbie, z aresztantem? Kiedy jednak wręczył im po piwie to już wypili bez protestów, życzliwie doradzając, aby nie brał ze sobą zbyt wielu ciepłych rzeczy. Tam gdzie pojedziesz, nie będą ci potrzebne. Było to bardzo dobre posunięcie ze strony Gustka, zaskarbić sobie przychyłność oprawców. Miał on bowiem do załatwienia jeszcze jedną ważną sprawę. Oto przepracował cały miesiąc a nie dostał wypłaty i wyglądało na to, że nie dostanie. Poprosił ich by razem poszli do jego kierownika i zgodzili się. Wypłać mi moje pieniądze, zagadnął bezpośrednio, od jutra już nie będę pracował. Jakie pieniądze? Nic nie jest naliczone i niczego nie dostaniesz. Wypłacisz mi i to zaraz, bo jak nie, to kto inny po nie przyjdzie i spojrzał na towarzyszących mu pracowników NKWD. Kierownik zbladł i szybko zabrał się za naliczanie wypłacając co do grosza. Były to przez dłuższy czas jedyne pieniądze, które mieliśmy. Oczywiście Gustek nie trafił już do domu, tylko do aresztu.

Za dziesięć minut na samochodzie

W dniu, kiedy Gustek został aresztowany, ja miałem zakończenie roku szkolnego. Teraz odbywa się to uroczyscie w pełnej gali i bez zajęć szkolnych. Wówczas mieliśmy normalne lekcje, po których rozdano nam świadectwa i puszczono do domu. Wracaliśmy z Andrzejem ze szkoły snując plany, co

takiego będziemy robili w czasie kanikuły, - wakacji szczęśliwi, że przez okres długich tygodni nie będzie zajęć szkolnych no i zdaliśmy w końcu do szóstej klasy. W domu rzuciłem w kąt związane sznurkiem książki, zjadłem co mi mama dała i poszliśmy z Andrzejem kopać piłkę. Nareszcie luz, nie trzeba będzie rano wstawać i iść do szkoły, ani odrabiać lekcji. Można hasać do samego wieczora. Kiedy już było tak ciemno, że z trudem dostrzegaliśmy piłkę, wróciliśmy do domu. Coś tam zjadłem i zmęczony smacznie zasnąłem. Zdawało mi się, że śpię tylko krótką chwilkę, gdy nagle zbudziły mnie głośne hałasy. Pod naszymi drzwiami stało trzech cywilów i waliło w nie kolbami trzymany w rękach pepesz. Mama otworzyła im i z groźnymi minami wtargnęli do mieszkania. Pierwsze słowa, które usłyszałem brzmiały: „za dziesiąt minut wsie na maszynie” - za dziesięć minut wszyscy na samochodzie. A więc stało się, wszystkie moje plany wakacyjne odfrunęły w nicość. Zresztą, jakie one miały teraz znaczenie? Okrutny, zwierzęcy strach ścisnął mi gardło. Ten ucisk zapamiętam do końca życia. Stałem jak odrętwiały i dopiero drżący głos mamy wyzwolił we mnie wolę działania. „Dzieci, ubierajcie się ciepło”. Mama miotała się po całym mieszkaniu zbierając w koce co jej się nawinęło pod rękę, przede wszystkim żywność i ubrania. Niewiele tego było, byliśmy zupełnie nie przygotowani do wyjazdu. Nawet to, że Gustek nie wrócił na noc do domu nie wzbudziło aż tak strasznych podejrzeń. Chwytałem te napełnione różnymi przedmiotami koce, wiązałem je i nosiłem na ciężarówkę stojącą na podwórzu, poganiany wrzaskami naszych ciemiężców. Skoriej, skoriej - szybciej, szybciej. Marysia zanosila się łzami, a ja z trudem je wstrzymywałem. Pozwolę sobie na nie już na samochodzie, teraz nie ma czasu, trzeba pomagać mamie. Nie wiadomo ile jeszcze będą oni tacy „cierpliwi”. Przypomniałem sobie o książkach. Chwytałem pakunek, który wczoraj rzuciłem w kąt, jeszcze jakieś inne książki i położyłem na koc. Kręciłem się jak oszalały starając się by niczego ważnego nie zapomnieć, gdy nagle usłyszałem tuż nad uchem głośny wrzask : chwatit, chwatit, wychoditie - starczy, starczy, wychodźcie. Przestraszyłem się, że nie zdążę związać ostatniego koca, chwyciłem tylko jego rogi i wybiegłem z nim na dwór. Zobaczyłem jeszcze, że mama zdejmuję ze ściany obraz Matki Boskiej Nieustającej Pomocy, co żołdak skwitował ironicznym uśmiechem i bierze za rękę Marysię. W ciągu niecałych dziesięciu minut, byliśmy na skrzyni ciężarówki. Teraz dopiero mogłem dać upust łzom. Nie chciałem płakać, ale to było silniejsze ode mnie. Przez cały czas czułem ucisk w gardle i w sercu. Będzie mi on towarzyszył przez kilka najbliższych lat, już oni zadbają o to, bym się od niego nie uwolnił. Na podwórku stała cała rodzina Wańskich żegnając nas na drogę. Nie pokazuj wrogowi łez, krzyknął do mnie po polsku Andrzej. Bardzo chciałem, ale to było ponad moje siły. Musiałem ich wylać na raz bardzo dużo, by się w końcu wyczerpały.

Rozprawa sądowa

Zajechaliliśmy do Lidy na komendę NKWD, gdzie zastaliśmy Gustka i Zygmunta. Siedzieli w jednej celi czekając na nas. Zygmunt w tym czasie był już żonaty. Paradoksalnie, jego ślub z Teresą Kulikowską, który miał miejsce 29 września 1951 roku w Lidzie przyczynił się do odnalezienia przez NKWD całej naszej rodziny. Wystarczyło im przejrzeć księgi parafialne. Zygmunt mieszkał wraz z żoną w miejscowości Czechowce koło Lidy, a zabrali go, podobnie jak Gustka z miejsca pracy, czyli z terenu elewatora zbożowego. Jego młoda żona nie była objęta nakazem wywózki a więc jej nie ruszali, chociaż miała prawo wyboru: dołączyć do męża i wyjechać, lub też zostać na miejscu. Wybrała to drugie i pozostała przy matce. A zrozpaczony Zygmunt w ciągu jednej nocy postarzał się o parę lat. Czarną dotychczas głowę dwudziestopięcioletniego mężczyzny przyprószyła siwizna. Z nas wszystkich on najciężej zniósł rozstanie ze swoją żoną i zsyłkę. On też musiał podjąć niezwykle bolesną dla siebie decyzję: jadę sam, by oszczędzić jej cierpień zesłania. Byliśmy z nimi krótką chwilę, po czym zaraz zaprowadzili nas wszystkich do dużej sali, gdzie stał długi stół, przykryty czerwonym suknem. Tak sobie teraz myślę, że była tam sala rozpraw a raczej parodia sali rozpraw i stąd to czerwone sukno. Za stołem siedziało trzech oficerów w mundurach NKWD a my staliśmy przed nimi. Siedzący w środku odczytał wyrok. Jako „wrogowie ludu” zostaliśmy wszyscy skazani (moja siostra Marysia i ja też byliśmy wrogami ludu) na dożywotnie pozbawienie praw obywatelskich i zesłanie. Gdzie nas zsyłacie i za co? Spytała mama. „Mołczać” - milczeć. Pozbawionej praw obywatelskich nie trzeba już było odpowiadać. To gdzie ześlą zależało wyłącznie od nich, my mieliśmy się jedynie dostosować. Jeszcze tylko mama i bracia podpisali, że przyjmujemy ten wyrok do wiadomości oraz, że każda próba ucieczki będzie karana śmiercią: „budiem strielat kak do sobak” - będziemy strzelać jak do psów, warknął ze złością oficer i na tym rozprawa się zakończyła. Czekало nas straszliwe niewiadome.

П Р А Д М Е Т Ы	Ацэнка (адзінкі)				Гадавая	Ацэнка	Агульная
	I чвэрць	II чвэрць	III чвэрць	IV чвэрць	ацэнка	на экзаменах	гадавая ацэнка
1. Беларуская мова	вусная	4	4	4	4	4	4
	пісьмов.	3	3	3	3	3	3
2. Беларуская літаратура		4	4	3	5	4	4
3. Руская мова	вусная	3	4	3	3	4	3
	пісьмовая	3	3	3	3	3	3
4. Руская літаратура		4	4	4	4	4	4
5. Арыфметыка		3	3	3	3	3	3
6. Алгебра							
7. Геаметрыя							
8. Трыганаметрыя							
9. Прыродазнаўства		4	4	3	5	4	
10. Гісторыя		4	4	4	5	4	
11. Канстытуцыя СССР							
12. Фізіка							
13. Геаграфія		4	3	4	4	4	
14. Астраномія							
15. Хімія							
16. Замежная мова		3	4	3	3	3	
17. Фізічнае выхаванне		5	5	5	5	5	
18. Рысаванне		4	4	4	4	4	
19. Чарчэнне							
20. Спевы							
21. Псіхалогія							
22. Логіка							
23. Паводзіны		5	5	5	5	5	
Подпіс класнага кіраўніка	Станіў	Станіў	Станіў	Станіў	Станіў		
Подпіс бацькоў	Станіў	Станіў	Станіў	Станіў	Станіў		

Вынікі навучальнага года (нераведзён у наступны клас, пакінут на другі год сямёму школу, атрымаў паўторна выхаванне на вясню, выключан са школы, выхаванне перанесена на вясню. 1-2-3)

На пастанове Педсавету вуч Козакowski J. нераведзён у 11 клас

Час вучы ў школу ў новым навучальным годзе 1 верасня 1952г.

Мясца кіраўнік Станіў Подпіс бацькоў _____

Oceny z piątej klasy Jana Kozakowskiego

Znowu razem

Podczas rozprawy nie było z nami Zosi. Mama miała cichą nadzieję, że jest ona w miarę bezpieczna u wujka Jana w Pieretańcach, ale ta okazała się wkrótce płonną. Dobrze wiedzieli gdzie jest. Jeden z żołnierzy podszedł do Gustka i zapytał, czy zna najkrótszą drogę do Pieretańców. Znam. A pokażesz nam? Oczywiście. Zabrali go do „Gazika” i pojechali. Aby dojechać z Lidy do wujka Jana, należy przejechać przez wieś Szawry, której mieszkańcy pracowali przed wojną u dziadka Romualda. Nie wiadomo jakim cudem dowiedzieli się oni, że NKWD pojechało po wnuczkę Lubiańca. W czasie drogi powrotnej tłum mieszkańców zatarasował drogę i nie zważając na krzyki żołdaków, że wiozą sprawiedliwie osądzonych wrogów ludu zaczął wrzucać do samochodu woreczki z ziemniakami, zbożem i chlebem, byśmy mieli co jeść w czasie drogi na Sybir. Ci ludzie nie uważają nas za wrogów ludu, odezwał się Gustek do konwojentów i spuścili nieco z tonu, pozwalając zabrać wszystko co zostało wrzucone do samochodu. W Lidzie wjechali na ogrodzone podwórko NKWD. Trwało dłuższą chwilę zanim sprowadzili nas wraz z całym dobytkiem do samochodu. Nawet nikt specjalnie nie pilnował. Szybko wypatrzyłem dziurę w płocie za rogiem budynku. Jedna chwila i już mnie tu nie ma, pomyślałem. Zaraz jednak przyszła refleksja. Nawet jeśli ucieknę to co dalej? Dokąd iść i co robić? Zostałem. Jechaliśmy całą rodziną w stronę dworca kolejowego, gdzie czekał już podstawiony wagon. Jedynym pocieszeniem było to, że po długim czasie rozłąki znowu jesteśmy wszyscy razem. Brakowało jedynie taty. Konwojowało nas dwóch „krasnopagonników”, - żołnierzy czerwonymi pagonami na ramionach i czerwonymi otokami na czapkach. Niespecjalnie przejmowali się swoją rolą, ponieważ obydwaj siedzieli w szoferce a my oczywiście na skrzyni ładunkowej, chłonąc oczami ostatnie widoki znajomych ulic i placów. Siedzieliśmy, nic do siebie mówiąc, bo co tu mówić w takich okolicznościach? Jedynie moje siostry chicho pochlipywały spoglądając to na mamę, to na braci. Gula, która stała mi w gardle tuż po aresztowaniu, rosła teraz wraz z każdym przejechanym metrem, zbliżającym nas do stacji kolejowej. Na szczęście podróż nie trwała długo. Był to zresztą ostatni etap naszej jazdy, który można nazwać podróżą. Kolejny a zarazem kończący ją etap określić można jedynie mianem gehenny.

Zapamiętać jak najwięcej

Tylko dobroci serca zupełnie nam nieznanych i do końca pozostających aminowymi ludźmi możemy zawdzięczać, że dojechaliśmy do

miejsca przeznaczenia żywi. Ale po kolei. Samochód podjechał pod same drzwi wagonu. Żołnierze otworzyli je z hałasem i wrzaskami: „skoriej”, „skoriej” poganiali byśmy co prędzej wdrapywali się do środka. Nie dla wszystkich była to łatwa sprawa, ponieważ drzwi te znajdowały się około półtora metra nad ziemią. Gustek podszedł do pierwszego z brzegu żołnierza i pokazał mu list pochwalny, który dostał z NKWD za uratowanie życia rannej Poliny, sekretarz „Sielsowietu” z Posiedzi. Wy nas tak traktujecie, a my ratujemy życie waszym ludziom! Ten spojrzął na ten dokument, podarł go, rzucił pod nogi i pogroził Gustkowi kolbą od karabinu, by nie zwracał mu głowy takimi bzdurami Wskoczyłem pierwszy i cofnął mnie zaduch bijący z jego wnętrza. Wagon wypełniony był szczelnie ludźmi (norma na jeden „Tielatnik” - wagon dla cieląt wynosiła 50 osób), którzy z pewnością musieli tam już czekać dłuższy czas. Jakiż ja byłem naiwny. Zaduch to dopiero na nas czekał, kiedy przy zamkniętych drzwiach, podczas postoju na stacjach „biło” w niczym nie osłonięty dach pałące słońce. To jednak dosyć daleka przyszłość. Nasi towarzysze niedoli odsunęli się jak mogli od drzwi robiąc nieco luzu, bracia wrzucali tam nasze rzeczy a ja odstawiałem je dalej, robiąc miejsce na następne. Powsadzali obie nasze siostry, pomogli wejść mamie i w tym momencie drzwi wagonu zatrzasnęły się z łoskotem. Nie było czasu nawet przez chwilę pomyśleć co się dzieje a już było po wszystkim. Ogarnął mnie półmrok. Dopiero po chwili oczy przyzwyczyły się do niego i z boków wagonu ujrzałem rzędy prycz, a pod samym sufitem małe, zakratowane okienko. Po chwili leżałem już na najwyższej pryczy spoglądając, co dzieje się na zewnątrz. A działo się wiele. Cały pociąg obstawiony był żołdatami, którzy grożąc karabinami nie dopuszczali do niego tłumy ludzi, znajdującego się na stacji, oraz między torami. Byli to ci wszyscy, którzy przyszli żegnać swoich najbliższych czy znajomych. Musieli stać w odległości co najmniej 100 m. od pociągu, aby nie można się było porozumieć. Pośród osób stojących między torami zauważyłem swojego wujka Jana Lubiańca, od którego została zabrana Zosia. Ponieważ był przy tym Gustek, więc wujek wiedział dokładnie, że będą nas wywozić. Zebrał, ile mógł ciepłych ubrań, zgromadził żywność i nie żałował koni by zdążyć przed odjazdem pociągu. Niestety, jego działania okazały się bezowocne. Widział nasz przyjazd, wystarczyło dwie minuty, by podać to co przywiózł, ale mu nie pozwolono. Stał więc i patrzył bezsilnie na szczelnie zamknięte drzwi wagonu, do którego nas zamknęli. Po chwili zobaczyłem też swojego kolegę z klasy, Zygmunta Kowalewskiego – „Cyklopa”. Widział moją twarz w okienku i usilnie starał się by coś mi przekazać, dając jakieś znaki. Niestety, nie mogłem zrozumieć o co mu chodzi, chociaż wlał mi w serce nieco otuchy. Zygmunt ma trzech braci, wszyscy są żołnierzami AK. Z pewnością nie pozwolą, by nas tak wywieźli jak bydło. Zaraz odbiją pociąg i znowu będziemy wolni. Uczepiłem się tej myśli, jak ostatniej deski ratunku, i robiła mi się nieco lżej na duszy. Musiałem mieć naprawdę nieszczęśliwą minę, bo nasz Zygmunt popatrzwszy na mnie powiedział:

„nareszcie nie będziemy musieli się ukrywać i jesteśmy razem”. Pocięszal nas wszystkich, a przecie to jemu z całej naszej szóstki było najciężej. To on zostawił swoją rodzinę, swoją ukochaną żonę i wyjeżdżał, podpisawszy na siebie cyrograf. Nie minął rok od czasu, gdy zawarł związek małżeński a oto nie ma już najbliższej sobie osoby, która co prawda mogła jechać z mężem, ale przecie postanowił inaczej. Została więc na miejscu. A Zygmunt nie jest już obywatelem państwa, w którym mieszka i nie posiada żadnych praw, oraz nigdy nie wróci z zesłania. Będą go traktować jak psa i jak psa zastrzelą gdyby naruszył wyznaczone przez oprawców reguły. Był on jednak najstarszy z całej naszej piątki i czuł się za nas odpowiedzialny, w pewnym sensie zastępował nam tatę, o którym nie wiedzieliśmy czy w ogóle żyje a jeżeli tak, to gdzie się znajduje? Konspiracja wykluczała jakikolwiek kontakt. Patrzyłem przez to swoje okienko i żegnałem się z tym, co zostawiałem, co kochałem, co było treścią mojego dotychczasowego życia. Żadne słowa otuchy, nawet najbardziej szczere, płynące od kochanej osoby nie mogły przywrócić spokoju ducha. W takim jak ja stanie znajdowali się wszyscy w wagonie, ale o tym za chwilę. Chłonałem całym sobą znajome widoki, starając się zapamiętać jak najwięcej. Na długo musiało to mi wystarczyć. Wbrew wszelkiej logice chciałem by pociąg już ruszył i żeby ta zsyłka już się zaczęła. Może się prędzej skończy? Jakby na moje życzenie, lokomotywa szarpnęła wagonami i ruszyliśmy do przodu powoli nabierając pędu.

Panie Boże dopomóż

Jedziemy do naszego przeznaczenia. Nagle pociąg gwałtownie stanął zderzając się wagonami. Serce podskoczyło mi z wrażenia. Nic, tylko bracia Zygmunta przyjechali nas odbić. To z pewnością oni, bo oto drzwi wagonu gwałtownie się otwierają. Niestety. Naszym oczom ukazał się wojskowy gazik. W nim czterech żołnierzy NKWD i jeden młodzieńki marynarz „Wojennej Morskiej Floty” - Wojennej Morskiej Floty. Jeden z żołnierzy zerwał marynarzowi z głowy czapkę i wyrwał z niej czerwoną gwiazdę a drugi zabrał mu pas. Następnie czapkę i samego marynarza wrzucili do środka wagonu. Teraz drzwi zatrzasnęły się już na dobre. Okazało się, że tym marynarzem jest Michał Kurowski, elew szkoły podoficerskiej w Kłajpedzie, a w środku naszego wagonu znajduje się jego rodzina, czyli rodzice i dwie młodsze siostry. Okazał się niegodnym służenia w Armii Czerwonej, podczas gdy jego najbliżsi zostali skazani na katorgę. Kiedy już „załadowano” Michała, pociąg ruszył na dobre. Mijaliśmy właśnie wysoki nasyp kolejowy, jakże dobrze mi znany z ostatniej zimy, kiedy zjeżdżałem po nim na nartach gdy w naszym wagonie a myślę, że i w całym pociągu rozległ się rozpaczliwy krzyk a potem płacz.

Płakali wszyscy: dzieci, kobiety a także potężnie zbudowani, budzący respekt swoim wyglądem mężczyźni. Trwało to dłuższy czas, po czym głośny lament zaczął zmieniać się stopniowo w cichy szloch, a ponad niego wybił się spokojny głos naszej mamy: Wierzę w Boga Ojca wszechmogącego, stwórcy nieba i ziemi, i w Jezusa Chrystusa, Syna Jego Jedyne, Pana naszego, który się począł z Ducha Świętego....

Płacz zamilkł, ludzie zaczęli przyłączać się do modlitwy różańcowej rozpoczętej przez mamę i po chwili wszyscy już odmawiali ją zgodnym chórem. Polecali Panu Bogu spojrzeć na rozpaczę, swoje porzucone domy i rodziny, swój strach przed nieznanym okrutnym krajem, który zbliżał się wraz z każdym obrotem kół wagonów i oddawali się Jego opiece. Takie zachowanie nie było niczym dziwnym. Wywózki trwały już przecież od 1936 roku i nikt ze znanych dorosłym z naszego wagonu wywiezionych jeszcze z zesłania nie wrócił, byli więc przygotowani na najgorsze. W pewnej chwili wydawało mi się, że oto modlitwa nasza została wysłuchana. Pociąg zaczął zwalniać. To pewnie partyzanci go zatrzymują, przemknęło mi przez myśl i rzuciłem się do okienka. Kolejny zawód, żadnych partyzantów, żadnych strzałów ani krzyków. Lokomotywa ledwie sapała wciągając pełen skład na wysokie wzniesienie, a po osiągnięciu szczytu znowu ruszyła pełną parą. Cofnąłem się od okienka i wtuliłem głowę w służącą mi za poduszkę kurtkę.

List do żony

Pod moją pryczą, na samym dole wraz ze swoimi rodzicami siedział młody chłopak. Prędko okazało się, że ma tyle lat co ja, czyli czternaście i nazywa się Andrzej Mickiewicz. Wspólne nieszczęścia bardzo szybko jednoczą ludzi. Nie trwało długo a już leżał obok mnie, na górnej pryczy przy okienku. Do końca naszej długiej podróży już się nie rozstawaliśmy. Pociąg przeważnie pędził przez mijane stacje wcale na nich nie stając. Jeżeli już stawał, to albo ładowano do poszczególnych wagonów dodatkowych skazańców, albo też doczepiano kolejny wagon wypełniony ludźmi. Na niektórych stacjach pociąg zatrzymywał się na dłużej, drzwi wagonu otwierały się i żołnierze wręczali jednemu z mężczyzn dwa wiadra. Szedł z nimi po zupę a raczej namiastkę zupy, wodnistą ciecz, w której pływało kilka krup jakiejś kaszy a na wierzchu widoczne były małe oczka tłuszczu roślinnego. Kiedy już ta zupa została dokładnie podzielona pomiędzy wszystkich pasażerów wagonu, z tymi samymi wiadrami, ten sam człowiek szedł po przegotowaną wodę – „kapiatok”. To było całodniowe wyżywienie na pięćdziesiąt osób. Nie zawsze. Zaraz na początku podróży nasz wagon został ukarany a to za sprawą naszego Zygmunta. Napisał on list do żony, złożył go wojennym zwyczajem w trójkąt i jak pociąg ruszył

wyrzucił na peron. Był to zwyczajowy sposób komunikowania się z rodziną. Każdy kto znalazł taki list, wrzucał go do skrzynki a poczta dostarczała do adresata, mimo zakazu władz i braku znaczka pocztowego. Pod tym względem ogół społeczeństwa radzieckiego był bardzo solidarny ze skazanymi. Zgodnie z ogólnie znanym powiedzeniem, ludzie w Związku Radzieckim dzielili się na tych, którzy już siedzieli, tych którzy siedzą i tych, którzy będą siedzieć. A więc dzisiaj ja pomogę tobie a jutro sam mogę potrzebować pomocy. O dziwo, wszystkie listy, które Zygmunt wysłał w ten sposób doszły do jego żony z wyjątkiem jednego. Kiedy strażnik zobaczył wypadający list, wyskoczył na peron, podniósł go i wrócił do wagonu a konkretnie do swojej budki strażniczej, która była przyczepiona do jego tylnej ściany. Na drugi dzień, kiedy pociąg zatrzymał się w Orle za karę nie dostaliśmy zupy. Kiedy Gustek zapytał strażnika, czemu nie dostaliśmy naszego przydziału odpowiedział, że to przez list, który wyrzuciliśmy w Brańsku. Ale nie martwcie się dodał. Zupa została wam zabrana, ale „kipiatok” dostaniecie. Gustek poszedł i przyniósł dwa wiadra wody. Łaskawość naszych strażników była doprawdy oszałamiająca. Wyjścia po zupę, czy po wodę odbywały się zgodnie z raz przyjętym ceremoniałem. Podczas otwierania drzwi wagonu trzech żołdatów miało lufy karabinów skierowane w nas, a konwój odbywał się w ten sposób, że dwóch żołnierzy szło po bokach niosącego wiadro a jeden z tyłu oczywiście przez cały czas celując w niego. Podczas jednego z takich wyjść, Zygmunt dowiedział się, że w wagonie obok naszego znajduje się siedmioosobowa, dobrze nam znana rodzina Kondratów. Kto by się wówczas spodziewał, że po latach, kiedy już po wielu przeżyciach wróciliśmy szczęśliwie do Polski, Franciszek Kondrat zostanie moim szwagrem.

Makata

Warunki sanitarne w wagonie były straszne. Oczywiście nie było żadnego zaplecza sanitarnego. Rolę ubikacji pełniła dziura w podłodze zrobiona tuż naprzeciw drzwi do wagonu. Zaraz na początku podróży nasza mama wyciągnęła zabraną z domu, ręcznie haftowaną makatę. Ktoś inny dał jakiś koc, mężczyźni zrobili rusztowanie, do którego przyczepiono te prowizoryczne zasłony co pozwoliło w bardzo co prawda ograniczony sposób zachować intymność tego miejsca. Jeszcze dwa zdania na temat makaty. Mama utkała ją będąc jeszcze panną. Na środku pięknej wzorzystej tkaniny widoczny był, a właściwie powinienem napisać „jest”, monogram S.L. czyli Stanisława Lubraniec. Dlaczego „jest”? Ponieważ makata, spełniwszy swą doniosłą rolę jako ściana wagonowej toalety służyła nam później do przyozdobienia, w

chwilach szczególnie uroczystych, naszego domku w Kazachstanie, wróciła z nami do Polski i do chwili obecnej, jako pamiątkę rodzinną, pieczołowicie przechowuje ją w Pieszycach moja siostra Zosia. Oczywiście nie było papieru toaletowego ani wody, będącej na wagę złota albo jeszcze dosadniej na wagę życia i odór dochodzący z tej „toalety” był porażający a zapewne i odór dochodzący od nas, którego my aż tak bardzo nie czuliśmy. Żołnierz jednak, który otwierał drzwi wagonu cofał się zawsze ze wstrętem a przecież żołdacy - żołnierze, nie należeli do ludzi przesadnie dbających o higienę osobistą.

Kierownik wagonu

Początkowy etap jazdy, to oprócz przygniatającej rozpacz, ogólny rozgardiasz. Ludzie nie byli zorganizowani. Na szczęście w naszym wagonie znalazł się pewien mężczyzna. Słusznej budowy ciała, stanowczy poważny i budzący szacunek. Nazywał się Łukaszun i był przed wojną nauczycielem oraz harcmistrzem, miał więc przygotowanie do organizowania życia w warunkach mało sprzyjających. W pewnym momencie zabrał głos i przemówił do wszystkich w wagonie. Czeka nas długa droga w bardzo ciężkich warunkach, musimy się zorganizować, bo inaczej jej nie przetrwamy. Proponuję, żeby wszyscy, którzy posiadają jakąkolwiek żywność oddali ją. Będziemy się dzielili po równo. W ten sposób ci, którzy mają jej bardzo mało albo wcale też dostaną szansę na przeżycie. Wszyscy zaakceptowali ten pomysł, mało tego, Łukaszun stał się od tej pory nie kwestionowanym kierownikiem wagonu. On też doradził Zygmuntovi, aby listy wyrzucał z wagonu wówczas, gdy pociąg już nabierze prędkości i wartownik schowa się do swojej budki. Wówczas nawet gdy zauważy list to i tak nie będzie mu się chciało z niej wychodzić. Oczywiście miał rację, nigdy już, do końca podróży nie zostaliśmy ukarani w ten sposób. Ponieważ tylko ja z Andrzejem miałem dostęp do okienka, to naszym zadaniem było odczytywanie i zapamiętywanie nazw mijanych stacji. W ten sposób, mówił Łukaszun, zorientujemy się dokąd nas wiodą. Zadanie nie było trudne, ponieważ znał on doskonale geografę, a ponadto w moich bagażach były podręczniki do klasy piątej, w tym podręcznik geografii i mapa Związku Radzieckiego, która teraz bardzo się nam przydała. Pilnie wypatrywaliśmy tych nazw, i nie zdarzyło się, byśmy nie zdołali odczytać. Nawet, gdy pociąg pędził przez stację pełną parą, to i tak dawaliśmy radę.

Nie miała szczęścia

Na jednej ze stacji, z jakiegoś wagonu wyniesiono potężnej postury mężczyznę. Pomimo całkowitej zdawało by się izolacji, coraz więcej wieści z innych wagonów dochodziło do nas. Ludzie uczyli się porozumiewać mimo obecności strażników. Mężczyzna ten, zapewne z powodu strasznych warunków sanitarnych dostał obstrukcji i zdawało się, że nic go nie uratuje. Zniesiono go do drugiego od lokomotywy wagonu (pierwszy zajmował komendant pociągu wraz z załogą), gdzie była izolatka. Rzucono na podłogę i przestano się nim interesować. Po dwóch dniach, kiedy pociąg stanął na jednej ze stacji, żołnierze weszli do izolatki aby pozbyć się – jak nie trudno było przewidzieć, trupa. Jakież było ich zdziwienie, gdy zastali siedzącego pod ścianą wagonu ozdrowieńca, który o własnych siłach wrócił do swojego poprzedniego wagonu. Takiego szczęścia nie miała pani Biblis, która jechała w naszym wagonie. Była to kobieta przeszło osiemdziesięcioletnia, słusznego wzrostu i tuszy. Wraz z nią jechał jej syn Kazimierz też już w starszym wieku, miał bowiem około sześćdziesięciu lat. Mniej więcej w połowie drogi powiedział nam, że jego mama umiera. Leżała cichutko i nierówno oddychała. Mama obejrzała tą panią, zmierzyła jej puls i skinęła smutnie głową. Nie miała ta pani szczęścia. Gdyby kres jej życia nastąpił dwa, trzy tygodnie temu, mogła by odejść w spokoju, pomiędzy swoimi, zapewne opłakana i godnie pochowana jak przystoi chrześcijanom. Co ją tutaj czekało? Nie wiadomo. Kiedy na stacji Łukaszun powiadomił strażnika o zdarzeniu, ten poszedł do komendanta i po jakimś czasie przyjechał samochód pełniący rolę karetki pogotowia. Zniesiono panią Biblis na noszach do tej karetki i pociąg pojechał dalej. Oczywiście jej los nie jest znany, ale nie trudno się go domyślać. Jedyne co nam pozostało, to poświęcić jej duszy kilka modlitw różańcowych, co też zrobiliśmy, oczywiście jak zwykle pod mamy przewodnictwem. Tam, dokąd ją zabrano z pewnością nikt się za nią nie pomodlił. Za to syn, mimo też już podeszłego wieku przeżył zesłanie i po powrocie osiedlił się w Nowej Soli. To był bardzo zahartowany przez życie i prawy człowiek. Słuchaliśmy go wszyscy, podobnie jak Łukaszuna, nawzajem obydwoj się uzupełniali. Zawsze był chętny, jeżeli tylko trzeba było komukolwiek coś pomóc.

Wjeżdżamy do Azji

Dla mnie podróż była istną kaźnią, nie dosyć, że strasznie dokuczał mi głód, bo równo podzielone na wszystkich zapasy dawno już zostały zjedzone, (niektórzy mieli co prawda jeszcze ziemniaki, ale i tak nie było gdzie

ich ugotować) to nie mniej straszny dla mnie był brak ruchu. Już prawie dwadzieścia dni nie wychodziłem na zewnątrz wagonu, czułem, że ta bezczynność mnie dobija. Ile można, zabijając czas, rozmawiać o jednym i tym samym z Andrzejem. A swoją drogą to i tak miałem szczęście, że go spotkałem. Zawsze to jednak było nieco raźniej przebywać niż tylko z moim rodzeństwem, tak różnym przecież wiekowo. Pewnego dnia pociąg jechał przez bardzo długi most, jechał całkiem wolno, ponieważ most bujał się na boki wraz z pociągiem jakby w każdej chwili miał się przewrócić. Jak zwykle byliśmy z Andrzejem na posterunku. Dotyczyło to zresztą każdej sytuacji. Kiedy stawaliśmy gdzieś na stacji, lub zobaczyliśmy coś ciekawego za oknem to od razu mieliśmy obowiązek meldować o tym pozostałym. Byliśmy oczami wszystkich w zabudowanym ze wszystkich stron wagonie. Wracając do mostu. Łukaszun zastanowił się chwilę i oznajmił, że oto przekraczamy granicę kontynentu. Za chwilę będziemy w Azji. Zaczęły potwierdzać się nasze przypuszczenia, że nie będziemy wywiezieni w tajgi Sybiru na „Białe Niedźwiedzie”, a na południe, gdzie nie ma przecież zabójczych mrozów. Ze skrajnego przygnębienia przeszedłem w stan prawie radości. Snuliśmy z Andrzejem plany, że wraz z Kazachami zajmiemy się hodowlą koni. Wracała nadzieja na godne i ciekawe życie. Niedługo rzeczywistość okrutnie ją zweryfikuje.

Zaczyna się pustynia

W Uralsku był przeszło trzygodzinny postój. Dostaliśmy tam zupę o dziwnym czerwonym kolorze. Okazało się, że jest to zupa pomidorowa, której nikt u nas nie znał. Mało tego, nikt, oprócz naszej mamy pomidorów nie uprawiał. Nawet mi smakowała, ale wówczas smakowała by mi każda, głodny żołądek nie wybiera. Jechaliśmy w stronę Aralska. Nieraz pociąg nie zatrzymywał się przez całą dobę. Krajobraz za naszym okienkiem zmienił się radykalnie. Zaczęła się pustynia. Żadnej zieleni na odcinkach wielu kilometrów. Nastąpiło jakby ulżenie naszej sytuacji. Co prawda zaczęły nas gnębić coraz większe upały, ale z drugiej strony, podczas wyczekiwania na bocznych torach, aż przejedzie pociąg jadący z przeciwnego kierunku można było wyjść po dwie, trzy osoby z wagonu w celu załatwienia potrzeb osobistych. Oczywiście cały czas pod lufami karabinów z surowym przykazaniem by się nie oddalać a ponadto, by na komendę „pagoń” - padnij, natychmiast upaść na ziemię. Chodziło o to, by w razie próby ucieczki nie ranić, czy nie zabijać tych, którzy nie uciekali. Ostrożność żołnierzy była mocno na wyrost. Wokół przecież była pustynia bez żywego ducha, wszyscy byli maksymalnie zagłodzeni, bez zapasów żywności i wody. W takich okolicznościach próbę ucieczki podjął by zapewne człowiek, który od przebytych cierpień pozbył by się całkowicie

możliwości oceny sytuacji. Oczywiście nikt nawet nie próbował szczęśliwy, że mógł na chwilę chociaż postawić stopy na ziemi. Takie postoje zwykle nie były długie. Kiedy jadący z przeciwka pociąg zbliżał się do rozjazdu, zaganiano wszystkich do wagonów i po chwili jechaliśmy w dalszą drogę.

„Łaskawość” strażników

Kiedy dojeżdżaliśmy do Aralska, zaczęły się pokazywać nikłe skupiska zieleni. Zaraz przy nich widać było ludzi jadących na wielbłądach. Przed samym miastem pociąg jechał wzdłuż Jeziora Aralskiego i suche powietrze nieco się orzeźwiło. W samym Aralsku pociąg zatrzymał się i otworzono nam drzwi. Zaczęły do nas podchodzić kobiety w strojach kazachskich i ogromnych chustach, spod których wystawały im tylko oczy i czubek nosa. W rękach niosły duże wiklinowe kosze. Strażnicy pozwolili dokonać zakupów. Była to jedyna, podczas naszej drogi na zsyłkę okazja aby to zrobić. Kupowaliśmy suszoną rybę i suszony ser w kulkach wielkości kurzego jajka. I jedno i drugie było niesamowicie słone. Mama wydała na to resztę naszych pieniędzy. Inni zrobili podobnie. Wydawali wszystko co mieli, a ci którzy już nie mieli gotówki pozbywali się swoich rzeczy a nawet pamiątek rodzinnych, byle tylko choć na chwilę zapomnieć o głodzie. Teraz myślę, że pozwolenie nam na dokonanie tych zakupów było z pewnością celowym działaniem ze strony naszych okrutnych ciemiężców. Miało nas wycieńczyć już do końca i tak się stało. O mały włos ta dodatkowa żywność nie spowodowała, że cały nasz transport nie umarł by z pragnienia. Z jednej strony dali nam możliwość dokonania zakupu bardzo słonego jedzenia, a z drugiej nie dostarczyli wody. W dusznym, zamkniętym wagonie przy temperaturze powietrza przekraczającej 40 st. Celsjusza zaczynaliśmy się wprost dusić. Zarówno ryba jak i ser były tak twarde, że w żaden sposób nie można było ich ugryźć. Trzymaliśmy je w ustach, mimo że sól paliła w język i policzki, ssaliśmy i czekaliśmy aż nieco zmiękną, zanim udało się przełknąć. Niemal natychmiast po spożyciu tych „specjałów” odezwało się gwałtowne pragnienie. Pociąg jechał pomiędzy wzgórzami piasku, wyglądającymi jak wielkie wydmy a ja wyobrażałem sobie, że są to ogromne śnieżne zaspasy, które w pewnym momencie zbliżą się tak do wagonu, że będzie można chwycić kawałek śniegu i włożyć go sobie do ust.

Wycelował w moim kierunku

Aby znaleźć chociaż troszeczkę ulgi, wcisnąłem głowę pomiędzy kraty i po paru wysiłkach zdołałem precyzyjnie ją na drugą stronę. Teraz mogłem czuć leciutki powiew owiewającego mnie, delikatnego wiatru, no i nareszcie, po wielu dniach oddychałem świeżym powietrzem, nie skażonym wyziewami wydobywającymi się z naszej prowizorycznej toalety. Ponadto mogłem też spoglądać do przodu i do tyłu pociągu a nie tylko na wprost przez okienko. Wiedziałem, że za lokomotywą jest wagon komendanta pociągu, majora NKWD, oraz pozostałych naszych strażników i co chwilę tam zerkałem. Drzwi do niego były otwarte, a więc mieli porównaniu z nami pełny komfort jazdy. Z pewnością nie było im tak duszno. Po chwili zauważyłem, że stanął w nich sam komendant, ubrany tylko w spodnie, bez munduru i spoglądał na pustynię. Życzyłem mu, żeby wypadł z tego wagonu prosto pod koła pociągu, ale moje życzenia na nic się nie zdały. Stało się natomiast coś innego. W pewnym momencie pociąg zaczął pokonywać lekki łuk i widok na poszczególne wagony był bardzo dobry. Miało to ten skutek, że komendant, spojrzawszy do tyłu pociągu zauważył w okienku moją głowę i cofnął się do środka wagonu. Czyżby się mnie wstydził, bo jest rozebrany? Pomyślałem naiwnie i nie przeczuwając niczego nadal patrzyłem na ten wagon. Po chwili pokazał się znowu w otwartych drzwiach. Już był w mundurze i miał na sobie pas z przypiętym pistoletem. Spojrzał na mnie a następnie szybkim ruchem wyciągnął pistolet i wycelował w moim kierunku. Przerażony, szarpnąłem głowę do tyłu. Przeszła przez kraty, ale poczułem przy tym silny ból. Okazało się, że naderwałem sobie obydwie uszy, z których zaczęła lecieć krew. Później nieraz o tym myślałem: chciał mnie zastrzelić, czy tylko postraszyć? Tak naprawdę, to miał prawie zerową szansę, żeby trafić w moją głowę, bo odległość była spora a pociąg trząsał się podczas jazdy, ale kto by ryzykował czekając na strzał?

Wot ja i wracz

Oglądając krajobraz, i wagon komendanta zapomniałem nieco o pragnieniu. Teraz wróciło ono z podwójną mocą. Bolał mnie spieczony język, który zrobił się zupełnie suchy jak wiór drewna, bolało gardło i czułem potężne ssanie w żołądku. Te kilka kęsów słonego pożywienia nie zaspokoilo głodu a przeciwnie, pobudziło soki żołądkowe i jeszcze bardziej wzmogło apetyt To była prawdziwa męka, której też nie zapomnę do końca życia. Organizm, nasączony solą domagał się picia, wszystkimi jego zmysłami. Okazało się że nie tylko mój. Ze wszystkich wagonów słychać było głośne wołania

spragnionych ludzi. Dopóki pociąg jechał, przez szpary wagonu dostawało się nieco powietrza i ludzie jakoś wytrzymywali. Dojechaliśmy szczęśliwie do stacji kolejowej w Kyzyl Ordzie. Po kilku minutach postoju, nasza mama przewróciła się na podłogę. Serce zamarło mi z przerażenia. Byłem przekonany, że umarła. Rzuciłem się do niej ze swojej górnej pryczy, a wraz ze mną bracia i siostry, nie wiedziałem co robić. Na szczęście był z nami Łukaszun, odsunął nas od mamy, która leżała bardzo blada i wydawało mi się, że nie oddycha, położył jej dwa palce na szyi a potem spokojnie powiedział. Żyje, to tylko omdlenie. Krzyczcie głośno na strażników i kopcie w drzwi wagonu, to może przyjdą. Jeszcze nigdy w życiu tak głośno nie krzychałem, moje rodzeństwo zapewne też. Pomagali nam również inni, cały wagon wrzeszczał ile tylko mógł. Po chwili dało to oczekiwany skutek. Drzwi otworzyły się i Łukaszun zaczął rozmawiać ze strażnikiem, po czym ten na nowo zamknął drzwi wagonu i poszedł sobie. Po chwili w ponownie otwartych drzwiach pojawił się sam komendant pociągu. Ubrany był w biały lekarski fartuch. Wdrapał się do wagonu, spojrzał na mamę i swoimi paluchami odsłonił jej zamknięte powieki. Przyniesie wody, powiedział do stojącego na zewnątrz żołnierza. Kiedy przyniesiono mu wiadro wody, chlusnął nim na mamę, która po chwili otworzyła oczy. „Wot ja i wracz” – jestem lekarzem, powiedział zadowolony z siebie i poszedł. Zaraz potem przyniesiono wodę do naszego wagonu jak i do pozostałych, była to jednak mała kropla w oceanie naszych potrzeb. Szczęśliwie zapadła noc, która przyniosła nieco ulgi, ale spać nie mogłem, podobnie jak inni w wagonie, po spożyciu tych kazachstańskich specjałów. Co chwilę budziłem się, a co zamknąłem oczy, to widziałem naszą rzekę w Pietraszuńcach, która oddalała się w miarę, jak chciałem do niej podejść, kubły z chłodną wodą z naszej studni, które zawsze stały w kuchni na ławie i naszą kucharkę, odpychającą mnie od tej wody. Kiedy już zdawało mi się, że ją przechytrzę i nie czekając na jakieś naczynie zanurzę w niej głowę, budziłem się i docierała do mnie cała groza sytuacji. To było nie do zniesienia a najgorsze dopiero nas czekało.

Niespodziewany ratunek

Rano dojechaliśmy do Taszkientu. Pociąg zatrzymał na boczniczy. Z mojego okienka widziałem, jak wysoko nad horyzontem wstaje słońce i bije od niego dziwny jasny blask. Niespotykane zjawisko, czemu to słońce nie wstaje z ziemi, jak u nas, tylko gdzieś z góry, myślałem leniwie na pół przytomny z pragnienia. Dopiero w późniejszym czasie sprawa się wyjaśniła. Słońce wychodziło zza wysokich gór Tien Szan, a biała poświata spowodowana była

odbijaniem promieni słonecznych przez lodowiec. Panie Boże, gdybym ja to wówczas wiedział, to poleciał bym tam na skrzydłach. Tyle wody w jednym miejscu i nikt tam jej nie pragnie, niesamowite. Pociąg obstawiony był przez strażników i nawet kolejarze nie mogli do niego podejść a z góry okrutne, pustynne słońce grzało bez opamiętania aż deski na dachu wagonu zrobiły się gorące. Cierpieliśmy wszyscy ogromne męki, czekając jak na zbawienie na każdy przejeżdżający obok pociąg. Wówczas można było przynajmniej poczuć jakiś ruch powietrza, który dawał złudzenie ochłody. W Taszkencie staliśmy na tym prażącym słońcu cały dzień. Łukaszun doradził nam, byśmy maksymalnie oszczędzali siły. Każdy miał się położyć i jak najmniej ruszać by przetrwać do wieczora aż upał nieco ustąpi. Tylko w ten sposób mieliśmy jakąś szansę na przeżycie. Jak powiedział, tak też zrobiliśmy. Nikt się nie odzywał i nikt już nie wzywał pomocy. Nie wiadomo ilu ludzi było już nieprzytomnych a ilu jeszcze świadomych. Ja straciłem zupełnie rachubę czasu. Trudno mi teraz powiedzieć, czy spałem, czy też traciłem przytomność. Obudził mnie stuk kamienia o ścianę wagonu, potem już coraz więcej tych stuków i jakieś krzyki. „Za czym żywych ludei muczajetie” – dlaczego żywych ludzi męczycie, udało mi się zrozumieć. Z wysiłkiem wyjrzałem przez okienko. Zobaczyłem, że z boków wagonu stoją jacyś mężczyźni i rzucają kamieniami w wartowników, którzy co prędzej uciekają do swojego wagonu. Nie uwierzyłem w to co zobaczyłem i pewny, że znowu śnię, położyłem się z powrotem. To nie był sen. Po chwili usłyszałem tuż pod okienkiem jakiś męski głos mówiący po rosyjsku: „spluskaj sznurok” - spuszcza sznurek. Szczęśliwie miałem kawałek sznurka, i wypuściłem go na zewnątrz wagonu. Raptem poczułem, że jest obciążony i usłyszałem „tiani” - ciągnij. Zacząłem go ciągnąć do góry. Moim oczom ukazała się wielka litrowa butelka pełna wody. Przytknąłem ją do ust i piłem gwałtownymi łykami. Nie wiem ile udało mi się wypić bowiem zaraz ktoś wyrwał mi ją z dłoni. Nie protestowałem. To była woda życia, inni też jej potrzebowali. Po chwili byłem już na tyle przytomny, by zorientować się, że całe usta mam wypełnione piaskiem. Co tam piasek ważne, że się napiłem. Po chwili butelka wróciła do mnie pusta i spuściłem ją na dół. Przez całą noc, wokół pociągu kręcili się ludzie i donosili nam wodę, którą czerpali z pobliskiego „aryka” - strumyka nawadniającego pola. Jeden z naszych wybawców stał chwilę przy okienku i można było porozmawiać. Powiedział, że jeszcze za dnia, po Taszkencie rozeszła wieść, że w pociągu, stojącym na słońcu są zamknięci ludzie, którzy tam umierają z pragnienia. Kiedy było jeszcze widno, ludzie bali się podejść, ale po zapadnięciu zmroku przegonili naszych strażników kamieniami i zorganizowali pomoc, która przyszła w ostatniej chwili. Gdyby nie odważni i współczujący ludzkiemu cierpieniu mieszkańcy Taszkentu, prawdopodobnie połowa zesłańców nie dożyła by rana. Powierzaliśmy się Panu Bogu wyjeżdżając z Lidy i oto zdarzył się kolejny cud, podobnie jak wówczas, gdy Noe prowadził swój lud przez pustynię przed tysiącami lat. Będąc już w Polsce nieraz wspominaliśmy naszą podróż. Opowiadałem, jak przez całą noc

ciągnąłem sznurkiem butelki z wodą do wagonu. Mama i rodzeństwo patrzyli na mnie zdziwieni. Oni tego nie pamiętali, nie byli w stanie. Może i dobrze się stało, po co mieć w swojej świadomości taką traumę?

Opuszczamy pociąg

Rankiem ruszyliśmy w dalszą podróż. W Kazachstanie nie ma żadnej wilgotności powietrza, zero procent, a tu nagle wyraźnie czuć było zmianę klimatu, jakby się wjechało w przezroczystą mgłę, której nie widać. Okazało się, że jest to zasługa bawełny, która pobiera wodę z nawadniających pola aryków i paruje. Nawet ta minimalna ilość pary wodnej w zupełnie suchym powietrzu dała się od razu wyczuć. Dojechaliśmy do Syr Darii, niewielkiego miasteczka leżącego nad rzeką o tej samej nazwie. Odtąd już coraz częściej zaczęły pokazywać się na pustyni kawałki zieleni a na nich stada owiec i koni. Ze zdziwieniem zobaczyłem też równe rzędy rosnących ziemniaków. Tak mi się zdawało, że to ziemniaki, ponieważ nigdy jeszcze nie widziałem rosnącej bawełny. Jechaliśmy, jak wyglądało z naszej mapy w kierunku zachodnim przez stacje Jangi Jul i Pyr Daria. Wreszcie pociąg zatrzymał się na stacji Pachta Arał. I to był koniec naszej podróży. Dalej nie było torów. Ich końce zagięte były do góry pod kątem 90 stopni. Na zewnątrz stali miejscowi przedstawiciele NKWD, którym komendant pociągu przekazał transport. Trwało to bardzo długo, ponieważ sprawdzano po kolei każdą osobę. Wreszcie wszystkim formalnościom stało się zadość, można było zabierać swój skromny dobytek i opuszczać wagony. Nikt też nie kierował już na nas luf karabinów. Na stepie stały ciężarówki, którymi mieliśmy jechać do kołchozów. W asyście widowni, która składała się z patrzących na nas nieprzyjaźnie swymi skośnymi oczami grupki kazachskich dzieci wysiadaliśmy z wagonów. Wyskoczyłem pierwszy, tuż po otwarciu drzwi. Nogi ugięły się pod mną i opadłem na rękę. Te też mnie nie utrzymały. Pacnąłem twarzą w piasek pustyni. Pozbierałem się z trudem. Dwudziestoosmiodniowa jazda przy głodowych racjach żywności i picia wyzuła mnie zupełnie z sił. Bracia zobaczyli co się stało i nie pozwolili mamie samej wychodzić, wyskoczyli z wagonu i pozdejmowali siostry oraz mamę na ziemię. Wszystko odbyło się bardzo sprawnie, bowiem podobnie jak w Lidzie byliśmy bez przerwy poganiani krzykami żołnierzy: skoriej! Skoriej!

Ostatni etap

Załadowano nas na te ciężarówki i ruszyliśmy w step. Do Pachta Arał dojechaliśmy w południe, natomiast do kołchozu, nie licząc czasu przekazania nas przez obsługę pociągu miejscowym funkcjonariuszom NKWD, jechaliśmy przez resztę dnia. Po drodze mijaly nas dwukołowe zaprzęgi ośle, jakich nigdy jeszcze nie widziałem, powolne woły ciągnęły dziwne, załadowane po brzegi wozy, przejeżdżali jeźdźcy na koniach i na wielbłądach. Zauważyłem, że jeźdźcy ci, pomimo straszliwego upału mieli na głowach grube czapki i ciepłe okrycia. Zastanawiałem się, czy nie jest im w tym gorąco, nie znajdując na razie odpowiedzi. Dopiero po kilku dniach dowiedziałem się, że w ten sposób chronią swój organizm przed zbytnim parowaniem wody przez skórę. Pocą się co prawda, ale pot nie ulatuje na zewnątrz a osadza się na wewnętrznej części ubrania zwilżając ciało. Zważywszy na czas jazdy, odległość od stacji w Pachta Arał do kołchozu wynosiła około 200 km.. Nie doceniliśmy jednak przewrotności naszych prześladowców. Przez całe popołudnie ciężarówki krążyły w kółko, a my siedzieliśmy na ich pakach niczym nie osłonięci przed palącym słońcem pustyni, podczas gdy mogły dojechać na miejsce przez z górą dwadzieścia minut. Chodziło o wyrobienie w nas przekonania, że odległość od stacji kolejowej jest bardzo duża, nie do pokonania piechotą przez pustynię, aby stłumić jakąkolwiek myśl o ucieczce. Powiedział to mi przy okazji mój szwagier, który jeździł z kołchozu do Pachta Arał rowerem. Kiedy wreszcie dojechaliśmy do zabudowań, słońce już zachodziło.

Rozdział III

Kołchoz „Bolszewik”

Po przyjechaniu na miejsce, zobaczyłem stojące na pustym niewielkie domki z gliny, z glinianymi dachami, ciągnące się po obydwu stronach piaszczystej ulicy. Pomędzy domami płynął aryk z mętą wodą koloru brązowego. Ciężarówka zatrzymała się przed większym od innych budynkiem zbudowanym jak i pozostałe z glinianych cegieł wysuszonych na słońcu z płaskim dachem, również wykonanym z gliny. Jak się okazało tam właśnie mieścił się zarząd kołchozu i siedziba NKWD. Ledwie tylko wysiadłem z ciężarówki, rzuciłem się do strumyka, zanurzyłem w nim głowę i zacząłem gwałtownie pić. Woda była wstrętna, ale mnie to nie przeszkadzało, po całym popołudniu spędzonym pod tym okropnym pustynnym słońcem. Nagle usłyszałem nad sobą jakiś głos i poczułem szturchnięcie w bok. Spojrzałem i wystraszyłem się. Nade mną stał stary Kazach w turbanie na głowie i z wielkim sztyletem za pasem. Pokazywał na strumyk i mówił coś do mnie, ale go nie rozumiałem. Po mojej lewej i prawej stronie też leżeli nasi ludzie pijąc podobnie jak ja bezpośrednio ze strumyka, lub klękali, nabierając wodę rękami i spijali z dłoni. Po chwili wiedziałem już, co ten Kazach mówił. Właśnie przechodził ulicą jakiś Gruzin i po rosyjsku powiedział, że tej wody nie wolno pić, bo będziemy chorować, o czym oczywiście eskorta nie poinformowała. Niestety było już za późno, czekały nas zatem ciężkie dni. Dopiero na drugi dzień, mieszkający obok naszego domku Niemcy, z którymi mama mogła się dogadać powiedzieli, że tutaj można pić jedynie wodę przegotowaną. Tymczasem jednak, staliśmy obok naszych bagaży leżących na ziemi przed budynkiem zarządu kołchozu, do którego jacyś ludzie wołali głowy poszczególnych rodzin i przydzielali nas do brygad roboczych patrząc jakie kto ma możliwości. Do prac polowych mieli iść wszyscy ci, którzy ukończyli czternasty rok życia a więc i ja zostałem przydzielony do takiej brygady. Ponadto poinformowano nas, że znajdujemy się w kołchozie „Bolszewik”, w Południowo Kazachstańskiej Oblaści, Kirowski Rajon. wolno nam się będzie poruszać tylko po terenie kołchozu, który liczy 400 h. Wyjście poza teren mogło się odbywać tylko po uprzednim uzyskaniu przepustki a samowolne oddalenie się karane będzie śmiercią. Wszyscy, którzy ukończyli czternasty rok życia musieli podpisać dokument, gdzie było napisane, że przyjmujemy do wiadomości fakt dożywotniego pozbawienia praw obywatelskich i do końca życia będziemy przebywać w tym kołchozie. Łukaszun odmówił podpisania tego dokumentu, ale specjalnie nie nalegali by koniecznie podpisał. Po prostu zabrali go i

wywieźli nie wiadomo dokąd. Nigdy już nie dowiedzieliśmy się co go spotkało, ale znając NKWD wcale bym się nie dziwił, gdyby zwyczajnie pozbawili go życia gdzieś na pustyni. Ludzie ci wyzuci byli z jakiegokolwiek morale, myślę że nie wiedzieli nawet co to jest sumienie. Mama nie wiedziała co zrobić, ale po wspólnej naradzie doszliśmy do wniosku, aby podpisać. W ten sposób pozostaliśmy między swoimi a tu za swoich uważało się wszystkich tych, którzy mówili w naszym języku. Rozmowa z pracownikami NKWD i przewodniczącym kołchozu była bardzo stresująca. Starali się, by nas jak najbardziej przestraszyć i odebrać jakąkolwiek nadzieję na powrót do Polski. Powtarzali bez przerwy, że nawet nasze wnuki, które tutaj przyjdą na świat, też będą musiały podpisać taki dokument i też nigdy stąd nie wyjadą. Po załatwieniu tych formalności, następował przydział domku. Ci co byli pierwsi, dostali domki w środku wioski z drzwiami i oknami. My nie mieliśmy takiego szczęścia.

Nasz domek

Poprowadzono nas na sam koniec kołchozu do domku – ładnie to brzmi „domku” do lepianki pozbawionej okien i drzwi a sąsiadami naszymi byli Kazachowie, którzy spoglądali w naszą stronę z nie skrywaną niechęcią uważając – tak zresztą zostali poinformowani, za Rosjan. w późniejszym czasie, kiedy dowiedzieli się, że jesteśmy Polakami ich stosunek do nas zmienił się radykalnie, stali się prawie serdeczni. W przydzielonym nam domku o dwóch izbach, mającym około 30 m. kwadratowych powierzchni byli już lokatorzy. Po wejściu do środka okazało się, że jest w nim około dziesięciu osłów, które z oślim uporem odmawiały ustąpienia nam miejsca. W końcu zniecierpliwieni bracia przekonali je szturchańcami, aby raczyli się wynieść i lokum pozostało do naszej wyłącznej dyspozycji. Mama, która do tej pory była naszą ostoją i pocieszycielką, teraz załamała się zupełnie. Usiadła na jakimś tłumoku, wzięła twarz w ręce i zaczęła płakać. Staliśmy bezradni wokół niej, a siostry przytuliły się do jej kolan i popłakały się również. To co nas dzisiaj spotkało: podróż pociągiem bez kropli wody, jazda przez pustynię pod palącym słońcem, pogroźki NKWD, stan naszego domku, głód i pragnienie, które nadal nas gnębiły przytłoczyły ją do tego stopnia, że poddała się. Jak my tutaj mamy spędzić resztę życia, mówiła szlochając, gdy nie wiadomo, czy dożyjemy rana. Pewnie długo by trwało to narzekanie, gdyby nie nadszedł pan Biblis, który otrzymał domek za nami. Podeszedł do mamy i twardo powiedział: „tu nie trzeba rozpaczać tylko myśleć jak stąd uciec” a potem dodał jeszcze dla złagodzenia nastroju początek utworu Juliusza Słowackiego „Ojciec zadżumionych:”

Trzy razy księżyc odmienił się złoty. Nim na tym piasku rozbiłem namioty. Mama jakby się nieco uspokoiła i przestała płakać. Powiedziała, byśmy trochę posprzątaли po tych osłach zanim położymy się spać, ale nikt już nie miał siły tego robić.

Pierwszy nocleg

Pokładliśmy się gdzie kto mógł i posnęliśmy. Spałem twardo przez całą noc. Był to pierwszy po 28 dniach wypoczynek na świeżym powietrzu a nie w cuchnącym wagonie. Może dlatego nie czułem jak w ciągu nocy znęcały się nade mną komary i inne robactwo. Rano obudziły mnie wrzaski. Koło naszego domku stał jeździec na koniu i wołał nas do roboty: „Wstawat, rabotat nada” - wstawać, trzeba pracować. Wstałem z dziwnie nie swoją, swędzącą twarzą. Zygmunt spojrzał na mnie i aż krzyknął: jak ty wyglądasz? On nie wyglądał wcale lepiej. Jego twarz była opuchnięta i raz przy razie pokryta bąblami. Widok był bardzo przykry. To już druga taka niespodzianka wynikająca z braku wiedzy, która nas wszystkich drogo kosztowała. Pierwsza z wodą i ta z komarami, a czekały nas z pewnością następne. Mieliśmy przy tym sporo szczęścia. Ukąszenia komarów zwłaszcza, gdy jest ich bardzo dużo strasznie dokuczają, ale od tego się nie umiera. Pustynia miała w zapasie wiele znacznie groźniejszych niespodzianek. Jedną z nich były skorpiony, których tutaj ponoć nie brakowało. Szczęśliwie w ciągu nocy żaden nikogo nie zaatakował. Co tam jednak komary, skorpiony i inne dziadostwo. Nagle poczułem silny ból brzucha i zacząłem się gwałtownie rozglądać za ustępem. Oczywiście nigdzie ani śladu, tego niezbędnego pomieszczenia. Popędziłem co sił w nogach do rosnącej w pobliżu kukurydzy sąsiada. Na chwilę ulżyło, ale tylko na chwilę. Ból brzucha wzmógł się jeszcze bardziej. Ponadto czułem niemiłosierny głód. Ani poprzedniego dnia wieczorem, ani dzisiejszego ranka nie mieliśmy nic do picia ani do jedzenia, nie licząc trującej wody, której się nieopatrznie napiłem, a tu trzeba iść do roboty. Mama wyżebrała u Kazachów jedną „lepioskę”, czyli pieczony na palenisku, okrągły cienki placek z niewyrośniętego ciasta. Było tego przeraźliwie mało. Każdy otrzymał po kawałeczku i tak zaopatrzone miałem iść na plantację bawełny. Nie byłem w stanie. Mama powiedziała abym, został w domu bo i tak nic nie dam rady zrobić.

Na polu bawełny

Do pracy poszli bracia i starsza siostra Zosia. Jak opowiadali wieczorem, każdy otrzymał swój „kietmien” czyli gracę, motykę, nieco inną niż u nas, coś w rodzaju zgiętej w połowie łopaty i od wschodu słońca, do godziny dwunastej w południe zwalczali, krzewiąc się wokół jej krzaków lebiodę. Zielsko było wyjątkowo odporne. Kto kiedykolwiek miał sposobność pielęgnacji buraków czy ziemniaków, zanim jeszcze zaczęto stosować obróbkę chemiczną przeciwko chwastom, ten pamięta, że korzenie i łodygi tego zielska są wyjątkowo twarde. Nie sposób było przeciąć je za pierwszym uderzeniem tępego narzędzia, nie dawało się też, odłożywszy motykę, wyciągnąć go z korzeniami, tak mocno trzymały się suchego podłoża. Do naszego przyjazdu w kołchozie był wielki deficyt mężczyzn. Nie brakowało w nim sprzętu mechanicznego, ale Kazachowie nie umieli i nie chcieli uczyć się jeździć na traktorach i innych maszynach. Pola były strasznie zachwaszczone a do nierównej walki z chwastami stawały jedynie kobiety z „kietmienami”. Oprócz normalnego na polach zielska a zwłaszcza lebiody, wyrastały tam nawet trzciny, których nasiona przynoszone były wraz z wodą, podczas podlewania plantacji. Bawełna jest tak siana, że w późniejszych latach znaczą część pracy związanej z uprawą mogły wykonywać traktory ciągnąc „opielacze” wzdłuż i w poprzek rzędów. Robotnikom pozostawało jedynie oczyścić miejsca wokół krzaczków. Teraz jednak całe wielkie pole należało oczyścić ręcznie. Po godzinie harówki mieli ręce całe w pęcherzach a w głowie im się kręciło z osłabienia i głodu. Sami nie wiedzieli, jak udało im się dotrzeć do godziny dwunastej, kiedy ogłoszono przerwę. Nikt nie był w stanie znieść na polu palącego, południowego słońca, nawet mieszkający tu Kazachowie. Wszystkich zgoniono do przystani polowej - glinianego domu, nieco większego od tych mieszkalnych, wybudowanego na środku pola. Miał on gruby dach, oczywiście z gliny, który chronił przed słońcem i był polewany wodą, co czyniło pobyt w nim znośniejszym. Do tego domku przywieźli po pewnym czasie posiłek. Jedną lepszą na całą rodzinę i herbatę, czyli coś co nazywali herbatą - jakieś tutejsze zioła, oczywiście gorzkie, w niczym tego szlachetnego napoju nie przypominające. Miał on jednak bardzo wielką zaletę, był mokry. Bracia wykorzystali przerwę obiadową aby dowiedzieć się jak najlepiej zorganizować sobie życie, uzyskując bezcenne informacje. Przede wszystkim, należało zbudować piec, aby nie pić surowej wody.

Mamy własny „młyn”

Po powrocie z pracy wytrzasnęli skądś starą odkładnię od pługa, którą podparli z dwóch stron na glinianych ceglach i piec był gotowy. Zbudowali go wzorem Kazachów przed domkiem. Na stepie nie ma oczywiście drzew. Mama nazbierała więc „kiziaku”, czyli wyschniętych zwierzęcych odchodów, których tu na szczęście nie brakowało i tym rozpaliliśmy pod naszym piecem. W przyszłości ten niezbyt pachnący opał uzupełnialiśmy, wycinając na pustyni kłujące chwasty „kuzapaje”, które na słońcu schły w bardzo szybkim tempie. Ścinało się je kietmienem, tuż przy ziemi, aby uzyskać jak najdłuższą i najgrubszą łodygę, potem tymże kietmienem ściągano na jedno miejsce aby wyschły. Chwasty te miały tak ostre i twarde kolce jak u nas tarnina, czy też niektóre gatunki róży. Najechanie rowerem na małą nawet gałązkę, powodowało przebicie dętki i następował koniec jazdy. Mnie jednak to nie dotyczyło, ponieważ przez cały okres zesłania nie miałem roweru. Chwasty te wycinałem nie tylko dla nas ale też dla kołchozu. Służyły one jako opał w suszarni, gdzie suszono a właściwie dosuszano, bo już były częściowo suche, główki bawełny, czyli „kurak”. Nie dojrzała bawełna jest zamknięta jak u nas przykładowo kasztany. Po wyschnięciu kokon otwiera się i bawełna jest na wierzchu. W takim stanie wysyłano ją z naszego kołchozu do dalszej obróbki, czyli mechanicznego oddzielenia w specjalnych maszynach włókienek bawełny od złączonego z nią koszyczka i pestki, czy ziarna, które znajduje się wewnątrz kokonu. Ziarno to jest oleiste i wytłacza się z niego olej. Wróćmy jednak do początków naszego pobytu na zesłaniu. Na koniec dnia roboczego wszyscy dostali po niecałym kilogramie kukurydzy, która była tak zeschnięta, że nie można jej było w żaden sposób ugryźć, nawet trzymając długo w ustach. Mama wymieniła przywieziony z domu samowar i pierzynę, która na niewiele tutaj się przydała, bo chłodnych nocy nawet w miesiącach zimowych nie jest za wiele, na dwa płaskie kamienie, czyli rodzaj żarna. Górny kamień posiadał dwa otwory. Jeden w środku, do którego sypało się ziarno, a drugi na obwodzie z boku, gdzie wtykało się kij, by za jego pomocą obracać kamień w kółko. W ten sposób, wracając nieomal do epoki kamiennej mogliśmy zmielić naszą kukurydzę w mąkę, krupy, otręby i co tam jeszcze, oczywiście wszystko przeznaczone do jedzenia. Cała operacja odbywała się z najwyższą starannością nad rozłożonym prześcieradłem, które szczęśliwie zabraliśmy ze sobą. Chodziło oczywiście o to, by nie uronić żadnej okruszki drogocennego pożywienia. Teraz można już było ugotować mamałygę, która była naszym podstawowym pożywieniem przez cały okres pobytu na zsyłce, upiec placek, czy ugotować zupę. Dodam jeszcze tylko, że w ilości zupełnie nie wystarczającej. Przez cały czas pobytu na zesłaniu stale chodziłem głodny.

Lekarstwo na biegunkę

Pierwszy i następny dzień pobytu w kołchozie „Bolszewik”, zapamiętałem jako wyjątkowo ciężki. Wszystko za sprawą krwawej biegunki, która mnie dopadła po wypiciu surowej wody. Stale biegałem w kukurydzę sąsiada nawożąc ją więcej niż tego potrzebowała. Kiedy wychodziłem z naszego domku, to dosłownie trzymałem się ściany, aby nie upaść. Mama bardzo się o mnie martwiła, ponieważ mogłem się odwodnić i najzwyczajniej w świecie umrzeć. Szczęśliwie dla mnie, wśród skazańców byli Czeczeni, których córka okazała się felczerką. Mama dowiedziała się o tym i natychmiast do niej pobiegła uzyskując poradę, aby nazbierała piołunu – popielatego ziała występującego powszechnie i w Polsce, którego tam było pod dostatkiem, zalała go wódką i podawała do picia, nawet malutkim dzieciom, ponieważ innego lekarstwa na tą dolegliwość tutaj nie było. Nie było zresztą żadnego. Rada okazała się bardzo dobra, ale skąd wziąć wódki? Felczerka powiedziała, że na terenie kołchozu jest „magazyn”, czyli sklep i tam można się zapytać. Ona sama, jako muzułmanka nawet nie zna jej smaku a tym bardziej nie ma w domu nawet na lekarstwo. Bracia pobiegli do tego sklepu. Na regałach stała butelka wódki i nic więcej do spożycia. Można było jedynie kupić jakieś akcesoria do jazdy na ośle, siodła, linki, młotki, toporne noże i tym podobne rzeczy. Wódka więc była, ale nie było pieniędzy by ją kupić. Ponieważ wiadomość o lekarstwie rozeszła się lotem błyskawicy po wszystkich nowo przybyłych skazańcach, to i ta wódka szybko zniknęła. Na szczęście kazachski sprzedawca, który też był muzułmaninem i nie pił alkoholu miał jego zapas w magazynie za sklepem. Całą skrzynkę. Magazyn ten, podobnie jak sam sklep zbudowany został z patyków oplecionych wierzbowymi witkami, podobnie jak wpleciony jest koszyk. Wsparty był na czterech wbitych w ziemię kołkach i posiadał wyplatane, jak i cała reszta tego pomieszczenia, zamykane na kłódkę drzwi. Skąd na pustyni wierzbowe witki? Okazało się, że wierzby sadzone są wzdłuż „Aryków” aby umacniały ich brzegi i chroniły przed nadmiernym zasypywaniem piaskiem. Przeniesione tutaj z zimniejszych terenów, pobierają sobie tyle wody ile chcą i doskonale czują się w tym gorącym klimacie dając jednocześnie materiał na koszyki i inne wyroby, ale ostrożnie, samemu nie wolno nic wyciąć. Będę jeszcze o tym pisał. Niech Pan Bóg wybaczy moim braciom grzech, który popełnili ratując mnie przed śmiercią. Rano skrzynki tej nie było na swoim miejscu. W całym kołchozie podniósł się ogromny szum. Funkcjonariusze NKWD przeprowadzili śledztwo i nic nie osiągnęli. Gdzie się podziała? Nie wiadomo. Ślady przy magazynku wyraźnie wskazywały na to, że po prostu ktoś podniósł cały ten śmieszny domek do góry a następnie postawił go z powrotem na jego miejsce. Opinię alkoholików, trzeba przyznać, że z pewnością uzasadnioną, mieli Rosjanie. Na nich też padło główne podejrzenie i tak już zostało. Nas to szczęśliwie ominęło. Mieszkańcy kołchozu widzieli jak się modlimy a więc nie jesteśmy Rosjanami, tylko Polakami, katolikami a ci z

reguły nie kradną. Od tej pory Kazachowie odnosili się do nas zupełnie przyzwoicie a nawet serdecznie. Raz jeszcze modlitwa nam pomogła. Sprawcy nie zostali odnalezieni. Po zażyciu lekarstwa, brzuch nieco przestał mnie boleć, powoli zacząłem nabierać sił, ale dolegliwości, chociaż już nie takie bolesne, utrzymywały się przez kilka tygodni. W miarę jak nabierałem sił, wraz ze zdrowieniem wracało coś gorszego, czego nie można już było niczym wyleczyć. Tęsknota za naszym prawdziwym domem. Gula w gardle, przytępiona dolegliwościami fizycznymi znowu zaczęła niepokojąco rosnąć.

„Przychodnia zdrowia”

Nigdy już, przez cały okres pobytu w Kazachstanie nie napiłem się surowej wody, której na szczęście było tutaj pod dostatkiem i nigdy nie cierpieliśmy z powodu pragnienia, a ponadto, można się było w końcu umyć. Nie były to warunki na miarę dwudziestego wieku, nikomu nawet nie śniło się o prądzie, czy gazie w mieszkaniu ale w tym dzikim kraju, między tymi prymitywnymi ludźmi, w tym straszliwym upale, stanowiącym codziennie zagrożenie dla zdrowia i życia, każde takie małe udogodnienie cieszyło. Po wodę chodziliśmy w górę strumienia, daleko od wioski. Przynosiło się ją wieczorem, po dwa wiadra używając „koromysła”, czyli specjalnie wyprofilowanego drążka, który opierało się na karku i na ramionach doczepiając po obydwu stronach wiadra. W ten sposób noszenie wody nie było aż tak uciążliwe. Rano było pół wiadra mułu i pół wiadra wody. Wystarczyło zlać wodę, przegotować ją i można było pić. Mama ujawniła się tutaj jako sanitariuszka, obydwie z młodą felczerką urządziły „miedpunkt” czyli taką mikroskopijną przychodnię zdrowia. Znajdował się on w pomieszczeniu nie większym niż dwa metry kwadratowe ale sam fakt, że był podnosił ludzi na duchu. Wiedzieli, że zawsze mogą się tam udać po poradę. Felczerka miała mikroskop i mogła badać próbki na obecność pasożytów. Niestety, lekarstw było rzeczywiście jak na lekarstwo. W zasadzie wszystkie dolegliwości trzeba było zwalczać domowymi metodami. Zdarzało się jednak, że ludzie zdobywali, po wielu staraniach potrzebne lekarstwa, przepisane przez szpitalnego lekarza w Kirowie. Przy tabletkach sprawa była prosta. Chory zażywał je według zaleceń jak to ma miejsce obecnie i czekał kiedy zacznie zdrowieć. W przypadku zastrzyków wszystko było bardziej skomplikowane. Chory przychodził do „ośrodka zdrowia” z koszykiem „kiziaku”, czyli wysuszonych krowich odchodów i garnkiem wody. Wygrzebywał dołek w ziemi, lub korzystał z wygrzebanego przez poprzedników i rozpalał ogień. Kiedy już woda w garnku zagotowała się, felczerka, albo mama wkładały do niej pojemnik ze strzykawką oraz igłami i gotowały aż uznały, że są dostatecznie wysterylizowane. Potem

już można było przystąpić do wykonania zastrzyku. Oczywiście igły, po kilkudziesięciu zastrzykach były już mocno stępione i kilkakrotnie grubsze niż obecnie, przez co zastrzyk był dosyć bolesny, ale to już drobny szczegół, na który nikt nie zwracał uwagi. Przed naszym wyjazdem do Polski mama upomniała się w kierownictwie kołchozu o zaświadczenie, że przez te cztery lata naszego pobytu na zesłaniu pracowała jako położna i pielęgniarka. Nie wiadomo, co się tam w kraju może przydać, mówiła. Otrzymała takie zaświadczenie, ale nie na wiele się przydało. Stanowi jedynie pamiątkę rodzinną.

Kanał Kirowski

Większość mężczyzn, którzy przyjechali naszym transportem wcielono do brygad traktorowych. Kazachowie nie chcieli pracować na maszynach. To byli miłośnicy, hodowcy i znawcy koni, wielbłądów i innych zwierząt, którymi zajmowali się od setek lat. Mechanizacja ich wręcz przerażała i bardzo wolno oswajali się z nią zdecydowanie nie akceptując. Zakłócała naturalny porządek życia ustalony na stepie od wieków. Wszyscy, którzy tylko umieli jeździć, albo tylko chcieli się nauczyć siadali na maszyny. Kołchoz stale pozyskiwał nowe tereny pod uprawy. Polegało to na tym, że ogromny ciągnik gąsienicowy ciągnął za sobą coś w rodzaju spychacza. U nas spychacze pchają ziemię przed sobą, tam natomiast ciągnął za sobą zbierając wzgórki i zasypując dołki. Pomimo wykorzystywania wielkich maszyn praca ta musiała być wyjątkowo precyzyjna. Całe pole trzeba było tak wypoziomować, aby doprowadzona tam kanałem woda, zalewała je równo na całej powierzchni bowiem w innym przypadku część upraw byłaby nadmiernie nawodniona a część niedostatecznie lub wcale. Wody do nawadniania dostarczała rzeka Syr Daria, która za czasów mojego pobytu na zesłaniu wpływała do Jeziora Aralskiego. Teraz już nie dociera do niego. Cała woda służy do nawadniania pól uprawnych a jezioro, pozbawione zasilania wysycha. Na stepie straszą ogromne wraki spoczywających na piasku statków, które niegdyś po nim pływały. Zostawmy jednak ten współczesny problem władzom Rosji. W 1936 roku wybudowano na Syr Darii wielką tamę i spiętrzone wodę. Następnie rozpoczęto budowę Kanału Kirowskiego, wykorzystując do tego celu przymusową pracę Niemców Nadwołżańskich, wysiedlonych z dotychczasowych siedzib. Panował straszny głód i bardzo dużo ludzi zmarło z wycieńczenia, ale kanał powstał w stosunkowo szybkim tempie. Wykorzystano naturalny spadek terenu i nie kopano go w ziemi a po obu stronach jego przyszłego koryta, przy pomocy ogromnych buldożerów sypano wały wysokie na około 3 metry. Popłynął strumień wody szerokości pięciu i

głębokości dwóch metrów nawadniając ogromną połąć kraju. Wzdłuż tego kanału powstało szereg mniejszych, rozprowadzających wodę aryków i pobudowano osady ludzkie - kołchozy, na przemian raz po lewej a raz po prawej jego stronie. Woda w kanale płynie bardzo szybko. Nieraz próbowałem mierzyć się z nią i płynąć pod prąd. Nie miałem najmniejszych szans. Nawet najlepszy pływak mógł co najwyżej, pracując zawzięcie rękami i nogami utrzymać się w jednym miejscu. Na teren naszego kołchozu doprowadzał wodę już znacznie mniejszy kanał, mający około dwóch metrów szerokości i pół metra głębokości. Położony on był niżej od Kanału Kirowskiego a więc nurt wody też był w nim bardzo szybki. Woda tak płynęła, że miejscami tworzyły się na niej niebezpieczne wiry. Wzdłuż całego Kanału Kirowskiego specjalne służby, złożone przeważnie z Tadżyków przydzielały wodę poszczególnym kołchozom otwierając i zamykając śluzy. Wszystkie ciekły wysadzane są, jak już pisałem wierzbami, które chroni się w sposób szczególny. Ponieważ na stepie nie ma drzew, to wierzby te służą też jako materiał użytkowy. Aby wyciąć gałąź, powiedzmy na trzonek do łopaty, trzeba było mieć pozwolenie przewodniczącego kołchozu i wolno było wyciąć tylko tą jedną gałąź inaczej groziły surowe kary. Woda z kanału zapewniała życie na stepie. Służyła nie tylko do nawadniania pól, ale także do picia - oczywiście po przegotowaniu, gotowania posiłków, kąpieli prania i tak dalej. Podczas dnia, pod żadnym pozorem nie można było do niej wchodzić by się kąpać. Groziło to bowiem nagłą śmiercią. Zbyt duża była różnica temperatur pomiędzy wodą a powietrzem.

Z Kazachstanu na Syberię

Temperatury w Kazachstanie są wprost zabójcze i dochodzą do 50 stopni Celsjusza. Oczywiście w kołchozie nie było termometru by to sprawdzić, a informację tą podaję za Antkiem Witkowiczem, mieszkańcem Pieszyc, który w latach 1956 – 1957 służył w Armii Radzieckiej. Jego jednostka stacjonowała w mieście Tiermies na granicy z Afganistanem. Często pełnił wartę przy wejściu na teren jednostki, gdzie zwykle znajduje się dyżurka oficera dyżurnego i był też termometr przybity do ściany budynku. To była bardzo specjalistyczna jednostka, do której dobierano chłopców odznaczających się nieprzeciętną siłą i wytrzymałością a także dużo bardziej inteligentnych niż przeciętny żołnierz. Była ona przeznaczona do wykonywania zadań, jakie obecnie pełni nasz „Grom” a więc wszyscy musieli być bardzo wszechstronnie wyszkoleni zarówno w warunkach morderczych upałów Kazachstanu jak i równie morderczych mrozów Syberii. Szkolenia takie nie zawsze były bezpieczne. Inaczej, były one bardzo niebezpieczne i wiele matek nigdy nie doczekało się

powrotu z wojska swoich synów. W tej samej jednostce służbę wojskową pełnił też mój daleki kuzyn Bohdan Lubianiec. Zawdzięcza on swoje życie temu, że nie palił papierosów. Pewnego dnia, ubrali ich nad podziw grubo jak na warunki Kazachstanu, dali broń z ostrą amunicją, przydział papierosów, który należał się każdemu jak psu kość, każdego też zaopatrzyli w przenośną radiostację i wsadzili do samolotu. Po bardzo długim locie otworzył się luk dla spadochroniarzy i żołnierze wyskoczyli nad gęstym lasem z zadaniem nawiązania łączności z bazą i dotarcia do niej wyłącznie przy użyciu kompasu. Pierwsze obrażenia wśród skoczków miały zapewne miejsce już podczas lądowania wśród drzew. Ilu tam było poszkodowanych nie wiadomo, bo specjalnie rozproszyli ich na znacznym obszarze, aby nie łączyli się w grupy. Po szczęśliwym wylądowaniu na jakiejś zamrzniętej rzece Bohdan zorientował się, że jest gdzieś na Syberii. Bardzo szybko okazało się, że jego ubranie jest mocno nie wystarczające. Zaczął potwornie marznąć. Jedyńm ratunkiem było nawiązanie łączności i jak najszybsze rozgrzanie się ruchem. Udało mu się uzyskać sygnał centrali i odebrać dane dotyczące kierunku marszu. Szedł przed siebie wyznaczając coraz to bliższe punkty odniesienia, bowiem las nie sprzyjał poruszaniu się według kompasu. Po kilku godzinach przebijania się przez głęboki śnieg był już kompletnie wyczerpany i brała go szalona ochota, aby choć na chwilę zatrzymać się i gdzieś usiąść. Zdawał sobie jednak sprawę z tego, że każdy dłuższy postój oznacza śmierć. Mocno zredukował więc szybkie pierwotnie tempo marszu i posuwał się do przodu mimo zapadających ciemności, które znacznie utrudniały przebijanie się przez las. W końcu trafił na rozległą polanę, która okazała się zamrzniętym jeziorem. Teraz dopiero mógł precyzyjnie ustalić kierunek marszu. Las za jeziorem nie był już taki gęsty i trafiały się całe połacie ziemi porośnięte tylko niskimi krzakami. To powodowało, że bez większego trudu, mimo nocy, która okazała się na szczęście dosyć widna, utrzymywał kierunek. Zmęczenie jakby trochę opadło. Szedł do przodu jak odrętwiąły ale utrzymywał się na nogach. Jedyńm zmartwieniem było to, by nie skręcić czy nie złamać nogi, co łatwo mogło się wydarzyć na leśnych wykrotach. Po kilkunastu godzinach marszu, kiedy zimowe słońce było już całkiem wysoko na niebie zobaczył jakąś drogę i ślady płóz. Wiodły dokładnie tam, gdzie wskazywała igła kompasu. Był uratowany. Jeszcze niecałe dwie godziny na mrozie i meldował się u swojego dowódcy. Co to ma wspólnego z papierosami? Bardzo dużo. Wykonał zadanie jako jeden z nielicznych. Większość przypłaciła je życiem i niewielu udało się odnaleźć, pozostali w tajdze na zawsze. Okazało się, że rozgrzewali się papierosami, zaciągając się dymem na mrozie przekraczającym 40 stopni Celsjusza. Tego, ich przyzwyczajone do kazachstańskich upałów płuca nie mogły wytrzymać. Nikt im o tym nie powiedział a sami jakoś nie pomyśleli. Witowicz Antek też przetrwał wojsko i wrócił do Polski. Mieszka w niedalekiej Nowiźnie koło Dzierżoniowa.

Węże i żmije

Wracamy jednak do naszego „Bolszewika”. Kapaliśmy się dopiero po zachodzie słońca. Robili to wszyscy mieszkańcy kołchozu, nawet mama przychodziła, by zmyć z siebie kurz i pot po całym dniu pracy. Mama jednak nie pływała, nie wiem, czy nie umiała pływać, czy też nie chciała, umyła się i wracała do naszego domku. Woda w kanale była tak mętna, że ja nie mogłem otworzyć w niej oczu. Inaczej było z Kazachami. Nawet niemowlęta, które oni kapali miały oczy otwarte. Być może wynika to z innej ich budowy – są z pewnością znacznie mniejsze niż ludzi z Europy, albo po prostu z przyzwyczajenia. Kąpiel w kanale nie była tak do końca bezpieczna a to za sprawą żmij, które Kazachowie nazywali „Strzałką”. Mają one ciemno szarą barwę przechodzącą miejscami prawie w czarną a przez grzbiet wyraźny czarny zygzak i dochodzą do metra długości - samice, bo samce są nieco mniejsze. Ponoć skaczą nawet na wysokość pięciu metrów, by zaatakować, ale ja nigdy takiej skaczącej żmii nie widziałem, powtarzam po prostu co o nich mówiono. Ponadto w pewnym okresie są szczególnie niebezpieczne. Chodzi o czas kiedy mama żmija rodzi młode żmijki. Wówczas jest agresywna a jej jad jest tak silny, że może zabić. Kiedyś niechcący dotknąłem takiej żmii a było to tak: Kapąłem się jak co wieczór w kanale wraz z innymi chłopcami i dziewczętami. Aby urozmaicić sobie czas po dniu ciężkiej pracy bawiliśmy się w berka. Polegało to na tym, żeby podpłynąć do kogoś i dotknąć go w głowę. Dotknięcie w tułów nie liczyło się. Uciekałem przed goniącym w poprzek kanału z zamiarem wyskoczenia z wody i złapałem się ręką za brzeg. Nagle poczułem, że ten brzeg zaczął się pod moimi palcami dziwnie ruszać. Spojrzałem i zdrtwiałem z przerażenia. Szybko zawróciłem w stronę głównego nurtu kanału i co sił zacząłem uciekać z prądem wody. Żmija, która za dnia wylegiwała się na słońcu zwinięta w kłębek, wpadła do wody i pewnie była przerażona nie mniej ode mnie, ale ja o tym nie wiedziałem. Koledzy opowiadali mi później, że płynęła parę metrów dalej w ogóle się mną nie interesując. Młodzi Kazachowie nie mieli za dużo respektu przed tymi żmijami, wieczorem pokazywali je sobie i zabijali. Wokół naszego aryka było bardzo dużo żab, którym widocznie klimat no i woda sprzyjały. Służyły one tym gadom za pożywienie. Zjadały je, przy akompaniamencie głośnych protestów poszkodowanych. Jeżeli tylko usłyszeli krzyk żaby, biegli w to miejsce i kijami uśmiercali napastnika. Oprócz żmij na stepie i wokół domów było pełno węży. Wielkością dorównywały one żmijom, ale nie były jadowite. Żywiły się również żabami. Im było wolno. Nikomu nawet do głowy nie przyszło, aby pozbawić węża posiłku nie mówiąc już o tym, by go zabić. Mieszkały sobie obok domków Kazachów, wchodziły do nich i były traktowane podobnie jak u nas jaskółki, pod specjalną ochroną. Łatwo je było odróżnić od żmij, ponieważ odznaczały się piękną zieloną barwą. Do pracy przy oczyszczaniu krzaków bawełny z chwastów, czyli „matażenia”, czy też przy zbieraniu jej białego puchu wychodziło się w pole na cały dzień.

Oczywiście nikt nie woził za nami przenośnej toalety. Za potrzebą szło się po prostu w bawełnę dalej od pracujących. Jej wysokość wynosiła około półtora metra a więc można się było z powodzeniem schować. Kiedyś poszedłem za potrzebą i gdy już kucnąłem nagle zauważyłem przed sobą ruszający się ogon żmii. Zerwałem się na nogi chwytając w biegu spodnie i odskoczyłem do tyłu. Ogon nie zniknął, chociaż żmije były na ogół płochliwe i uciekały, atakując tylko wówczas, gdy czuły się zagrożone. Ciekawość zwyciężyła. Ostrożnie podszedłem do krzaka bawełny zza którego ten ogon wystawał i spojrzałem. Na zewnątrz był tylko ogon, natomiast łeb i połowa gada znajdowały się w ziemi. Domyśliłem się, że żmija wsunęła łeb do nory myszy, połknęła ją, zrobiła się gruba i nie była w stanie wyjść na zewnątrz. Obudziła się we mnie żyłka myśliwego. Wyciąłem gałązkę bawełny, rozkłułem ją z jednego końca, tymi „szczypcami” chwyciłem ogon i zacząłem zakręcać żmiję na patyk, próbując wyciągnąć ją z dołka. Niestety nie udało się. Była tak mocno zaklinowana, że po prostu urwała się a nie wyszła.

Fabryka cegieł

Moje zajęcia w kolchozie nie ograniczały się jedynie do pracy w polu. Latem robiłem też cegły. Produkcja nie była zbyt skomplikowana i należało ją sobie samemu zorganizować. Dostawało się jedynie formę no i używano tutaj do wykonywania wielu prac kietmien. Surowiec do produkcji cegieł znajdował się pod nogami. Należało wykopać w ziemi dołek, wygrzebać wąski rowek od aryka aby doprowadzić z niego wodę a następnie wejść do tego dołka i tańczyć w nim, dosypując nieco piasku, aż glina z głośnymi cmoknięciami zaczynała odrywać się od nóg. Następna operacja, to nałożenie kietmienem wyrobionej gliny w formy, ubicie jej, wyrównanie specjalną deseczką i już można było transportować surowy wyrób ciągnąc formę za pomocą sznurka na plac. Tam przewracało się ją na drugą stronę podobnie jak dzieci robią babki z piasku i proces rozpoczynał się od nowa. Cegły nie były zbyt duże, moim zdaniem, nie różniły się wcale od naszych. Po paru dniach, kiedy wyschły na tyle, że można je było przenosić, układałem je w specjalne przyzmy i po upływie dwóch, trzech miesięcy nadawały się do budowy.

Przydomowa działka

Obok naszego domku mieliśmy działkę wielkości około 25 arów. Oczywiście jak przyjechaliśmy, to nic na niej nie rosło. Mimo że była to już połowa lipca, to mama zdecydowała się posadzić na niej kukurydzę. Okazało się, że to był bardzo dobry pomysł. Kukurydza nie tylko wyrosła ale zdążyła też dojrzeć. W zasadzie to nawet do grudnia w klimacie Kazachstanu rośliny mogą wegetować. Tuż przy naszej działce przepływał mały aryk, z którego, puszczaliśmy wodę do tej kukurydzy a więc warunki wzrostu miała wręcz optymalne mając zarówno ciepło jak i wilgoć. Zanim ziarna jej zrobiły się całkiem twarde, to można ją było jeść na surowo, oczywiście oszczędnie, bo musiało jej starczyć do następnych zbiorów. W kolejnych latach mieliśmy już różne warzywa. Mama dostała od Kazachów nasiona fioletowej cebuli, którą oni jedli tak jak my jabłka, ogórki, pomidory, melony i arbuzy, które wyrastały bardzo duże, z pewnością ponad pięciokilogramowe. Kazachowie pytali, czy mamy ziemniaki, ale niestety nie mieliśmy a szkoda, bo gdyby obrodziły, to nie chodzilibyśmy stale głodni jak przy odżywianiu się tylko kukurydzą. Na polu leżały całe sterty nawozu, którym zasilane były krzaki bawełny i można go było używać też na działce, zwiększając plony. Kiedyś mama dowiedziała się, że za kołchozem rosną też buraki pastewne. Wybieraliśmy te najbardziej czerwone, które po rozkrojeniu miały słoje podobne do ćwikłowych i po zgotowaniu jedliśmy je z kaszą.

Kobyle mleko

Blisko nas mieszkała rodzina Kurowskich. Byli to ci państwo, do których dołączono w Lidzie syna Michała, ubranego w mundur Marynarki Wojennej Związku Radzieckiego. Oprócz Michała były tam jeszcze dwie małe dziewczynki, które pozostały bez opieki, bowiem wszystkich dorosłych pogoniono do roboty. Przyprawdzano więc je do nas i mama opiekowała się nimi przez cały dzień, aż dorośli, to znaczy Michał i ich mama nie wrócili z pracy. Ojca całymi tygodniami nie było w domu, bowiem znał się na koniach i przydzielono go do hodowli tabunu koni, samych klaczy z młodymi źrebakami. Kiedyś przyjechał na koniu bez siodła, przywiózł pół wiadra kobylego mleka i dał je mamie w zamian za opiekę nad dziewczynkami. Jak on doił te dzikie konie, pozostanie jego tajemnicą. Dla nas taka ilość mleka była na wagę złota. Był to okres, kiedy puchliśmy z głodu. Kiedyś rano zemdlałem i felczerka powiedziała mamie, żeby zdobyła coś do jedzenia bo jestem zupełnie

wycieńczony. Mama wydzielala je bardzo ostrożnie, żeby jak najdłużej starczyło. Traktowaliśmy je jak lekarstwo.

Kradzież brzoskwiń

Pisałem już, że w naszym sklepie nie było żadnych produktów żywnościowych oprócz wódki. Nie było nawet soli. Rosjanie jak zwykle znaleźli wytłumaczenie. Ponieważ była budowana linia kolejowa Moskwa – Pekin, to wszystkie produkty żywnościowe wywożono do Chin, aby reklamować dobrobyt wynikający z ustroju socjalistycznego. Kazachowie znajdowali się w nieco lepszej sytuacji od nas. W końcu byli oni ludźmi wolnymi, przyzwyczajonymi do panujących warunków, mogącymi się swobodnie przemieszczać. Czasami zdarzało się, że poczęstowali mnie kawałeczkiem „skały” cukrowej, którą gdzieś dostali albo kupili. Dzielili się bardzo oszczędnie bo i sami niewiele mieli, ale dzielili się, jak im Mahomet nakazał.

Kradzież w Kazachstanie karana była śmiercią. Nikt nie bawił się w żadne sądy, dochodzenia. Złapany na kradzieży musiał oddać życie. A jednak kradzieże zdarzały się. Głód skutecznie zabija rozsądek. Na końcu naszego ogrodu był doskonale zagospodarowany ogród Kazachów. Rosły tam przepiękne brzoskwinie. W samo południe, kiedy żaden Kazach nie wystawi nosa poza swój domek, poszedłem tam, zerwałem kilka do kieszeni i jeszcze nabrałem za koszulę. Mama patrzyła na mnie bardzo krzywym okiem, ale nic nie powiedziała. Na drugi dzień znowu poszedłem. W ostatniej chwili zauważyłem łańcuch i sprytnie ukryte ostrze. Jeszcze pół kroku i byłoby po mnie. Potrącając łańcuch wyzwolił bym ostrze, które mogło mi uciąć nogę. Później z pewnością by mnie dobili. Co prędzej wróciłem do domu. Kazach musiał zorientować się po śladach na trawie, że w dniu poprzednim w niecznych zamiarach odwiedziłem jego ogród i założył tak sprytną pułapkę.

Wół zdechl, co za radość

Od czasu do czasu przywozili do kołchozu beczkę oleju wytłoczonego z pestek bawełny – czarnych niewielkich ziarenek znajdujących się w samym środku kwiatostanu o ile tak nazwać można kłębuszek białego puchu. To było prawdziwe święto. Dzielono go sprawiedliwie na wszystkich. Tym co nie mieli

pieniędzy dawano również. Po prostu kołchoz rozliczał wówczas jego wartość potrącając z wypracowanych „trudodni” - roboczodni . Olej wlewany był do beczek po ropie, których nawet nikt nie przepłukał bo po co? Po kaszy zaprawionej olejem z ropą odbijało się później „stacją benzynową” ale za to jaka ona była dobra! Nasza czeczeńska felczerka twierdziła wręcz, że ropa naftowa uodparnia nasze żołądki i takiego oleju trzeba spożywać jak najczęściej. Nie miał bym nic przeciwko temu, żeby tylko był jak najczęściej. Do transportu na terenie kołchozu używano wielkich czterokolowych wozów, które nazywały się „arby”. Do ciągnięcia ich używano wołów a poganiacza, który kierował takim zaprzęgiem bez użycia lejców, jak ma to miejsce w przypadku zaprzęgu konnego nazywano „arbakiesz”. Sama uprzęż była bardzo prosta. Jedyne dyszel i jarzmo, które przetykano wołom przez łby, opierając na karkach i na klatkach piersiowych. Taki zaprzęg był wolny, ale za to wyjątkowo silny. No może przesadziłem. Byłby wyjątkowo silny, gdyby woły były należycie karmione. Te w kołchozie „Bolszewik” składały się jedynie, jak mi się wydawało, jedynie ze skóry i kości, strasząc podczas ciągnięcia arby straszliwie chudymi kłębami. Dlaczego piszę: „jak mi się wydawało”. Pewnego razu taki wół zdechł podczas pracy. Ale to była radość! Natychmiast przystąpiono do oskórowania go i zaczęto sprzedawać mięso, którego okazało się całkiem sporo. Pracownik kołchozu rąbał siekierą kawałki mięsa „jak leci” kości nie kości, wszystko się przydawało, a drugi ważył i sprzedawał. Szykowała się prawdziwa uczta. Nikomu jakoś nie przeszkadzało, że wół zdechł a nie został zabity.

Na ryby

Zimą był bardzo dobry czas na łowienie ryb. Kiedy nie nawadniano pól i woda w kanałach opadała, gromadziły się one w powstających „bajorkach” i można je było łapać rękami. Kazachowie nie łowią i nie jedzą ryb uznając, że to nie jest mięso a więc szczęśliwie nie mieliśmy konkurencji. Nam natomiast smakowały one wyśmienicie, oby tylko było ich jak najczęściej. Nawiasem mówiąc, były one całkiem podobne i w wyglądzie i w smaku do naszych karpia a może nawet była to ich jakaś odmiana? O ile dobrze pamiętam, to karpie pochodzą właśnie z Azji i to gdzieś z rejonów Morza Aralskiego. Jak tu jednak czekać na zimę, gdy jedzenie pływa sobie w wodzie a my jesteśmy potwornie głodni? Z pomocą przyszedł pan Kazimierz Biblis, nasz sąsiad, którego umierającą mamę wynieśli z pociągu w czasie jazdy na zsyłkę i poczekali zapewne aż „dojdzie”. Zrobił on iglicę do robienia siatek i nauczył nas jak je wiązać. Najpierw trzeba jednak było zapewnić sobie nici. Tak się szczęśliwie złożyło, że rodzina Kondratów zabrała ze sobą kołowrotek, który później „chodził” od jednych do drugich. Bawełny było na miejscu ile dusza zapagnie.

Mama uprzedła nam wielki kłębek bawełnianych nici, z których zrobiliśmy sieć a właściwie to w większości zrobił ją pan Biblis, dołączając do niej szaławki i odważniki, by nie unosiła się ponad dno kanału. Ciągnęło się tą sieć po jednej i po drugiej jego stronie uzyskując nieraz całkiem dobre połowy zwłaszcza, gdy poziom wody nie był zbyt wysoki. Oprócz - powiedzmy już wprost karpia w kanałach ukrywały się też sumy. Piszę „ukrywały się”, bo sumy upodabnia się kolorem do otoczenia i trudno go wypatrzyć. Zdradzają go jedynie wąsy, które falują, poruszane prądem wody. Zrobiłem sobie harpun z kawałka kija, który znalazłem na terenie kołchozu i starego widełca. Tak uzbrojony poszedłem na polowanie. Kiedyś widziałem ich wiele. Teraz, gdy miałem czym polować nie było żadnego. Chodziłem po brzegu w jedną i drugą stronę, oczy mało mi nie wyskoczyły na wierzch i wszystko daremnie. Pewnie odpłynęły albo woda była tego dnia wyjątkowo brudna. Już miałem wracać do domu, gdy nagle zobaczyłem falujące wąsy i ich właściciela. Miał chyba ze trzy kilogramy. Był ogromny, tkwił nieruchomo przy samym brzegu aryka a co najważniejsze wcale nie uciekał, gdy przechodziłem obok niego. Zaszedłem z tyłu, przymierzyłem i z całej siły wbiliśmy widelec w moją zdobycz. Uderzyłem chyba zbyt silnie. Kij pękł a sumy odpłynął w dal unosząc na swoim grzbiecie mój wyostrzony widelec. Wracałem do domu głodny i z pustymi rękami a szczęście było już tak blisko. Chciało mi się płakać ze złości. Spotkałem po drodze pana Biblisa, któremu pożałowałem się na moje niepowodzenie. Pogłodził mnie po głowie. Nie martw się, powiedział, Coś wymyślimy. Na drugi dzień wieczorem przyniósł mi prawdziwy harpun. No może nie całkiem prawdziwy, bo zrobiony z odłamanego zęba starych wideł, ale za to z wyciętym przecinakiem pięknym zadziorem, który powodował, że uderzona ryba nie mogła wysunąć się z niego i uciec. Wystarczyło tylko dobrze wycelować do niej i uderzyć. Doradził mi też, abym do tego harpuna przyczepił sznurek i zawinął go sobie na rękę, ale tak, by w każdej chwili można go było odwinąć. Już nie groziło, że kij się złamie i ryba odpłynie jak to było z moim widełcem. Znalazłem sobie nowy kij i poszedłem na polowanie. Efektem były dwa piękne sumy. Tego mniejszego zaniósłem panu Biblisowi.

Nic się nie marnuje

Z panem Biblisem łowiłem też ryby naszą a właściwie jego siecią. Jak trafiło się na dobre miejsce, to w siatce było pełno ryb, nie tylko karpia ale trafiały się też sumy. Zdawać by się mogło, że zaciągnięcie sieci z jednej i drugiej strony kanału, gdzie nie mają już możliwości ucieczki wyłapie wszystkie ryby. Okazuje się jednak, że to nieprawda. Ciągnie się sieć drugi raz w tym samym miejscu i znowu jest zdobycz. Potem trzeci i też się coś trafi.

Sumy potrafią tak dokładnie przylegać do dna, że sieć przechodzi ponad nimi i dopiero za kolejnym razem, gdy woda jest już zmacona i częściowo tracą orientację dają się złapać. Ryby nie były jedyną naszą zdobyczą. Przy większym połowie trafiały się też nie proszeni goście i dlatego przy wyciąganiu sieci trzeba było bardzo uważać. Przez jej oczka, już na brzegu, często wydostawały się żmije, które też siedziały w wodzie i zostały zagarnięte. Jeżeli przypadkiem nie stanęło się na nie, ani też nie chwyciło ręką, to szybkimi zygzakami uciekały w step nie robiąc krzywdy. Jak był udany dzień, to osioł nie mógł donieść tych ryb, które złowiliśmy. Mama miała wówczas zajęcie, ale broń Boże nie narzekała na nie. Trzeba je było oczyścić a następnie ugotować zupę, która była bardzo pożywna. Do jedzenia wykorzystywane było wszystko, co tylko do tego się nadawało, również rybnie podroby. To czego już nie można było zjeść, czyli woda od ich mycia i jelita, służyło do nawożenia naszego ogródka. Podlewało się tym kukurydzę, czy pomidory.

Ryby wśród krzaków bawełny

Pewnego razu złowiliśmy coś, czego jeszcze nie widziałem. Wyglądało mi to na kopyto końskie, z jednej strony gładkie a z drugiej miała takie dziwne wgłębienia jak Koń pod kopytem. Pokazałem znalezisko panu Biblisowi pytając co to jest. Ale was uczą na tej zoologii, roześmiał się. To jest żółw. Nie jedliśmy tych żółwi, mimo że ponoć są jadalne i smakują jak mięso kurczaka. Nasi Niemcy mówili, że one i mięso zielonych węży uratowały ich przed śmiercią z głodu w czasie, gdy budowali kanał Kirowski, czyli w latach czterdziestych w czasie wojny.

Pola bawełniane nawadniało się w ten sposób, że wieczorem była na nie puszczana woda, która do rana miała wsiąknąć w ziemię. Często wybierałem się na takie pola wypatrując, czy wraz z wodą nie dostały się tam ryby, które czekają teraz, leżąc na ziemi aby je podnieść i zjeść. Nieraz zdarzało mi się w ten sposób znaleźć śniadanie. Było to, jak ostrzegali nas w kołchozie bardzo niebezpieczne, ponieważ ziemia mogła rozmięknąć do tego stopnia, że wciągała jak bagno i nie było ratunku, ale mimo to ryzykowałem.

Szkoła „Pabieda”

Lato przeminęło bardzo szybko i mama zaczęła robić starania u władz, bym poszedł do szkoły do rejonu. Nie chcieli mnie puścić, aby nie stracić robotnika. Mama uciekła się wówczas do sprawdzonego sposobu, który działał we wszelkich negocjacjach z władzą: A Lenin „gaworzył, czto nado uczitsia, uczitsia i uczitsia” - a Lenin mówił, że trzeba uczyć się uczyć się i uczyć się. Nie ważne czy tak powiedział, czy nie. I tak nikt tego nie był w stanie sprawdzić. Wystarczyło mówić, że tak powiedział a jakiś urzędnik niskiego stopnia nie stosuje się do woli głównego ideologa systemu. A może to prowokacja? Myślał. Co powiedzą na to przełożeni, jak się nie dostosuję? Lepiej nie sprzeciwiać się woli Lenina. Dostałem stałą przepustkę i przyjęli mnie do szóstej klasy Szkoły Średniej w Kirowie, która nazywała się „Pabieda” czyli zwycięstwo, natomiast siostra Marysia poszła do czteroklasowej szkoły, która była na miejscu w kołchozie. Codziennie miałem do pokonania pięć kilometrów wzdłuż Kanału Kirowskiego. Na szczęście nie byłem sam. Wraz ze mną chodził też Zbyszek Miluśkiewicz, straszy ode mnie, wysoki silny chłopak, bardzo dobry sportowiec a szczególnie biegacz i gracz w siatkówkę, oraz jeden Abchaz, który miał na imię Ared, nazwiska niestety już nie pamiętam. Z tym chodzeniem nie było źle. Bywało, że za wsią łapaliśmy bezpańskie osły, których było tam co niemiara i jechaliśmy na nich odgniatając sobie tyłek na ich wystającym, chudym kręgosłupie. Nie była to jednak łatwa sprawa. Łapało się takiego osła bez trudu, ale zmusić go by szedł i to w dodatku tam gdzie się chce, to już był problem. Nieraz z oślim uporem odmawiał i co było robić? Trzeba było drałować piechotą.

Wpław do szkoły

Pisałem już, że nurt Kanału Kirowskiego jest bardzo bystry. Nie było żadną sztuką przepłynąć 5 kilometrów do Kirowa z prądem wody. Niosła sama, trzeba tylko utrzymywać się na powierzchni. W tym czasie kolega oczywiście niósł książki. Nawet nie ściągało się spodni, bo po wyjściu z wody na słońce schły one bardzo szybko. Woda w październiku i wiosną tak już około marca była taka ciepła jak latem a więc można było uprzyjemnić sobie drogę do szkoły.

Kiedy ja zacząłem się uczyć, to pozostali rodzice, wzorem mamy, też zaczęli się starać by ich dzieci mogły iść do szkoły. Mieli już ułatwione zadanie, bowiem trudno było naszej władzy odpowiedzieć na pytanie dlaczego jedni mogą a drudzy nie. W niedługim czasie chodziliśmy do „Pabiedy” już całą grupą.

Między innymi chodził z nami Andrzej Mickiewicz, z którym razem przeżywalismy koszmar naszej podróży wagonem towarowym do Kazachstanu, oraz Leon Narkiewicz, którego poznałem już tutaj na miejscu. Chodziliśmy razem, ale z powrotem to już było różnie, ponieważ oni obydwaj poszli do ósmej klasy a ja do szóstej. W naszej szkole była jedna klasa, do której uczęszczali wyłącznie dzieci Kazachów. Wspólnie dziewczynki i chłopcy. Dzieciom to nie przeszkadzało, ale ich rodzice bardzo krzywo na to patrzyli. Nie mieściło im się w głowach, jak mogą przebywać w jednej klasie razem osoby odmiennej płci. Nic jednak nie mogli zrobić, ponieważ nie uzyskali zgody władz szkolnych by oddzielnie uczyć jednych i drugich. W tym przypadku dyrekcja szkoły była nieugięta, chcieli pewnie ograniczać wpływ religii muzułmańskiej na wychowanie młodzieży już od najmłodszych lat. Z naszego kołchozu też chodziły kazachskie dziewczynki do szkoły. Zachowywały się podobnie jak ich koledzy, dopiero po wyjściu za mąż były mocno ograniczane we wszystkim przez swoich mężów. Mieliśmy w klasie dwie 15 letnie mężatki, które już miały swoje dzieci i uczyły się. Dziewczyny mogły wychodzić za mąż w wieku 15 lat, ale Kazachowie tego nie przestrzegali, wychodząc ze słusznego założenia, że Moskwa jest daleko a więc i tak nikt nie jest w stanie nic im zrobić. Swoją drogą te dwie dziewczyny musiały mieć stosunkowo dobrych mężów, skoro puszczały ich do szkoły. Pewnie w tym czasie ich dziećmi opiekowały się inne żony, zapewne starsze już wiekiem. Nie skończyłem pisać o zachowaniu się dziewcząt w czasie drogi do szkoły.

Dziewczyny w Kazachstanie dojrzewają stosunkowo prędko i dwunasto, trzynastoletnie mają już pełne piersi, chociaż ciągle jeszcze zachowują się jak przystało temu wiekowi. Często prosiły mnie, abym zdjął swoją „majątkę” czyli podkoszulek i pożyczył, bo wzorem chłopców chciały płynąć kanałem do szkoły, przy czym wstydziły się płynąć z nagimi piersiami. Płynąć się wstydziły, ale przebierać przy nas nie i gdzie tu jest jakaś logika? Nie szukajmy jednak naszej logiki w kraju gdzie obowiązuje inna.

To płynięcie do szkoły wiązało się z wielkim ryzykiem utonięcia, ale wówczas nie zdawałem sobie z tego sprawy. Pisałem już, że nurt był bardzo bystry, tworzyły się wiry, które mogły najlepszego pływaka wciągnąć pod wodę i inni by nawet tego nie zauważyli. Szczególnie przy śluzach, gdzie pobierano wodę do aryków było niebezpiecznie, bo tam zawsze następowały zawirowania. Ponadto nad kanałem rosły wierzby zwisające nieraz do samej wody i można było pokaleczyć się o gałąź. Można było spotkać w wodzie żmije, które też nieraz chciały popływać a nawet po prostu zachłysnąć się przypadkiem i pójść na dno. Przy głębokości dwóch metrów i ogromnej sile wody tych przypadków można wyliczać w dziesiątki. To wszystko jednak nic w porównaniu z zagrożeniem spowodowanym słońcem. Stale mieliśmy przykazywane, aby w ciągu dnia nie wchodzić do wody, bo można umrzeć na skutek różnicy temperatur i stale łamaliśmy ten zakaz w czasie drogi do szkoły, kiedy temperatura powietrza była już naprawdę bardzo wysoka. Szczęśliwie dla nas, w

czasie mojego chodzenia do szkoły „Pabieda” nigdy nic takiego się nie stało. Widocznie Allah czuwał nad nami, lub po prostu mieliśmy szczęście.

W obronie Niemki

Młodzi Kazachowie daleko odbiegali w swoim zachowaniu od nas. Szczególnie jeżeli chodzi o ich stosunek do koleżanek, które traktowali bardzo źle. Nieraz pomiędzy nimi a nami dochodziło do starć. Na szczęście mieliśmy wielkie wsparcie w Zbyszku Miluśkiewiczu, który nie dosyć, że był od nas starszy, to jeszcze bardzo sprawny fizycznie. Kazachowie bali się go i nieraz zbierali się w gromady by go pobić. Dwóm, trzem Zbyszek bez problemu dawał rady, jednak kiedy zebrała się większa grupa, to po prostu uciekał, by potem wyłapywać tych szczególnie agresywnych kiedy już nie będą razem. Biegał tak szybko, że nikt nie był w stanie go dogonić. Kiedyś wracaliśmy ze szkoły i Kazach zaczął się czepiać chodzącej z nami, kilkunastoletniej Niemki.

Chwytał ją z tyłu za głowę i uwiesił się na niej usiłując przewrócić. Ponieważ nie było Zbyszka a ja byłem najbliżej, to z całej siły walnąłem go książkami w łeb. Pewnie nie dosyć mocno, bo nie padł, tylko puścił ją i chciał mnie kopnąć. Udało mi się chwycić jego nogę i odwzajemnić tym samym, ale nie można było rozstrzygnąć walki honorowo, między nami. Było ich za dużo, więc nie czekając na nic wzięliśmy nogi za pas nie przystając aż w „Bolszewiku”. Te bijatyki z młodymi Kazachami były na porządku dziennym, ale nie mogę powiedzieć, żeby między nami wytworzyła się jakaś specjalna wrogość. Wszyscy Kazachowie, to urodzeni wojownicy a my oczywiście nie mogliśmy być gorsi od nich.

Nakrycia głowy

Wspominałem o słońcu. Dorośli Kazachowie, szczególnie w starszym wieku nosili na głowach turbany i to pewnie był najlepszy sposób ochrony przed nim. Jeszcze inni nosili futrzane czapki, natomiast młodzież najczęściej chodziła w „tibitiejkach”, małych okrągłych czapczkach przeważnie czarno białych, jakie można teraz zobaczyć w Turcji czy nawet w Grecji, gdzie sprzedaje się je turystom. My mieliśmy na głowach zwykle czapki, jaką tam kto zdążył chwycić podczas wywózki, a jeżeli nie zdążył, to koniecznie musiał tutaj ją zdobyć. Brak jej w tym potwornie palącym słońcu w niedługim czasie oznaczał tylko

jedno: udar słoneczny. Dziewczyny i kobiety nosiły chustki zawiązane tradycyjnie pod brodą. Wszystkie one były bardzo wzorzyste, przy czym po kolorze można było wyróżniać stan cywilny kobiety. Panienki nosiły chustki w kolorze czerwonym - albo dokładniej, czerwień była bardzo dominująca, co nie oznacza, by na przykład duże czerwone kwiaty nie miały na niej cienkich zielonych łodyg, czy żółtych, niewielkich śródeczków, mężatki przyozdabiały się a jednocześnie chowały przed słońcem pod chustkami z przewagą białego, natomiast wdowy miały je w kolorze żółtym. Tak więc w Kazachstanie kolor chustki zastępował paniom obrączki.

Nasza klasa

Trafiliśmy do prawdziwej klasy. Były szkolne ławki i nawet kałamarze z atramentem, a naszą wychowawczynią była młoda Niemka, urodzona w Samarkandzie Era Aleksandrowa, ucząca algebry i geometrii. W klasie wraz ze mną było bardzo dużo narodowości. Dość wymienić, że byli Polacy, czyli Zbyszek i ja, Abchazowie, Niemcy, Gruzini, Żydzi, Ukraińcy, Białorusini, Tatarzy, Kazachowie, Koreańczycy, Tadźycy, Rosjanie i Grecy. Nie jestem też pewny, czy kogoś nie pominąłem. Wszyscy oni za wyjątkiem Kazachów oczywiście nie przebywali tutaj dobrowolnie. Wszyscy byli zesłańcami. Na pierwszej lekcji odbyły się wybory starosty klasy. Myślałem, że zostanie nim Zbyszek, jako jeden z najstarszych, największych i najsilniejszych chłopców, ale Era podała moją kandydaturę i o dziwo wszyscy się na nią zgodzili. Może dlatego, że było im wszystko jedno a może dlatego, że połowa klasy nie wiedziała co do nich mówi a może po prostu budziłem zaufanie i niech na tym skończę te rozważania. Era nie znała ani słowa po polsku. Bardzo nam to ze Zbyszkiem odpowiadało, ponieważ na jej lekcjach mogliśmy sobie bez problemu podpowiadać. Obawiałem się nieco, że będą nas w szkole zmuszać byśmy wstępowali do „Pionierów” jak miało to miejsce w Sporkowszczyźnie, ale na szczęście nic takiego nie było. Był co prawda „Krasnyj ugałok” był, jak zapewne w każdej szkole, ale nikt nas do niczego nie zmuszał. Później dowiedziałem się dlaczego. My po prostu nie byliśmy obywatelami, nie mieliśmy żadnych praw a więc niejako z urzędu nie mogliśmy też należeć do żadnej organizacji. Kazachowie też się do niej nie garnęli. Oni trwali przy swojej religii i swojej kulturze, traktując wszystko co pochodziło ze Związku Radzieckiego jako obce i wrogie.

Zbieramy bawełnę

Już pierwszego września przerwaliśmy swoją edukację. Każdy rok szkolny zaczynał się w jednakowy sposób. Pierwszy miesiąc to praca w którymś z kołchozów przy zbieraniu bawełny i przebywanie od świtu do nocy a także od zachodu do wschodu słońca na polu, do czego zresztą byliśmy przyzwyczajeni. Moim zadaniem podczas pobytu w kołchozie było oprócz normalnej pracy pilnowanie, by przebiegała ona sprawnie i pomaganie we wszystkim Erze Aleksandrowie. Pracowaliśmy od wschodu słońca do jego zachodu oczywiście z obowiązkową przerwą na posiłek. Upał we wrześniu nie jest już taki duży a więc praktycznie pracowaliśmy przez cały dzień. Spaliśmy na stercie bawełny a właściwie u podnóża tej sterty. Świeży jej puch wydziela bowiem gaz i wdrapując się na szczyt stogu, gdzie jego stężenie jest największe można by się zatruć. Era, która już kilka razy przyjeżdżała na takie zbiory powiedziała, że mamy sobie przygotować spanie z brzegu i na dole, gdzie nie ma zagrożenia, a ja pilnowałem, by komuś nie przyszło do głowy zignorować jej polecenia. Podczas całego dnia pracy można było zebrać nawet 200 kg. bawełny, ale to były już rekordy należące do najlepszych. Ja zbierałem około pięćdziesięciu kilogramów a starałem się jak mogłem. Nie była to praca ciężka, ale bardzo monotonna no i pod koniec dnia byłem już niesamowicie zmęczony. Bawełna zbierana ręcznie rośnie na samym dole krzaka i najprędzej dojrzewa. Jednocześnie jest ona najwyższego gatunku, dlatego zbiera się ją ręcznie a nie maszynowo. Są to pierwsze zbiory w sezonie, kiedy pozyskiwane jest „białe złoto” jak ją nazywają w Kazachstanie. Mówiono, że zbiory te w całości idą na potrzeby wojska. To akurat mogło być prawdą. Na początku lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku napięcie militarne między Wschodem a Zachodem, określane mianem „Zimnej Wojny” było ogromne i Związek Radziecki stale utrzymywał pod bronią potężną armię kilku milionów żołnierzy. Puch bawełny zbierało się do specjalnych woreczków zawieszanych na szyi. Kiedy już woreczek był pełny, szło się do pracownika kołchozu, który ważył go i notował kto ile zebrał. Praca ta nie była darmowa. Stąd nikogo nie trzeba było do niej naganiać, każdy pracował ile tylko wydolił by zarobić jak najwięcej. Stawka za zebrany jeden kilogram bawełny była różna. Zależała ona od tego, w jakiej kondycji finansowej był kołchoz, do którego się trafiło. Najbogatsze płaciły nawet po pięćdziesiąt kopiejek za kilogram. Wypłata następowała w gotówce. Era zbierała te pieniądze i na koniec miesiąca oddawała. Od zarobku odliczano jednak koszt wyżywienia, które nigdy nie było ani dobre, ani w dostatecznej ilości, ale można było wyżyć. Zawsze cieszyło mnie, kiedy dostawaliśmy „lepioszki” - placki z niewyrośniętego ciasta. To było coś innego niż na okrągło kukurydza i kukurydza, no i coś w rodzaju herbaty, oczywiście bez cukru, ale gaszącej doskonale pragnienie. Zarobek zarobkiem, ale gdy słońce chyliło się już ku zachodowi, to z utęsknieniem patrzyłem, ile mu tej drogi jeszcze po niebie pozostało. Upał i marne wyżywienie robiły swoje, każdego

dnia wyczerpywałem siły do końca. Nie wszyscy jednak garnęli się do pracy. Była pośród nas córka komendanta policji Klara Sałdyrbajewa. Jej nie chciało się zbierać bawełny, bo jej tata dobrze zarabiał. Prosiła Ewę aby zwolniła ją z praktyki, ale nic nie uzyskała. Jedynie pod koniec miesiąca udało jej się załatwić, by na noc chodziła do domu, ale rano znowu musiała być na polu. Zawsze była ładnie ubrana i podobała się chłopcom. Wyglądała znacznie bardziej po europejsku, niż pozostałe dziewczyny w klasie. Zbyszek nie interesował się nią, tylko spoglądał tęsknie w stronę Ery. Skończyło się tylko na spoglądaniu. Ona już miała swojego chłopaka Białorusina. Pobrali się i oboje wyjechali do Polski. Wybrali Polskę, mimo, że ona była Niemką a on Białorusinem, ale to na razie odległe czasy.

Tragiczne ucieczki

W październiku zaczęły się już normalne lekcje. Wykłady odbywały się w języku rosyjskim, ale dodatkowo mieliśmy jeszcze język niemiecki i kazachski. Bardzo mi się one przydały w kontaktach z kolegami i pod koniec nauki w siódmej klasie mogłem już rozmawiać z nimi w miarę swobodnie. Z wykładanych przedmiotów szczególnie lubiłem lekcje geografii. Marzyłem ciągle, że pewnego dnia ucieknę do Polski, chociaż wiedziałem, że ani Wilno ani cała ziemia wileńska już do naszego kraju nie należą. Aby zrealizować swój plan trzeba było przede wszystkim znać bardzo dobrze geografie inaczej kończyło się tak jak przyszło to dwóm naszym towarzyszom niedoli z kołchozu, którzy próbowali ucieczki przez pustynię Kyzyl Kum. Jeden z nich był Białorusinem. Zupełnie nie przygotował się do ucieczki, działając zapewne pod wpływem impulsu a ponadto wybrał najgorszy kierunek, bezpośrednio w stronę swojego domu. Nasz kołchoz leżał po wschodniej stronie pustyni. Uciekając na zachód trzeba było przejechać ją całą, co przy braku zapasów wody i żywności, pod palącym słońcem i brakiem jakiegokolwiek schronienia było nierealne. Pewnie nie zdawał sobie z tego sprawy, albo tak wielka była jego determinacja, że odważył się na taki krok. Ukradł komuś konia i po prostu pojechał. Nie wiem jak daleko zdołał zajechać, bo nikt nas o tym nie informował. W każdym razie po kilku miesiącach, przypadkowo ktoś natknął się na szkielet konia leżący na stepie. To był bardzo znaczący ślad. NKWD wybrało się na poszukiwanie, którego rezultatem było odnalezienie drugiego szkieletu, tym razem ludzkiego. Zabrali rzeczy, w które był „ubrany” i przywieźli do kołchozu aby okazać rodzinie i nabrać pewności, że szkielet ten należy do uciekiniera. Rodzina rozpoznała je a NKWD nagłośniło sprawę, aby zniechęcić innych uciekinierów. Jak się niebawem okazało, nie wszystkich zniechęcili. Drugim, który odważył się na ten krok był Polak. Miał on jeszcze mniej szczęścia od swojego

poprzednika, przy czym powielił dokładnie jego błędy, dodając do nich swoje własne. Na dobrą sprawę, jeszcze nie zaczął uciekać a już go złapali. Również ukradł konia, a ponieważ zrobił to w biały dzień, jego właściciel szybko spostrzegł swoją stratę. Skrzyknął paru pomocników i wyruszyli w pogon. Dzień był wyjątkowo bezwietrzny, ślady na pustyni zupełnie wyraźne. Po paru godzinach dopadli zbiega. Nie bawili się w odstawianie go do ukarania przedstawicielom władzy. W przypadku kradzieży Kazachowie sami wymierzają sprawiedliwość. Urządzili mu makabryczną egzekucję bijąc tak długo nahajami służącymi do poganiania koni aż zatłukli go na śmierć. Poszkodowany odzyskał swoją własność, natomiast trupa przewiesił przed siodłem i zawiózł do kołchozu. Tam zrzucił przed domkiem, gdzie mieszkała rodzina zabitego nawet nie ukrywając swojego czynu. Moskwa miała swoje prawa a Kazachowie swoje. Oni byli na miejscu a Moskwa daleko. Znacznie większe szanse miałiby nasi uciekinierzy, gdyby wybrali kierunek na południe, w stronę Afganistanu a następnie przez jego terytorium, na zachód w stronę Iranu, omijając pustynie. Czy byłyby one dużo większe? Myślę, że nie więcej niż 5% na przeżycie przy ogromnym szczęściu i pomocy Opatrzności.

Ucieczka Michała

Jedynie Michałowi Kurowskiemu udało się uciec. Jak to zrobił nie wiadomo, chociaż mam co do tego pewne przypuszczenia. W roku, kiedy zmarł Stalin Michał zdał maturę i w czasie wakacji pracował wraz z rodzicami w kołchozie. Niczym nie wyróżniał się pośród innych kołchoźników, po prostu robił to, co mu polecono a wszelkiej władzy schodził z drogi. Wyglądało na to, że pogodził się ze swoim losem. Aby udać się poza miejsce zamieszkania a ściślej poza teren kołchozu wystarczyło wziąć prostą przepustkę, którą wydawał przewodniczący kołchozu. Pisało się ją samemu. W celu takim to a takim, (choćby do lekarza), ten a ten, zamieszkały w kołchozie „Bolszewik” udaje się za zgodą przewodniczącego kołchozu do miejscowości tej a tej. Pod spodem nazwisko i imię przewodniczącego kołchozu. Tą przepustkę dawało się przewodniczącemu a on ją czytał albo nie, w zależności jaki miał humor. W zależności też od humoru albo podpisał, albo pogonił. W pierwszym wypadku można było udać się w podróż, w drugim przyjść jeszcze raz bądź jeszcze raz i kiedyś się ją dostało. Nie pamiętam już co chciałem załatwić, poza kołchozem, że wypisałem sobie przepustkę i poszedłem do budynku zarządu. Tym razem przewodniczący miał humor. Złapał swoją wielką okrągłą pieczęć, najpierw walnął nią w nasączoną tuszem poduszkę a później w mój dokument, aż małe kleksy rozbryzgnęły się na boki. Przed budynkiem czekał już na mnie Michał, który pewnie od dłuższego czasu polował na taką okazję. Daj tą swoją

przepustkę, poprosił. Dałem mu i z zacięciem patrzyłem co robi. Na moich oczach dokonywało się fałszerstwo. Najpierw, przeniósł mokrą jeszcze pieczęć z mojej przepustki na obrane, zgotowane na twardo jajko, a później jajkiem tym przeniósł ją ponownie na czystą kartkę papieru, którą miał ze sobą. Wysłała idealnie przy żadnej szkodzi dla mojej przepustki. Kiedy jesienią zaczęła się wywózka bawełny na stację Pachta Arał, gdzie podstawiano pod nią wagony, Michał zniknął. Po tygodniu nieobecności jego ojciec zgłosił zaginięcie syna w NKWD i został aresztowany, bowiem zorientowali się, że nie zrobił tego od razu. Musiał jednak przygotować sobie zawczasu jakieś dobre wytłumaczenie bo potrzymali go parę dni i wrócił do kołchozu. Po dwóch latach rodzina Kurowskich już bez Michała, który nie dawał znaku życia wyjechała do Elbląga. My wyjeżdżaliśmy we wrześniu 1956r. Wieczorem przed wyjazdem przyszedł listonosz i przyniósł do mnie list. Drugi był adresowany do Kurowskich. Spojrzałem na niego i od razu poznałem charakter pisma Michała. A więc żyje, udało się! Kurowskich już tutaj nie ma, ale ja im go prześlę, kiedy już będziemy w Polsce, zaproponowałem i zgodził się. Nie mogłem się powstrzymać przed otwarciem listu. To była pierwsza wiadomość do rodziców. Pisał, że mieszka w Leningradzie, gdzie ten list został nadany i jest oficerem wojsk pancernych. Jaka była prawda to nie wiadomo, ponieważ w 1956 roku już nie zostawało się oficerem w ciągu dwóch lat, trzeba było co najmniej czterech aby skończyć szkołę oficerską. Jedno jednak było pewne, ucieczka się udała i Michał żyje. To był chłopak, który zawsze wiedział czego chce a ponadto był bardzo sprawny fizycznie i uparty w dążeniu do celu. Kiedy przywieźli nas do „Bolszewika” podobnie jak my nie umiał pływać a pierwszy się nauczył. Jego ojciec był u nas w Pieszycach. Mówił, że ożenił się z Rosjanką i dobrze mu się powodzi, ale nic więcej nie powiedział. To były jeszcze czasy, kiedy trzeba było na zimne dmuchać a więc zachować daleko idącą ostrożność by mu tam w Rosji nie zaszkodzić. Jedno jest pewne, przez pustynię nie było możliwości ucieczki Nie na darmo teren ten nazywali Kazachowie „Bahara” - Głodny step.

Moje plany ucieczki

Aby ucieczka miała szanse powodzenia, należało ją perfekcyjnie przygotować, zrobić realny plan i ewentualnie zapewnić sobie pomoc, czy też współników odpowiednio zdeterminowanych i pewnych, którzy też jej spróbują a próbować wtedy, gdy szanse jej powodzenia były by nie mniejsze niż 50%. Tak wynikało z moich przemyśleń. Nie zamierzałem przez całe życie tkwić w kołchozie „Bolszewik”. Tutaj wybiegnę nieco do przodu w swoich wspomnieniach. Kiedy już uczęszczałem do Technikum Mechanizacji

Rolnictwa w Kapłan Biegu, wraz z nami, na dwuletnim kursie uczyli się dyrektorzy kołchozów i sowchozów. Będę jeszcze o tym pisał, więc jedynie wspomnę, że z czasem poznaliśmy się ze sobą i oni już w szkole zaczęli sobie dobrać spośród uczniów technikum przyszłą kadre. Po wojnie, a zwłaszcza w Kazachstanie mechanizatorów rolnictwa było jak na lekarstwo, więc trudno dziwić się takim zabiegom. Nie tylko Związek Radziecki miał takie problemy. Z podobnymi borykały się Indie. Obydwa kraje podpisały porozumienie o współpracy w tej dziedzinie i kiedyś do naszej szkoły zawitał przedstawiciel tego kraju aby werbować pracowników, którzy przez okres paru lat wdrażać będą u nich mechanizację. W ich rejonie uprawiano to samo co w Kazachstanie, czyli bawełnę i ryż. Uzyskaliśmy dużo wiadomości o ich kraju, bowiem pokazywali nam filmy o życiu ludzi i ich zwyczajach, oraz o metodach uprawy ziemi. Widać było na nich jak daleko odbiegają od sposobu gospodarowania w kołchozach, gdzie uprawa bawełny stała na wysokim poziomie i uzyskiwano bardzo dobre plony. To była ta chwila, która mogła zadecydować o mojej przyszłości. Podpisałem takie zobowiązanie a wraz ze mną dwaj moi koledzy ze szkoły Piotrek i Stasiu, oczywiście Polacy. Stasiu był w grupie agronomów a Piotrek w mojej. Prócz tego, że byli Polakami niewiele o nich mogę powiedzieć, ponieważ nawet przyjaciele nie wymieniali między sobą takich informacji, zgodnie z zasadą „mniej wiesz, krócej siedzisz”. Chodzi tu głównie o przepis słynnego paragrafu 58A kodeksu karnego Związku Radzieckiego, który przewidywał długoletnią karę więzienia dla tego, kto wiedział o przestępstwie a nie doniósł o tym władzy. Jedynie o Piotrze wiedziałem, że pochodzi gdzieś spod Brześcia Litewskiego a po powrocie do Polski pomogłem mu w opuszczeniu Kazachstanu wnosząc prośbę do Polskiego Czerwonego Krzyża, który współpracował w Biurem Repatriacyjnym, aby sprowadzili go do kraju, gdzie już byli jego rodzice. Po dwóch miesiącach od zgłoszenia otrzymałem od niego list - już z Polski. To była jeszcze odległa przyszłość. Na razie skończę wątek ucieczek. Z Indii dostać się do Europy będzie z pewnością łatwiej niż ze Związku Radzieckiego. Na szczęście nasze plany nigdy nie zostały zrealizowane. Wróciliśmy do kraju znacznie wcześniej i w sposób legalny, chociaż nie bez wielkich trudności zwłaszcza, jeżeli chodzi o moją osobę, ale o tym będę jeszcze pisał.

Wania opuść lekcję

Kiedy przyszedł list od Michała byliśmy już ludźmi wolnymi a nie tak dawno marząc o ucieczce, zazdrościłem nieraz olbrzymim stadom szpaków, które jesienią odlatywały do ciepłych krajów. A właściwie dlaczego odlatywały?

Kazachstan był dostatecznie ciepłym krajem by mogły w nim zimować. Widocznie też tęskniły za swoimi gniazdami tam gdzie leciały, podobnie jak ja. Geografii uczył nas starszy wiekiem arystokrata rosyjski, którego jedyną winą wobec władzy radzieckiej było to, że urodził się w arystokratycznej rodzinie. Został „osądzony” i zesłany do Kazachstanu. Miał i tak szczęście, że nie zesłano go na północ, bo pewnie nie długo by tam pożył. Tutaj pracował w szkole podstawowej i kto wie? Może jeszcze kiedyś wrócił do swojej ukochanej Moskwy? Przed wojną zajmował się pracą naukową a w odległej przeszłości dużo podróżował. Geografię przekazywał nam w sposób tak zrozumiały, tak ciekawy, że jego lekcji nie słuchałem, ale chłonałem całym sobą. Do dzisiaj pamiętam jego nazwisko: Polikarp Michajłowicz Polikarpow, czyli że nadano mu imię nawiązujące do nazwiska. Mówił wolno i bardzo wyraźnie, wręcz uroczyście staro rosyjskim narzeczem, który nam wydawał się mocno archaiczny. Jednego razu opowiadał nam o Koperniku, który dokonał epokowego odkrycia. Dowiódł, że ziemia nie jest płaska tylko ma kształt....

„czemodana” - walizki, wyrwało mi się, bowiem nieraz słyszałem takie powiedzenie, że: „ziemia jest jak czemodan” , dokładnie już nie potrafię powtórzyć. Polikarpow przerwał wykład, spojrzał na mnie z wyraźną dezaprobatą i wyrzucił mnie za drzwi. „Wania pakiń urok” - Wania opuść lekcję, powiedział po czym dalej kontynuował nauczanie. Stałem za drzwiami i słuchałem , że ziemia jest kulista o czym słyszałem po raz pierwszy w życiu i było mi głupio, że tak niepotrzebnie wyrwałem się ze swoją uwagą. Na przerwie przeprosiłem Polikarpowi i wyjaśniłem swoje zachowanie. Uśmiechnął się tylko i wszystko wróciło do normy. Po wielu latach obserwowałem nieraz jak moje dzieci, czy wnuki wybierają się do szkoły z wielką niechęcią mówiąc o tym, że pan, czy pani może ich zawołać do tablicy i pytać. Wszystko zupełnie się w tym nauczaniu przewróciło. W „Pobiedzie” było zaszczytem jak kogoś poproszono do tablicy wyróżniając go w ten sposób. No, może z wyjątkiem nauki języka niemieckiego. Pani, która uczyła nas tego przedmiotu nie mówiła słowa po rosyjsku, przynajmniej do nas. Wołając do tablicy zawsze kazała zabrać ze sobą zeszyt lub książkę. Ten co nie zrozumiał i wziął co innego już nie musiał odpowiadać , wracał na miejsce z oceną niedostateczną. Nauczyciel, który uczył nas języka kazachskiego był bardziej wyrozumiały zdając sobie sprawę, że mamy z tym ogromne trudności a niektórych wyrazów nie jesteśmy w stanie wypowiedzieć, co oczywiście nie przeszkadzało młodym Kazachom naśmiewać z naszej wymowy.

Kiedyś na lekcji rosyjskiego pani przeczytała nam Inwokację „Pana Tadeusza” twierdząc, że jest to wiersz Puszkina. Wstałem i grzecznie zaoponowałem. To nie jest wiersz Puszkina. Pani bardzo ładnie wycofała się z niezręcznej sytuacji. Puszkina ten wiersz przetłumaczył. Dobrze chociaż, że nie przypisała tego wiersza znanemu rosyjskiemu poecie Adamowi Mickiewiczowi w końcu mieszkał on na terenach należących później do Związku Radzieckiego.

Zaplecze sanitarne

Jeszcze o rzeczy mało przyjemnej, ale jakże ludzkiej. Idąc do szkoły rozsądnie było oddać po drodze naturze to, czego od czasu do czasu od nas się domagała. W obrębie szkoły były co prawda wychodki, czyli małe budki z dziurą w ziemi wewnątrz, ale wejście tam wymagało wielkiej odwagi lub raczej ogromnej desperacji. Smród bijący od rozgrzanych słońcem fekalii bez mała zabijał, a już u każdego powodował odruchy wymiotne zwłaszcza, że nie wszystko co uczniowie wydalali trafiało właśnie do tej dziury tworząc wokół uroczy wianuszek. Miejsce to nazywaliśmy „obszczestwienną uborną w posiedzinie goroda” - publiczna ubikacja w środku miasta. Kazachowie, zarówno dziewczyny jak i chłopcy omijali ją z daleka załatwiając te sprawy na stepie tak, jak nauczyli ich rodzice

Wyżywienie się poprawiło

Uczęszczanie do szkoły nie zwalniało od pracy w kołchozie w czasie, gdy nie było zajęć. Nieraz, kiedy były pilne prace, to nie mogłem iść do szkoły, tylko musiałem pracować. szczęśliwie takich momentów nie było zbyt dużo. Moi bracia pracowali obydwaj w brygadzie polowej. Nieraz orka odbywała się daleko od kołchozu. Wówczas dostawali odpowiednie przepustki. Byli jedyną brygadą, która nie ukradła pszenicy przeznaczonej na siew, tylko wysiali ją w całości. Doszli do wniosku, że im kołchoz będzie bogatszy to i my będziemy mieli lepiej, bo nieco tego zboża zostanie jak już odda się obowiązkowe dostawy dla państwa. Zyskali tym sobie bardzo duży szacunek wśród kołchoźników. Jeździli też obydwaj aż nad rzekę Syr Darię wraz z panem Biblisem, kosić ogromnymi kosiarkami trawę. Nasz kołchoz dogadał się z tym, na którego terenie to się działo, że zapewnią im wyżywienie. Obowiązek ten spoczął na rodzinie Kazachów, która mieszkała w jurcie w pobliżu rzeki. O ich nocleg nikt się oczywiście nie troszczył, bo to była wyłącznie ich sprawa gdzie będą spać. I czy będą spać. Wybrali miejsce obok jurty, aby posiłki były na miejscu. Wkrótce okazały się, one tak nędzne, że zaczęli słabnąć z głodu. Wszelkie protesty na nic się nie zdały. Nie dadzą więcej jedzenia, bo sami nie mają. Może i nie mieli, ale oni siedzieli przez cały dzień w jurcie nic nie robiąc, to i nie potrzebowali za dużo jedzenia, natomiast ciężka praca od świtu do nocy wyczerpywała organizm. Kiedy już wszelkie perswazje i prośby zawiodły, pan Biblis rozciągnął sznur wokół jurty, przyczepił końce do traktora i zaczął ich ciągnąć w stronę rzeki. Nie dacie jeść, to będziecie musieli nauczyć się pływać.

Podniósł się wielki krzyk, ale ostatecznie groźba odniosła skutek. Kazachowie nie znaleźli się w rzece, natomiast wyżywienie nieco się poprawiło.

Ja też kosiłem kosiarką, ale lucernę na miejscu w kolchozie, która tutaj była prawie mojego wzrostu. Kosa miała 5 metrów szerokości i w czasie transportu trzeba było ją składać. W tej lucerny stale siedziały ogromne stada wróbli. Kiedy nadjeżdżałem traktorem wlatywały do góry wielkimi stadami a powietrze aż furczało od ich skrzydełek. Lubiłem bardzo, jak za kosiarką odkłada się równy pas skoszonej zielonki, która schła prędko na siano. Przypominały mi się wówczas chwile z Pietraszuńców, kiedy chodziłem do taty na pole w czasie sianokosów i robiło mi się jakoś cieplej na sercu. Gdzie ten mój tata jest teraz i czy w ogóle jeszcze żyje? Każdy, kto nie bał się ciągnika mógł siadać na niego i jechać. Czegoś takiego jak prawo jazdy po prostu nie było. Nawet nie było takiej potrzeby, bowiem ruch był minimalny. Czasem tylko przyjechał ktoś ciężarówką z jakimś zaopatrzeniem. Brygady polowe dzieliły się na kołowe i gąsienicowe a prócz nich była jeszcze brygada kombajnów do zbierania bawełny. Taki kombajn do bawełny, to nic innego, jak jadący samodzielnie ogromny odkurzacz wsysający wszystko, co stanie na jego drodze. W zebranej w ten sposób bawełnie były więc i liście i gródki ziemi i małe gałązki. Nie był to już najlepszy gatunek jak w przypadku „białego złota”. I jeszcze stepowa ciekawostka. Nie ma na nim kamieni. W ciągu pięciu lat pobytu nie spotkałem leżącego luzem kamienia. Jedyne twarde przedmioty, to zeschnięta na skałę grudka ziemi.

Wyprawa do kolchozu „Amangielyd”

Rodzina Kondratów pisywała listy do swoich rodzimych Sołtaniszek. Ktoś napisał im, że koło nas, w kolchozie „Amangielyd” są Kuczyńscy. Wiedzieliśmy, że ten kolchoz znajduje się tuż za naszym. Granicą był wielki wąwóz nie wiadomo, czy wykopany ręką człowieka, czy też był to naturalny twór, którego dnem płynął strumyk. Oczywiście tej granicy nie wolno było przekraczać. Według oświadczenia, które podpisaliśmy, groziła za to śmierć. Za co ona tutaj nie groziła? Bracia wysłali mnie abym tam poszedł i zobaczył. W czasie przerwy obiadowej, kiedy wszelka władza nie wystawiała nosa poza domki i ryzyko spotkania kogokolwiek było minimalne, ruszyłem przez ogromne pole bawełny. Szczęśliwie przeszedłem wąwóz, strumyk i skierowałem się w stronę domku na środku pola, gdzie kolchoźnicy z „Amangielyd” schowali się przed słońcem. Ze zdziwieniem zobaczyli, że do środka wchodzi jakiś nieznany chłopak. Szczęśliwie były tam trzy siostry Kuczyńskie z najmłodszą Jadwigą. Trochę mi imponowało kiedy spytała, czy nie bałem się przyjść pomimo zakazu i tak ostreych restrykcji. Czułem w jej

głosie podziw dla swojego wyczynu. Co tam, odpowiedziałem skromnie na jej pytanie. Czy to raz już wychodzę poza teren kołchozu? Ucieszyły się bardzo na mój widok, ja zresztą też. Pisałem już, że każdy spotkany w Kazachstanie Polak traktowany był jak najbliższa osoba. Niestety nie miałem czasu by długo rozmawiać. Powiedziałem jedynie, kto jest u nas i jak mu się powodzi, one powiedziały mi o swoich i zebrałem się do powrotu obiecując, że jeszcze nieraz tu zajrzę. Mówiłem zupełnie serio. Dopingowała mnie do tego chęć ponownego zobaczenia Jadwigi. Jak ona wyładniała od czasu, gdy widziałem ją po raz ostatni! Nawet te surowe warunki życia w kołchozie nie potrafiły tego przysłonić. Na razie szedłem szybko w stronę granicznego wąwozu, bo co innego popisywać się przed dziewczyną a co innego, gdyby mnie rzeczywiście złapali. Kiedy już byłem bezpieczny, na stronie kołchozu „Bolszewik”, zwolniłem. Wysilek fizyczny przy bijącym prostopadle do ziemi słońcu, przeżyte emocje, zupełnie mnie wyczerpały, ponadto bardzo chciało mi się pić. Postanowiłem nieco odpocząć. Położyłem się w „rosłudze” to jest niewielkim rowku pomiędzy rzędami bawełny. Zmęczenie wzięło górę nad mocnym postanowieniem, że tylko na chwilę i pójdę dalej. Zasnąłem i spałem tak ze dwie godziny. Szczęśliwie w cieniu, bo na słońcu mógłbym już się nie obudzić. Powlokłem się do swoich i przed rozpoczęciem pracy zdążyłem jeszcze opowiedzieć braciom kogo zastałem i kto jeszcze z zesłańców jest w sąsiednim kołchozie.

Malaria

Po paru dniach od mojej wycieczki do kołchozu „Amangielydy” poczułem się bardzo źle. Wszystkie kości mnie bolały a głowa była taka ciężka, że nie można jej było utrzymać na karku. Położyłem się na swoim legowisku i trząsałem się z zimna. Mama okryła mnie czym tylko mogła ale nic to nie dawało. Zęby szczękały mi uderzając jedne o drugie i w ogóle było mi już wszystko jedno co się wokół mnie dzieje. Gdybym nawet umierał to i tak przyjął bym to ze spokojem. A do tego nie było daleko. Okazało się, że kiedy spałem pod krzakami bawełny, zostałem pogryziony przez komary malaryjne, które pod jej liśćmi chowały się przed upałem. Nie musiały się wysilać, by zdobyć ludzkiej krwi, która jest im potrzebna do rozrodu. Pożywienie przyszło samo i w dodatku dałem im sporo czasu by zaspokoili swe pragnienie. Mama szukała ratunku gdzie mogła, ale możliwości na stepie są bardzo ograniczone. Z pomocą jak zwykle przyszła młoda Czechenka, felczerka. Dała mamie jakieś tabletki, które chowała skrzętnie na wypadek, gdyby któryś z jej synów zachorował. Powoli zacząłem wracać do zdrowia, ale ponoć ślad w organizmie pozostał. Przekonałem się o tym już w Polsce, kiedy zakład pracy wysłał mnie

na badania kontrolne do Akademii Medycznej we Wrocławiu. Lekarz, patrząc na wyniki, kilkakrotnie przepytawał mnie na co chorowałem. Wymieniałem mu co pamiętałem a on stale kręcił głową. W końcu przypomniało mi się o malarii. Jeszcze malaria, niemal wykrzyknąłem szczęśliwy, że udało mi się przypomnieć. To niemożliwe, w Europie nie występuje. W Europie nie ale w Azji Środkowej. Teraz to już mu się zgadzało.

Na zesłaniu, aby uratować komuś życie, nie trzeba było bardzo wielkich wyrzeczeń ze swojej strony. Felczerka dała mamie tabletki, bym nie umarł i to był prawdziwie drogocenny prezent. Nieraz życie człowieka zależało od tego, czy ktoś dał mu kawałek chleba. Często ta granica między życiem a śmiercią była bardzo blisko. Aby to zobrazować użyję takiego poetyckiego porównania: szło się wyboistą ścieżką tuż przy krawędzi, za którą była już tylko otchłań. W tych nieludzkich warunkach, w tym stałym zagrożeniu mieliśmy niesamowite szczęście. Pan Bóg stale stawiał na naszej drodze dobrych ludzi.

Nie była to jedyna choroba, która gnębiła mnie w czasie pobytu w Kazachstanie. Zaraz pierwszego roku, kiedy już wróciliśmy ze zbiorów bawełny i rozpoczęła się nauka zaczęły mnie boleć plecy. Skóra na nich zaogniła się i po pewnym czasie zaczęły wychodzić na wierzch wielkie czyraki, które pękały i wyciekała z nich ropa pomieszana z krwią o bardzo brzydkim zapachu. Męczyłem się z tym bardzo, zwłaszcza, gdy kilka z nich „dojrzewało” na raz, bo wtedy najbardziej bolały. Po pęknięciu, ból ustępował niemal natychmiast i wszystko zaczynało się od nowa. Nieraz pękały mi w nocy i nawet się nie budziłem, przemęczony po całym dniu, ale rano miałem prześcieradło przyklepione do pleców. Nie byłem jedynym chłopcem, którego one męczyły, inni też to mieli a więc z pewnością była to jakaś choroba zaraźliwa. Dziewczyny nie skarżyły się, więc nie wiem, czy rzeczywiście je to ominęło, czy też zacisnęły zęby i zniosły dolegliwości w milczeniu. Ja tak osłabłem od tych czyraków, że kiedyś rano zemdlałem. Mama pobiegła po felczerkę, połały mnie wodą i ocuciły jednak nie były w stanie nic zrobić aby mi pomóc. Felczerka doradziła jedynie abym nie spał już na zewnątrz tylko przeniósł się na noc do domu. Dopiero gdzieś po miesiącu było ich coraz mniej aż w końcu zanikły zupełnie. Po kilku dniach już o nich nie pamiętałem.

Parzący piasek

Straszne upały, zabójcze dla ludzi nie były tak groźne dla zwierząt, które doskonale przystosowały się do warunków. Osły, w czasie największego upału kładły się w rozgrzany do kilkudziesięciu stopni piasek, jaki wypełniał

koleiny zrobione przez traktory i tarzały się w nich z wyraźnym zadowoleniem. Człowiek w tym czasie nie mógł stanąć bosą nogą na ziemi, by się nie poparzyć. Kiedyś szedłem w butach i przy przechodzeniu przez te koleiny posypało się nieco piasku na niczym nie osłonięte podudzie, które poparzyłem. Od tej pory unikałem kolein, a kiedy już musiałem je przekroczyć to bardzo uważałem na ich „skarpy” by znowu się nie poparzyć.

Pomysłowość ludzka, wynikająca z biedy jest niesamowita. Grecy zbierali stare, zużyte opony. Wycinali ze środka tą część, gdzie guma była miękka a jednocześnie wzmocniona nylonowym kordem, cięli ją na szerokie paski i szyli z tego buty. Może nie były zbyt eleganckie, ale chroniły zarówno przed gorącym piaskiem jak i przed kłującymi roślinami, których na stepie rosło co niemiara. Takiej rośliny nie sposób było chwycić gołymi rękami, aby się nie pokłuć. Wielbłąd, wiozący na swoim garbie Kazacha, chwycił ją w biegu, wyrwał z ziemi, miał w zębach przez dłuższą chwilę i połykał, nie robiąc sobie żadnej krzywdy.

Stalin „padoch”

Teraz o zdarzeniu, które odbiło się głośnym echem w całym świecie. Ludzie płakali na ulicach, kobiety dostawały spazmów, działacze partyjni chodzili przestraszeni, niepewni swojego losu. W dniu 5 marca 1953 roku umarł Towarzysz Józef Stalin. Generalissimus Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich i jego nie kwestionowany przywódca, Pierwszy Sekretarz Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego i autor zwycięstwa w Wielkiej Wojnie Ojczyźnianej, odznaczony ogromną ilością medali za niekończącą się listę zasług, w tym kilkakrotnie medalem Bohatera Związku Radzieckiego, autor kilkudziesięciu, lub może raczej wypada napisać kilkuset książek, wydanych w milionach egzemplarzy, kontynuator dzieła Lenina wspartego na ideologii teoretyków komunizmu Marksa i Engelsa i tak dalej i tak dalej. U nas nie było radia a więc jak co dnia szedłem do szkoły. Po drodze zobaczyłem, że obok naszej czteroklasówki, jej kierownik Kazach, ściąga z masztu czerwoną flagę Związku Radzieckiego, przyczepia do niej jakąś czarną szmatę i wciąga ponownie ale tylko do połowy masztu. Z pewnością ktoś ważny umarł, bo zwykle w ten sposób honoruje się takie wydarzenia. Co się stało? Spytałem przystając przy nim na chwilę. Spojrzał na mnie z promiennym uśmiechem i odpowiedział: Stalin „padoch”. Bestia, gnębiciel jego kazachskiego ludu zdechł.

Modlitwy

Modlitwa w szkołach była zakazana, ale my ze Zbyszkciem modliliśmy się na przerwach. Z jednej strony z potrzeby serca, a z drugiej by wzbudzić w sobie bodaj na chwilę nadzieję na opuszczenie tego strasznego kraju i zmniejszyć nie kończące się przygnębienie, które dopadało w chwilach samotności, lub kiedy wykonywało się monotonną pracę sprzyjającą zadumie, siadając wielkim ciężarem na piersi. Był jeszcze jeden powód. Modlitwa była zakazana, a to przecież wielka frajda łamać zakazy wydane przez wroga. Te modlitwy zyskiwały nam szacunek pośród szkolnych kolegów i koleżanek. Szczęśliwie nikt nigdy nie doniósł o nich do NKWD. Młodzi mahometanie też się modlili, ryzykując wyrzucenie ze szkoły, ale nie wszyscy. Inaczej było z dorosłymi wyznawcami Islamu. Bywało, że jechał Kazach na koniu i zbliżała się pora modlitwy. Wówczas zsiadał, wiązał go do pierwszego kolczastego krzewu, który był pod ręką, wyciągał przymocowany do siodła dywanik modlitewny, klękał na nim i bił pokłony w stronę Mekki, wypowiadając przy tym słowa modlitwy. Na tą chwilę tylko czekałem z kolegami. Podbiegaliśmy do konia, odwiązywaliśmy go i klepali w zad. Koń galopem ruszał w step, a modlący się Kazach, pomimo że widział to, modlitwy nie przerywał. Dopiero po jej zakończeniu chwycił za krótki bat służący do poganiania konia, ale my byliśmy już wtedy daleko. Wielka szkoda z tych naszych żartów nie wynikała, ponieważ jeździec z koniem stanowili niejako jedność i doskonale się rozumieli. Konie zresztą były bardzo cenione przez Kazachów i wytresowane tak, że jak krzyknął, a głos po stepie niesie się bardzo daleko, to natychmiast wracały do swojego pana jak dobrze ułożony pies. U nas konie chodzą w ten sposób, że stawiają jednocześnie lewą przednią i prawą tylną nogę, po czym prawą przednią i lewą tylną. U Kazachów konie „szłapały” czyli stawiały raz lewe raz prawe nogi. Specjalnie je do tego przyuczano, ponieważ koń wówczas nie trzęsie, a buja jeździec na boki co jest zdecydowanie mniej męczące podczas długiej jazdy. Nazywano takiego konia „inochodziec” jako, że chodzi inaczej niż pozostałe. Każdy Kazach, który jechał na koniu stale coś mrucał, nie wiem, czy modlił się, czy też śpiewał ale nigdy nie jechał milcząc.

Gustek kinooperator

Pewnego dnia Gustek zaczął robić starania, aby zostać kinooperatorem. Miał już doświadczenie w tym zawodzie, wyniesione jeszcze z Lidy. W Powiatowej Radzie Rejonu Kirowskiego był wydział kultury, ale stałego kina nie było. Brakowało tam prądu, a więc mogły być jedynie ruchome

„pieredwiszki” - kina objazdowe, które były zasilane swoim generatorem prądu napędzanym na ropę. Zarząd kołchozu bardzo niechętnie patrzył na te starania. Podobnie jak było ze mną, gdy poszedłem do szkoły, stracił by dobrego pracownika. Poproszono przedstawiciela NKWD, aby wyperswadował Gustkowi z głowy ten pomysł. Wezwano mojego brata przed oblicze groźnego sierżanta, który rezydował w kołchozie, mając nadzór nad skazanymi. Znowu pomógł nam wiecznie żywy Lenin. Towarzysz Lenin powiedział, że ze wszystkich środków masowego przekazu kino jest tym najlepszym, a wy nie dajecie mi zostać kinooperatorem. Mnie, który mam duże doświadczenie? Na Lenina nie było sposobu. Sierżant musiał ustąpić. Mało tego, kołchoz musiał dać Gustkowi do dyspozycji konia i furmankę, aby miał na czym wozić swój sprzęt i w okolicznych kołchozach oraz oczywiście w naszym nastąpiła era kina. Gustek zajeżdżał do kołchozu, włączał generator prądu i puszczał na cały głos jakąś muzykę. Głos po stepie niósł się daleko, daleko, i kto go tylko usłyszał ścigał wieczorem przed dom zarządu, gdzie odbywały się projekcje, nawet z innych kołchozów. Za ekran służyły dwie tyczki, które woził ze sobą. Wbijał je w ziemię, rozpiął pomiędzy nimi białą płachtę i już był gotowy. Nikt nie zwracał uwagi, że gdzieś tam jego róg jest pomarszczony, czy na środku zrobiła się fałda. Ludzie byli tak głodni jakiegokolwiek kultury, że nic nie przeszkadzało. Sama muzyka, to już było coś świętego. Kazachowie wkładali sobie w zęby jakiś instrument i z niego wydobywali dźwięki. Były one bardzo ciche, ale melodie dało się odróżnić. Bardziej zdolni robili instrumenty muzyczne. Jednym z nich była „dambra” - rodzaj gitary ale tylko z dwiema strunami sporządzonymi z mocno skręconych i wysuszonych jelit barana. Dźwięki wydobywane z dambry nie były takie czyste jak w naszej gitarze, ale melodie potrafili na niej wygrywać. Kiedyś jadłem wieczorem kaszę i nagle usłyszałem muzykę. Rzuciłem łyżkę i pobiegłem do centrum wioski. Muzyka była ważniejsza nawet niż jedzenie, picie czy sen. No teraz to już przegiąłem, ale zostawię co napisałem aby uwypuklić tęsknotę za czymś pięknym w tym ponurym świecie szarej rzeczywistości. Okazało się, że kołchoz odwiedził zespół z „narodnymi artystami” – artystami państwowymi Azji Środkowej. Przygrywał im artysta muzyk na flecie a oni tańczyli na rozścielonym na ziemi dywanie, który przywieźli ze sobą. Nie było przecież w kołchozie sceny, na której mogli by wystąpić. Wracając do kina. Publiczność sadowiła się tak, że najbliżej ekranu siedzieli ludzie na piasku, w następnym rzędzie siedzieli na osłach, później na koniach i na ostatku na wielbłądach zarówno po jednej jak i po drugiej stronie ekranu. Nieraz w czasie projekcji jakiś osioł rozdziawił pysk i wydał z siebie niepowtarzalny ośli krzyk albo też znudziło mu się stanie i zaczął wychodzić z widowni wprowadzając ogólne zamieszanie, ale nikt się tym nie przejmował. Dzięki temu, że mieliśmy kino, mogłem w Azji Środkowej, tysiące kilometrów od kraju obejrzeć „Zakazane piosenki”, które Polacy przyjęli ze szczególnym, entuzjazmem czy oglądać „Przygody Tarzana”. Młodzi chłopcy zachwycali się tym Tarzanem, wówczas inaczej przyjmowało się tą kinową

rzeczywistość jak teraz, bardziej spontanicznie, bardziej otwarcie. Wspomnę tylko, że wiele nóg i rąk zostało połamanych przy tym, jak usiłovali naśladować jego wyczyny. Zdarzało się też, że ktoś zginął, co jednak nie zniechęcało pozostałych. Ja oglądałem dwanaście odcinków tego filmu zaczynając jeszcze w Lidzie a kończąc na zesłaniu w kołchozie a później w Taszkencie i to w **k o l o r z e**. To właśnie były te nieliczne chwile szczęścia. Utożsamianie się z bohaterem i zapominanie o rzeczywistości.

Dzień święty święć

Obowiązek pracy dotyczył wszystkich dni w tygodniu, również w niedzielę. Pewnego dnia Polacy zbuntowali się. Nie będziemy pracowali w niedzielę, to jest u nas święto i dzień wolny od pracy. Dla kołchozu taka przerwa oznaczała dosyć dużą stratę. Brygadzysta przyjechał jak zwykle rano, aby wygonić nas do roboty, ale mama stanowczo się temu sprzeciwiła. Dla nas praca w niedzielę to grzech. Brygadzysta roześmiał się. „Kakoj griech” - jaki grzech, ja biorę go na siebie, zabierajcie się do roboty. Każdy sam odpowiada za swoje grzechy, odparła mama. Nikt z Polaków nie wyszedł do pracy i do sporu pomiędzy zarządem kołchozu a Polakami włączył się funkcjonariusz NKWD. To jest sprawa polityczna grzmiał, wy Polaki występujecie przeciwko Związkowi Radzieckiemu. To nie jest żadna sprawa polityczna, powiedziała mama, to jest wyłącznie sprawa religijna. Okazało się, że oni bardzo boją się wystąpień politycznych. To by oznaczało, że zarząd kołchozu i NKWD nie dają sobie z więźniami rady i groziło im przeniesieniem na mniej eksponowane stanowiska a może nawet gdzieś daleko w tajgi Syberii. Ustąpili wspaniałomyślnie pozwalając dzień święty święć. W sprawy religii nie będą ingerować bo to dla nich mało bezpieczny temat.

W miesiącu maju mama zorganizowała u nas nabożeństwo majowe. Na ścianie domku zawiesiła obraz Najświętszej Marii Panny Nieustającej Pomocy, przystroiła go po bokach liśćmi kukurydzy i mieliśmy prawdziwą duchową ucztę. Stawili się na nią wszyscy mieszkający w kołchozie Polacy. Odśpiewaliśmy litanie do Najświętszej Marii Panny a następnie śpiewaliśmy pieśni maryjne, oraz „Ciebie Boga wychwalamy”, „Chwalcie łąki umajone” i inne uważając, by nie włączać przy tym pierwiastków patriotycznych a więc nie zaśpiewaliśmy „Boże coś Polskę”. Można by było stracić dotychczasowe, ciężko wywalczone ustępstwa. Kazachowie, których stosunek do Rosjan był niemal jawnie wrogi patrzyli na nas z wyraźną aprobatą. Ja zamknąłem oczy czułem się jakbym na skrzydłach czasu przeleciał do Pietraszuńców i znalazł się w naszym salonie przyozdobionym czeremchą i kaczeńcami. Zrobiło mi się na

sercu tak jakoś dziwnie lekko, jakbym już nie był więźniem, zesłańcem nie posiadającym żadnych praw oprócz prawa do ciężkiej pracy na rzecz naszych wrogów.

Toaleta Kazachów

Teraz nieco o życiu codziennym w naszym kołchozie. Zdawało by się drobiazgach, które jednak na to życie się składają. Zacznę od toalety, czy chociażby zwykłej „Sławojki” czyli budki z wyciętym najczęściej w drzwiach malutkim serduszkim, służącym do załatwiania potrzeb fizjologicznych. Niczego takiego, przez cały okres pobytu w kołchozie nie dorobiliśmy się. Chodziło się po prostu w kukurydzę, biorąc ze sobą kłak bawełny, który służył za papier toaletowy. A jak te sprawy załatwiali Kazachowie? Zupełnie inaczej i jawnie. Kazach wychodził z komu w tym swoim długim płaszczu podobnym do żydowskiego „chałata” i targał w ręku cynowy lub mosiężny, z reguły pięknie ozdobiony dzbanek z długim lejkiem i uchem, mający zwykle około trzech litrów pojemności a więc dosyć spory. Oczywiście dzbanek napęczniony wodą. Siadał na oczach wszystkich na stepie i załatwiał sprawę okryty płaszczem niczym malutkim namiotem. Mył się wodą z dzbana zamiast używać papieru toaletowego i wracał do domu zostawiając uprzątnięcie kupki palącemu słońcu. Po paru dniach zostawała z niej jedynie malutka grudka niewiele różniąca się od ziemi. Kobiety Kazachskie postępowały dokładnie w ten sam sposób. Nieraz widziałem, jak nasza sąsiadka wyskakuje nagle ze swojego domku oczywiście trzymając w ręku ten sam dzbanek z wodą, którego używał jej mąż i już w biegu narzuca sobie na głowę spódnicę, żeby zrobić z niej namiocik w chwili gdy kucnie. W biegu też, jedną ręką rozwiązywała sobie sznurek, który przytrzymywał jej spodnie, obszerne pantalony szyte z cienkiego materiału, które, jak wszystkie Kazachskie kobiety, nosiła pod spódnicą. Nie wiem, czy miała taki słaby żołądek, czy też trzymała w domu do ostatniej chwili a potem bała się, że nie zdąży, w każdym razie wyglądało to dosyć komicznie, przynajmniej dla mnie. Podpatrywaliśmy Kazachów ciekawi ich życia i zachowań, ale i oni podpatrywali nas z tych samych powodów. Nic dziwnego, to też był rodzaj rozrywki, telewizji przecież nie było. Oni załatwiali swoje potrzeby jawnie uważając to za naturalne a my kryliśmy się po kukurydzy. Kto tu miał rację? Wydaje mi się, że i my i oni. Wyszliśmy bowiem z różnych kultur a tego tak łatwo zmienić się nie da. Nasz domek był od sąsiadów Kazachów odległy o niecałe 50 metrów, dzielił nas tylko wąski aryk i początkowo był to problem, bowiem powiedziano im, że jesteśmy Rosjanami, a oni nie chcieli mieszkać razem z nimi. Kiedy już sprawa się wyjaśniła, a my mieliśmy szczególnie ciężko z jedzeniem, to czasami nasza sąsiadka dawała

mamie lepioskę albo jajko, które było jak skarb. Mieli oni zdecydowanie lepiej od nas, ponieważ mogli trzymać kury, owce no i konie, bez których Kazach nie mógł się obejść. Oczywiście paszy dla zwierząt nie było pod dostatkiem i każdy „organizował” ją jak potrafił z zasobów kołchozu, ale o tym będę jeszcze pisał.

Ceremoniał picia herbaty

Innym zwyczajem Kazachów, który podejrziałem, było picie herbaty. Nawet w największy upał gotowali oni wodę i pili gorącą herbatę. U naszych sąsiadów odbywało się to w ten sposób, że sąsiadka w „czohunie” - żeliwnym garnku gotowała wodę, czyli sporządzała „kipiatok”. Oczywiście na „piecu” znajdującym się na zewnątrz domku. Z części tej wody zaparzała herbatę, a pozostały wrzątek wlewała do „pijałki” - ceramicznego naczynia zbliżonego do naszej salaterki o prostym kształcie, bądź też w wyszukane wzorki. To naczynie podawała swojemu mężowi a on wylewał wodę na ziemię. Zachodziłem w głowę co oni wyprawiają. Żona podaje mu „kipiatok” a on wylewa. Dopiero po czasie domyśliłem się, że jest w tym cel. Po prostu naczynie, przed podaniem herbaty powinno być rozgrzane. Kiedy Kazach wylał już wodę, to dopiero wtedy żona nalewała mu herbaty i pozostawiała go samego na dywaniku, służącym za stół, na którym siadał po „turecku”. Razem nie pili nigdy, choć zapewne ona też piła ale sama lub z dziećmi, chowając się do domu. Kazach trzymał w ręku naczynie z herbatą, zbliżał do niego twarz i w temperaturze 50 stopni Celcjusza panującej w powietrzu wchłaniał parującą z niej gorącą parę. Robił to tak długo, dopóki nie wystygła do tego stopnia by ją wypić. Czasami zjadał jeszcze przy tym kawałek „lepieszki”. Patrzyłem na to i jakoś odechciewało mi się picia herbaty mimo, że przy takiej temperaturze zawsze jest się spragnionym. Zdecydowanie wolałem chłodniejsze napoje chociażby zwykłą wodę. Teraz myślę jednak, że rytuał ten nie był zupełnie pozbawiony sensu. Chodziło zapewne o to, aby temperaturę ciała zbliżyć maksymalnie do temperatury panującej na zewnątrz i w ten sposób zniwelować różnicę pomiędzy nimi, a wtedy z pewnością łatwiej było znieść upał. W końcu to oni byli tubylcami i dobrze wiedzieli co robią, ale na sobie tego jakoś nie chciałem próbować. Trzeba przyznać też, że mieli swoje ściśle określone zasady postępowania i dokładnie ich przestrzegali. Każdy, kto przyszedł w czasie picia herbaty do domu Kazacha, był proszony aby usiąść koło niego i był nią poczęstowany. Oczywiście o ile był mężczyzną, bo kobieta nie mogła dostąpić tego zaszczytu. Odmowa takiego, poczęstunku była wielką obrazą gospodarza. Kazachowie nie mieli swojego określenia na herbatę, nazywali ją z rosyjska „czaj”

Sprawy ducha i ciała

Nasz sąsiad nieraz rozkładał swój dywanik modlitewny przed swym domkiem i modlił się na głos, czemu ciekawie się przyglądałem. Zauważyłem też, że i on spogląda na nas w czasie jak my się modlimy. Różniło nas to od Rosjan, którym nie wolno było tego robić, choć z pewnością też modlili się w ukryciu. Wśród nich byli ludzie głęboko religijni, przynajmniej niektórzy, za to wszyscy bardzo przestraszeni.

Następna sprawa to mycie się. Częściowo już o tym pisałem. Latem do celów higieny osobistej wystarczał płynący przez kołchoz aryk, czyli strumień nawadniający pola. Jesienią też nie było problemu, ponieważ jeszcze przez cały październik można się było kąpać w kanale. Zimą, kiedy temperatura wieczorem gwałtownie spadała, myliśmy się w domku. Nie wiem już, czy przywieźliśmy z domu, czy też mama tutaj na miejscu zdobyła gdzieś blaszaną miednicę, która musiała starczyć nam za całą łazienkę a także za pralnię. Oczywiście mydła tutaj nie było. Do prania mama robiła „ług”. Zalewała popiół wodą i czekała aż zrobi się ona całkiem śliska. Potem zlewała ją z nad popiołu, dodawała specjalne ziele, które rosło na stepie, aby zwiększyć właściwości piorące i prała nasze rzeczy. W ten sam sposób prały kazachskie kobiety. One też pokazały naszej mamie, jaką roślinę należy dodawać do wody, by brud prędzej puszczał. Do mycia nikt „ługu” nie używał, jedynie samej wody a więc chodziliśmy po prostu nie domyci. Nie byliśmy żadnym wyjątkiem. Podobnie było u pozostałych zesłańców u Rosjan i u Kazachów. Z czasem jakoś to przestało tak bardzo przeszkadzać, do wszystkiego można się przyzwyczaić.

Wychowanie dzieci

Kazachowie nie bardzo przejmowali się wychowaniem dzieci. Nieraz widziałem dwu, trzy letnich malców bawiących się tuż przy brzegu aryka, którymi nikt się nie opiekował. Latem takie malutkie dzieci chodziły przeważnie zupełnie nago, ale zawsze miały przykrytą główkę jakąś czapeczką lub chustką. Nie znaczy to, że były zupełnie zaniedbane, matki karmiły je czym miały i wieczorami kąpały, oczywiście w aryku. Dorośli Kazachowie mają małe skośne oczy, i według naszych wzorców nie są ludźmi zbyt urodziwymi, natomiast czarne oczka ich dzieci są wielkie i okrągłe. Wszystkie mają czarne włosy i wyglądają jak laleczki. Czarny chłopczyk, to po kazachsku „Kara bała” a dziewczynka „Kara kyzyl” a innych po prostu nie ma, chyba, że trafiło się małżeństwo mocno zdesperowanej brakiem środków do życia lub porwanej białej kobiety z Kazachem. Przeważnie malutkimi dziećmi opiekowało się

starsze rodzeństwo a konkretnie starsze siostry. Nieraz widać było kilkuletnią dziewczynkę, niosącą w chustce na plecach malutkiego braciszka lub siostrzyczkę. Po ukończeniu siódmego roku życia, młodzi Kazachowie szli do szkoły, ale takiego przymusu nie było. Nasza sąsiadka, która miała około 10 – 12 lat nie chodziła do szkoły, tylko opiekowała się trójką młodszego rodzeństwa. Podobnie było pośród Abchazów, którzy też byli skazańcami. Swoich dzieci nie posyłali do szkoły i nikt od nich tego nie wymagał.

Zawody Kop Par

Kazachowie, których znałem w „Bolszewiku” wyjeżdżali czasami na umówione miejsce w stepie aby brać udział w zawodach Kop Par. Jest to dla nich rodzaj święta, połączenie zawodów sportowych z rozrywką kulturalną, czy spotkaniem towarzyskim. Zawody te polegają na dowiezieniu zabitego kozła w wyznaczone miejsce na stepie, przy czym trzymający tego kozła stara się jak najprędzej uciec, natomiast inni starają się jak mogą, by mu go zabrać, Ponieważ jest to męska gra a ludy Azji bynajmniej nie są zbyt subtelnymi, to podczas takich zawodów bat czy raczej pejcz służy nie tylko do poganiania konia i nie jedna twarz spływa krwią zanim jeszcze jeździec dojedzie do mety. Zwycięzca za to chodzi w glorii aż do następnego Kop Par. Oczywiście do zawodów tych zarówno konie jak i jeźdźcy muszą być odpowiednio przygotowani a więc trenują nieraz przez kilka miesięcy zgodnie z wielowiekową tradycją, przygotowując siebie a przede wszystkim konia, od którego najwięcej zależy, bowiem musi on być nie tylko bardzo szybki, ale również zwinny, przystosowany do robienia różnego rodzaju uników. Ja nigdy nie byłem na takich zawodach, ale opowiedział mi o nich znajomy Kazach, który pewnego dnia paradował z szeroką krwawą pręgą biegnącą przez policzek. Zwody te przeznaczone są wyłącznie dla mężczyzn. Role kobiet w nich ograniczają się do wyczyszczenia konia tak by śladu pyłu na nim nie było oraz doprowadzenia do takiej samej świetności siodła i uprzęży. Koń u Kazacha znaczy więcej od kobiety. Koń pod siodło nie mógł być używany do jakiegokolwiek innej pracy, nawet gdyby była ona całkiem lekka. Jeszcze o powożeniu takim koniem. U nas ciągnęło się za lewe lub prawe wodze i wówczas koń wiedział, gdzie ma skręcić. Tutaj nie. Chcąc skręcić w lewo, Kazach obydwojma wodzami lekko pociągał w lewo i w ten sam sposób kierował konia w prawo. Nigdy nie widziałem też ostróg. Chcąc zachęcić konia do biegu, wystarczyło piętą dotknąć jego boku i ruszał z miejsca lub przechodził w galop. Nie było też komendy prrrrr. Zamiast niej Kazach cmokał i jego rumak zapierał się przednimi nogami w ziemię aby stanąć na rozkaz jeźdźca.

Tytoń i papierosy

W Pietraszuńcach tata, a pod koniec naszego pobytu również obydwaj bracia palili papierosy. Tata miał nawet specjalną maszynkę do cięcia tabaki, którą później przyprawiał dla lepszego smaku jakimiś specjalnymi dodatkami i nabijał nią papierowe tutki. Ja również popalałem ukradkiem wzorem starszych, ale specjalnej przyjemności w tym nie miałem. Ze zdobyciem papierosów nie było problemu. Jeżeli tylko ktoś potrafił je sobie „zwinąć” to mógł palić aż wypłuł płuca, bowiem tytoń rósł u nas na polu. Po wkroczeniu Rosjan mieliśmy wręcz obowiązek sadzić go i oddawać dla państwa. Hodowla tytoniu jest bardzo pracochłonna, ponieważ najpierw należy wyhodować flance, potem sadzić je do ziemi i podlewać by się przyjęły. Pielęgnować podobnie jak bawełnę, aż rośliny zakwitną po czym usuwać kwiaty by „roślina szła w liście” i obrywać je zaczynając od tych największych na dole, podobnie jak zbiera się bawełnę. Sam zbiór liści to jeszcze nie koniec pracy. Należało je nawlec na druty uważając aby nie zostały przerwane i suszyć, chroniąc przed deszczem, żeby nie straciły na wartości. Ogromnie to wszystko pracochłonne a Rosjanie nałożyli na nas obowiązek uprawy tytoniu na obszarze 5 hektarów, przy czym nie można było nikogo zatrudnić, ponieważ w Związku Radzieckim praca najemna w rolnictwie była zakazana. Późnym latem i na początkach jesieni wszyscy mieliśmy palce lepiące się od soku ciekącego z tytoniu, początkowo brązowe a potem czarne od zawartych w nim barwników, które nie dawały się zmyć i można było poznać z daleka czym się zajmujemy po samym zapachu. Nie tylko nasze ubrania ale i my sami cuchnęliśmy tym mało przyjemnym zapachem na odległość. W Kazachstanie nie było czasu palić, i nie było papierosów a jeżeli już ktoś zdobył je i zapalił, to tak bolała go głowa, że na drugi raz długo zastanawiał się zanim sięgnął po papierosa. W krótkim czasie wszyscy palacze zaprzestali tego zgubnego nałogu. Kazachowie nie używali tytoniu. Zamiast niego wsypywali sobie pod język zielony proszek i ssali go, a później pluli nim gdzie popadło. Nie pili też alkoholu, a mimo to od czasu do czasu widać było Kazacha, który zachowywał się jakby miał mocno w czubie. Podobnie jak przewodniczący kołchozu nosili za pasem, którym byli obwiązani małe pojemniczki z „żelaznego drzewa”. Oczywiście nie były one takie ozdobne jak u „priedsiedatiela”. Można je było wykonać jedynie wówczas, gdy drewno było jeszcze mokre. Kiedy wyschło, stawało się tak twarde jak żelazo i nie nadawało się do obróbki. Jako Mahometanie winni oni przestrzegać „Ramadanu”, czyli miesiąca postu w każdym roku. Zwykle jest to dziewiąty miesiąc licząc od początku ich roku kalendarzowego. Czy go przestrzegali? Nie wiem, nic na to nie wskazywało. Może i wstrzymywali się w ciągu dnia od jedzenia i picia, chociaż w klimacie Kazachstanu to drugie jest mało prawdopodobne, ale jakoś wzmożenia modłów nie zauważyłem. Na dobrą sprawę, to tylko mułła i priedsiedietel kołchozu modlili się. Brygadziści, którzy

pilnowali roboty w polu nawet nie wozili ze sobą dywaników do modlitwy i nie widziałem, by który bił pokłony Allachowi kierując się w stronę Mekki.

Panowie i władcy

Ich stosunek do kobiet przypominał odnoszenie się do przedmiotów. Z jednej strony nigdy nie widziałem, by Kazach bił swoją żonę (obcej by pewnie nie uderzył na takiej samej zasadzie jak nie znęcał by się nad koniem sąsiada), ale też czasami z ich domków dobiegały głośne krzyki, tylko trudno się było zorientować, czy to mąż szkoli swoją żonę, czy też ona dzieci. W związku ze stosunkiem Kazachów do kobiet przypomniał mi się obrazek, który to przedstawi w sposób dobitny. Widziałem jak kobieta rozłożyła na ziemi dużą płachtę a następnie nakładła na nią wielką stertę wyschniętych krzaków bawełny, czyli „kuzapaję”, lub po rosyjsku „topkę” aby zanieść je do suszarni na opał. Z wielkim wysiłkiem podniosła ją i zarzuciła sobie na plecy. Miała pecha. Na jej drodze stanęli dwaj mężczyźni, którzy zaczęli ze sobą rozmawiać. Nie mogła ich ominąć, by przypadkiem nie dotknąć niesionym ładunkiem. Musiała stanąć, zrzucić ciężar z ramion, przeciągnąć go bokiem i kiedy już ominęła tych panów i władców, dźwignąć go z powrotem na plecy i nieść dalej. Obydwaj patrzyli na nią i żadnemu nie przyszło do głowy aby przepuścić. Prędzej pewnie ustąpili by miejsca psu. Nigdy też nie zauważyłem, by Kazach przepuścił kobietę przodem w drzwiach. Ponoć, piszę ponoć, bo tego nie mogłem przecież w żaden sposób sprawdzić, a mówił mi kolega z klasy: „Prawdziwy Kazach nigdy nie uderzy żrebnej kobyły i ciężarnej kobiety”. Ciekawe na której im bardziej zależy? Kazachowie nie posiadali strojów „na co dzień” i „od święta”, oprócz jednego elementu. Była nim czapka. Na szczególnie uroczyste okazje zakładali bardzo zdobioną w czarno białe wzory wysoką czapkę z okrągłym denkiem u góry. Mało kto mógł się nią poszczycić. W takiej czapce chodził jedynie przewodniczący kołchozu i czasami niektórzy brygadziści. Takie nakrycie głowy świadczyło o wysokiej randze w społeczeństwie jej właściciela. Pozostali mieli swoje turbany albo zwyczajne białe czarne czapeczki bez żadnych daszków. Nieodłącznym elementem stroju każdego bez mała Kazacha był pas płótna na chałacie, którym okręcał się kilkakrotnie i zatknięty za niego kindżał w skórzaney pochwie. Był to długi na jakieś 30 – 40 cm nóż z piękną rękojeścią najczęściej z kości, czasami pięknie rzeźbioną. Nigdy nie miałem okazji zobaczyć jego głowni ale krążyły opowieści o jej nadzwyczajnej ostrości. Pewnie było w nich coś z prawdy, ponieważ Kazachowie golili sobie kindżałami głowy. Ponadto nosili oni śmieszny zarost, składający się z kilku długich włosków na czubku brody. Podobno resztę zarostu

wyrywali. Nigdy nie spotkałem też Kazacha z wąsami. Na nogach mieli chodaki i coś w rodzaju getrów ale ze skóry i bez podeszwy. Na nie nakładane były dopiero chodaki, które zdejmowali wsiadając na konia i chowali do juków. To co wyczyniali jeżdżąc konno przekracza wyobrażenie ludzi, którzy tego nie widzieli. Wystarczy powiedzieć, że nie widziałem, by któryś jechał, trzymając nogi w strzemionach, no może tylko przewodniczący kołchozu z racji swojej tuszy. Normalny, czyli chudy Kazach zawsze jedną nogę miał gdzieś podwiniętą a bywało, że jeździli siedząc w siodle po turecku. Tylko nieliczni pracowali w brygadzie polowej. Jeżeli już byli zatrudnieni, to jako brygadziści lub przy obsłudze kanałów nawadniających czyli przy otwieraniu i zamykaniu śluz. Przeważnie jednak nie pracowali wcale. Oczywiście wszelkie prace domowe, łącznie ze służeniem we wszystkim swojemu panu i władcy wykonywały kobiety.

Za kazachskim „stołem”

Jedzenie u Kazachów to cały rytuał. Gospodarz, przed spożyciem posiłku obmywa rytualnie, bez zdejmowania butów wierzch swoich nóg, później obmywa sobie twarz i dokładnie szoruje ręce aż po łokcie. Następnie, niczego nie dotykając i trzymając ręce jak to robi chirurg przed przystąpieniem do operacji wchodzi do domu i siada po turecku na dywanie – o ile go ma, przed sobą z jedzeniem. Nie korzystają ani z łyżek, ani z widelców. Wszystko jedzą palcami. Kobiety i mężczyźni jadają osobno.

Byłem raz na sutym przyjęciu u Kazacha. Podano danie „biesz parmag”, czyli pięć palców. W ogromnej cynowej misie, posiadającej pewnie z sześćdziesiąt centymetrów obwodu, na pięknym obrusiku, położonym na środku dywanu spoczywała tłusta baranina z ryżem w gęstym sosie. Na sam jej widok żołądek skurczył mi się gwałtownie i zaczął niemiłosiernie ssać. Takiego jadła nie oglądałem od bardzo dawna. Najchętniej rzucił bym się na niego, ale musiałem dostosować się do ceremoniału i czekać. Kazachowie, nie spiesząc się, zmówili swoją modlitwę przed jedzeniem a następnie najstarszy pośród nich, czyli „Aksahan”, co można przetłumaczyć jako „Biały dziadek” odkroił kawałek smacznego mięsa i podał najważniejszemu gościowi przy stole a ściślej przy misce, bo stołu przecież nie było – siedzieliśmy po turecku na dywanie. Kiedy już ten specjalny gość zaczął spożywać posiłek, wszyscy inni mogli sięgać do miski. Kazachowie robili to nadzwyczaj zręcznie nie roniąc przy tym ani ziarenka ryżu, ani kropli sosu. Ja męczyłem się niemiłosiernie. Ręce miałem po łokcie umoczone sosem a po głowie tłukła mi się tylko jedna myśl. Nie poplam obrusu ani dywanu. Jak oni tu go wyczyszczą na stepie? Oczywiście ucztowali

sami mężczyźni. Najadłem się za wszystkie czasy. Po posiłku każdemu z uczestników uczyty odbiło się bardzo głośno, co gospodarz przyjął z wyraźnym zadowoleniem. Zorientowałem się w porę, że tak właśnie wypada i też beknąłem jak tylko mogłem najgłośniej.

Ty ciemny Azjato

Parę domków od nas mieszkało małżeństwo kazachskich nauczycieli. Styl iż życia nie odbiegał od innych tubylczych rodzin. Podobnie zachowywali się, podobnie gotowali posiłki i wychowywali dzieci. Nieco inaczej niż u nas mieli tylko urządzone palenisko, oczywiście też przed domem. Po prostu wygrzebali dołek w ziemi, gdzie tlił się kiziak a na nim stał żeliwny garnek z półokrągłym dnem przypominający kształtem przeciętą na pół piłkę. Pewnego dnia nauczycielka gotowała w tym garnku mleko mając ich zwyczajem malutkie dziecko w chustce na plecach, przy czym końce tej chustki opierały się jej o czoło. Kiedy już zaczęło kipieć, schyliła się mocno by wyciągnąć garnek i stała się rzecz straszna. Dziecko wypadło z chustki i przez jej głowę wpadło do gotującego się mleka. Chwyciła je co prędzej i wyciągnęła, ale poparzenia były ogromne. Ktoś zawiadomił mamę o tym wypadku i pobiegła tam co prędzej a ja za nią. Dziecko strasznie krzyczało ale mama nie potrafiła mu pomóc. Trzeba jak najprędzej zawieść dziecko do szpitala, powiedziała Kazachowi, bo tutaj umrze. Ojciec dziecka spojrział na nią ze złością. Ty głupia kobieto. O tym, czy dziecko umrze, czy też będzie żyło zdecyduje Allah a nie lekarz. Żaden lekarz nie jest tutaj potrzebny. Zagotowało się we mnie. Jeszcze nikt nie nazwał mojej mamy w ten sposób. Podbiegłem do niego z trudem opanowując się by nie trzasnąć w ten jego durny łeb. Ty ciemny Azjato ! Wykrzyknąłem w furii, moja mama ma rację, trzeba dziecko wieść do szpitala. Spojrział na mnie człowiek, który dotknięty został ogromną boleścią. W jego głosie nie było już złości, tylko rozpacz. Ja ciemny Azjata? A byłeś ty kiedy w Oświęcimiu? Oczywiście nic mi ta nazwa nie mówiła, bo skąd? Coś tam słyszałem o obozach zagłady, ale wieści z poza granic Związku Radzieckiego dochodziły do nas niezwykle rzadko nawet jak jeszcze mieszkaliśmy u siebie. Zanim powiesz o mnie „ciemny Azjato” to pojedź tam, kontynuował dotknięty tragedią człowiek. Zobaczysz wtedy kto jest ciemny: Azjata, czy Europejczyk. Podczas takich zdarzeń jakie dotknęło tego nauczyciela zbiega się z kołchozu kto tylko żyje. O losie dziecka zdecydowała grupa, pojechali co prędzej do szpitala, ale i tak nie udało się go uratować. Allah chciał inaczej. To zdarzenie cały czas mam przed oczami ale sens wypowiedzi Kazacha zrozumiałem w pełni dopiero wówczas, gdy będąc już w Polsce odwiedziłem obóz koncentracyjny w Oświęcimiu Brzezince.

Co widział nauczyciel

Z pewnością był on żołnierzem Armii Czerwonej, która wyzwalała ten obóz zagłady. Widok, który zobaczył tak wstrząsnął nim, że nie mógł już jego zapomnieć. Stosy ludzkich ciał, a właściwie ludzkich szkieletów obciążone skórą, z otwartymi oczami i ustami, zastygłych w przeróżnych pozycjach w jakich zastała je jedyna wybawicielka od cierpienia w tym strasznym miejscu czyli śmierć. Ogromny zaduch. Co tu pisać zaduch! Ogromny smród, trupi fetor wydobywający się z gnijących szczątków ludzkich, których od wielu już dni nie nadążano kremować. Snujące się po pustych już placach i barakach, zagłodzone widma, będące niegdyś ludźmi, których powrót do społeczeństwa, o ile zaraz nie umrą, trwał będzie całymi latami albo nie nastąpi nigdy. Trzęsący się jak wiekowi starcy, bezzębni dwudziestoletni mężczyźni żebrzący o kawałek chleba, który zamiast pomóc zaspokoić głód mógłby ich zabić. Kobiety bez piersi uschniętych z głodu, zjedzonych przez własny organizm domagający się odrobiny pożywienia. Ogromne, zamglone oczy patrzące tępo przed siebie, nieświadome już tego, co się wokół nich dzieje. Bezradność, bezsilność i bezwolność pozostałych przy życiu więźniów wyniszczonych do najwyższego stopnia głodem, biciem, ciężką, ponad siły pracą i szykanami, jakie przechodzili każdego dnia w tym miejscu gdzie „praca czyni wolnym”. A po niedługim czasie pracujące buldożery, ryjące ogromne rowy by następnie spychać w nie te straszne resztki nagich ludzkich istnień. Konieczność dla uniknięcia zarazy, którą wstrzymywały jedynie styczniowe mrozy zimy 1945 roku. To chyba wystarczy. Namalowałem obraz okrutny ale prawdziwy, który Kazach miał przed oczami, a ja wyobrażałem sobie po latach będąc na miejscu tych wydarzeń. Dodam tylko, że nauczyciel był jedynym Kazachem, który tutaj, w kolchozie „Bolszewik” miał zupełnie białe włosy, a przecież był jeszcze całkiem młodym mężczyzną. Jestem niemal pewny, że ten twardy, stepowy człowiek, którego los tak okrutnie doświadczył osiwił właśnie tam. Jakoś nie śmiałem go o to spytać. Było by to zapewne wielkim nietaktem. Zachowania Kazachów, przynajmniej tych żyjących na stepie są proste i jednoznaczne. Złodzieja trzeba zabić, żeby nie kradł i to jest w porządku, ale człowiek niewinny powinien umrzeć śmiercią naturalną jak tego pragnie Allah czyli: ze starości, na skutek ciężkiej choroby, zginąć w wypadku, umrzeć na stepie z głodu lub pragnienia – to jest normalne i powszechnie akceptowane rozstanie z tym światem . Ale ludobójstwo? To przekraczało jego wyobrażenia.

Myślę czasami o nim, już oczywiście bez żadnych negatywnych emocji a raczej ze współczuciem. To nie Allah ani nieuwaga żony była przyczyną śmierci jego dziecka, ale potworna bieda i najwyższy prymitywizm życia nas wszystkich. Jeszcze tylko jedno co warto podkreślić. Niejeden mężczyzna obarczył by winą za wypadek wyłącznie kobietę. W „cywilizowanym” świecie prokurator

sprawdzał by czy nie zrobiła tego umyślnie, być może sądzono by ją. Kazach stwierdził, że taka była wola Allacha. I kto tu jest bardziej cywilizowany?

Odnosnie jego zachowania względem mamy. To też tradycja. Była po prostu kobietą, którą w jego kulturze kupuje się niemal jak przedmiot. Nie mieściło się w jego wyobrażeniu, że kobieta może mu coś kazać.

Mordercze słońce

Największym mordercą ludzkości w Kazachstanie jest słońce. Do niego nie można się przyzwyczaić. Jedno co można zrobić, to unikać go jak tylko jest to możliwe, ale chowanie się, gdy temperatura w cieniu wynosi 50 stopni Celsjusza też na niewiele się zdaje. Uważa się, że niby ludność tubylcza przyzwyczajona jest do panujących tam warunków, ale moim zdaniem jest to tylko mit. Rosjanie w swych szalonych pomysłach przekształcenia pustyni w ziemię uprawną wyrządzili nie tylko przyrodzie ale i ludziom niepowetowaną szkodę. Morze Aralskie można jeszcze ożywić, zamykając kanały nawadniające, ale tysiący istnień ludzkich nikt już nie ożywi. Cały ten obszar, stanowiący przed laty część pustyni Kara kum po prostu nie nadaje się do zamieszkania. Dlaczego mam taki skrajny osąd? Po pierwsze sam spędziłem tam najlepsze lata swojego życia i nie było dnia, który wspomniał bym dzisiaj z prawdziwą radością. Ktoś mógłby powiedzieć, że to tylko moje subiektywne odczucie a w rzeczywistości nie jest tam tak źle. Proszę bardzo, teraz to obiektywne. Kazach, który dobiegł 50 roku życia jest już starcem jak u nas osoba po siedemdziesiątce. Tak było w obozie „Bolszewik” i tak było w każdym innym miejscu. W czasie wakacyjnej przerwy, wraz z braćmi, kosilem kombajnem pszenicę na obozowych polach. Na skraju tych pól rozbił swoją jurte nomada mający dwie młode żony – myślę, że nie miały więcej jak po dwadzieścia parę lat. Ponadto była tam jeszcze czwórka dzieci w wieku 6 – 7 lat. Normalna rodzina kazachskich nomadów, może nieco bogatsza od innych, jako że gospodarz był właścicielem pięknej fuzji, na jaką nie każdy mógł sobie pozwolić a ponadto zabawiał się jeszcze polowaniem z sokołem. Stać go z pewnością było, aby wynająć ludzi, którzy pilnowali jego stad owiec czy koni. Nie był też jakimś staruszkiem, a mężczyzną według naszych kryteriów w sile wieku, dobiegającym do pięćdziesiątki. Co z tego, ten mężczyzna nie był już w stanie sam wsiąść na swojego konia. Kiedy wyjeżdżał z jurty, obie jego żony musiały go tam wsadzić. Wówczas wyglądało to nawet komicznie, ale myślę, że gdyby nie udało się nam opuścić na czas tej niegościnnej ziemi, to w wieku 50 lat wyglądał bym tak jak ten Kazach. Po prostu słońce wyniszcza organizm znacznie bardziej niż w innym, bardziej ludzkim klimacie.

Kazachskie wesele

Mój kolega z klasy Dżanderow miał niesamowity talent malarski. Podobnie jak kiedyś „Cyklop” czytał na lekcjach książki, tak Dżanderow rysował różne postacie i pejzaże. Miał też niesamowitą pamięć, potrafił narysować z najdrobniejszymi szczegółami to co zobaczył. Potrafił też pięknie opowiadać. Pewnie dlatego zapamiętałem jego barwną opowieść o kazachskim weselu. Sprawa jest stosunkowo prosta jeżeli chłopiec, który chce się żenić ma pieniądze. Szuka sobie odpowiedniej kandydatki, co nie jest wcale łatwe, bo kandydatki na żony niezbyt chętnie wystawiają się na widok publiczny a jeżeli już, to tak dokładnie zakryte, że z pewnością nie zobaczy ich twarzy. Musi pod tym względem polegać na zdaniu innych, którzy go informują, że w takim to a takim miejscu, w białej jurcie, w tym rodzie, mieszka bardzo piękna dziewczyna, gotowa wyjść za mąż. Kiedy opowieści o jej precudnej urodzie dostatecznie już zawrócą mu głowę, młodzieniec prosi starszych ze swojego rodu, by jechali targować się o nią. Cena żony nie jest wcale mała i zależy od znaczenia rodu w miejscowym społeczeństwie i oczywiście od urody przyszłej panny młodej. Dla przykładu, może ona kosztować trzy dorodne wielbłądy, przy czym jednego wielbłąda można było wymienić na dwa samochody „Pobieda” – taki sam jak nasza „Warszawa” z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Dobicie targu nie oznaczało, że transakcja dobiegła końca. Na razie ustalony został jedynie termin, kiedy młody, w towarzystwie starszych rodu przyjedzie i przywiezie uzgodnione wielbłądy. Jeżeli zapłata zostanie przyjęta, młody może zacząć się starać aby zobaczyć swoją przyszłą żonę. Z reguły oznacza to zapłacenie kolejnego haraczu, i to dosyć sporego. Załóżmy, że dziewczyna jest rzeczywiście bardzo ładna i przypadła do gustu przyszłemu mężowi. Wówczas zbiera się specjalna „komisja”, złożona ze starszych obu rodów, która bada czy jest ona do tej pory cnotliwa. Oszczędzę czytelnikowi opisu tego badania i przejdę do sytuacji, kiedy przebiegło ono pomyślnie. Jeżeli tak się stało, mułła modli się w obecności oboje młodych, błogosławi ich i ceremonia zostaje zakończona. Ojciec panny młodej zabija co tam ma przeznaczonego na rzeź, owce lub konie, przygotowują z nich najlepsze przysmaki i uczują przez parę dni, póki ich nie zjedzą. Dłużej nie można, bo przecież nie ma na stepie lodówki i mięso by się zepsuło. Młody wraz ze swoją nowo zaślubioną małżonką jedzie do swojej jurty. Jeżeli badanie wypadło negatywnie, możliwe są dwa scenariusze: młody zabiera wielbłądy i wraca do siebie, lub też badający mają swoje sposoby - co oczywiście dosyć słono kosztuje, by przekonać wszystkich, że jest to najprawdziwsza ze wszystkich prawdziwych dziewczica. Jest jeszcze sytuacja, gdy młodego nie stać na zapłacenie haraczu, by obejrzyć dziewczynę przed ślubem. Wówczas kupuje on kota w worku. Nie masz pieniędzy, to nie grymaś. Inaczej rzecz się ma, gdy kandydat na męża jest ubogi. Pozostaje mu wziąć sobie za małżonkę, płacąc małe pieniądze, starą i brzydką pannę, którą nikt już się nie interesuje, bądź też starać się jak najszybciej nzbierać

pieniędzy, co mu się zwykle udaje dopiero po kilkunastu latach, gdy już dawno przekroczy trzydziestkę. W nagrodę za wytrwałość będzie miał za to młodą i piękną żonę.

Rapty czyli porwania

Oprócz działań legalnych, zmierzających do zawarcia związku małżeńskiego, uświęconych tradycją i przestrzeganych z reguły przez większość Kazachów, zdarzały się czasami porwania kobiet. Tak było, gdy młody Kazach, nie mając pieniędzy na jej kupno, bez zgody dziewczyny porwał ją, przełożył z przodu przez grzbiet konia i pognał w step mając nadzieję, że go nie dogonią i nie zabiją, jak i wówczas, gdy młodzi zakochali się w sobie i nie mając środków na to by być razem oboje zdecydowali się na ten desperacki krok. Jedno i drugie zdarzenie traktowane było jednakowo. W przypadku porwania, cała rodzina, czy raczej cały ród starał się odzyskać stratę. Oczywiście chodziło przede wszystkim o honor rodziny ale nie mniej ważne były pieniądze, które ojciec mógł wziąć za córkę. Zaczynały się poszukiwania i często rezultat ich był pozytywny. Oczywiście nie dla młodego człowieka, który porwał pannę bo ten mógł stracić życie. Na stepie nie było telefonów, czy innej komunikacji, ale Kazachowie potrafili doskonale przekazywać sobie wiadomości w im jedynie znany sposób i informacja o porwaniu, czy też o jakimś innym zdarzeniu, choćby o zawodach „Kok Par” rozchodziła się bardzo szybko. Stosunek Kazacha do swojej żony doskonale obrazuje popularna w Azji Środkowej pieśń. Pewien młody człowiek zakochał się w równie młodej dziewczynie, która niestety była już żoną starszego, ubogiego mężczyzny. Postanowił ją odkupić i w tym celu udał się do jurty męża. Zaofiarował mu swojego konia, swój kindżał i swój karabin, w zamian za żonę. Stary Kazach przyjął te podarunki i zaniósł je do jurty. Kiedy młody człowiek domagał się z kolei wydania żony chętnie się na to zgodził, mówiąc, by wszedł do środka i ją sobie wziął. Młody wbiegł po dziewczynę i zastał ją ze swoim kindżałem wbitym w serce. Stary dotrzymał umowy, w której nie było wzmianki o tym, w jakim stanie miał się znajdować „towar”.

Pewnego dnia przyjechał do naszego kołchozu młody Kazach na koniu. Miał około trzydziestu lat. Widać było, że jest silnym, zdrowym mężczyzną i bardzo zadziwił mamę, bo żebrał. Takiego żebraka nie można odprawić z niczym. Mama dała mu garnuszek kukurydzy ale z ciekawości zapytała, czemu nie pracuje, tylko zajmuje się żebractwem. Okazało się, że pracuje w kołchozie, ale zarabia tak mało, że nigdy nie będzie mógł kupić sobie żony. Wpadł więc na pomysł, aby taką żonę wyżebrać. Miał po obu stronach siodła worki i do nich wsypywał to co dostawał: pszenicę lub kukurydzę.

Obrzezanie

Ze mną w klasie był Borys Tabijew. Szczycił się tym, że z pochodzenia jest Tatarem a nie Kazachem. Jego ojciec był dyrektorem Państwowego Ośrodka Maszynowego a więc powodziło im się w miarę dobrze. Jako śniadanie przynosił do szkoły pszenny chleb, którego ja nie widziałem już bardzo długo. Patrzył na mojego biednego „lepioszka” i nieraz proponował zamianę. „machniom” - zamienimy się, mówił i pokazywał swoje śniadanie. Oczywiście, że tak. Wstydział się jeść swoje „bogate” śniadanie przy moim biednym i dlatego się zamieniał. Oczywiście był wyznawcą Mahometa i jako taki powinien zostać obrzezany, ale nie zrobiono tego we wczesnym dzieciństwie. Pewnie dlatego, że były problemy by na ten uroczysty dzień zjechała się cała rodzina. Trwała przecież wojna. Czekало go to szczęście teraz. Powiedział mi, że pewnie będzie miał „kierstergen” - obrzezanie, bo do jego domu zaczyna się zjeżdżać rodzina. Nic mu co prawda nie mówiono ale to był bystry kilkunastoletni chłopak i nie musieli mu mówić. Sam spostrzegł co się święci. Bał się tego bardzo i postanowił uciec z domu. Spytał mnie, czy nie mógłby u nas przez parę dni nocować. Nie ma sprawy, odparłem ale muszę spytać mamy. Mama zgodziła się bez żadnych problemów zwłaszcza, że nieraz opowiadałem jej o tym jak dzieli się ze mną swoim śniadaniem. Tak więc Borys przychodził na noc do nas i razem wychodziliśmy do szkoły, ale na lekcje nie chodził, by go nie zabrali z klasy. Szukali go wszędzie, ale nie wystawiał nosa ze swojej kryjówki i nikt go nie znalazł. Po trzech dniach, kiedy rodzina rozjechała się do swoich domów wrócił do rodziców i temat „kierstergenu” przestał być aktualny. Tak mu się przynajmniej wydawało. Jego, postępek miał daleko idące następstwa. Kiedy już byłem w Polsce to korespondowaliśmy ze sobą. Pewnego dnia napisał mi w liście, że zrobiłem mu wielką szkodę, ukrywając wówczas u siebie w domu. Pewnie też mama, gdyby wiedziała jaki jest prawdziwy powód tego, że u nas jest to by się nie zgodziła. Nie można ingerować w sprawy obcych religii, a każdy mężczyzna, który wyznaje Islam musi być obrzezany, tego wymaga Koran. Jego życie przez to, że nie poddał się temu zabiegowi mocno się skomplikowało. Pośród swoich traktowany był jak obcy, podobnie jak traktują „niewiernych”, czyli wyznawców innych religii lub ateistów. Wyobrażam sobie, że przeżywał koszmar i w końcu albo musiał poddać się obrzezaniu albo wyjechać i zmienić środowisko zamieszkania nie utrzymując kontaktów z rodziną. Dla tradycyjnych wielopokoleniowych społeczności to drugie rozwiązanie to straszna kara. Inna rzecz, że przy takim zabiegu mógł stracić życie, co zdarzało się dosyć często. Mułła wykonywał go bowiem bez jakiegokolwiek znieczulenia przy pomocy brzytwy, którą na co dzień golił sobie brodę a więc roilo się na niej od wszelkiego rodzaju bakterii. Nie wiem co dalej działo się z Borysem, bo po tym jego liście kontakt się urwał. Co mu miałem powiedzieć, to był wyłącznie jego wybór.

Krzyż Południa

Coś na temat spania. Pisałem już o pierwszej nocy spędzonej pod gołym niebem. Już na drugi dzień nie popełniliśmy tego samego błędu. Powbijaliśmy w ziemię patyki, z których zrobiło się rusztowanie służące jednocześnie do zamocowania moskitiery, która zrobiona była z gazy. Na szczęście nie brakowało jej na ternie kołchozu. Urządzenie to (trudno je nazwać łóżkiem) chroniło też przed skorpionami, które nie były w stanie wdrapać się po tych patykach do góry. Kiedy już noce stawały się chłodne, przenieśliśmy spanie do domu. Bracia wybudowali z glinianych cegieł podwyższenia, na których urządziliśmy sobie spanie. Pomijając komary i inne insekty, noce w Kazachstanie są przepiękne. Temperatura spada do granic 25 stopni Celsjusza, odzywają się żaby przy arykach, na stepie zaczynają grać cykady, cała przyroda oddycha po upalnym, znojmym dniu. Na niebie widać niczym nie przesłonięte miliony gwiazd z „Krzyżem Południa” niewidocznym z naszej części świata. Zdawało by się, że pełnia szczęścia, gdyby nie: pusty brzuch, ogromne zmęczenie po całym dniu pracy, bolące kości i ta ogromna tęsknota za krajem, za swoimi, zagłuszająca wszystkie inne uczucia. Nękająca i w dzień i w nocy.

Zimą nie ogrzewało się pomieszczenia mieszkalnego. Nie było takiej potrzeby, ponieważ za dnia temperatury dochodziły do 20 stopni Celsjusza. Nocą jednak chmurzyło się i temperatura spadało nieraz do zera. Rano trzeba było szybko wstać i zanim słońce wzeszło zmieść śnieg z dachu oraz odgarnąć go od ścian budynków by nie namokły i nie rozpadły się.

Jak zimą było mokro, to Kazachowie jeździli saniami nawet wtedy, gdy nie było śniegu. Wierzchnia warstwa rozmięklej gliny doskonale ten śnieg zastępowała. Na zimę staraliśmy się też upiększyć nasz dom. Na ten pomysł wpadli Niemcy. Braliśmy puste kaczany wyschniętej kukurydzy, wiązaliśmy je razem po kilka i powstawał w miarę przyzwoity pędzel. Wystarczyło iść na pobliskie pole, przynieść nieco nawozu stale leżącego tam na kupach i po jakimś czasie nasz domek jaśniał wspaniałą bielą.

Burze piaskowe

Od marca do listopada nad Kazachstanem nie ma żadnej chmurki. Niebo przez cały czas pozostaje czyste. To jednak nie znaczy, że zawsze jest bezpieczna, piękna pogoda. Wszystko za sprawą burz piaskowych zwanych, podobnie jak burze śnieżne na dalekiej północy „Buranami”. Tamte są równie niebezpieczne, jeżeli w pobliżu nie ma jakiegoś schronienia. Burz tych bali się nawet sami Kazachowie i nic dziwnego. Silny wiatr niesie wówczas ogromne

tumanu kurzu w którym nie widać dosłownie nic. Ziarenka piasku i pyłu biją bezlitośnie po odsłoniętych częściach ciała i wciskają się wszędzie, gdzie znajdują jakąś szparę. Oddychanie jest mocno utrudnione a nieraz wręcz niemożliwe, bowiem wciąga się do płuc wraz z powietrzem ziemny pył. Człowiek pozostawiony sam sobie na stepie podczas takiej burzy, a w dodatku Europejczyk, który nie potrafi się zachować, ma niewielkie szanse na przeżycie. Na szczęście burz tych nie było dużo. Jedną jednak zapamiętałem szczególnie, bowiem zakończyła się ofiarą śmiertelną. Miała miejsce już po zbiorach bawełny, kiedy wożono ją arbami do stacji kolejowej w Pachta Arał. Zesłańcom nie wolno było jeździć do stacji a więc zaprzęgiem kierował Kazach. Burza nadeszła tak nagle, że nie zdążył schować się w bawełnę, bo tylko tam mógł szukać ratunku. Pewnie zadławił się piaskiem zanim zdążył cokolwiek zrobić. Mówiło się w kołchozie, że „zamarzł”. Woły były bardziej wytrzymałe, obydwie przeżyły. Zginął Kazach a więc tubylec, który pewnie nieraz miał już do czynienia z tym niezwykle groźnym zjawiskiem. Myślę, że gdyby tam był któryś z naszych to koniec byłby taki sam. To chyba jedyny taki przypadek, gdy zakaz wychodzenia poza teren kołchozu uratował komuś życie. Drugi wypadek śmiertelny miał miejsce wówczas, gdy ja chodziłem już do technikum i nie mieszkałem w „Bolszewiku” ale pisała mi o tym mama. Śmierć zabrała niestety polskie dziecko. Dwoje kilkuletnich rodzeństwa bawiło się w pobliżu domu, kiedy nagle nadciągnęła burza. W jednej chwili zapanowała kompletna ciemność. Nie widzieli się nawzajem i nie słyszeli. Dziewczynce udało się dotrzeć resztkami sił do domu, ale chłopcu niestety nie, „zamarzł” kilka metrów od niego.

Zamordowana przez Sowietów

W naszym kołchozie było dwóch braci, których matka została przywieziona już w roku 1940 i zmarła z wyczerpania. Zakopali ją – piszę zakopali, bo to nie miało nic wspólnego z pochówkiem, na kołchozowym cmentarzu. Miejsce jej spoczynku zapamiętali Niemcy i pokazali braciom. Ci zdobyli gdzieś kawałek deski, zrobili z niego krzyż i postawili na grobie umieszczając tam napis informujący, że została ona zamordowana przez Sowietów. Na drugi dzień obydwaj zostali aresztowani i wywiezieni z kołchozu a los ich pozostał nieznanym.

Polacy biją

W pobliżu nas mieszkała rodzina Białorusinów. Nazywali się Samiec, matka z córką i synem. Dzieci były już dorosłe a więc mogły pracować i tak bardzo głodno u nich nie było. Ponadto Białorusini byli inaczej traktowani od Polaków. Wolno im było mieć krowę. Co prawda krowy w Kazachstanie nie są takie jak w Polsce a prawie o połowę mniejsze, ale podobnie jak nasze można doić a mleko w warunkach Kazachstanu to prawdziwy skarb, ile by się go nie nadoiło. Kłopot z tym, że przydomowa działka nie wystarczała, by wyżywić siebie i w dodatku krowę. Trzeba się było dzielić kołchozowym, co robili wszyscy mniej lub bardziej jawnie. Młody Samiec złapał kiedyś wałęsającego się osła i poszedł na pole lucerny by przywieść jej dla tej krowy. Załadował ile tylko osioł mógł udźwignąć i powoli wracał do domu. Z daleka zobaczył go Tadżyk, strażnik kołchozowy, który pilnował, by nic z pola nie ginęło. Podjechał na koniu i kazał chłopakowi zrzucić z osła cały jego ładunek. Chłopak zaczął się sprzeciwiać. Nie jeden raz był świadkiem, jak strażnik sam zagarniał mienie kołchozowe a tu dla jego krowy zabrania. Sprzeciw chłopaka na niewiele się zdał. Tadżyk, który był wielkim chłopem, przerastającym młodego chłopaka o głowę, zaczął sam zrzucać z osła tą lucernę pewny, że ze strony chłopaka nic mu nie grozi. Pomylił się strasznie. Samiec był niezwykle wysportowanym i bardzo pięknie umięśnionym młodym człowiekiem. Bez najmniejszego problemu ściągnął Tadżyka z konia, powalił na ziemię i obił mu głowę tak dokładnie, że trudno go było poznać. Po czym wziął osła wraz z ładunkiem i nie interesując się strażnikiem wrócił do domu. Incydent jeden z wielu, nieraz trzeba było dochodzić swoich racji przy pomocy pięści i pewnie nie byłby warty wspomnienia, gdyby nieoczekiwanie nie obrócił się on na korzyść Polaków. Inne nacje nie odróżniały nas od Białorusinów, rozeszła się wieść, że Polaków lepiej nie zaczepiać, bo umieją się bić, czego przykładem była obita głowa Tadżyka i od tego czasu każdy już dwa razy się zastanawiał zanim zaczepił któregoś z naszych. Oczywiście młodemu Samcowi włos z głowy nie spadł za pobicie strażnika. Kto by się tam przejmował takimi błażostkami. Cała rodzina wróciła na Białoruś jeszcze przed nami. Nam jednak nie wolno było wracać do miejsca swojego poprzedniego zamieszkania. Można było jechać w dowolne miejsce w Związku Radzieckim albo do Polski. Zakazem objęty był powrót do tego samego województwa, z którego było się wywiezionym.

Psy

W kołchozie było kilka ogromnych psów. Za dnia nie było ich widać, bo chowały się po krzakach nad brzegami aryków albo wręcz wchodziły do wody chroniąc się przed słońcem. Dopiero wieczorem wychodziły ze swych kryjówek i lepiej im było schodzić z drogi. To nie były pieski do zabawy a dzikie zwierzęta pomagające Kazachom w pilnowaniu równie dzikich stad koni czy owiec. Kiedyś taki pies ugryzł naszą mamę, która nieopatrznie weszła mu w drogę, przyzwyczajona do naszych łagodnych psów w Pietraszuńcach. Rana zaogniła się i nie chciała się goić. Nasza felczerka orzekła, że konieczne są zastrzyki przeciwko wścieklicznie bo upały sprzyjają tej chorobie i kto wie czy ten pies co ją ugryzł nie był chory, oczywiście nikt ich nigdy nie szczepił. O dziwo, kołchoz stanął na wysokości zadania i sprowadził te zastrzyki. Mama męczyła się przez 40 dni bo tyle zastrzyków musiała wybrać w brzuch. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze, rana w końcu się zagoiła ale nacierpiała się bardzo.

Kradzież winogron

Opodal kołchozu znajdowała się plantacja winogron. Na obszarze około 4 hektarów rosły wielkie krzewy tych smacznych owoców, pod którymi można się było z powodzeniem schować. Oczywiście na teren winorośli nie można było nikomu wchodzić. Wisiały tam tablice informujące, że wejście na teren plantacji grozi śmiercią (kolejny powód do śmierci, jakby wszystkich innych było mało) pośrodku plantacji znajdował się domek mułły, który nią zarządzał oraz piwnica, gdzie dojrzewało wino. Mułła chodził z karabinem wokół krzewów winorośli i strzelał, gdy ktoś przyszedł kraść winogrona. Ponadto strzelał też do każdego zbliżającego się psa, ponieważ twierdzono, że psy również przychodzą je zrywać. Sam też miał psa, z którym dokonywał tych obchodów. Kiście winogron były przepiękne. Jedno grono ważyło około dwóch kilogramów. Owoce miały wielkie i bardzo słodkie. Gruzini, którzy byli u nas w kołchozie mówili, że są one znacznie smaczniejsze niż w Gruzji a to dlatego, że w Kazachstanie nie padają deszcze i owoce czerpią soki jedynie z korzenia, natomiast w Gruzji występują latem deszcze i owoce chłoną wodę również z zewnątrz. Pamiętam nawet odmianę tych winogron. Była to deserowa odmiana „Damski Palec”. Nazwa nadzwyczaj trafna, rzeczywiście było w nich coś ze zgrabnego damskiego paluszka. Jak już pisałem, zagrożenie utraty życia było na każdym kroku a więc dlaczego nie spróbować ukraść winogron? Czy to ja gorszy jestem od Gustka i Zygmunta, którzy wspólnie z Frankiem Kondratem

nocą, wybierali się na nie, przynosząc nie tylko winogron, ale także melony i arbuzy. Za każdym razem ryzykowali życiem dla zdobycia żywności.

Poszedłem tam nie sam a z Marysią. Pokusa była zbyt duża by się jej oprzeć. Oczywiście po chwili zjawił się muła ze swoim psem i karabinem. Uciekać nie było jak. Pies bez trudu by nas dogonił a obronić się przed tą wielką bestią, nie mając nic w rękach też nie było sposobu. Wchodzimy pod krzaki, szepnąłem przestraszony do Marysi i tak zrobiliśmy. Siedzieliśmy tam nieruchomo z duszą na ramieniu a serce waliło mi tak mocno, że ledwo nie wyskoczyło spod koszuli na zewnątrz. Słyszałem wolne kroki strażnika plantacji, który przechodził parę metrów od nas i ciche warczenie psa, na które szczęśliwie nie zwrócił uwagi. Najmniejszy ruch z naszej strony z pewnością spowodował by atak. Czekaliśmy tak zastygli w bezruchu, aż nabrałem przekonania , że muła wraz ze swoim psem przeszedł już na drugą stronę plantacji. Oczywiście nie darowaliśmy winogronom. Tyle strachu przeżyć i wrócić z niczym? Jaki to by miało sens? Wystarczyło zerwać kilka kiści by zabrakło miejsca pod koszulą. Ostrożnie wyszliśmy poza winorośle i nie kryjąc się już specjalnie, pogonili co sił w nogach do domu.

Co te Ruski ze mną zrobili

Nawet mi nie przyszło wówczas do głowy, że kiedyś będę pracował na tej plantacji. Po paru latach, kiedy zbliżał się już termin wyjazdu do Polski, poszedłem do muły i spytałem czy mógłby mnie zatrudnić. Zgodził się chętnie i tym samym uniknąłem pracy w polu. Tutaj było znacznie lżej. Pracowałem w piwniczce, gdzie robiło się wino. Polegało to na tym, że winogrona – bardzo zakurzone, ale nie wolno ich było myć, wrzucałem do prasy i wyciskałem z nich sok, który leciał korytkiem prosto do otworu w beczce. Kiedy już sok zaczynał fermentować, to przez ten otwór wydobywała się piana i po prostu wyciekała na zewnątrz. To była cała produkcja. Nic do tego soku nie było dodawane, wino robiło się samo. Tych beczek z różnych roczników w piwniczce było dużo, ale nie były oznaczone i nikt nie wiedział jak długo już tam leżały. Można było pić ile się chciało, czy to wina, czy też samego soku, który też był bardzo smaczny. Przyjmowało się, że jak beczka poleży przez okres roku, to już jest bardzo dobre wino. Pewnego dnia przyszedł do mnie do piwnicy pan Biblis i zapytał co ja tu robię. Pracuję, odparłem zgodnie z prawdą. Usiadł sobie bez pośpiechu na przewróconej beczce, wyciągnął wygodnie nogi i poprosił abym nalał mu wina, by się nieco orzeźwić. Nalałem pół dużej czarki z pierwszej, stojącej pod ręką beczki. Było tego pewnie z litr. Chwycił łąpczywie i pociągnął solidny łyk a po chwili następny. Nie trwało długo a naczynie było już puste. Ban Biblis rozrzewnił się nad naszym losem, łązy zaczęły mu cieknąć

po białej brodzie. W końcu postanowił wracać. Chciał się podnieść i nie dał rady. Widzisz co te Ruski ze mną zrobili? Skarżył się. Kiedyś wypijałem pół litra wódki z białym korkiem i szedłem do roboty a teraz? Pewnie z tą robotą to przesadził. Był maszynistą kolejowym na lokomotywach to po pół litrze pewnie nie jeździł. Raczej nie docenił mocy kazachskiego wina. Pomogłem mu wstać i chwiejnym krokiem poszedł sobie mrużąc pod nosem żale na Ruskich. Tuż przed samym wyjazdem muła chciał mi zrobić prezent. Powiedział, abym poszukał kilka butelek po winie, to mi należy na drogę. Oczywiście zgodziłem się chętnie. Z butelkami zawsze były problemy, ale jakoś z braćmi udało się je znaleźć, oczywiście bez korków. Te trzeba było dorobić z drewna. Nalał mi do tych butelek smacznego czerwonego wina, które nieraz popijałem. Problem z tym, że nie wiedziałem ile ono ma lat. Prawdopodobnie jeszcze nieco „pracowało”. Kiedyś, gdy byliśmy już w Warszawie u wujka, przyszli do niego goście. Była okazja a więc trzeba się było napić wina. Wyciągnął to kazachskie, które mu dałem po przyjeździe i z trudem otworzył, bowiem drewniany korek napęczniał zapewne od samych oparów. Okazało się że nie tylko. Z chwilą wyciągnięcia korka połowa zawartości butelki znalazła się na suficie. Drugą połowę udało się jednak uratować. Goście orzekli, że tak dobrego wina jeszcze nie pili. Wujek musiał co prawda malować pokój, ale i tak twierdził, że warto było.

Melony

Po paru tygodniach od naszego przyjazdu do Kazachstanu pojawiły się melony, które rosły tam nadzwyczaj duże. Moja rodzina zajadała się, bo stosunkowo łatwo można je było zdobyć. Mnie jakoś zupełnie nie podchodziły. Ich smak przypominał mi bowiem surowego buraka, którego kiedyś w przypiływie rozpaczyny wynikającej z głodu spróbowałem. Ani wówczas buraka, ani teraz melona nie mogłem jednak przełknąć. Do czasu. Najlepszym lekarstwem na dobry apetyt jest głód. Kiedyś nie wytrzymałem. Przeszedłem z pola a tu już cała moja rodzina siedzi przy pokrojonym ogromnym melonie. Przemogłem wstręt i chwyciłem kawałek. Okazało się, że nie jest taki zły. Co prawda do tej pory nie przepadam za nimi, ale jak mi dają to jem a tam w Kazachstanie to nawet zaczęły mi smakować.

Mama na straży Polskości

Wielkim problemem był brak okien i drzwi w naszym domu. Dopiero po kilkunastu dniach udało się je moim braciom zdobyć. W jaki sposób, to nie wiem do dzisiaj, w końcu nie było to takie ważne. Z osadzeniem też nie było problemu. Wystarczyło zrobić dołek w ziemi, nalać tam wody i popracować trochę bosymi stopami. Kiedy glina była już wyrobiona, robiliśmy z niej kule, które mieściły się w dłoni i „pac” pomiędzy okno a ścianę z jednej i drugiej strony. Potem tylko nieco się wygładziło i stolarka była wstawiona. Kiedy tylko rano słońce wstawało należało je zamykać by nie wpuszczać gorąca i komarów, które też się tam chciały chronić. Na noc wszystko było otwierane aby nieco przewietrzyć. Z wielkim rozrzewnieniem wspominałem nieraz nasze wieczory w Pietraszuńcach, kiedy cała rodzina siedziała przy herbacie, słuchaliśmy muzyki, poezji, mama czytała na głos książki, czy po prostu rozmawialiśmy jak to bywa w każdej rodzinie. Tutaj na nic takiego nie było czasu. Każdy przychodził z pracy taki zmęczony, że ledwie zjadł cokolwiek to już gotował się do spania, a tu nieraz jeszcze trzeba było zrobić coś przy naszym „gospodarstwie”. Na rozmowy nie było ani czasu ani siły. Rozmawialiśmy niewiele ale i tak mama w pewnym momencie spostrzegła, że używamy coraz więcej miejscowych słów, a szczególnie nazw. Odtąd bardzo pilnowała, by używać tylko polskich. Oczywiście o rozmowie w innym języku niż polski nie było mowy, nie mogliśmy go zapomnieć. Nasz transport był ostatnim, który przybył do kołchozu „Bolszewik”. Po nas przywieźli już tylko jedną rodzinę, która mówiła dziwnym językiem stanowiącym mieszankę słów rosyjskich i ukraińskich. Ze względu na ten język nazywaliśmy ich „Chachły”. Nie wiedziałem dlaczego, dopiero w Polsce spotkałem się z określeniem „język chachłacki” i coś mi się wydaje, że mówili nim Łemkowie, ale nie jestem pewien.

Paczka od Teni

Zygmunt prawie codziennie pisał listy do żony, za którą bardzo tęsknił. Mama pisała też do swojego brata do Warszawy. Nie było zakazu pisania listów a jednak odpowiedzi na żaden z nich nie dostaliśmy. Byliśmy przekonani, że jest to sprawa NKWD, która miała obowiązek ich cenzurowania. Ponieważ nie znali języka polskiego a niektórzy nie umieli pisać i czytać też po rosyjsku, to po prostu w ich siedzibie te listy kończyły swoją podróż. Dopiero po śmierci Stalina w 1953 roku sytuacja zmieniła się. Zygmunt dostał pierwszy list od swojej żony Teni. Widać było, że w najmniejszym stopniu nie orientuje się ona

co do warunków w jakich żyliśmy. Ostrzegała, żeby nie jeść nie mytych owoców, bo można zachorować. Od niej też dostaliśmy pierwszą, niewielką paczkę. Był w niej proszek do mycia zębów i szczoteczki. Oczywiście cały kołchoz wiedział od razu co w niej jest, chociaż nie każdy wiedział co to jest. Przyszedł do nas Kazach, którego bolały zęby, aby pożyczyć trochę tego proszku i szczoteczkę, to może przestaną go boleć. Nie było sensu tłumaczyć mu, że po tym nie przestanie cierpieć, jeszcze by się obraził, a przecież Kazachowie nieraz nas wspierali czym tylko mogli. Mama dała mu proszek i szczoteczkę z jednoczesną prośbą, aby już jej nie oddawał. Tenia przysłała nam jeszcze jedną paczkę. Były w niej tak upragnione przez nas ziemniaki i jeszcze jakieś artykuły, nie pamiętam dokładnie. Dlaczego zapamiętałem ziemniaki. Ponieważ nie wolno nam było ich zgotować. Ani jednego. To był towar zbyt drogocenny, aby kołchoźnicy mieli się go pozbyć i oni zdecydowali, że wszystkie zostaną zasadzone. Mama musiała rozdać je każdemu a ponieważ kołchoz był spory i ludzi w nim „mnoga” to wyszło po jednym. Wszyscy posadzili je na swoich działkach. Chuchali na nie, dmuchali, podlewali i wszyscy wyhodowali piękne łąty. Problem był w tym, że pod nimi tkwił zgniły sadzeniak i dwie trzy bulwy wielkości orzecha laskowego. My mieliśmy co prawda aż trzy sadzeniaki ale wynik był ten sam. Nasze ziemniaki okazały się mądrzejsze od ludzi i w tym zabójczym klimacie nie chciały żyć, a my na to, by ich posmakować musieliśmy czekać na powrót do kraju.

Anonimowy darczyńca

Dostaliśmy też trzecią paczkę i do tej pory nie wiemy od kogo. Nadana była w Moskwie i adresowana na mamę. Była dosyć spora, bo miała około trzech kilogramów a w środku: „Panorama Północy”, „Przyjaciółka” i wiele innych czasopism. Mama była zachwycona. Nareszcie wieści ze świata, chociaż nie całkiem aktualne. Wszyscy Polacy przeczytali całą zawartość paczki. Prócz tych czasopism była jeszcze u nas w kołchozie „trylogia” Henryka Sienkiewicza, którą czytałem dwa razy. Traktowaliśmy ją w Kazachstanie jak Pismo Święte, którego nie było. Kazachowie zazdrościli nam naszego kraju: pól, wód, lasów, klimatu, ale nawet im do głowy nie przychodziło, by opuścić swoje strony. Odpowiadało im to co jest. To był ich kraj, którego nie zamierzali opuszczać.

Pomidory

Po śmierci Stalina nasza sytuacja wyraźnie się polepszyła. Nastąpiło pewno rozluźnienie naszych zależności od NKWD, który do tej pory był naszym władcą życia i śmierci. Formalnie pozostało wszystko po staremu, ale na wiele rzeczy nasi gnębciele patrzyli i nie zauważali. W tym czasie wydarzyła się historia, która jeszcze tak niedawno mogła się skończyć tragicznie. Gustek szedł z kolegą z kirowskiego targu. Wychodząc, nie wziął przepustki pewny, że nikt go po drodze nie zaczepi. Tymczasem napatoczył się funkcjonariusz NKWD, który chciał ich wylegitymować. Niewiele myśląc, wrzucili go do kanału i uciekli zanim tamten, poniesiony prądem wody, zdołał wygramolić się na brzeg.

Kiedy już był kinooperatorem, to miał stałą przepustkę i bez przeszkód mógł jeździć do innych kołchozów. Kiedyś zajechał ze swoim kinem do sowchozu, odległego o jakieś piętnaście kilometrów od nas. W sowchozach ludziom żyło się lepiej, ponieważ mieli oni wpływ na to co będą uprawiali czy hodowali. Sowchozy były odpowiednikami naszych państwowych gospodarstw rolnych a więc byli samorządni, oczywiście do pewnego stopnia, możliwego w takim kraju jak Związek Radziecki. Gustek wypatrył, że mają tam ogromne pole pomidorów i dogadał się, że przyjedzie je kupić dla naszego kołchozu. Pojechałem razem z nim. Gustek zapłacił parę rubli i wskazali nam pole, gdzie w skrzynkach leżały narwane już pomidory. Oczywiście nikt nie pofatygował się by sprawdzić ile weźmiemy. Po załadowaniu kilku skrzynek doszliśmy do wniosku, że nie ma sensu brać tych zerwanych, gdy wokół nas na krzakach ukrytych w wysokiej trawie jest tyle świeżych i nadzwyczaj pięknych. Wóz jechał środkiem między rzędami a my z Gustkiem zrywaliśmy je i ładowali na skrzynię, która bardzo szybko się zapełniła. Dla nas już zabrakło miejsca. Powrotną drogę przemierzaliśmy na piechotę. Pełny wóz pomidorów na piaszczystej drodze to dla konia duże obciążenie zwłaszcza, że nie należał on do tych silnych pociągowych a raczej do tych pod siodło. Zaczął nam w drodze ustawać. Gustek niewiele myśląc dał mu pomidora. O dziwo, łapczywie chwycił i zjadł. Widocznie taki był spragniony, że było mu wszystko jedno, byle coś mokrego. Podjadł pomidorów i już bez problemu dociągnął wóz do „Bolszewika”. Przywieźliśmy ich tyle, że starczyło dla każdego, nawet Kazachowie, którzy dawniej nie chcieli na nie patrzeć brali. U nas nikt nie uprawiał pomidorów oprócz mamy, ale naszych na dosyć przecież liczną rodzinę nie było za dużo.

Lenin znowu pomógł

Praca operatora kina objazdowego była bardzo atrakcyjna w porównaniu do chociażby pracy w polu czy przy produkcji cegieł. Nie zaspokajała jednak potrzeb ani ambicji Gustka, który stale myślał jak polepszyć naszą sytuację i jak w końcu wydostać się na wolność. Drogą ku temu miało być zdobycie jakichś uprawnień zawodowych, które pozwalały by na dłuższe podróże po terenie ZSRR.. Kiedyś w rozmowie z Jankiem Sienkiewiczem dowiedział się, że w Pachta Arał jest FZU, „Fruzeskoje Zawodnyje Ucziliszcze” czyli szkoła zawodowa kształcąca traktorzystów i kombajnistów. Uczęszczanie do takiej szkoły dawało same plusy: był tam internat, dostawało się wyżywienie, ubranie i jeszcze znaczną kwotę 300 rubli miesięcznego stypendium. Ponadto, pracując w zawodzie traktorzysty, czy kombajnisty, można było wyjechać na północ, czy na zachód, gdzie były tak zwane „ugory”, czyli ziemie od wieków przez nikogo nie uprawiane, w celu ich zagospodarowania, co zwiększało szansę ucieczki do Polski. Nawet w Polsce była taka propaganda aby bezrolni, odważni, wyjeżdżali zagospodarowywać te ziemie i zdarzało się, że ktoś, omamiony obietnicami, zapragnął tego szczęścia. Wszystko wyglądało pięknie w ustach agitatorów. Rzeczywistość okazywała się zupełnie inna. Były co prawda ogromne połacie stepu do zagospodarowania, ale pomoc państwa radzieckiego ograniczała się do zawiezienia tam przyszłych kolonistów i pozostawienia ich samym sobie. Pozbawieni jakiegokolwiek opieki, zupełnie bezradni w nowych warunkach, bez żadnego doświadczenia i zaopatrzenia marli na tym stepie jak muchy. Niewielu z tych, którzy wyjechali wróciło z powrotem do Polski. W czasie żniw wyjeżdżało się też do innych rejonów jako, że w tak ogromnym kraju rozpoczynały się one i kończyły o różnym czasie. Jednak nie tylko Gustek chciał się wydostać z tego piekła Kazachstanu. Inni chłopcy również, a więc wszystkie miejsca w szkole były już zajęte. Tylko ten kto nie próbuje nie ma już żadnych szans na załatwienie sprawy. Gustek do tych nie należał. Udał się do dyrektora szkoły, starego Żyda i zastosował metodę skutecznie wypróbowaną przez mamę, kiedy chciała zapisać mnie do szkoły w Kirowie. Panie dyrektorze, pan nie chce mi dać szansy na naukę, a to nie jest zgodne z naukami Lenina, który kazał „uczitsa i uczitsa”. Kto wie, kim jest ten młody człowiek, pomyślał zapewne dyrektor. Może to jakiś prowokator NKWD? Jeszcze mi zaszkodzi i stracę tak intratną posadę. Po krótkim namyśle wciągnął Gustka na listę uczniów. Od razu otworzyły się przed nim nowe możliwości. Jeszcze będąc w szkole jeździł na praktyki po całym Kazachstanie i nawet przyjechał odwiedzić mnie, gdy mieszkałem już w internacie technikum w Kapłan Biegu . Miał w pobliżu – około 100 km od Kapłan Biegu praktyki w bazie remontowej kombajnów. To była ogromna radość, zobaczyć nagle swojego kochanego brata wśród obcych mi ludzi. Jedna z nielicznych chwil, kiedy zapominało się o swojej tęsknocie, o samotności. Dał mi nieco pieniędzy,

z którymi było u mnie bardzo krucho, porozmawiał ze mną, z kolegami z internatu, zrobiliśmy sobie wspólne zdjęcie i tyle go widziałem. Musiał wracać do swojej bazy remontowej. U nas kombajny kojarzą się przede wszystkim ze zbożowymi, ale on uczył się obsługi i naprawy wszystkich ich typów, łącznie z tymi do zbioru bawełny i ryżu. Jak oni zbierali ryż kombajnami to nie mam pojęcia, pewnie spuszczała wodę i czekali aż ziemia na tyle wyschnie by wjechać tam ciężkim sprzętem. Gustek też pracował przy jego zbiorach i nawet przywiózł kilka worków ziarna ryżowego do „Bolszewika”. Jak każde zboże było ono w łupinach i nie nadawało się do jedzenia. Inaczej, nie nadawało się do jedzenia w chwili, gdy go przywiózł. Po naszym przyjeździe na zesłanie byłby to rarytas najwyższej klasy. Ziarno to zabraliśmy ze sobą wracając do kraju. Wujek pojechał z nim do młyna we Włochach pod Warszawą i wrócił z łuskanym. Tutaj głód nam nie groził.

Skorpiony

Wspominałem już o skorpionach. Na ogół nikogo one nie atakowały uciekając, jeżeli tylko miały taką możliwość. Naprawdę niebezpiecznie robiło się wówczas, gdy szło stado owiec. Uciekały wtedy jak oszalałe, bo owce chwytają je i zjadały nic nie robiąc sobie z ich jadowitego kolca. Powszechnie mówiło się też, że skorpion może skoczyć tak wysoko, że sięgnie jeźdźca na koniu, ale to podobnie jak w przypadku żmij „skoczków” trzeba pewnie włożyć pomiędzy bajki.



Jan Kozakowski 1955r.



Kapłan Bieg 1955r. Gustaw Kozakowski i Jan Kozakowski

Priedsiedatiel

Teraz nieco o naszych gnębicielach. Zacznę od przewodniczącego kołchozu, czyli priedsiedatiela. Urzędował w biurze, zbudowanym podobnie jak wszystkie inne budynki z cegieł wypalanych na słońcu, gdzie oprócz stołu – co było już wielkim rarytasem znajdowała się szafa zamykana na klucz i parę krzeseł. Nad drzwiami wejściowymi wisiały ówczesnym zwyczajem portrety przywódców Związku Radzieckiego Stalina i Lenina w otoczeniu dwóch brodatych panów Marksa i Engelsa. Niedługo po śmierci Stalina, jego portret zniknął ze ściany i jego miejsce pozostało puste, przynajmniej do czasu naszego wyjazdu z kołchozu. Podłogę stanowiła ubita glina, która z czasem powycierała się od butów i wyglądała jak zastygłe na morzu fale. Stąd też stół trzeba było stale ustawiać aby trafiał nogami w miejsca względnie równe a i tak chwiały się na wszystkie strony. Na dobrą sprawę nie był on nawet przewodniczącemu potrzebny, ponieważ nigdy nie widziałem go piszącego. Nawet przepustki – jak już o tym wspomniałem trzeba mu było dostarczyć gotowe a on jedynie przybijał na nich pieczętkę i gryzmołił swój podpis. Wszyscy Kazachowie, którzy żyli i pracowali w kołchozie „Bolszewik” byli ludźmi szczupłymi. On stanowił nieliczny wyjątek. Znad nalanych, sterczących policzków patrzyły na nas tępo małe skośne oczka. Wydaje się, że nie uważał nas za ludzi, jedynie za przedmioty, potrzebne do wykonania zadań jakie zleciło mu kierownictwo Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego. Piastując funkcję przewodniczącego kołchozu był jednocześnie sekretarzem organizacji partyjnej w kołchozie, panem życia i śmierci nas wszystkich. Na miejscu nie było nad nim żadnej wyższej władzy z jednym jedynym wyjątkiem. Kiedy przyjeżdżali funkcjonariusze NKWD robił się malutki i najczęściej wychodził do swojego domu lub gdziekolwiek indziej. Oni byli władzą najwyższą. Swoimi podwładnymi interesował się tylko jako narzędziem pracy. Warunki życia, głód, jakiegokolwiek problemy kołchoźników zupełnie go nie interesowały. Chodziły wieści, że tuż po wojnie wielu ludzi pomarło z głodu. Potwierdzała to zresztą znaczna, jak na tak krótki czas istnienia osady liczba kopczyków na miejscowym cmentarzu. Przewodniczący był mężczyzną w sile wieku, gdzieś tak między czterdziestym a pięćdziesiątym rokiem życia. Miał dwie żony i dwóch synów, którzy studiowali w Ałma Ata. Synowie ci nie przyjeżdżali do kołchozu a więc nigdy ich nie widziałem, nie wiadomo też, czy jeden był jednej żony a drugi drugiej, czy też jedna kobieta miała ich dwóch a druga wcale, ale to już była dla nas informacja zupełnie zbędna. Zwłaszcza, że na dobrą sprawę to i tak nie można było tych kobiet odróżnić. Obie były jednakowego wzrostu i zawsze chodziły dokładnie pozasłaniane chustami odsłaniając jedynie czubek nosa i oczy. Od przewodniczącego nie można się było niczego domagać a jedynie pokornie prosić i zdarzało się, że niekiedy przychylił się do tych próśb. Tak było na początku naszego pobytu w kołchozie, kiedy puchliśmy z głodu. Mama chodziła wówczas na zebrania zarządu i błagała o jakąkolwiek żywność,

ponieważ umieramy z głodu. To skutkowało, nie mógł sobie pozwolić na utratę rąk do pracy. Kilkakrotnie wydał polecenie brygadziście aby dał nam trzy, cztery kilogramy kukurydzy, co oczywiście skrupulatnie zaksięgowano. Pszenicy jednak nie dostaliśmy nigdy. Jego dom znajdował się w pobliżu biura zarządu. Był zdecydowanie większy niż domy pozostałych kołchoźników, ale wybudowany w tym samym stylu i z tych samych materiałów. Odróżniało go jeszcze to, że był ogrodzony. Wokół podwórka rosły wierzby, które czerpały wodę z przepływającego przed domem aryka. Tak się rozrosły, że mało co było widać zarówno budynku jak i podwórka. Czasami na tych wierzbach siedziały kury gospodarza a nawet indyczki. Ponadto miał jeszcze stado owiec, ale one pasły się poza kołchozem wraz z tymi, które stanowiły własność kołchozu. Baca, który je pilnował wiedział doskonale, jakie są przewodniczącego, zarówno te dorosłe jak i jagnięta urodzone na stepie. Przed domem stały dwa konie do jego dyspozycji a jeden z nich zawsze był osiodłany. Nie były to małe kazachskie koniki, jakich wszyscy używali, a dobrze zbudowane silne konie rosyjskiego chowu, odpowiednie do jego tuszy i postawy. Oczywiście paszę dla wszystkich zwierząt przywożono mu z kołchozu prosto na podwórko. Dla kur przewodniczącego nigdy nie brakowało pszenicy, dla nas zawsze. O cały ten dobytek, łącznie z doglądaniem i siodłaniem koni dbały żony przedsiębiorcy. On nie kochał się jakkolwiek pracą fizyczną. Nie był też żadnym fachowcem a jedynie osobą, która wcielała w życie polecenia przełożonych. Sprawami produkcji rolnej zajmował się agronom, też Kazach, który z kolei był doskonałym fachowcem w dziedzinie produkcji bawełny, co było dla kołchozu niemal świętą sprawą, ważniejszą od czegokolwiek. On decydował o terminach wykonywania zabiegów pielęgnacyjnych, nawożeniu, zbiorach itp. W tym samym budynku, gdzie mieściło się biuro przewodniczącego było też biuro zarządu, nie większe niż jakieś 10 metrów kwadratowych. Tam urzędował buchalter, czyli księgowy, do którego przychodzili brygadziści ze sprawozdaniami z wykonanej pracy a także tam miały miejsce posiedzenia zarządu. Czasami księgowy jeździł też w pole, osobiście i wówczas wszystko odbywało się w czasie pracy brygady. Notował w swoim zeszycie, który pracownik ile wykonał powierzonych mu zadań, a następnie księgował to już na miejscu w biurze. W naradach zawsze uczestniczył agronom i służby wodne. Agronom decydował jakie pola i kiedy należy nawodnić a służby wodne pilnowały aby wody było akurat tyle ile potrzeba, ani za dużo ani za mało. Agronom decydował też o ilości nawozów i dawkach na jeden hektar oraz o wszystkich zabiegach pielęgnacyjnych, które później zlecano do realizacji brygadziście a ci z kolei pilnowali by kołchoźnicy solidnie wykonali swoją robotę. Zarząd kołchozu wkładał cały swój wysiłek w jedno, aby plony bawełny były jak największe. Jakiegokolwiek zaniedbanie w tej dziedzinie traktowane mogło być jako działanie wymierzone przeciwko państwu radzieckiemu a to już była sprawa NKWD, będącego postrachem wszystkich, od przewodniczącego kołchozu po pastucha. Wracając do przewodniczącego. Jako

przedstawiciel władzy nie mógł niby wyznawać żadnej religii i mieć tylko jedną żonę. Trzymał się jednak przyjętej w Kazachstanie, przez jego stałych mieszkańców zasady, że Moskwa jest daleko i niewiele może zobaczyć. Kupił sobie dwie żony to je sobie miał, a Rosjanom nic do tego. Ponadto, odprawiał obowiązujące Muzułmanów modlitwy wcale się z tym nie kryjąc. Nieraz widać było, jak na podwórku swojego domu rozkłada dywanik modlitewny i bije pokłony w stronę Mekki, a nieraz z wnętrza domu dochodziły aż ulicę jego głosy sławiące boga Allacha. Turbanu nie nosił, tylko czapkę, ale za to opasywał się specjalnym pasem utkany z bawełny. Wyglądało to w ten sposób, że podnosił ręce do góry, obracał się w miejscu, a któraś z żon trzymała ten pas materiału i nawijała na niego jak na szpulkę. Za tym pasem miał zawsze zatknięty mały, drewniany pojemniczek mający około 50 gramów pojemności. Był on był misternie zdobiony i zatykany korkiem ze skóry, oraz mieścił zielony, bardzo drobno zmielony proszek, który przewodniczący wsypywał sobie pod język, ssał zawzięcie a po jakimś czasie wypluwał na „podłogę” swojego biura. Nie wiadomo co to był za proszek, ale nie trudno się domyślić. Po jego „zażyciu” małe oczka przewodniczącego zaczynały się szklić, stawał się wesoły i rozmowny, chociaż w stosunku do więźniów zawsze zachowywał pełen dystans. Kiedyś widziałem jak wracał konno z Kirowa. Musiał pewnie przedawkować tego proszku, bo strasznie przeginał się w siodle na jedną i drugą stronę. Miałem nadzieję, że wpadnie w końcu do kanału i popłynie z powrotem tam skąd przyjechał, ale nic takiego się nie stało, miał widać niezłą wprawę w jeźdźeniu „pod wpływem”. Dotarł do domu cały i zdrowy a tam już żony zadbały, by nie zrobił sobie żadnej krzywdy. Wódki nie pił a przynajmniej nic mi na ten temat nie wiadomo. W każdym razie oficjalnie tego nie robił. Miał bowiem u siebie w kołchozie swojego zwierzchnika religijnego mułłę, osobę wysoko postawioną w hierarchii religijnej, bo wyróżnioną niebieskim pasem na turbanie, który był szefem „sad agarodu”, czyli winnicy. Mułła przestrzegał zachowania zgodnego z przepisami Koranu a ten zabrania picia alkoholu. Aby zakończyć już o przewodniczącym nadmienię tylko, że często jeździł konno w pole doglądać wykonywanych tam prac. Nieraz jechał sam, a nieraz w towarzystwie agronoma, kiwając się na swoim skórzano drewnianym siodle z szerokim wsparciem na ręce z przodu i sterczącym do góry tyłem. Rozmawiał z brygadzystami, ale nigdy nie zniżył się do rozmowy z pracującymi na polu ludźmi.

Wynalazek pana Biblisa

Z przewodniczącym kołchozu i jego stosunkiem do więźniów kojarzy mi się zdarzenie, które spotkało pana Biblisa. Jak już pisałem, zimą

dosuszano owoce bawełny, które nie dojrzały na polu. Odbywało się to w ten sposób, że składano ją w pomieszczeniu a potem palono w piecu, aby uzyskać jak największą temperaturę, przy której owoce te dojrzewały i otwierały się. Uzyskana w ten sposób bawełna nie była najwyższej klasy, ale nadawała się do produkcji jako towar w pełni wartościowy chociaż niższego gatunku. Do tego palenia używało się zebrany latem na stepie susz kolczastych krzewów, oraz wyciętych krzaków bawełny, które co prawda dawały wysoką temperaturę, ale paliły się bardzo szybko i stale trzeba było ich dokładać, przez co oczywiście równie szybko się zużywały. Pan Biblis, który zatrudniony był przy tej robocie, myślał przez parę dni nad jej usprawnieniem a następnie zdobył gdzieś większy kawałek papieru - co wcale nie było sprawą prostą i narysował dokładny rysunek nowego pieca i kanałów rozprowadzających ciepłe powietrze. Do tej pory – jak to zwykle bywa w ogrzewanych pomieszczeniach, najcieplej było pod sufitem, gdzie nikomu to nie było potrzebne a najzimniej na klepisku, gdzie składano bawełnę. Pan Biblis bardzo mądrze wymyślił, aby piec wkopać głęboko, poniżej paleniska w ziemię, zrobić nad nim czopuch a następnie kanałami rozprowadzić ciepło po całym pomieszczeniu. W ten sposób bawełna ogrzewana była by z dołu a nie z góry. Swój rysunek pokazał brygadziście a ten zabrał mu go i poszedł z tym do przewodniczącego kołchozu. Pomysł spodobał się. Na drugi dzień nie było już suszenia, tylko przebudowa suszarni pod kierownictwem głównego jej projektanta, czyli pana Biblisa, któremu do pomocy przydzielono dwóch kołchoźników by jak najszybciej przystąpić do suszenia już nową metodą. Po trzech dniach wysuszono pierwszą partię bawełny. Wyniki były rewelacyjne. Zarówno czas suszenia jak i zużycie opału spadły o połowę. Przewodniczący kołchozu był tak zachwycony, że sam przyszedł zobaczyć jak to wygląda. Na pana Biblisa nie zwrócił najmniejszej uwagi. Porozmawiał w języku kazachskim z brygadziwą a następnie wziął ze sobą rysunek, wdrapał się z wysiłkiem na grzbiet swojego konia i pojechał do przełożonych pochwalić się wymyślonym przez „siebie” nowym sposobem suszenia bawełny, zaskarbiając sobie tym samym uznanie i gratyfikację pieniężną. Natomiast pan Biblis w nagrodę musiał przerzucać dziennie dwa razy więcej bawełny. Oszczędności były duże, ponieważ nie chodziło jedynie o czas suszenia a głównie o pracę kołchoźników w porze letniej, którzy wycinali na stepie przyszłe paliwo. Od tego czasu trzeba go było połowę mniej, a tym samym więcej ludzi można było wykorzystać do pracy w polu. W skali wszystkich kołchozów produkujących bawełnę ten prosty wynalazek przyniósł ogromne oszczędności.

Pierwsze radio w kolchozie

Raz jeszcze pan Biblis przysłużył się przewodniczącemu kolchozu, podnosząc jego rangę pośród innych przedsiębiorców. Zaczęło się od tego, że jak już pisałem, Kazachowie ze wszystkimi sprawami technicznymi byli bardzo na baki. Nawet do głowy by im nie przyszło, że w kolchozie, gdzie nie ma prądu może być taki wynalazek jak odbiornik radiowy. Panu Biblisowi wpadła kiedyś do głowy myśl, aby zaproponować przewodniczącemu kupno odbiornika zasilanego akumulatorem i zamontować go w „polewej stacji” - budynku na środku pola służącym do wypoczynku, aby ludzie oczekujący na przejście największego upału mogli słuchać audycji radiowych. Początkowo wyśmiał go ale kiedy usłyszał, że jest to możliwe bez prądu i bez przewodów, po których płynie sygnał radiowy a ponadto, że nigdzie jeszcze radia nie mają, uznał pomysł za warty realizacji. Przedstawił swoim przełożonym prośbę o jego przydział argumentując to troską o „raboczych” - o pracowników. Po niedługim czasie odbiornik był na miejscu i pan Biblis zajął się jego instalacją. Znał się na tym, ponieważ przed wojną służył w kawalerii jako radiotelegrafista i przeszedł odpowiednie przeszkolenie. Niektórzy po raz pierwszy w życiu, w samym środku plantacji bawełny w dalekim Kazachstanie usłyszeli audycję radiową. Można było łapać sygnał radiowy z Moskwy albo z Taszkientu. Odtąd pracownicy mogli słuchać muzyki, oczywiście zupełnie innej niż u nas w Polsce zwłaszcza, gdy była ona nadawana z Taszkientu, a także częstych komunikatów dotyczących pogody oraz aktualnej godziny. Dopiero teraz mogliśmy się zorientować, jaka odległość dzieli nas od stolicy. Czas był przesunięty o kilka godzin. W Moskwie pracował jeszcze w radiu spiker, który zapowiedział wybuch II Wojny Światowej, Lewiatan. Miał on piękny bas i kiedy mówił : „gawarit Moskwa” - mówi Moskwa, robiło się tak jakoś bardzo uroczyście. Oczywiście audycje miały prawie wyłącznie charakter propagandowy, ale my już dostatecznie długo byliśmy pod władzą Rosjan, by nie odróżniać prawdy od kłamstwa. Najważniejsza była muzyka. W „polewej stacji” radio, ku ogólnej radości, było aż do września. Kiedy nie trzeba było robić przerw w pracy zabrał je przewodniczący kolchozu i tam u niego już pozostało. To była pierwsza nasza łączność ze światem, podobnie jak pierwszymi gazetami w kolchozie były gazety, które mama dostała z Moskwy od nieznanego nadawcy. Wszyscy wiedzieli, że radio jest dzięki panu Biblisowi i jego prestiż w kolchozie bardzo urósł. Pan Biblis nauczył mnie też alfabetu Morse’a. Do dzisiaj pamiętam co oznaczają niektóre kropki i kreski a także znaki dawane ułanom: kreska – padnij, kropka – siad.

Wizyty NKWD

W kołchozie nie było siedziby NKWD. Jej funkcjonariusze przyjeżdżali konno z Kirowa. Piszę konno, bo widać było jak jadą ale potem tych koni nie widziałem nigdzie uwiązanych. Pewnie zaprowadzali je na zasłonięte podwórko przewodniczącego. To, że nie mieli w „Bolszewiku” swojej siedziby nie oznaczało, że ich tutaj na co dzień nie było. Wiedzieli o nas wszystko a więc któryś z Kazachów albo nawet kilku byli ich tajnymi współpracownikami i składali dokładne meldunki o wszystkich wydarzeniach. Do śmierci Stalina, co dwa tygodni przyjeżdżali w trójkę. Zawsze wieczorami, by nie odrywać nas od wykonywanych zajęć. Zajmowali biuro kołchozu, i każdy więzień, który ukończył czternasty rok życia musiał się do nich zgłaszać. Już w czasie pracy brygadziści informowali o tym, że wieczorem trzeba zgłosić się do NKWD. Zapisywali tylko obecność i na tym się kończyło. Wracaj do domu, bo rano musisz iść do roboty. Z tym meldowaniem się był kłopot. Po pierwsze, zamiast iść spać musieliśmy tracić prawie dwie godziny aby dokonać tych formalności, a po drugie, chodzić samemu po kołchozie, po ciemku, zwłaszcza kiedy było się dziewczyną nie było zbyt bezpiecznie. Istniało ryzyko zaczepek ze strony młodych Kazachów a nawet porwania. Przy porwaniu dziewczyny narodowości kazachskiej, cały ród jej szukał i bardzo często odnajdywał, natomiast w przypadku porwania białej kobiety w dodatku więźniarki przez Kazacha żaden z nich palcem by nie kiwnął a na NKWD też lepiej było nie liczyć. Musieliśmy pilnować się sami. Kiedy z nami byli Zygmunt i Gustek, stanowiliśmy dosyć silną grupę, ale kiedy przebywali oni poza kołchozem trzeba było szczególnie uważać. Wielu Kazachów oglądało się za Janką Szabrońską, która była bardzo ładną dziewczyną. W swoich młodzieńczych marzeniach wyobrażałem sobie, że kiedy wrócimy wszyscy do Polski to ja się z Janka ożenię a więc tym bardziej pilnowałem, by nic się jej nie stało. Jak już Gustek wyjechał na długo do szkoły, to NKWD stale wypytywało mamę, gdzie on jest i musiała im tłumaczyć, chociaż dobrze wiedzieli gdzie, bo bez ich wiedzy jakikolwiek wyjazd byłby przecież niemożliwy.

Wszyscy ci co przyjeżdżali byli Kazachami. Nasz kołchoz podlegał pod starszego sierżanta. Był to drugi, po przewodniczącym Kazach, który miał słuszną tuszę, ale ten używał normalnego konia, który ledwie go unosił. Traktowali nas bardzo służbowo, ale nie zdarzało się by bili kogoś bez powodu, a tych nikt im przecież nie dostarczał, więc pod tym względem był spokój. Z jednym wyjątkiem. Kiedy uciekł Michał Kurowski, a jego ojciec nie zgłosił natychmiast tego faktu w NKWD lecz dopiero po tygodniu, to go aresztowali. Długo nie siedział, zapewne dlatego, że potrzebny był do roboty, ale wrócił mocno poturbowany. Bili go nahajami, aby powiedział gdzie jest jego syn. Oczywiście mężnie zniósł te tortury i nie pisnął ani słowa zasłaniając się niewiedzą. Po śmierci Stalina ich wizyty były coraz rzadsze i przyjeżdżał już

tylko sam sierżant. Z czasem nasze ograniczenia nieco się rozluźniły, nawet można było chodzić do Kirowa na targ.

Powiatowe miasto Kirow

Kirow był miastem powiatowym, a w zasadzie trudno go było nazwać miastem. Rozciągał się wzdłuż Kanału Kirowskiego, który wybudowany został na zachód od rzeki Syr Darii z której był zasilany i miał tylko jedną ulicę, leżącą na lewym brzegu kanału, zapewne dla oszczędności, aby nie trzeba było budować żadnej kładki z deficytowego na stepie drewna. Według moich szacunków nie miał więcej niż 500 mieszkańców i zbudowany był podobnie jak zabudowania kołchozowe z surowej cegły wysuszonej na słońcu. Piszę Kirow „był” ponieważ udało mi się zdobyć ostatnio mapę rejonu w którym mieszkaliśmy. Nie ma już Kirowa, nie ma kołchozu „Bolszewik” i wielu innych kołchozów leżących wzdłuż kanału. Ich miejsce zajął ogromny zalew wodny stanowiący zapewne rezerwar wody na wypadek suszy. Bez żalu przyjąłem wiadomość, że miejscowość, gdzie spędziłem część swojego życia zniknęła z mapy Rosji, chociaż dla mieszkających tam tubylców z pewnością była to pewnego rodzaju tragedia. Podobnie jak domki zbudowane były również budynki użyteczności publicznej a więc: Komendantura NKWD czyli najważniejszy budynek w mieście. Zależna od NKWD, ale mająca osobną komendę Milicja Powiatowa, poczta i szkoła średnia do której uczęszczałem najpierw ja a później Marysia o wzniosłej nazwie „Pabieda” - zwycięstwo. Był też młyn wodny, napędzany bystrym nurtem Kanału Kirowskiego. Inne młyny wodne mają specjalną służbę, zbudowaną pomiędzy dwoma stawami leżącymi na różnych poziomach. Podczas uruchamiania koła młyńskiego służbę podnosi się do góry i silny strumień wody wpada na łopatki koła wodnego powodując jego obroty, które transmituje się na żarna mielące zboże. Tutaj nie trzeba było niczego spiętrzać ani budować zbiorników, czy skomplikowanej transmisji napędu. Koło wodne zanurzone było bezpośrednio w nurcie kanału i kręciło się nie mniej energicznie jak w pozostałych młynach. Ludzie, którzy mieli pszenicę schodzili się tam z całej okolicy, niosąc ze sobą niewielkie woreczki zboża w jedną stronę i znacznie mniejsze mąki w drugą. Wadą tego młyna było to, że zimą był on nieczynny, ponieważ Kanał Kirowski był wówczas pusty. My nigdy nie korzystaliśmy z usług młynarza urzędującego w tym młynie. Mieliśmy swój kamień, na którym mieliliśmy kukurydzę, a pszenicy zwykle nie było wcale. O siedzibie NKWD i komendy policji niewiele mogę powiedzieć, ponieważ na szczęście nigdy tam nie byłem. Dosyć obszerne niskie budynki omijane skrzątnie przez miejscowych mieszkańców i

przyjezdnych, wokół których kręcili się mundurowi i cywilni mężczyźni oraz stały, poprzywiązywane do palików wbitych w ziemię osiodłane konie. Czasami podjechała też jakaś ciężarówka ale stać i patrzeć co przywiozła było niezbyt bezpiecznie. O szkole już pisałem wspominając moją nauczycielkę Ewę Aleksandrowną, która nie była zbyt szczęśliwa z tego, że musiała opuścić stosunkowo dużą jak na Azję Środkową i bez wątpienia znacznie lepiej zaopatrzoną Samarkandę i zamieszkać w Kirowie bez światła elektrycznego, bez bieżącej wody i wszelkich innych udogodnień typu gaz czy kanalizacja. Pani profesor szkoły średniej zmuszona była biegać w krzaki by załatwiać swoje sprawy fizjologiczne. W przypiływie dobrego, albo raczej „wisielczego” humoru, bo przecież dotyczyło to ją w równym stopniu jak i wszystkich, nazywała nas „Baharyncy”, czyli w wolnym tłumaczeniu ci z głodnego stepu. Z oczywistych względów nigdy o tym nie mówiła, ale podejrzewam, że jako Niemka niewiele miała do powiedzenia w chwili, gdy do jej mieszkania załomotało NKWD i kazało się zbierać, a następnie zawiozło do Kirowa. Poczta była wielkości naszego domku ale mieliśmy swojego listonosza, Gruzina, który wieczorem, kiedy upał nieco zelżał, przyjeżdżał na koniu i przywoził listy Tak się złożyło, że pochodził on z „Bolszewika” a więc korespondencja nie zalegała w budynku poczty a była dostarczana na bieżąco.

Szpital w Kirowie

Jedynym budynkiem, który warty jest tego by nieco się przy nim zatrzymać był szpital. Wyglądał tak jak pozostałe budynki użyteczności publicznej ale rola, którą pełnił w warunkach urągających jego mianu „bolnica” - szpital, była nie do przecenienia. Personel składał się z jednego lekarza i dwóch pielęgniarek oraz jednej „uborszczicy” - sprzątaczkii, która pełniła jednocześnie wszelkie inne, wynikające z potrzeby funkcje. Oczywiście wodę do szpitala nosiło się z kanału, podobnie jak do budynków mieszkalnych, nie było prądu i kanalizacji. Rolę toalety pełniły wiadra z pokrywką a myć się nie było potrzeby. Lekarz siłą rzeczy musiał znać się na wszystkim: od przyjęcia porodu po operacje chirurgiczne. Wydawało by się, że w tych warunkach – przy braku lekarstw i jako takiego sprzętu medycznego istnienie szpitala pozostawało pod znakiem zapytania. A jednak ratowano tam życie ludzkie. Opowiem o tym po kolei. Kiedy już kończyłem siódmą klasę i gromadziłem dokumenty, aby złożyć podanie o przyjęcie mnie do technikum, musiałem mieć zdjęcie fotograficzne. Dowiedziałem się, że w Kirowie jest jeden Grek, który posiada aparat fotograficzny „Zorkę” i robi zdjęcia. Bez trudu dopytałem się gdzie mieszka i podszedłem pod drzwi jego budynku, strzeżonego przez

wielkiego psa, który skutecznie odebrał mi ochotę do tego, bym zajrzał do środka. Po chwili wyszła z niego żona fotografa, uciszyła psa i kiedy powiedziałem jej o co mi chodzi kazała chwilę poczekać. Mąż zaraz wyjdzie i zrobi mi zdjęcie. I rzeczywiście, po chwili w drzwiach wejściowych pokazał się mężczyzna z aparatem. Kiedy go zobaczyłem, to na moment mnie zamurowało. Ubrany był w spodenki, ale cały brzuch miał w opatrunku, z którego wyciekała jeszcze krew czy ropa. W każdym razie coś czerwonego. Zrobił mi zdjęcie a przy okazji opowiedział co go spotkało. Od paru dni czuł się bardzo źle, bolało go w prawym boku z dnia na dzień coraz gorzej. W dodatku zaczął mocno gorączkować. Kiedy już wszelkie domowe sposoby nie pomogły, żona zaprowadziła go do szpitala. Lekarz szybko zdiagnozował chorobę – zapalenie wyrostka robaczkowego. Będziesz musiał być operowany i to natychmiast, albo po prostu umrzesz w męczarniach jak wyrostek pęknie i rozleje się, powodując zapalenie otrzewnej. Oczywiście nie miał wyjścia i zgodził się. Jedna z sióstr rozpałała w piecu, wygotowała narzędzia chirurgiczne a druga w tym czasie ułożyła chorego na czymś, co w przybliżeniu można było nazwać stołem operacyjnym, czyli na wysokiej ławie mającej na wyposażeniu sześć pasów. Po jednym na każdą kończynę a dwa dodatkowe przez klatkę piersiową i przez biodra. Kiedy już narzędzia zostały wygotowane, przywiązano chorego tymi pasami tak, że bez mała zablokowano mu dopływ krwi do kończyn i ograniczono oddychanie, po czym lekarz przetaił mu brzuch spirytusem i zwyczajnie w świetle otworzył skalpelem jamę brzuszną. Pogrzebał w jego wnętrznościach, wyciął co trzeba, zabezpieczył, zaszył ranę i sprawa była załatwiona. Dlaczego piszę o czymś, co wydaje się mało ciekawą rutyną. U nas w Polsce i teraz rzeczywiście jest to zwykły, rutynowy zabieg. Tam wszystko odbywało się **bez znieczulenia**. Pacjent na przemian: to mdłał z bólu, to ku swojemu przerażeniu znowu się budził i gryzł sobie język, bo przywiązanych palców nie mógł, krzyczał wniebogłosy i znowu mdłał. . Po przeprowadzonym zabiegu, siostra zabandażowała mu brzuch, podnieśli go ze stołu operacyjnego, spionowali i doprowadzili do drzwi. Był „wyleczony”. Resztą miała się zająć żona a ta reszta polegała na tym, by zaprowadzić go do domu i położyć do łóżka. Zabieg okazał się na tyle skuteczny, że na drugi dzień robił mi już zdjęcie. Poruszał się z najwyższym wysiłkiem, widać było wyraźnie, że ma dużą gorączkę lecz nie odpuścił przecież możliwości zarobienia paru rubli, bo z czego będą żyli? Chłop nacierpiał się co niemiara ale przecież w szpitalu uratowali mu życie, które już zbliżało się do krawędzi. Widziałem go później jeszcze raz przed moim wyjazdem z „Bolszewika” do technikum. Chodził po targu z aparatem szukając chętnych do zrobienia im zdjęcia. Po dawnym cierpieniu nie zostało już nawet śladu.

Targ

Targ, to z pewnością było najciekawsze miejsce w Kirowie. Ze wszystkich stron schodzili się tam kołchoźnicy aby coś sprzedać lub też kupić. Z naszego kołchozu sprzedawano tam wino, które produkował mułła. Wyglądało to w ten sposób, że na wozie stała beczka z winem posiadająca szpunt, czyli drewniany zawór. Chętny do jego kupna musiał przynieść ze sobą naczynie, do którego odmierzano mu ten szlachetny trunek. Jak już beczka opróżniła się do połowy, to wówczas kładziono ją tak, by zawór był niżej poziomu wina i znowu je rozlewano aż do całkowitego wypróżnienia. Kiedyś bracia dali mi litrową butelkę, ruble i kazali kupić wina. Chętnie spełniłem ich prośbę, bo lubiłem biegać po targu. Kiedy już obejrzałem dokładnie wszystkie buty ze starych opon produkowane przez Greków, jakieś ubrania łącznie z kufajkami na zimę, które wbrew pozorom zakładano nawet latem chroniąc się przed upałem, siodła, uzdy, wodze i inne akcesoria końskie, kiedy naoglądałem się koni, owiec i wielbłądów przeznaczonych na sprzedaż, nawąchałem zapachu melonów i kawonów, kupiłem to wino i poszedłem do domu. W lewej ręce niosłem książki a w prawej pod pachą butelkę wina. Nagle dostrzegł mnie kolega z klasy. Cześć! Krzyknął i wyciągnął do mnie rękę. Ja odruchowo też. Butelka spadła na ziemię i ku mojej rozpaczycy zbiła się. Wróciłem do domu z pustymi rękami, ale bracia jakoś nie mieli wielkich pretensji. Zbiła się to trudno. Nie było im pisane napić się wina. O ile zabudowania Kirowa nie różniły się od tych kołchozowych, to sama osada już tak. Było tam o wiele więcej zieleni. Bardzo dużo wierzb wzdłuż kanału i aryków, ale były też drzewa owocowe, sadzone głównie przez Niemców, którzy osiedlali się tam po zakończeniu budowy kanału. Ponadto nie było tam żadnego kołchozu a mieszkańcy pracowali w instytucjach, o których pisałem, bądź też zajmowali się rzemiosłem, choćby robieniem butów, szyciem ubrań i tak dalej.

Traktorzysta

Zygmunt przez cały czas pobytu w „Bolszewiku” był traktorzystą. Początkowo miał z tym wiele kłopotów, bowiem w Pietraszuńcach nie było jeszcze traktorów. Wszystkiego musiał nauczyć się od początku. Opanowanie samej jazdy nie było trudne, wystarczyło umieć zapalić silnik i wrzucić bieg. Jazda nie doświadczonego traktorzysty nikomu nie zagrażała, bowiem na stepie nie spotyka się żadnych przeszkód a po paru dniach nabrał już wystarczająco dużo wprawy. Gorzej było, gdy coś należało naprawić. Najczęściej wówczas przychodził z pomocą Kostia. Niemiec, który był zesłańcem od 1940 roku i

przez ten czas zdążył, już nieźle zapoznać się ze wszystkimi maszynami jakie były w kołchozie. Więźniowie chętnie pomagali sobie nawzajem, ale mówić o sobie nie chcieli. Zygmunt nie wiedział nawet za co Kostię skazano. Nie pytał a tamten sam nie mówił. Podstawowa zasada była taka: „nie bałtaj” - nie mów. Zawsze mógł się znaleźć w pobliżu jakiś donosiciel współpracujący z NKWD, który doniósł, dodając przy okazji coś od siebie, by jego donos zabrzmiał bardziej wiarygodnie. Funkcjonariusze NKWD nawet dzieci przepytawali nieraz o ich rodziców czy rodzeństwo by wydobyć interesujące ich informacje. Nigdy nie można było ich lekceważyć. Faktem jest, że pracowali metodami bardzo prymitywnymi, że w większości byli to ludzie bez żadnego wykształcenia i bez polotu, nie znali się na sztuce ani na literaturze. To wszystko nie miało znaczenia. Byli bowiem skuteczni i bezwzględni, fanatycznie oddani państwu, które postawiło ich nad resztą społeczeństwa dając przy tym nie ograniczoną niczym władzę. Należało się ich bać i starać się unikać za wszelką cenę. W klimacie Kazachstanu traktorzysta pracuje przez okrągły rok. Cały czas jest coś do zrobienia. Zimą zaczyna się pora orki, później bronowanie i przygotowanie roli pod zasiew. W określonym przez agronoma terminie następowała pora wysiewu ziaren bawełny, które znajdują się w środku każdego „kwiatu”. Są to te same ziarna, z których wyłacza się olej sprzedawany później kołchoźnikom z beczek po ropie naftowej służącej do napędu ciągników i innych maszyn. Praca na traktorze stwarzała możliwości wyjazdu poza teren kołchozu, choćby po to by kosić trawę nad brzegami Syr Darii. Jednocześnie była ona bardzo monotonna. Nieraz przez parę dni nie schodził z pola, robiąc przerwy jedynie na tankowanie ciągnika i na szybkie posiłki. Po takiej pracy jest się tak zmęczonym, że prawie na stojąco zasypia. Powoduje to zupełną dekoncentrację uwagi. Pewnego razu wjeżdżał na kanał a w zasadzie na podjazd nad ziemią tak niefortunnie, że ciągnik spadł wraz z nim na ziemię. Szczęśliwie nic groźnego się nie stało, ale potłukł się solidnie i cały bok oraz rękę miał w siniakach. Traktor podniesiono, koledzy pomogli mu wyprostować jako tako pogięte blachy i rad nierad musiał jechać w pole. Jedną rękę miał sprawną a więc o zaprzestaniu pracy nie mogło być mowy. Tu nasunęła mi się makabryczna historia opowiedziana przez „Sybiraczkę”, która była wywieziona w okolice Kołymy. W jej łagrze, po urodzeniu dziecka przez więźniarkę, zabierali jej niemowlę i uśmiercali je, oddając następnie matce by sobie pochowała. Wszystko po to, by jak najprędzej można ją było wysłać do pracy w tajdze. Ciekawe, co by na to powiedział Kazach z „Bolszewika”, który tak bardzo przeżył wyzwalenie obozu zagłady w Oświęcimiu myśląc, że ludobójstwo to jest jedynie wymysł oprawców z Europy. Inny „Sybirak”, który jakimś cudem przeżył „Karagandę” twierdził, że obozy hitlerowskie były zwykłym przedszkolem, w porównaniu do warunków tam panujących. Niestety nie można, albo dzięki Bogu nie można już tego sprawdzić. Pewnie lepiej zostawić temat niż licytować się, który z systemów ludobójstwa był bardziej okrutny. Na niekorzyść tego sowieckiego z pewnością wpływa zabójczy klimat

ludzi zupełnie do niego nie przystosowanych, chociaż i w Polsce zima, przy braku odpowiedniego odzienia może bez trudu zabić. Wracam jednak do tematu. Zygmunt szczęśliwie nic sobie nie złamał, i po paru dniach wszystko wróciło do normy. Prawie wszystko, bo potłuczenia są niejednokrotnie groźniejsze od złamań i kiedy tylko następowała zmiana pogody, to stale narzekał na ból stłuczonej ręki.

Zasnąłem na traktorze

Mnie też nie ominął wypadek na traktorze, ale w zupełnie innych okolicznościach. Bronowałem pole pod zasiew bawełny tak wielkie, że w jedną stronę jechało się przeszło godzinę. Do ogromnego gąsienicowego ciągnika było podłączone kilka wielkich bron, nie pamiętam już ile, ale na raz bronowało się dosyć szeroki pas, z pewnością ponad dziesięć metrów. Praca odbywała się w systemie trzymianowym i mnie wypadła akurat nocka. Monotonia tej pracy, ciepło bijące od silnika, pora nocna, powodowały, że zacząłem drzemać i w końcu zasnąłem na dobre. Ciągnik z ustawionym ręcznie gazem robił swoje a ja spałem. W pewnej chwili obudził mnie odgłos silnika zupełnie inny od dotychczasowego. Widocznie Pan Bóg czuwał nade mną, albo moi zmarli dziadkowie, bo to był ostatni moment by się zatrzymać. Wspinałem się wraz z bronami po skarpie kanału do góry i nie trudno sobie wyobrazić, co by było, gdybym tam wjechał. Zanim bym się na dobre obudził, mogło być po mnie, nie mówiąc już o możliwości uszkodzenia kanału, z którego mogła zacząć wypływać woda. Z pewnością NKWD potraktowało by to jako sabotaż na szkodę Związku Radzieckiego no i wielki kłopot gotowy. Nacisnąłem odruchowo sprzęgło i ciągnik stoczył się na dół. Połamał zaczepy i zatrzymał się na bronach. Nie miałem żadnych szans, by samemu spróbować poradzić sobie z wydostaniem ciągnika i naprawą kupy pogiętego żelastwa, które tak niedawno było jeszcze bronami. Zostawiłem wszystko i pobiegłem po braci, którzy szczęśliwie byli w domu. Kiedy opowiedziałem im co się stało, to nawet nie szli zobaczyć, tylko wzięli drugi ciągnik, jakieś wielkie młoty i pojechaliśmy w pole. Tym drugim ciągnikiem wyciągnęli mój na równy teren, po czym młotami, na zimno prostowali pogięte brony i zaczepy aż te swoim wyglądem zaczęły przypominać z powrotem narzędzia rolnicze. Po kilku godzinach pojechali do domu zbierać się do pracy a ja kontynuowałem bronowanie póki nie przyszedł na pole mój zmiennik. Trochę się dziwił, że tak mało zrobiłem, ale uszkodzenia bron nawet nie zauważył. Zresztą, wcale się im nie przyglądał. Po nocnej zmianie należał mi się odpoczynek, ale jakoś zupełnie odeszła mi ochota do spania. Nareszcie miałem czas by porozmawiać trochę z mamą i pomóc jej w gospodarstwie, gdzie zawsze było coś do roboty.

Pogrzeb Kazacha

Pewnego razu byłem świadkiem pogrzebu Kazacha. Ulicą kołchozową, w stronę cmentarza, który znajdował się pomiędzy kołchozem a kanałem szedł kondukt pogrzebowy, sami mężczyźni, niosąc na noszach, ułożone na prawym boku w pozycji embrionalnej, zawinięte od czubka głowy aż po końce stóp w biały całun ciało zmarłego. Uczestnicy pogrzebu szli uśmiechnięci, radując się tym, że jego dusza, która pochodzi od Boga, czyli od Allacha, powróciła do miejsca skąd została przysłana aby odbyć swoją ziemską drogę. Bóg wziął to, co przed laty dał powodując, że narodził się nowy człowiek, jego wyznawca a więc nie ma żadnego powodu do smutku. Wydawało mi się to bardzo dziwne, zupełnie obce naszej kulturze, gdzie odejście człowieka z tego świata zawsze wiąże się ze smutkiem, przeważnie bardzo uzasadnionym, szczególnie dla najbliższych. Zmarły niejednokrotnie zostawia nie zabezpieczoną finansowo rodzinę, małe dzieci, osieroca małżonka a więc z czego tu się cieszyć? My tego nie rozumiemy, podobnie jak Muzułmanie nie rozumieją nas. Bardzo ciekawiło mnie jak będzie wyglądał sam pogrzeb i poszedłem za konduktem aż na cmentarz. Mężczyźni postawili nosze z ciałem obok grobu, który był już wykopany i modlili się zwracając głowy w kierunku zmarłego. Trwało to dosyć krótko wyglądało, że spieszą się z tym pogrzebem. Przed złożeniem zmarłego do grobu mułła, który uczestniczył w uroczystości zbliżył się do zawiniętej głowy nieboszczyka i coś mu tam szeptał niby do ucha. Następnie dwóch Kazachów wskoczyło do grobu, a dwóch innych wzięło ciało i podało tym, co byli na dole. Ułożyli je w pozycji siedzącej i przy pomocy pozostałych uczestników pogrzebu wydostali się na zewnątrz. Następnie każdy Kazach brał po kolei trzy garście ziemi i wrzucał je do dołu na siedzące ciało. Kiedy już wszyscy spełnili ten rytuał, wzięto się za łopaty, ale to jeszcze nie był koniec ceremonii. Po zasypaniu ciała do wysokości czoła zmarłego, kiedy do całkowitego zasypania grobu zostało jeszcze około pół metra, przerwali je. Okazało się, że obok grobu stoi dzbanek, którego zmarły używał idąc za potrzebą, oraz wiadra z wodą, na które poprzednio nie zwracałem uwagi. Wodą tą zaczęto polewać ziemię, którą wykopano z grobu robiąc kielmieniem coś w rodzaju zaprawy murarskiej. Następnie do czoła zmarłego przystawiono drewniany drążek o średnicy około 15 cm. i tą nawilżoną ziemią wypełnili do końca mogiłę, usypując mały kopczyk, po czym jeden z Kazachów zaczął okręcać drążek i powoli wysuwać go z grobu aż wyszedł całkiem. W ten sposób, pomiędzy czołem zmarłego, oczywiście osłoniętym całunem a światem zewnętrznym powstał korytarz, tunel, który uformował się w mokrej ziemi i którego niczym nie zabezpieczono. Nie było przemówień, kwiatów i łez. Kazachowie zabrali kielmienie, łopaty, puste wiadra, dzbanek i całą grupą poszli sobie, wesoło o czymś rozmawiając, jakby właśnie wracali z jakiegoś przyjęcia.

Duch

Dwa tygodnie po pogrzebie Kazacha wracałem nocą z Kirowa, gdzie byłem na targu. Odwiedziłem tam jeszcze kolegę ze szkoły i zasiedziałem się do późnego wieczoru. W Kazachstanie można nocą chodzić bez żadnego oświetlenia, tym bardziej z Kirowa, gdzie idzie się wzdłuż doskonale widocznego kanału. Latem na niebie nie ma żadnej chmurki a księżyc świeci tak jasno, że jest widniej jak u nas w pochmurne dni. Przedmioty od tego blasku rzucają cienie jak od słońca. Kiedy wróciliśmy z Kazachstanu do Polski, to zdawało mi się, że stale jest u nas ciemno, nawet w dzień.

Dochodząc w okolice cmentarza, spojrzałem w jego stronę i zdrętwiałem z przerażenia. Z grobu pochowanego niedawno nieboszczyka wychodził duch. Wyraźnie widać było jak wysuwa się powoli korytarzem, który Kazachowie zostawili od głowy zmarłego do wyjścia na zewnątrz. Stał nad grobem i znieruchomiał. Najwidoczniej i on mnie zauważył. Wyraźnie widziałem zarówno jego ciemną sylwetkę i cień powstały ze światła księżyca. W ułamku sekundy ożyły w mojej pamięci wszystkie zasłyszane w dzieciństwie opowieści o duchach, zmorach, strzygach i innych złych mocach, które tylko czekają nocną porą na samotnych wędrowców przechodzących obok cmentarza, jakimi tak często i tak sugestywnie obdarowywały mnie panie, które przędły len i tkwały płótno u nas w Pietraszuńcach. Zaraz ten duch przyskoczy do mnie, chwyci za gardło i wciągnie przez dziurę do grobu tego zmarłego Kazacha. Nie czekałem już na dalszy rozwój wypadków. Jeszcze nigdy tak prędko nie biegłem. Sił dodawało mi wrażenie, że duch biegnie za mną i jest tuż, tuż, ale nie oglądałem się nawet wówczas, kiedy wbiegłem już pomiędzy domy i poczułem się znacznie raźniej. Teraz jak narobię krzyku, to zleci się pół kołchozu i jakoś mnie uratują. Wpadłem do naszej „sypialni” przed domkiem ostatkiem sił mając nogi jak z waty i zupełny brak powietrza w płucach. Narobiłem tyle rabanu, że wszyscy zerwali się na równe nogi. Bracia jakoś nie bardzo przejęli się tym co po chwili, gdy mogłem już mówić, opowiedziałem i poszli spać, ale mama przyjęła wszystko bardzo na serio i starała się mnie jakoś uspokoić. Zasnąłem dopiero nad ranem stale jeszcze spoglądając w stronę cmentarza, czy przypadkiem nikt czy nic z jego kierunku nie nadchodzi. W końcu zmęczenie odniosło zwycięstwo nad strachem. Rano mama, przejęta nie mniej niż ja, poszła po radę do nauczyciela – Kazacha z siwą, pomimo młodego wieku czupryną, który wyswabadzał obóz koncentracyjny w Oświęcimiu. Nie chciała ryzykować. Kto wie, co jeszcze może się na tym niegościnnym stepie wydarzyć i jakie moce nieczyste tutaj drzemią, a do księdza z tym przecież nie pójdzie z prostej przyczyny, bo tutaj go nie znajdzie. Nauczyciel wysłuchał z powagą co mama mu opowiedziała, nic się nie odezwał, tylko kazał mnie zawołać, po czym już we trójkę poszliśmy w stronę cmentarza.

Gdyby nie on i mama, to z pewnością sam bym tam nigdy nie poszedł, ale tym razem czułem się bezpieczny. Na miejscu pełno było śladów niewielkich psich

łapek, jak się okazało szakali, których ja nazywałem lisami, bo jakoś mi ich bardziej przypominały - oczywiście z budowy ciała, bowiem były znacznie mniejsze no i nie były rude tylko szare. Zobacz, powiedział poważnie tym swoim mentorskim, nauczycielskim tonem. To jest ten twój duch! Szakal wyczuł pokarm i wszedł do grobu aby pożywić się ciałem nieboszczyka. Słyszając z daleka twoje kroki, które nocą niosą się daleko, przestraszył się nie mniej od ciebie i wyszedł na zewnątrz, by zobaczyć co się dzieje. Byłem nie mniej zszokowany niż wczoraj, kiedy uciekałem przed tym domniemanym duchem. Oczywiście jego tu w nocy nie było, na stepie nie powinno się marnować nic, co może służyć podtrzymaniu życia nie tylko ludzi ale i zwierząt, lecz karmić szakale ciałem nieboszczyka zostawiając w tym celu dziurę w grobie? To nie mieściło się w mojej świadomości i nie mieści mi się teraz, kiedy piszę te słowa, a przecież przeżyłem to i zapamiętałem jak nic innego. Ciekawe czy Koran dopuszcza takie zachowania względem zmarłego? Być może jedynie nie zabrania, bo piszącym go nie przyszło do głowy to co wymyślili Kazachowie, a co nie jest zabronione....

Pogrzeb polskiego niemowlęcia

Na szczęście polskich pogrzebów w czasie mojego pobytu w „Bolszewiku” było niewiele a konkretnie jeden. W rodzinie Sienkiewiczów zmarło niemowlę. Było to ich pierwsze dziecko i bardzo przeżyli tą śmierć zwłaszcza, że nawet pochować go po chrześcijańsku nie mogli. Ojciec znalazł gdzieś skrzyneczkę po jakimś małym urzędzeniu, pani Sienkiewicz umyła ją w kanale, zawinęli malutkie ciało w co mogli i zakopali w nie poświęconej ziemi na kołchozowym cmentarzu. Później długo stali nad grobem nie mogąc odejść aż w końcu zobaczył ich jakiś brygadzysta i pogonił do roboty. Prawdziwa tragedia rozegrała się jednak w dniu, kiedy przyszło im wyjechać do Polski. Oni jedni nie cieszyli się z tego. Ten grób, to było coś najdroższego, co przyszło im zostawić wiedząc, że już nigdy tu nie wrócą. Przed wyjazdem pan Sienkiewicz kupił sobie motocykl marki „Iż”. Zapalał go by wsiąść i pojechać do stacji w Pachta Arał i gasił nie mogąc zdecydować się na wyjazd. W końcu Polacy, którzy zostawali jeszcze w kołchozie obiecali, że będą opiekować się grobem, wypchnęli go na siłę i obydwójce odjechali a łyzy, które kapały z oczu Pana Sienkiewicza, niesione podmuchami wiatru, chłodziły twarz jego żony. Pociąg nie będzie na nich czekał.

Rodzi się nowe dziecko

Powyżej opisałem bardzo smutne wydarzenie z udziałem polskiego niemowlęcia. Było też jedno szczęśliwe. W 1955 roku, po jedenastu latach cierpień w łagrach Syberii do kołchozu „Bolszewik” dotarł, a właściwie został przywieziony jeszcze jako więzień pan Kazimierz Kondrat. Ten sam, któremu esesman Lentner strzelił z pistoletu w głowę i myśląc, że zabił zostawił w ogrodzie jego domu. Będąc jeszcze w Sołtyniszkach został on jako „wróg ludu” skazany na 15 lat łagru, bez uzasadnienia wyroku i bez prawa apelacji. Jego powrót a właściwie jeszcze nie powrót, tylko spotkanie z rodziną na obcej przecież ziemi, było możliwe dzięki śmierci Stalina i przeprowadzonej jednorazowo akcji humanitarnej polegającej na łączeniu rodzin. Zdawało się, że przyjechał po własną śmierć. Nie mógł się zaaklimatyzować. Różnica pomiędzy temperaturą północnego Sybiru i Kazachstanu biorąc pod uwagę panujące tam w zimie mrozy i azjatyckie upały dochodziła chwilami do 100 stopni Celsjusza. To dla jego organizmu było zabójcze. Starał jak najmniej wychodzić ze swego domu, ale nie na wiele to się zdało. Dosłownie dusił się w tym upale. Pewno skończyło by się tragicznie, gdyby w końcu nie udało im się wyjechać do Polski. Szczęście z połączenia się rodziny było tak wielkie, że zaowocowało nowym potomkiem. Państwu Kondratom urodziło się siódme dziecko Zdrowy chłopiec, któremu warunki panujące w kołchozie specjalnie nie przeszkadzały, rósł szczęśliwie będąc maskotką wszystkich Polaków. Nie mogło być inaczej. Mama, która odbierała poród miała do tego „szczęśliwą rękę”. Dziecku potrzeba było świeżego mleka. Kondratowie wysupłali ostatnie złoto, które trzymali na „czarną godzinę” i kupili krowę. Była to pierwsza krowa i pewnie jedyna w polskiej rodzinie, przynajmniej do czasu naszego wyjazdu z kołchozu. Dziecko zdrowe i całe wraz z całą rodziną wróciło a właściwie ono nie wróciło, tylko wyjechało do Polski a konkretnie do Pieszyc, spędzając całe dorosłe życie w pobliskiej Bielawie. Obecnie ten starszy już pan zażywa zasłużonej emerytury mieszkając u córki w Irlandii. Gdzieś w niemowlęctwie została w nim zaszczeplona miłość do podróżowania, która już pozostała.

Nie znamy dnia ani godziny

W „Bolszewiku” mieszkała jeszcze jedna rodzina Kozakowskich. Nie byli oni naszymi krewnymi, po prostu tak samo się nazywali. Nie wiem nawet, czy przyjechali tym samym transportem, bo po drodze nie było możliwości by się poznać a na miejscu tym bardziej jako, że od razu pogonili nas do roboty. Zapamiętałem, że pani Kozakowska miała na imię Teresa, tak samo jak moja

bratowa, żona Zygmunta. Natomiast imion męża i ich dwóch synów, którzy byli w moim wieku nie pamiętam. Pan Kozakowski był wysokim, silnym mężczyzną, obrotnym i pomysłowym. Bardzo prędko dostał się do pracy w winnicy, którą kierował mułła. Potrafił zaskarbić sobie jego przychyłność i rodzina nie przymierała głodem jak my w początkowym okresie naszego zesłania. Wiadomo, że praca w winnicy ma na celu produkcję wina a to robi się oczywiście z winogron. Różne są zastosowania tych winogron po wytłoczeniu z nich soku, czyli jak to się po kazachsku mówiło „żmychu”. Można je po prostu wyrzucić, zrobić kompost i nawozić rosnące krzewy, czy też po wysuszeniu używać jako opału, podobnie jak używa się na stepie do tego celu odchodów krów czy koni. Pan Kozakowski wynalazł jeszcze inny sposób ich wykorzystania. Gromadził „żmych” w beczkach, poddawał fermentacji i pędził z niego doskonały koniak. Problem miał jedynie ze sprzedażą swego wyrobu na targu w Kirowie, ponieważ sam nie mógł tam jechać. Pewnie dlatego miał taki dobry układ z mułłą, bo jeden zajmował się produkcją a drugi sprzedażą, rozpijając niewiernych i zyskując przez to dodatkowe zasługi u swojego boga Allacha. Po śmierci Stalina już sam Kozakowski handlował na targu pozostając w dalszym ciągu w komitywie ze swoim islamskim pryncypałem, któremu wcale nie przeszkadzało, że wspiera niewiernego. Stosował ogólnie znaną zasadę: „Pecunia non olet” czyli pieniądze nie śmierdzą, jak wynika to z nauki Cezara. Teraz wybiegnę nieco w swojej opowieści do przodu, bowiem to co napiszę wiem z opowiadań innych „Sybiraków”, którzy po powrocie do kraju utrzymywali ze sobą ścisły kontakt. Z czasem rozluźniał się on coraz bardziej albo też zanikał zupełnie z chwilą śmierci osób, które tam, na zesłaniu były pełnoletnie. Ich dzieci, dorastając w Polsce szybko zapomniały o przeżytych cierpieniach oraz o towarzyszach niedoli zajmując się swoimi rodzinami i swoimi problemami. A oto czego dowiedziałem się o dalszych losach rodziny Kozakowskich. Podobnie jak my, po wielu staraniach i wydatnej pomocy swoich krewnych w Polsce dostali pozwolenie na wyjazd do kraju. Załadowali swój skromny dobytek do wagonu, podstawionego na stacji Pachta Arał i pełni szczęścia rozpoczęli kilkudziesięciodniową podróż. Trwało to tak długo, bowiem wagon ten na terenie Związku Radzieckiego był kilka razy odczepiany i doczepiany do innych składów jadących na zachód, co wiązało się z długimi nieraz przestojami. Taka operacja jest dosyć skomplikowana, bowiem specjalna lokomotywa manewrowa musi wepchnąć wagon na górkę rozrządową, trzeba rozpiąć cały skład, by trafił on w odpowiednie miejsce pociągu a następnie spuścić wagon z górki i spiąć go z innymi. Na stacjach rozrządowych w Związku Radzieckim kolejarze podkładali pod koła pędzącego z górki wagonu specjalne płozy, które hamowały jego szybkość. Wówczas uderzenie o pozostałe wagony składu było ledwie wyczuwalne. Rodzina Kozakowskich szczęśliwie przejechała cały Związek Radziecki i zatrzymała się wraz ze swoim wagonem na pierwszej stacji kolejowej w Polsce. Tak myślę, że wówczas przenieśli pewnie swój dobytek do innego wagonu, ponieważ podróż tym

rosyjskim, ze względu na różnicę w szerokości torów była by niemożliwa. Ten ich wagon został doczepiony do polskiego składu, ale formowanie pociągu jeszcze trwało. Oczywiście technika łączenia wagonów po jednej i po drugiej stronie granicy była taka sama, ale obsługa w Polsce zdecydowanie gorsza. Nasi kolejarze puszczali wagon z górki rozrządowej nie stosując żadnych hamulców i całą siłą uderzał on w pozostałe wagony. Tak było i tym razem, czemu z ciekawością przyglądał się pan Kozakowski stojąc w rozsuwanych drzwiach swojego wagonu, oczywiście też towarowego. Z chwilą gdy doczepiany wagon uderzył w skład, gdzie przebywali repatrianci, rozsuwane drzwi gwałtownie się zatrzasnęły i zmiażdżyły mu głowę. Przeżył zsyłkę, przejechał bezpiecznie 6000 kilometrów przez Związek Radziecki, by zginąć na pierwszej stacji kolejowej w Polsce. Nie znamy dnia ani godziny.

Wigilia w Kazachstanie

W czasie ostatnich Świąt Bożego Narodzenia w Kazachstanie zrobiliśmy sobie choinkę. Oczywiście nie był to dzień wolny od pracy ani nie był to dzień w jakikolwiek inny sposób wyróżniający się od pozostałych. Kazachowie nie wiedzieli co to są za święta, natomiast Rosjanie obchodzili jedynie Nowy Rok. Ryzykując kłopoty, wyciąłem kawałek wierzbowej gałęzi, która podobnie jak w Polsce traci na zimę swoje liście i wraz z Zosią i Marysią przystroiliśmy ją kępkami bawełny. Kazachowie nie mogli pojąć co oznaczają te kłaczki bawełny na gałązkach. Jak to co, śnieg! Nie chcieli wierzyć. Jaki śnieg? Co prawda nie jest on w Kazachstanie niczym nadzwyczajnym, ale spada jedynie w nocy a w dzień topnieje a poza tym jak może taki puch utrzymać się na gałązce? Tego nie da się dobrze wytłumaczyć, to trzeba po prostu przeżyć najlepiej w swoim ukochanym kraju, za którym tęsknota w czasie Świąt Bożego Narodzenia szczególnie się nasila. Pracując w polu człowiek myśli co by teraz robił, gdyby nie ta nikomu niepotrzebna wojna, gdyby nie zmiana granic i okrutny, wyzuty z jakichkolwiek zasad moralnych ustrój, gdzie kłamstwo niemal zawsze staje za prawdę a prawda „nagradzana” jest obozem pracy, gdzie człowiek zostaje pozbawiony swojej godności a jutro staje się równie niepewne jak odległa przyszłość, gdzie brat donosi na brata a syn na ojca, gdzie..... i tak dalej i tak dalej. Tylko usiąść i płakać z bezsilności bo nic innego aktualnie nie można zrobić aby stłumić jakoś tę kulę, która od wielu już lat tkwi w przetyku i zżera żołądek. Zapowiadał nam się uroczysty wigilijny wieczór a wyszło nieszczególnie. Na siłę i raczej z obowiązku niż z ochoty zaśpiewaliśmy parę popularnych kolęd i zmówili modlitwę przed przełamaniem się opłatkiem, który z dalekiej Białorusi przysłała żona Zygmunta. Były to kawałeczki niewiele

większe od główki zapalki. Jeden opłatek musiał wystarczyć dla wszystkich Polaków mieszkających w „Bolszewiku”. Jak można było łamać się nim samemu, podczas gdy inni też go bardzo pragnęli? Posiedzieliśmy chwilę wszyscy razem, ze smutkiem wspominając nasze Pietraszuńce, suty wigilijny stół przykryty sianem i lnianym obrusem, naszego tatę, który nie wiadomo gdzie się podziewa, o ile w ogóle żyje i zmęczenie po całym dniu ciężkiej pracy wzięło górę nad potrzebą świętowania. Jutro jest pierwszy dzień świąt i jak zwykle, tuż przed wschodem słońca zjawi się przed domem nasze przeznaczenie – Kazach na koniu, który zagoni wszystkich do roboty.

Kietmienem w brygadzie

Zosia z nas wszystkich pracowała najciężej. Przez cały okres pobytu w „Bolszewiku” znajdowała się w brygadzie polowej, gdzie zatrudniono same kobiety różnych narodowości: Kazaczki, Czeczenki, Niemki, Rosjanki, Polki i inne. Podstawowym narzędziem jej pracy był nieodłączny kietmien chyba, że sezonowo potrzebna była też krótka kosa lub widły. W zasadzie wszystko kręciło się wokół bawełny. W miesiącach zimowych traktory orały i bronowały pole. Wczesną wiosną następowały wysiewy ziaren bawełny i po paru dniach wschodziły cienkie, zielone łodyżki. Wówczas zaczynał się pierwszy etap jej pielęgnacji. Należało wyciąć zbędne roślinki, zostawiając odpowiednie odległości pomiędzy poszczególnymi krzakami. Na nieszczęście, wraz z bawełną rosła też lebioda i inne zielsko. Kilkakrotnie więc, w okresie wzrostu należało oczyścić plantację i tak w kółko aż do pierwszych zbiorów. Zielsko rosło a one je niszczyły. Praca odbywała się w systemie dniówek zadaniowych. Aby zarobić dniówkę, trzeba było oczyścić dwadzieścia pięć „sotek”, czyli arów pola. Nie było to sprawą prostą dla młodej, zagłodzonej dziewczyny. Z pomocą przyszły jej koleżanki. Kiedy kończyły swój rząd, brały się za ten obrabiany przez Zosię, która zostawała daleko w tyle za nimi. Była to podziwu godna solidarność grupy kobiet różnych narodowości, które przecież same też były bardzo zmęczone i nie dożywione. Brygadzista wydzielał każdej kawałek pola do oczyszczenia i pokazywał tym nowym jak mają to robić ale one robiły to po swojemu. Całą pracę wykonywały razem pracując jedna przy drugiej. Tak było w czasie przecinania zbędnych roślin i pielenia chwastów. Kiedy następował pierwszy zbiór kwiatów bawełny, solidarność kończyła się. Każda zakładała sobie na kark wielki worek i „obsługiwała” dwa rzędy po lewej i prawej stronie. Wówczas kobiety dawały z siebie wszystko, do całkowitego wyczerpania sił. Przyczyna tego była prosta. Każdy był tu bardzo ubogi, a więcej zebranej bawełny, to większy zarobek, to więcej jedzenia, czy też możliwość kupienia butów lub ubrania dla dzieci. Zbiory bawełny to był jednocześnie okres, kiedy

należało nanosić jej jak najwięcej do domu. Niby nie wolno było tego robić, ale nikt się tym nie przejmował i nikt nie pilnował, a miała ona wiele zastosowań, od zrobienia poduszki po papier toaletowy włącznie. Brygadzystą Zosi był Karaczaj, pochodzący z republiki Karaczajo Czerkieskiej leżącej na północy Kazachstanu. Jeździł na wielkim chudym koniu i był bardzo wymagający w stosunku do kobiet ze swojej brygady. Kiedyś zrobiły sobie one nie planowaną przerwę w pracy. Czeczenki pilnie obserwowały, czy przypadkiem nie nadjeżdża i kiedy pojawił się na horyzoncie, rzuciły się do pracy. Jedynie Polki i Niemki robiły to bardzo opieszale. Podjechał do nich wściekły i zamachnął się pejcem, którym poganiał konia na stojącą najbliżej Zosię. Tego było za wiele. Potworne zmęczenie, rozżalenie i złość wzięły górę. Chwyliła kietmien i walnęła nim Karaczaja. Zdążył się jednak uchylić i ucierpiał na tym nic nie winny koń, który zarobił cios zamiast swojego pana. Brygadzysta był tak zszokowany, że bez słowa zawrócił konia i odjechał. Nie mniej zszokowane były pozostałe kobiety, oczywiście tylko Azjatki. W ich pojęciu nie mieściło się, że można uderzyć mężczyznę, jaki by on nie był. Prosiły Zosię, by nigdy już tego nie robiła i prośba ich została spełniona. Nie dlatego, że nagle przestraszyła się brygadzysty a dlatego, że zaczął traktować ją z większym szacunkiem. Dla niego byłby to wielki afront, gdyby zarobił w łeb od kobiety a więc wolał nie prowokować już takich sytuacji. Do pracy w polu nikt brygady kobiet nie woził, musiały tam dojść piechotą. Na szczęście nie było to bardzo daleko, ponieważ pola bawełny rozciągały się wokół kolchozu. Niemniej jednak po całym dniu ciężkiej pracy pokonanie nawet tych kilku kilometrów stawało się wysiłkiem. Najgorsze dla Zosi były pierwsze miesiące, kiedy krzaki bawełny otaczał istny busz zielska. Później nabrała już wprawy i nikt nie musiał jej pomagać. Oczywiście w czasie największego upału, czyli o godzinie dwunastej w południe, brygada schodziła z pola. Wszystkie chroniły się wówczas w swojej „polewej stacji”, - bazie wypoczynkowej, stojącej na środku plantacji. Jadły dostarczoną im lepioszkę, piły herbatę i kładły się na ziemi by nabrać nieco sił do ponownej pracy, która trwała aż do zachodu słońca. Nie było problemu z powrotem, bo jak już pisałem noc w Kazachstanie są bardzo widne. Natomiast wieczoru w naszym rozumieniu praktycznie nie ma. Jest dzień i zaraz po nim robi się noc. Nie napisałem jeszcze, że oprócz mechanicznego pielienia bawełny wzdłuż i w poprzek rzędów, „obsypuje się” ją tak, jak u nas ziemniaki. Robili to oczywiście traktorzyści specjalnymi radełkami. Zdarzało się, że na pole przyjeżdżał wtedy Franek Kondrat, z którym Zosia się przyjaźniła. Stali na polu i rozmawiali siejąc zgorszenie wśród kazachskich kobiet, dla których takie zachowanie było czymś gorszącym. Nie przypuszczały z pewnością, że po powrocie do Polski Zosia i Franek zostaną małżeństwem, chociaż i tak w niczym by to ich nie usprawiedliwiało. Franek był chyba jedynym człowiekiem, który po przyjeździe do kolchozu wyzdrowiał, przynajmniej na tyle, by mógł normalnie chodzić. Jeszcze przed zesłaniem do Kazachstanu, powołano go do odbycia przygotowania wojskowego, które polegało głównie na ćwiczeniu

musztry i ganiu młodych ludzi po lasach. Na nieszczęście zimą. Oficer, który prowadził zajęcia wysłał przyszłych rekrutów w rejon nigdy nie zamierzających bagien i kazał im się czołgać, co nie było niczym nadzwyczajnym w tym czasie. Frontowy oficer chciał w ten sposób przygotować przyszłych żołnierzy do różnych warunków na polu walki. Chłopcy mieli przemoczone ubrania a temperatura powietrza wynosiła minus kilkanaście stopni Celsjusza. Tak przeziębili stawy, że wytworzyło się jakieś zapalenie i wdał się niedowład nóg. Lekarze byli bezradni, ale pomogli mu politycy wysyłając na zsyłkę. W gorącym klimacie nogi zaczęły zdrowieć, ale do pełnej sprawności nie wrócił nigdy. Przez całe życie dokuczał mu też żołądek, który przyspieszył rozstanie się Franka z tym światem. Doczekał się jednak wolnej Polski odchodząc pięć lat temu w wieku siedemdziesięciu paru lat. Te spotkania nie wpływały jednak na stosunki Zosi z jej kazachskimi koleżankami, nadal były pomocne i serdeczne.

Nauka sztuki przetrwania

Aby móc przetrwać cały dzień na polu Zosia musiała nauczyć się pewnych podstawowych zasad dotyczących ubioru i zachowania. Przede wszystkim należało mieć odpowiednio zawiązaną chustkę, odpowiedni ubiór, aby zatrzymać na ciele jak najwięcej potu oraz w odpowiedni sposób pić. Pić na polu chce się zawsze. Problem w tym by robić to często i po troszeczkę a nie od razu dużo. Dużo płynu na raz w organizmie w palącym słońcu, oznaczało bowiem gwałtowne pocenie się a w konsekwencji odsolenie organizmu, przy czym braku soli nie było czym uzupełnić. Praca w polu trwała przez cały rok. Nie było takich sytuacji, że następowała jakaś przerwa. Po zbiorach bawełny, kobiety wycinały krótkimi kosami jej niepotrzebne już krzewy, składowały je na sterty i ładowały na wielkie przyczepy. Służyły one, wraz z cierniami wycinanymi na stepie do palenia w suszarni. Zosia przychodziła do domu najbardziej zmęczona ze wszystkich, ale nie zawsze oznaczało to, że zje cokolwiek i położy się na odpoczynek. Szczególnie jak braci nie było w domu a ja mieszkałem już w internacie, pomagała mamie w naszym domowym gospodarstwie. Zimą był zawsze problem z wodą. Nie dlatego, że jej nie było, ale trzeba było ją nosić z bardzo daleka. Zimą bowiem Kanał Kirowski był pusty. W tym czasie, na całym jego odcinku trwały prace remontowe. Zasypany dziury wytworzone przez wiry wodne, umacniano wały i konserwowano śluzy. Trwało to aż do marca, kiedy znowu puszczano wodę i zaczynało podlewać pola. Po zamknięciu kanału pozostawała w arykach, która na szczęście nie wsiąkała w ziemię, bardzo w Kazachstanie drobną a

zarazem spójną. Nie ma tam takich ziarenek piasku jak u nas, które przepuszczają wilgoć, jest on drobny niczym puder. Najpierw brało się ją z tych aryków bliżej domu ale po wyczerpaniu zasobów trzeba było chodzić dalej i dalej. Przed ponownym uruchomieniem kanału to nawet z półtora kilometra. Bardzo wówczas przydawały się koromysła. Jak niesie się wiadra wody trzymając je rękami za pałąk, to już po kilkudziesięciu metrach ramiona drętwieją z wysiłku i trzeba stawać aby odpocząć a im bliżej domu, tym przystanki muszą być częstsze, bo dochodzi zmęczenie. Po takich dwóch wyprawach po wodę Zosia była już tak zmęczona, że nawet nie chciała nic jeść, tylko napiła się i szła spać. Pomimo tak ciężkiej pracy, potrafiła jeszcze myśleć o Marysi i o mnie. Kiedyś wiedząc, że nie mogę jeść melonów przyniosła z pola kawon, czyli arbuz, który dostała od jakiejś kazachskiej kobiety. Sama nie zjadła, choć też stale chodziła głodna tylko dała go mnie. Co najważniejsze, przez cały okres pobytu w „Bolszewiku” ani razu nie zachorowała. Ciężkie warunki życia z pewnością odbiły się na zdrowiu nas wszystkich, ale oprócz mojej i Marysi malarii nikt z rodziny poważnie nie chorował, pomijając oczywiście zatrucie żołądkowe tuż po przyjeździe do kołchozu, no i mojej „Świnki” a Kapłan Biegu, przez którą musiałem leżeć w szpitalu. Jeszcze o wydarzeniu, które było swojego rodzaju świętem, czyli współzawodnictwo pracy.

Zwycięska brygada

Brygada Zosi zajęła pierwsze miejsce we współzawodnictwie pracy pomiędzy wszystkimi brygadami kołchozu „Bolszewik”. Przewodniczący pogratulował kobietom oraz brygadziście obywatelskiej postawy i zaangażowania w budowie socjalistycznej gospodarki oraz wydał zarządzenie, by w dniu jutrzejszym wszystkie zjawily się na polu ubrane w swoje najładniejsze stroje. Oczywiście zrobiły jak polecił i machając „kietmienami” czekały na dalszy rozwój wypadków. Nie musiały długo czekać. Oczom ich ukazał się brygadzista trzymający w ręku wielki czerwony sztandar, który wraz z dwoma innymi jeźdźcami podążał w ich kierunku. Okazało się, że przyjechał fotograf, czy uwiecznić w miejscu jej pracy przodującą brygadę. Brygadzista wbił w ziemię drzewce sztandaru a fotograf wybrał tło – wierzby otaczające kanał nawadniający. Brygadzista wraz z Niemcem Kostią, również odświętnie ubrani kucnęli przed szeregiem stojących kobiet i wiekopomna chwila została uwieczniona. Po kilku dniach każda kobieta dostała małą fotografię, którą Zosia ma do dnia dzisiejszego. Na dłuższe świętowanie nie było czasu. Jeżeli już jestem przy świętowaniu. Równie „uroczyście” obchodzone było święto pracy, czyli 1 Maja. Oczywiście, dla uczczenia tego święta należało iść na pole i

być podwójnie wydajnym, ale za to można było otrzymać dodatkowo po dwa, trzy kilogramy kukurydzy no i w dniu tym wypłacano pieniądze, które były zarobione już dawno, ale jakoś kołchozowi nigdy na te wypłaty nie starczało.



Zwycięska brygada. Siedzą od lewej Niemiec Kostia, brygadzysta
Stoją: druga od lewej pani Mickiewicz, trzecia Zofia Kozakowska

Wielka ucieczka

Marysia przyjechała do kołchozu jako trzynastolatka a więc nie podlegała jeszcze obowiązkowi pracy. Spędzała czas przy mamie w domu wraz z dziewczynkami państwa Kurowskich i będącą w ich wieku dziewczynką Kazachów, mieszkających w pobliżu. Przebywanie z nią pozwoliło Marysi i córeczkom Kurowskich bardzo szybko nauczyć się podstawowych zwrotów kazachskich a z kolei ona uczyła się od nich rosyjskiego, którego niewielu Kazachów znało. Matka jej była mamie wdzięczna za to i czasami przynosiła nam coś do jedzenia. Od września Marysia poszła do czteroklasowej szkoły, w „Bolszewiku”, gdzie uczył siwy Kazach wraz ze swoją żoną. Dziewczynki i chłopcy uczyli się razem. W większości były to dzieci zesłańców ale miejscowych Kazachów również. Po jej zakończeniu udało się mamie zapisać ją do „Pabiedy” w Kirowie. Udało się jej przekonać władze, że z takiego „chuchra” kołchoz nie będzie miał w pracy żadnego pożytku, a więc niech się lepiej uczy. Do dzisiaj nie wiem jak to się stało, że po ukończeniu czterech klas

szkoły podstawowej, Marysia została przyjęta do siódmej klasy szkoły średniej w Kiriowie. Nie może być mowy o żadnej pomyłce, ponieważ zachowały się dokumenty, jej świadectwa szkolne z siódmej i ósmej klasy. Wygląda na to, że szkoła czteroklasowa była jedynie z nazwy a chodziło się tam w sumie sześć lat. Wychowawcą Marysi był Niemiec, nazywał się Krygier i podobnie jak my był więźniem. Wszyscy Niemcy, z chwilą wybuchu wojny stali się więźniami mimo, że od wielu lat zamieszkiwali na terenie Rosji. Późniejsza ich rehabilitacja trwała bardzo długo i zdecydowana większość ludzi tej narodowości nie doczekała tego szczęścia. Ale wróćmy do Marysi. Do szkoły chodziła wraz ze swoimi rówieśniczkami Wacławą Kondrat i Wacławą Kurowską. W tróję było im znacznie rażniej zwłaszcza, że wraz z nimi chodził również Zbyszek Miluśkiewicz, który postanowił zdawać maturę w „Pabiedzie”. Pierwszy rok nauki zaczęła jak zwykle pracą przy zbieraniu bawełny. Na szczęście było to w pobliżu domu i kołchoz w miarę karmił swoich sezonowych pracowników. Nabrała takiej wprawy, że zbierała więcej niż ja podczas tych obowiązkowych praktyk szkolnych. Z opinii, którą szkoła dawała po ukończeniu roku wynika, że była bardzo solidną uczennicą. Wykazała się zaangażowaniem w pracy społecznej, czyli przy bawełnie, uzyskała dobre oceny z przedmiotów nauczania, a także chętnie pomagała innym, słabszym od siebie uczniom opanować obowiązujący materiał oraz pełniła funkcję sekretarza klasy. Tak było w siódmej klasie. Ósma zaczęła się niezbyt szczęśliwie. Załadowano wszystkich uczniów w samochody i powieziono daleko w step do odległego, bardzo biednego kołchozu. Oprócz Marysi z koleżankami był tam również Zbyszek Miluśkiewicz. Na miejscu okazało się, że racje żywnościowe jakie dostawali są bardzo małe i uczniowie zaczęli się buntować. Przewodniczący kołchozu, aby załagodzić jakoś te buntownicze nastroje kazał zabić starego konia i z jego łba nagotowali im zupy. W kociołku pływała czaszka z wyszczerzonymi czarnymi zębami. Dziewczynki nie mogły jej przełknąć i Zbyszek Miluśkiewicz też, a innego jedzenia nie było i nie zanosilo się na to, że będzie. Postanowili więc uciec z praktyki. Nie było to takie proste. Za dnia nie mogli się oddalić, ponieważ brygadzysta dogonił by ich na koniu bez trudu i pewnie nie żałował by pejcza, przywołując krnąbrnych uczniów do porządku. Musieli czekać do nocy. Kiedy Zbyszek zorientował się, że wszyscy śpią, dał znak dziewczynom. Wychodziły co jakiś czas niby to za potrzebą aby nie wzbudzić podejrzeń. Ktoś jednak mógł nie spać więc taka ostrożność była w pełni uzasadniona. Ostatni wyszedł Zbyszek, na którego dziewczyny czekały w umówionym miejscu. Należało jak najszybciej oddalić się od „polewaj stancji”, przy której gromadzono zebraną bawełnę. Szli całą noc w kierunku „Bolszewika”. Szczęśliwie o zabłądzeniu nie mogło być mowy, ponieważ wszystkie kołchozy leżały wzdłuż kanału Kirowskiego tyle tylko, że nie mogli się do niego zbliżać, aby ich nie złapali. Poruszali się z dala uważając by stale mieć w zasięgu wzroku wierzby rosnące przy kanale i przy mniejszych arykach. Drugiego dnia trafili do „polewaj stancji”, gdzie nie było żadnego człowieka, a

za to były lepioszki i melony przygotowane na posiłek dla pracowników. Tym razem pracownicy ci mieli ograniczone racje żywnościowe. Nasi uciekinierzy też musieli coś jeść by mieć siły do dalszego marszu. Posili się więc i ruszyli w dalszą drogę chowając się , kiedy tylko z daleka ukazywał się jakiś jeździec, górujący nad krzakami bawełny. Pora na ucieczkę nie była zbyt sposobna. Wszędzie trwały zbiory a więc na polach było dużo ludzi. Musieli bardzo uważać i stale rozglądać się na wszystkie strony, by przypadkiem kogoś nie spotkać. Szczęściem nocą w Kazachstanie jest dostatecznie widno by bez problemu można było się poruszać. Większość więc marszu odbywała się nocą, podczas gdy za dnia drzemali w cieniu, to znaczy dziewczyny drzemały, bo Zbyszek, czując się odpowiedzialny za nie stale musiał być czujny. Te nocne marsze nie były wolne od niebezpieczeństwa. Za dnia groziło ono od ludzi, natomiast nocą od szakali, które w stadzie robią się bardzo odważne. Widać ich było z daleka jak biegają to z jednej to z drugiej strony, ale nie odważyły się podejść, ograniczając swoje ataki do wydawania tych swoich dziwnych głosów będących czymś pośrednim między szczekaniem a miauczeniem. Pewnie pojedynczy człowiek nie był by już tak bezpieczny. Marysia bardzo się ich bała, ale na szczęście był z nimi Michał, w którego wszystkie mocno wierzyły. Trzeciego dnia ucieczki już nad ranem trafili na wielką plantację wspaniałych melonów, którymi można było zaspokoić pragnienie i oszukać głód a pod wieczór oczom ich ukazały się znajome tereny. Byli w domu. Mama co prawda ucieszyła się z powrotu córki, ale też zdawała sobie sprawę, że będą jej szukać. Wkrótce jednak przestało to mieć jakiegokolwiek znaczenie.

Choroba Marysi

Po udanej ucieczce z obowiązkowych szkolnych praktyk , Marysia zachorowała na malarię. W czasie, kiedy chowali się pod krzakami bawełny, zaatakowały ich malaryczne komary, podobnie jak trzy lata wcześniej mnie. Po dwóch dniach w domu była już rozpalona i trzęsła się z zimna przykryta czym tylko można. Tak zastał ją brygadzysta Kazach, który przyjechał by zabrać z powrotem do roboty. Zanim mama zdążyła wytłumaczyć, że córka jest chora, podniósł swój pejcz i zamachnął się na Marysię. Mama nadstawiła rękę i sama dostała. Narobiła takiego krzyku, że Kazach zabrał się i pojechał. Z Marysią było coraz gorzej a nie było żadnych lekarstw by ją leczyć. Zygmunt poprosił priedsiedatiela, by mógł ją zawieść traktorem do szpitala i pojechali tam razem z mamą. Przyjął ją lekarz, też skazaniec, Gruzin i położył na dwa tygodnie do łóżka. Szczęśliwie w szpitalu były lekarstwa przeciwko malarii. Kazachowie bardzo rzadko chorowali na nią, ale nie dlatego, że byli odporni, ale dlatego, że umiejętnie jej unikali. Kazach jak wyjeżdżał gdzieś dalek i wiedział,

że nie wróci na noc do swojej jurty lub domu, to zawsze zabierał ze sobą moskitierę, „komarnik” jak ją nazywaliśmy, zwykłą bawełnianą, rzadko tkaną gazę, przez którą komar nie przechodził. Oczywiście na praktykach podczas zbierania bawełny kołchoz nikogo w moskitierę nie zaopatrywał, to już był problem uczniów. Jeszcze parę słów o Gruzinach, bo tak mi się nasunęło, gdy wspomniałem Marysi lekarza. Przeważnie byli to ludzie wykształceni, posiadający w swojej ojczyźnie prywatne dobra, z wielką godnością osobistą, których władza radziecka zaliczyła do „wrogów ludu” tylko dlatego, że nie pasowali do stworzonego przez nią modelu państwa. Zostawali skazani na zesłania na tych samych zasadach co my i szczerze nienawidzili wszystkiego co rosyjskie. Wiązali dużą nadzieję z wojną licząc na to, że Hitler pokona Stalina a im przywróci niepodległe państwo. Chodziły słuchy, że wysłano Hitlerowi w podarunku pięknego rumaka z rzędem, to znaczy z siodłem i pozostałymi akcesoriami do jazdy, przy czym wszystko co metalowe miało być wykonane ze złota. Nie wiadomo ile w tym prawdy a ile rosyjskiej propagandy uzasadniającej gnębienie Gruzinów. Moim zdaniem, gdyby nawet Hitler zwyciężył, to ten dumny naród zmienił by tylko jednego ciemieźcę na drugiego. Obydwa systemy były sobie warte. Wracamy jednak do mojej młodszej siostry. Po dwóch tygodniach mama dostała wiadomość, aby przyjść po nią do szpitala. Marysia nie miała już co prawda malarii, ale była bardzo wycieńczona aby sama mogła wrócić do domu. Szły powoli wzdłuż kanału odpoczywając co jakiś czas. W miejscu, gdzie brzeg był stosunkowo łagodny, mama schyliła się nad nim aby umyć sobie twarz i wpadła do wody. Usiłowała trzymać się blisko brzegu, ale nie było za co się złapać, wartki nurt zaczął wciągać ją na środek kanału, Sytuacja zrobiła się bardzo groźna. Mama nie umiała pływać, a Kanał Kirowski ma dwa metry głębokości.

Marysia nie wiedziała co robić, zwłaszcza, że ledwo sama stała na nogach. Mogła tylko krzyczeć ile jeszcze zostało jej siły. Szczęśliwie przejeżdżał Kazach na koniu, który to wszystko widział. Podjechał do brzegu kanału i rzucił mamie koniec sznura, który miał przytroczony do siodła a następnie wyciągnął na brzeg. Zanim mama doszła do siebie na tyle, by mu podziękować to już go nie było. Raz jeszcze przypadek uratował życie. Kazach znalazł się dokładnie tam, gdzie był potrzeby. Takich przypadków w czasie naszego zesłania było dużo a mimo to wróciliśmy wszyscy w komplecie. Opatrzność boska nad nami czuwała. Jej to przecież polecaliśmy się w wagonie, którym wywożono nas z Lidy na dożywotnią poniewierkę bez żadnych praw. Do niej zwracaliśmy się odmawiając codziennie modlitwę różańcową. „Szczęśliwy, kto się do Ciebie uciecze”. Po przebytej malarii trzeba się dobrze odżywiać by nie groziły dalsze powikłania. Mama sprzedała ostatni swój pierścionek, który chroniła aż do tej pory, jako prezent od taty. Kupiła ryż i brzoskwinie aby Marysia mogła się wzmocnić.

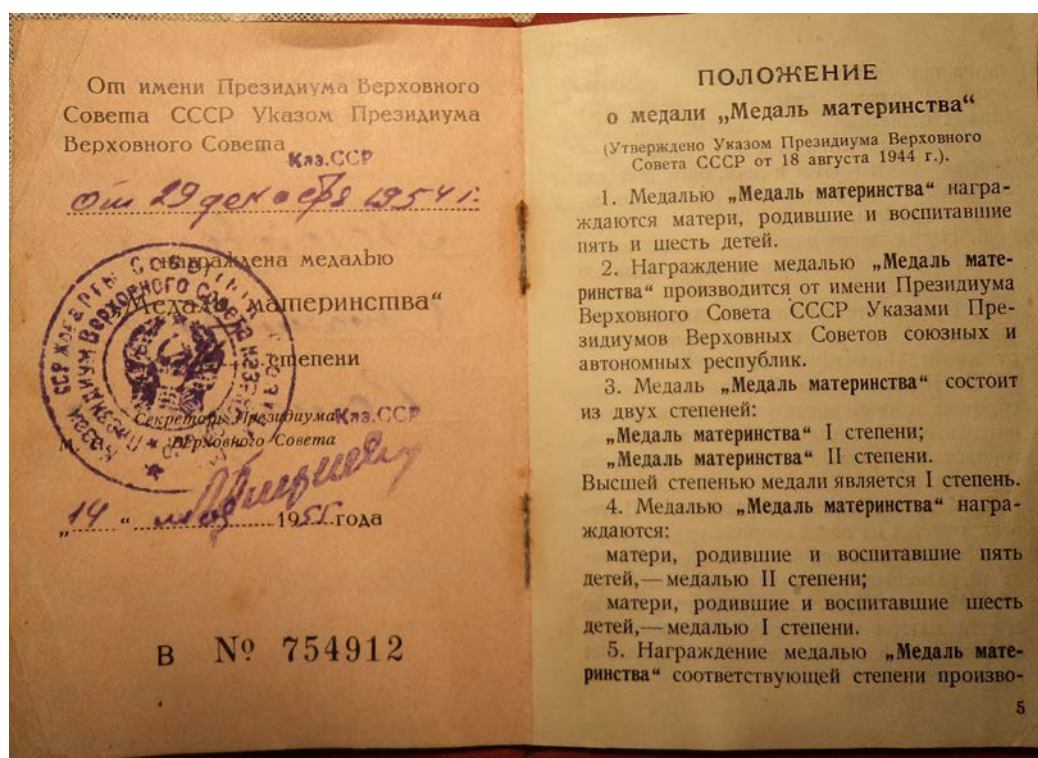
Choroba Marysi paradoksalnie przyczyniła się do tego, że nie została wyrzucona

ze szkoły za opuszczenie praktyki. Łatwo mogła usprawiedliwić się chorobą. Tak samo było z jej koleżankami Kurowską i Kondratową, które również chorowały na malarię. Inaczej w przypadku Zbyszka, który jako jedyny z trójki uciekinierów nie zachorował. Co prawda nie znam dobrze dalszych jego losów, ale mogę się domyślać. Po powrocie do Polski zdawał maturę w technikum, do którego uczęszczał w Warszawie, a więc prawdopodobnie wyrzucili go z „Pobiedy” na rok przed egzaminem dojrzałości i zasilił szeregi robotników rolnych „Bolszewika”.

Nasza mama

Najwięcej zmartwień, kłopotów a także pracy miała nasza mama. Niby nie chodziła na pole, ale w domu było wystarczająco dużo zajęć, by nie mieć chwili odpoczynku od świtu aż do nocy. To ona troszczyła się o nas wszystkich, sobie tylko znanymi sposobami zdobywała pożywienie, prała nasze rzeczy, uprawiała nasz przydomowy ogród a w międzyczasie służyła jeszcze pomocą wszystkim kto tylko tego potrzebował jako „miedsiestra” - pielęgniarka. Na szczęście ją też, przez cały czas naszego zesłania Pan Bóg zachował w dobrym zdrowiu. Była naszą ostoją i walczyła o nas wszystkich do upadłego. Zaniedbywała siebie, by nam stworzyć jak najlepsze warunki do przetrwania tych ciężkich dla nas czasów. Nieraz w czasie posiłków nie jadła razem z nami mówiąc: jedzcie, jedzcie, ja już jadłam. To ona zdobyła gdzieś pierwszy nasz inwentarz, czyli kaczkę, zachowując ją przy życiu na czarną godzinę. Kaczka odwdzięczała się znosząc od czasu do czasu jajko a wieczorami pływała w aryku, który przepływał tuż obok naszego ogrodu. Pisałem już, że mama wraz z Czeczenką, która była felczerką prowadziły „miedpunkt”, - punkt medyczny. Pewnego razu wpadła na pomysł, aby zbadać pod mikroskopem Czeczenki mleko kołchozowych krów. Okazało się, że wszystkie chorują na gruźlicę, którą przy sprzyjających jej rozwojowi warunkach – a takie były przez cały czas naszego pobytu w „Bolszewiku” czyli permanentny głód i spowodowane nim osłabienie, mogli zarazić się również ludzie. W tej sytuacji należało bezwzględnie gotować mleko przed spożyciem. Czy wszyscy tej zasady przestrzegali? Nie wiadomo, ale wszyscy w kołchozie mieli odtąd świadomość zagrożenia. Podczas zbiorów bawełny była ogólna mobilizacja wszystkich pracowników i mama też musiała chodzić w pole. Nigdy jednak nie pracowała w jednej brygadzie z kimkolwiek z nas. Myślę, że było to celowe ze strony zarządu kołchozu, aby członkowie rodziny nie pracowali razem. A dlaczego? To już pozostanie ich tajemnicą. Jedynie starsze wiekiem kazachskie kobiety

nie wychodziły wówczas w pole i dorośli Kazachowie też nie. Natomiast młodzieży, bez względu na narodowość nie odpuszczano, bo i niby dlaczego? We wrześniu 1955 roku przyjechał do mamy brygadzysta z poleceniem by jak najprędzej zgłosiła się do przewodniczącego kołchozu. Poszła więc bardzo niespokojna, co też on wymyślił, albo co też ma jej lub komukolwiek z nas do zarzucenia. Okazało się, że niepokój był całkowicie nieuzasadniony. Wzywano ją po to by wręczyć medal, który ustanowiono już po śmierci Stalina dla kobiet, które urodziły co najmniej pięcioro dzieci – wówczas był to medal trzeciego stopnia i co najmniej sześcioro dzieci – dla medalu pierwszego stopnia. Warunkiem było, aby wszystkie żyły a najmłodsze skończyło co najmniej jeden rok. Do medalu dodano czerwoną legitymację w formie książeczki. Na okładce, pod godłem z sierpem i młotem widniały napisy: „Sojuz Sowietskich Socialistycznych Respublik” - Związek Radzieckich Socialistycznych Republik a poniżej: Udostowierzenie k medali „Miedal Matierinstwa” - zaświadczenie do medalu „Medal Macierzyństwa”. Medal został przyznany przez Prezydium Rady Najwyższej Związku Radzieckiego w dniu 14 marca 1955 roku, ale trwało kilka miesięcy, zanim trafił do kołchozu „Bolszewik”. Mogłem tak dokładnie opisać to wydarzenie, ponieważ do chwili obecnej zachowała się legitymacja do medalu, którą pieczołowicie przechowuje Marysia.



Legitymacja do „Medalu Macierzyństwa” Stanisławy Kozakowskiej

Jestem traktorzystą

Po skończeniu siódmej klasy, ku swojemu zdziwieniu ale także radości, zostałem traktorzystą. Bardzo mi to imponowało. Lubiłem tą pracę: niezbyt głośne, równe dudnienie, jakby mruczenie jakiegoś ogromnego zwierzęcia, z którego biła wielka moc i spokój będący też cechą ludzi pewnych swojej siły i wartości. Pierwszym moim zajęciem było koszenie lucerny a następnie wożenie jej na stóg. W upale czerwcowego słońca lucerna schła bardzo szybko, ale nie można było dopuścić do jej przesuszenia, ponieważ to co najcenniejsze, czyli listki zawierające najwięcej białka zostało by utracone - wykruszyło by się. Kiedy już pokosy po kosiarce nieco podeschły, specjalnymi widłami zamontowanymi na ciągniku zgarniałem ją na kopki, gdzie dosychała, a następnie tymi samymi widłami ładowałem na wielkie przyczepy i woziłem do kołchozu. Tam „stogomietatiel” - specjalista od układania stogów układał siano na zimę budując długie, wysokie na około cztery metry sterty. Kiedy jeszcze kładło się siano na ziemi, to zdejmowałem je tymi swoimi widłami, natomiast wyżej było ono podawane specjalnymi „zębami”, które otwierały się szeroko, łapały całą kopkę i unosiły ją na linie do góry. Tam „stogomietatiel” odczepiał linę i rozkładał siano tworząc jakby strzechę tak, aby zimowe deszcze go nie przemoczyły. W czasie zimy nikt bydła ani owiec nie karmił. Zwierzęta same „obsługiwały” się przy stogu podjadając go z jednej i drugiej strony. W połowie zimy tworzył się z niego grzybek stojący na długiej a wąskiej nodze i cała konstrukcja groziła zawaleniem. Aby temu zapobiec, a jednocześnie zabezpieczyć ludzi i zwierzęta przed wypadkiem, należało zaczepić widłami stóg u góry i przewrócić go. Jedynie woły pozbawiony były przywileju korzystania z zasobów pożywienia bez ograniczeń. Pewnie dlatego, by nie poszły w step wówczas, gdy były właśnie potrzebne. Trzeba im było dowozić siano do ich zagród i pewnie dlatego stale miały go za mało i były chude. Zimą do transportu wykorzystywano niskie, szerokie sanie, które po mokrej ziemi ślizgały się jak po śniegu.

Podobnie jak do stogu z sianem, zwierzęta chodziły same do wodopoju, ale pod tym względem miały już swoje upodobania. Żadne nie napiło się z aryka w samym kołchozie, czy też tuż za nim. Chodziły około półtora kilometra dalej w miejsce, gdzie aryk był dość szeroki i zarośnięty trzcina oraz tatarakiem, wał był stosunkowo niski a więc dostęp do wody nie stanowił żadnych trudności a woda po przejściu przez zaporę z roślin była znacznie czystsza niż w innych miejscach. Wyrastające z dna aryka trzciny, w części od lustra wody wzwyż były czyste i zielone, natomiast te znajdujące się pod wodą miały grubą otulinę z błota i innych zanieczyszczeń. Zimą, kiedy już wybraliśmy wodę w pobliżu domu to my też tam po nią chodziliśmy. Niedaleko było już zakończenie kanału w postaci szerokiej niecki, która zimą była zalana wodą a latem sucha i

spękana, bowiem wówczas woda parowała z niej bardzo szybko. Tworzyły się w ziemi szpary szerokie na dwa trzy centymetry.

Żniwa zaczynały się już w czerwcu a więc też byłem przy nich zatrudniony, przeważnie wożąc coś na terenie kołchozu. Nieraz zamiast traktora musiałem korzystać z zaprzęgu wołów. One nie mają lejców, a jedynie jarzmo, które zakłada im się na karki. Chcąc takim zaprzęgiem skrócić w lewo trzeba było walnąć w łeb tego z prawej strony. Wówczas on swoim łbem uderzał w łeb towarzysza po swojej lewej stronie i obydwaj skręcali. Do takiego zaprzęgu trzeba było mieć wiele cierpliwości, ponieważ woły bywają nie mniej uparte od osłów. Mniejszy problem był, gdy tylko stały w miejscu i nie chciały ruszyć, gorzej, gdy któryś położył się w zaprzęgu. Wówczas jakiegokolwiek perswazje, włącznie z okładaniem jego boków kijem nie skutkowały. Co tam jakiś kij, wobec grubej na przeszło jeden centymetr skóry? To go nie ruszało. Dopiero po jakimś czasie, stary Kazach pokazał mi co trzeba zrobić w takich okolicznościach. Należało „przełamać” mu ogon, jedyny czuły punkt na ciele tego olbrzyma. Wówczas stękał ciężko i niechętnie zrywał się na nogi. Arby, ciągnięte przez woły były wielkie i miały cztery koła. Dwukołowe ciągnęły osły, których upór jest wręcz przysłowiowy. Z nimi trzeba było postępować inaczej niż z wołami. Mam oczywiście na myśli osły, które stale jeszcze były używane do pracy a nie te wolno żyjące. Każdy z nich miał przywiązaną do uzdy linkę zakończoną długim na jakieś 40 – 50 cm. szpikulcem służącym do wetknięcia w ziemię kiedy chciało się go zatrzymać by nie odchodził gdzieś w step, tylko czekał na swojego pana. Niekiedy na takiego osła ładuje się tyle towaru, że nawet nie było by go gdzie uderzyć, by zmusić do ruszenia. Wówczas poganiacz kłuje go tym szpikulcem w kark i osiał rusza. Jeżeli już jestem przy zwierzętach pociągowych i służących do jazdy wierzchem, to nie sposób nie wspomnieć o wielbłądach. Komendą dla wielbłąda, by zatrzymał się i klęknął, było uderzanie go nogami w szyję. Nikt nie schodzi z niego skacząc na ziemię jak ma to miejsce w przypadku konia. Podobnie jest z wsiadaniem na wielbłąda. Wchodzi się na niego, gdy leży na ziemi. W czasie wstawania najpierw podnosi się na tylne nogi i ten, kto się porządnie nie trzyma leci wówczas przez jego łeb na ziemię. Drugi raz może go zrzucić potężny wstrząs, podczas prostowania na raz obydwu nóg przednich. Kazachowie przewożą na wielbłądach bardzo duże ładunki. Jeżeli tylko poradzi sobie ze wstaniem z ziemi, to już może go nieść przez wiele, wiele kilometrów nie pijąc przy tym wody, bez której, w skrajnych przypadkach może obyć się nawet przez czternaście dni. Przed wyruszeniem w drogę wielbłąd pije prawie przez godzinę. Gdzie mu się podziewają takie ilości wody, to nie wiadomo. Kiedyś Kazachowie zabili takiego wielbłąda na mięso i wody w nim nie było. Wielbłądzica, która urodziła młode ma wymię nie większe niż u klaczy, ale mleka dwa razy więcej. Kiedy oddzieli się matkę od młodego, to i młody wielbłądek i matka bardzo płaczą. Matka słyszy głos swego dziecka z bardzo daleka, bo głos stepie niesie się na kilka kilometrów. Im bardziej zbliża się do

małego to ryczy donośniej i przyspiesza biegu, by jak najprędzej mieć go przy sobie, a kiedy już go widzi to hałas jest jakby z dziesięć wołów na raz ryczało.



Pachta Arał – czyszczenie bawełny



Pachta Arał – przerwa na obiad

„Omloty” nasze i Kazachów

Pisałem już nieraz, że ciągle chodziliśmy głodni, no może z pominięciem tych nielicznych momentów, gdy był czas nałowić ryb i mama nagotowała zupy. Przez cały pobyt na zesłaniu brakowało nam chleba. Takiego swojskiego, domowego chleba pieczonego w naszym piecu chlebowym w Pietraszuńcach. Niestety, nigdy nie dostaliśmy pszenicy. Tylko Zygmunt z Gustkiem wysiali wszystką pszenicę, która była do tego przeznaczona. Pozostali traktorzyści kradli nasiona i tym samym jej niedobór zwiększał się z roku na rok. Jedynie kukurydza ratowała sytuację. Wyrastała ona na wysokość ponad trzech metrów a kolby miała tak ogromne, że z jednej można było uzyskać nawet do kilograma ziarna. Nigdzie w Polsce nie spotkałem tak wielkiej kukurydzy, ale też nigdzie u nas nie podlewa się jej, doprowadzając wodę z kanału nawadniającego. Te kolby suszyliśmy na płaskim dachu naszego domu. Bracia przynieśli skądś długą deskę, którą zamocowali na nim i za tą deskę wrzucało się nasze zbiory. Kukurydza leżała w słońcu przez dwa lub trzy miesiące i była tak wyschnięta, że twardością nie ustępowała małym kamyczkom. Kiedy mama uznała, że jest dostatecznie sucha, to trzeba było oddzielić ziarno od rdzenia. Ścieliliśmy pod domkiem koce i prześcieradła, by nic się nie zmarnowało i zrzucaliśmy ją z dachu. Już wówczas połowa ziaren była wyłuskanych. Potem zwykłymi kijami kończyło się te omloty. Wyschnięte na pieprz ziarna bez problemów dawały się wykruszyć. Do spożycia nadawało się wyłącznie ziarno kukurydzy. Środki, do których było ono przyłączone służyły, podobnie jak kiziak do palenia pod naszą „kuchenką”. Inaczej do tej sprawy podchodzili Kazachowie. Proces suszenia kolb odbywał się podobnie jak u nas, ale młócenie było w pewnym sensie zmechanizowane. Przed każdym domkiem było klepisko, czyli ubita glina, twarda bez mała jak cement. Wysypywali na niego swoją kukurydżę tworząc z niej okrąg w środku którego wbijali szpikulec albo kawałek kołka. Następnie łapali osła, przywiązywali go do tego kołka, ale a ten sposób, bu koniec sznurka obracał się na nim i ganił tego osła w kółko a on im kopytami młócił kukurydżę. Sposób był dobry, ale dla nas nie do przyjęcia. Jak bowiem przekonać osła, by w czasie tej pracy wstrzymał się z załatwianiem potrzeb fizjologicznych, których mogło mu się akurat zachcieć? Kazachom to nie przeszkadzało ale my pozostaliśmy przy swojej metodzie. Mając tak wysuszone ziarna można je było zmielić na naszych żarnach i piec placki. Nieraz zdarzało mi się kręcić kamieniem, który je kruszył. Zdawało się, że jest to praca niezbyt skomplikowana i w miarę lekka. Tak było z początku, jak ziarna nie zostały jeszcze zgniecione. W miarę jak kruszyły się, to trzeba było użyć więcej siły by obracać kamieniem a ponadto jeszcze uważać, by ten górny nie zsunął się z tego co był na dole. Nie wiem jak mama radziła sobie z tym kiedy nas nie było w domu, a przecież musiała, bo jak przychodziliśmy wieczorem z pracy, to zawsze jakiś posiłek na nas czekał.



Rodzina zesłańców. Stoją od lewej: Zygmunt, Zofia i Gustaw.
Siedzą od lewej: Maria, Stanisława i Jan Kozakowscy.



Stoją od lewej: Zuzanna Narkiewicz, Zofia Kozakowska, Janina Szabrońska
Siedzą od lewej: pani Sienkiewicz, Helena Samiec



Zofia i Maria Kozakowskie. Kołchoz „Bolszewik”



Abchaz Aret



Kinooperator Gustaw Kozakowski
Pomocnik kinooperatora Jan Kozakowski



Stanisława Kondrat



Po lewej Franciszek Kondrat przy kombajnie do zbioru bawełny.
Po prawej Niemiec Kost



Zygmunt Kozakowski



Andrzej Mickiewicz

Южно-Коз. обл.
 Кировский р-н.
 Директору
 школы № 1
 от уч-цы Козакowsкой М.
 заявление.
 Прошу Вас принять меня в 5 кл.
 Вашей школы. Окончила 4 класс в Белоруссии.
 25/III 52 года. / Козакowska /

Prośba o przyjęcie do szkoły w kolchozie „Bolszewik” Marii Kozakowskiej



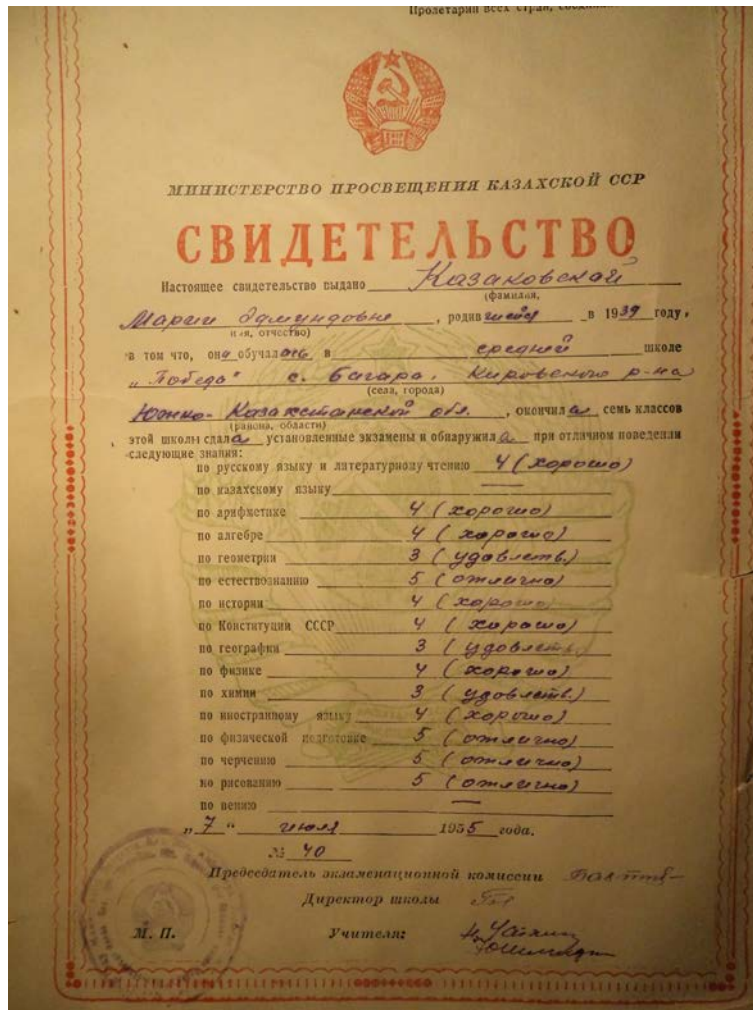
Stoją od lewej: Wacława Kondrat, Maria Kozakowska



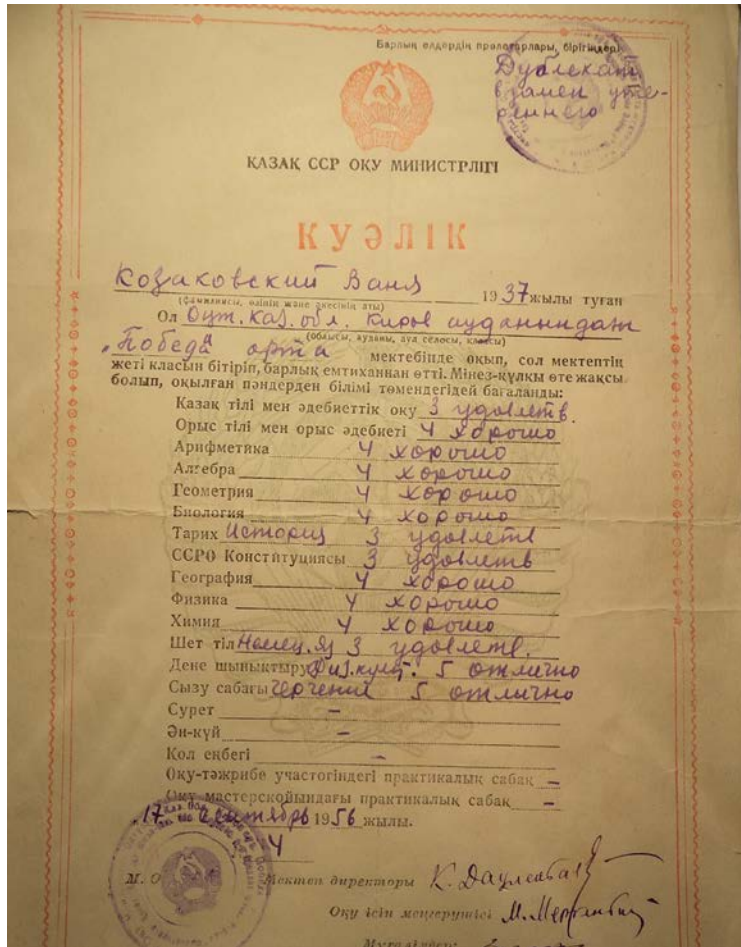
Szkoła „Pabieda” Siedzą: pierwsza od lewej Maria Kozakowska
czwarty od lewej wychowawca klasy, więzień, Niemiec Krygier



Zbiór bawełny – „praktyka” szkoły „Pabieda”



Świadectwo szkolne Marii Kozakowskiej



Świadectwo szkolne Jana Kozakowskiego

Rozdział IV

Plany na przyszłość

W naszym kołchozie mieszkał młody chłopak Sobko - Białorusin. Był to wysoki, wąty chłopak, który nie dawał sobie rady z ciężką pracą w polu. Kiedy skończył siódmą klasę, a było to rok przede mną, dowiedział się gdzieś, że około 400 km. od nas w miejscowości Kapłan Bieg jest technikum, gdzie kształcą przyszłych agronomów i mechanizatorów rolnictwa. Po wielu staraniach zezwolono mu wyjazd i kiedy ja kończyłem siódmą klasę, to on już chodził do pierwszej technikum. Przez cały rok myślałem o tej szkole. Dla mnie to była niepowtarzalna szansa. Tylko człowiek wykształcony mógł się wyrwać z kołchozu unikając ciężkiej pracy od świtu do nocy. Mógł wyjechać w inne rejony Związku Radzieckiego, gdzie wokoło nie rozpościerały się zabójcze pustynie i spróbować przedostać się za granicę, bądź też gdyby to się nie udało, próbować ułożyć sobie jakoś życie na miejscu ale jako mechanizator rolnictwa lub agronom a nie zwykły robotnik rolny. Tylko wykształcenie dawało przepustkę do lepszego życia. Dodajmy w miarę lepszego, ponieważ dobrze płatne stanowiska były bez wyjątku zarezerwowane dla działaczy partyjnych niekoniecznie będących dobrymi fachowcami a ja przecież nie zamierzałem się sprzedawać komunistom. Tym się jednak będę martwił jak skończę szkołę. Na razie trzeba się było do niej dostać. Miałem dużą szansę, ponieważ opinia ze szkoły w Kirowie szykowała mi się pozytywna. Przekonałem się o tym, kiedy mama po raz pierwszy i jedyny tuż przed końcowym egzaminem udała się na wywiadówkę. Po powrocie pogładziła mnie po głowie i powiedziała, że jest ze mnie dumna, bo w szkole usłyszała o mnie wiele dobrego. Pozornie przeszedłem nad tą pochwałą do porządku dziennego, ale prawdę mówiąc też byłem zadowolony zwłaszcza, że mama nie miała ani czasu ani siły na to, by się nad nami rozczulać, a tu nagle taka pochwała. Egzaminy końcowe zdałem bez problemu i oto mogłem pochwalić się ukończeniem siódmej klasy szkoły podstawowej. Zdawać by się mogło, że nie był to wielki sukces, ale zważywszy na moje dotychczasowe nauczanie, czyli kilka miesięcy nauki w drugiej klasie szkoły mieszczącej się w byłym domu stryja, przerwanej ucieczką do Pieretańców i pracą pastucha, ukończeniem piątej klasy w Sporkowszczyźnie tuż przed zsyłką i dwóch lat w „Pabiedzie”, to wychodzi, że uczyłem się w sumie jedynie trzy i pół roku, a ukończyłem szkołę siedmioletnią. Mogłem mieć powód do dumy. Mama wzięła to moje świadectwo i poszła z nim do NKWD w Kirowie. Tam odbyła się rozmowa, według znanego już scenariusza z tym, że

znacznie dłuższa i znacznie trudniejsza. Jedynym plusem było to, że towarzysz Stalin „padoch”, jak to wzniośle określił kierownik kołchozowej szkoły w „Bolszewiku” i NKWD nie było już to samo co kiedyś. Wróciła z pozwoleniem wydanym na piśmie, że mogę ubiegać się o przyjęcie do technikum w Kapłan Biegu. Trzeba było jedynie zgromadzić potrzebne dokumenty, zrobić zdjęcie fotograficzne, wysłać to wszystko do szkoły i czekać na powiadomienie, kiedy odbędą się egzaminy wstępne, których pozytywne zdanie było warunkiem przyjęcia.

Podróż do Kapłan Biegu

Czekałem niecierpliwie na powiadomienie o rozpoczęciu egzaminów wstępnych do technikum w Kapłan Biegu i w końcu doczekałem się. Przyszło powiadomienie. Do mnie i do Azreda, który również otrzymał zezwolenie na ich zdawanie. Mama przygotowywała mnie do wyjazdu od kilku dni. Okazało się bowiem, że wyrosłem zupełnie ze spodni i koszul jakie zabrała w czasie naszego aresztowania. Jak ty pojedziesz? Martwiła się. Szczęśliwie jedne spodnie, które po wypraniu nadawały się do tego by pokazać się w nich między ludźmi innymi niż pracownicy kołchozu, były mocno podwinięte i po odpuszczeniu sięgały mi prawie do kostki, wzięłem dwie koszule na zapas, by w czystej wystąpić przed szanowną komisją egzaminacyjną, mama zapakowała mi do worka lepioszki na drogę dała parę rubli bym ewentualnie kupił coś do jedzenia i byłem gotowy. Tuż przed wyjazdem Gustek wcisnął mi w rękę dodatkowe pieniądze i wraz z Azredem ruszyliśmy na „podbój świata”. Na początek jako pasażerowie wielkiej arby ciągniętej przez parę wołów poganianych przez starego Kazacha, któremu nigdzie się nie spieszyło. Przebierałem nogami na tej arbie w strachu, że nie dojedziemy na czas, chociaż pociąg miał odjeżdżać późnym popołudniem a my wyruszyliśmy przed obiadem, by być przygotowanym na różne niespodzianki. Po dwóch godzinach jazdy, kiedy zbliżaliśmy się już do połowy drogi dogonił nas traktor z przyczepą. Zeskoczyłem z wozu i zacząłem machać do traktorzysty by się zatrzymał. Oczywiście był on z „Bolszewika” i nie było z tym żadnego problemu. Po dwudziestu minutach byliśmy już na stacji kolejowej w Pachta Arał. Do odjazdu pociągu pozostało jeszcze prawie trzy godziny, które ciągnęły się w nieskończoność. Chciałem jak najprędzej wyruszyć, zacząć realizować swoje marzenia. Aby stracić trochę czasu poszliśmy do miasta. Byliśmy w nim po raz pierwszy w życiu. Pachta Arał jest kilka razy większy od Kirowa. Są tam normalne ulice i ogromne stogi bawełny, którą ładują na wagony kolejowe i wysyłają do Taszkientu, gdzie kilka tysięcy kobiet

zatrudnionych jest jako prządki i tkaczki w przemyśle bawełnianym. Wróciliśmy grubo przed czasem i czekaliśmy już na peronie, by nie przegapić odjazdu. Wreszcie skład pociągu towarowego, którym mieliśmy jechać do miasta Syr Darii był gotowy i kierownik niedbałym ruchem wskazał nam wagon, gdzie mogliśmy się usadowić. Był to zwykły wagon towarowy, ale przystosowany do przewozu osób, ponieważ przy każdej ścianie przymocowane były ławki, na których dla nas zabrakło niestety miejsca. Jakoś się tym specjalnie nie przejąłem. Usiedliśmy z Azredem w drzwiach wagonu i spuścili nogi na dół. Nikomu to nie przeszkadzało i po dwóch godzinach byliśmy już na stacji w Syr Darii, którą nieco pamiętałem, ponieważ widziałem ją z okienka naszego wagonu w czasie kiedy jechaliśmy do „Bolszewika”. Tutaj czekała nas bardzo miła niespodzianka. Pociąg odchodzący za parę godzin do Taszkientu był osobowy. Pierwszy raz w życiu miałem wsiąść do takiego pociągu. Konduktor długo oglądał nasze przepustki z NKWD, które zastępowały bilet, po czym zaprowadził nas do wagonu, w którym mieliśmy spędzić najbliższą noc. O dziwo, czekały na nas miejsca siedzące na ławkach zrobionych z drewnianych listewek, przypominających nieco ławki, które kiedyś stały w parkach z wygiętymi siedzeniami i oparciami. Jechaliśmy do Taszkientu jak dwaj hrabiowie oglądając z zaciekawieniem stacje, na których pociąg się zatrzymywał. Pasażerowie rozmawiali ze sobą przekrzykując stuk pociągu i rozmowy sąsiadów albo wyciągali zapasy żywności i podjadali. Dopiero jak zobaczyłem jedzących ludzi, to i mnie samego dopadł głód. Wyciągnąłem z worka jedną lepioskę, rozerwałem ją na pół i dałem Azredowi a drugą połówkę zjadłem sam. Nie można było rozrzucać się z jedzeniem, bo nie wiadomo jak długo będzie to wszystko trwało. Miałem zamiar nie zmrużyć oka, póki nie dojedziemy do Taszkientu, ale nie bardzo mi się to udało. Wraz z upływem nocy rozmowy zaczęły cichnąć, upał wyraźnie zelżał i w wagonie zrobiło się zupełnie przyjemnie, kiwnąłem się raz, czy drugi walcząc ze snem i obudziłem się widząc przed sobą roześmianą gębę Azreda, który potrząsał mnie za ramię. Wstawaj, jesteśmy w Taszkencie. Zerwałem się na równe nogi. Szczęściem mój worek był na miejscu to znaczy tam, gdzie go wieczorem powiesiłem. Na haku znajdującym się nad siedzeniem. Byłem cały zdrętwiały od spania w niewygodnej pozycji i głodny, ale nie było czasu by rozczulać się nad sobą.

W Taszkencie

Wyszliśmy z peronu na stację. Mnóstwo ludzi biegało w jedną i drugą stronę spiesząc się pewnie do pracy, megafony ogłaszały odjazdy i przyjazdy pociągów a my staliśmy lekko oszołomieni tym wielkomiejskim ruchem,

którego jeszcze nie widzieliśmy. Trzeba się jednak było zbierać i jechać dalej. Zaproponowałem Azredowi, aby wyjść przed stację i zacząć pytać o drogę do Kapłan Biegu. Już pierwszy zapytany pan pokazał nam kierunek informując jednocześnie, że jest to blisko, około pięciu, siedmiu kilometrów. Ale nie idźcie piechotą, doradził. Tam jeżdżą „pałtorówki” - samochody ciężarowe o ładowności półtorej tony. Zatrzymajcie taką to was dowiezie. Po kilku minutach siedzieliśmy już na pace samochodu by za następnych kilka minut być na miejscu. Rada, by skorzystać z podwiezienia okazała się bardzo przydatna. Krajobraz był tutaj zupełnie inny niż w okolicach „Bolszewika”. Przed wszystkim rzucała się w oczy duża ilość drzew nie tylko wierzb ale też owocowych oraz morw. Później okazało się, że morwy te nie były sadzone przypadkowo. Na ulicach Taszkientu można było spotkać mężczyzn, którzy pomimo upału paradowali w jedwabnych marynarkach zadając szyku mniej zamożnym jego mieszkańcom, natomiast panie stroiły się w jedwabne zwiewne suknie bardzo kolorowe i kwieciste. Wygląda więc na to, że hodowano tam również jedwabniki i produkowano jedwab. Na razie jednak podjechaliśmy do dużych zabudowań i kierowca zatrzymał się. „Wot zdies” – to tutaj, powiedział i pojechał dalej a my poszliśmy szukać jakiegoś biura aby się zameldować.

Egzaminy wstępne

Okazało się, że egzaminy będą trwały przez trzy dni i będziemy mieszkać w internacie gdzie będzie można kupić sobie wyżywienie. Pierwszy raz od dwóch lat spałem na prawdziwym łóżku ze sprężynami pod materacem, pod stopami miałem podłogę a za potrzebą nie biegałem w kukurydzę. W budynku były okna i szerokie korytarze. Wszystko było inne niż w kołchozie i takie jakieś cywilizowane. Niby nie miało to większego znaczenia, bo przecież nie po to tutaj przyjechałem, ale miło było znaleźć się choć na chwilę z dala od tej naszej siermiężnej biedy. Czekały mnie egzaminy od których tak dużo zależało. Nie mogłem zawieść mamy i braci, którzy pracowali na ten mój wyjazd. Następnego dnia odbyły się egzaminy. Z bijącym sercem wchodziłem na salę, gdzie za stołem siedziało trzech poważnych panów, którzy mieli zadecydować o moim losie. Zadali mi kilka pytań z matematyki a później przejrzeni moje dokumenty, sprawdzili stopnie ze szkoły podstawowej i przeszli do spraw ogólnych: skąd pochodzę, co robię w kołchozie, czy potrafię jeździć traktorem, czy nie choruję, czym zajmował się tata, dlaczego chcę zostać mechanizatorem rolnictwa i jak widzę swoją przyszłość. Rozpływałem się nad swoją miłością do mechanizacji i uprawy bawełny czyniąc z tych zajęć treść swojego życia, bez czego byłbym całkiem nieszczęśliwy. Patrzyli z kamiennymi twarzami, ze wzrokiem wbitym nieruchomo we mnie i nic nie komentowali.

Dostałem jedynie informację, że otrzymam powiadomienie pisemne i mogę już wracać do domu. Azred też już był po egzaminach i nie pozostało nic innego jak iść do Taszkientu, nie czekając nawet na żadną okazję do podwiezienia. Teraz już nie mieliśmy się dokąd spieszyć. Powrotna droga minęła mi pod znakiem rozmyślań na temat egzaminu. Na pytania z przedmiotów ogólnych, które mi zadawano odpowiedziałem dobrze, tego byłem pewny, ale czy spodobało im się co mówiłem potem? Tego to już nie mogłem przewidzieć. Trzeba czekać.

Traktor warczał wesoło

W połowie sierpnia nadszedł długo oczekiwany list. Zostałem poinformowany, że przyjęli mnie do szkoły i w dniu 1 września mam się zgłosić w celu rozpoczęcia nauki. Radości było co nie miara. Nawet traktor, którym jeździłem warczał teraz wesoło ciesząc się wraz ze mną. Otworzyła się w moim życiu nowa szansa, którą zamierzałem wykorzystać do końca. Tylko dwóm z całego kołchozu, czyli Białorusinowi Sobko i mnie udało się dostać do technikum. Azred niestety dostał grubą kopertę. Była w niej część dokumentów, które przesłał przed egzaminami, zdjęcie i krótka informacja, że z powodu nie zdania egzaminu wstępnego nie został przyjęty do szkoły.

Pojechałem więc, znaną mi już trasą sam. Kapłan Bieg jest „ucziobnym gorodkom” czyli po polsku miasteczkiem studenckim leżącym na granicy Kazachstanu i Uzbekistanu. Obie republiki rozdziela niewielka rzeka Kenes. Oprócz młodych chłopców i dziewcząt zdobywali tam również wiedzę dyrektorzy kołchozów i sowchozów. Ich nauka trwała dwa lata, natomiast nasza cztery. Byli oni wszyscy dyrektorami z nadania partyjnego bez żadnego przygotowania zawodowego więc stworzono im możliwość zdobycia kwalifikacji. Mieszkali podobnie jak my w „obszczežitii”, - w internacie, uczyli ich ci sami profesorowie i mieli podobne zajęcia. Zasadnicza różnica między nami była inna. Oni nie chodzili głodni, mając swoje dyrektorskie pensje i otrzymując paczki z domu. Mnie mama na drogę dała kilka lepioszek i to był mój cały dodatek do niezwykle oszczędnego wyżywienia na jakie było mnie stać w internacie. W sumie uczyło się tam 700 uczniów. Dostaliśmy pościel i przydzielono nam miejsca do spania. Jeżeli uczeń nie miał ocen niedostatecznych i wykazał się dostatecznie wysoką średnią z zaliczanych przedmiotów, to mógł też otrzymać stypendium w wysokości 114 rubli miesięcznie. Jednak stypendium to mogło być przyznane już w trakcie nauki, a tymczasem już teraz czekały mnie duże wydatki. Trzeba było kupić zeszyty, niektóre książki no i obowiązkowo długopis, czyli pióro z kulką jak go nazywaliśmy, najnowszy krzyk mody w dziedzinie pisania, trochę dla wygody

a jeszcze bardziej dla szpanu. Aby to wszystko załatwić udałem się z kolegami na targ do Taszkientu i to co tam zobaczyłem wprawiło mnie w osłupienie. Ogromna sterta chleba z pszennej mąki! Rarytas, którego w Bolszewiku prawie nie widziałem. Jedynie kolega ze szkoły Tatar, który uciekł przed obrzezaniem Borys Tabijew nieraz częstował mnie nim na przerwach w „Pabiedzie” zamieniając się na moją lepioskę.

Moi nowi koledzy

Umieścili mnie w sali wraz z sześcioma innymi chłopcami różnych narodowości. Jednym z nich był Wiktor Kim w moim wieku. Koreańczyk, który nie miał rodziców ale za to miał problemy z NKWD. Wzywano go i sprawdzano bez przerwy. Nie wiem z czym tak podpadł, bo lepiej – jak już się dawno tego nauczyłem było nie pytać. Mnie też wzywali ale tylko po to by podpisać obecność podobnie jak w „Bolszewiku”. NKWD stałe przebywało na terenie szkoły, ale nie wyróżniali się niczym spośród uczniów bo chodzili po cywilnemu. Tym bardziej trzeba było uważać, by przypadkiem nie powiedzieć czegoś nieodpowiedniego. Oczywiście musieliśmy też podpisać oświadczenie, że bez ich zgody nigdzie nie wyjedziemy chyba, że będzie to wyjazd organizowany przez szkołę. W dalszym ciągu byliśmy przecież skazańcami pozbawionymi dożywotnio wszelkich praw. Oprócz Wiktora mieszkał jeszcze na sali Piotr Kosik, który jak się później okazało był Polakiem, Rosjanin Fiodor, którego nazwiska zapomniałem, Niemiec Andrzej Pracht, Abchaz Kajczujew i Ukrainiec Grisza Michniewicz. Grisza był z nas wszystkich najstarszy. Miał już dwadzieścia parę lat, i też był skazańcem pod specjalnym nadzorem NKWD. Dzięki niemu zacząłem posługiwać się językiem ukraińskim. Po roku czytałem już Tarasa Szewczenkę, którego on uwielbiał. Mimo różnych wyznań i różnych kultur tworzyliśmy bardzo zgraną paczkę.

Форма № 8
Завошпикент

И.Р.О. Сади-Агалев р-н м. Капшабег

/наименование и адрес специального учебного заведения/
Тов. Казаловский, в.конт. 79.

Адрес :

Изв е щ е н и е № 327

Для сдачи приемных экзаменов Вам надлежит явиться в
Завошпикент

/Наименование, средн. специальн. учебн. заведений/
" 7 " августа 1954 г. № часов 4 1/2

Экзаменационный лист № необходимо получить у секретаря по приему накануне первого экзамена

мех/72

Директор Капшабегского
Всесоюзтехникума: /Исмаилов/ / ВУЛАН /

" 21 " июля 1954 г.

Powiadomienie o egzaminie wstępnym do technikum



Budynek Technikum Mechanizacji Rolnictwa w Kaplan Biegu



Izba mieszkalna internatu w Kapłan Biegu



Jan Kozakowski na tle budynku internatu w Kapłan Biegu



Praktyka szkolna w Kapłan Biegu

Kolejna „praktyka”

Byłem przekonany, że po przyjeździe do szkoły od razu rozpocznie się nauka. Nic z tych rzeczy. Podobnie jak w „Pabiedzie”, na trzeci dzień zapakowali nas na samochody i wywieźli w pole. Przepis o poświęceniu jednego miesiąca nauczania na zbiory bawełny obowiązywał w każdej szkole. Dla mnie nie stanowiło to żadnej nowości, natomiast niektórzy koledzy robili to po raz pierwszy i nie przychodziło im wcale łatwo. Wszystko odbywało się na jednakowych zasadach, czyli ile zbierzesz, tyle zarobisz z odliczeniem kosztów żywienia. Pośród nas byli uczniowie, którym nie zależało na zarobku, ponieważ mieli bogatych rodziców, ale nieobecność na polu była traktowana tak jak nieobecność na zajęciach szkolnych. Od tego obowiązku nie mogli się uwolnić w żaden sposób. Mnie zbiórka bawełny była na rękę, ponieważ bardzo potrzebowałem pieniędzy i chociaż zbierałem jej niewiele więcej niż rok czy dwa lata temu, to jednak było to bardzo pokaźne wspomnienie skromnych finansów. Moje możliwości ograniczały się do zebrania 50, a niekiedy, przy sprzyjających warunkach, 60 kilogramów bawełny dziennie. Pod koniec dnia roboczego tak już bolały mnie ręce i kręgosłup, że przestawało mi zależeć na jakimkolwiek zarobku, byle tylko noc przyszła jak najprędzej. Najlepszy z nas zbierał, podobnie jak miało to miejsce wśród uczniów „Pobiedy” około 200 kg. Taki „Stachanowiec” otrzymywał od kolchozu pomoc. Sam już nie odnosił worków z bawełną, tylko miał przydzielone do pomocy dwie kobiety, które to

za niego robiły, on tylko chwycił kłaczki białego puchu i wkładał je do worka pracując przez cały dzień na najwyższych obrotach, jak maszyna. Taka pomoc nie była bezinteresowna. Władzy zależało na biciu rekordów aby w ten sposób zachęcić pozostałych robotników do jak największej wydajności pracy. Podając wyniki nikt już nie informował, że zwycięzcy, podczas bicia rekordu udzielano daleko idącej pomocy. Prawdę mówiąc, to ja bym jej nie chciał. Kiedy nabierało się pełny worek puchu to można było przez chwilę, podczas odnoszenia go na stertę i ważenia, zapewnić ulgę obolałym plecom. Zauważyłem też, że pracownik kołchozu, ważący zbiory prowizoryczną wagą w postaci poprzecznej listwy z podziałką i hakiem na końcu do wieszania worków w sposób specjalny traktował rekordzistę, zawsze nieco mu dodając, podczas gdy pozostałym wyważał wszystko bardzo skrupulatnie. Aby powetować sobie jakoś tą jawną dyskryminację zacząłem rozglądać się za bryłkami ziemi o które wcale nie było łatwo, ponieważ rozsypywała się ona wokół krzaczków jak popiół. Jednak kto szuka, ten znajdzie. Malutkie bryłki lądowały w moim worku przyczyniając się w ten sposób do zwiększenia moich zarobków kosztem kołchozu. Za dużo nie można było oszukiwać, bo kołchoźnik, mający wielkie doświadczenia miał już niejako wagę w ręku i mógłby wykryć moje oszustwo, ale ziarnko do ziarnka.....

Polska mniejsza od plantacji kukurydzy

Kołchoz, do którego przyjechaliśmy inaczej niż pozostałe rozwiązał sprawę naszego wyżywienia. Nie przywozili na pole gotowego jedzenia a produkty spożywcze i kociołek, w którym sami mieliśmy gotować. Kucharzem, zupełnie niespodziewanie dla siebie i dla nas został Piotr Kosik. Po prostu profesor, który z nami przyjechał wskazał pierwszego lepszego nie pytając się go o zdanie. Taki kucharz zajmował się tylko wyżywieniem swojej grupy. Nie zbierał bawełny ale też nie był poszkodowany, ponieważ każdy oddawał mu jakąś część swojego zarobku. Zadowolony z takiego obrotu sprawy Piotr, wykopał w ziemi dołek, postawił nad nim kociołek i zabrał się do zbierania „kiziaku” oraz zeschniętych badyli aby miał czym palić. Kiedyś przywieźli na pole mięso z woła, który zdechł pewnie ze starości. Piotr gotował je całą noc. Przed świtem poczułem, że ktoś ciągnie mnie za ramię. Okazało się, że to mój rodak, który kiwnął głową aby iść za nim. No, na darmo to on mnie nie woła, pomyślałem i cichutko, żeby kogoś nie obudzić pobiegłem za nim. Z daleka poczułem cudowny zapach gotowanej wołowiny. Piotr odkroił niewielki jej kawałek i dał mi. Chciwie wbiłem zęby aby odgryźć sobie kęs, ale nie dałem rady. Pomimo całonocnego gotowania, mięso było twarde jak podeszwa.

Musiałem schować się co prędzej w bawełnie aby mnie nikt nie zauważył, bo wówczas i Piotr i ja mielibyśmy kłopoty, pokroić scyzorykiem ofiarowany mi poczęstunek na malutkie kawałeczki, mieć je w ustach i połykać niemal w całości. Dzięki Piotrowi tego dnia byłem nieco mniej głodny niż zwykle. Kołchoz nie dawał nam wystarczająco dużo jedzenia bo z pewnością sam nie miał. Wokół panowała straszna bieda. Rekordzista w zbiorach był Kazachem i dlatego pewnie był rekordzistą żeby jak najwięcej zarobić. Był tak biedny, że nawet nie miał butów. Owijał tylko nogi onucami i tak chodził. Na noc rozkładał te onuce na stercie bawełny kładł się na nich i natychmiast zasypiał po całodniowym ogromnym wysiłku. Był tak zmęczony, że nawet nie przewracał się z boku na bok. Kładł się na plecach i jak się położył, tak rano wstawał a koszulę na plecach miał mokłą od potu. Mógł chodzić bez butów, bo we wrześnie słońce nie paliło już tak mocno jak w lipcu i sierpniu i ziemia nie parzyła nóg. Nie było też przerwy w pracy, a jedynie krótka chwila na zjedzenie posiłku. Nauczyciel, który z nami przyjechał też zbierał bawełnę, ale specjalnie się nie spieszył. Często chodził do kołchozu i przesiadywał w dyrekcji. Jego nie obchodziło ile zrobimy, każdy jednak pracował jak mógł najwydajniej, by zarobić jak najwięcej pieniędzy, oczywiście z wyjątkiem tych, którzy nie musieli się wysilać. Ten nauczyciel był Kazachem i uczył nas uprawy roślin. Nazywał się Achmadijew i nieźle mu się powodziło, co u Kazachów zawsze można stwierdzić po tuszy. Kiedyś zapytał mnie skąd jestem. Powiedziałem mu. Polska, to nie jest duży kraj, powiedział. U nas w Kazachstanie więcej jest uprawy kukurydzy niż wy tam macie powierzchni. Miał duże problemy z językiem rosyjskim, ale można go było rozumieć. W Kazachstanie części ziemi nie można przeznaczać pod uprawę. Dzieje się tak dlatego, że po namoczeniu bardzo się klei i nie można stosować mechanizacji. Taka ziemia mówił „mazitsia” – maże się.

Raz na parę dni na naszym polu było święto. Przywozili pszenne placki „lepioszki”. Do technikum chodziło wiele dziewcząt, które również musiały zbierać bawełnę. Pewnego dnia spytały skąd jestem. Powiedziałem im, że z kołchozu „Bolszewik” a najbliższa stacja kolejowa to Pachta Arał. One też były z Pachta Arał. Zaczęły śpiewać mi czastuszki, których nie mogę tutaj przytoczyć, chociaż zapamiętałem je doskonale i bardzo cieszyły się widząc moje zażenowanie.

Normalna nauka

W październiku zaczęła się już normalna nauka. Trzeba przyznać, że nauczyciele traktowali nas jak równorzędnych partnerów. Ja z kolei słuchałem wykładów z ogromnym zainteresowaniem. Chciałem nauczyć się jak najwięcej, no i oczywiście otrzymać stypendium, bez którego po prostu nie miał bym za co

kupić jedzenia. Matematyki uczył nas Kazach, który poprzednio był wykładowcą uniwersyteckim na „Lenińskich Garach” w Moskwie. Nie wiadomo czym naraził się władzom, że przenieśli go do Kapłan Biegu. Myślę, że władza była po prostu za blisko niego, ponieważ miał trzy żony i z żadnej nie chciał zrezygnować, bo niby z jakiej racji? Rosyjski znał bardzo słabo, ale matematykiem był wybitnym, zakochanym w swojej dziedzinie nauki. W naszej grupie był jeden Grek, który też był dobrym matematykiem, oczywiście nie można było porównywać go z wykładowcą, między jednym a drugim istniała przepaść, był jednak na tyle dobry, że koledzy nieraz go wykorzystywali do naszych celów. Kiedy nie byliśmy za dobrze przygotowani, to Grek miał obowiązek przynieść na lekcje krzyżówkę matematyczną, którą zdobywał sobie tylko znanymi sposobami. Kładł ją ostentacyjnie na podręcznikach i po chwili było już po zajęciach. Profesor rekwirował jego własność, w biegu dawał nam pierwsze lepsze zadania do rozwiązania a sam siadał nad tą krzyżówką. Do końca lekcji mogliśmy robić co nam się tylko podobało, byle zachować względny spokój. I jeszcze ciekawostka z jego udziałem. Nigdy nie używał cyrkla. Wszystkie koła na tablicy rysował ręcznie, po czym wołał kogoś by wyznaczył środek co było sprawą zupełnie łatwą gdy dysponowało się cyrklem i linijką. Po wyznaczeniu środka i wstawieniu tam igły cyrkla zawsze okazywało się, że obwód koła jest idealny. Wraz z nami w klasie była jedna dziewczyna. Nazywała się Anna Gorina. Dlaczego wybrała zawód mechanizatora rolnictwa a nie na przykład agronoma? Nie wiadomo. Pytałem ją o to, w przeświadczeniu, że to raczej jest męski zawód, ale odpowiedziała mi tylko, że właśnie ten zawód najbardziej jej się podoba. Kiedyś Kim Wiktor zrobił jej prezent. Był on bodaj jedynym chłopcem, który umiał wyszywać. Robił to „Bułgarskim krzyżykiem”. Na kawałku płótna wyszył piękną brzozę, na niej bocianie gniazdo, siedzącego bociana i dał jej. Była zachwycona, w Kazachstanie nie ma ani brzoź ani bocianów. Ta makatka przypominała jej ojczyście strony.

Tym razem jabłka

Wspomniałem już nieraz, że zawsze chodziłem głodny. Czasami przychodzili do szkoły kolejarze z Sary Agach miasteczka, które było powiatem Kapłan Biegu, odległego o jakieś 3 kilometry. Chodziło o pilny rozładunek wagonów. Szedłem tam zawsze ilekroć była taka okazja i nie kolidowało to z moimi zajęciami w szkole. Przeważnie trzeba było rozładować wagon z węglem albo z deficytowym tutaj kamieniem. Nie była to lekka praca, ale po zakończeniu dostawało się za nią parę rubli i można było kupić chleba.

W rosyjskiej armii służba trwała od trzech do pięciu lat. W naszej grupie było dwóch chłopców, którzy służyli w komandosach a więc ich służba trwała

pięć lat. Żołnierze służby zasadniczej wychodząc z wojska dostawali nowe mundury, które stawały się ich własnością. W nich to właśnie paradowali po szkole nasi koledzy. Jeden z nich był wysokim Kazachem. Przyszedł do szkoły niesamowicie wychudzony, wyglądał jak szkielet, aż nie wierzyłem, że ktoś taki mógł służyć w komandosach gdzie potrzeba dużej sprawności fizycznej. Okazało się, że był to chłopak z charakterem. Podstawę wyżywienia w tej jednostce gdzie służył stanowiła wieprzowina, której zabraniała mu jego religia. Ponieważ nikogo nie obchodziło w co wierzy, to nie mógł dostać nic innego a więc najczęściej nie jadł. Po kilku miesiącach pobytu w szkole mimo, że i tu były głodowe racje wyglądał już zupełnie inaczej. Drugim rezerwistom był Lońka. W październiku chodziliśmy razem kraść jabłka do sadu znajdującego się za rzeką już po stronie uzbeckiej. W tym sadzie była wieżyczka „wyżka”, w której siedział dziadek z karabinem gotowy strzelać do każdego, kto naruszy własność jego sowchozu. Ryzyko było ogromne, bo dziadek nie żartował, ale w końcu mieliśmy u siebie komandosa. Kiedy usnął na swojej wieżyczce, Lońka skrzyknął chłopaków i w kilku wybraliśmy się nad rzekę patrząc z utęsknieniem na dojrzałe jabłka po drugiej stronie. Lońka przepłynął ją a potem ostrożnie podszedł do wyżki i wszedł na nią. Po cichutku wyjął zamek z opartego o ścianę karabinu zszedł z nim na dół i rzucił w trawę. Już nie kryjąc się specjalnie kiwnął na nas byśmy też przepłynęli rzekę. Dziadek spał sobie spokojnie nieświadomy tego co się dzieje a my obracaliśmy kilka razy będąc na granicy utonięcia w powrotnej drodze, bo każdy za koszulę naładował tyle jabłek ile tylko się zmieściło. Wysypywaliśmy zdobycz na naszym brzegu i wracali po następną.

Kawalek statku na pustyni

W czasie roku szkolnego zawieziono naszą grupę do dużej bazy traktorowej na praktykę przemysłową. Była tam nawet odlewnia, opalana koksem. Jako wsad do pieca używano złomu. Kiedyś przyjechały na własnych gąsienicach dwa „Stalińce” – ciągniki na gąsienicach. Mieliśmy za zadanie rozebrać je, aby poznać ich budowę a następnie dostarczyć rozebrane części do pieca. Taka okazja nigdy już się nie powtórzyła. Ustawialiśmy je naprzeciw siebie, rozpędzali i kierowcy wyskakiwali w biegu, a maszyny z ogromnym hukiem bodły się jak dwa barany. Zabawa była przednia, ale krótka. Za którymś razem ani jeden ani drugi nie chciał już zapalić i trzeba było zabrać się do roboty. Przez tą zabawę sami siebie ukaraliśmy. Można je było rozbierać w pobliżu pieca i wówczas transport wsadu byłby krótki a tak musieliśmy dźwigać ciężkie, stalowe elementy przez całe podwórko.

W bazie tej był również prąd, wytwarzany na miejscu. Duży silnik wysokoprężny napędzał wielkie, mające przeszło trzy metry średnicy koło zamachowe a to z kolei napędzało prądnicę. To koło zamachowe do połowy wystawało ponad posadzkę a do połowy było schowane, przy czym sama posadzka została wylana z betonu a nie jak w biedniejszych bazach zrobiona z ubitej gliny. Kiedyś zatrzymali ten silnik po to tylko, aby z bliska pokazać nam całe urządzenie do którego, ze względu na bezpieczeństwo nie można podchodzić, gdy koło jest w ruchu. Zobaczyłem, że wszystkie nazwy na tabliczkach są w języku angielskim. Okazało się, że ta mała elektrownia stanowiła niegdyś wyposażenie statku, który musiał być pewnie zdobyty w czasie działań wojennych przez Niemców, bo został następnie zabrany przez Rosjan jako zdobycz wojenna. Prawowitym właścicielem nikt go nie oddał a ponieważ nie mógł pływać po morzach by nie zwracać na siebie uwagi, to go rozebrano i częściowo wykorzystano w inny sposób a reszta zasilila takie piece odlewnicze jaki był w bazie. Elektrownia ta zasilala w prąd nie tylko bazę traktorową, ale też internat, który tam był na miejscu, piekarnię, stołówkę i wszystkie okoliczne zabudowania a nawet przy pomocy wytwarzanego w niej prądu przepompowywano rurociągiem wodę z odległego o 40 km. kanału. Zapewne nie był to jeszcze szczyt jej możliwości, bowiem statek z pewnością pochłaniał znacznie więcej energii. Po prostu nie było dodatkowych odbiorców.

Staroświecki zegarek

Wraz z nami na praktyce był nasz wykładowca budowy maszyn rolniczych Władimir Michajłowicz Gorochow. W bazie tej była kuźnia, której kierownikiem był dystyngowany, starszy pan, Rosjanin, który mimo gorąca zawsze ubrany był w kamizelką nałożoną na koszulę. Po co mu ta kamizelka myślałem, żeby jeszcze bardziej się spocić? Okazało się że nie koniecznie. Służyła ona jednemu celowi: aby miał gdzie schować swój piękny, staroświecki, kieszonkowy zegarek, który od czasu do czasu wyciągał, zerkał, czy akurat ktoś go widzi i podziwia, po czym niedbale zerkał na godzinę i powoli chował do kieszonki. W kuźni był młot pneumatyczny o sile uderzenia 12 ton. Kiedyś otrzymałem zadanie wykonania pokrętła do gwintowników. W tym celu dostałem kawałek grubego pręta, który należało sklepać i odpowiednio obrobić. Prosta robota zważywszy na sprzęt, którym mogłem dysponować. Podszedłem do tego młota, położyłem na kowadle swój pręt i nacisnąłem nogą na pedał zwalniający bijak. Rozległ się ogromny łomot i z pręta zrobiła się bibułka. Te moje usiłowania obserwował stary kowal. Podszedł do mnie, delikatnie odsunął od młota a następnie wyjął swój piękny zegarek, położył go

na kowadło i nacisnął nogą na pedał. Młot spadł i zatrzymał się tuż nad zegarkiem nie dotykając go. Osłupiałem z wrażenia. Widząc mój cielecy zachwyty kowal bawił się, raz za razem naciskając pedał a zegarek pozostawał bezpieczny. W końcu zdjął go z kowadła i schował do kieszeni. Uczył mnie, jak trzeba postępować z młotem aby to on mnie słuchał a nie ja jego. Był nie tylko bardzo dobrym nauczycielem zawodu, ale również świetnym wychowawcą. Będziecie kiedyś ludźmi wykształconymi, mówił, będziecie mieli swoją załogę. Pamiętajcie, że dobry kierownik zawsze jest razem ze swoimi podwładnymi. Jak ludzie idą podpalić fabrykę, to idźcie razem z nimi, aby się przy tym nie poparzyli. On nauczył mnie jak należy postępować w stosunku do ludzi. Bardzo mi się to przydało wówczas, gdy już będąc w Polsce sam byłem majstrem na oddziale fabrycznym. Stosowałem się do rad swojego wielkiego mistrza z bazy traktorowej na dalekim Kazachstanie. W ramach praktyki, po każdym wytopie czyściliśmy piec, otrzymując za to darmowe posiłki. Jakże to były posiłki to były, ale oszczędzało się w ten sposób parę rubli i łatwiej było przetrwać miesiąc. Głód, który mi doskwierał był taki, że nieraz traciłem poczucie rzeczywistości. Kiedyś po pierwszych dwóch lekcjach w Kapłan Biegu poszedłem na stołówkę, bo wydawało mi się, że jest to już pora obiadu. Dopiero kierowniczką uświadomiła mi, żebym wracał na zajęcia, bo do obiadu to jeszcze trzeba czekać parę godzin.

Łaźnia na pustyni

W czasie drogi powrotnej przez pustynię Gorochow zawiózł nas do „łaźni”. Z wnętrza ziemi wyciekała pod ciśnieniem woda o temperaturze 82 stopni Celsjusza, która następnie była schładzana i rozprowadzana rurami do „kabin” z trzciny, gdzie spływała na ziemię a potem strumykiem dalej w step. Opowiedział nam też historię jej wydobycia. W czasie poszukiwania ropy naftowej stwierdzono, że powinna się ona znajdować właśnie w tym miejscu. Przyjechała ekipa geologów, przywiozła ze sobą niezbędny sprzęt i zaczęły się odwierty. Trwało to dosyć długo, ponieważ pod stosunkowo cienką warstwą piasku znajdują się skały, na których wiertła bardzo szybko się niszczyły i trzeba było sprowadzać nowe. W końcu dokopano się, ale zamiast ropy, z otworu wytrysnęła woda. Zawód był ogromny. Naczelnego geologa ekipy poszukiwawczej, za to, że nie mógł odróżnić wody od ropy na głębokości kilkuset metrów pod ziemią wsadzono do „tury” – więzienia i w którejś z kopalni Sybiru przekonywał się, z kilofem w rękę, co to znaczy niszczyć na darmo wspólne dobro Związku Radzieckiego, czyli drogie wiertła geologiczne. Zarzucono mu sabotaż gospodarczy, natomiast woda płynęła sobie sporym strumykiem w step powodując, że wokół niego zaczęły rosnąć trawy i inna

roślinność. Takiej okazji nie mógł przepuścić pewien pastuch, który pasał kołchozowe kozy. Ponieważ był już człowiekiem leciwym, miał około pięćdziesięciu lat, to jak prawie wszyscy Kazachowie w tym wieku, chorował na stawy i stale chodził do lekarza kołchozowego prosząc o pomoc. Lekarz może i był świadomy tego co robi, ale lekarstw w kołchozie nie było. Nie było też pieniędzy na ich zakup, zwłaszcza dla pastucha. Radził mu wygrzewać nogi na słońcu, Kazach robił to przez całe swoje życie i oczywiście nic nie skutkowało. W końcu kołchoz zakupił jakieś lekarstwa. Między innymi były to zwykłe proszki od bólu głowy. Kazach dostał je i tym samym doczekał się wreszcie pomocy medycznej. Jakież było zdziwienie lekarza, kiedy pastuch przestał go już odwiedzać a po trzech tygodniach zobaczył jak żwawo maszeruje za swoim stadem. Czyżby te zwykłe tabletki pomogły? Dogonił pastucha i zaczął go pytać. Tabletki nieco pomogły, powiedział pastuch, ból był nieco mniejszy ale i tak nie mógł już chodzić i przez cały dzień zmuszony był siedzieć w siodle. Najgorzej jednak było nocą. Nogi bardzo „rwały” i aby ulżyć sobie w cierpieniu siadał nad brzegiem ciepłego strumyka i zanurzał je. Kiedy zrobił to po raz pierwszy, od razu poczuł ulgę, i od tego czasu robił to stale. Po paru dniach czuł się zdecydowanie lepiej a po kolejnych paru był prawie wyleczony. Mógł już na piechotę chodzić za swoim stadem. „Wracz” – lekarz, był człowiekiem światłym. Dał pasterzowi parę butelek i poprosił by przyniósł mu tej wody, po czym wsiadł na konia i zawiózł je do instytutu medycznego w Taszkencie, gdzie wykonano stosowne badania laboratoryjne. Okazało się, że nawet uzdrowiska Krymu nie mają wody tak bogatej w różnego rodzaju minerały. Była to woda najlepsza w całym Związku Radzieckim. Dwa miesiące później w miejscu odwiertu stały już instalacje hydrauliczne i można się było kąpać a ponadto wodą tą napełniano cysterny i wywożono ją do Taszkentu w celu butelkowania i sprzedawania. Okazało się bowiem, że jest też doskonała w smaku i ma właściwości lecznicze również jak się ją pije. Weszliśmy zatem do tych kabin i nie chciało się wychodzić. Wtedy jeszcze nie wiedzieliśmy, że można ją pić, ale każdy „nabąbił” się ile tylko zmieścił zupełnie ignorując to, że na stepie można pić jedynie małymi łyżkami, aby nie „odsolić” organizmu poprzez nadmierne pocenie. Miałem przy sobie kawałek zwykłego szarego mydła, które postanowiłem wykorzystać. Druga okazja do tak solidnego mycia powtórzy się zapewne nie prędko. Okazało się, że to zwykłe mydło znakomicie się pieni, podczas gdy w szkole i na praktyce jakoś tej piany nie było widać. Kiedy skończyliśmy się kąpać, na niebie ukazał się „kukuruźnik” – niewielki, dwupłatowy samolot z czerwonym krzyżem. Wylądował w pobliżu odwiertu i wynieśli z niego na noszach jakiegoś człowieka. To pewnie jakiś ważny towarzysz z Moskwy, stwierdził Gorochow. Po tygodniu będzie już chodził. Nabierzcie tej wody w co kto ma i wracamy do siebie. Nie minęło wiele czasu i woda ta, już butelkowana, pod nazwą „Sariegaczskaja” ukazała się w naszej kawiarni. Była bardzo tania, zaledwie kilka kopiejek. Od tego czasu używaliśmy jej zamiast „kipiatoka”- przegotowanej wody, popijając lepioszki. Kiedy

postawiło się pełną szklanę na noc, to rano była już do połowy pusta, stale wydobywały się z niej bąbelki. I jeszcze jedno. Kiedy byłem w Kapłan Biegu stale pobolewał mnie brzuch z lewej strony. Byłem przekonany, że to żołądek tak dopomina się o jedzenie. Po latach, nasz zakładowy lekarz wysłał nas na kompleksowe badanie. Okazało się, że miałem wrzód na dwunastnicy, ale – jak to powiedział lekarz, w sprzyjających warunkach sam się zagoił zostawiając brzydką bliznę. Kto wie, czy to nie było za sprawą tej wody. Tak się do niej przyzwyczailem, że kiedy wyjechałem z Kapłan Biegu, bardzo mi jej brakowało. Zapomniałem spytać Grochowa, co stało się z odkrywcą tej cudownej wody, czy wypuścili go z więzienia, czy też dalej cierpiał za nie swoje winy. W Związku Radzieckim bardzo łatwo było człowieka zamknąć, w drugą stronę działało to znacznie wolniej. Mógł odsiedzieć swój wyrok, o ile wcześniej nie umarł a potem go zrehabilitowali jak i nas po latach. I tu nasuwa mi się kolejne powiedzonko: „Kto nie buł, to budiet, a kto buł to nie zabudiet”- kto nie był to będzie a kto był to nie zapomni” . Nie trzeba tłumaczyć gdzie, wszyscy wiedzieli aż nadto dobrze.

Błękitne Wzgórze

Ci uczniowie, którzy mieszkali na miejscu, albo przyjeżdżali z Taszkientu, mieszkając przy rodzicach, aż tak bardzo nie głodowali. Każdy z nas starał się wykorzystać każdą okazję, aby tylko zarobić kilka groszy. Niektórzy koledzy przyjechali z aparatami fotograficznymi i zarabiali robiąc a potem sprzedając zdjęcia. Nie był to duży zarobek zważywszy na to, że trzeba było kupić błony fotograficzne i chemikalia, ale zawsze coś im tam zostawało. Kiedyś w ramach zadań lekcyjnym miałem opisać wiatrak, który znajdował się dwa kilometry od Kapłan Biegu na tak zwanym „Błękitnym Wzgórzu”. Miało to miejsce w marcu, kiedy całe pokryte jest pięknymi, żółto pomarańczowymi tulipanami, które nie wiadomo jakim cudem nie wymierają w tym gorącym klimacie, tylko co roku odradzają się wiosną na nowo, podczas gdy już w kwietniu stanowią tylko małą kępkę zupełnie suchych badyli. Tulipany w Polsce prawie nie pachną, natomiast tamte wydają taki zapach, że pięć, sześć kwiatów przyniesionych do pokoju powoduje, że nie można zasnąć. Można „zacadzić”, jak to się tam mówiło. Zrobiłem co miałem do zrobienia i chciałem wracać do internatu, gdy zobaczyłem amatorkę tych kwiatów. To była Niemka z grupy agronomów, piękna dziewczyna, na którą już dawno zwróciłem uwagę. Daria Lorentz. Chwilę postaliśmy, porozmawiali i spacerkiem wróciliśmy razem do szkoły. Nigdy bym się nie domyślił, że ten mało znaczący epizod tyle mnie będzie kosztował. Okazało się, że po drugiej stronie wzgórza

był nasz profesor Gorochow wraz ze swoją małżonką, któremu moje zachowanie bardzo się nie podobało. Dał mi to odczuć już na pierwszej lekcji z maszynoznawstwa stawiając dwóję, chociaż wcale na nią nie zasłużyłem. Poszedłem do niego aby poprawić, ale nie chciał ze mną rozmawiać. Wziąłem się ostro do nauki, ale i to nie przyniosło rezultatów. Na kolejnej lekcji znowu dostałem dwóję i nie dopuścił mnie do egzaminu semestralnego. Opuściłem wszystkie przedmioty, co do których miałem pewność, że zdam i zacząłem ryc maszynoznawstwo. Nie była to prosta sprawa. Przedmiot obejmował wszystkie rodzaje silników i wszystkie maszyny występujące w rolnictwie. Książka liczyła przeszło 500 stron a o jakimkolwiek potknięciu już nawet nie myślałem. Oznaczało by to koniec mojej nauki. Jak ja pokażę się mamie i braciom na oczy? Jedynym moim celem było zdać maszynoznawstwo, nic innego się nie liczyło, nawet głodu nie odczuwałem już tak bardzo jak dawniej. Czekał mnie komisyjny egzamin ale nie tylko z drugiego semestru a z całego roku mimo, że pierwszy semestr miałem przecież zaliczony. Z duszą na ramieniu poszedłem na ten egzamin i nadspodziewanie łatwo zdałem. Dlaczego obywatelu profesorze miałem takie trudności? Spytałem, gdy już było po wszystkim. Bo ty na to Błękitne Wzgórze chodziłeś zawracać dziewczynie w głowie. Niech ona się uczy i ty się ucz, nie myśl o dziewczynach. Nie mógł mi tego po prostu powiedzieć? No cóż, każdy ma swoje metody. Tą moją sprawę z pewnością omawiano głośno w pokoju nauczycielskim, bo pewnego dnia zaczęła mnie nauczycielka od języka niemieckiego, która z pewnością niepokoiła się o swoją rodaczkę. Zwróciła mi uwagę, żebym się ogolił, bo rosną mi brzydkie kłaki na brodzie. Co jej do tego, pomyślałem, ale za chwilę już byłem w domu. Jak będziesz chciał gdzieś iść z dziewczyną, to nie choć na Błękitne Wzgórze, czy do parku. Możecie iść do klubu. Po co komplikować sobie życie? No więc nie miałem wyglądać jak menel i unikać dziewczyn a wtedy istnieje szansa abym skończył technikum. Ta nauczycielka – nazywaliśmy ją Tosia albo Taisa, z racji swojej narodowości, też była więźniem. Miała ona 5 letnią córeczkę, którą posyłała do szkoły baletowej. Pragnęła w ten sposób zapewnić dziecku jakąś godziwą przyszłość. Mawiała, że ona już nie marzy o tym, że kiedyś sama naje się do syta chleba, ale żeby jej córeczka nie chodziła głodna. Jeżeli nauczy się dobrze tańczyć, jeżeli zatrudnią ją w jakimś balecie, to nie będzie głodować. Pomimo, że część nauczycieli była więźniami i pracowali za głodowe pensje, to zawsze byli oni schludnie, chociaż biednie ubrani. Nigdy też nie widziałem nauczyciela z papierosem w ustach. Natomiast uczniom wolno było palić, zwłaszcza, że w większości byli to już ludzie pełnoletni. Nauczyciela, którego przyłapano by z papierosem czekało przesiedlenie do kołchozu. Zaczął się czas, kiedy państwo radzieckie postanowiło przeciwdziałać temu nałogowi a nauczyciele mieli dawać przykład. Pojawiały się hasła w rodzaju: "czto tam mnoga gawarit, postarajties nie kurit" – co tam dużo mówić, postarajcie się nie palić, albo „ci co nie palą, umierają zdrowsi”. Gorochow, który był naszym opiekunem też nie palił.

Wojenne przeszłości

Gorochow opowiadał nam, że w czasie wojny studiował w Moskwie. Widocznie nie miał porządnego odzienia, bo marzył straszliwie, kiedy musiał stać na dachu wysokiego budynku i pracować za radar obserwując, czy nie nadlatują niemieckie samoloty. To było jednak nic w porównaniu z przeżyciami jednego z naszych kolegów, który walczył pod Stalingradem. Nie chciał mówić o swoich przeżyciach, ale kiedyś zebrało mu się na zwierzenia. Był ciepły wiosenny wieczór, w parkowym stawie kumkały żaby, a my siedzieliśmy na ławce w parku odpoczywając po całym dniu wypełnionym zajęciami. Mówił, że w pewnym momencie Niemcy przerwali całkowicie możliwość zaopatrzenia w żywność niszcząc wszystkie statki zanim zdążyły przepłynąć Wołgę. Szczęśliwie mieli jeszcze pod dostatkiem amunicji, bo wówczas pewnie by z nami nie rozmawiał, ale żywność kurczyła się gwałtownie. Przez ostatnie dni jedli tylko raz dziennie. Tyle tylko, by mieć siłę utrzymać karabin i odpierać coraz częstsze ataki wroga, który wyczuł swoją szansę i robił to coraz częściej. Po kilku dniach, aby nie umrzeć z głodu wybierali się nocą na pole zamrożonej kapusty, wygrzebując ją bagnietami spod śniegu. Nie na długo to wystarczyło. W pewnym momencie posunęli się do ostateczności. W ciągu dnia zabijali Niemców, którzy pchali się na ich pozycje a nocą przyciągali ich trupy na swoje linie obrony i po prostu zjadali, wybierając przy tym oficerów, ponieważ szeregowi byli zagłodzeni i zawszeni tak samo jak i oni. Kiedy to mówił ręce zaczynały mu się trząść, słowa więzły w gardle i po chwili zmienił temat rozmowy. W naszej grupie byłem jednym z najmłodszych. Trafiali się mężczyźni, którzy dobiegali już do czterdziestki a którym różne koleje losu nie pozwalały do tej pory na naukę. Pomimo, że byli to ludzie z bardzo dużym bagażem przeżyć, wszystkich nas traktowano jednakowo, z czego raczej korzystali tacy chłopcy jak ja, do których profesorowie odnosili się z równie dużym szacunkiem. No, może nie zawsze i nie do końca – mam tu na myśli moje przejścia z Gorochowem, a przecież i ja, mimo młodego wieku miałem już zebranych sporo negatywnych doświadczeń życiowych nieraz ocierając się o śmierć.

Uborszczyca

Nowy Rok spędziłem w klubie, gdzie grał „Duchowej orkiestr” czyli orkiestra dęta i odbywał się bal maskowy. Jedna z dziewcząt miała szczególnie duże wzięcie. Każdy z chłopców chciał z nią tańczyć, bo robiła to z wyjątkowym wdziękiem. Była przebrana za koguta i twarzy jej nie było wcale

widać. Koledzy robili zakłady kto to jest wymieniając co piękniejsze dziewczyny w szkole. W tym czasie trwała budowa kanału Wołga – Don i dużo dziewczyn było poprzebieranych za te rzeki, wykorzystując do tego zwoje materiału, z którego robiły fale. Wielu z tych, którzy przybyli z odległych rejonów Związku Radzieckiego, gdzie panują srogie mrozy przebierało się za bałwany i za nie znanych tutaj „Dziadków Mrozów”, oblepiając się pękami bawełny. Po godzinie dwunastej wszyscy zdjęli maski i okazało się, że ta wspaniała tancerka to nasza „uborszczyca” - sprzątaczką, która dawno już skończyła pięćdziesiąty rok życia. Zajmowała się utrzymywaniem porządku na korytarzach i w stołówce, bo o czystość w pokoju musieliśmy dbać sami. Jakoś nagle przestała mieć powodzenie w tańcu. Zwykła dola starego człowieka.

Wierzył w Stalina

Jednym z przedmiotów do obowiązkowego zaliczenia było „Przysposobienie wojskowe”. Uczył nas stary dystyngowany kapitan w stanie spoczynku, który zawsze chodził w mundurze, a czasie wojny, podobnie jak nasz kolega walczył pod Stalingradem. W ramach tych zajęć mieliśmy musztrę, chwyt bronią, rzuty granatem, biegi, walkę na bagnety i zajęcia teoretyczne. W swoim ciasnym umyśle był głęboko przekonany o sile i nieomyślności partii bolszewickiej, wielkości Związku Radzieckiego i żywił pogardę dla innych krajów a w szczególności do Polski. Ty Polak! Mówił do mnie jak już dowiedział się jakiej jestem narodowości. Jak Niemcy przez Polskę przechodzili, to nawet jeden ich żołnierz nie zginął, takie to wy macie wojsko. Korciło mnie strasznie, żeby przypomnieć mu bitwę polsko – bolszewicką z sierpnia 1920 roku, o której słyszałem będąc jeszcze w Pietraszuńcach, ale ugryzłem się w język. Niech tam ten nadęty bufon mówi sobie co chce, ja muszę skończyć szkołę a to by mi z pewnością nie pomogło. Miałem kiedyś satysfakcję widząc mojego groźnego nauczyciela w stanie, w jakim z pewnością nie chciał być oglądany. Zaczę od tego, że picie alkoholu w szkole a i poza nią przez uczniów i nauczycieli było surowo zabronione. Uczniowie nie mogli dlatego, że tak stanowił regulamin szkoły, natomiast nauczyciele mieli dawać przykład. W przypadku uczniów groziło to wydaleniem ze szkoły, w przypadku nauczycieli zwolnieniem z pracy i przeniesieniem do kołchozu. Dla naszego kapitana Stalin był nieomal bożyszczem. Głęboko wierzył w jego niezmierną mądrość i prawość. Kochał go pewnie bardziej niż własnego ojca. Tymczasem Stalin zmarł, co przyjął jeszcze względnie spokojnie. W końcu i tak każdego to czeka, ale jakiś czas później okazało się, że wcale nie był to taki ideał jak myślał. Na tym tle doszło w szkole do strajku, o którym będę jeszcze pisał. Tak to przeżył, że niepomny na nic upił się w sztok i leżał pod „czajchaną” –

herbaciarnią w zbrukanym mundurze i z twarzą w treści swojego żołądka, który nie wytrzymał nadmiaru alkoholu. Uczeń na jego miejscu pożegnał by się ze szkołą. Jemu uszło to na sucho. Jakoś nikt go „nie zauważył”. Od tego momentu przycichł bardzo. Opuściła go dawna buta i zaczął traktować nas z większym szacunkiem. Zawalił się jego dawny świat. Zaczął budować sobie nowy, bardziej ludzki.

Jedno bardzo sekretne miejsce

W czasie największych upałów w Kapłan Biegu zachowywano się podobnie jak w „Bolszewiku” nikt nie wychodził na zewnątrz, aby nie narażać się na udar słoneczny. A tymczasem, zobaczyłem pewnego razu, że około godziny dwunastej idzie w step oddział wojska, z plecakami ale bez broni, prowadzony przez swego dowódcę. Bardzo mnie to zastanowiło, ponieważ nie wyglądali oni jak zwykli żołnierze. Przede wszystkim wielu z nich było mocno wytatuowanych, czego w zwykłych jednostkach raczej się nie spotykało. Ponadto mieli na głowach grube, filcowe kapelusze chroniące przed słońcem. Z pewnością była to jakaś karna kompania, która powstała z recydywistów odbywających karę więzienia. Nasze technikum miało swoje poletka doświadczalne, gdzie i ja nieraz chodziłem. Kiedyś zobaczyłem, że przez to poletko biegnie świeżo wykopany rowek a jeden z żołnierzy jeszcze go kończy. Dalej rowek ten prowadził daleko w step, a obok niego leżały, ułożone „pod sznurek” plecaki. Możesz mi powiedzieć dokąd on prowadzi? Spytałem żołnierza, wskazując na niego?. Mogę, mruknął ponuro. W jedno bardzo sekretne miejsce. Tam gdzie był nauczono go bardzo dobrze, by umiał trzymać język za zębami. Nie wiem gdzie oni stacjonowali, ale ich wyprawy w step, w czasie największego upału były częste.

Odpuście mi moje grzechy

W szkole było zabronione uprawianie jakiegokolwiek kultu religijnego. Za to również groziło skreślenie z listy uczniów. Za co ono nie groziło? Trzeba było mieć dużo szczęścia, by uniknąć tych wszystkich pułapek zastawianych przez sprytną dyrekcję szkoły czerpiącą nauki z niezwykle doświadczonego we wszelkiego rodzaju szykanach NKWD. Mimo to modliłem się codziennie. Rano podczas drogi na wykłady a wieczorem, tuż przed udaniem

się na spoczynek wychodziłem z sali, by nie narażać kolegów (wiedział a nie doniósł) i spacerowałem po chodniku przed budynkiem odmawiając wieczorny pacierz. Po czasie okazało się, że ta moja konspiracja jest publiczną tajemnicą, przynajmniej na mojej sali. Kiedyś Grisza Michniewicz, wykorzystując moment, kiedy byliśmy sami zapytał mnie: Wania, ty się modlisz? Modłę się, odparłem. Nie było sensu zaprzeczać, nie chciałem zapierać się własnej wiary. Okazało się, że koledzy to uszanowali. Nikt się ze mnie nie śmiał ani też nikt nie doniósł o tym do dyrekcji szkoły. Nawet Kazachowie oficjalnie się nie modlili. W państwowym technikum trzeba było postępować jak państwo sobie tego życzyło. Co innego na stepie, tam oni nie przejmowali się oficjalnymi zakazami. Pewnie robili podobnie jak ja. Mam tu na myśli Kazacha, byłego żołnierza desantowca, który przybył do naszej szkoły chudy jak szkielet, ponieważ nie jadał wieprzowiny serwowanej w jego jednostce. Wykazując się takim hartem ducha w dziedzinie przestrzegania wymogów Koranu musiał też po cichu zmawiać ich modlitwy, niekoniecznie przy tym klękając i bijąc czołem o ziemię. Allah z pewnością wybaczył mu to drobne uchybienie. W każdym razie w rejonie szkoły nie było żadnej świątyni ani meczetu. W Taszkencie też niczego takiego nie widziałem. Kiedyś wpadła mi w ręce mała kartka, zapisana dziecięcym pismem. Pisało ją dziecko, które umierało gdzieś w tajdze na dalekiej Syberii. Nie bało się śmierci, nic gorszego spotkać je już nie mogło, co spotkało do tej pory. Ubolewało nad jednym. Jak je Pan Bóg przyjmie do siebie gdzieś tam wysoko w Niebie, kiedy ono nie wypowiedało się i nie dostało rozgrzeszenia. Dlatego spisało swoje grzechy na kartce i dało dobrym ludziom z prośbą. Jeżeli doczekają tego, że będą mogli spotkać gdzieś księdza, niech przekażą mu tą kartkę z prośbą, aby udzielił rozgrzeszenia. Co tu więcej napisać o tej ostatniej spowiedzi umierającego dziecka, gdy łyzy cisną się do oczu? Trzeba po prostu zamilknąć.

Ruda Gruzinka

W szkole była jedna dziewczyna, Gruzinka, która miała nieszczęście mieć rude włosy. Nie przynosiło jej to chwały. Wręcz przeciwnie. Na każdym kroku była w jakiś sposób szykanowana. Rudy to fałszywy, rudy przynosi nieszczęście, odsuwały się od niej koleżanki i była gorzej traktowana przez profesorów. Niemniej jednak uczyła się dobrze i z powodzeniem ukończyła pierwszy rok. Zdawało się, że w końcu dadzą jej spokój i pozwolą dziewczynie dobrać jakoś do czwartej klasy. Nic z tego. Po wakacjach zjawiała się ponownie w szkole ale zdecydowała się na bardzo ryzykowny krok. Zafarbowała włosy na czarno, by raz na zawsze oddalić powód gorszego

traktowania swojej osoby. To była przyczyna skreślenia jej z listy uczniów. W dniu, kiedy zjawiała się w szkole już musiała jechać z powrotem. Nie do pomyślenia też było, by dziewczyna, nawet poza zajęciami szkolnymi miała pomalowane usta, pomalowane paznokcie czy założony kolczyk. To ją natychmiast dyskwalifikowało jako uczennicę. Kiedyś jedna przyszła na zajęcia w butach na podwyższonych obcasach i została wyproszona za drzwi a studentki z Taszkientu, ubrane w spodnie nie zostały wpuszczone do naszego klubu. Wszyscy musieli być zrównani do dołu, do ponurej szarości, w której nie mogli się niczym wyróżniać. Podstawowym celem władzy było przede wszystkim złamanie ducha obywateli poprzez codzienne zastraszanie. Bojący się są bardziej posłuszni, bardziej wrażliwi na odgórne sterowanie.

Tajny milicjant

Pisałem już, że w naszym pokoju mieszkał Abchaz Kajczujew. Było to ogromne, niezwykle silne chłopisko. Wszystkie wolne od nauki chwile poświęcał by rozwijać się fizycznie, bowiem jego hobby były zapasy. Kładł się nieraz na podłodze w naszym pokoju w sposób jaki sobie wybraliśmy. Naszym zadaniem było przygnieść go do podłogi tak, by nie mógł wstać. Na nic zdawały się nasze wysiłki. Spadaliśmy z niego jak dojrzałe gruszki z drzewa. Na terenie szkoły, szczególnie po zapadnięciu mroku nie było za bardzo bezpiecznie. Stanowiliśmy zbieraninę najróżniejszych kultur i narodowości. Jakiś niepotrzebny gest w ciągu dnia, krzywe spojrzenie, czy „obraza” Allacha mogły zakończyć się kindziałem pod żebrami i poszkodowany nie wiedział by nawet za co oberwał. Aby nie narazić się na takie przykrości lepiej było samemu nie wychodzić z pokoju. Dyrekcja wiedziała o tym i postanowiła przeciwdziałać powołując z pośród silnych, wysportowanych uczniów tajną milicję. Kajczujew dostawał do obrony bagnet i wraz z innym „milicjantem” wyruszał na obchód terenów szkoły. Oczywiście nikt o tym nie miał wiedzieć, ale przed kolegami z pokoju nie był zbyt tajemniczy, chociaż nigdy nie powiedział niczego na temat tego swojego dodatkowego zajęcia. Musieli mu surowo zabronić, a miał się czego obawiać. Był on więźniem pod specjalnym nadzorem tak zwany „zsylnyj”, specjalny wysiedleniec.

Znokautował jednym ciosem

Szkoła kładła duży nacisk na sprawność fizyczną uczniów. Każdy kto chciał mógł ćwiczyć. Przyrządy do tego znajdowały się na placu w pobliżu parku i były ogólnie dostępne. Problem był raczej w tym, że takie ćwiczenia wyzwały dodatkowy głód, choć z drugiej strony pozwalały o nim zapomnieć. Korzystałem z tych urządzeń dosyć często i w końcu doszedłem do niezłych wyników. Mogłem kręcić się w kółko na drążku, trzymając się za niego rękami, czy też utrzymać swoje ciało na wyciągniętych w bok rękach. Kiedyś zobaczył mnie przy tych ćwiczeniach nasz nauczyciel wychowania fizycznego. Był to stary marynarz, noszący przysługującą tylko marynarzom tym pozostającym na służbie i tym byłym „tielmiaszkę”, - koszulkę bawełnianą w poprzeczne paski. Zawołał mnie do siebie, z dezaprobatą popatrzył na moje chude ramiona i po chwili zastanowienia podjął decyzję. Ty powinieneś trenować boks. Przyjdź do mnie na trening. Dlaczego nie? Pomyślałem i zgodziłem się. Zaczęły się ciężkie treningi, zarówno te ogólnorozwojowe jak i specjalne dla bokserów. Pamiętam, że w pierwszych tygodniach trudno mi było utrzymać ręce w pozycji osłaniającej twarz i klatkę piersiową. Po paru minutach męczyły się i opadały. Dopiero ćwiczenia z ciężarkami w dłoniach wzmocniły mi je na tyle, że mogłem się skutecznie zasłaniać nie myśląc już o tym. Rola obrony u dobrego boksera jest drugorzędna, chociaż też ważna, tłumaczył mi trener. Ty musisz myśleć przede wszystkim o tym, jak dobrać się do przeciwnika. Nie będziesz boksował, to nie będziesz wygrywał, samym zasłanianiem się nic nie wskórasz. Brałem sobie te jego rady do serca. Dostałem rękawice bokerskie, które trzymałem pod łóżkiem i oprócz tych oficjalnych treningów na sali pod jego okiem ćwiczyłem również z kolegami mieszkającymi wraz ze mną w pokoju, na co Kajczujew, miłośnik zapasów i siłacz patrzył z lekkim pobłażaniem. Takich bokserów jak ja trzeba by na niego kilku a i tak końcowy wynik walki byłby łatwy do przewidzenia. Dla siebie musiał by mieć przeciwnika co najmniej równego wzrostem i siłą. Po paru tygodniach treningu miałem swoją pierwszą w życiu walkę w ringu. Jako przeciwnika, nasz nauczyciel wyznaczył mi Koreańczyka, który trenował znacznie dłużej ode mnie. Pierwsza runda była wyrównana, no może z jego lekką przewagą, bo po pierwsze miałem wielką tremę a po drugie czułem, że był nieco lepszy ode mnie. Starłem się jak mogłem aby go trafić, ale co podchodziłem bliżej, to zaraz jego pięści fruwały gdzieś w okolicach mojego nosa dochodząc od czasu do czasu do celu, ale i mnie udało się parę razy trafić. Właśnie zacząłem się dobrze rozgrzewać, gdy głośny gwizd przerwał walkę. Nastąpiła przerwa między rundami. Drugą rundę wygrałem już bez problemów. W pewnym momencie mój przeciwnik zaczął ciężko dyszeć i stawał się coraz wolniejszy. To mnie uskrzydliło. Podbiegałem do niego, biłem, odskakiwałem nie dając się samemu trafić i wygrałem swoją pierwszą w życiu ringową walkę. Później dowiedziałem się, że palił papierosy i dlatego nie miał kondycji. Byłem

bardzo dumny z tego pierwszego zwycięstwa i to spowodowało, że poczułem się silny. Kiedyś na treningu tak mocno uderzyłem w gardę trenera, że jego pięść odbiła mu się na nosie. Musiało go zboleć, bo już po chwili oglądałem sufit naszej sali gimnastycznej. Znokautował mnie jednym ciosem, nawet nie wiedziałem kiedy i nawet nie zdążyło mnie zboleć. Dopiero podczas jedzenia lepioszki przekonałem się jaką ma ciężką rękę. Dolna szczeka wyskoczyła mi nieco z zawiasów i każdy jej ruch okupiony był bólem, ale treningów nie zaniechałem. Prawdziwy twardziel nie poddaje się nigdy. Dzisiaj muszę przyznać, że to moje boksowanie kilka razy przydało mi się w późniejszym okresie, jeszcze na zsyłce i potem w Polsce.

Zielony wąż

Nasz nauczyciel WF bardzo dbał byśmy mieli dobrą kondycję słusznie twierdząc, że jest ona podstawą każdego rodzaju sportu. Abyśmy ją zdobyli, często urządzał nam długie biegi po stepie, co jest bardzo męczące, ponieważ nogi zapadają się w piasku a dodatkowo, w okolicach Taszkientu nie było wcale chłodniej niż w „Bolszewiku”. Od marca zaczynały się już upały. Kiedyś po takim biegu pozwolił nam nieco odpocząć w cieniu pod wielkim krzakiem, który wyrósł nadszpiewanie wysoko znajdując pewnie pod swoimi korzeniami jakąś podziemną wodę. Siedział z nami i rozwodził się o potrzebie sportowego stylu życia, kiedy prosto na niego wypełził zza krzaka wielki zielony wąż. Zamilkł raptem, i poderwał się jakby do ucieczki, ale zobaczywszy, że my siedzimy, lekko zawstydzony został na miejscu, chociaż widać było, że się boi. Zapadła krępująca cisza. Ja wiedziałem, że takie węże są zupełnie nieszkodliwe, trzymane nieraz w domu jako maskotki i Kazachowie, którzy byli w naszej grupie też bardzo dobrze o tym wiedzieli. Jeden z nich, aby rozładować krępującą sytuację chwycił tego węża w ręce, pobawił się nim i podał nauczycielowi. Jemu aż pot wystąpił na czole ze strachu, ale nie mógł pokazać przed nami słabości. Aby udowodnić, że się nie boi, wsadził go sobie za koszulkę. Przestraszony gad kręcił się ocierając swoim zimnym ciałem o spoconego nauczyciela, który zniósł to mężnie i poszedł z nim do szkoły do pokoju nauczycielskiego. Pewny już teraz, że nic mu się nie stanie, postanowił wystraszyć koleżanki z pracy. Udało mu się to znakomicie. Kiedy spod jego koszulki wyrżał nagle obły zielony łeb, a za nim na podłogę wysunął się cały gad, wpadły w popłoch i zaczęły z krzykiem uciekać na korytarz. Nawet nie zauważyłem, mówił później do nich, jak mi ten wąż wpadł pod koszulkę, taki byłem zaangażowany w pracy, ale co tam dla mnie węże, ja się ich nie boję.

Za wszystko trzeba płacić

W naszym pokoju stał wielki kaflowy piec, który jedynie zajmował miejsce. Zimą temperatura spadała nocą do kilku stopni powyżej zera, ale w dzień powietrze bardzo szybko nagrzewało się i przeważnie było cieplej niż latem w Polsce. Dostaliśmy zresztą koce i bieliznę pościelową, która była wymieniana raz na 10 dni. Chłodniejsze noce powodowały jedynie to, że spało się o wiele lepiej niż latem. Podczas zmiany pościeli pani magazynierka uważnie sprawdzała, czy nie jest ona gdzieś rozdarta, albo uszkodzona w jakiś inny sposób. Za każdą szkodę spowodowaną szkole trzeba było bowiem płacić. Kiedyś graliśmy w piłkę na boisku przed szkołą. Jeden Grek kopnął ją tak niefortunnie, że wybił szybę w oknie. Żadnej afery z tego powodu nie było, po prostu wstawili szybę i potrącili mu ze stypendium, a to oznaczało, że przez parę dni nie będzie miał co jeść.

Dżuma

Nasza szkoła miała również hodowlę świń, co oczywiście nie podobało się Kazachom, którym religia zabrania spożywania ich mięsa jako nieczystego. Dlatego też byli pewnie bardzo zadowoleni, gdy na świnie spadła zaraza. Wszystkie bez wyjątku zachorowały na dżumę, chorobę, która wydawać by się mogło dawno już została opanowana. Nie wiem jaka jest różnica pomiędzy świńską odmianą tej choroby a ludzką, ale w czasie tej epidemii nikt się jakoś nami w specjalny sposób nie interesował. Najważniejsze były świnie. Mało tego. Mięso ze zdechłych świń bardzo szybko, ku naszemu zadowoleniu, pojawiło się na stołówce i można je było kupić za mniej niż połowę normalnej ceny. Nie sprzedawano jedynie łbów i kręgosłupów, gdzie ponoć znajduje się źródło tej choroby. Nareszcie spróbowałem mięsa, które ostatni raz jadłem jeszcze przed naszą wywózką i wcale mi nie przeszkadzało, że pochodzi ono ze zdechłego, chorego zwierzęcia. Tymczasem zaczęła się wielka batalia o uratowanie pozostałych przy życiu świń. Wykładowcy z grupy zootechników wzięli sobie za cel dokonać cudu i dokonali. Sprowadzili jakieś zagraniczne zastrzyki i pięć z pośród trzydziestu świń wyzdrowiało, chociaż wyglądały one jak szkielety. Odtrąbiono niebywały sukces, bo ponoć wyleczenie świni z dżumy jest tak samo trudne jak wyleczenie człowieka.

Hodowla owiec

Hodowano również owce. Wykładowcy z grupy zootechnicznej starali się uzyskać odmianę tych zwierząt dającą najbardziej wartościowe karakułowe skórki. Wszystko to odbywało się w warunkach, które na obecnym etapie rozwoju ludzkości wydają się wręcz barbarzyńskie. Posuwali się do tego, że zabijali młode owce w łonach matek tuż przed wykoceniem, aby uzyskać specjalne efekty: brązową kręconą wełnę z białymi czubkami i wcale nie uważano, że jest to coś nagannego. Trudno się dziwić. W czasach, gdy miliony niewinnych ludzi umierało w łagrach z głodu i ciężkiej, ponad siły pracy, kogoś, kto ujął by się za nie narodzonymi owcami uważano by za chorego umysłowo i odesłano do szpitala psychiatrycznego, z czego zresztą nadzwyczaj często korzystano, wmawiając niewygodnym dla reżimu ludziom choroby psychiczne. Myślę, że w mentalności Rosjan takie postępowanie było zupełnie naturalne. W mojej w owym czasie też. Mało tego, byłem bardzo zadowolony, kiedy uśmiercano kolejną partię jagniąt. Powód tego był prosty. Na stołówce pojawiały się tuszki tych owczych niemowląt, które można było kupić za bardzo umiarkowaną cenę. Oprócz karakułów były również owce hodowane na wełnę. Jako mechanizatorzy rolnictwa mieliśmy za zadanie strzyc tą wełnę maszynkami na prąd. Normalnie strzyżono je zwykłymi ręcznymi nożycami, ale przecież my mieliśmy wprowadzać w kolchozach mechanizację. Miałem podczas tej nauki bardzo nieprzyjemną sytuację. Owca, którą strzygłem, szarpnęła się nagle, wierzgnęła tylnymi nogami, a ponieważ leżała wówczas na plecach, trzymana przez moich kolegów, którzy nie przykładali się zbytnio do tego zadania, skaleczyłem ją mocno w wewnętrzną stronę uda. Skóra została rozcięta na długości prawie 10 cm i zaczęła mocno krwawić. Przerwałem strzyżenie i natychmiast zgłosiłem wykładowcy o tym co się stało. Myślałem, że będę miał przykrości. Nic z tych rzeczy. Od razu zorganizowano ekipę, która pokazała uczniom jak należy postępować w takim przypadku. Ranę zaszyto, zdezynfekowano i nic nie stało na przeszkodzie bym skończył strzyżenie.

W Kazachstanie nikt jeszcze nie używał elektrycznej dojarki do krów, a my już musieliśmy znać jej budowę, sposób działania i umieć ją obsłużyć. Trenowaliśmy zatem „na sucho” a mój starszy kolega, który kończył już technikum, jako pracę dyplomową wykonał model takiej dojarki. Ja nie mogę pochwalić się takimi osiągnięciami, ale i mnie zdarzyło się dorobić od podstaw część do maszyny, co znalazło uznanie w oczach wykładowców. Chodziło o zwykłą dużą nakrętkę, którą samodzielnie odlałem z roztopionego aluminium a następnie obrobiłem mechanicznie tak, że była gotowa do zamontowania. Moja nakrętka została powieszona w gablocie na korytarzu, jako przykład dobrze wykonanej pracy z czego oczywiście też byłem dumny.

Mądra klacz mnie zastąpiła

Oprócz świń i owiec, w technikum hodowano również konie, przy których też mieliśmy praktyki. Kiedy klacz ma się źrebić, to należy pilnować tego momentu. Nie dlatego, żeby jej w jakikolwiek sposób pomóc bo ona tego nie potrzebuje, ale po to, by po przyjściu na świat źrebaka rozciąć szybko błonę, w której się rodzi aby się nie udusił. Oczywiście trzeba ją obserwować dzień i noc, bo nikt nie wie, kiedy małe zdecyduje się przyjść na ten świat. W stajni było wydzielone, oszklone pomieszczenie służące specjalnie do tego celu. Kiedyś przypadł mi w nocy dyżur przy takiej źrebnej klaczy. Pełniłem go solidnie prawie do rana i nic się nie działo. Później nie wiedząc kiedy zasnąłem na krześle. Kiedy się obudziłem, było już po wszystkim. Mądra klacz, która rodziła już któryś raz z rzędu sama rozerwała zębami błonę, a mały już próbował wstawać by dobrać się jej do wymion. Mały źrebaczek, gdy się rodzi, to kopytka ma całkiem miękkie, ale bardzo szybko mu twardnieją. Stara się też jak najprędzej stanąć na nogi a gdy już opanuje tą sztukę, to idzie ssać i zaczyna nieudolnie brykać.

Jestem pomocnikiem Gustka

Kiedy przyjechałem do Kapłan Biegu moja szkoła nazywała się „Technikum Zooweterynaryjne”, co nie do końca oddawało profil nauczania, bowiem w ramach tego technikum utworzono z czasem grupę mechanizatorów rolnictwa, do której i ja zostałem przyjęty. Przez rok nie zmieniano nazwy szkoły, ale kiedy po praktyce wakacyjnej zawitałem do niej po raz drugi, przywitało mnie Kapłan Biegskije Sielskochozajstwiennyje Technikum, czyli w wolnym tłumaczeniu Technikum Mechanizacji Rolnictwa.

Rok szkolny minął mi nadspodziewanie szybko, zaliczyłem wszystkie przedmioty i uzyskałem promocję do następnej klasy. W naszym technikum nie było wakacji w dzisiejszym rozumieniu tego słowa. Owszem, była przerwa w nauce, ale po to by jechać do jakiegoś kołchozu i odbywać praktykę zawodową pracując na maszynach. Prosiłem dyrekcję szkoły, aby pozwolono mi odbyć taką praktykę w kołchozie „Bolszewik” i ku mojej radości otrzymałem na to zgodę pod warunkiem, że „priedsiedatiel” napisze mi opinię z odbytej praktyki. Zostałem przydzielony do brygady traktorowej, jak to było do przewidzenia i pracowałem jako pomocnik kombajnisty a moim szefem był Gustek. Wysłali nas na całe lato w step, dosyć daleko od „Bolszewika” bo około 20 km. Kosiliśmy ogromny łąn pszenicy na stepie zagospodarowanym, to znaczy

zaorany i nawożony przez nasz kołchoz. Żaden z kołchozów nie miał bowiem limitu posiadanych upraw. Nawet, gdyby chciał zagospodarować tysiące hektarów mógłby to zrobić. Po prostu traktory wjeżdżały w ziemię niczyją, wyrównywały teren, jeżeli trzeba było to robić, orały, siały i kołchoz czekał na plony. Te były nadzwyczaj marne. Biorąc pod uwagę nakłady z pewnością były to działania deficytowe obliczone na to, że może kiedyś w przyszłości zbiory będą lepsze. Na razie nie mogły być, ponieważ nie było nadzoru. Ziarno siewne wywiezione w pole zniknęło jeszcze przed zasianiem a siewniki były tak ustawiane, że odległość między jednym a drugim żdźbłem zboża wynosiła nawet kilkadziesiąt centymetrów. Jedyne Zygmunta i Gustek wysiali ziarno siewne w całości i na obrabianym przez nich polu zbiory były jako takie, czy nawet dostateczne a już wspaniałe w porównaniu do tych na innych plantacjach. Zyskali za to obydwaj szacunek Kazachów i na szacunku się skończyło. Gratyfikacji nie było żadnej a pozostali traktorzyści nie zmienili swego postępowania. Dziwna sprawa, wszyscy o tym wiedzieli i akceptowali stan rzeczy a NKWD nie interesowała się tym jawnym przecież sabotażem gospodarczym. To jednak nie był mój problem. Wzięliśmy z Gustkiem do kombajnu dwie 30 litrowe bańki z wodą do picia i pojechaliśmy kosić, ciągnąc za sobą zbiornik na słomę, który zostawiliśmy w pobliżu jurty Kazacha, którego żony gotowały nam jedzenie. Podparłem jego zaczep kołkiem, aby nie leżał na ziemi i miał czekać do chwili aż żniwa zostaną zakończone i zawieziemy go z powrotem do bazy. Wzięliśmy ten zbiornik ze sobą, żeby nie prowokować brygadzysty jawnym lekceważeniem jego poleceń, ale ciągnąć go po polu nie było sensu. Pszenica w Kazachstanie jest bowiem zupełnie inna niż w Polsce. Bardzo niziutka, rosnąca tuż nad ziemią z cienkimi kłosami i zupełnie białym ziarnem. Prawie takim jak ryż. Ziarno to trzyma się bardzo mocno w swoim koszyczku i nie istnieje niebezpieczeństwo, że będzie „sypać” przed zbiorem. Tak mocno, że nieraz trafiały się nie wymłócone kłosy, które przeszły już przez wał młócający kombajnu. Słoma wychodząca z kombajnu jest tak krótka i lekka, że wiatr ją rozwiewa i niewiele trafia do zbiornika. Pole było tak ogromne, że jadący z szybkością 5 km/godz. kombajn na jazdę tam i z powrotem tracił cały dzień. Kiedy wracaliśmy pod jurte Kazacha było już ciemno. W ciągu całego dnia młóciliśmy dwa zbiorniki zboża, które zabierała przysyłana z kołchozu ciężarówka. W czasie pracy najbardziej dokuczał upał. Co prawda kombajn miał mały daszek z brezentu rozpiętego na stelażu z rurek, który chronił nieco przed słońcem ale tuż przy siedzeniu kierowcy i pomocnika był rozgrzany od pracy silnik. Tak więc z góry ogrzewało słońce, z dołu silnik i było jak w przedsionku samego piekła. Wodę co prawda mieliśmy ze sobą ale nie można jej było pić do woli, tylko niewielkimi łykami, co jakiś czas, jak to jest przykazane na pustyni.

Miraż

Będąc z Gustkiem naszym kombajnem w połowie plantacji zobaczyliśmy w pewnym momencie jezioro. Wyraźnie widać było niebieską wodę, duże drzewa pochylające się nad brzegiem, jakieś zwierzęta, czy ludzi na brzegu, z daleka trudno było rozróżnić. Jedziemy? Spytałem go pokazując wodę. Spojrzał i aż roześmiał się z radości. Pewnie, że jedziemy. Wykąpiemy się i zaraz będzie inaczej. Podniósł do góry przyrząd tnący kombajnu, aby zwiększyć prędkość do 30 km na godzinę i ruszyliśmy. Po drodze spotkaliśmy ubranego w długi chałat, z turbanem na głowie Kazacha. Jechał na wielbłądzie, który ryczał tęsknie i spoglądał w stronę odległej wody. Zatrzymał nas i spytał dokąd jedziemy. Gustek mu odpowiedział. Tam nie ma żadnej wody tylko sam piasek, to tylko złudzenie. Mój wielbłąd też ją widzi i chciałby tam pobiec, dlatego tak ryczy. Rozczarowanie było wielkie ale nasza jazda nie odbyła się na próżno. Kazach miał w jukach melony, arbuzy i dynie, których by się pozbył z lekkim sercem patrząc zachłannie na naszą pszenicę. Machniom? Pewnie, że machniom. Kto by nie skorzystał z takiej okazji? Wokoło tylko step i nic więcej, żadnego żywego ducha, a nam tak się chce pić! Od razu zrobiło się lżej na duszy. Zabraliśmy jego towar a w zamian Gustek napełnił jego juki pszenicą. Obie strony były bardzo zadowolone. Tak dobrych melonów – mimo, że ich kiedyś nie lubiłem, jeszcze nie jadłem i już pewnie jeść nie będę bo i nie będę już kosił zboża na stepach Kazachstanu. To chyba dobry Pan Bóg zesłał nam tego Kazacha. Jechalibyśmy do tego mirażu a on ciągle by się oddalał. Ciekawe kiedy przyszło by nam do głowy z niego zrezygnować? Jak się później dowiedziałem, jest to na pustyni częste zjawisko i wielu ludzi zginęło, zbaczając z kursu w pogoni za ochłodą w jeziorze, którego nie ma. Ponoć miraże powstają, bo obraz z danego miejsca ziemi, który odbija się w nieboskłonie, jest potem zakrzywiony oraz wielokrotnie odbity na skutek zmiennych warunków atmosferycznych i przenoszony tym sposobem nieraz o setki kilometrów. Bardzo to skomplikowane i aby nie namieszać sobie w głowie lepiej się nim nie zajmować przechodząc do porządku dziennego nad tym, że po prostu takie zjawisko jest. Dzień ten w sumie okazał się szczęśliwy, ale nie dla każdego.

Nieczyste mięso

Kiedy nocą już przyjechaliliśmy pod jurkę Kazacha, pod naszym zbiornikiem na słomę leżał martwy baranek. Kazach przywiózł go ze swojego stada pasącego się na stepie, by zabić i zjeść. Jedną z żon przywiązała zwierzątko do słupka, którym podparłem dyszel zbiornika. Baranek widocznie

szarpnął i dyszel przycisnął mu łeb. Dobra nasza, powiedział Gustek, znajdując go jeszcze ciepłego. Podciął mu gardło i powiesił za tylne nogi aby krew spłynęła na ziemię. Resztą miały zająć się żony Kazacha. Nic z tego nie wyszło. Nie dane nam było skosztować smacznego mięsa. Kobiety nawet nie chciały dotknąć się do niego, nie mówiąc już o obciążeniu ze skóry i przygotowaniu pożywienia. Czekały na swojego męża. Kiedy ten przyjechał i porozmawiał z nimi, wzięły martwego baranka i zakopały go na stepie. Okazało się, że takie mięso jest nieczyste. Można go spożyć jedynie w przypadku, gdy przed zabiciem zostaną odmówione specjalne modlitwy i zostanie on pozbawiony życia wyłącznie przez mężczyznę, który zrobi to w uświęcony przez lata sposób. Tego wieczoru obeszliliśmy się smakiem. Nie można mieć wszystkiego na raz.

Ja kieruję woły rządzą

Na drugi dzień kończył nam się zapas paliwa. Pomocnik kombajnisty miał obowiązek dostarczyć go na pole. Wieczorem wracałem do kołchozu z kierowcą ciężarówki, który przyjechał po zboże. Pilnie uważałem na drogę mając w świadomości, że rano będę musiał sam trafić na miejsce. Nie na wiele mi się to zdało. Na pustyni nie zostają żadne ślady. Po przejechaniu samochodu wiatr zasypuje koleiny i można orientować się tylko po słońcu. Na szczęście zapamiętałem gdzie należało skręcić jadąc najpierw od strony „Bolszewika” wzdłuż Kanału Kirowskiego. Do tego miejsca trafię, a potem niech się dzieje co chce, nie dowiozę paliwa to będą mnie szukać. Zgłosiłem w biurze kołchozu, aby załadowali mi beczki z ropą na arbę oraz dali dwa woły i poszedłem do domu. Rano zaprzęg już na mnie czekał. Na arbie stały trzy wielkie beczki. Pogoniłem woły i ruszyłem wzdłuż kanału do znanego sobie miejsca, gdzie trzeba było skręcić w pustynię i zdać się na słońce i na Pana Boga by trafić na pole pszenicy. Wszystko zdawało się układać pomyślnie. Woły maszerowały wzdłuż kanału a ja nudziłem się siedząc na wozie. W pewnej chwili doszedł do moich uszów syk, jakby żmii. Prędko zorientowałem się, że nie jest to żadna żmija, ale paliwo, które rozgrzało się na słońcu aż beczki napęczniały. Syczało wokół korków, nakrętek, które zatykały wlewy. Przestraszyłem się. Jak któraś beczka nie wytrzyma to będzie i po wołach i po mnie, rozniesie nas na strzępy. Dobrze przynajmniej, że to ropa a nie benzyna, która łatwiej wybucha, pocieszałem się, chociaż marna to była pociecha. Zatrzymałem woły, zacząłem zbierać różne zielsko i rzucać je na beczki. Nic to nie dało, syczały dalej a nawet jeszcze głośniej. Gdybym tak miał jakieś wiadro, pomyślałem, można by przynieść wody z kanału i ostudzić te beczki. Z frasunku podrapałem się za uchem i aż podskoczyłem z wrażenia dotykając swojej czapki. To było to o co chodziło. Mam ze sobą wiadro tyle tylko, że bez pałaka ale to przecież

szczegół. Pobiegłem do kanału i nabrałem pełną czapkę wody. Polana beczka przestała syczeć. Kolejne też. Mogłem ruszać dalej. Chciałem pogonić woły, ale nic z tego. Dochodziła godzina dwunasta. W tym czasie one mają swoją sjęstę, nie będą słuchać „arbakiesza”, który nie respektuje ich praw. Im bardziej nalegałem na nie okładając kijem, tym bardziej były uparte. Wreszcie położyły się i to był definitywny koniec jazdy. Nic nie pomógł kij ani nawet „przełamywanie” ogona. Stękały z bólu i leżały. Zawsze miałem respekt przed tymi chudymi niesamowicie olbrzymami. Trzeba było uważać na ich rogi, którymi mogły nawet niechcąc zahaczyć ale też na tylne nogi. Mówiło się, że kopnięcie konia jest niczym w porównaniu z kopnięciem wołu. Jeżeli dobrze trafi, to z reguły kończy się to śmiercią. Na szczęście nie miałem okazji przekonać się jak to kopnięcie boli, zarówno od konia jak i od wołu. Nie wiedziałem już co robić. Mogą tak leżeć jak długo zechcą. Wreszcie wpadłem na pomysł, by dać im wody. Pierwszy tak łapczywie pił, że o mało nie połknął przy tym mojej czapki. Drugi tak samo. Za trzecim razem nie dałem im pić, tylko stanąłem przed nimi i kuśiłem wodą. Wstały obydwa i ruszyły w moją stronę. Dostały jeszcze po pełnej czapce a następnie ustawiłem się przed nimi i ruszyłem do przodu. Poszły za mną w przekonaniu, że znowu je napoję. Nic z tego, pomyślałem. Dam wam wody, a wy się położycie i już was nie ruszę. Doszliśmy do miejsca, gdzie należało skręcić i zrobiły to bez oporu. Szedłem przy arbie z duszą na ramieniu spoglądając raz za razem na słońce. Trafie, czy nie trafię? Wreszcie zobaczyłem z daleka białą jurkę Kazacha i wielki ciężar spadł mi z serca. Koło jurty stał też kombajn. Okazało się, że samochód nie przyjechał i Gustek musiał wysypać zboże na klepisko koło jurty, natomiast pod kombajnem leżały dwa spore worki wypełnione pszenicą i zawiązane, w które zaopatrzył się już wcześniej przewidujący jak zwykle Gustek. Będziesz wracał, to nie rób hałasu, tylko po cichu podjedź pod dom i wyrzuć je, mama od razu zauważy i schowa, pouczał mnie. Już czułem w ustach smak pszennych placków. Z pewnością nie będę hałasował, za nic nie stracę tak drogocennej zdobyczy. Zdjęliśmy beczki i zawróciłem woły do powrotnej drogi. Tym razem udało się dojechać do „Bolszewika” bez niespodzianek i znacznie szybciej. Pod zielskiem, które przykrywało beczki w drodze na pole, a które przezornie zostawiłem na arbie, spoczywał nasz skarb. Dwa całkiem spore worki pszenicy. Za wszelką cenę muszę dowieźć je do domu. Stało się jednak coś, czego nie mogłem przewidzieć. Nie karmione i nie pojone przez cały dzień woły poczuły bliskość swojej obory i już nie miałem nad nimi władzy. Chciałem przede wszystkim cicho przejechać obok domu przewodniczącego kolchozu, a te bestie właśnie tam narobiły największego hałasu. Ten, który jechał bliżej wierzbowego płotu skręcił nagle i wzorem wszystkich krów i byków zaczął się o niego ocierać końcówką jarzma, swoimi wielkimi rogami i całym bokiem znajdując w tym niewątpliwą przyjemność. Rozległ się głośny trzask łamanych gałęzi, który wywabił z domu przewodniczącego. Zobaczyłem go kątem oka i zdrętwiałem z przerażenia. Jeżeli teraz zatrzyma mnie i sprawdzi co mam na

arbie to od więzienia się nie wywinę, pomyślałem i siedziałem nieruchomy ze strachu. Odważyłem się obejrzeć dopiero wtedy, gdy odjechałem na kilkadziesiąt metrów. Nikt za mną nie gonił a woły nabrawszy wręcz pędu gnały w kierunku obory. Szczęśliwie droga wiodła obok naszego domu. Jeszcze chyba nigdy tak się nie uwijałem. Kiedy zrównałem się z domem wyrzuciłem jeden worek, potem następny i jeszcze zdążyłem narzucić na nie trochę zielska. Niestety, o tym, by je całe przykryć nawet nie mogłem marzyć. Z duszą na ramieniu odstawiłem zaprzęg do bazy i jak mogłem najprędzej pobiegłem do domu. W miejscu gdzie spoczywały worki widniała jedynie mała kupka zielska. Mama okazała się czujna, chociaż jak to zwykle bywało, gdy coś ukradliśmy, nigdy nas za to nie pochwaliła. Tak było i tym razem. Zbiory pszenicy trwały prawie całe wakacje. Jeździłem z Gustkiem na kombajnie albo dowoziłem paliwo. Z czasem nabrałem doświadczenia i praca z wołami nie była już taka trudna jak za pierwszym razem. Mało tego! Nauczyłem się bezbłędnie trafiać na pole, zerkając tylko od czasu do czasu na słońce by nie zboczyć „z kursu” – to chyba jest najwłaściwsze określenie na stepie, który nie ma końca, ani żadnych punktów orientacyjnych, tylko samotną „arbę” ciągnioną przez wychudzone woły i „arbakiesza”, usiłującego dojechać bez błędzenia do wyznaczonego celu. Porównanie ze statkiem na morzu narzuca się samo. Jedną rzecz podczas tej mojej praktyki bardzo mi się podobała. Od czasu, kiedy Gustek po raz pierwszy wysypał pszenicę na klepisku przed jurta Kazacha, jego żony coraz częściej karmiły nas smacznymi pszennymi plackami. I dla nich taka sytuacja prędko się nie powtórzy, będą musiały czekać na nią do następnych zniw. Pod sam koniec wakacji skierowali mnie na parę dni do zbiorów bawełny. Tam, gdzie odbył się już pierwszy zbiór wykonywany ręcznie, wjeżdżał kombajn. Tym razem moim szefem na polu był Franek Kondrat, który w przyszłości zostanie moim szwagrem. Przy pracy kombajnu trzeba było uważać, by nie porwał czapki, bo wciągnął by ją do zbiornika na bawełnę i trzeba by jej szukać. Rosjanie mówili na bawełnę „chłapok”, a na kombajn „chłapko uborycznaja maszina”, natomiast Kazachowie mówili na nią „Pachta”. Wyspa po kazachsku to „Arał”. Stąd pewnie nazwa końcowej stacji kolejowej „Pachta Arał”. Bawełniana wyspa na oceanie pustyni. Na zakończenie praktyki poszedłem do przewodniczącego kołchozu z prośbą, aby wystawił mi zaświadczenie o odbyciu praktyki oczywiście z oceną mojej pracy. Trochę się bałem, bo nie byłem pewny, czy będzie to ocena pozytywna, ale wszystko okazało się w porządku i ostatniego sierpnia wyruszyłem w kolejną podróż, by w dniu następnym ponownie stawić się w szkole.

Nie mieli szczęścia

Mój starszy kolega Sapko nie miał praktyki w „Bolszewiku”. Starsze roczniki wysyłano do bogatszych kołchozów, gdzie było więcej sprzętu i można było więcej zobaczyć. Miał jednak pecha. Wieziono ich na tą praktykę na skrzyni samochodu ciężarowego i ulegli wypadkowi. Ciężarówka przechyliła się gwałtownie i dwudziestu praktykantów wypadło na ziemię. Żaden nie zginął ale byli mocno potłuczeni i przeżyli szok, który odbił się na ich psychice. Zamiast na praktykę, szkoła wysłała ich do sanatorium pod opiekę lekarza psychiatry. Sobko przez dłuższy jeszcze czas zrywał się w nocy z łóżka, bowiem prześladowały go nocne koszmary.

Powrót do szkoły

Do drugiej klasy technikum nie jechałem już pociągiem, tylko skorzystałem z okazji, że do Taszkientu jechała ciężarówka. Zapłaciłem kierowcy za przewóz, ale było to znacznie mniej niż bym jechał pociągiem. Podróż nie należało do łatwych. Przez cały czas na skrzyni samochodu w potwornym upale i kurzu. Miałem ze sobą zapas picia, ale i tak ledwo mogłem oddychać. Początkowo kierowca jechał przez step, gdzie nie było śladu drogi i tylko on wiedział czy jedzie dobrze. Chwilami myślałem nawet, że błądzi kiedy gdzieś na horyzoncie pojawiły się drzewa i dojechaliśmy do sporego aryku a kierowca zatrzymał się i zarządził przerwę w podróży. W szoferce oprócz kierowcy było jeszcze dwóch pasażerów. Wszyscy wskoczyliśmy w ubraniach do wody. Umyłem się z grubej warstwy kurzu i wspaniale ochłodziłem. Jeszcze nie byłem świadomy, ile mnie ta kąpiel będzie kosztowała a przecież stale przestrzegano nas, by rozgrzanym nie wchodzić do zimnej wody. Na razie poczułem się wspaniale. Przed Taszkientem dojechaliśmy do czegoś, co umownie można było nazwać drogą. Był to wytyczony, utwardzony szlak, który na 25 kilometrów przed celem podróży zaprowadził nas do drogi asfaltowej. Kierowca przejechał przez pustynię bezbłędnie nie mając kompasu, żadnych punktów orientacyjnych no i oczywiście czegoś po czym jeździ się w normalnym kraju, czyli drogi.

Świnka

Cieszyłem się z powrotu do szkoły i witałem z kolegami, ale już pierwszego dnia po przyjeździe do Kapłan Biegu poczułem się źle. Bolała mnie głowa i jakoś ciężko mi się oddychało. Martwiłem się, bo za dwa dni mieliśmy jechać na zbiory bawełny a tu o schylaniu nawet nie może być mowy, bo co tylko pochylę głowę to muszę uważać, żeby się nie przewrócić. Nie ma rady, muszę iść do lekarza. Jakoś przetrwałem noc, budząc się co chwilę i kręcąc na łóżku w różne strony, nawet nie zjadłem śniadania, chociaż miałem jeszcze kilka lepioszek, które mama przygotowała mi na drogę i poszedłem do „miedpunktu”, gdzie normalnie urzędowała tylko pielęgniarka. Miałem jednocześnie szczęście i pecha. Dzisiaj była tu młoda pani doktor na praktyce. Szczęście, że była a pech, bo dziwnym zbiegiem okoliczności, kiedy zjawiała się młodziutka pani doktor, to moich kolegów opanowała jakaś epidemia. Na korytarzu przed gabinetem ustawiała się bardzo długa kolejka „chorych”. Nie pozostało mi nic innego jak też ustawić się na końcu tej kolejki. Czuję jeszcze, że głowa zaczyna mi dziwnie ciążyć, usiłowałem przytrzymać się stojącego z przodu kolegi i nic już więcej nie pamiętam. Kiedy zbudziłem się z głębokiego „snu”, leżałem na wygodnym łóżku w jakiejś niedużej sali a tuż przed sobą zobaczyłem jakąś kobietę ubraną na biało, trzymającą w ręku, jak mi się zdawało, kawałek przewodu paliwowego od kombajnu. Dużo się nie pomyliłem. Kiedy już zdołałem jako tako dojść do siebie, to dowiedziałem się, że jest to rurka. Wkładała mi ją do gardła, abym się nie udusił. Dopiero wtedy zorientowałem się, że oddycham z dużym trudem, jakby część gardła była czymś zatkana. Ponadto tak byłem zapuchnięty, że uszy całe schowały się gdzieś w tyle głowy. Oczywiście gardło też spuchło i to groziło uduszeniem. Dostałem dziecięcej choroby „Świnki” a ponieważ byłem już pełnoletni, przechodziłem ją bardzo ciężko. Dlatego też trafiłem na dziecięcy oddział zakaźny szpitala powiatowego w Sary Agaczu. Rzeczywiście, po chwili usłyszałem dziecięce głosy a pielęgniarka opuściła mnie i wyszła. Powróciła za chwilę w towarzystwie starego doktora, który powiedział, że właśnie na mnie, po raz pierwszy wypróbował rewelacyjny jak na lata pięćdziesiąte lek czyli „Penicylinę”. Osobiście, raz dziennie dawał mi zastrzyki a później przez dłuższą chwilę siedział na moim łóżku by sprawdzić, czy przypadkiem nie dostanę po niej wstrząsu. Powiedział, że ten nowy lek jest zrobiony z jakiś grzybów czy pleśni i gdyby nie on, to pewnie nie dało by rady tak szybko zwalczać choroby. Musiał by przeciąć mi tchawicę i wstawić rurkę bo inaczej bym się udusił a tak obyło się na tym, że kilka razy pielęgniarka wkładała mi ją w gardło, gdy będąc nieprzytomny nie mogłem zaczerpnąć powietrza. Powiedział mi też, że po tej chorobie nie będę mógł mieć dzieci, ale jakoś mu nie uwierzyłem i przyszłość pokazała, że to ja miałem rację. Warunki w szpitalu nie odbiegały od tych, jakie były w Kirowie. Też nie było bieżącej wody, prądu i dostatecznej ilości lekarstw, ale była wspianała załoga, która ratowała ludziom zdrowie i życie. Po

dwóch dniach przyszła odwiedzić mnie moja koleżanka Daria Lorentz, co mnie bardzo ucieszyło. Przyniosła mi dwa jabłka. Walczyłem z nimi blisko godzinę, zanim udało mi się zjeść po malutkim kawałeczku, bo miałem ogromne kłopoty z przelknięciem. Po paru dniach zostałem wypisany ze szpitala. Koledzy przyszli po mnie i zaprowadzili do internatu. Sam nie miałbym siły dojść. Do domu nawet nie pisałem, że byłem taki chory. Jak znam mamę, to rzuciła by wszystko i narażając się NKWD przyjechała by do mnie. Po co miała się martwić.

Towot zamiast masła

Pobudka w internacie była już o godzinie szóstej. Potrzeba było nieco czasu, by posprzątać salę, przygotować książki i co nieco przegryźć. W tym celu chodziło się po „kipiatok”, który leciał z kranu w pobliżu internatu. Nie było po niego dalej jak jakieś 200 metrów. Piliśmy sam „Kipiatok”, ponieważ herbata zaliczana była do luksusów i najzwyczajniej nie było nas na nią stać. Do tego kawałek chleba i do szkoły. Piekarnia była na miejscu. Kiedyś zjrzałem do niej w czasie przygotowywania wypieku. Z przerażeniem zobaczyłem, że blaszki, czyli foremki smarują tam przed nałożeniem ciasta czarnym smarem, którego używało się do łożysk ślizgowych. Nawet nie był to „Towot”, tylko ten najgorszy gatunek smaru. Aż się wzdrygnąłem na myśl, że ja to jem. Dopóki nie wiedziałem, to zalatujący ropą naftową chleb jakoś mi nie przeszkadzał ale teraz? Kolejny raz nie doceniłem siły głodu. Na drugi dzień pałaszowałem skórkę od chleba tylko uszy mi się trzęsły. W związku z tym chlebem wydarzyła się pewna niemiła historia. Kupowaliśmy go zawsze na spótkę i dzieliliśmy się. Któregoś ranka okazało się po rozkrojeniu, że w środku nie jest on wypieczony, tylko znajduje się tam jakaś zielonkawa masa. Koledzy spróbowali jej i nawet im zasmakowała. Ja wolałem piętękę posmarowaną smarem. Koreańczyk też. Po paru dniach okazało się, że kolegów strasznie bołą brzuchy, Tylka ja i Koreańczyk byliśmy zdrowi. Moi koledzy wylądowali w Sary Agaczu, gdzie był dobrze mi już znany szpital. Okazało się, że wszyscy mają zapalenie ślepej кишки. Nie tylko koledzy z mojej sali zachorowali. Tych przypadków było bardzo dużo. Lekarze operowali ich taśmowo, jeden schodził ze stołu a drugi wchodził. Zabiegi były dokładnie takie jak w Kirowie – bez znieczulenia. O swoim przypadku opowiadał mi Tołstaszejew, który mieszkał w sąsiedniej sali. Był on taki wysoki, że nogi zwisały mu ze stołu operacyjnego. Lekarz pocieszał go, że potrwa to tylko chwilę i nie będzie mocno bolało. Kiedy już go związali i lekarz zaczął operację to okazało się, że z tym bólem, oraz czasem operacji jest dokładnie odwrotnie i zaczął wrzeszczeć na całe gardło. Ty nie krzycz, tylko śpiewaj, powiedział mu chirurg. Jak będziesz śpiewał to nie będzie tak bolało.

Tołstaszejew wydusił z siebie, że nie umie śpiewać. Trudno, odpowiedział lekarz, będę musiał śpiewać za ciebie, i do końca operacji wyśpiewywał wesołe rosyjskie piosenki, natomiast pacjent ratował się przed omdleniem z bólu powtarzając sobie stale: nie umiem śpiewać, nie umiem śpiewać, nie umiem śpiewać. Powtarzał to jeszcze wtedy, gdy prowadziliśmy go po zabiegu do internatu, bo ból wcale nie ustał a jedynie nieco się zmniejszył. Przyczyną tej nagłej epidemii nie zaraźliwej w końcu choroby okazał się chleb. Nasz profesor od upraw, Achmadijew odkrył, że w siewiernym - północnym Kazachstanie żyto było składowane na pryzmy pod gołym niebem. Klimat tam jest zupełnie inny niż w rejonie Taszkientu. Latem padają deszcze, które spowodowały, że zboże porosło, tworząc na wierzchu pryzmy gruby kożuch. Oczywiście nie wyrzucono go, tylko przesuszono i zmielono na mąkę. Taki chleb okazał się wprost zabójczy. Mnie i Koreańczykowi nic się nie stało, bo zjedliśmy skórki, gdzie temperatura pieczenia była największa. Mieliśmy dużo szczęścia.

Szminka mnie zdradziła

Kiedy byłem już na drugim roku technikum zdarzyło się, że z grupą uczniów odpoczywaliśmy w cieniu drzewa na dziedzińcu szkoły. Oczywiście przy takich okazjach nikt nie siedzi cicho a najlepiej i najbezpieczniej rozmawiać o dziewczynach i o szkole. Do tego NKWD się nie wtrącał. W pewnym momencie wyrwało mi się z ust słowo „szminka”. Często zdarzało się, że nie rozumieliśmy pojedynczych słów wypowiedzianych przez kolegów i każdy przechodził nad tym do porządku dziennego. Tym razem było inaczej. Kiedy już rozchodziliśmy się, zawołała mnie Wanda Łużyńskaja. „Wania podojti” – podejdz. Ty Polak? Skąd wiesz? Szminka cię zdradziła. Po Rosyjsku „gubnaja kraska”. Jedno moje słówko spowodowało, że było nas Polaków czworo, chociaż nie o wszystkich z pewnością wiedzieliśmy. Sam nigdy bym się nie domyślił, że Wanda jest Polką, choćby ze względu na brzmienie nazwiska, które jak się okazało było tylko przykrywką. Naprawdę nazywała się Łużyńska. Wanda podobała się Piotrkowi, i nic dziwnego, bo była bardzo piękną, zgrabną dziewczyną. Zalecał się do niej wygrywając na harmoszcze, nieraz na cztery ręce wraz z innym grajkiem, Ukraińcem Wołosiukiem. Jeden stawał za drugim w ten sposób, by sięgnąć klawiszy i wygrywali. Jej też udało się wrócić do Polski. Zamieszkała w Zielonej Górze.

Stalin wrogiem narodu

Koło zmian politycznych w potężnym Związku Radzieckim toczyło się bardzo powoli. Kiedy w Moskwie od dawna już wieszano na Stalinie wszelkie możliwe psy nie szczędząc mu słów krytyki, a naszej szkole nadal stało jego popiersie obok drugiego wodza rewolucji Lenina. Znaliśmy na pamięć jego życiorys, jego wielkie zasługi dla kraju, jego nadzwyczajną rolę w pogromieniu faszystowskiego najeźdźcy i likwidacji obszarnictwa w kraju oraz państwach ościennych z przekazaniem władzy w ręce chłopów i robotników. Do dzisiaj pamiętam jeszcze jak tego „pół boga” nazywali w przedszkolu – „Soso”. Nie wiadomo, czy rzeczywiście, czy też, podobnie jak wszystko inne, zostało to wymyślone na użytek propagandy, by stworzyć bardziej ludzki obraz tego pospolitego w okresach młodości bandyty i złodzieja. Wspominałem już, że w Taszkencie był Instytut Górniczo Hutniczy, którego studenci przychodzili do naszego klubu jak i kontaktowali się z tymi, którzy również zamieszkiwali w Taszkencie. Stąd też mieliśmy przez nich coraz większy kontakt ze światem i dowiedzieliśmy się, że to co nam do tej pory wpajano jest nieprawdą. W Taszkencie można też było w głębokiej konspiracji słuchać radia „Swoboda”, będącego odpowiednikiem naszej „Wolnej Europy”, które nadawało różne, niewygodne dla władzy informacje. Radio Moskwa grmiało, że Stalin to morderca, Beria szpiegował na rzecz Stanów Zjednoczonych a Biuro Polityczne Komunistycznej Partii Związku Radzieckiego potępiło ich obydwo jako działających na szkodę swojej ojczyzny. Dla uczniów naszej szkoły był to szok. Urządzono spontaniczny strajk. Nikt nie poszedł na zajęcia. Oczekiwaliśmy na wyjaśnienia ze strony dyrekcji. W trybie pilnym sprowadzono lektora partyjnego, który starał się uspokoić zebranych. Stalin to morderca, osobiście brał udział w torturowaniu członków Komitetu Centralnego, jego autokratyczne rządy to cały szereg bolesnych dla kraju zdarzeń, które dotknęły naród rosyjski. Członkowie partii, którym na sercu leży dobro Związku Radzieckiego wzięli obecnie władzę w swoje ręce i sytuacja w kraju szybko poprawi się na lepszą. Nie pamiętam już, czy powiedział to lektor, czy też dowiedzieliśmy się z innych źródeł, że w mieszkaniu Stalina znaleziono niebieski proszek, którym został on otruty, aby zapobiec dalszemu rozprzestrzenianiu się zła. Z uwielbienia do swojego wodza, tłum młodych ludzi bardzo szybko przeszedł do nienawiści. Młodzież rzuciła się do holu szkoły, gdzie stało jego popiersie. Wylądowało ono z hukiem na posadzce rozbijając się na kilka kawałków, które następnie potłuczono na szereg mniejszych, by nic nie zostało z jego podobizny. Przybyli wraz z uczniami nauczyciele w ostatniej chwili uratowali popiersie drugiego wodza, który na razie pozostawał jeszcze w aureoli chwały, chociaż blask jej nieco już osłabł. Zapalczywe ręce młodych ludzi chciały go bowiem posłać za Stalinem. Na murach w Taszkencie pojawiły się napisy: „Smert Stalina spasajet Rossiju” – śmierć Stalina uratuje Rosję.

Nie Żyd a Jewrej

„Biej Żydów spasz Rossiju”. Bij Żydów ratuj Rosję. Wrogość w stosunku do Żydów była ogólna. Władze radzieckie osiągnęły mistrzostwo w prowokacji własnego narodu. Z jednej strony po cichu podsycaly nienawiść przeciwko żydom by na nich złożyć odpowiedzialność za głód i niedostatek panujący w kraju a z drugiej, oficjalnej występowały w ich obronie. Za samo wypowiedzenie słowa „Żyd” dostawało się pięć lat więzienia. Jedynym dozwolonym określeniem ludzi tej narodowości było słowo „Jewrej”. Żydzi, jeżeli tylko mogli, nie przyznawali się do swojej narodowości twierdząc, że są Rosjanami. Do naszej klasy chodził Edwin Bykow, wielki chłop, nieco starszy ode mnie. Nosił on rosyjskie nazwisko, ale język znał słabo. Miał przez to problemy z przedmiotami humanistycznymi a zwłaszcza z historią. Nauczycielka tego przedmiotu stawiała mu mnie za wzór. Wania jest Polakiem a potrafi rozmawiać po rosyjsku mówiła, a wy nie. Pomagałem mu nauczyć się tego języka i pod koniec drugiego roku, w przypiływie szczerości, która była czymś nadzwyczajnym, wyznał mi w tajemnicy, że jest Żydem. Aby nie dostać się do więzienia, bo miałem przecież obowiązek zgłosić do NKWD, gdyby wymówił to słowo powiedział, że on jest „Jewrej”. Z rosyjskim miał trudności, ale przedmioty ścisłe i techniczne nie stanowiły dla niego żadnego problemu.

Mówi Warszawa

W drugiej klasie mieliśmy już w szkole głośniki. Tekturowe małe pudełka, które dawały nam wiele radości. Wieczorami nadawano audycje muzyczne, mające takie powodzenie, że chłopcy nie szli nawet na randki, aby tylko ich posłuchać. Były to urywki największych światowych przebojów muzyki klasycznej a zarazem prowadzący zdradzał wiele sekretów tej muzyki odnośnie jej powstania, wykonawców i historii. Polacy, jako jedyni mieli „polonikę”. Co niedzielę o godzinie dwunastej rozlegał się głos „gawarit Warszawa” - mówi Warszawa i rozlegał się sygnał z Wieży Mariackiej w Krakowie, a następnie nadawane były wiadomości z kraju. To była rewelacja. Tej audycji zazdrościli nam wszyscy, którzy nie mogli mieć żadnej łączności z krajem, Przede wszystkim Niemcy i Gruzini, co nie znaczy, że nie kibicowali mi w jej słuchaniu. Wiedząc jakie to dla mnie ważne wołali do głośnika, bowiem nie mając zegarka, nie zawsze byłem w pobliżu. Kiedy jednak usłyszałem „Wania prichodi, naczinajetsia” - Wania! Przyjdź, zaczyna się, rzucałem wszystko i biegłem. Z głośnika dowiedziałem się też o „proteście poznańskim” w 1956 roku. Informacja była krótka i lakoniczna, że chuligani poznańscy,

napuszczeni przez zachodnich imperialistów zakłócili spokojny przebieg targów poznańskich. Żadnej wzmianki o czołgach na ulicach, o strzałach i zabitych robotnikach.

Nogi mu nie urosły

Na kierunku weterynaryjnym był Abchaz, który nazywał się Hose Husajn. Piszę o nim, bowiem wyróżniał się bardzo pośród wszystkich uczniów tym, że lepiej chodził na rękach niż na nogach, które w pewnym momencie jego życia zatrzymały się w rozwoju. Po prostu przestały rosnąć. Pozostały małe i z trudem się na nich poruszał. Za to ręce miał ogromne i bardzo mocno, nienaturalnie wręcz rozwiniętą klatkę piersiową. Kiedy siedział, sprawiał swoją posturą wielkie wrażenie. Był bardzo zdolny i usiłował uczyć się na lekarza, ale mu nie pozwolono nie tłumacząc dlaczego, można się było jedynie domyślać, że ze względu na jego kalectwo. Poszedł więc na weterynarię. Mówił, że pół życia spędził w szpitalach, ale nic to nie dało. Nogi jak nie rosły, tak nie rosły. Był wszechstronnie uzdolniony. Między innymi grał w orkiestrze na trąbce i nikt nie potrafił zagrać głośniej od niego. Nikt nie miał takich potężnych płuc. Na drażku w naszym „kąciku kulturystycznym” mógł wisieć przez cały dzień a to co wyprawiał na nim wprawilo by w kompleksy niejedną małpę. Powiedział mi kiedyś jako ciekawostkę, że tętno u osła wynosi jedynie 30 uderzeń na minutę. Przy tych osłach a właściwie przy ich ciałach, grupa weterynarzy spędzała wiele czasu, kładąc je na obitych cynkową blachach stołach i studiując budowę poszczególnych narządów. Wydaje mi się, że ja nie mógłbym tak babrać się w mięsie nawet oślim. Zresztą, wszyscy mówili, że nasza grupa, mechanizatorów rolnictwa jest najtrudniejsza, to po co iść na łatwiznę?

Lektura nadobowiązkowa

Od czasu do czasu trzeba było iść do Taszkientu kupić brystol, na którym wykonywaliśmy rysunki techniczne, jakieś zeszyty i inne przybory szkolne. Pewnego razu zaszedłem do „Gorodskoj Biblioteki” - miejskiej biblioteki. Przyjęła mnie starsza już wiekiem bibliotekarka. Czy ma pani coś polskich autorów? Poszukam, odpowiedziała i zaczęła przerzucać kartoteki. Po dłuższej chwili podeszła do regałów i wyciągnęła małą broszurkę i dużą książkę. Była to „Nasza szkapa” Marii Konopnickiej i „Chłopi” Władysława Reymonta, czyli po

rosyjsku „Mużiki”. Maria Konopnicka, to rozumiem, ale czemu mi pani daje jakiegoś obcego autora? Pani bibliotekarka nie odpowiedziała od razu, tylko pokiwała z politowaniem nade mną głową. Może to była Polka? Po chwili dopiero odezwała się: to jest na pewno polski autor. Kiedy wróciłem do internatu zacząłem czytać i wszystko inne przestało mieć znaczenie. Nie chodziłem na zajęcia, zapomniałem o głodzie, tylko czytałem i czytałem aż koledzy patrzyli na mnie z niepokojem, czy przypadkiem nic mi się nie stało. A ja byłem w Polsce, na polu podczas jesienno-kopania kartofli, czułem zapach dymu i smak pieczonych w popiele ziemniaków i byłem w naszych Pietraszuńcach, biegałem po stajni, po oborze, chodziłem paść krowy z naszym Stasiem i wybierałem się do lasu. Płakałem nad losem Kuby i Jagny zakochanej nieszczęśliwie w Antku i rozczulałem się nad losem starego Macieja Boryny. Kiedy skończyłem czytać, książkę zabrał Wiktor Kim i postępował tak samo jak ja mimo, że jako Koreańczyk o mojej ojczyźnie nie wiedział praktycznie nic. Potem brali ją inni i zaczytywali się. Polska książka zrobiła furorę wśród międzynarodowej młodzieży w dalekim Kazachstanie. Potem trzeba było ją oddać i miałem kłopot z poszukaniem, bo nie wiedziałem kto ją ma. Wreszcie znalazłem i pojechałem z nią do Taszkientu, a wraz ze mną jechał chłopak, który od razu wypożyczył ją na nowo.

„Dynamowy”

Teren wokół Taszkientu nie przypomina tego, który rozciąga się wzdłuż Kanału Kirowskiego i na zachód od rzeki Syr Darii na pustynię Kyzył – kum, gdzie wzrok sięga bardzo daleko, nie zatrzymując się na jakichkolwiek przeszkodach terenowych. Co prawda pustynia jest i tutaj, ale pojawiają się już niewielkie pagórki, powodujące duże urozmaicenie krajobrazu. Ponadto jest to obszar znacznie wcześniej zagospodarowany – jak podaje Wielka Encyklopedia Powszechna, pierwsze wzmianki o tym mieście sięgają I – II wieku przed naszą erą a tym samym jest tu o wiele więcej zieleni. Wokół Taszkientu przeprowadzonych jest wiele kanałów nawadniających, a jeden z nich przepływa przez Kapłan Bieg, przyczyniając się do powstania pięknego zakątka, który mieści tuż obok dziedzińca szkoły. Mam na myśli park ze starymi drzewami i cudownym, niewielkim jeziorkiem, który znajduje się w samym jego środku. Rosną w nim akacje, oraz drzewa z ogromnymi liśćmi, na które Kazachowie mówili „Drzewo Adama”, oraz wiele kolorowo kwitnących krzewów. Jedna a akacji pochyła się nad jeziorkiem a wokół niego poustawiane są ławeczki, na których chętnie odpoczywały nasze szkolne koleżanki plotkując zawzięcie, kiedy tylko miały nieco wolnego czasu. Ktoś wpadł na świetny pomysł, aby do tej pochyłej akacji przywiązać kawałek linki

zakończoną drewnianą poprzeczką z kija. Taki rodzaj uchwytu. Od tego czasu odpoczynek bywał urozmaicany popisami młodzieży męskiej. Zdejmowali ubrania, pozostając w swych ogromnych galotach, na które mówiliśmy „dynamówki”, łapali za drążek, bujali się na linie i wzorem filmowego „Tarzana” wskakiwali na środku jeziora do wody starając się, by wyszło to jak najbardziej efektownie. Najlepsi gimnastycy, potrafiący przekreślać się w powietrzu, budzili zachwyt dziewczyn i zazdrość pozostałych chłopców, ale tylko jeden z nich zrobił prawdziwą furorę. Wzorem innych rozbijał się na linie, aby wybiło go na sam środek jeziora, ale kiedy wykonywał ostatnie „bujnięcie”, jego kolega chwycił go za obwisłe gacie i ściągnął je. Przerażony chłopak dyndał na sznurku tam i z powrotem nie wiedząc co z sobą zrobić, by w końcu chlapnąć niezgrabnie do wody tuż przy samym brzegu. Zgromadzone wokół stawu dziewczyny, którym tak nieoczekiwanie zaserwowano męski streaptis ryczały ze śmiechu pokładając się na ławki a nieszczęśnik, czerwony jak burak wychodził z wody zasłaniając rękami swoje klejnoty. Kolega rzucił nieszczęsne dynamówki i zwał co prędzej, nie czekając aż poszkodowany wyjdzie z wody. Słusznie przewidywał, że pozostanie na miejscu nie należy do najbardziej bezpiecznych. A nasz „Tarzan” zupełnie przypadkowo, stał się bohaterem szkoły na kilka dni, chociaż z pewnością nie o taką sławę mu chodziło. Długo jeszcze po tym zdarzeniu dziewczyny pokazywały go sobie i śmiały się w kułak.

Nie skacz do nieznannej wody

Kąpać się chodziliśmy do rzeki „Kenes”. Pisałem już, że miała ona bardzo bystry nurt a woda w niej była ciepła nawet w październiku mimo, że wypływała z lodowców Tien Szan. Kiedy poszedłem tam po raz pierwszy, o mało nie skończyło się to tragicznie. Najlepszym miejscem do kąpieli był zakręt rzeki, gdzie woda wyżłobiła koryto na znaczną głębokość. Ponadto brzeg był tam stromy i stale podmywany tak, że tworzył on rodzaj daszka nad wodą. Po jakimś czasie daszek ten wpadał do rzeki i podmywanie rozpoczynało się od nowa. Wszystko to odbywało się już po uzbeckiej stronie cieku. Na nieszczęście dla mnie nie wiedziałem o tym, a koledzy, z którymi poszedłem się kąpać nie uważali za stosowne aby mi powiedzieć. Mało tego. Tuż przy brzegu zaczęli mnie podpuszczać. No Polak, pokaż jaki jesteś sportowiec! Zagrała we mnie ambicja. Ściągnąłem buty i z rozpędu skoczyłem do nieznanej wody. Wysokość brzegu przeszła moje oczekiwanie. Było dobrze ponad cztery metry. Zanurkowałem na kilka metrów w głąb mętnego nurtu, po czym powoli wynurzałem się na powierzchnię. Nie dało rady. Uderzyłem głową o coś miękkiego. Spróbowałem płynąć w prawo z tym samym efektem. Otwieranie

oczu na nic by się zdało. Kazachstańskie rzeki zawsze niosą wielkie ilości piasku, który czyni je zupełnie nieprzezroczystymi. Szczęśliwie nie wpadłem w panikę. Rozłożyłem jak mogłem szeroko swoje kończyny i pozwoliłem wynieść się wodzie z niebezpiecznego miejsca. Kiedy już zaczynałem się dusić, poczułem pod nogami piasek. Kawałek dalej zaczynała się płyca i tam wylądowałem. Leżałem na plecach zwrócony nogami w stronę nieszczęsnego zakrętu i obserwowałem, jak moi koledzy nurkują pod nawis nad brzegiem coraz bardziej gorączkowo mnie poszukując. A szukajcie, szukajcie, pomyślałem z satysfakcją i wypoczywałem po emocjach, po czym zebrałem się i wyszedłem na brzeg. Nawet mnie nie zauważyli. Czego tam szukacie? Aleś nas wystraszył, myśleliśmy, że utonąłeś. Polak da sobie radę w każdej sytuacji, odparłem. Od tego czasu nigdy już nie skakałem do nieznanej mi wody, chociaż nad rzekę w to samo miejsce biegałem często. Skacząc tam, należało po prostu nie zanurzać się zbyt głęboko i wypływać na powierzchnię jeszcze przed przeciwległym brzegiem a wówczas niebezpieczeństwo utonięcia było znacznie mniejsze.

Głos spod ławki

W kołchozie kradliśmy niejednokrotnie żywność aby po prostu przeżyć. Co to była zresztą za kradzież? Trochę owoców czy pszenicy. W mieście, nawet tym niewielkim można było zostać okradzionym samemu. Co gorsze, trzeba się było umieć przy tym zachować, żeby nie stało się nic gorszego. Gangi kieszonkowców i pospolitych bandytów były tak groźne, że bali się ich nawet miejscowi milicjanci i „nie widzieli” bardzo dużo przestępstw. Ale po kolei. Pewnego razu, niczego nie świadomy, siedziałem na peronie dworca kolejowego w Syr Darii. Wokół nie było żywego ducha a więc wystraszyłem się bardzo, gdy nagle spod ławki dobiegł do mnie wściekły głos, który w tłumaczeniu na język polski oznaczał by mniej więcej: „sp.....” Posłuchałem natychmiast nie czekając aż w mój pośladek zagłębi się kawałek jakiejś stali. Kiedy już byłem w bezpiecznej odległości spostrzegłem, że kieszenie w moich spodniach wyciągnięte są na zewnątrz. Podczas gdy spokojnie siedziałem niczego nie podejrzewając, zostałem dokładnie przeszukany, a leżący pod nią kieszonkowiec wygonił mnie dlatego, że w kierunku ławki zbliżało się dwoje młodych ludzi. Dwie następne potencjalne ofiary. Mogłem ich ostrzec, ale nie zrobiłem tego. Będę jeszcze o tym pisał.

Milicjant poszedł sobie

W czasie mojego pobytu na zesłaniu aby cokolwiek załatwić trzeba było stać w kolejce, podobnie jak w Polsce podczas stanu wojennego i wcześniej. Kolejki były ulubionym obiektem kieszonkowców i nie tylko. Właśnie ukończyłem pierwszą klasę technikum i wracałam do „Bolszewika” aby rozpocząć praktykę wakacyjną. Tym razem postanowiłem jechać autobusem do Syr Darii. Trzeba było kupić bilet więc stanąłem w długiej kolejce, która posuwała się bardzo wolno. Staliśmy wzdłuż muru z glinianych cegieł, który nie był wyższy niż przeciętny człowiek. Zrzuciłem sobie na ramię torbę z rzeczami, w której oprócz brudnych ubrań nie było nic więcej a więc nie bardzo się nią przejmowałem i ścisnąłem w rękę pieniądze przeznaczone na bilet. Po roku nauki w Kapłan Biegu byłem już całkowicie świadomy zagrożenia ze strony kieszonkowców. Pieniądze były w miarę bezpieczne jedynie zaciśnięte w rękę albo w bucie. Jakiegokolwiek inne miejsce ich schowania nie dawało gwarancji, że nie zostaną skradzione. Takiej świadomości jak ja nie miała zapewne Koreanka, która stała przede mną mając swój „czemodan” – walizkę między nogami i rozglądała się na wszystkie strony. Rozdzielał nas tylko jeden mężczyzna. Za mną też stanął mężczyzna a potem kolejni podróżni - już się na nich nie oglądałem. W pewnej chwili przeszedł obok nas młody człowiek w białej jedwabnej marynarce trzymając w rękę „Kazbeka” – długiego papierosa, który był bardzo drogi i wślawił się tym że palił go sam Stalin. Spojrzał na Koreankę, przelotem na moją torbę, która prowokacyjnie zwisała z ramienia i poszedł dalej. Po chwili wrócił. Ominął mnie i klęknął za stojącą między nogami kobiety walizką. Delikatnym ruchem wysunął ją do tyłu i podniósł. W tym momencie zza murku wysunęły się ręce, w które włożył tą walizkę. Kobieta zupełnie nie była świadoma tego, co się dzieje a był to jedyny moment, w którym wolno jej było bronić swojej własności. Tak stanowiło prawo podyktowane przez złodziei i bandytów. Nawet gdyby rozwalila mu głowę, wręcz zabiła, z ich strony nic jej nie groziło. Całe zdarzenie obserwowało pół kolejki, łącznie ze mną. Nikt nie powiedział słowa. Ja nie wiedziałem kto stoi za mną, a stojący za mną i przede mną nie wiedzieli kim ja jestem. Złodziej w białej marynarce spokojnie podszedł do pobliskiego przystanku i stanął obok milicjanta, który jak mi się wydaje też widział zdarzenie, bo raptem zrezygnował z czekania na autobus i poszedł sobie. Co by się stało, gdybym zareagował i wtrącił się w nie swoją sprawę? Po prostu mógłbym już nie pojechać do domu. Ktoś taki dostawał żyłką po oczach. „Widział? To bolsze nie uwidi” – widział, to więcej nie zobaczy. Nikt nie chciał ryzykować. Terror państwowy w stosunku do więźniów, nazwijmy ich politycznych i własnych, uczciwych obywateli nie obejmował świata przestępczego. Wobec niego nawet wszechwładny NKWD był bezradny. A swoją drogą, to zastanawiałem się dlaczego złodziej nie zainteresował się moją torbą, którą mógł okraść bez problemu. Może sprawdził co jest w środku i dał spokój?

Pusta kieszeń? Ja już widziałem

Moich „spotkań” ze złodziejami było znacznie więcej, co świadczy o tym, jak masowe było to zjawisko w Związku Radzieckim. Na drugim roku nauki, kiedy wróciliśmy z praktyki a w rzeczywistości ze zbiorów bawełny, postanowiłem stracić nieco rubli i oszukując żołądek, który nieraz z tego powodu gniewał się na mnie głośno protestując w postaci burczenia, kupić jakieś ubranie. Pojechałem do Taszkientu, poszedłem na targ i kupiłem modne wówczas, szerokie spodnie „pumpy” z cienkiego materiału, które szyte były wzorem spodni jakie noszą marynarze. Nie miały rozporka z przodu a z boku ale za to miały dwie głębokie kieszenie. Do tego kupiłem jeszcze sztruksową bluzę z dwiema kieszeniami na piersi zamykanymi na zamki błyskawiczne i zostało mi jeszcze kilka rubli aby kupić sobie potrzebne do szkoły przybory. Oczywiście założyłem już nowy strój a stary zwinąłem i przewiązałem sznurkiem. Plastikowych czy papierowych toreb nikt wówczas w sklepie a tym bardziej na targu nie dawał bo ich po prostu nie było. Poszedłem do sklepu i patrzyłem na półki zastanawiając się co by tu kupić aby było dobre i nie za drogo. W pewnej chwili poczułem, że ktoś ze złością zasuwa mi zamek w mojej bluzie, który uprzednio był już zamknięty. Spojrzałem zdziwiony i zobaczyłem przed sobą „Wirżilę” – dryblasę, któremu lepiej zejść z drogi. Uśmiechnąłem się tylko i powiedziałem: „pustoj karman” – pusta kieszeń. „Ja użę widiel” ja już widziałem mruknął i poszedł sobie. Kiedy tak stałem zamyślony, on zdążył sprawdzić wszystkie moje kieszenie a gdy nic nie znalazł, ze złością zaciągnął ostatni zamek lekceważąc mnie w ten sposób zupełnie.



Jan Kozakowski – w tej bluzie była „pusta kieszeń”

Ubranie dla Jarka

Wraz z nami przyjechała do „Bolszewika” rodzina Sienkiewiczów, w której był Jarek Sienkiewicz, nieco starszy ode mnie. Sienkiewiczowie otrzymali pozwolenie na wyjazd do kraju jeszcze w czasie, gdy ja byłem w Kapłan Biegu. Pewnego razu otrzymałem od Jarka list. Pisał, że przyjedzie i prosił, bym mu pomógł dokonać zakupu ubrania. Nie chciał wracać do kraju jak obdartus. Chętnie się zgodziłem i kiedy już zjawił się u mnie, pojechaliśmy razem do Taszkientu. Chodziliśmy od sklepu do sklepu i okazało się, że sprawa nie jest wcale prosta. Jarek był wielkim chłopem i wszystkie ubrania, które przymierzał okazywały się za małe. Kazachowie są ludźmi znacznie drobniejszymi od nas a szyto tu oczywiście na ich miarę. Wyglądało na to, że wróci do kraju obdarty, kiedy znaleźliśmy jeszcze jeden sklep. Jego właściciel siedział sobie wygodnie w fotelu, popijał herbatkę i nawet nie zwracał na nas uwagi, zgodnie z leninowską zasadą, że w handlu najslabszym elementem jest klient. Popatrzyliśmy smętnie na ubrania, których nawet nie warto było przymierzać i powiedziałem Jarkowi po polsku, byśmy poszli szukać gdzieś indziej. Sprzedawca usłyszał to i zerwał się jakby wystrzeliła go jakaś sprężyna. Panowie Polacy? Ucieszył się jakby zobaczył nie widziane od lat własne

dziecko i chwycił nas w ramiona. Czekaście, siadajcie, zaraz będzie herbata. Przystawił nam krzesła do stolika i zaparzył herbaty. Ja jestem Żydem, polskim Żydem, z miasta Łodzi, udało mi się uciec w 1939 roku przed Niemcami. W dalekim Kazachstanie każdy, kto mówił po polsku był od razu bliski jak brat. Nie było ważne, że my Polacy a on Żyd. Rozmawialiśmy po polsku i to było dla niego ważne. Piliśmy herbatę w atmosferze przyjaźni, jakby spotkali się po latach bliscy sobie przyjaciele. Podziękowaliśmy za poczęstunek i chcieliśmy iść, ale znowu nas zatrzymał. Spojrzał badawczo na Jarka i poszedł na zaplecze. Po chwili wrócił z garniturem. Nawet nie trzeba było przymierzać, był idealny. Mimo to Jarek założył marynarkę a spodnie zwinął w rulon i chwycił pod pachę. Zadowoleni z udanego zakupu opuściliśmy sklep naszego bądź co bądź rodaka. Zbliżał się czas, odjazdu autobusu i postanowiliśmy pojechać na dworzec tramwajem. Kiedy wysiadaliśmy, zauważyłem, że nowa marynarka Jarka jest przecięta z lewej strony począwszy niemal od ramienia aż do wysokości bocznej kieszeni. Nic ci nie jest? Spytałem niespokojny czy przypadkiem go nie zranili. Nic, odparł. Okazało się, że nawet koszula jest cała. „Karmanszczyk” – kieszonkowiec zrobił to z wielką precyzją mając nadzieję, że ubrany w taką marynarkę mężczyzna musi mieć też zasobny portfel.

Dom Uzbeka

Wszystkie drobne kradzieże miały miejsce w dzień a im więcej było przy tym ludzi, tym lepiej. Mieli większy wybór. Podczas dnia rzadko dochodziło do rozbojów chyba, że ktoś nieopatrznie naraził się złodziejom. Nocą było inaczej. Kto nie musiał wychodzić z domu to raczej w nim pozostawał. Za marynarkę, czy koszulę można było stracić życie. Bandytom było wszystko jedno, czy chodzą na wolności, czy są we więzieniu. Tam kryminaliści zarządzili więźniami politycznymi a nieraz i strażnikami, którzy woleli ich zostawiać w spokoju. Kiedyś z kolegą szkolnym Grekiem Czakłowem, starszym ode mnie o pięć lat pojechaliśmy do Taszkentu (naprawdę nie nazywał się on Czakłow ale Soczaklis, podkreślając, że przedrostek „So” ma znaczenie, jeżeli chodzi o przynależność do grupy społecznej w Grecji. Było to coś podobnego do naszej szlachty) Przed pójściem do szkoły pracował on tam jako budowlaniec i znał doskonale nie tylko miasto, ale występujące w nim zagrożenia. Kiedy zrobiło się ciemno powiedział, że nie powinniśmy już chodzić, bo to bardzo niebezpieczne, ale on zna Uzbeka, któremu budował dom, może nas przenocuje. Oczywiście zgodziłem się. Poszliśmy do tego Uzbeka. Przyjął nas bardzo gościnnie, zgodził się, że przenocujemy i poczęstował „czajem” – herbatą i pszennymi plackami. Smakowały wyśmienicie, jak wszystek chleb w

Taszkencie zwanym zresztą „chlebnym gorodom” – chlebowym miastem. Następnie pan domu usiadł z Czakłowem do partyjki szachów a ja rozglądałem się po mieszkaniu. Dom zbudowany był w takim samym stylu jak nasza lepianka w „Bolszewiku”. Różnił się jedynie wielkością. Pokój, który stanowił podstawową część domu miał około 40 metrów kwadratowych powierzchni a ponadto miał też werandę i jak pozostałe domy w Kazachstanie, płaski dach. Rodzina składała się z 4 osób, to znaczy małżeństwa z dwoma synami w moim wieku. Po partyjce szachów gospodarz włączył radio i za chwilę rozpoczął się koncert z teatru „Nowai” . Wszyscy zamilkli jak podczas uroczystego nabożeństwa i słuchali w skupieniu. Nie powiem, aby ta ich muzyka podobała mi się, jest zupełnie inna od naszej i nawet trudno wytłumaczyć jaka, bo grają zupełnie inne instrumenty, ale udawałem, że też się zachwykam. Po wysłuchaniu koncertu pani domu zorganizowała spanie. Ponieważ byliśmy tam w porze zimowej, to spaliśmy w domu na dywanie, gdzie uprzednio siedzieliśmy. Na środku tego dywanu był otwór a pod nim niezbyt głęboki dołek w podłodze. Pani domu dała każdemu niewielką poduszkę i kocyk a następnie przyniosła skądś w metalowym naczyniu żarzące się węgle, które wsypała do tego dołka. Kiedy już ułożyliśmy się na dywanie stopami w stronę żarzących się węgla tworząc „gwiazdkę”, czy „słoneczko” jak kto woli i przykryli kocykami, przyniosła jeszcze wełniany pled i przykryła nasze stopy łącznie z tym dołkiem. Było bardzo ciepło i wygodnie. Rano dostaliśmy śniadanie i pojechali do Kapłan Biegu. Był to pierwszy a zarazem ostatni mój nocleg w Azji Środkowej, który miał miejsce w domu prywatnym.

Widziałem siebie w pociągu

Pod koniec drugiej klasy mama napisała mi list, że robi starania byśmy wyjechali do Polski. Były duże szanse, ponieważ niektóre rodziny już wyjechały. Pomyślałem sobie, po co mam zdawać egzaminy, skoro za parę tygodni mogę być w Polsce i postanowiłem sobie odpuścić. Nie spodobało się to moim kolegom i zmusili mnie wprost abym zdawał. Okazało się po czasie, że mieli rację. Mój wyjazd stanął pod wielkim znakiem zapytania. Zostawmy jednak to na później. Jednym z przedmiotów egzaminacyjnych była historia. Uczyła jej Rosjanka, która zwracała się do mnie Waniusza. Bardzo ją lubiłem, a ona starała się usilnie byśmy z tej historii zapamiętali jak najwięcej. Mnie akurat nie musiała namawiać do nauki, bo przedmiot bardzo mnie interesował, na równi z geografią, niemniej do egzaminu wcale się nie przygotowywałem. Odbywał się on w ten sposób, że losowało się trzy pytania, które można było przygotować na piśmie i odpowiadać. Miałem typowe szczęście tego, który nie opanował całego materiału. Wylosowałem pytania i już wiedziałem, że nie

zdam. Może na jedno coś bym tam wybąkał ale to nie wystarczyło by zaliczyli mi egzamin. Kiedy przyszła moja kolej, zamiast odpowiadać poprosiłem o jeszcze jedno losowanie. Nasza nauczycielka wpadła w panikę. Wania, zastanów się jeszcze, przypomnij sobie, na pewno wiesz! Obstawiałem przy swoim. Przewodniczący komisji zgodził się, bo regulamin przewidywał taką możliwość z tym, że obniżano wówczas o jeden stopień a więc nie można było zdać na trójkę bo wówczas egzamin nie był by zaliczony. Wyciągnąłem kolejne pytania i aż się roześmiałem. Znałem doskonale odpowiedzi. Pierwsze dotyczyło powstania chłopskiego na Ukrainie z uwzględnieniem roli, jaką odegrał w nim Jan Bohun – w „Ogniem i Mieczem” występujący jako Jurko, drugie z przyłączenia Ukrainy do Rosji a trzecie coś o Syberii ale już nie pamiętam. To ja już mogę zdawać. Bez przygotowania? Nauczycielka znowu zaprotestowała. Usiądź, przygotuj się, masz czas. Nie potrzebuję. Przewodniczący komisji przerwał to nasze przekomarzanie. Chce, to niech zdaje. Był pewny, że obleję, bo w podręczniku na temat Bohuna były zaledwie cztery linijki. Nie mógł wiedzieć, że czytałem „Ogniem i mieczem”. Mówiłem pewnie z pół godziny podając fakty, o których komisja egzaminacyjna nie miała pojęcia. W końcu przerwali mi i zadali drugie pytanie. Ledwie zacząłem mówić znowu przerwali. Podobnie było za trzecim razem. Czy ktoś ma jeszcze pytanie? Zwrócił się przewodniczący komisji do pozostałych jej członków. Nikt się nie zgłosił. Dostał bym piątkę, gdyby nie poprzednia wpadka z losowaniem. Nauczycielka była rozpromieniona. Skąd wy to wszystko wiecie? Powiedziałem im nazwisko autora i tytuł książki. Nic im to nie mówiło, dopiero po chwili jeden z członków komisji przypomniał sobie. To ten co napisał „Kriestowcew” – „Krzyżaków”, które były przetłumaczone na język rosyjski. Z matematyką było podobnie, to znaczy z pewnymi oporami. Też losowało się trzy zadania, ale aby zdać egzamin, trzeba było je wszystkie rozwiązać. Z pierwszego napisałem wzór i zacząłem liczyć. Kazali mi przejść do następnego, bo trwało by to dłuższy czas. Z następnym było podobnie. Utknąłem przy trzecim. Nie pamiętałem po prostu nic. Coś zacząłem kombinować, ale komisja zorientowała się od razu, że nie umiem. Na studia będziecie szli? Spytał ostro przewodniczący komisji. Nikt mi nie udzielił zgody na studia obywatelu przewodniczący. Dopiero zorientował się, że jestem więźniem. No to w takim razie zdaliście. I dzięki Bogu, pomyślałem widząc już siebie w pociągu jadącym do Polski.

Pożegnanie z Piotrkim

W pierwszych dniach września po raz ostatni pojechałem do Kapłan Biegu w celu odebrania dokumentów ze swojej szkoły. Wypisano mi

zaświadczenie, że ukończyłem drugą klasę technikum oraz, że skreślono mnie z listy uczniów bo nie uczęszczałem na zajęcia. Oczywiście te zajęcia, to zbieranie bawełny. Na pożegnanie dziewczyny zostające w internacie zaśpiewały mi pieśń, którą pamiętam do dzisiaj. Ona nie wiedziała, że ja wybrałem inną, bardziej świetlaną drogę, do widzenia, może mnie zapomnisz i tak dalej. Wszystkiego jednak nie pamiętam. Pożegnanie było bardzo serdeczne. Kiedy już miałem odchodzić, Piotrek Kosiuk zaproponował, że postawi mi herbatę w „czajhanie” - herbaciarni. Jeszcze trochę porozmawiamy, powiedział. Zgodziłem się chętnie. Kiedy już usiedliśmy za stolikiem, Piotrek nagle zmienił zdanie. Na stole stanęła woda mineralna. Bardzo dobra woda, która była wydobywana ze źródła w pobliżu Kapłan Biegu – już o niej pisałem. Bardzo mi smakowała więc tą zmianę powitałem z radością. Nie przeczuwałem jeszcze co mnie czeka. Okazało się, że Piotrek, ryzykując wszystkim, w butelce po wodzie podał wódkę „Stoliczną”, nalewając po pełnej szklance dla mnie i dla siebie. Siedziałem przy tej szklance nie wiedząc jak ją zmęczyć. Pierwszy raz w życiu miałem przed sobą taką ilość alkoholu. Piotrek chciał mnie tak pożegnać, ponieważ z naszej czwórki zostawał sam. Mało tego, jego rodzice też już wyjechali do Polski i zamieszkali w Kwidzynie a on został, ponieważ nie otrzymał paszportu. Przysiągłem mu, że zrobię wszystko, aby jak najprędzej wrócił do kraju. Tymczasem jednak zbliżała się godzina odjazdu mojego autobusu a ja miałem przed sobą prawie pełną szklankę wódki. Aby nie zrobić przykrości Piotrkowi chwyciłem ją i wypłem kilkoma wielkimi łykami. Trochę zakręciło mi się w głowie, ale nie sądziłem, że będę piany. Tymczasem po wyjściu z czajhanu” nie mogłem trafić do furtki. Piotrek musiał mi pomagać. Połowa „wody mineralnej” została na stole, ani Piotrek, ani ja już jej nie chcieliśmy.



Jan Kozakowski. Pozdrowienia Noworoczne z Kapłan Biegu



Legitymacja szkolna Jana Kozakowskiego



Siedzą: druga od lewej Anna Gorina, trzecia Daria Lorentz
leży Jan Kozakowski



Lektura „Chłopów” Reymonta
Od lewej: Piotr Kosiuk, Jan Kozakowski



Daria Lorentz



Jan Kozakowski

Rozdział V

Wracają wszyscy oprócz mnie

Jak to się stało, że rodzina otrzymała prawo powrotu do Polski? Mama przez pół roku chodziła do NKWD w Kirowie, przedstawiając tam potrzebne dokumenty a jego komendant stale wynajdywał jakieś przeszkody. To była istna droga przez mękę. Mama pisała podania a komendant darł je na jej oczach i wyganiał za drzwi. W końcu przyjął i przystawił swoją wielką, okrągłą pieczęć. Po paru tygodniach paszporty przyniósł listonosz. Dla całej rodziny, oprócz mnie. Byłem zdruzgotany. Rodzina wyjedzie a ja zostanę sam w tym obcym miejscu i w tym obcym złowrogim kraju. Nadrabiałem miną, ale nie wiele to pomagało. Nie martwcie się, mówiłem do mamy. Skończę technikum, wyjadę do Indii i prędzej czy później dołączę do was. Zapominałem o tym, że już jestem skreślony z listy uczniów a nie wiadomo, czy na drugi rok przyjmą mnie z powrotem. W naszym domu nie było radości z wyjazdu. Mama popłakiwała, po kątach. Wszyscy odnosili się do mnie wyjątkowo serdecznie, co mnie jeszcze bardziej dołowało. Chciało mi się wyc z rozpaczony a tu trzeba było jeszcze zachowywać pozory i udawać, że nic takiego wielkiego się nie stało. To były jedne z najcięższych dni czasie całego zesłania. Głód, niewygody, pracę ponad siły łatwiej jest znieść niż chorobę ducha, która mnie opanowała. Została jeszcze tylko nadzieja, że i mnie uda się w końcu zdobyć ten upragniony paszport. Nadzieja umiera zawsze ostatnia, ale moja nie była oparta na mocnych podstawach. Chodziło głównie o to, że rodzina musiała opuścić kołchoz w ciągu jednego miesiąca od dnia otrzymania paszportów. Nie dotrzymanie tego terminu równało się unieważnieniu ich. Droga do Polski została by zamknięta na bardzo długo a może i na zawsze. Musieli wyjechać albo do jakiegokolwiek miejsca w Związku Radzieckim z wyłączeniem województwa grodzieńskiego, skąd nas zabrali, albo do Polski. Innej alternatywy nie było. Udałem się do NKWD w Kirowie. Komendant rozłożył tylko ręce. To nie moja decyzja. Podjął ją komendant szymkienskiej obłasti, czyli komendant wojewódzkiego komitetu NKWD, odległego od Bolszewika o 400 km. Tym razem można było wierzyć w zapewnienia komendanta z Kirowa. Na paszportach widniała pieczęć NKWD z Szymkientu. Jak chcę zmiany decyzji to powinienem tam pojechać i starać się. Oczywiście, że pojechałem, zaraz następnego dnia. Jeszcze w nocy Gustek odwiózł mnie traktorem do Pachta Arał, skąd wczesnym rankiem odchodził tam mały, zaledwie dziesięcioosobowy autobusik „Arbon” – rodzaj naszego busa. Każdy zabrał ze

sobą zapas wody, bowiem czekała nas całodniowa podróż w upale, po bezdrożach stepu. W tamtą stronę nie było żadnej drogi. Szoferem był Rosjanin, który doskonale orientował się w terenie. Nie wiem jakim cudem, ale w połowie drogi zajechaliśmy pod studnię a właściwie pod pompę. Wokoło nie było żadnego znaku, żadnych drzew, żadnego wzniesienia terenu a kierowca nie zbłądził i zajechał wprost pod tą pompę. Musiał mieć chyba zamontowany jakiś jipi es w głowie, albo prowadził go ktoś z zaświatów. Próbowaliśmy pompować wodę, ale nic z tego. Tłok chodził na sucho. No to się nie napijemy, pomyślałem i okazało się że nie mam racji. Przynieście wszystką wodę jaką macie, zarządził kierowca. Każdy posłusznie przyniósł swoje naczynie. A teraz wlejcie ją do pompy. No ładnie, jak pompa się nie uruchomi, to na resztę dnia pozostaniemy bez wody. Już to przeżywałem i wcale nie uśmiechało mi się przeżyć tego po raz drugi, ale wlałem i ja zawartość swojego naczynia. A teraz pompujcie! Chwyciłem pierwszy za dźwignię pompy i machałem nią przez dziesięć minut. Na próżno. Zmęczony spojrzałem pytająco na szofera. Ten po prostu pogonił drugiego do pompowania i przyglądał się temu ze znudzoną miną. Potem był jeszcze trzeci i czwarty. Po pół godzinie wytężonej pracy w pompie zablokowało, pompowanie zrobiło się raptem o wiele cięższe a z gardzieli jej wypłynął strumień wody. Co ja piszę wody. To nie była woda! To był ciekły kryształ! Cudownie czysty, zimny, o niebiańskim smaku. Napiliśmy się do woli, napełnili nasze pojemniki, umyli nieco i w dalszą drogę. Po zachodzie słońca zatrzymaliśmy się przed „gostinicą” – hotelem. Mylił by się ten, kto by sądził, że uda się dostać pokój i tak po prostu wejść. Najpierw trzeba było rozebrać się, oddać obsłudze hotelowej swoje ubrania a samemu iść pod prysznic, co uczyniłem niezwykle chętnie. Trwało z pół godziny, zanim zdecydowałem się opuścić go i ku mojemu zaskoczeniu moje ubranie było wyprane. Mogłem je ubierać nieco tylko wilgotne. Dopiero teraz wpuszczono nas na pokoje, czyli do wielkiej 50 - cio osobowej, koedukacyjnej sali, podobnie jak nocuje się w górskich schroniskach. Nie przeszkadzało mi to spać spokojnie przez całą noc.

Czekajcie na powiadomienie

Rano spytałem się w recepcji hotelu, gdzie jest siedziba NKWD. Wytłumaczyli mi i trafiłem bez trudu. Milicjant, który pełnił służbę w drzwiach wejściowych skierował mnie do odpowiedniego pokoju. Za biurkiem stojącym naprzeciw drzwi siedział gruby major z groźną miną. Kiedy wytłumaczyłem mu o co chodzi, stanowczo sprzeciwił się wydaniu mi paszportu. Po to władza radziecka uczyła was, byście teraz wyjechali? Co wy będziecie robić w tej Polsce, tam bawełny nie uprawiają. Chciałem protestować ale przerwał moje wywody jednym warknięciem. „Eto wsio” – to wszystko. Jak zбитy pies

skierowałem się do wyjścia. Wszystkie nadzieje okazały się płonne, ogarnęła mnie czarna rozpacz. Stałem w drzwiach, odwróciłem się do tego majora i powiedziałem. Ja i tak do końca życia będę próbował przedostać się do Polski. W odpowiedzi major wyciągnął szufladę i wyjął z niej pistolet. A my na takich jak wy mamy tutaj skuteczne metody, które zatrzymają was już na zawsze. A co z was za Polak jak wy po polsku nie umiecie rozmawiać? Wychodziłem już, ale odwróciłem się gwałtownie, mówiąc do niego w ojczystym języku. Potrafię i to bardzo dobrze prosić pana. „Kakoj” ze mnie pan! Jaki ze mnie pan? Wrzasnął major zrywając się z miejsca. Tak się zwracamy w Polsce dla oddania szacunku, to nie jest nic obraźliwego, odparłem. Pomruczał coś pod nosem i usiadł z powrotem, jakby nieco udobruchany. Jedźcie do domu, a ja zobaczę co się da zrobić, rzucił mi nie zobowiązującą obietnicę. Czekał na powiadomienie. Co było robić, bez żadnej nadziei wyszedłem na ulicę i powlokłem się w stronę hotelu, skąd odchodził nasz „arbon” do Pachta Arał.

Mam paszport

W domu już było wszystko przygotowane do podróży. Rzeczy spakowane a Gustek wynajął, wraz z rodziną Pilingów, którzy otrzymali pozwolenie na wyjazd w tym czasie co moja rodzina wagon towarowy. Jak się okazało sprawa nie była taka prosta, jak wszystko zresztą w Związku Radzieckim. Aby wynająć wagon musieli jechać do Szymkientu i prosić o pozwolenie wojewódzkie władze NKWD. Będziecie opowiadać jak wam tu było źle? Spytał oficer reprezentujący ten komitet. Nam tu nie jest źle, odparł Gustek, ale człowiek lepiej się czuje tam, gdzie się urodził.

Rosjanin nie pomyślał, że przecież tam gdzie się Gustek urodził nigdy już nie będzie mógł wrócić bo to jest zakazane i wydał pozwolenie. Wagon mieli postawić w niedzielę rano. Wynajął też ciężarówkę, która miała zawieść wszystkich do Pachta Arał. Ja też spakowałem swoje rzeczy w małą skrzynkę. Nie będę mieszkał i pracował w Bolszewiku. Pojadę do szkoły, może nie wszystko stracone i przyjmą mnie na trzeci rok nauki. Widziałem, że mamie jest ciężiej na sercu niż mnie i starałem się jak mogłem nadrabiać miną a na dobrą sprawę, to chciało mi się po prostu wyc. Tak było do godzin wieczornych w sobotę, kiedy przed naszym domkiem zatrzymał się znajomy jeździec na znajomym koniu. Był to nasz listonosz, Gruzin. Mam coś dla ciebie, powiedział, podając mi grubą kopertę, tylko musisz mi pokwitować. Zrobiłem to drżącymi rękami i natychmiast otworzyłem. W środku był paszport. Otworzyło się Niebo i spłynęła z niego najcudowniejsza muzyka świata, która w rytmie stukotu wagonowych kół poniosła mnie w stronę Ojczyzny. Byłem oszołomiony ze szczęścia. Mój paszport! Radości nie było końca. Tańczyliśmy, skakali i

krzyczeli. Z połowy kołchozu zbiegli się ludzie patrzeć co my wyprawiamy. Mama z siostrami płakały ze szczęścia a i mnie niewiele do tego brakowało, choć udawałem twardziela. Raz jeszcze spojrzałem na ten swój drogocenny dokument i otworzyłem go. W środku było napisane „Polskaja Narodnaja Respublika” To my teraz jesteśmy republiką Związku Radzieckiego? Przemknęło mi przez myśl mącąc na chwilę nastrój euforii, który ogarnął mnie i pozostałych członków naszej rodziny. Co tam, republika nie republika, wytłumaczyłem sobie ważne, że już jutro opuszczę „Bolszewika”, nadętego „priedsiadatiela” i złowrogiego NKWD. Nie zostanę tutaj sam, tylko pojedę z mamą i rodzeństwem. Nie spałem całą noc. Za dużo wrażeń jak na tak krótki okres czasu. Serce waliło mi jak młot w kuźni starego Rosjanina wyprawiającego swoje sztuczki z zegarkiem. Zostawiamy lepiankę, wałęsające się osły, aryki i to potworne słońce. Rano będziemy już w drodze.

W drogę

Wraz ze wschodem słońca podjechał samochód, na który załadowaliśmy nasz skromny dobytek. Żegnała nas cała rodzina Kondratów i inni Polacy patrzący smutnie na nasz wyjazd. Oni jeszcze będą musieli trochę zostać, dla nich jeszcze drogę zagrażdza stalowa brama bezdusznych rozporządzeń naszego gnębiciela, potrzebującego niewolników do pracy przy uprawie bawełny. Dziewiętnasty wiek i południe Ameryki, tylko kolor skóry tych niewolników jest inny. Traktowanie było podobne. Żadnych praw oprócz prawa do pracy i do umierania – tego już nie byli w stanie zabronić. Mama złożyła przyrzeczenie pozostającym w kołchozie Polakom. Zrobię wszystko, by pomóc wam wrócić do kraju. Siedziałem na skrzyni ciężarówki zerkając jeszcze w stronę nie naszego już domku. Oddajemy osłom ich pierwotną własność. Najbliżsi sąsiedzi Kazachowie uśmiechali się i kiwali nam na drogę rękami. Mijany po drodze, jadący na koniu brygadzysta z zaszępioną miną nawet nie chciał na nas patrzeć. Dla niego to tragedia. Ubywa kilku pracowników a zadania trzeba wykonać. Już się pewnie zastanawiał, jak zmusić pozostałych do bardziej intensywnej pracy, aby bawełna na tym naszym wyjeździe nie ucierpiała. Po raz ostatni jechałem ciężarówką przez step znaną mi już drogą. Jaka inna to była podróż niż cztery lata temu. Jechałem jako człowiek wolny. Byle tylko dojechać do granicy.

Macie jakiś modlitewnik?

W Pachta Arał wyładowaliśmy ciężarówkę na plac ciągnący się wzdłuż torów, który pełnił rolę peronu. Usiedliśmy na naszych bagażach i nareszcie swobodnie rozmawiali po polsku. W pobliżu nie było żadnego żołnierza z karabinem, który by nas pilnował, nikt na nas nie krzyczał i nie poganiał. Z oddali nadeszła kobieta ubrana w kazachski strój, ale nie wyglądała na rodowitą Kazaczkę. Wy Polacy? Wracacie do kraju? Ja też jestem Polką. Wywieźli nas jeszcze w latach czterdziestych. Rodzice pomarli a mnie małąletnią przygarnęła kazachska rodzina, która miała syna w moim wieku. Po kilku latach ożenił się ze mną i mamy dwoje dzieci, dwóch chłopaków. Jej mąż pewnie kończył szkołę, do której i ja chodziłem bo okazało się, że jest agronorem, a więc z głodu nie przymierają, ale tęsknota za krajem pozostała. Teraz tutaj jest jej dom, tutaj są groby rodziców, tutaj są jej dzieci i jej małżonek. Obaj synowie są co prawda obrzezani i wyznają Islam, ale jednocześnie mówią po polsku i znają modlitwę „Ojcze nasz”. Wy wyjeżdżacie, może macie jakiś modlitewnik? Oczywiście, że tak. Dostała od mamy modlitewnik, różaniec i wszystkie czasopisma, które przyszły w paczce wysłanej z Moskwy przez nieznanego nadawcę. Tutaj były one tak ważne, że mama zabrała je ze sobą. W kraju stanowiły by jedynie makulaturę. W ten sposób my pożegnaliśmy się ostatecznie z Kazachstanem a nasza rodaczka z Polską. Poszła swoją drogą, ze łzami w oczach tuląc do siebie „skarby”, które tak nieoczekiwanie stały się jej własnością. Po chwili podjechał wagon i wraz z rodziną Pilingów załadowaliśmy nasz dobytek. Było tego niewiele. Jeszcze co najmniej dwie rodziny śmiało by się zmieściły. Chętni do wyjazdu byli wszyscy zesłańcy, ale nie wszyscy mogli, przynajmniej razem z nami. Czekala nas ciężka, ale pełna radości podróż trwająca 20 dni, w czasie których przejechaliśmy 6000 km w stronę Polski. Nie było zamkniętych drzwi, małego okienka pod dachem wagonu i dziury w podłodze, gdzie można była załatwiać sprawy fizjologiczne. Mogliśmy wyjść na każdej stacji i nikt nie mierzył do nas z karabinu, a co najważniejsze, nie byliśmy głodni.

Zostałem sam bez paszportu i pieniędzy

Zanim mama zaczęła starać się o pozwolenie na wyjazd, już zabezpieczała się na drogę. Na targu w Kirowie kupiła prosiaka, który przez kilka miesięcy wyrósł na dosyć sporą świnie, biegając sobie wokół naszego domku. Przed samym wyjazdem jej beztróskie życie skończyło się. Świnia została zabita. Mama gotowała mięso, chowała je do 30 litrowej konwi na mleko

i zalewała smalcem wytopionym ze słoniny, konserwując w ten sposób na drogę. Przechowało się świetnie. Jedyne trzeba było kupować chleb. Patrzyliśmy kiedy parowozy nabierają wody lub węgla. Był wówczas czas by iść na stację lub nawet do miasta, przy którym zatrzymaliśmy się i dokonać zakupów. Pewnego dnia wypadło to na mnie. Widząc, że parowóz podjechał pod pompę wziąłem pieniądze i poszedłem do miasta. Nie było ono duże a więc i sklepów za wiele nie miało. Szedłem ulicą i rozglądałem się, gdzie sprzedają chleb, gdy nagle dobiegł do mnie sygnał odjazdu pociągu. Z pewnością jedynie dolewali nieco wody do parowozów i nie zajęło im to dużo czasu. Biegiem rzuciłem się w stronę stacji. Resztkami sił wpadłem na peron po to tylko by zobaczyć ostatni wagon odjeżdżającego pociągu. Dzielilo mnie od niego kilkanaście metrów. Próbowałem gonić za nim, ale nie miałem żadnych szans. Zabrakło dosłownie pięciu sekund, a dodatkowo z przeciwnej strony wiał bardzo silny wiatr, który uparł się bym nie zdołał go dogonić. Lokomotywy w Związku Radzieckim są wyjątkowo silne i od razu nabierają pędu. W każdym pociągu towarowym w końcowym wagonie była budka, stercząca ponad dachy wagonów, z której kierownik pociągu mógł obserwować cały skład. Zauważył mnie wiedział, że jechałem tym pociągiem i zaczął gwałtownie kręcić kołem hamulca. Koła tylnego wagonu zablokowały i sypał się spod nich snop iskier, ale pociąg dalej przyspieszał. Hamulec jednego wagonu nie mógł zatrzymać całego składu. Odkręcił koło hamulca i rozłożył bezradnie ręce patrząc w moją stronę. Nic innego już nie mógł zrobić. Zamarłem z przerażenia. Stałem i patrzyłem za oddalającym się pociągiem. Zostałem sam, bez paszportu i bez pieniędzy. Pierwszy napotkany patrol milicji aresztuje mnie i już do Polski nie wrócę. Trudno opisać co czułem: strach, rozpacz, jakiś okropny zawód, pogrzebane nadzieje? Powlokłem się powoli w stronę budynku stacji, starając się uspokoić rozdygotane po ogromnym wysiłku serce i przywrócić sprawność omdlałym nogom. Może zawiadowca coś mi poradzi? Po drodze mijałem grupę pracujących na torach kobiet, które widziały co się stało. Jedna z nich zawołała w moim kierunku. Nie martw się, choć do mnie. Mam córkę w twoim wieku, pożenicie się i zostaniesz u nas. Podziękowałem pięknie za troskę i poszedłem dalej. Nie interesowało mnie małżeństwo w Rosji, ja musiałem dostać się do Polski. Zawiadowca stacji przyjął mnie bardzo serdecznie. Zadzwoń do kolejnej stacji, odległej o 300 km. Tam pracuje jego kolega, może uda się coś załatwić. Masz pieniądze? Nie mam. Miałem co prawda kilka rubli na chleb, ale nie będę się ich pozbywał. Nie wiadomo ile czasu przyjdzie mi za nie żyć. Myślałem rozpaczliwie co robić. Może jakieś samochody jeżdżą do następnej stacji i dogonię pociąg? Pokręcił głową. To nie był dobry pomysł. Siedź tutaj i nie ruszaj się. Widzieli ciebie jak gonisz pociąg. Pomyślą, że chciałeś uciekać i aresztują. Za 10 godzin będzie jechał następny pociąg, osobowy. Spróbuję cię w nim umieścić. No tak, zapomniałem o artykule 58A rosyjskiego kodeksu karnego. Pewnie ktoś już powiadomił milicję, że widział domniemanego uciekiniera. W pełni zgodziłem się z zawiadowcą. Masz co jeść?

Pokręciłem głową. Nie mam ale nie chce mi się jeść. Nie dziwił się. Człowiek w takim zmartwieniu nie myśli o pustym brzuchu. Mimo to wyciągnął swoje kanapki z czarnego chleba posmarowane margaryną, jedną dał mnie a drugą zaczął sam jeść. Głodowaniem nic nie osiągniesz, jedz. Teraz dopiero poczułem głód. Po kilku godzinach odezwał się telefon. Dzwonił kolega zawiadowcy ze stacji „Lew Tołstoj” z informacją, że wyłączył wagon z moją rodziną ze składu pociągu. Odetchnąłem z ulgą. Połowę kłopotów ubyło, jeszcze tylko dostać się tam jakoś i wszystko skończy się szczęśliwie. Siedziałem jak na szpilkach czekając na ten „prigorodnyj” – podmiejski pociąg, którym mogę dostać się do następnej stacji. W końcu przyjechał. Chodziliśmy z zawiadowcą od wagonu do wagonu i w każdym zawiadowca prosił konduktora by wziął mnie do następnej stacji. Żaden nie chciał się zgodzić. Ryzykowali utratę pracy.

Pomocnik maszynisty

Prosząc kolejnych konduktorów o zabranie mnie doszliśmy aż do samej lokomotywy, z której wyglądał maszynista obserwując nasze usiłowania. Choć no tu chłopcze! zachorował mój pomocnik, zarobisz sobie na drogę. Byłem szczęśliwy. Podziękowałem pięknie zawiadowcy za pomoc i po chwili byłem już w lokomotywie. Popatrz – pokazał mi jak się otwiera drzwiczki paleniska. Ciągnie się za dźwignię a one otwierają się w obie strony. Otworzysz sobie i będziesz wrzucał tam węgiel a kiedy zapełnisz palenisko, to zamkniesz z powrotem i to cała twoja robota. Z zapalem wziąłem się do pracy. Rzucąłem węgiel tak, jakby od tego zależało, czy dojedziemy do następnej stacji. W końcu zapełniłem palenisko i maszynista powstrzymał moje zapaly. Teraz możemy porozmawiać. Gdzie jedziesz? Do Warszawy. A Skąd? Opowiedziałem mu o sobie. Słuchał z zaciekawieniem. Kiedy skończyłem opowiadać i wziąłem się ponownie za łopatę, on otworzył jakąś skrzyneczkę, wyciągnął z niej kawałek papieru, ołówek i zaczął pisać. Potem złożył go a na wierzchu napisał; Konstanty Rokossowki. Schowaj dobrze ten list. Jak już będziesz na miejscu w Warszawie to daj go Konstantemu Rokossowkiemu, on ci pomoże się tam urządzić. A jak ja go znajdę? Znajdziesz, znajdziesz. O to możesz być spokojny. Teraz on z kolei zaczął opowiadać o wojnie. Trafił bardzo dobrze, bo przez cały czas był osobistym kierowcą generała, właśnie Konstantego Rokossowskiego. Początkowo jego wielki przełożony traktował go podobnie jak samochód, którym jeździł. Z czasem zaczął widzieć w nim człowieka, aż nastąpił moment, który połączył ich nicią przyjaźni, o ile można mówić o przyjaźni między generałem a jego szoferem. Generał zawdzięczał mu życie. Kiedyś podjechali na pierwszą linię frontu. Generał poszedł do dowódcy odcinka, a kierowca został przy samochodzie i w tym czasie ruszył kontratak

Niemców. Generał został ranny, potrzebna był natychmiastowa operacja, ale wywiezienie go spod ostrzału było niezwykle ryzykowne. Sanitariusz zaopatrzył ranę jak mógł, włożyli go do samochodu i pojechał pośród gradu pocisków, które tłukły po karoserii. Dojechali bez żadnej szyby ale szczęśliwie do najbliższego lazaretu i kierowca a obecnie maszynista pobiegł po pomoc. Sam nie był w stanie zanieść generała, to był bardzo postawny mężczyzna. Po paru tygodniach generał wrócił na wojnę. Czekał już na niego inny, zdobywczy samochód z tym samym kierowcą. Ocaliłeś mi życie, powiedział do niego. Pamiętaj, że jestem twoim dłużnikiem. Teraz maszynista postanowił przypomnieć generałowi o jego zobowiązaniu. Wziąłem kartkę, włożyłem do kieszeni, zapiąłem guzik, aby mi przypadkiem nie wypadła i zapomniałem o niej. Za dużo było wrażeń. Kiedy już byliśmy u wujka w Warszawie, zupełnie przypadkowo sięgnąłem ręką do kieszeni i natrafiłem na nią. Wszystko stanęło mi przed oczyma, jakby działo się przed chwilą. Pokazałem kartkę wujkowi i opowiedziałem co mi się przydarzyło po drodze. Wujek przeczytał ją a następnie podarł i wyrzucił. Nigdy nie przyznawaj się, że masz coś wspólnego z Rokossowskim, powiedział. Nie umniejsza to wcale życzliwości maszynisty, który chciał mi pomóc zupełnie bezinteresownie.

Podróż do „Lwa Tołstoja” minęła nadszpiewanie prędko. A wiesz ty czemu stacja nazywa się „Lew Tołstoj”? O tym kim on był nie muszę ci chyba mówić? „Anna Karenina”, „Wojna i pokój” zacytowałem co prędzej znane mi powieści. Kiwnął z uznaniem głową. To był wielki pan hrabia. Kiedy zachorował, lekarze doradzili mu aby pojechał nad Morze Bałtyckie, by zaczerpnąć nieco jodu. Niestety nie było mu to dane. Kiedy jechał koleją właśnie tą trasą to przy małej budce dróżnika nagle zasłabł. Zatrzymano pociąg i wyniesiono go na zewnątrz, aby zaczerpnąć nieco świeżego powietrza. Nic to starszemu już panu nie pomogło. Zmarł koło tej budki. Budka stała się sławna. Zaczęto budować nowe pomieszczenia i z czasem powstała wielka stacja kolejowa. Została ona nazwana na cześć człowieka, który się do tego, zupełnie przypadkowo przyczynił. Pierwotna budka pozostała nie tknięta jako muzeum. Wysłuchałem opowieści maszynisty i wziąłem się rażno do roboty. Prawdę mówiąc niewiele obchodziła mnie nazwa stacji i przygody starego rosyjskiego pisarza. Jedno czego chciałem, to spotkać się jak najprędzej z rodziną. Niedługo się doczekałem. Maszynista wyhamował pociąg przed wjazdem na peron i rozglądał się uważnie po bocznicach kolejowych. Popatrz tam, wskazał na stojący samotny wagon. Tam jest twoja rodzina. Rzeczywiście, w oddali zobaczyłem nasz wagon i kogoś, kto kręcił się koło niego, ale było za daleko aby rozpoznać. Wiedziałem więc, gdzie mam iść. Już z daleka zauważyłem braci i mamę, którzy o czymś rozmawiali po czym Gustek zaczął iść w stronę dworca kolejowego. Po chwili byłem już przy nich i Gustek wrócił się. Oni mnie po prostu nie poznali i szedł na stację pytać zawiadowcy dlaczego nie przyjechałem, a nie poznali mnie bo wyglądałem jak diabeł, cały czarny. Ponoć tylko oczy mi się błyszczały a reszta była pomazana pyłem węglowym. Sam tego nie widziałem, bo nie mieliśmy lusterka. Marysia

popatrzyła na mnie i powiedziała, że ja z pewnością płakałem, bo mam takie błyszczące oczy.

Znowu z rodziną

Cieszyłem się bardzo, że już jestem z rodziną, ale bracia chętnie dali by mi dobrego kuksańca pod żebro. Przeze mnie podróż opóźniła się o całe dwanaście godzin a jeszcze trzeba było dołączyć nas do jakiegoś składu. Potem okazało się, że z tym wcześniejszym dojazdem wcale nie było takie pewne. Tak się domyślaliśmy, ponieważ skład, w którym jechaliśmy poprzednio wiozł wagony jabłek. W związku z tym, było najbardziej prawdopodobne, że jedzie do Moskwy. Wówczas droga znacznie by się nam wydłużyła, gdy tymczasem z Lwa Tołstoja wyruszyliśmy prosto na zachód, na Saratów i Brańsk, ale to tylko takie nasze przypuszczenia. Z tymi jabłkami mieliśmy szczęście. Wagony, które je przewoziły miały dosyć szerokie kominki, które odprowadzały ciepło a załadowane były po sam dach. W czasie jazdy wchodziliśmy z braćmi na dachy i przez te kominki wybierali jabłka do worków. Stanowiły one niezłe urozmaicenie naszej podróźnej diety. Jak już pisałem, bracia patrzyli na mnie trochę krzywo za to moje spóźnienie. Oni również wychodzili na postojach po chleb, ale bardzo uważali, i kiedy tylko maszynista zagwizdał, co było sygnałem do odjazdu, to zawsze zdążyli dobiec do ostatniego wagonu. Potem po dachach przechodzili do przodu. Mama bardzo bała się tej podróży, ale nie było tak źle. Na każdej stacji można było dostać kipiatok, mieliśmy w kanie po mleku naszą ugotowaną świnie, ale to jeszcze nie było takie ważne. Najważniejszy był dobry nastrój, świadomość, że wracamy do kraju. Taki nastrój powoduje, że człowiek jest zdrowy i pełen optymizmu. Jechałem, jakbym leciał na skrzydłach, gdyby dało się popychać wagony to z chęcią bym to robił. To była najpiękniejsza droga w moim życiu. Rodzina Pilingów składała się rodziców, syna i córki w moim wieku, oraz półrocznego niemowlęcia. Dziecko przez cały czas jazdy pociągu spało, ale kiedy tylko zatrzymywaliśmy się to od razu zaczynało płakać. Pod koniec podróży to już przejeżdżaliśmy jego zwyczajnie. Najlepiej spało się podczas jazdy, ale kiedy tylko pociąg stawał na stacjach, od razu wszyscy się budzili, niezależnie czy był to dzień, czy też środek nocy. Na jednej ze stacji staliśmy dosyć długo. Zauważyłem, że w otwartym wagonie naprzeciw nas stoi Gruzin w ich ludowym stroju. „Gamar doba” – dzień dobry, zawołałem w jego kierunku. „Gagi merdżus” odkrzyknął, wyskoczył ze swojego wagonu i podbiegł do mnie mówiąc coś w swoim języku. Musiałem go przeprosić. Nie znałem na tyle gruzińskich słów byśmy mogli porozmawiać. Przeszliśmy na rosyjski, co wcale nie zmieniło jego pozytywnego nastawienia. Powiedziałem mu skąd jedziemy, gdzie i że byliśmy więźniami. On natomiast powiedział, że konwojuje wino do

Moskwy. Chwilę rozmawialiśmy, po czym Gruzin nagle przypomniał sobie o czymś. Macie wiadra? Mamy. To biegnij na stację i przynieś mi dwa wiadra wody. Zrobiłem jak mówił i przyniosłem mu tej wody do wagonu. Utoczył z beczki dwa wiadra wina a na to miejsce wlał wodę, którą przyniosłem. Będziecie mieli na drogę. W Moskwie i tak się na tym nie poznają. Tak to więc, dzięki uprzejmości przypadkowo spotkanego Gruzina, rodzina Pilingów i Kazakowskich jechała do kraju podchmielona wspaniałym gruzińskim winem.

Obligacje ZSRR

Po drodze dowiedziałem się, skąd mieliśmy pieniądze na podróż, na wynajęcie samochodu którym dojechaliśmy do stacji Pachta Arał, na wynajęcie wagonu, na żywność, przecież w Bolszewiku ledwo starczało nam na wyżywienie. Sprawa okazała się dosyć skomplikowana. Kiedy mama otrzymała pozwolenie na wyjazd, to było tam napisane, że żadnych rubli ani papierów wartościowych z terenu Związku Radzieckiego nie wolno wywozić. Mama miała obligacje państwowe, które dawano nam w Pietraszuńcach zabierając nasze mienie. Sądziła, że nigdy z nich nie skorzysta, ale jednak los chciał inaczej. Musiała z tymi obligacjami pójść do banku i na podstawie dokumentu o wyjeździe wypłacili jej kwotę, na jaką były wystawione. Zygmunt z Gustkiem wykorzystali to. Skupowali na targu obligacje, których pozbywali się ci co nie mieli nadziei na wyjazd. Zarobek na tym był bardzo dobry, bo za pięć rubli można było zyskać nawet sto. Nazbierali tyle pieniędzy, że opłacili wszystko i jeszcze nam zostało. Aby nie wywozić ich nielegalnie, co mogło skończyć się bardzo przykro, gdyby nas rewidowali, kupili za pozostałe pieniądze 5 odbiorników radiowych zapakowanych w solidne skrzynie. Na tych skrzyniach i na podłodze wagonu urządzaliśmy miejsca do spania. W Warszawie jedno radio dostał wujek, jedno mama zostawiła sobie a trzy zostały oddane do komisju. Z dumą patrzyłem przez szybę na wystawę, gdzie położono je na najbardziej widocznym miejscu. Na drugi dzień poszedłem tam i miejsce to było puste. Mogliśmy kupić sobie jakieś ubrania, by nie zwracać na siebie uwagi okropną nędzą. Różniliśmy się bowiem bardzo od innych ludzi na ulicy. W Rosji jakoś to nie było takie widoczne. Tam wszyscy równali w dół, do szarości i smutku. W Warszawie, mimo jesiennego pory ludzie byli kolorowi i o wiele bardziej weseli.

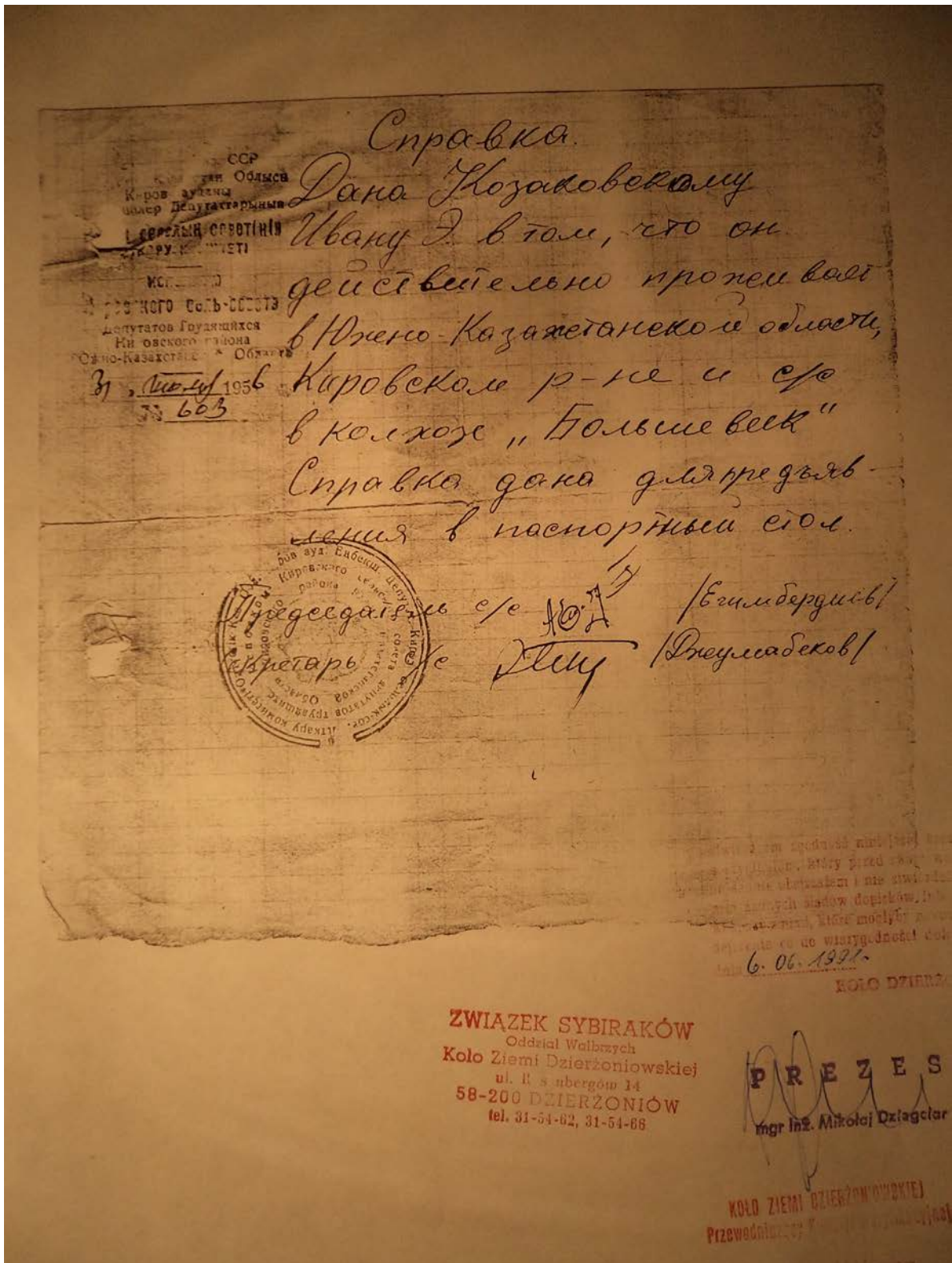
Ostatnia prowokacja

Wracamy jednak do pociągu. Świat zmienił się, kiedy dojechaliśmy do Brześcia. Zapachniało Europą. Ludzie byli już bardziej elegancko ubrani. Żołnierze, którzy chodzili po ulicach byli w pięknych wyjściowych mundurach, czystych i odprasowanych, świeżących butach i ze złotymi pagonami na spodniach. Wyglądali zupełnie inaczej, niż ci spotykani w Azji Środkowej, którzy nosili polowe obszarpane mundury i podobnie jak my byli po prostu brudni. Nic dziwnego, warunki do zachowania higieny były tam nadzwyczaj skromne, by nie rzec żadne. W Brześciu odebrano nam paszporty i zapowiedzieli kolejny raz aby nie wywozić żadnych rubli. Jakoś z tego powodu nie byliśmy zasmuceni. Wszyscy mężczyźni poszli do najbliższej restauracji szampanem uczcić nasze wielkie święto, powrót do kraju. Panie zostały w wagonie, bo dziecko bardzo płakało i bały się o nie a ponadto nie chciały zostawiać Pani Pilingowej samej. Trzeba było wydać ostatnie ruble, które na nic już się nie przydadzą. Przedstawiciele władzy radzieckiej jeszcze teraz usiłowali nas sprowokować. Do naszego stolika podszedł młody jeszcze, porządnie ubrany człowiek, który z daleka śmierdział nam tajniakiem i zaczął wypytywać, stąd jedziemy i dokąd, czy podoba nam się w Związku Radzieckim i różne inne prowokacyjne pytania. Jakoś nie zrażało go to, że nikt nie kwapi się z odpowiedzią. Przez lata niewoli reżim radziecki skutecznie nauczył nas milczeć. Tymczasem nieznamy był coraz bardziej przyjacielski. W pewnej chwili nachylił się nad młodym Pilingiem, chwycił jego kieliszek i wypił. Nasz towarzysz podróży zerwał się z miejsca i walnął intruza w zęby aż wpadł pod następny stolik. Teraz stało się jasne, że to była prowokacja. Natychmiast wokół nas zebrało się pełno mundurowych milicjantów i jakichś cywili. Aresztowali nas wszystkich i poprowadzili do komendy policji. Tam jednak po krótkiej rozmowie puścili nas z powrotem. My już nie podlegaliśmy władzy radzieckiej a i policja nie była zainteresowana tym, że ktoś tam komuś dał po gębie. Chodziło im o to, czy będziemy coś mówić przeciwko państwu. Tym razem udało się uniknąć większych kłopotów, ale świętowanie nam zakłócili. Nie pozostało nic innego jak wrócić na peron i czekać aż urzędnicy załatwią nam wjazd do Polski i w końcu znajdziemy się w ojczyźnie. Swoim wyglądem budziłyśmy ogólne zainteresowanie. Ludzie spoglądali na nas ukradkiem starając się nie okazywać zainteresowania. Nic dziwnego, wyglądaliśmy jak banda włóczęgów, po których wszystkiego można się spodziewać. Nie pozostawialiśmy dłużni i też gapiliśmy się na podróżnych.

Niebiosa spowodowały to spotkanie

Na peronie młody Piling stanął przed dziewczyną, która miała bardzo obcisłe spodnie i ośmielony wypitym szampanem, oraz niedawnym zwycięstwem nad tajniakiem patrzył się na nią wręcz natrętnie. Podobały mu się jej kształty, które w Azji pozakrywane były spódnicami i chałatami. Choć popatrzył, wołał do mnie a dziewczyna nie wiedziała co z sobą zrobić, jakiś dzikus ją obserwuje i jeszcze drugiego woła. Chociaż z drugiej strony chyba jej to imponowało, bo nie poszła sobie, tylko pozostała na miejscu. Po jakimś czasie zainteresowanie dziewczyną ustało, wobec kolejnych przeżyć, które nas czekały. Właśnie na sąsiedni tor z głośnym gwizdem wjechał długi pociąg osobowy z dwiema lokomotywami z przodu i z tyłu. Obok nas zaczęła wysiadać jakaś rodzina. Wyglądali jeszcze bardziej egzotycznie od nas. Mimo, że na zewnątrz nie było mrozu, wszyscy w grubych ubraniach, mężczyźni w futrzanych czapach a kobiety zawinięte grubymi chustami. Taszczyli ze sobą jakieś tłumoki, pewnie cały swój dobytek. Kolejni zesłańcy, którzy powracają do kraju gdzieś z północnej Syberii pomyślałem i nie myliłem się. Kobieta w wieku mojej mamy zawołała po polsku do młodego mężczyzny, który właśnie wysiadał: Tadziu! Połóż worek na peronie i idź po następny. Stojący obok mnie Gustek spojrział na nią i nagle wrzasnął na całe gardło. Mamo, to ciocia Wacia! Mama wyskoczyła z wagonu. Spotkanie było niesamowite. My przejechaliśmy 6000 km. a oni przeszło dwa razy tyle by spotkać się na peronie dworca kolejowego w Brześciu. Śmialiśmy się i płakali jednocześnie. Chcieliśmy coś mówić i natychmiast sobie przerywaliśmy. Tyle było do powiedzenia i taka ogromna była to radość zwłaszcza, że obie rodziny i nasza i ich nikogo na obcej ziemi nie zostawiła. Wszyscy wracali z nadszarpniętym mocno zdrowiem ale żywi. Okazało się, że jadą z Krasnojarska, ale nie tam spędzili ostatnie lata a w jednym z kołchozów. Teraz dokładniej kim byli ci nasi krewni. Czesław Lubianiec był kuzynem mamy, synem brata jej ojca. Ciocia Wasia, jego żona z domu Ilewicz, które to nazwisko przewinęło się już w tej książce, wraz ze swoimi rodzicami, teściami Czesława, oraz dwóch dorosłych synów Eugeniusz i Tadeusz. Czesław został w czasie wojny wywieziony na roboty do Niemiec. Pracował tam w dużym gospodarstwie rolnym jako kowal a ponieważ był cenionym pracownikiem i trafił na ludzkiego bauera – gospodarza, ten puścił go do domu na urlop, aby odwiedził swoją rodzinę. Dotrzymał by pewnie słowa danego swojemu chlebodawcy i wrócił do niego, bowiem łatwiej tam było zarobić na utrzymanie rodziny, ale nie mógł. Niemcy cofali się bardzo szybko i Pieretańce wraz z nim znalazły się po drugiej stronie frontu. Nie pozostało mu nic innego jak zająć się gospodarstwem, które podobnie jak nasze było rujnowanie z miesiąca na miesiąc przez nową władzę, nie kończącymi się „kontygentami” – podatkami i zaborem mienia. Na razie jednak dawali mu spokój. Nowa władza musiała okrzepnąć, pozakładać wszystkim „kułakom” kartoteki i przygotować dla nich nowe miejsce pobytu. Trwało to parę lat. W

1952 roku nieoczekiwanie aresztowano całą jego rodzinę łącznie ze staruszkami teściami i wywieziono ich w rejon Krasnojarska. Tam Wacia wraz z Czesławem pracowali w kołchozowym polu a obydwaj chłopcy zostali traktorzystami. To było latem. Zimą wszyscy pracowali przy wyrębie lasu, oczywiście oprócz teściów, którzy byli już na to za starzy. Mrozy panowały tam straszne. Ciocia przeziębła sobie nogi, które bolały ją już do końca życia. Tyle dowiedzieliśmy się przez niecałą godzinę, zanim nie musieliśmy się rozstać. Oczywiście musieliśmy też zdać naprędce relację z naszego pobytu na drugim biegunie, biegunie ciepła, które jak to już niejednokrotnie podkreślałem wcale nie jest mniej zabójcze od mrozu. Starsza pani Ilcewiczowa przysłuchiwała się tej chaotycznej rozmowie, nie wtrącając się, ale na koniec, kiedy już Lubiańce musieli iść stwierdziła, że Niebiosą spowodowały to nasze spotkanie. My też tak czuliśmy. Przez cały czas pobytu na wygnaniu czuliśmy tą boską opiekę. To dzięki niej byliśmy już u granic Polski i całą powrotną drogę dziękowaliśmy za to Panu Bogu i Najświętszej Pannie Marii. Nie zliczę różańców, które wraz z rodziną Pilingów odmówiliśmy. Modliliśmy się wszyscy razem i każdy sam dziękując za ocalenie, za przywrócone życie, które na dalekim wygnaniu było jedynie jego namiastką, bez swojej ojczyzny, bez kościoła i bez Boga. W potwornym, miażdżącym jednostkę systemie, który niszczył zarówno obcych, zesłańców jak i swoich. Otoczeni nie zawsze przychylnymi ludźmi uzbrojonymi w nahaje. Mama już w Pietraszuńcach należała do Akcji Katolickiej, organizowała wycieczki do Ostrej Bramy w Wilnie i do Częstochowy, wyprosiła u Pana Boga, to że wróciliśmy. Już do końca życia, a przyszło jej dożyć sędziwego wieku, dziewięćdziesięciu pięciu lat, obchodziła pierwsze piątki miesiąca, uczestnicząc w nabożeństwach, przyjmując Komunię Świętą i odmawiając Litanię do Najświętszego Serca Pana Jezusa.



Potwierdzenie miejsca zamieszkania Jana Kozakowskiego

Справка.

Дана настоящая справка Козаковскому Густаву Эдмундовичу в том что он действительно проживает в Южно-Кирова области Кировском с/с в к-зе "Большие".

Председатель с/с Кош. /Евандурьев,
 Секретарь с/с Олидсу. /Джумабеков.

10. Сент. 6. 1951

Южно-Кировская область

Трестъ пренатки:
 Испитком Кировского Сельского
 Совета Депутатов Трудесорохися
 Кировского района Южно Кировской
 области.

Stwierdzam zgodność niniejszej kserokopii z oryginałem, który przed skopiowaniem dokładnie obejrzałem i nie stwierdziłem na nim żadnych błędów, poprawek, czy zmian. W celu uwiecznienia do wglądu dokumentu
 data 6.06.1951

KOŁO DZIERŻONIÓW

KOŁO ZIEMI DZIERŻONOWSKIEJ
 Przewodniczący Komisji Wytykacyjnej
 mgr Jan Makagon
 6.06.1951.

Potwierdzenie miejsca zamieszkania Gustawa Kozakowskiego

А Р Х И В Н А Я С П Р А В К А

В документах Государственного архива Чимкентской области имеются сведения, что гр.Козаковская Станислава Ромуальдовна проживала на территории Кировского района Южно-Казахстанской области с 1952 по 1956 годы. В 1956 году выехала в Польшу.

Директор Государственного
архива Чимкентской области



[Handwritten signature]
И.И.Ржанникова

К-36/3-10
01 апреля 1992 года

Zaświadczenie o zamieszkaniu Stanisławy Kozakowskiej

Президиум Варшава 10 августа 1955г.
Общественно-Административный отдел
Варшавского Горсовета
№ Са. I - XI - 1889/55
Удостоверение
Настоящим удостоверяется, что в Президиум Варшавского
Горсовета обратился польский гражданин, польской наци-
ональности - Любянец Павел Романович род. 30. I.
1911г. проживающий в Варшаве 26, ул. Валевская Зн. 12.
и заявил(а), что имеет (имеет) члена(ов) своей семьи:
1/сестру - Угозаковская Станислава Романовна, род. Лю-
бянец, род. в январе 1908г.
2/ сына поимен. под № I / Угозаковский Эдмунд Эдмундович,
род. 13. I. 1928г. 3/ сына поимен. под № I / Угозаковский
Густав Эдмундович, род. 1. I. 1929г. 4/ дочь поимен.
под № I / Угозаковская София Эдмундовна, род. 18. III 1935г.
5/ сына поимен. под № I / Угозаковский Иван Эдмундович,
род. 28. I 1937г. 6/ дочь поимен. под № I / Угозаковская
Мария Эдмундовна, род. 28. I. 1939г.
проживающих ныне на территории С. С. С. Р. - Южно-Узбек-
станская обл., Кировский район, Кировский с/к, колхоз
„Большевик“
Указание принадлежит к польской национальности и 1/к имми-
грант 1939г. состояли польскими гражданами.
Президиум Варшавского Горсовета на основании полномочия Прези-
диум Совета Министров от 13.6.1950г. извещает согласие на
приезд вошпенникованна из Союза С. С. Р. в Польшу по вызову
брата который обязанся обеспечить полное содержание после
приезда в Польшу.

Zaproszenie do Polski

Prezydium

Warszawa dn. 12 sierpnia 1955.

Rady Narodowej w m. st. Warszawie
Wydział Społeczno-Administracyjny
Nr. Sa I-11/4889/55

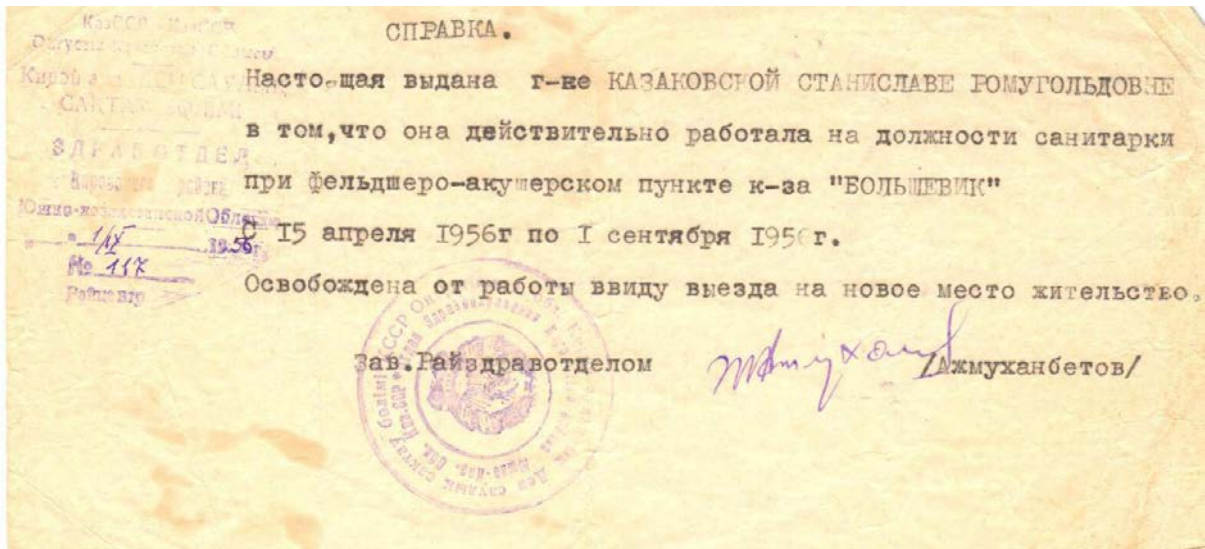
Zaświadczenie

Niniejszym stwierdza się, że do Prezydium Rady Narodowej w m. st. Warszawie zgłosił się obywatel polski narodowości polskiej Lubianiec Paweł s. Romualda urodz. 30 X 1911 r. zam. Warszawa 26 ul. Walewska 3 m. 12, i oświadczył (a), że pragnie sprowadzić członka (k) swojej rodziny: siostrę - Gózakowska Stanisława c. Romualda d. Lubianiec ur. I. 1907 r., syna ad I - Gózakowski Zygmunt s. Edmunda ur. 13. V. 1927 r., syna ad I - Gózakowski Gustaw s. Edmunda ur. 1. I. 1929 r., córkę ad I - Gózakowska Zofia c. Edmunda ur. 17. III. 1935 r., syna ad I - Gózakowski Jan s. Edmunda ur. 28. I. 1937 r., córkę ad I - Gózakowska Maria c. Edmunda ur. 28. V. 1939 r., zamieszka. na terenach Z.S.R. B. w m. Południowej - Gózakowski ki oku jej Gózakowski ur. 1939 r. Gózakowska Koleszow Bolszewik.

Wymien. są narodowości polskiej i w dniu 17 września 1939 roku posiadali obywatelstwo Państwa Polskiego. Prezydium Rady Narodowej w m. st. Warszawie działając na mocy upoważnienia Prezydium Rady Ministrów z dn. 19. V. 1950 r. wyraża zgodę na przyjazd w/wym. z Z.S.R. B. do Polski na wezwanie brata, który zobowiązał się zapewnić sprowadzanym świadki utrzymania po przyjeździe ich do Polski.

2-ca Hieronimik Wydziału
/ Cz. Pobożny /

Zaproszenie do Polski - tłumaczenie dokumentu



Zaświadczenie o pracy Stanisławy Kozakowskiej jako sanitariuszki w punkcie felczersko – akuszerskim kolchozu „Bolszewik”

POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA
Pełnomocnik Rządu do Spraw Repatriacji
Punkt Repatriacyjny
Grabanowie

REPATRIACYJNA jest ważna przez 3-6 miesięcy od daty wystawienia i w tym czasie winna być wymieniona na dowód osobisty.

KARTA REPATRIACYJNA Nr 21031

Ob. *Kozakowska Stanisława z Kommalda*
1907r. *Lubieszka Woj. Wołowo*
przybył(a) do Polski z *Lubieszki Kadeckiej*
wraz z _____ nieletnim(i) (do lat 16) dzieckiem(ćmi)
(podać nazwisko, imię i wiek dziecka(i))

Dnia *11 października* 1956r. *pow. Orienionöv, woj. Lubuski*
Obecnie udaje się do *Grabanów nr. 3*
(dokładny adres)

Zgodnie z Uchwałą Prezydium Rządu Nr 739/55 z dnia 10 września 1955 r. Prezydium Rad Narodowych, instytucje państwowe, gospodarcze i społeczne proszone są o udzielenie jak najdalej idącej pomocy okazicielowi niniejszego zaświadczenia.

KIEROWNIK PUNKTU REPATRIACYJNEGO
Grabanowie

Wydano dn. *12 października* 1956r.

U W A G A : Okaziciel niniejszego zaświadczenia obowiązany jest zameldować się w ciągu 24 godzin po przybyciu na miejsce zamieszkania.

169.9.1Z

Karta repatriacyjna

POLSKA RZECZPOSPOLITA LUDOWA

Pełnomocnik Rządu do Spraw Repatriacji

Punkt Repatriacyjny

Grabanovi

KARTA REPATRIACYJNA
ważna w okresie miesięcy
od daty wystawienia i w tym
czasie winna być wymieniona
na dowód osobisty.



KARTA REPATRIACYJNA Nr 21033

Ob. Kozakowski Jan s. Admunde
(nazwisko, imię, imię ojca)

1937 r. Piłkassuna per. dra Haj. Grodno
(rok i miesiąc urodzenia)

przybył(a) do Polski z Strasburga Łachnickiego

wraz z nieletnim(i) (do lat 16) dzieckiem(ćmi)

(podać nazwisko, imię i wiek dziecka(i))

Dnia 11 października 1956 r.

Obecnie udaje się do Kraszawa ul. Kaluzka 3/12
(dokładny adres)

Zgodnie z Uchwałą Prezydium Rządu Nr 739/55 z dnia 10 września 1955 r. Prezydium Rad Narodowych, instytucje państwowe, gospodarcze i społeczne proszone są o udzielenie jak najdalej idącej pomocy okazicielowi niniejszego zaświadczenia.

KIEROWNIK PUNKTU REPATRIACYJNEGO

Wydano dn. 12 października 1956 r.

U W A G A : Okaziciel niniejszego zaświadczenia obowiązany jest zameldować się w ciągu 24 godzin po przybyciu na miejsce zamieszkania.

Rozdział VI

Czemu pan płacze?

Nareszcie nadeszła chwila, że zmienili nam koła w wagonie, byśmy mogli wjechać na węższe tory, wepchnięto wagon na górkę rozrządową i doczepiono do nowego składu pociągu. Z ogromną radością przejeżdżaliśmy przez podwójne zasieki z drutu kolczastego oddzielone od siebie pasem ziemi niczyjej. Po drugiej stronie byliśmy w Polsce a nasz pociąg wolno toczył się w stronę Terespoła. Tam oddzielono nasz wagon od całego składu i przetoczono na bocznice. Byliśmy już zmęczeni tą ogromną radością, tymi przeżyciami ostatnich dni a czekały nas jeszcze długie godziny załatwiania spraw urzędowych. Po kilku minutach zauważyłem, że w naszą stronę idzie jakiś żołnierz. Polski żołnierz. Była mglista jesienna pogoda. Szedł w eleganckim mundurze z zielonym otokiem na czapce, okryty peleryną, spod której widać była karabin a chwilami, rozwiewające się poły peleryny odsłaniały, przyczepioną do pasa kaburę z pistoletem. Przyszedł, zasalutował, stanął naprzeciw nas i milczał. Po chwili w jego oczach pokazały się łzy. W naszych też. Staliśmy tak dłuższą chwilę milcząc. Sytuacja stawała się co najmniej dziwna. Wreszcie mama odezwała się: Czemu pan płacze? Na wasz widok, odpowiedział. A czemu wy płaczecie? My płakaliśmy z radości. Od 1944 roku, od czasu pamiętnej defilady żołnierzy AK w lesie koło Pietraszuńców po raz pierwszy widziałem polskiego żołnierza. Polskiego oficera w stopniu podporucznika. Po tak niespodziewanym powitaniu na polskiej ziemi, żołnierz poprosił nas o dokumenty, sprawdził je, zasalutował i poszedł. Po chwili przyszło jeszcze dwóch panów w cywilnych ubraniach i kazali podpisać jakieś papiery. Wydano nam karty repatriacyjne i dostaliśmy od Państwa Polskiego dziesięć tysięcy złotych na pierwsze wydatki. To było dosyć sporo pieniędzy. Następnie przyszła pani z Polskiego Czerwonego Krzyża, która zapisała pod jakim adresem zatrzymamy się w Warszawie. Przyszła też pielęgniarka, która obejrzała dziecko Pilingów i orzekła, że trzeba je natychmiast ochrzcić, ponieważ może nie wytrzymać dalszej podróży. Powiadomiła księdza w najbliższym kościele i Zosia z bratem niemowlęcia oraz jego rodzicami poszli tam z dzieciątkiem. Nie wiem do dzisiaj, czy przeżyło, czy też zmarło, straciliśmy kontakt z rodziną Pilingów. Formalności trwały przez pół dnia, od rana do samego południa. Był to dzień 12 października 1956 roku. Przyjechaliśmy z miejsca o zupełnie innym klimacie i zaczęliśmy marznąć w naszym wagonie. W pewnej chwili pojawił się obok niego ksiądz. Z pewnością ten, który uprzednio chrzczył niemowlę. Ubrany był w futro, ale na kołnierzyku

miał koloratkę. Czemu tu jeszcze stoicie? Oczywiście nie wiedzieliśmy, nikt nas przecież nie informował. Idziemy do zawiadowcy, powiedział i skinął na Gustka. Poszli i po drodze ksiądz wypytał go gdzie byli, co robili, skąd zostali zabrani i jak długo już wracają. Czemu oni stoją na boczniccy, zapytał ksiądz, gdy już weszli do środka biura zawiadowcy. Bo nie ma lokomotywy, żeby wtoczyć ich wagon na górkę rozrządową. Jak wywieść ich, to była lokomotywa, przyjechała i odjechała co do minuty a teraz to jej niema! Zwiadowca zmieszał się i chwycił za telefon wydając stosowne polecenia. A mnie powiedzieli, że ci ludzie „wracają z ugorów”. Chodziło o tych, którzy uwierzyli radzieckiej propagandzie i dobrowolnie pojechali zagospodarowywać nieużytki. Teraz wszystko potoczyło się sprawnie. Po godzinie rozpoczęliśmy ostatni etap naszej podróży. Witaliśmy każdy mijany dom, każdy lasek i wszystkie pola. Zachwycaliśmy się mijanymi miastami, wszystko było drogie i było nasze polskie.

Ziemniaki

Docelową stacją była Warszawa Bema. Gustek wziął taksówkę i z mamą Marysią i Zosią pojechali do mieszkania wujka a ja z Zygmuntem zostałem pilnować naszego dobytku. Po drodze Gustek zorientował się, że taksówkarz kilkakrotnie przejeżdża koło jednego miejsca wyraźnie „nabijając” licznik kosztem nieświadomych przybyszów. Właśnie przejeżdżali obok komisariatu milicji. Proszę stanąć na chwilę, mam tu coś do załatwienia, powiedział kierowcy i wbiegł do budynku. Po chwili wrócił ale już z milicjantem, który też wsiadł do taksówki. Ja poprowadzę, gdzie należy jechać. Podjechali pod blok i wysiedli a wystraszony kierowca taksówki nie chciał brać pieniędzy za kurs. Jeszcze zaoferował się odwieść milicjanta na komendę. Po chwili mama witała swojego brata, rozpromieniona i szczęśliwa. Dopiero teraz mogła sobie pogratulować, że przywiozła całą swoją rodzinę do kraju. Wujek patrzył trochę niepewnie na to niczym nie zakłócone szczęście mamy. Był pewny, że ja zostałem w Azji. Czyżby jego siostra przeszła tak spokojnie do porządku dziennego nad stratą jednego z dzieci? Na razie nie było czasu zastanawiać się nad tym. Wraz z Gustkiem poszli wynająć bagażówkę by przewieźć nasz dobytek i mnie z Zygmuntem. Mieliśmy z moim najstarszym bratem sporo czasu i rozejrzeliśmy się po boczniccy. W pobliżu stało kilka wagonów załadowanych ziemniakami. Takiej okazji na terenie Związku Radzieckiego się nie przepuszczało. W naszych głowach natychmiast zakiełkowała myśl. Trzeba nieco zgarnąć. A nuż u wujka nie będzie a my tak pragnęliśmy ich przez cały pobyt na zesłaniu. Zygmunt przyniósł z naszego

wagonu dwa worki i pilnował, czy nie nadchodzi ktoś z kolejarzy, a ja szybko je napełniłem i przenieśliśmy do naszego wagonu. No teraz to już są nasze, kto udowodni, że nie przywieźliśmy ich ze sobą. W pobliżu rosły suche już chwasty i trawa. Nam, przyzwyczajonym do skrajnie prymitywnych warunków nie trzeba było więcej. Po chwili obok wagonu paliło się niewielkie ognisko a w nim piekły ziemniaki. Zanim wujek w Gustkiem przyjechali, już zdążyliśmy sobie ich pojeść. Smakowały wyśmienicie, nie zamienił bym tych pieczonych ziemniaków za żadne frykasy. Parzyły w język, skrzypiały pod zębami ale chłonałem je całym sobą i były nasze polskie. Gustek przyprował wujka do wagonu i dopiero wówczas zrozumiał on szczęście mamy. Nikogo nie zostawiła w dalekim niegościnnym kraju, przywiozła wszystkich.

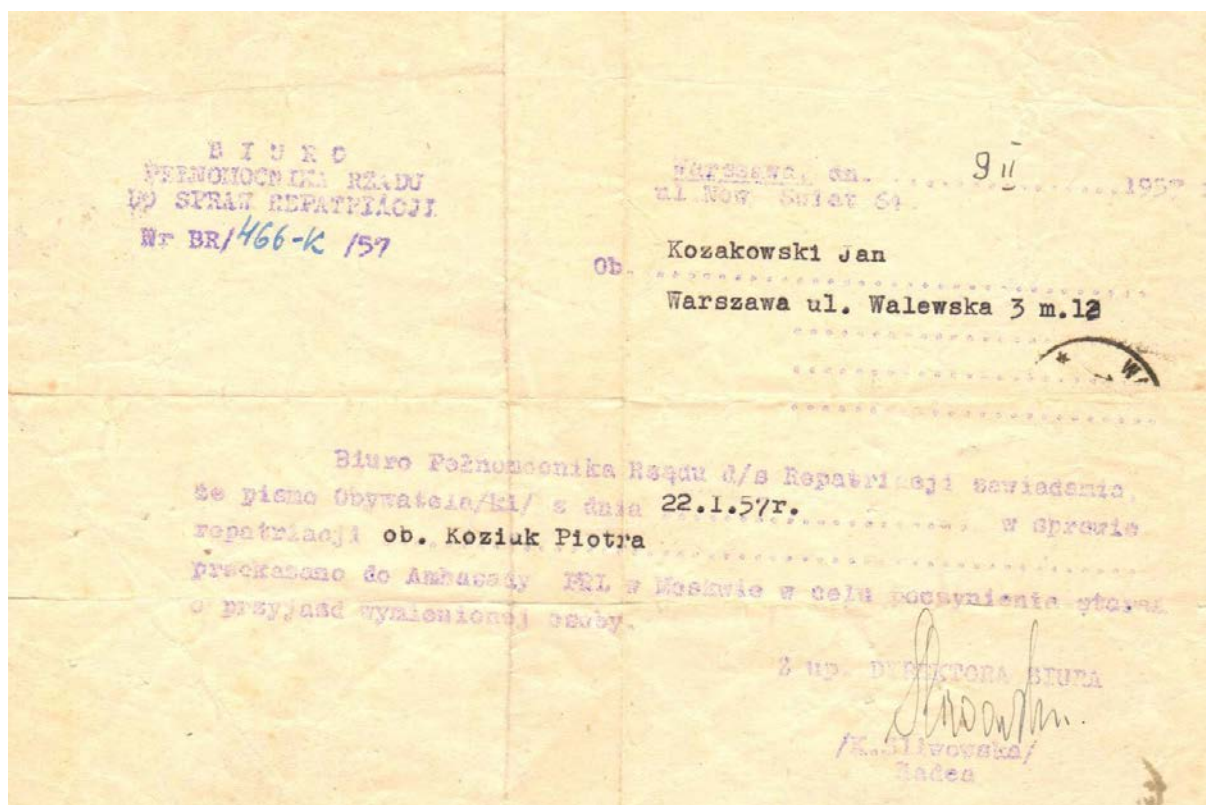
U wujka

Pierwszą czynnością, którą chcieliśmy zrobić po przyjechaniu do mieszkania wujka była kąpiel. Z niecierpliwością czekałem na swoją kolej i wreszcie doczekałem się. Po wejściu do wanny okazało się, że konieczna jest zmiana wody. Na jej powierzchni zrobił czarny tłusty korzuch. Otworzyłem korek w wannie i brudna woda z głośnym sykiem przeniosła się do kanalizacji. Operację tę musiałem powtórzyć raz jeszcze, by wreszcie samemu przed sobą przyznać, że pierwszy raz od wielu lat naprawdę jestem czysty. Kiedy wyszedłem z łazienki, ciocia obejrzała mnie od stóp do głów i skomentowała: „Jasiu, ty jesteś normalnym chłopcem”. Dopiero wtedy rzuciła mi się na szyję. Ciocia była osobą wykształconą, kończyła przed wojną studia na Sorbonie a po wojnie kierowała dużą kliniką dorabiając do marnej pensji w prywatnym gabinecie stomatologicznym znajdującym się w jej prywatnym mieszkaniu, do którego zaprosiła teraz dodatkowych sześć osób. Wróćmy na chwilę do naszego przyjazdu pod dom wujka. Nasze zapasy w postaci nie łuskanego ryżu i pszenicy oraz „zorganizowane” już w Warszawie ziemniaki zanieśliśmy do piwnicy, która okazała się dosyć pojemna. Wujek co prawda nie pomagał nam nosić, ale uważnie obserwował, co też przywieźliśmy i w pewnej chwili stał się jakiś taki małomówny. Kiedy już bagażówka odjechała i mieliśmy iść do domu, zdecydował się na miejscu załatwić to, co go gnębiło. Chłopcy, zwrócił się do Zygmunta i do mnie. Skąd macie ziemniaki? Mama pisała, że tam w Kazachstanie one nie rosną. Trudna rada, trzeba było się przyznać, choć naszego postępkę nie uważaliśmy, przynajmniej na razie za naganny. Ukradliśmy z wagonu. No to się zaczęło! Wujek palnął nam piętnastominutową gadkę o uczciwości, moralności, przyzwoitości, grzechu i honorze. Żałował, że samochód odjechał, bo chętnie wysłał by nas z powrotem na stację byśmy te ziemniaki zawieźli na miejsce. Jego mowa wpadła mi głęboko do serca,

pamiętam ją do chwili obecnej i stosuję się do niej. Jedno z bożych przykazań głosi wprost: „nie kradnij”. To wszystko jest piękne i szlachetne, ale wielkich wyrzutów sumienia nie miałem. Myślę, że wujek nie poznał tak dokładnie co to jest głód, nie znalazł się pewnie w sytuacji: nie ukradniesz, nie będziesz żył. Sytemu trudno głodnego zrozumieć. Chwała mu jednak za to, że uświadomił nam, że jesteśmy już w innej rzeczywistości. Trzeba brać się do pracy lub do nauki i myśleć o przyszłości. Tutaj już nie ma miejsca na kradzieże.



Od lewej: Zofia, Maria, Stanisława i Gustaw Kozakowscy,
w tle Pałac Kultury i Nauki w Warszawie



Powiadomienie w sprawie Piotra Kosiuka

Spotkanie z tatą

Na drugi dzień w mieszkaniu wujka zabrzmiał telefon. Dzwoniła pracownica PCK. Zapraszała nas wszystkich do swojej siedziby na ulicę Mokotowską 14, gdzie mieścił się Zarząd Główny tej organizacji. Dostaliśmy tam nowe ubrania. Pamiętam, że otrzymałem wojskową zieloną koszulę, płaszcz, bardzo solidne buty, jakieś spodnie i marynarkę. Wszyscy zostaliśmy w miarę przyzwoicie ubrani. Miałem też okazję, by załatwić sprawę Piotrka Kosiuka, który został w Kazachstanie. Podałem jego adres i napisałem prośbę o sprowadzenie go do kraju. Dwa miesiące później przyszedł od niego list. Już z Elbląga. Przez pierwsze dni pobytu u wujka nie było nawet czasu, by opowiadać o naszych przeżyciach. Ciągle coś się działo. Trzeba było przede wszystkim „odciążyć” mieszkanie, gdzie w dwóch pokojach – trzeci służył jako gabinet dentystyczny, znalazło się raptem 10 osób. Na drugi dzień po naszym przybyciu do Warszawy przyjechał tata. Dopiero to była radość! Po jedenastu latach rozłąki rodzina znowu była razem. Jeszcze nie u siebie, jeszcze nie na stałe, ale razem. Rodzice, którzy znajdowali się już w średnim wieku i stracili cały swój dotychczasowy dorobek, musieli zaczynać wszystko od początku. Na

razie poznawaliśmy się z tatą nawzajem. Nie mógł się nadziwić, że nie potrafimy płynnie rozmawiać po polsku. Podczas naszego zesłania dużo zapomnieliśmy, oczywiście nie dotyczyło to mamy, która nadal posługiwała się piękną polszczyzną. Dowiedziałem się pokrótce co działo się z tatą od chwili, gdy pożegnał nas w Pietraszuńcach niby to wychodząc z domu tylko na kilka dni. Jedyne mama wiedziała, że to będzie znacznie dłużej i jedynie mama utrzymywała później z nim kontakt poprzez swojego brata w Warszawie, u którego teraz byliśmy. Tata musiał uciekać do Polski, ponieważ NKWD wiedziało, że jest żołnierzem AK i prędzej, czy później wpadli by na jego trop. Wówczas wiadomo, gdyby nie zginął na miejscu to miałby wielkie szanse umrzeć gdzieś w kopalni albo w tajgach Syberii. Nie było wyboru. Koledzy z AK przygotowali mu fałszywe dokumenty. Zrobiono z niego kolejarza. Właściwie, to tylko wcielił się w postać swojego towarzysza broni, który zginął w czasie jednej z akcji partyzantów, przeciwko NKWD. Wjechał do Polski jako kierownik pociągu, wiozący repatriantów a wraz z nim jechała jego bratowa i dwie bratanice. Na miejscu nie mógł przyznać się do swojej tożsamości, ponieważ czekało by go aresztowanie. Kto wie, czy polskie władze nie wydały by go Rosjanom, albo nie osądziły na wieloletnie pozbawienie wolności jako pospolitego przestępcę a nie żołnierza Armii Krajowej, jak zrobiono to z wieloma innymi, którzy się ujawnili, bądź których złapano. Jako Zapolny udał się do Olsztyna, gdzie mieszkał jego krewny i zatrudnił w Dyrekcji Lasów Państwowych. To była idealna praca dla kogoś, kto nie chciał narzucać się nikomu swoją obecnością. Większość dnia pracy spędzał w lesie zajmując się produktami nieдрzewnymi, skup owoców lasu, upolowanej zwierzyny, żywicy itp. Dodatkowym atutem osoby ukrywającej swoją tożsamość było to, że chodził w mundurze leśnika. To budziło pewne zaufanie. Był osobą urzędową, funkcjonariuszem państwowym. Jedyne Paweł Lubraniec wiedział gdzie jest, i poprzez niego mama mogła się z tatą kontaktować. Zasady konspiracji zostały zachowane do końca z bardzo prostej przyczyny, wszystka korespondencja była cenzurowana. Ta ze związku Radzieckiego i to do Związku Radzieckiego oficjalnie, a ta krajowa nieoficjalnie, ale bardzo bezczelnie. Pracownicy Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego wkładali rozerwany list w drugą kopertę pisząc lub przystawiając pieczętkę: przesyłka przyszła do urzędu pocztowego w stanie uszkodzonym. My wszyscy mieliśmy konspirację tak wpojoną przez mamę, że kiedy przykazała, aby czegoś nie mówić, milczeliśmy jak zakłeci, a gdy czegoś nie musieliśmy wiedzieć to nigdy nam nie mówiła. Tata przyjechał krótko po operacji wyrostka robaczkowego, zrobionej pod narkozą w normalnym, szpitalu to znaczy z elektrycznym oświetleniem, gorącą wodą i zapleczem sanitarnym. Mimo to był jeszcze bardzo wychudzony. Pierwszą jego myślą było zabrać rodzinę do siebie, i umieścić ją w jednym z Państwowych Gospodarstw Rolnych, ale mama nie chciała się na to zgodzić. Dosyć miała wsi i pracy na roli po przeżyciach w kołchozie „Bolszewik”. Ta urodzona i wychowana na wsi wieśniaczka zapragnęła dla siebie i dla swoich dzieci innego

chleba. Tata zabrał jedynie ze sobą Zygmunta i załatwił mu pracę traktorzysty w PGR koło Ostródy. Pracował tam i oczekiwał na przyjazd do kraju swojej małżonki Teresy, która ciągle jeszcze przebywała wraz ze swoją matką na terenie Białorusi.

A cebulę masz?

Wracamy jednak do Warszawy. Na drugi dzień po przyjeździe, ciocia dała mi pieniądze i wysłała do sklepu po chleb. Piekarnia znajdowała się akurat naprzeciw jej bloku a więc nie było daleko. Obawiałem się nieco, czy potrafię dobrze powiedzieć po polsku, ponieważ nazwy różnych artykułów bardzo mi się myliły z rosyjskimi, ale w końcu chleb brzmi tak samo w obydwu językach. Sprzedawca zrozumiał mnie bez problemu. Był on przekonany, że jestem Rosjaninem jednym z tych, którzy budowali Pałac Kultury i Nauki. Po zakończeniu budowy, niektórzy zostali w Polsce żeniąc się z Polkami. A cebulę masz? Spytał mnie dosyć obcesowo. Może tam w domu mają, nie wiem, ja chciałem tylko chleba. Jakiś nierozgarnięty Rusek, pomyślał pewnie o mnie. Cała Warszawa wie, że cebula oznacza zegarek na rękę, który najłatwiej kupić od ruskiego, bo w sklepie trzeba mieć talon, a ten nic nie kapuje. Jaki to ma być chleb? Normalny. Nie ma normalnych chlebów, jest żuławski, sandomierski, warszawski Zupełnie nie wiedziałem jaki wybrać. Dajcie po bochenku z każdego. Wracalem do domu z pięcioma chlebami. Ciocia chwyciła się za głowę. Co ty na miesiąc nakupowałeś. W Warszawie tyle chleba się nie je. Spojrzałem na nią zdziwiony. Ciociu, jak ciocia przyjdzie z pracy, to już nic z niego nie zostanie. Nie chciała wierzyć. Kiedy zjawiała się ponownie w domu około szesnastej po południu po chlebie zatarło się już wspomnienie. Taki był smaczny, pachnący, że już przed południem cały zjedliśmy i jedlibyśmy dalej, gdyby było więcej. Ciocia zobaczyła to i rozplakała się. Nie mieściło się jej w głowie, aby można było tyle zjeść. Musieliście tam strasznie głodować.

W Warszawie

W najbliższą niedzielę wybraliśmy się całą naszą szóstką wraz z rodziną wujka do kościoła. Dla nas uczestniczenie w pierwszej po wielu latach mszy świętej było ogromnym przeżyciem. Ponieważ w rodzinie wujka było małe dziecko, zaprowadził nas na mszę dla dzieci. Klęczeliśmy na niej dziękując Panu Bogu za powrót z Kazachstanu. Do dzisiaj pamiętam cały jej przebieg. Siostra, która uczyła dzieci jak się przeżegnać, robiła to lewą ręką, ponieważ była odwrócona przodem do nich i łatwiej im było naśladować. Te niedzielne msze święte były co tygodniowym rytuałem, po którym miał zawsze miejsce uroczysty obiad oczywiście w domu wujka. Po obiedzie zwykle urywałem się wszystkim aby pochodzić po mieście. Wujek nie był z tego zadowolony. Z twoim akcentem, jeszcze cię coś złego spotka, mówił. Jak tylko miał nieco czasu, to sam wybierał się za mną do miasta. Jego obawy były uzasadnione. Kiedyś pomagałem mu w inwentaryzacji zburzonej do połowy kamienicy. Trzeba było dokonać pomiarów, aby określić zakres prac naprawczych co wujek, wraz z innymi inżynierami robił społecznie pracując na co dzień w Świerku pod Warszawą, gdzie znajdował się Instytut Badań Jądrowych. Miał tam jakąś funkcję nadzorczą. Kiedyś usłyszałem jak pani, która mieszkała w takiej zburzonej do połowy kamienicy robiła wujkowi wymówki. Usłyszała jak rozmawialiśmy i podeszła do niego. Czemu pan zatrudnia Ruska? To już nie ma Polaków? Wujek spojrzał na nią i odparł: to jest rodowity Polak, tyle tylko, że nie jest z Warszawy. Aby nie włączył się sam po mieście, często zabierał mnie do różnych ważnych miejsc. Razem zwiedziliśmy Pałac Kultury, gdzie wjechał ze mną na ostatnie piętro, pokazując panoramę Warszawy, którą w znacznej części stanowiły jeszcze gruzy, byliśmy w Muzeum Wojska Polskiego, w Łazienkach, na gruzach Pałacu Królewskiego i w wielu innych miejscach. Jak zobaczył, jak mnie to interesuje, z jaką czcią odnoszę się do wszystkich ocalałych, czy odbudowanych zabytków, do tablic z nazwami nie istniejących już ulic to robił to tym bardziej chętnie. Wujek nieraz przynosił do domu dokumentację techniczną i ślęczał nad nią całymi wieczorami tłumacząc na język polski. Kiedyś zaproponowałem mu pomoc i przyjął ją. Nie musiał już korzystać ze słowników technicznych i praca posuwała się znacznie szybciej. Przydała mi się nauka w Kapłan Biegu. Po jakimś czasie wezwano mnie do Dzielnicowej Rady Narodowej Warszawa Praga Południe i uroczyście wręczono dokument stwierdzający moje zameldowanie na pobyt stały. Podziękowałem obojętnie i zabierałem się do wyjścia z biura ale pani, która mnie załatwiała zagadnęła: nie cieszysz się z zameldowania? Prawdę mówiąc nie bardzo, czemu mam się cieszyć? Dopiero uświadomiła mi, że nie jest to sprawa prosta. Aby zameldować się na pobyt stały, ludzie zawierali fikcyjne związki małżeńskie tracąc przy tym mnóstwo czasu i pieniędzy. Powinieneś to bardziej docenić, powiedziała.

Najstarszy syn wujka Romek brał lekcje muzyki. Od trzech lat uczył się gry na skrzypcach i rzępolił tak, że nie mogłem tego słuchać. Uczył go starszy już pan, który ponoć grał w Filharmonii Narodowej. Jak wszyscy w Warszawie nie pałał on specjalną sympatią do Rosjan. Podejrzewam, że chciał kiedyś poniżyć mnie zagadując, co chciałbym usłyszeć. Biorąc mnie za Rosjanina był pewny, że nie odpowiem mu na to proste pytanie bo nie będę w stanie. Zdziwił się bardzo, gdy poprosiłem o „Poloneza Ogińskiego”. Nastroił skrzypce i zaczął grać. Po chwili zebrali się przy nim wszyscy domownicy. Nawet ciocia wyszła z gabinetu wraz ze swoim pacjentem, który też chciał posłuchać tej cudnej muzyki. Kiedy skończył, wszyscy zaczęli bić brawo. Okazało się, że trafiłem w dziesiątkę. Nauczyciel też nazywał się Ogiński i był krewnym słynnego kompozytora. W filharmonii płacili niewiele, dorabiał więc u wujka biorąc 100 zł za godzinę. Miesięczna pensja robotnika wynosiła w owym czasie 800 zł. a więc był dosyć drogi. Czy nauczył mojego kuzyna gry na skrzypcach?

Nie wiem, ale kiedy słyszałem jego występy po trzech latach nauki to mam uzasadnione obawy, że wujek pragnął raczej wesprzeć finansowo artystę niż widzieć w swoim pierworodnym wirtuoza. Kiedy już profesor i pacjent ciocie wyszli, spytała mnie co takiego powiedziałem pani Ogińskiej, że zdecydował się zagrać. Przez trzy lata nigdy tego nie zrobił. Powiedziałem jej i dodałem, że Polonez Ogińskiego jest bardzo popularny w Kazachstanie. Do tego stopnia, że nawet parafrazują go na rytm taneczny i tańczą przy tej muzyce.

Stałem kiedyś na przystanku tramwajowym i podeszło do mnie dwóch bardzo dziwnie ubranych mężczyzn. Mieli czarne mundury z błyszczącymi guzikami a na głowach okrągłe czapki z wielkimi czerwonymi pióropuszcami. Pewnie jakieś przebierańcy pomyślałem i przestałem się nimi interesować, ale mnie zaczepili. Spytały o ulicę. Wy tłumaczyłem im jak mają dojść bo była za blisko aby czekać na tramwaj. Podziękowali i poszli, ale jeszcze usłyszałem jak rozmawiali ze sobą bardzo dziwną gwarą, chociaż mogłem ich zrozumieć. Popatrz! Mówił jeden do drugiego: Rusek a zna Warszawę lepiej od nas. Powiedziałem o tym wujkowi. To są śląscy górnicy w galowych strojach, wyjaśnił mi. Na co dzień to oni wyglądają tak jak ty, gdy wróciłeś z Kazachstanu, szczególnie gdy wychodzą z szychty. Kiedyś też pytał mnie o drogę marynarz, podoficer. Wy tłumaczyłem mu i dodałem panie admirałe. Uśmiechnął się szeroko, może rzeczywiście w przyszłości został admirałem? Na pewno nie można tego wykluczyć. Aby zakończyć już o Warszawie. Znałem adres Zbyszka Miluśkiewicza, który wyjechał z „Bolszewika” przed nami. Mieszkał u swojego brata na ulicy Międzyszyńskiej koło Mostu Poniatowskiego w pięknej starej willi z ogrodem, która jakimś cudem nie ucierpiała w czasie działań wojennych. Poszedłem tam i zapukałem energicznie do drzwi wejściowych, które po chwili otworzyły się dosyć gwałtownie i przywitała mnie..... lufa pistoletu. Trzymała go młoda, bardzo elegancka kobieta kierując w moją stronę. Bardziej się zdziwiłem niż przestraszyłem zwłaszcza, że zaraz opuściła go w dół. Przyglądała mi się przez chwilę. Ty jesteś Janek? Tak, przedstawiłem się

imieniem i nazwiskiem. Choć do domu, zaprosiła mnie i starannie zamknęła drzwi. Przepraszam za to powitanie, ciągle jeszcze kręcą się tutaj różne ciemne typy. Zabezpieczyła broń i schowała ją do szafy. Ty też chcesz wracać do Kazachstanu. Dlaczego też? Bo Zbyszek chce. Tutaj nie ma słońca, stale jest mu zimno i ciemno no i hałas mu dokucza, nie może się do niego przyzwycząić. Był to pierwszy i ostatni przypadek gdy usłyszałem, że ktoś tęskni za Kazachstanem. A może Zbyszek tylko tak się przekomarzał ze swoją bratową? Nie pytałem go o to. Ona była aktorką sceny kongresowej i zaprosiła mnie na występ, z czego chętnie skorzystałem.

Rozpoczynamy nowe życie

Pierwsze dni pobytu w Warszawie to ciągle załatwianie. Każdemu trzeba było wyrobić dowód osobisty, bo bez tego nie mógł podjąć pracy ani nauki, oraz poszukać dla każdego pracy, bo pieniądze, które otrzymaliśmy od państwa bardzo szybko się wyczerpywały. Pierwszy załatwił sobie pracę, przy znaczącej pomocy wujka Gustek. Pracował na stacji obsługi miejskich trolejbusów. Przydała mu się praktyka, jakiej nabył podczas remontowania zepsutych traktorów i kombajnów w „Bolszewiku”. Kiedy jego kierownik dowiedział się skąd przyjechał, obiecał dać mu pensję największą z możliwych na tym stanowisku. Wiedział, że musimy dorabiać się wszystkiego od początku, nie mamy dosłownie nic. Zosia została przyjęta do Mody Polskiej jako krawcowa. Za dużo powiedziane, została przyjęta na naukę zawodu krawcowej, bowiem do chwili zatrudnienia nie miała pojęcia o szyciu. Ona również doznała dużo pomocy ze strony kierownictwa zakładu i koleżanek, którzy powoli wdrażali ją do nowego zawodu. To już było zupełnie co innego niż „matażenie kielmieniem” na polu bawełny, chodziła do pracy z prawdziwą przyjemnością. Marysia wyjechała do Chylic pod Warszawą, gdzie siostry zakonne prowadziły szkołę średnią. Mieliśmy krewną w tym zakonie i ona załatwiła jej tą szkołę. Wujek wykorzystywał wszystkie możliwości by nas jakoś poumieszczać w pracy i w szkołach. Ze mną poszedł do Departamentu Ministerstwa Rolnictwa, gdzie miał koleżankę ze studiów. Wszystko tam było takie piękne i takie duże. Weszliśmy do obszernego pokoju, w którym siedziała za biurkiem poważna pani. Na widok wujka jej powaga natychmiast zniknęła. Zerwała się u rzuciła mu na szyję. Po pierwszych powitaniach spojrzała na mnie. To ten kawaler, o którym mówiłeś prze telefon. Czego chciałbyś się uczyć? W Kazachstanie chodziłem do Technikum Mechanizacji Rolnictwa. To wyślę cię do najlepszej szkoły tego typu w Polsce. Wypisała mi skierowanie do

szkoły w Widzewie pow. Łask, który znajduje się na trasie pomiędzy Łodzią a Pabianicami.

Moja nowa szkoła

Na drugi dzień rano wybrałem się do Widzewa aby rozpocząć swoją edukację. Niby to nie było daleko, ale zanim zajechałem, to już zbliżał się wieczór. Nauczyciel, który miał dyżur w internacie spytał po co przyjechałem. Do szkoły, ja mam się tutaj uczyć. Chłopie, rok szkolny już dawno się zaczął, zresztą nie ma miejsc, wszystkie zajęte. Ale ja mam skierowanie – podałem mu list znajomej wujka. Jak cudownie mieć takiego opiekuna! Miejsce znalazło się od razu. Zaprowadził mnie do szatni, gdzie mogłem zostawić swoją walizkę i płaszcz. A teraz chodźmy na kolację. Ogromna stołówka mieściła się w suterenie. Szliśmy tam, a z każdym krokiem narastał hałas i brzęk sztućców. Co tam jest? Kolacja się nie podoba! Zaszliśmy na stołówkę i wszystkie oczy skierowały się w moim kierunku. Stały tam eleganckie stoliki na cztery osoby a na nich grube plastry ozorkowego salcesonu, który z miejsca pobudził mój apetyt tak smacznie wyglądał, bułki, masło, drzem, kakao w dużych dzbankach, ile kto zdoła wypić, ale nikt nie jadł! Zaprowadził mnie do stolika, gdzie jedno miejsce było wolne, przedstawił mnie i usiadłem nad pełnym talerzykiem. Nie byłem solidarny ze wszystkimi. Rzuciłem się na jedzenie. Po nasyceniu pierwszego głodu spostrzegłem, że nikt poza mną nie je ale wszyscy mnie obserwują. Kiedy skończyłem swoją porcję, jeden z kolegów nieśmiało zaproponował, czy nie zjadłbym również jego. Oczywiście, że tak. Zjadłem tą drugą porcję i dostałem trzecią. Tej nie zmożłem. Jedynie wsunąłem sam salceson. To przemogło buntowniczy nastrój jaki zapanował na stołówce. Raptem wszyscy zaczęli jeść. Skąd jesteś? Przyjechałem z Kazachstanu. To usprawiedliwiało moje „łakomstwo” pokiwali tylko głowami i nic już więcej nie pytali, przynajmniej na razie. Po kolacji zaprowadzono mnie na salę, gdzie miałem mieszkać. Było nas tam dziesięciu. Długo tam nie zabawiłem. Przyszli koledzy od stolika i zabrali mnie do siebie. Chcieli abym opowiedział im o Kazachstanie. Początkowo śmieli się trochę z mojej polszczyzny, ale stopniowo wszyscy zamilkli tylko słuchali. Pierwszy raz od wielu lat popełniłem niewybaczalny błąd. Zacząłem mówić prawdę niepomny na to przed czym mnie ostrzegano. Opowiadałem ze szczegółami co spotkało mnie, całą moją rodzinę i inne rodziny zesłańców. Zeszła na tym prawie cała noc. Dopiero nad ranem zasnęliśmy nie wiadomo kiedy, ale już po chwili trzeba było wstawać. Podczas tego mojego opowiadania słyszałem jak koledzy drą jakieś papiery. Okazało się później, że były to legitymacje Towarzystwa Przyjaźni Polsko Radzieckiej. Rzeczywistość jaką im przedstawiano miała się nijak w stosunku do tego co ja

im mówiłem. Na drugi dzień stałem się atrakcją w klasie i w szkole. Stale podchodził ktoś i zagadywał, było miło i przyjemnie. Mniej przyjemnie stało się na trzeci dzień mojego pobytu w szkole, kiedy wezwał mnie dyrektor. Ty wiedziałeś, że nie wolno ci nic mówić! Narobiłeś mi bardzo dużo kłopotów. Proszę abyś zaprzestał opowiadać co spotkało cię w Związku Radzieckim. Okazało się, że na sali, gdzie nocowałem był jakiś donosiciel. Macki wszechwładnego NKWD przemianowanego na KGB rozciągały się na całą Polskę. Przestałem opowiadać o Kazachstanie, ale przecież nasza młodzież nie była naiwna. Widzieli jaki przyjechałem wygłodniały, wychudzony, w jakim ubraniu – szkoda że nie widzieli mnie w poprzednim. Słyszeli, że nie potrafię wysłować się swobodnie w języku polskim. Widzieli jak zachwycam się tu wszystkim jakbym nie wiadomo co zobaczył. W końcu zdążyłem już wystarczająco dużo powiedzieć, by wyrobili sobie sami zdanie na temat Związku Radzieckiego i przyjaźni polsko – radzieckiej. A dyrektor miał kłopoty. Ja miałem równie wielkie.

Uczę języka rosyjskiego

W szkole nie potrafiłem wystawiać się po polsku, nie znałem polskich terminów matematycznych, fizycznych i z innych przedmiotów, nie znałem polskich nazw części maszyn i urządzeń. Nie znałem zupełnie historii Polski. Literatury, oprócz wybranych dzieł Sienkiewicza, Reymonta czy Mickiewicza, ale to było stanowczo za mało. Jedynym przedmiotem, w którym królowałem w klasie był język rosyjski, którym zbytnio nie poszpanowałem przed innymi. Zwolnili mnie z niego i za sprawą pani od polskiego chodziłem w tym czasie na jej lekcje prowadzone w innej klasie. Z rosyjskiego dostałem awansem czwórkę. Zaprotestowałem. W Kazachstanie miałem z rosyjskiego piątkę a tutaj czwórkę, dlaczego? Odpowiedź była prosta. Bo nie znasz polskiego. Przypomniał mi się mój profesor od maszynoznawstwa Gorochow. Nie zdałeś egzaminu, bo przespacerowałeś się z dziewczyną. Ech ty komunistyczno - pedagogiczna mentalności. Moje dodatkowe lekcje polskiego skończyły się bardzo szybko. Zachorowała pani profesor, która uczyła nas rosyjskiego, sama kalecząc go w sposób niemiłosierny. Ponoć studiowała w Petersburgu a więc jeszcze za czasów, gdy to piękne miasto tak się nazywało, zanim splugawiono je na długi czas imieniem Lenina. Podejrzewam, że stało się z nią to samo, co ze mną i językiem polskim. Po prostu zapomniała. Ja w każdym razie tylko z najwyższym trudem mogłem się z nią dogadać co było bardzo krępujące, zwłaszcza w obecności uczniów, którzy wcale się tym nie przejmowali. Język rosyjski traktowany był przez nich jako dodatkowe, nikomu nie potrzebne obciążenie. Nikt się jego nie uczył. W każdym razie, kiedy

zabrakło pani profesor, przyszedł do mnie wychowawca klasy i polecił bym to ja uczył kolegów rosyjskiego. Dobrze sobie. Nikt nie słuchał pani profesor, to teraz mnie będą? Wyglądało na to, że nie ma żadnych szans i tak też było z początku mojej nauczycielskiej przygody. Chłopcy robili co chcieli a ja od czasu do czasu napominałem, by zachowywali się ciszej, bo przyjdzie ktoś i narobi kłopotu. Takie napomnienia starczały na pięć z górą minut i wszystko zaczynało się od nowa. Przeżywałem prawdziwy koszmar. W końcu wpadłem na pomysł. Zacząłem czytać na głos „Sielskije Romeo i Julia” – w wolnym tłumaczeniu: Sielankowi, idylliczni Romeo i Lulia”. Początkowo nikt na to nie zwracał uwagi, ale po paru lekcjach zaczęli słuchać. Mało tego, zaczęli uciszać się nawzajem i pytać o niektóre, niezrozumiałe przez nich słówka. Lekcje zaczęły wyglądać zupełnie inaczej. Chłopcy zainteresowali się losami bohaterów a jednocześnie poznawali język. Oczywiście o jakiegokolwiek gramatyce nie mogło być mowy ale tej i tak bym ich nie nauczył, bo sam niewiele umiałem. Dopiero jak poznawałem tą polską, to mogłem odnosić ją do rosyjskiej i coś tam chwytalem nie na tyle jednak by klarownie komuś tłumaczyć. Kiedyś wynikła bardzo zabawna sytuacja. Przeczytałem zdanie: „Żeniłsia na niej” – żenił się na niej i nie mogłem zrozumieć dlaczego się śmieją. Poprawili mnie. Nie żeniłsia na niej, tylko z nią. Byłem pewny swego. Mówi się żeniłsia na niej. Wy tłumaczyli mi co to znaczy po polsku i dopiero wtedy zrozumiałem powód do śmiechu. Kiedyś przyjechała kontrola z kuratorium – jakoś inaczej się nazywała, ale już zapomniałem jak. W każdym razie sprawdzali zasób wiedzy z języka rosyjskiego i moja klasa wypadła najlepiej. Miała największy zasób rosyjskich słówek. Dobrze, że nie sprawdzali gramatyki. Niestety, z mojej szkoły nic nie wyszło i jestem głęboko przekonany, że stało się tak wyłącznie z powodu mojego za długiego języka a nie braku wiadomości, które systematycznie uzupełniałem. Po prostu dyrektora wolał pozbyć się ucznia, który stanowił dla niego potencjalne niebezpieczeństwo, niż drzeć na myśl, że znowu zacznie mówić, co spotkało jego i jego bliskich w „bratnim” kraju. Nie przepuścili mnie do następnej klasy. Byłem zdruzgotany i mocno zawiedziony. Mogłem co prawda powtarzać rok, ale jakoś mi się to nie uśmiechało.

Cudowne Pieszyce

Na Święta Bożego Narodzenia jechałem jeszcze do Warszawy, natomiast po zakończeniu szkoły do Pieszyc. Byłem oczarowany tym małym miasteczkiem a właściwie jeszcze wówczas wioską. Pierwszy raz w życiu byłem tak blisko gór u samego ich podnóża. Przyjechałem nocą na dworzec kolejowy do Dzierżoniowa i wszystko wydało mi się szare i ponure. Tam czekał

już na mnie Gustek i poszliśmy do rynku na przystanek autobusowy. Dom, w którym mieszkali już od pewnego czasu moi najbliżsi też nie zrobił na mnie dobrego wrażenia. Cały parter był bez podłóg, bez drzwi i okien, odrapany i zawilgocony. Weszliśmy po drewnianych schodach na górę i od razu zrobiło się nieco przytulniej. Tam już widać było rękę mamy. Przybity nie zaliczonym rokiem szkolnym, tym co tutaj zastałem, trochę wstydem przed rodziną, że zawiodłem na całej linii, poszedłem spać. Ranek wynagrodził mi w dwójnasób poprzedni dzień. To co zobaczyłem było cudowne. Góry pokryte gęstym lasem, oświetlone promieniami czerwcowego słońca zrobiły na mnie niesamowite wrażenie. Miasteczko też wydało mi się całkiem przyjemne a dom? No cóż był w trakcie remontu. Zakładano właśnie nowe podłogi a w pokoju pod ścianą stały nowiutkie nie wstawione jeszcze okna i drzwi. Parę tygodni i będzie jak nowy. Ale co tam miasteczko i dom. Mnie ciągnęły góry. Zjadłem śniadanie przygotowane przez mamę i ruszyłem zdobywać ich szczyty i doliny. Tak się zachwycałem, że parę razy wywaliłem się zahaczając nogą o wystający korzeń czy o kamień. To jednak nie był Kazachstan, gdzie na stepie nie uświadczyl jednego kamienia, a tym bardziej korzeni. Tu trzeba było uważać. Pełen wrażeń i mocnego postanowienia że już nigdzie się stąd nie ruszę wróciłem przed wieczorem do domu. Mama już się zaczynała niepokoić, czy gdzieś nie zbłądziłem, jakby zapomniała ile mam lat. Jak do tego doszło, że rodzina znalazła się w Pieszycach.? Kiedy przyjechaliśmy do Warszawy, mama udała się z wujkiem do Urzędu Dzielnicy Warszawa Praga Południe i w imieniu rodziny Kondratów napisała im zaproszenie. Po jakimś czasie cała ich rodzina przyjechała właśnie do Pieszyc, ponieważ mieszkał już tutaj brat Kazimierza Kondrata, który przyjechał z Sołtyniszek już w 1946 roku. Kondratowie zapraszali nas wszystkich do siebie co było bardzo na rękę Zosi, zaręczonej z Frankiem Kondratem. Ponadto na tak zwanych Ziemiach Odzyskanych łatwiej niż w Centralnej Polsce było o jakieś lokum i o pracę. W pobliskim Dzierżoniowie w Bielawie a i w samych Pieszycach znajdowały się wielkie zakłady włókiennicze przerabiające bawełnę, którą kiedyś z takim trudem zbieraliśmy. Co szkodziło zobaczyć? Z PCK dostaliśmy dla całej rodziny dwa bilety kolejowe, którymi mogliśmy jeździć po całej Polsce. Zawsze można było wrócić, tylko dokąd? Ile można było mieszkać u wujka, który i bez tego miał z nami dużo zachodu. Mama chciała mieć w końcu coś swojego, gdzie można zamieszkać z myślą o nadchodzącej starości. Z wyjazdu mamy ucieszyli się sąsiedzi wujka Pawła. Jako dobra gospodyni zakisiła kapustę na zimę. Wujek dostarczył odpowiednią beczkę, zakupili na targu głowy kapusty, narobili się aby ją poszatковать, ubić w beczce i zanieść do piwnicy. Okazało się, że miejskie piwnice nie nadają się do jej przechowywania. Zaczęła się psuć i na parterze budynku rozszedł się jej niezbyt przyjemny zapach. Kiedy wyprowadzali się z Warszawy usłyszała komentarz: dobrze, że te ruskie wyjeżdżają, nie będzie już śmierdziało kapustą.

Nie był to jedyny moment, kiedy brali nas za Rosjan. Będąc już w Pieszycach, nieraz słyszałem, jak na Sybiraków, długo przebywających na zesłaniu mówiono „Ukraińce”. Chociaż nie mam nic przeciwko ludziom z Ukrainy, wydawało mi się to bardzo krzywdzące. Wszystko przez wschodni akcent, który powoli zanikał w miarę jak uczyliśmy się mówić płynnie po polsku. Nasze dzieci nie miały już takich problemów.

Pierwsza praca w Polsce

Był jeszcze jeden powód dla którego Pieszycy tak mi się spodobały. Kiedy jeszcze byłem w szkole, głośno mówiło się o tym, że na Dolnym Śląsku jest zakład z którego nie biorą do wojska, a mowa była o Fabryce Zegarów w Pieszycach, która z zegarami nie miała nic wspólnego za to bardzo dużo z zapalnikami i innymi tego typu artykułami potrzebnymi siłom zbrojnym. Pomyślałem sobie, że warto spróbować pracy w takiej fabryce. Złożyłem podanie ale nie przyjęli mnie z braku miejsc. Niemniej moje podanie zostało i obiecali, że jak tylko jakieś miejsce się zwolni to mnie powiadomią. Na tymczasem dostałem się do pracy w Państwowym Ośrodku Maszynowym Dzierżoniów, który mieścił się na terenie dzisiejszych osiedli mieszkaniowych. Zimą naprawialiśmy sprzęt rolniczy i złomowaliśmy stare URSUSY C-45 oraz Lanz Buldogi z wysokim kominem i jednym tłokiem wielkości wiadra, a latem dozorowałem pracę kombajnistów na polach Pieszyc. Praca w warsztacie nie była skomplikowana bo sprzęt nie odbiegał daleko od tego, który był w Kazachstanie. Nie było jedynie specjalistycznych narzędzi do naprawy silników. Trzeba było budować je samemu. Kiedyś przy przerabianiu tokarni na szlifierkę do wałów korbowych silnika wsadziłem palec między koło pasowe i pasek klinowy. W ciągu ułamka sekundy zostałem bez paznokcia. Nie życzę nikomu takiego bólu, wyskoczyłem na dwór nie wiedząc gdzie włożyć rękę. Zobaczył to pan Golakiewicz, który również pracował na warsztacie. Otworzył apteczkę i wylał mi na ten palec jodynę. Teraz, to już naprawdę myślałem, że się wścieknę, ale zaraz zawieźli mnie do szpitala i dali zastrzyk przeciwbólowy, oraz zawinęli rękę i pognali do domu dając oczywiście zwolnienie od pracy. Przez cały miesiąc obijałem się po Pieszycach i chodziłem po górach. Praca latem już nie był taka ciekawa. Co prawda lubiłem przebywać na świeżym powietrzu, ale nie mogłem pogodzić się z tym, że traktorzyści i kombajniści, ignorując moją obecność, sprzętem POM obrabiali pola indywidualnych gospodarzy. Donieść o tym do dyrekcji oznaczało narazić się na miano donosiciela. Wówczas wszyscy zaczęli by mnie unikać. Pozwalać na ten proceder też nie mogłem. Z jednej strony miałem jeszcze w uszach „kazanie” wujka po tym jak ukradliśmy z Zygmuntem dwa worki kartofli a z drugiej ja

przecież ponosiłem odpowiedzialność za to co działo się w czasie prac polowych. Trzeba było się zwolnić. To wyjście z sytuacji okazało się najbardziej trafnym. Niedługo po tym, zamknięto POM, przyjechały spychacze, koparki i zaczęto budowę pierwszego bloku mieszkalnego. Jeszcze parę słów o tym w jaki sposób rodzina zamieszkała w domu przy ulicy Zamkowej 63. Niedługo po tym jak przyjechali do Kondratów, Gustek z Frankiem Kondratem wypatrzyli ten dom. Był bez okien, bez drzwi i wisiała na nim duża tablica: „obiekt do rozbiórki”. Właściwie czemu ma być rozebrany? Zerwali tablicę, deski, którymi były zabite otwory drzwiowe oraz okienne i weszli do środka. Na parterze nie było nic oprócz wilgoci, ale góra prezentowała się całkiem przyzwoicie. Dach był cały, komin też - luksus w porównaniu z tym co zastaliśmy w „Bolszewiku”. Po czasie okazało się, że domek ten stanowi własność Zakładów Przemysłu Bawełnianego „Bieltex.” Aby była szansa na to, że nas z niego nie wygonią gdy już zostanie wyremontowany, należało zatrudnić się w tych zakładach i troje członków naszej rodziny poszło tam do pracy. Marysia z Zosią na tkalnię a tata rządził na portierni. Parter, jak już pisałem był mocno zawilgocony. Woda dostawała się z zewnątrz ponieważ kamień, z którego go wybudowano nie był niczym izolowany. Doradzono mi, aby wziąć jedną złomowaną lampę służącą do podgrzewania „gruszki” – głowicy Lanz Bulldoga przed jego zapaleniem podgrzewać nim kamienie i smarować lepikiem. Zdało to egzamin i powoli cały dół został osuszony. Jeszcze dwa słowa o Gustu i Franku. Obydwaj znaleźli pracę w Państwowej Komunikacji Samochodowej w Dzierżoniowie. Nie mieli już czasu na remonty. Rozpoczętą przez nich pracę skończyła ekipa budowlana wynajęta przez tatę.

Od robotnika do mistrza

Z rozpoczęciem kolejnej pracy nie było żadnych problemów. Tata doradził mi, abym zatrudnił się w zakładzie „Bieltex”. Mają tam warsztat, tokarki, strugarkę, będziesz pracował na warsztacie a do domu jest trzy minuty drogi. Było mi wszystko jedno, może być „Bieltex”. Pracowałem tam równy tydzień. W kolejnym, przed pójściem do pracy przyszedł do nas strażnik z „Zegarów”. Zostałeś przyjęty do pracy, o godz. 8,00 masz się zgłosić do działu kadr. Oczywiście, że się zgłoszę. Wziąłem od swojego mistrza przepustkę i zameldowałem się gdzie mi kazano. Przyjmowano pięciu nowych pracowników. Mnie na końcu. Pracownica Wydziału Kadr przeczytała mój życiorys i zwróciła mi dokumenty. Ciebie do pracy nie przyjmą. Ale dlaczego? Ja bardzo chcę! Z takim życiorysem cię nie przyjmą. Napisałem w nim po prostu prawdę, że byliśmy aresztowani wraz z całą rodziną i zesłani do Kazachstanu. Jej to nie

przeszkadzało, ale dokumenty każdego nowo zatrudnianego pracownika musiały przejść przez biuro funkcjonariusza Urzędu Bezpieczeństwa, który był zatrudniony w zakładzie na całym etacie. Przychodził do pracy uzbrojony i w spawach kadrowych, oraz ochrony tajemnicy państwowej był ważniejszy od dyrektora. On decydował kogo można zatrudnić a kogo nie. To co ja mam zrobić? Przepisz życiorys i napisz po prostu, że znalazłeś się w Kazachstanie. Tak zrobiłem i już nie było problemu. Kiedy zostałem wciągnięty na listę pracowników, pani w kadrach chciała mi wbić do dowodu osobistego pieczętkę o zatrudnieniu. Wzięła dowód, spojrzała i chwyciła się za głowę. Co ja z tobą mam, przecież ty jesteś zatrudniony. Nie możemy cię przyjąć. Ja zaraz się zwolnię, i pobiegłem z dowodem do dotychczasowego zakładu. Przyjmowałem się do pracy z problemami ale za to niezwykle skutecznie. Przez najbliższych kilkadziesiąt lat był to mój jedyny zakład i z niego odszedłem na emeryturę przechodząc kolejne etapy awansu od robotnika do mistrza.

Mój mistrz pływał w oleju

Zaraz na początku zatrudnienia przydała mi się znajomość języka rosyjskiego. Przywieźli do zakładu automat tokarski, który wypuszczał gotowy już produkt. Było na nim zamontowanych było aż sześć wrzecion, wykonujących poszczególne operacje. Praca na nim była poezją, ale samo uruchomienie maszyny i ustawienie jej parametrów drogą przez mękę. Wziął się za to ustawianie mistrz naszego wydziału, ale nie znał on rosyjskiego, w którym napisana była instrukcja obsługi. Męczył się strasznie a praca nie posuwała się do przodu. Przydzielili mnie do jego pomocy. Ja tłumaczyłem instrukcję a on ustawiał maszynę. Trwało to kilka tygodni. W końcu wszystkie parametry zgrały się. Pozostało założenie instalacji chłodzącej, w której krążył specjalny olej i uruchomienie silnika, ale to już była prosta sprawa. Mistrz podłączył co trzeba, kraniki do poszczególnych wrzecion ustawił na obudowie obrabiarki, podumał, posprawdzał, czy wszystko jest na miejscu i zapowiedział uroczysty moment. No Janek, włączaj. Z przejściem nacisnąłem zielony guzik. Silnik zahuczał, maszyna ruszyła, dała się słyszeć praca pompy podającej płyn chłodzący na noże poszczególnych wrzecion i olej z sześciu kranów, chlusnął silnym strumieniem na mistrza. Przytomnie nacisnąłem na czerwony guzik, ale było już za późno. Mój szef od swoich grubych okularów, które zostały zalane, po czubki roboczych butów pływał w oleju. Zapomniał przykręcić tych kraników na ich miejsce. Myślałem, że będzie na mnie krzyczał, ale nic takiego nie miało miejsca. Powycierał sobie twarz chusteczką i poszedł do domu kąpać się, a ja wziąłem się za wycieranie tego rozlanego oleju. W nagrodę za pomoc w uruchomieniu maszyny pozwolono mi na niej pracować. Nie trwało to długo.

Powołanie do wojska

Pewnego dnia dostałem powiadomienie, że piątego października 1958 roku mam się stawić do jednostki wojskowej w Nowym Dworze pod Warszawą w celu odbycia zasadniczej służby wojskowej. Okazało się, że praca w „Zegarach” wcale nie zwalnia od tego zaszczytnego obowiązku. Ucieszyłem się bardzo. Zygmunt i Gustek nie byli w wojsku, ponieważ w Związku Radzieckim więźniów do niego nie powoływano, a w Polsce przekroczyli już wiek poborowy i zostali przeniesieni do rezerwy. Byłem więc jedynym, który mógł w ten sposób służyć Ojczyźnie. Moja głowa była pełna ideałów, na temat tej służby, które wymyślałem patrząc na zdjęcia mojego dziadka i ojca w mundurach wojskowych. Wkrótce przyjdzie mi się boleśnie przekonać jak daleko ideały te odbiegały od rzeczywistości. Cała rodzina odprowadzała mnie na dworzec kolejowy do Dzierżoniowa. Nadjeżdżający ze strony Świdnicy pociąg przyniósł mi pewność, że sam do tego wojska nie będę jechał. Wagony rozbrzmiewały już chóralnym śpiewem podchmielonych poborowych. Okazało się, że wszyscy oni jadą do Nowego Dworu taszcząc ze sobą okazały zapas produktów Polskiego Monopolu Spirytusowego. Miałem i ja ze sobą butelczynę, która natychmiast powędrowała do wspólnej puli w przedziale. W połowie drogi przyszli bohaterscy obrońcy ojczyzny chrapali już w najlepsze a konduktorzy w Warszawie mieli problemy z opróżnieniem przedziałów. Ogromnie „zmęczeni” dotarliśmy rankiem następnego dnia do bram jednostki wojskowej w Nowym Dworze. Zaczął się rutynowy ceremoniał przyjmowania rekrutów. Po spisaniu każdego przybyłego i kilkugodzinnym oczekiwaniu w dużym brudnym pomieszczeniu bez jakichkolwiek sprzętów aż wszyscy rekruci dotrą na miejsce, wpadł do nas wrzeszczący już od progu kapral. Pomiędzy jedną a drugą kur... zrozumiałem, że mamy pojedynczo wychodzić i każdy ma brać po jednym worku na ubranie leżącym za drzwiami. Następnie, wrzeszcząc dalej w niebogłose, uformował z nas kolumnę marszową i poprowadził do łaźni. Tam rozbieraliśmy się do naga wkładając nasze ubrania do worków i odnosząc na korytarz. Potem zgraja nagusów została wpędzona pod prysznice. Raptem lunął na nas strumień lodowatej wody. Chciałem uciec, ale spojrzenie kaprała zatrzymało mnie na miejscu. Zmęczenie, kac i wszystkie moje ideały odfrunęły nagle, wydawało się bezpowrotnie. Takiego przywitania w wojsku się nie spodziewałem. Po chwili zimna woda przestała lecieć, w rurach zahuczało i z sufitu spłynęły na nasze otrzeźwione ciała strumienie ciepłej wody. Żołnierz rozpoczynający służbę musiał zmyć z siebie cywilny brud – kapral wyrażał się o nim bardziej dosadnie, ale przecież nie będę go cytował. Odstaliśmy pod prysznicami regulaminowe dziesięć minut i woda przestała lecieć. Trzeba było ubrać golasów. Otworzyło się okienko w sąsiadującym z łaźnią pomieszczeniu i zaczęły wylatywać z niego zestawy sortów mundurów. Nikt nie przejmował się przy tym ani wzrostem ani wagą czy rozmiarem obuwia. Pozamieniajcie się, ryknął kapral na nasze nieśmiałe protesty, kiedy okazało się, że jeden ma

spodnie po kolana a drugi musi podwójnie zawijać. Ja z nikim się nie zamieniałem ale wyglądałem w swoim „mundurze” co najmniej śmiesznie. Jak tylko podniosłem ręce do góry, to bluza wysuwała mi się spod pasa a za krótkie nogawki wychodziły z butów. Szczęście miałem tylko do butów. Pasowały idealnie i były nowe. Kolejny etap to fryzjer, którego ja uniknąłem strzygąc się już w Pieszczech. Ci co tego nie zrobili, po trzech minutach operowania fryzjera elektryczną maszynką do strzyżenia tracili włosy w całości, świecąc białymi łysinami. Wszystko to zajęło nam cały dzień. Przed wieczorem dostaliśmy nasz żołnierski ekwipunek. Mydło, ręcznik, pastę do zębów i do butów, szczotki do butów i do ubrania, szczoteczkę do zębów, menażkę, kubek, niezbędnik, igłę, nici i to chyba wszystko. Poszliśmy na kolację, która smakowała co najmniej jak pszenne lepioszki w Kazachstanie chociaż składała się z czarnego chleba, kostki masła i kubka czarnej zbożowej kawy. Nareszcie mogliśmy iść do naszych żołnierskich izb, jak to się ładnie nazywało. Tutaj czekała nas kolejna niespodzianka. W „izbach” tych były piętrowe łóżka z siennikami zasłane prześcieradłem i jednym kocem, ale mimo zapadających ciemności nie było światła, nie było okien i drzwi. Padła komenda. Zsuwać łóżka po dwa i po dwóch do jednego. Przykrywać się kocami i płaszczami. Oczywiście nie zwalniało to nas od rozebrania się i złożenia munduru w kostkę – po raz pierwszy i ostatni jak kto potrafił a nie regulaminowo. Mimo tych iście spartańskich warunków spało mi się wyśmienicie i spałbym jeszcze dłużej, gdyby nie potworny wrzask na korytarzu oznaczający pobudkę. Teraz należą się wyjaśnienia. Czemu koszary były w tak opłakanym stanie. Przedtem zajmowały je wojska radzieckie, które wyjeżdżając do swojego kraju zabrały wszystko co tylko można było wymontować. Od włącznika prądu, wtyczki, po okna i drzwi. Ze wszystkich poborowych tylko ja się temu nie dziwiłem. Tam dokąd pojechali mogło to oznaczać duży majątek.

W wojsku nie jest źle

Żołnierz na okresie unitarnym, czyli przed przysięgą nie może mieć czasu na nic. Jeszcze zaczął by samodzielnie myśleć, a to wojsko musi wypełnić już u zarania służby. Ledwie wstaliśmy a tu już zbiórka kompanii na korytarzu w samych tylko koszulach i spodniach. Wymarsz przed blok i ustawienie się w dwuszeregu a następnie zaprawa poranna, czyli półgodzinny bieg po okolicznych, mokrych od rosy lasach. Ten kapral, który nas prowadził miał chyba wmontowany jakiś motorek, bo nikt nie mógł za nim nadążyć. Bez przerwy poganiał nas i kluczył po lesie strasząc, że jak ktoś zostanie to nie wejdzie do jednostki, wartownik nie wpuści. Będzie czekał pod bramą w samej

koszuli aż ktoś po niego przyjdzie. Bardzo niemiła perspektywa, wyciągałem nogi jak mogłem łapiąc gwałtownie powietrze a mimo to zostawałem coraz bardziej za grupą. Szczęśliwie tuż przed wejściem na teren koszar zwolnił i mogłem dołączyć a wraz ze mną inni spóźnialscy. Dziesięć minut na toaletę poranną w zimniej wodzie ciekącej do blaszanego koryta wraz z goleniem i już ponowna zbiórka. Wszystko w gwałtownym pośpiechu wymuszonym krzykiem i przekleństwami kaprali i starszych szeregowych, którzy zostali z poprzednich poborów jako funkcyjni. Wymarsz na śniadanie. Miałem nadzieję, że nareszcie będzie można chwilę odpocząć. Jeszcze dzień się dobrze nie zaczął a już byłem nieźle zmęczony. Nic podobnego. Kiedy już pobraliśmy swój przydział kawy i usiedliśmy przy zastawionych, długich stołach. Na stołówkę wkroczył jakiś plutonowy. Wojsko na moją komendę: powstań, siad, powstań, siad, powstań, siad..... i tak bez końca. Kiedy już zmęczył się wydawaniem rozkazów, po kolejnym „siad” padła komenda jeść a zaraz potem prosta informacja. Stołówka służy do jedzenia. Rozmawiać to sobie wojsko może w świetlicy podczas czasu wolnego. Nauczył nas w parę minut, jak należy zachowywać się na stołówce. W czasie obiadu była cisza jak makiem zasiał, słychać było tylko było leciutkie postukiwanie łyżek o aluminiowe miski. Przez całe wojsko dzień zaczynał się w podobny sposób, chociaż po przysiedze nikt już nas tak bardzo nie ganiał. Tymczasem jednak, niespodziewanie padła komenda: kończyć jedzenie i bezpośrednio po niej: koniec jedzenia. Regulaminowy czas minął, zabrany przez plutonowego, na naszą „gimnastykę”. Połowa jedzenia została. Dławiąc się, gwałtownie dopiłem swoją kawę, władowałem do kieszeni nie dojezdzonego chleba i wybiegłem z innymi przed stołówkę, by ustawić się na swoim miejscu w kolumnie marszowej. „Stary” żołnierz, który ma już za sobą dzień służby powinien znać i pamiętać swoje miejsce w szyku, jak dowiedzieliśmy się jeszcze wczoraj. Na razie można było jeszcze kaprali oszukać, ale po paru dniach już i oni pamiętali gdzie kto ma stanąć i biada temu co się pomylił. Zaraz znalazło się dla niego odpowiednie zajęcie. Kolumną marszową udaliśmy się na kompanię aby umyć kubki i niezbędniki co wcale nie jest takie łatwe w lodowatej wodzie, zwłaszcza z tłuszczu i biegiem na apel poranny. Stało się nieraz na nim blisko godzinę czekając aż przyjdzie dowódca jednostki, jego zastępca do spraw politycznych, bądź też tylko oficer dyżurny, który odbierze raport i skieruje wojsko do zajęć.

Jestem elektrykiem i zegarmistrzem

Na drugi dzień, po apelu porannym spytał nas kapral kto w cywilu był elektrykiem. Cisza. Nasłuchaliśmy się opowiadań rezerwistów, aby się nie

wychylać. Spytają dla przykładu kto chce być pisarzem? Zajęcie ekstra, zgłasza się kilku. Dają im brzozone miotły i „piszcze” po placu z jednego końca na drugi, a śmieci wynieść pół kilometra dalej do śmietnika. Nie macie czym? Żołnierz musi sobie umieć radzić! Kapral, pomimo ciszy, musiał skompletować odpowiednią drużynę. Kto uczył się elektroniki? Ja, wyrwałem się. Dobierz sobie dziesięciu ludzi i będziesz elektrykiem. Należy naprawić instalacje w koszarach i pozakładać kontakty oraz gniazdko. Wpadłem w panikę. Ja, który nigdy nic takiego nie robiłem elektrykiem? Zacząłem protestować, ale nie chciał ze mną rozmawiać. Dobrałem pierwszych lepszych kolegów i poszliśmy pod dowództwem kaprala - żołnierz przed przysięgą sam nie mógł chodzić po terenie koszar pod magazyn, gdzie mieliśmy dostać narzędzia i materiały. Spytałem moich kolegów, czy ktoś z nich pracował u elektryka. Zgłosił się jeden. No to problem z głowy. Zaczęliśmy od naszej kompanii, gdzie spotkała nas bardzo miła niespodzianka. Kolejna ekipa „budowlańców” wstawiała tam okna i drzwi a w toalecie, gdzie znajdowały się muszle klozetowe „na Małysza” kuczał przy jednej z nich poznany w pociągu Zygmunt Chojecki ze Świdnicy, którego rodzice prowadzili zakład cukierniczy a on był z zawodu hydraulikiem. Pewnie od dziecka objadał się słodyczami i Pan Bóg pokarał go za to ogromnym wzrostem i tuszą. Z powagą wybierał z zapchanych muszli i ładował do starego wiadra to co pozostawili nam w spadku żołnierze Armii Radzieckiej. Po dwóch dniach koszary przestały straszyć. Wszystko znalazło się na swoim miejscu i o dziwo, nawet udało nam się podłączyć prąd co było oczywiście zasługą kolegi z mojej ekipy. Zameldowałem o tym dowódcy kompanii. Bardzo był zadowolony. Widocznie ten brak prądu i jemu doskwierał. Popatrzył na mnie i wysłał do szefa kompanii. Dostałem nowy mundur i „podoficerski” pas. Wyglądałem teraz bardziej na żołnierza niż obdartusa. Wyszedłem szczęśliwy i aż się roześmiałem. Koledzy z kompanii, którzy jeszcze mnie nie znali oddali mi honory stając na baczność jak przed żołnierzami ze starego rocznika. Ten mundur zupełnie ich zmylił. Dowódcą kompanii był kapitan Gregorczyk. Kłął tak samo jak kaprale. Zawsze wiedzieliśmy, kiedy ma dobry humor. Wówczas jego czapka, wzorem niektórych oficerów Armii Radzieckiej łądowała na tyle głowy w ten sposób, że daszek sterczał do góry. Kiedy był wściekły, daszek jej opierał się prawie na nosie, aż przysłał mu oczy. Dowódcą całej jednostki był major Szychliński, który przeszedł szlak bojowy ze związku Radzieckiego aż nad Łabę. Kiedyś przechodził przez stołówkę w czasie obiadu i zobaczył jak Zygmunt „dojadał” wpychając w siebie chleb z cebulą, którą ukradł w kuchni w czasie wieczornego obierania ziemniaków. Zatrzymał się koło niego. Wam za mało? Dwie porcje bym zjadł. Dowódca poszedł do kuchni i rozkazał, by przydzielono mu dwie porcje. Odtąd nie chodził już głodny. Nie napisałem jeszcze w jakiej jednostce przyszło mi służyć. Była to Podoficerska Szkoła Łączności. Każdy musiał przejść test sprawdzający, czy nadaje się do tej szkoły. Trzeba było jak najszybciej nacisnąć przycisk, kiedy tylko zapaliła się lampka na pulpicie

urządzenia. Na specjalnych planszach odróżniać cyfry, które zlewały się z tłem by sprawdzić czy ktoś nie jest daltonistą oraz badali czy jest się muzykalnym, co przy pracy na stacjach radiowych też miało znaczenie. Przeszedłem te próby pomyślnie i rozpoczęła się nauka. Na początek alfabet Morse'a. Zygmunt dziwił się, że nauka tak łatwo mi idzie a ja nie chwaliłem się, że już go znam, bo nauczył mnie pan Biblis jeszcze w Kazachstanie. Dzięki temu mogłem, jeszcze przed przysięgą pojechać do domu. Warunkiem było to, bym „nadrobił” materiał nauczania co najmniej dwa tygodnie do przodu, oraz bym z tej przepustki przywiózł gitarę. W naszej kompanii był st. szeregowy Nawrot z Cheleździa, który miał akordeon i pięknie na nim wygrywał. Kiedyś spytał na zbiórce kompanii, czy ktoś umie grać na jakimś instrumencie. Zgłosiłem się i powiedziałem, że trochę gram, na gitarze. A masz w domu gitarę? Mam. Ponieważ dowódca zależało na tym, by w jego kompanii powstał zespół muzyczny, to dał mi trzy dni urlopu, przydzielił kaprała do eskorty młodego żołnierza przed przysięgą i wysłał po tą gitarę. Paradowałem po Pieszcach w mundurze wojskowym a Gustek zaprowadził mnie do fotografa by zrobić zdjęcie. W wojsku nauczyłem się naprawiać zegarki, przynajmniej te, które nie były poważnie uszkodzone, bo przecież nie miałem żadnych narzędzi oprócz scyzoryka. Wszystko wzięło się stąd, że dowódca kompanii zepsuł się zegarek. Sprawdź no w papierach, czy któryś z żołnierzy nie jest zegarmistrzem, rozkazał pisarzowi. Ten długo grzebał w dokumentach aż odkrył mnie. Jest jeden taki, pracował w fabryce zegarów. Na nic zdały się tłumaczenia, że nie znam się na zegarkach a nie chciałem mu mówić, co naprawdę produkuje ta fabryka. Nasz zakładowy UB-ek surowo zakazał zdradzać o tym komukolwiek a ja narobiłem już sobie dostatecznych kłopotów w technikum, by nie wyciągnąć z tego nauki na przyszłość. Dowódca rzucił mi swoją „Delbanę”, scyzoryk i rozkaz: napraw! Uszkodzenie okazało się banalne. Miałem je w swojej „Pabiedzie” i naprawił mi nasz zakładowy zegarmistrz pan Lutowski. Po prostu wysunęła się ośka od mechanizmu nakręcania. Wcisnąłem ją scyzorykiem i gotowe. Na tym jednak nie poprzestałem. Otworzyłem kopertę i znacznie przyspieszyłem napęd, by zaczął się spieszyć. Po paru godzinach dowódca przyszedł do kancelarii, gdzie cały czas siedziałem z pisarzem i zameldowałem mu, że naprawione, ale pewnie będzie się spieszył. Jeżeli tak się stanie, to jutro naprawię. Spieszył się rzeczywiście i na drugi dzień, podczas gdy moi koledzy bili obcasami po bruku ćwicząc przed przysięgą krok defiladowy, ja znowu naprawiałem zegarek. Tym razem zaczął się późnić i dowódca zorientował się, że coś tu jest nie w porządku. Zawołał mnie i powiedział, że jak nie będzie dobrze chodził, to mam napisać do matki aby się za mnie modliła. Tym razem udało mi się naprawić. Rozeszło się po kompanii, że jestem zegarmistrzem i koledzy przynosili do mnie zegarki. Parę nawet udało mi się naprawić.

Przeklinanie jest częścią wojska

Pewnego razu poranny apel odbierał zastępca dowódcy jednostki do spraw politycznych kapitan Suliński, który niespodziewanie przemówił do nas. Żołnierze, jeżeli ktoś ma jakąś sprawę związaną ze służbą wojskową, ze szkoleniem, z warunkami zakwaterowania, chciałby coś zmienić, usprawnić albo złożyć skargę, może przychodzić do mnie bez zachowania drogi służbowej. Powinien jedynie powiadomić dyżurnego kompanii gdzie idzie. Pomyślałem sobie: dlaczego nie spróbować i zaraz w tym samym dniu zgłosiłem się. Z czym przychodzie? Zacząłem mu opowiadać o swoim wyobrażeniu służby wojskowej jeszcze z cywila, o dziadku oficerze, ojcu, który odbył służbę wojskową i zawsze był wielkim wrogiem przekleństw, a tu obywatelu kapitanie ku..... jest na każdym kroku. Mnie to razi, tego nie powinno być. Jaki to zaszczyt służyć w wojsku, gdzie każdy tak okropnie przeklina? To była woda na młyn kapitana. Usadził mnie w fotelu naprzeciw siebie. Kto jest waszym dowódcą drużyny? Kapral Sulicki. Chwycił za telefon. Kapral Sulicki natychmiast do mnie. Ja siedziałem w fotelu a kapral stał wyprężony na baczność i słuchał reprimendy oficera politycznego. Wy nie rozumiecie jakiego zaszczytu dostąpiliście mogąc służyć w Ludowym Wojsku Polskim? Swoimi przekleństwami brukacie dobre imię polskiego żołnierza. Nie rozumiecie tego to uczcie się od elewa i tak dalej i tak dalej. Kiedy już zbrakło mu argumentów, pogonił kaprala a mnie podziękował za zwrócenie uwagi na problem. Myślałem, że kapral będzie odgrywał się na mnie, ale nic takiego nie miało miejsca. Widocznie bał się, że mam jakieś bliższe znajomości z kapitanem. Moja rozmowa z oficerem politycznym nie była daremna. Co prawda od tej pory wszyscy podoficerowie na kompanii, kiedy tylko byłem w pobliżu, klęli dwa razy dosadniej i dwa razy głośniej. Nasz dowódca kompanii klął na tym samym poziomie bo był ponad wszystko i wszystkich niczym się nie przejmując, a moi koledzy z kompanii bardzo szybko uczyli się tej wojskowej sztuki. Przekleństwo jest częścią wojska. Czemu więc rozmowa nie była daremna? Po paru tygodniach odbyło się zebranie kompanii mające na celu wyłonienie zarządu Koła Młodzieży Wojskowej. Przyszedł na nie też oficer polityczny jednostki. Kiedy przyszło do podawania kandydatur na przewodniczącego, on wymienił moje nazwisko. Wszystko odbyło się w sposób demokratyczny, ale kto śmiałby sprzeciwić się woli kapitana? Miałem odtąd swój kącik w świetlicy i zamiast sprzątnięcia rejonów zajmowałem się pracą społeczną.

Żołnierz chciał się pochwalić

Dowództwo jednostki nie ograniczało nam możliwości listownego kontaktu z rodzinami, co nie oznaczało, że możemy pisać wszystko i o wszystkim. Listy były kontrolowane, chociaż oficjalnej cenzury nie mieliśmy. Dlaczego o tym piszę? Podczas jednego z apeli porannych, oficer siedzących w sztabie, myślę że był to oficer kontrwywiadu, wyciągnął z zaadresowanej koperty list i przeczytał go. Roiło się w nim od informacji, które były tajne: kto jest dowódcą jednostki, w jakim stopniu, kto jego zastępcą, co mamy na zajęciach, na jakim sprzęcie pracujemy i tak dalej. Żołnierz chciał się pochwalić rodzinie i niewiele brakowało by dostał się do więzienia. Nie mógł tłumaczyć się, że był jeszcze nieświadomy, bo od początku tłukli nam do głów by nic takiego nie pisać, ale sprawa jakoś się rozmydliła i nawet go nie ukarali. Kiedy nadeszła pora przysięgi wojskowej, napisałem list do domu zapraszając wszystkich na tą uroczystość. Mama mi odpisała, że nikt nie przyjedzie. Było to przecież związane z kosztami a w domu się nie przelewało. Przyjedzie do ciebie wujek Paweł z Warszawy albo jego syn. Ostatecznie nikt nie przyjechał i było mi trochę przykro, ale szybko dołączyłem do grupy kolegów, którzy gościli swoje rodziny. W tym dniu na niczym nam nie zbywało.

Wigilia Bożego Narodzenia

Teraz o świętach Bożego Narodzenia w jednostce. Byliśmy już po przysiędze. Uzgodniliśmy, że złożymy się i każdy da pieniądze na jedno wino. Niezbyt to w wigilię po katolicku, ale za to przyjemnie. Poszło dwóch kaprali z plecakami i przytargali je na kompanię. Na kolację wigilijną nie poszliśmy na stołówkę, lecz każda kompania urządzała ją u siebie. Zestawiliśmy stoły, przy nich były taborety będące na wyposażeniu każdego żołnierza i specjalnie na tą okazję wydano nam parę nowych prześcieradeł, które służyła za obrusy, oraz nowe koszule, aby było bardziej świątecznie. Każdy wyciągnął to co przysłali mu z domu na święta łącznie z opłatkami a ponadto kuchnia zapewniła nam barszczyk z uszkami i śledzie, które przynieśliśmy w termosach. Trochę pechowo się dla mnie złożyło, ponieważ akurat wypadła mi służba pomocnika podoficera dyżurnego na kompanii, co jednak nie przeszkadzało w świętowaniu. Nawet choinkę mieliśmy, zawieszoną do sufitu, bo na dole nie było na nią miejsca. Byliśmy już po przełamaniu się opłatkiem i po pierwszych toastach, gdy zauważyłem, że stronę kompanii nadchodzi oficer dyżurny, którym był nasz dowódca Grzegorz. Stałem na baczność i zgodnie z obowiązkami pomocnika podoficera zameldowałem kompanię w trakcie kolacji

wigilijnej. Nawet nie wysłuchał mnie do końca i kazał spocząć. Oczywiście zaprosiliśmy go do stołu. Zdjął swoją czapkę służbową i położył na stoliku podoficera, po czym chętnie skorzystał z zaproszenia nie gardząc ni jadłem ni napojem. Koledzy gościli się a ja stałem przy tym stoliku jak kolek i przyglądałem się. Przy dowódcy trzeba było zachować regulamin. Spojrzał kilka razy w moim kierunku. Widocznie żal mu się zrobiło, bo po chwili kiwnął na mnie i pokazał na wolny stółek. Nie musiał tego powtarzać. Postawiłem swoją czapkę obok jego, usiadłem przy stoliku i chwyciłem za gitarę a st. szeregowy Nawrot za akordeon. Zaczęły się kolędy. Doszliśmy właśnie do „Nocnej ciszy”, gdy ktoś zauważył nadchodzącego dowódcę jednostki. Spojrzałem na dowódcę kompanii. To on powinien złożyć meldunek. Kapitan Grzegorzczuk miał to jednak w nosie. Zerwałem się z miejsca, chwyciłem czapkę, nałożyłem na głowę i zameldowałem kompanię. Spojrzał na moją czapkę. Oddajcie kapitanowi, powiedział i zabrał go ze sobą.

Mazury

Po pół roku szkolenia czekały nas egzaminy kwalifikacyjne i przydział do jednostek. Z egzaminem nie miałem specjalnych kłopotów. Przedmioty zawodowe zdałem na piątkę i otrzymałem klasę – tytuł, który upoważniał mnie do odbierania i nadawania wiadomości specjalnych. Z obowiązkowych przedmiotów politycznych poszło już nieco gorzej ale i tak zaliczyli mi ukończenie szkoły z wynikiem dobrym. Zaczęły się przydziały. Było w naszej kompanii szkolnej dwóch bliźniaków. Wyglądali jakby jeden człowiek ożywił swoje odbicie w lustrze – dosłownie, bowiem jeden z nich był praworęczny a drugi leworęczny. Ten leworęczny miał duże trudności z obsługą radiostacji, która wymagała zatrudnienia prawej ręki. Oczywiście egzaminy zdawał za niego brat bliźniak, byli bowiem nie do odróżnienia. Po skończeniu szkoły jednego przydzielono do jednostki wojskowej w Gołdapi a drugiego do Biedruska. Chłopcy popłakali się i poszli do dowódcy jednostki. Osobno nie będą służyli. Cały misterny plan, by ich rozdzielić i wyeliminować drobne oszustwa w postaci podstawiania się jednego za drugiego wziął w łeb. Jeżeli dorośli mężczyźni płaczą, to sprawa jest poważna. Dowódca zlitował się i przydzielił ich do tej samej jednostki. Niech już inni męczą się z rozróżnieniem bliźniaków. Ja dostałem przydział na lotnisko w Babicach koło Warszawy. Ogromna jednostka i sroga dyscyplina. Aby wyjść na przepustkę, trzeba była zaliczyć nieraz kilka podejść. Sprawdzano wszystko, łącznie z liczbą gwoździ pod butami. Jak już po wielu perypetiach udało się wyjść poza teren jednostki, to prawie nieuchronnie spotykało się patrol wojskowy i wszystko zaczynało się od nowa. Przeważnie znajdowali coś nieregulaminowego i odprowadzali z

powrotem do jednostki. Teoretycznie można było pójść do klubu Wojskowej Akademii Technicznej. W praktyce i stamtąd gonili żołnierzy służby czynnej. Trzeba było zacisnąć zęby i przestawić się na siedzenie w jednostce przez najbliższe półtora roku. Wybawienie przyszło zupełnie niespodziewanie. Był w naszej kompanii pilot nawigator ppor. Karwecki. Niegdyś prymus w szkole pilotów wojskowych w Dęblinie. Mogąc wybierać miejsce służby wybrał sobie ambitnie lotnisko w Babicach, chcąc doskonalić swoje umiejętności. W międzyczasie ożenił się z bardzo ładną dziewczyną i zamieszkał w służbowym bloku wraz z innymi oficerami. Ta śliczna żona stała się przyczyną jego kłopotów. Raptem znalazło się wielu amatorów tego, by uczynić młodego podporucznika swoim szwagrem. Nie dawali jej spokoju. Zdesperowany napisał podanie o zwolnienie go do cywila, ale zostało ono rozpatrzone negatywnie. Rozwiązanie przyszło samo. Będąc na patrolu upił się w restauracji i zaczął strzelać do żyrandoli. Przyjechała żandarmeria wojskowa i zabrali go do aresztu. Sądził, że po takim wybryku, dowódcy wyrzucą go z wojska i osiągnie co zamierzał. Przeliczył się jednak. Za karę wysłali go na głęboką prowincję do Lipowca na Mazurach, dając mu tam oczywiście mieszkanie. Zabrał żonę ze sobą i jego kłopoty skończyły się. Kiedyś miałem służbę na radiostacji i odebrałem telefon z Lipowca. Dzwonił ppor. Karwecki, którego natychmiast poznałem po głosie. Zaczął mnie namawiać, żebym przeniósł się do jego jednostki. Potrzebują radiotelegrafisty. Tu jest o wiele lepiej niż w Babicach, przekonywał. Mała jednostka, większa swoboda, dowódca przeszedł cały front i nie czepia się bzdur, pisz raport. Niewiele myśląc napisałem i został on rozpatrzony pozytywnie. Mało tego, wraz ze mną rozkaz wyjazdu dostało pięciu innych żołnierzy. Dwaj z nich byli rodowitymi Warszawiakami a pozostali gdzieś z Polski. Rano pożegnaliśmy Babice i wyruszyli na dworzec Warszawa Wschód, skąd wyruszał pociąg do Olsztyna. Ledwo opuściliśmy jednostkę, objuczeni plecakami i bronią osobistą, już zauważyłem, że nasi koledzy z Warszawy zaczęli się niespokojnie kręcić. A może tak pojedziemy wieczornym pociągiem? Padła nieśmiała propozycja. Właściwie czemu nie? Poprowadzili nas bocznymi uliczkami, by uniknąć patrolu do sklepu rodziców jednego z nich, gdzie zostawiliśmy plecaki i broń, umówiliśmy się na peronie i każdy w swoją stronę: jeden do żony, drugi do narzeczonej, trzej pozostali do jakiejś podrzędnej knajpy na głębokim zapleczu starej kamienicy a ja pojechałem do wujka Pawła i ze swoją kuzynką Moniką poszliśmy do kina. Dzień minął nie wiadomo kiedy. Pojechałem na dworzec i stanąłem w umówionym miejscu. Po moich żołnierzach ani śladu. Zbliża się godzina odjazdu a ich nie ma. Nie ma też mojego karabinu i plecaka. No to będzie teraz chryja, pomyślałem mocno już zaniepokojony. Na szczęście tuż przed odjazdem pociągu stawili się w komplecie razem z całym sprzętem. No nie całkiem. Nadprogramowo były jeszcze trzy osoby. Żona jednego z nich razem ze swoją siostrą i narzeczonego drugiego. Wybrały się z nami w podróż aż do Lipowca i wynajęły sobie pokój na wsi obok jednostki. Zameldowałem się u wartownika

na bramie. My do dowódcy jednostki. Tam właśnie idzie, pokazał nam mężczyznę średniego wieku w rozpiętym mundurze bez pasa i w tenisówkach na bosych nogach. Podbiegłem i zameldowałem przybycie naszej szóstki. Wysłuchał mnie, podał komendę spocznij, bo regulaminowo stałem na baczność i wyciągnął rękę na powitanie. Takie zachowanie i ubiór przełożonego w Babicach było nie do pomyślenia. Głodni jesteście? Tak jest obywatelu kapitanie. To chodźcie na śniadanie. Poprowadził nas na stołówkę. Po śniadaniu podszedł do mnie i powiedział byśmy zameldowali się na kompanii, zajęli łóżka i zdali broń. Dzisiaj mi jeszcze nie będziecie potrzebni, możecie potem iść na przepustkę. Takiego przyjęcia nie spodziewałem się w najbardziej różowych snach. Oczywiście swoje obowiązki należało wypełniać bardzo skrupulatnie, tego nasz dowódca pilnował, ale poza służbą był pełny luz, można było co sobotę chodzić na wiejskie zabawy chyba, że akurat wypadła jakaś służba. Ponoś było to niebezpieczne bo miejscowa ludność niezbyt przychylnie patrzyła na wojsko bez orła w koronie, ale mnie nigdy nikt nie zaczepił.

Jednak do cywila

W Lipowcu doczekałem końca służby wojskowej cały czas wahając się, czy zostać w wojsku na żołnierza zawodowego, czy też wracać do Pieszyc. Na pozostanie bardzo namawiał mnie porucznik Karwecki, któremu radiotelegrafista z klasą był bardzo potrzebny. Ponadto wojsko w owym czasie zapewniało bardzo dobre warunki pracy i płacy. Otrzymywało się też mieszkanie oraz nie bagatelną kwotę 10.000 zł. na zagospodarowanie. Porucznik zaprowadził mnie do takiego mieszkania i pokazał jego wnętrze. Jak się zdecydujesz, to na drugi dzień będzie twoje. Wolne mieszkania w bloku wojskowym czekały, bowiem niewielu było chętnych aby zaszywać się gdzieś w lasach daleko od dowództwa. Niby w garnizonie obowiązywała większa dyscyplina, ale za to bliżej dowództwa łatwiej było o awans i lepsze zarobki. Udało mi się przejść służbę wojskową bez większej wpadki a ponadto w moich dokumentach ciągnęła się za mną opinia, że służbę wojskową traktuję jako honor i zaszczyt. Takich było niewielu. Chłopcy zostawali w wojsku prawie wyłącznie z pobudek ekonomicznych i wcale się z tym nie kryli. Pod koniec służby przygotowywano mnie do pozostania między innymi powierzając funkcję oficera dyżurnego z jednostki, na co dowódca musiał otrzymać zgodę z Warszawy. Oczywiście służbę tę pełniłem wówczas, gdy w jednostce nie było oficerów, bo akurat wypadło jakieś święto czy też nie było ich z innych powodów. Zdążyłem już zapoznać się z wieloma ludźmi ze wsi a nawet z księdzem proboszczem, który zwrócił na mnie uwagę, ponieważ starałem się co

niedziele być w kościele. W wojsku otrzymywaliśmy jak każdy żołnierz żołd a ponadto było możliwość niewielkiego zarobku za oszczędności w materiałach pędnych i za konserwację sprzętu. Przez półtora roku uzbierało się tyle, że każdy rezerwista mógł sobie przed wyjściem kupić ubranie. Nie musiał pisać do domu by mu przysłano. Już byłem zdecydowany na pozostanie, ale gdy zobaczyłem swoich kolegów w cywilnych ubraniach coś we mnie pękło. Też zapragnąłem do cywila, do swoich Pieszyc i do „Zegarów”. Dowódca nie był zadowolony, ale nie miał wyjścia. Powiedział mi tylko: pojedziesz, wrócisz i zostaniesz. Będziesz mógł wybrać sobie funkcję jaką zechcesz, lub pozostać radiotelegrafistą. Stało się jednak inaczej. Na pożegnanie rezerwistów droga autobusu, który nas odwoził na stację kolejowąznaczona była wybuchami rac świetlnych aż do bramy jednostki.

Andrzej Wański

Do Pieretańców jeździłem kilka razy. Wyjazdy te wynikały z potrzeby serca – pragnąłem odwiedzić swoje Pietraszuńce, gdzie się urodziłem i spędziłem dzieciństwo, oraz z przyczyn ekonomicznych. Różnica w cenach pomiędzy Polską a Białorusią, zwłaszcza jeżeli chodzi o precjoza była tak znaczna, że to się opłacało nawet, jeżeli przewoziło się towary w dozwolonych na granicy ilościach. Odwiedziny Pietraszuńców zrobiły na mnie przygnębiające wrażenie. Doszedłem do przekonania, że to był błąd. Trzeba było nosić w sercu i pielęgnować w myśli wspomnienia, które przeważnie są piękniejsze. Nasz dom, nasze budynki gospodarcze nie istniały. Został po nich niewyraźny zarys fundamentów obrośniętych pokrzywą i innym zielskiem. W sadzie straszyły kikuty drzew owocowych. Wokół głucha cisza, nawet ptaki i owady opuściły to miejsce. U wujka było inaczej. Tam ciągle trwało życie i mieszkali ludzie budzący dawne wspomnienia, chociaż sam wujek Jan zrobił się taki dziwnie mały i przygarbiony, a przecież kiedy widziałem go po raz ostatni przed naszym zesłaniem było z niego kawał chłopca. Żyła jeszcze Stefania, dawna pracownica dziadka Romualda a w gospodarstwie pracował również jego chrześniak Marian Czapkowski ten sam, który pomagał Janowi pogonić bandytów podczas opisanego już nocnego napadu. Następnego dnia po przyjeździe pożyczyłem od wujka elegancki nowy rower i pojechałem nim do Radunia, gdzie w wielkim „Uniwersytecie” - domu towarowym można było dokonać potrzebnych mi zakupów. Okazało się, że przyjechałem blisko godzinę za wcześnie. Nie było z tym problemu. Akurat naprzeciw sklepu znajdowała się restauracja, gdzie można było napić się piwa. Bardzo mi się to przydało. Do Pieretańców prowadziła zwykła wiejska droga, piaszczysta i rozjeżdżona przez

ciężkie kołchozowe pojazdy. Namęczyłem się solidnie, zanim dojechałem do Radunia. Perspektywa oczekiwania była mi raczej na rękę. Oparłem rower o ścianę sklepu tak, aby mieć go na widoku przez szybę restauracji i delektowałem się zimnym piwem, które podała mi młoda kelnerka. W restauracji nie było ruchu, to jeszcze nie ta godzina, kiedy ludzie kończą pracę i przed udaniem się do domu zachodzą na piwo. Dwie kelnerki stanęły w moim pobliżu i zaczęły rozmawiać.

Siewodnia Wańskiej nie budiet - dzisiaj Wańskiej nie będzie, usłyszałem. Wtrąciłem się do ich rozmowy. Wańska to żona Andrzeja? Okazało się, że tak. Warto więc sprawdzić, czy to ten sam Andrzej, z którym chodziłem do piątej klasy Szkoły Podstawowej w Sporkowszczyźnie. Gdzie on mieszka? Na ulicy 1 Maja 23 obok stacji „trafo”. Byłem tak podekscytowany, że zapomniałem o rowerze. Poszedłem tam i zapukałem do drzwi. Otworzyła mi nieznajoma starsza pani: czy tutaj mieszka Andrzej Wański? Tak, uśmiechnęła się uprzejmie, ale nie ma go w domu. Gdzie można się z nim zobaczyć? Pokazała ruchem ręki na plac przed domem, gdzie stała grupa mężczyzn. Podeszedłem tam. Żaden z nich nie był Andrzejem. Po chwili jednak zacząłem dedukować. Będąc w szkole czesaliśmy się na bok po to tylko aby odróżnić się od Rosjan, którzy nigdy tego nie robili, a właśnie jeden z nich tak jest uczesany, chociaż te blond włosy, wydaje mi się że był ciemniejszy. I ten głos, to zdecydowanie nie jest głos Andrzeja. Dla pewności podeszedłem do nich. Wański Andrzej? Popatrzył na mnie i skinął lekko głową. Możemy zamienić parę słów. Zgodził się bardzo niechętnie. Tylko szybko, bo jestem zajęty. Kiedy odeszliśmy parę kroków spytałem go po polsku: poznajesz mnie? Odpowiedział po rosyjsku: Niet nie uznaju - nie, nie poznaję. Ja tolka panimaju pa polskomu jazyku, niczewo nie gawariu – ja tylko rozumiem polski język ale nie potrafię mówić. Ja jestem Jan Kozakowski. Teraz dopiero mnie poznał i wschodnim zwyczajem rzucił mi się na szyję. Siewodnia mienia niet w rabotie - dzisiaj nie ma mnie w pracy, krzyknął w stronę stojących mężczyzn i poprowadził mnie do swego domu. Po chwili okazało się, że pełni on bardzo ważną funkcję szefa okręgu energetycznego a ponadto jest przewodniczącym Miejskiej Rady w Raduniu. Drzwi otworzyła nam młoda kobieta. Janek przyjechał! Nigdy jej nie widziałem, ale też rzuciła mi się na szyję. Ona z kolei była kierowniczką restauracji, gdzie popijałem piwo czekając na otwarcie sklepu. Powodziło im się świetnie. W jednej chwili cały stół był zastawiony a na środek wjechała duża, bodaj, że trzy litrowa karafka. Byłem naiwnie przekonany, że to woda i kiedy ponalewał jej zawartość do szklanek śmiało przepiłem jakieś zimne mięso do którego spróbowania Andrzej zachęcał. Aż mnie skręciło. To był bardzo silny samogon. Poprosiłem by dali mi chociaż kieliszek, ja w życiu tyle wódki nie wypiję. Po długich poszukiwaniach znaleźli najmniejszy jaki mieli. Miał pojemność 100 gram. Babcia, jak się okazało teściowa Andrzeja zaczęła się ze mnie śmiać. Co to za parień - młodzieniec, który pije z riumki - kieliszka. Dowiedziałem się, że Andrzej był 5 lat w wojsku. Służył na dalekiej Syberii w lotnictwie. Tam

poznał swoją żonę Marusię, również z pochodzenia Polkę. Piękną kobietę z grubym jasnym warkoczem. Jej przodkowie zostali zesłani jeszcze za cara. Nawet jej matka nie mówiła już po polsku a właściwie mówiła i to dosyć często, ale tylko jedno słowo: cholera. Mieli dwoje dzieci, syna i córkę. Siedzieliśmy za stołem cały dzień i opowiadaniom nie było końca. Samogonu ubywało, ubywało, aż wreszcie w karafce pokazało się dno. Andrzej wyszedł i po chwili wrócił z pełną. Gwałtownie zaprotestowałem. Miałem już dosyć wódki mimo, że przecież nie wypilem nawet połowy tego co on. Przypomniałem sobie o wujku rowerze, który zostawiłem pod sklepem. Nie będziesz jechał żadnym rowerem, oświadczył Andrzej i poszliśmy do ciężarówki stojącej pod domem. Będziesz jechał? Spytałem z niedowierzaniem. A ty co? U was tak nie jeżdżą? Może i jeżdżą ale ja nie, chciałem odpowiedzieć ale ugryzłem się w język by nie robić przykrości przyjacielowi. Podjechaliśmy pod sklep, który już dawno był zamknięty. O dziwo, rower stał tak jak go zostawiłem. Musieli pewnie chodzić za mną „umyślni” pilnujący i jego i mnie, bo normalnie nie powstał by nawet piętnastu minut. Włożyliśmy go na skrzynię samochodu i pojechaliśmy do Pieretańców. Po drodze Andrzej rozwodził się nad zaletami swojego samogonu. Tutaj na Białorusi, pije się to co daje nam nasza ziemia. Wódka wypędzona z żyta jest zdrowa i pozwala zachować jasność umysłu. Żadne koniaki, rummy i jakie tam inne nie dorównają jej. Mam tego pełno w barku, stoją już kilka lat i nie komu wypić. Dojechaliśmy na miejsce i po chwili Andrzej witał się już z moją mamą. Koniecznie chciał, żeby go odwiedziła w Raduniu, na co mama zgodziła się chętnie chcąc zobaczyć nasz dom służący teraz za szpital powiatowy. Jak skończył się ten dzień nie umiem powiedzieć. Postawił Andrzej wódkę to postawiłem i ja. Wieźliśmy z Polski parę butelek spirytusu więc co prędzej jedną z nich otworzyłem i rozrobiłem z wodą. Andrzej krzywił się, że takiej rozcieńczonej wódki nie będzie pił, ale po przeprowadzeniu próby zmienił zdanie. Rozlał nieco na stole i podpalił. Próba wypadła pomyślnie. Ja wypilem tylko jeden kieliszek i obudziłem się rano w swoim łóżku. Jak do niego trafiłem nie wiem a żony nie śmiałem pytać.

Rano przyjechał po nas samochód. Dzień był podobny do poprzedniego. Andrzej znowu nie poszedł do pracy. Zanoceowali wszyscy u niego. Miałem czas rozejrzeć się po domu. Wystrój zupełnie inny niż u nas, na ścianach pełno kilimów a instalacja elektryczna na zewnątrz ścian, które w całości były wykonane z drewna. Chciałem wejść do szpitala aby raz jeszcze odwiedzić nasz dom. Wejście zostało zrobione od strony kuchni i siedział tam portier. Wy do kogo? Ja się tu urodziłem, chciałem zobaczyć. Tutaj dużo ludzi się urodziło odparł i nie wpuścił mnie. Pięć lat później dom ten odwiedził mój wujek Jan. Niestety już z niego nie wyszedł. Mama spóźniła się dwa dni na pogrzeb brata. Aby pochować go po katolicku trzeba było sprowadzić księdza z odległego o 50 kilometrów Podborza. Ponieważ wszystkie kościoły w okolicy były już pozamykane, msza święta została odprawiona w Pieretańcach. Przystrojono na

ten cel jeden z pokoi obwieszając go kilimami i przygotowując ołtarz. Ksiądz wyprowadził ciało z domu i szedł za trumną 5 kilometrów na cmentarz w Naczy, gdzie spoczywają też inni nasi krewni. Jeszcze trzy lata przed śmiercią wujka w Raduniu był ksiądz. Pojechałem wówczas na Białoruś sam. Oczywiście rano wybrałem się po zakupy, bo taki był cel mojej wizyty i wszedłem do kościoła. Dwóch ubranych w kufajki mężczyzn męczyło się z założeniem dużego kryształowego żyrandola. Usiadłem w ławce i zacząłem się modlić. Po chwili jeden z nich zszedł z drabiny i podszedł do mnie. Wy do spowiedzi? Dopiero pod jego kufajką zauważyłem koloratkę. Okazało się, że całe mienie należące do kościoła zostało zabrane i w większości zniszczone. Ksiądz mieszkał w zachrystii – jak się okazało już niedługo. Kościół też zabrali.



Stoi: drugi od lewej Jan Kozakowski



Za kierownicą Jan Kozakowski



Zdjęcie ślubne Jana Kozakowskiego 28.08.1965r.



Chrzest Stanisław Kondrata syna Zofii i Franciszka



Jan Kozakowski w Pieszyckiej Fabryce Zegarów

OBYWATEL JAN KOZAKOWSKI
URODZONY DNIA 28 STYCZNIA 1937 ROKU
W PŁETROSZYNIE WOJEWÓDZTWO ZSRR

UCHWAŁĄ PAŃSTWOWEJ KOMISJI EGZAMINACYJNEJ
POWOŁANEJ PRZEZ KURATORIUM OŚWIATY
I WYCHOWANIA W WARSZAWIE.

OTRZYMAŁ TYTUŁ

MISTRZA DYPLOMOWANEGO

NA PODSTAWIE § 6, UST. 3 UCHWAŁY NR 21 RADY MINISTRÓW
Z DNIA 23 STYCZNIA 1976 R. W SPRAWIE OBOWIĄZKÓW
I UPRAWNIEŃ MISTRZÓW W ZAKŁADACH PRACY
(MONITOR POLSKI NR 7, POZ. 34)

Dzierżoniów DNIA 5 MAJA 1978 ROKU
NR REJESTRU 7/78

CZŁONKOWIE
PAŃSTWOWEJ KOMISJI
EGZAMINACYJNEJ

[Signature]
[Signature]

PRZEWODNICZĄCY
PAŃSTWOWEJ KOMISJI
EGZAMINACYJNEJ

[Signature]





Zygmunt Kozakowski z rodziną



Zygmunt Kozakowski z dziećmi, żoną i rodziną żony



Krzyże Zesłańców Sybiru otrzymują: Zofia Kondrat i Jan Kozakowski 2010 rok



Rodzeństwo po latach: Zofia Kondrat, Jan, Zygmunt i Gustaw Kozakowscy



Procesja „Bożego Ciała”. Ze sztandarem „Sybiraków” Jan Kozakowski
Po lewej stronie Gustaw Kozakowski, po prawej Bolesław Wysoczański



Zygmunt, Jan i Gustaw Kozakowscy



Rodzeństwo: Jan Kozakowski, Zofia Kondrat i Zygmunt Kozakowski w Górach Sowich



Zygmunt Kozakowski z siostrą Zofią u podnóża Gór Sowich w Pieszycach

Epilog

Dobiega końca moja opowieść o dzieciństwie, dorastaniu i wieku młodzięcym. Czytelnik z pewnością będzie zainteresowany dalszymi losami rodziny. Nigdy nie wróciliśmy do tego, co przodkowie nasi robili od stuleci, czyli do uprawy roli. Każdy znalazł jednak swoje miejsce w życiu.

Mama – nie poszła do pracy zawodowej. Podobnie jak w Kazachstanie nadal dbała o nas wszystkich, przynajmniej w pierwszych latach kiedy jeszcze mieszkaliśmy razem na ulicy Zamkowej 63 w Pieszycach. Ubył co prawda Zygmunt, który jako jedyny zamieszkał na północy kraju, ale przybył w jego miejsce tata. Rachunek się wyrównał. Wstawała bardzo wcześnie i kiedy my zrywaliśmy się by zdążyć do pracy na ostatnią chwilę, czekał na nas zawsze gorący poranny posiłek oraz zapakowane śniadanie, które jedliśmy w pracy. Na jej głowie było urządzenie domu, pranie, gotowanie, sprzątanie, zakupy. Znowu pracowała najciężej z nas a mimo to pozostawała w dobrym zdrowiu. Zmarła w 2002 roku przeżywszy 95 lat i została pochowana na cmentarzu parafialnym w Pieszycach.

Tata – przygotował nam mieszkanie koło Ostródy, gdzie przebywał wraz z Zygmuntem. Mama jednak - jak już pisałem, nie chciała wracać na wieś. Kiedy przyjechaliśmy do Pieszyc, zwolnił się z pracy i dołączył do nas. Nareszcie mógł występować pod swoim własnym nazwiskiem. Lata spędzone podczas przebywania w partyzantce, podczas ukrywania się i samotnego życia w Olsztynie mocno nadwerężyły jego zdrowie. Poszukał sobie pracy, która nie wymagała wysiłku fizycznego. Został portierem w Zakładach Przemysłu Bawełnianego BIELTEX i z tych zakładów odszedł na emeryturę. Zmarł w 1972r. przeżywszy 69 lat. Również został pochowany na cmentarzu Parafialnym Kościoła pod wezwaniem św. Antoniego w Pieszycach

Zygmunt – był tym, który najbardziej boleśnie z całej rodziny przeżył zsyłkę, co również odbiło się na jego zdrowiu i psychice. Kiedy w końcu dotarliśmy wszyscy do Polski, jego żona wraz ze swoją mamą przebywały jeszcze na terenie Białorusi. Z tego co pamiętam, przyjechały one dopiero rok po naszym powrocie i zamieszkały w Gryfinie koło Szczecinie. Tam też pewnego poranka, zjawił się Zygmunt. Wszedł do mieszkania i stanął w progu pokoju, gdzie spała jego żona Teresa. Zbudzona ze snu kobieta zobaczyła obcego mężczyznę. Opuścił ją młodziencem, a po kilku latach i niezliczonych przejściach odnalazł się poważny pan z przyprószoną siwizną głową. Znalazł pracę w oddziale zamiejscowym Zakładów Mięsnych w Szczecinie, którym pozostał wierny aż

do emerytury przechodząc przez różne stanowiska: od pracy w ubojni, do magazynu wyrobów gotowych. Inaczej niż jego koledzy z pracy, do końca pozostał człowiekiem szczupłym mimo, że była u nich zatrudniona kucharka, która przygotowywała specjalne, smakujące rzeźnikom dania. Ponoć najbardziej smakowitym kąskiem są dla nich wieprzowe ozorki. Zygmunt wraz ze swoją żoną odwiedzili Pieretańce, Czechowce, skąd pochodziła jego żona i Lidę. Posiadał dwoje dzieci Jadwige i Krzysztofa. Zmarł 9 marca 2011r.

Gustaw – pracował w Państwowej Komunikacji Samochodowej w Dzierżoniowie na stanowisku mechanika samochodowego. Z czasem, po ukończeniu specjalistycznych kursów przeszedł do narzędziowni, gdzie doczekał się emerytury. Pewien wyjazd do Koszalina spowodował, że przywiózł sobie stamtąd żonę Leokadię, która znalazła pracę w tkalni Zakładów Przemysłu Bawełnianego BIELTEX. Była kobietą niezwykle pobożną – „promieniowała wiarą”. Urlopy poświęcała na piesze pielgrzymki do Częstochowy. W sumie była tam 38 razy. Podczas jednej z takich pielgrzymek córka Zygmunta, Lucyna brała w Częstochowie ślub ze swoim przyszłym mężem. Gustaw nadal mieszka w Pieszycach. Oprócz Lucyny ma jeszcze dwie córki Dorotę i Krystynę. Lucyna jest malarką i mieszka „jedną nogą” w Pieszycach, opiekując się ojcem, a drugą w Czechach, skąd pochodzi jej drugi mąż – pierwszy zmarł kilka lat po ślubie. Żona Zygmunta zmarła w 2009 roku.

Zofia - po przyjeździe do Pieszyc pracowała jako tkaczka, oczywiście w zakładach BIELTEX. Praca ta nie bardzo jej odpowiadała. Przeniosła się do przedszkola zakładowego, gdzie opiekowała się dziećmi a gdy było trzeba pracowała również w kuchni. Z jej związku z Franciszkiem Kondratem urodziło się dwoje dzieci: Halinka i Stanisław, którego jestem ojcem chrzestnym. Halinka była pierwszym dzieckiem w rodzinie, kochanym i hołubionym przez każdego. Po śmierci męża mieszka obecnie sama. Doczekała się trójki prawnucząt.

Marysia - zatrudniła się w zakładach BIELTEX i została w nich aż do emerytury pracując jako tkaczka. W 1959 roku wyszła za mąż za Jana Sieńkę, z którym ma dwoje dzieci: córkę Elżbietę i syna Roberta. Doczekała się też czwórki wnuków i jednego prawnuka. Jako jedyna nie odwiedziła Pietraszuńców – nie chciała przypominać sobie traumatycznych chwil, które tam przeżyła. Na łamach „Gazety Pieszyckiej”, która relacjonowała ich 52 rocznicę pożycia małżeńskiego deklarowała swą głęboką i nie ustającą miłość do męża. Trzeba jej wierzyć, oni zawsze są blisko siebie.

Jan - czyli ja osobiście. Po powrocie z wojska wróciłem do „Fabryki Zegarów”. Przydzielili mnie na wydział zajmujący się produkcją cywilną zapalniczek gazowych. Nie trwało to długo. Potrzebni byli fachowcy pracujący

na automatach, których instrukcje obsługi nadal pisane były w języku rosyjskim. Wykonując swoją pracę przy maszynie, w dalszym ciągu pomagałem tłumaczyć je na język zrozumiały dla wszystkich. Tym samym tajna kancelaria, do której dostęp był niezwykle utrudniony stanęła przede mną otworem. Zająłem się także pracą społeczną prowadząc świetlicę zakładową. Działający w jej ramach klub posiadał swoją własną orkiestrę, która przygrywała na sobotnio niedzielnych potańcówkach. Na jednej z nich poznałem swoją przyszłą żonę, która pracowała w Urzędzie Miasta Pieszycy. Po trzech latach odbył się nasz ślub. Zmienialiśmy kolejne mieszkania, by w końcu trafić do Spółdzielni Mieszkaniowej w Bielawie, budującej bloki na ulicy Ogrodowej w Pieszycach. Po dwóch latach zajmowania lokalu przypadkowo wziąłem do ręki protokół zdawczo - odbiorczy mieszkania. Zgadnij czego nam brakuje? Spytałem żony. Pewno jakiegoś dodatkowego okna albo wywietrznika. Nie, nie mamy jednego pokoju, za który płacimy czynsz. Wyjaśniłem tą sprawę w Spółdzielni Mieszkaniowej i mieszkamy tam do dnia dzisiejszego. Mamy troje dzieci. Pierwsza urodziła się Marysia, później Iwonka a czternaście lat po narodzinach Marysi Michał.

W roku 1989, w rodzącej się nowej rzeczywistości politycznej wyzwolonej od przemożnego wpływu na nasze życie Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich, powstał w Dzierżoniowie, między innymi z mojej inicjatywy Związek Sybiraków Ziemi Dzierżoniowskiej, zrzeszający naszych rodaków skazanych na przymusowe zesłania w głąb tego ogromnego, nieprzyjaznego kraju. Nareszcie mogliśmy głośno mówić o naszych cierpieniach, o tych, którzy po wielu staraniach powrócili do Polski i tych, których groby dawno już przestały istnieć. Losy mojej rodziny i moje są podobne do losów wielu tysięcy zesłanych. Im to właśnie poświęcam niniejszą książkę, która jest wspólną pracą: moją i spisującego moje opowiadania Zdzisława Maciejewskiego emeryta z Pieszyc.

Jan Kozakowski

МІНІСТЭРСТВА
ЎНУТРАННІХ СПРАЎ
РЭСПУБЛІКІ БЕЛАРУСЬ



МИНИСТЕРСТВО
ВНУТРЕННИХ ДЕЛ
РЕСПУБЛИКИ БЕЛАРУСЬ

УПРАВЛЕННЕ
ЎНУТРАННІХ СПРАЎ
ГРОДЗЕНСКАГА АБЛВЫКАНКАМА

230675, г. Гродна, Акадэмічная, 3
тэл. 72-32-70

26, февраль 1999 г. № 1/р-4255
На № _____ ад _____ 1999 г.

УПРАВЛЕНИЕ
ВНУТРЕННИХ ДЕЛ
ГРОДНЕНСКОГО ОБЛИСПОЛКОМА

230675, г. Гродно, Академическая, 3
тел. 72-32-70

Козаковская Станислава
ул. Замкова, 71
58-250 Плещице
Польша

АРХИВНАЯ СПРАВКА

На основании документов архивного дела установлено, что из д. Молейковщина Лидского района по постановлению Совета Министров БССР от 07 апреля 1952 года на спецпоселение в Казахстан была выселена семья кулака Казаковской Станиславы Ромуальдовны, 1905 года рождения.

Вместе с ней были выселены: сыновья - Казаковский Зигмунд Эдмундович, 1927 года рождения; Казаковский Густав Эдмундович, 1929 года рождения; Казаковский Иван Эдмундович, 1937 года рождения; дочери - Казаковская София Эдмундовна, 1935 года рождения; Казаковская Мария Эдмундовна, 1939 года рождения.

Указанная семья была необоснованно репрессирована по политическим мотивам и находилась на спецпоселении под надзором органов МВД с 23 июня 1952 года.

Освобождены со спецпоселения: Казаковская С.Р. - 24 марта 1956 года; Казаковский З.Э., Казаковский Г.Э., Казаковская С.Э., Казаковская М.Э. - 24 апреля 1956 года; Казаковский И.Э. - 23 ноября 1956 года.

Все вышеуказанные граждане реабилитированы УВД Гродненского облисполкома 27 сентября 1993 года.

Основание: ф.4.д.2764, л.10, 11, 12.

Мл. инспектор ИАЦ при УВД

И.А. Жилинская

Начальник



А.Н. Жебрак

Rehabilitacja skazanych

Spis treści

Rozdział I

- s. 6 Ród Kozakowskich
- s.14 Kolonia Pietraszuńce
- s.14 Aby nie bał się mrozu
- s.16 Nie wolno przeklinać
- s.16 Pożar domku
- s.17 Sianokosy
- s.18 Taki chłop jest babą
- s.19 Polowe koncerty
- s.20 Wyprawa po choinkę
- s.21 Boże Narodzenie i Wielkanoc
- s.22 Pszczoły
- s.25 Ksiądz Henryk
- s.27 Duduś
- s.28 Wieczorki literackie
- s.29 Sapożnik
- s.29 To szlachcic Ilcewicz
- s.30 Ksiądz Stein
- s.31 Domowa fabryka
- s.32 Wyjątkowy miesiąc maj
- s.33 Przytulał mnie w milczeniu
- s.34 Majątek Pieretańce
- s.35 Wizyta NKWD w Pieretańcach
- s.36 Mama rusza na ratunek
- s.38 Nocny napad w Pieretańcach
- s.39 Wujek Jan przewodnikiem
- s.40 Zapłata za życie
- s.41 Musiałem przeprosić
- s.43 Moja pierwsza szkoła
- s.45 Partyzancka defilada
- s.47 Polowanie na Gustka
- s.48 Gustek kurierem
- s.48 Nieudana egzekucja
- s.49 Pętka i Matros
- s.50 Zgrupowanie w Gudelkach
- s.51 Polowanie na kaczki
- s.52 Wieś Kotwa
- s.53 Polowanie na wilki
- s.54 Krowa mądrzejsza

- s.55 Pęta pomogły
- s.55 Piana krowa
- s.57 Byk „Ursus”
- s.58 Zabrali owce
- s.59 Burza nad Pietraszuńcami
- s.60 Warzywniak
- s.60 Bimber
- s.61 Manieź
- s.62 Między nadzieją a zwątpieniem
- s.63 Położna
- s.64 Droga się wydłużyła
- s.64 Moja Pierwsza Komunia
- s.65 Żołnierz zdębiał
- s.66 Jest w Kałudze
- s.67 Trofea Stasia
- s.68 Wystraszyłem żołdatów
- s.68 Pierwsze ostrzeżenie
- s.69 List pochwalny
- s.70 Ja żyję
- s.71 Duchy chodzą po ziemi
- s.73 Obraz Matki Boskiej
- s.73 Zaczynamy się ukrywać
- s.74 Pożegnanie dzieciństwa
- s.74 Zachować gospodarstwo
- s.75 U pani Wańskiej
- s.76 Pionier Watażaja
- s.77 Popełniłem przestępstwo
- s.77 Jestem Stasia

Rozdział II

- s.79 Aresztowanie Gustka
- s.79 Za dziesięć minut na samochodzie
- s.81 Rozprawa sądowa
- s.84 Znowu razem
- s.84 Zapamiętać jak najwięcej
- s.86 Panie Boże dopomóż
- s.87 List do żony
- s.88 Makata
- s.89 Kierownik wagonu
- s.90 Nie miała szczęścia
- s.90 Wjeżdżamy do Azji
- s.91 Zaczyna się pustynia
- s.92 „Łaskawość” strażników
- s.93 Wycelował w moim kierunku
- s.93 Wot ja i wracz
- s.94 Niespodziewany ratunek
- s.96 Opuszczamy pociąg
- s.97 Ostatni etap

Rozdział III

- s.98 Kołchoz „Bolszewik”
- s.99 Nasz domek
- s.100 Pierwszy nocleg
- s.101 Na polu bawełny
- s.102 Mamy własny „młyn”
- s.103 Lekarstwo na biegunkę
- s.104 „Przychodnia zdrowia”
- s.105 Kanał Kirowski
- s.106 Z Kazachstanu na Syberię
- s.108 Wężę i żmije
- s.109 Fabryka cegieł
- s.110 Przydomowa działka
- s.110 Kobyle mleko
- s.111 Kradzież brzoskwiń
- s.111 Wół zdechł, co za radość
- s.112 Na ryby
- s.113 Nic się nie marnuje
- s.114 Ryby wśród krzaków bawełny
- s.115 Szkoła „Pabieda”
- s.115 Wpław do szkoły
- s.117 W obronie Niemki
- s.117 Nakrycia głowy
- s.118 Nasza klasa
- s.119 Zbieramy bawełnę
- s.120 Tragiczne ucieczki
- s.121 Ucieczka Michała
- s.122 Moje plany ucieczki
- s.123 Wania opuść lekcję
- s.125 Zaplecze sanitarne
- s.125 Wyżywienie się poprawiło
- s.126 Wyprawa do kołchozu „Amangielydy”
- s.127 Malaria
- s.128 Parzący piasek
- s.129 Stalin „padoch”
- s.130 Modlitwy
- s.130 Gustek kinooperator
- s.132 Dzień święty święcić
- s.133 Toaleta Kazachów
- s.134 Ceremoniał picia herbaty
- s.135 Sprawy ducha i ciała
- s.135 Wychowanie dzieci

- s.136 Zawody Kop Par
- s.137 Tytoń i papierosy
- s.138 Panowie i władcy
- s.138 Za kazachskim stołem
- s.140 Ty ciemny Azjato
- s.141 Co widział nauczyciel
- s.142 Mordercze słońce
- s.143 Kazachskie wesele
- s.144 Rapyt czyli porwania
- s.145 Obrzezanie
- s.146 Krzyż Południa
- s.146 Burza piaskowa
- s.147 Zamordowana przez Sowietów
- s.148 Polacy biją
- s.149 Psy
- s.149 Kradzież winogron
- s.150 Co te Ruski ze mną zrobili
- s.151 Melony
- s.152 Mama na straży Polskości
- s.152 Paczka od Teni
- s.153 Anonimowy darczyńca
- s.154 Pomidory
- s.155 Lenin znowu pomógł
- s.156 Skorpiony
- s.157 Priedsiedatiel
- s.160 Wynalazek pana Biblisa
- s.162 Pierwsze radio w kołchozie
- s.163 Wizyty NKWD
- s.164 Powiatowe miasto Kirow
- s.165 Szpital w Kirowie
- s.167 Targ
- s.167 Traktorzysta
- s.169 Zasnąłem na traktorze
- s.170 Pogrzeb Kazacha
- s.171 Duch
- s.172 Pogrzeb polskiego niemowlęcia
- s.173 Rodzi się nowe dziecko
- s.173 Nie znamy dnia ani godziny
- s.176 Wigilia w Kazachstanie
- s.177 Kietmienem w brygadziście
- s.179 Nauka sztuki przetrwania
- s.180 Zwycięska brygada
- s.181 Wielka ucieczka

- s.183 Choroba Marysi
- s.185 Masza mama
- s.187 Jestem traktorzystą
- s.190 „Omłoty” nasze i Kazachów

Rozdział IV

- s.200 Plany na przyszłość
- s.201 Podróż do Kapłan Biegu
- s.202 W Taszkencie
- s.203 Egzaminy wstępne
- s.204 Traktor warczał wesoło
- s.205 Moi nowi koledzy
- s.208 Kolejna „praktyka”
- s.209 Polska mniejsza od plantacji kukurydzy
- s.210 Normalna nauka
- s.211 Tym razem jabłka
- s.212 Kawałek statku na pustyni
- s.213 Staroświecki zegarek
- s.214 Łaźnia na pustyni
- s.216 Błękitne wzgórze
- s.218 Wojenne przeszłości
- s.218 Uborszczyca
- s.219 Wierzył w Stalina
- s.220 Jedno bardzo sekretne miejsce
- s.220 Odpuście mi moje grzechy
- s.221 Ruda Gruzinka
- s.222 Tajny milicjant
- s.223 Znokautował jednym ciosem
- s.224 Zielony wąż
- s.225 Za wszystko trzeba płacić
- s.225 Dżuma
- s.226 Hodowla owiec
- s.227 Mądra klacz mnie zastąpiła
- s.227 Jestem pomocnikiem Gustka
- s.229 Miraż
- s.229 „Nieczyste” mięso
- s.230 Ja kieruję, woły rządzą
- s.233 Nie mieli szczęścia
- s.233 Powrót do szkoły
- s.234 Świnka
- s.235 Towot zamiast masła
- s.236 Szminka mnie zdradziła
- s.237 Stalin wrogiem narodu
- s.238 Nie Żyd a Jewrej
- s.238 Mówi Warszawa
- s.239 Nogi mu nie urosły

- s.239 Lektura nadobowiązkowa
- s.240 Dynamówy
- s.241 Nie skacz do nieznannej wody
- s.242 Głos spod ławki
- s.243 Milicjant poszedł sobie
- s.244 Pusta kieszeń. Ja już widziałem
- s.245 Ubranie dla Jarka
- s.246 Dom Uzbeka
- s.247 Widziałem siebie w pociągu
- s.248 Pożegnanie z Piotrkim

Rozdział V

- s.254 Wracają wszyscy oprócz mnie
- s.254 Czekajcie na powiadomienie
- s.255 Mam paszport
- s.256 W drogę
- s.257 Macie jakiś modlitewnik?
- s.257 Zostałem bez paszportu i pieniędzy
- s.259 Pomocnik maszynisty
- s.261 Znowu z rodziną
- s.262 Obligacje ZSRR
- s.263 Ostatnia prowokacja
- s.264 Niebiosy spowodowały to spotkanie

Rozdział VI

- s.273 Czemu pan płacze
- s.274 Ziemniaki
- s.275 U wujka
- s.277 Spotkanie z tatą
- s.279 A cebulę masz?
- s.280 W Warszawie
- s.282 Rozpoczynamy nowe życie
- s.283 Moja nowa szkoła
- s.284 Uczę języka rosyjskiego
- s.285 Cudowne Pieszyce
- s.287 Pierwsza praca w Polsce
- s.288 Od robotnika do mistrza
- s.289 Mój mistrz pływał w oleju
- s.290 Powołanie do wojska
- s.291 W wojsku nie jest źle
- s.292 Zostałem elektrykiem i zegarmistrzem
- s.295 Przeklinanie jest częścią wojska
- s.296 Żołnierz chciał się pochwalić
- s.296 Wigilia Bożego Narodzenia
- s.297 Mazury
- s.299 Jednak do cywila
- s.300 Andrzej Wański